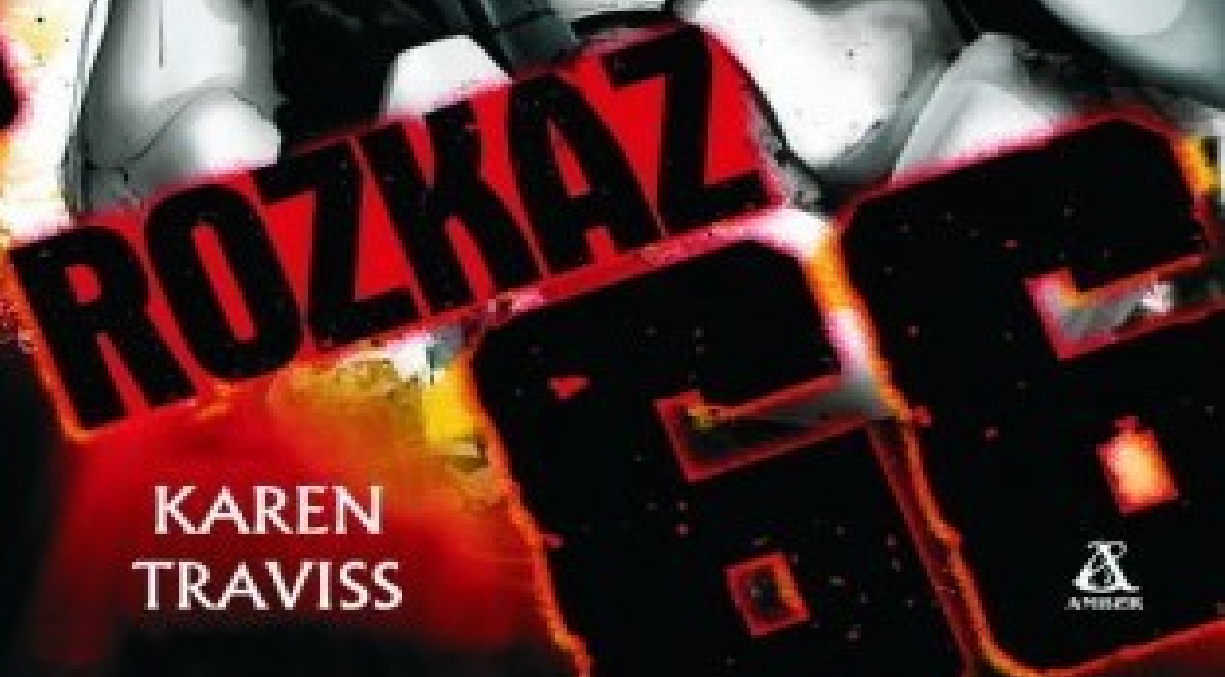


Komandosi Republiku™

# STAR WARS



# ROZKAZ

KAREN  
TRAVISS



Przekład Anna Hikiert

AMBER

Redakcja stylistyczna Magdalena Stachowicz

Korekta

Jolanta Gomółka Elżbieta Steglińska

Projekt graficzny okładki David Stevenson

Ilustracja na okładce Greg Knight

Skład

Wydawnictwo AMBER Monika E. Zjawińska

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału Star Wars: Order 66

Published by Random House Publishing Group

Copyright © 2010 Lucasfilm Ltd. & TM. All Rights Reserved. Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-3667-4

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER

Sp. z o.o. 02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22620 40 13, 22620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Brytyjskim żołnierzom z dumą i wdzięcznością

BOHATEROWIE POWIEŚCI  
KOMANDOSI REPUBLIKI

Drużyna Omega:

RC-1309 Niner  
RC-1136 Darman  
RC-5108/8843 Corr  
RC-3222 Atin

Drużyna Delta:

RC-1138 Boss  
RC-1262 Scorch  
RC-1140 Fixer  
RC-1207 Sev

Fi Skirata były komandos Republiki

Bardan Jusik były Rycerz Jedi, obecnie Mandalorianin (mężczyzna)

Sierżant Kal Skirata najemnik mandaloriański (mężczyzna)

Sierżant Walon Vau najemnik mandaloriański (mężczyzna)

Kapitan Jaller Obrim Siły Bezpieczeństwa Coruscant (mężczyzna)

Generał Etain Tur-Mukan Rycerz Jedi (kobieta)

Generał Arligan Zey Mistrz Jedi (mężczyzna)

Żołnierze Zero ARC:

N-7 Mereel

N-10 Jaing

N-11 Ordo

N-12 A'den

N-5 Prudii

N-6 Kom'rk

Kapitan żołnierzy ARC A-26 Maze

Żołnierz ARC A-30 Sull

Żołnierz ARC A-02 Spar

Agentka Besany Wennen śledczy Departamentu Skarbu Republiki (kobieta)

Jilka Zan Zentis pracownik windykacji podatkowej Departamentu Skarbu

Laseema kelnerka (Twi'lekanka)

Dr Ovolot Qail Uthan ekspert Separatystów ds. genetyki (kobieta)

Nyreen „Ny” Yollen pilot frachtowca (kobieta)

## PROLOG

Curbaq Plaża, Galactic City, Coruscant, 600 dni po Bitwie o Geonosis

Oto ja.

A więc tak kiedyś wyglądałem... Każdy z nas powinien chociaż raz w życiu spojrzeć na siebie z perspektywy kogoś innego.

Zbliża się do mnie ubrany w brązowe szaty Jedi, wcielenie uduchowienia. Chociaż młody, nie ma warkoczyka, a więc nie jest już padawanem. Będzie dowodził żołnierzami. Cóż, przynajmniej nie musi sam słuchać rozkazów. Wojna czyni z nas weteranów stanowczo zbyt wcześnie.

Mam ochotę zatrzymać go i zapytać, czy sądzi, że walczy w słusznej sprawie, czy ta wojna ma sens - ale wiem, że przestraszy się, jeżeli zaczepi go Mandalorianin w pełnym rynsztunku. Tym bardziej jeśli młodzik zorientuje się, że ten Mandalorianin jest wrażliwy na Moc, tak jak on. Nikt nie zwraca tutaj na mnie szczególnej uwagi. Mandalorianie są traktowani na Coruscant jak obcy, łowcy nagród, jedna z licznych grup migrantów przybywających do stolicy galaktyki w pogoni za kredytami.

Widzę, że Jedi rozgląda się z niepokojem. Ach, widocznie mnie Wyczuł...

Nie boję się, w tłumie klientów i turystów jestem bezpieczny. To takie dziwne, niemal nieprzyzwoite - patrzeć, jak wszyscy na

Coruscant zajmują się swoimi sprawami jakby nigdy nic. A przecież od dwóch lat w galaktyce toczy się okrutna wojna. Dla nich konflikt oczywiście nie istnieje. To wojna toczona przez kogoś innego - pod każdym względem; walczą w niej inne istoty, ktoś obcy, nie obywatele Coruscant. Klony nie mają obywatelstwa. Nie przysługują im żadne prawa. Mają numerki. Służą do obrony. Są mięsem armatnim.

Nikt nie powinien się na to godzić, a już z pewnością nie Jedi.

Jestem teraz zaledwie kilka metrów od chłopaka. Jest taki poważny, pełen poświęcenia...

Zupełnie jak ja jeszcze miesiąc temu.

Wyczuwam zakłopotanie dziewczyny przechodzącej obok. Kiedy pojawiałem się gdzieś ubrany w szaty Jedi, zdawało mi się, że inni traktują mnie jak bohatera, jak kogoś, kto przybywa im na ratunek. Teraz wiem, jak bardzo się myliłem. Najpewniej byli po prostu nieufni, uważali mnie za szarlatana posługującego się mocami, których nie rozumieli - kogoś, kto bez ich wiedzy i przyzwolenia kieruje ich losami.

Gdyby wiedzieli, że mogę bez trudu manipulować ich myślami, uciekliby w popłochu.

Jedi podchodzi bliżej, ale nadal go nie rozpoznaję. Wpatruje się ze zmarszczonym czołem w ciemny wizjer mojego hełmu o charakterystycznym kształcie litery „T”. Kiedy mijam go bez słowa, wyczuwam, że jest zmieszany. Nie... to coś więcej - boi się. Silny Mocą Mandalorianin musi zajmować wysoką pozycję na liście jego najgorszych koszmarów.

Był czas, że również na mojej liście. Zabawne.

Wiem, że patrzy w ślad za mną. Czuję, jak zawraca i toruje sobie drogę przez tłum, a w głowie roi mu się od pytań, które chciałby mi zadać. Muszę przyznać, że jego odwaga mi imponuje - niewielu by się na to odważyło. Odwracam się do niego, zanim mnie zaczepi, i widzę, że jest zaskoczony. Jego odczucia mówią mu zupełnie co innego niż wzrok.

- Kim jesteś?-pyta.

- Kimś, kto uznał, że ma dosyć - mówię mu. - A ty?

- Generał... generał Jusik... - rozpoznaje mnie.

Czy to naprawdę takie oczywiste? Dla Jedi - tak. Zgadza się, kiedyś byłem znany jako Bardan Jusik. Każdy w Zakonie Jedi wie, że to już przeszłość. Nie potrafię żyć inaczej, niż dając z siebie

wszystko. Kiedyś byłem Jedi, teraz jestem Mandalorianinem - duszą i ciałem. Mój Mistrz Jedi nauczył mnie, że nie można być rozdartym między dwoma światami.

- Już nie - odpowiadałem chłopakowi po dłuższej chwili.

- Opuściłeś nas w środku wojny! Przecież musimy walczyć! To nasz obowiązek! - W jego głosie słyszałem pretensję, żal... strach. - Jak mogłeś nas zdradzić?!

Zastanawiam się, kogo ma na myśli, mówiąc „nas” - Jedi czy klony?

- Odszedłem, bo... bo to, co robicie, jest złe. - Wiem, że nie powinienem był tego mówić. - Wykorzystujecie armię niewolników. Odszedłem, ponieważ walka ze złem nie ma sensu, jeśli zastępuje się je innym złem.

Bądź zwięzły, nakazuję sobie. Bądź szczery. Nie pozwól mu znaleźć wymówki.

- Na przykład ty - mówię. - Każdego ranka dokonujesz wyboru. Wmawiasz sobie, że możesz przestać, jeśli zechcesz, ale oszukujesz samego siebie. To kłamstwo.

Ha! Trafiłem w czuły punkt. Wiem, że to go zabolowało.

- Mnie także wcale się to nie podoba. - Chyba nie zdaje sobie sprawy ze zdziwionych spojrzeń przechodniów. - Ale nawet jeżeli odejdę, moja decyzja nie zmieni polityki Rady ani biegu wojny.

- Zmieni twoją własną wojnę - mówię mu. - Ale rozumiem, że wykonujesz tylko rozkazy, prawda?

Wszystko, co wydarzyło się w galaktyce - wszystko, co kiedykolwiek się wydarzy - jest konstrukcją wzniesioną z niezliczonych drobnych wyborów: tak lub nie, zabić lub oszczędzić, przetrwać albo umrzeć. Z takich małych cegiełek zbudowana jest wieczność. Liczą się decyzje wszystkich istot, nawet te najmniej znaczące. Decyzje każdego z nas, sekunda za sekundą, połączone w sieć miliardów wyborów, stanowią fundament wszechrzeczy.

- W tej chwili każdy generał jest na wagę złota - mówi do mnie chłopak. Może myśli, że zdoła wywołać we mnie poczucie winy? - Nadchodzą mroczne czasy. Czuję to.

Ja również.

Przyszłość rysuje się mgliście i niepewnie, ale wiem, że zło czai się tuż-tuż, jak cień u naszych stóp.

- A więc zrób coś z własnym losem.

- Mam się przyłączyć do bandy najemników, jak ty? - Obrzuca moją zbroję pogardliwym spojrzeniem. - Jesteście dzikusami. Bandytami!

- Zanim zachłystniesz się własną świętoszkowatością, Jedi, zastanów się, dla kogo właściwie walczysz.

Fierfek\ Powiedziałem do niego „Jedi”... A więc po mojej więzi z Zakonem nie został nawet ślad. Na jego twarzy maluje się wyraz przerażenia, ale zostawiam go i odchodzę. Wiem, że nie zobaczę go już nigdy więcej - nie mam co do tego cienia wątpliwości. Tak samo jak nie mam wątpliwości, że ta wojna zakończy się tragedią.

Dokonałem już wyboru. Mogłem to zrobić w przeciwieństwie do klonów. I postanowiłem, że galaktyka musi zatroszczyć się o siebie sama. Skoro tak ma być, niech reszta cywilizowanego świata skacze sobie do gardeł jak dzikie bestie. Wiem, że wybór, którego dokonałem, jest dobry. Tak właśnie powinni postępować Jedi.

Losy naszych światów rozstrzygną się już wkrótce. Czuję to. Nie mogę powstrzymać nieuniknionego, ale mogę chronić tych, którzy są mi najbliżsi.

Wybór.

Miałem szansę wybrać. Skorzystałem z niej.

## ROZDZIAŁ 1

Kto w ogóle wie, czy Jango miał tylko jednego syna? Nikt nie ma nawet pojęcia, ile gówniarz ma lat! Daj spokój, Spar! Nadszedł czas, żebyś zrobił coś dla Manda'yaim. Nie będziesz musiał nawet kiwnąć palcem. Po prostu zachowuj się jak jego potomek, a my się zajmiemy resztą.

Musimy wszystkim pokazać, że wciąż trzeba się z nami liczyć!

Fenn Shysa podczas próby namówienia dezertera Spara -byłego żołnierza ARC A-02 - do podawania się za syna i dziedzica Janga Fetta w czasie bezkrólestwa po jego śmierci.

Mes Cavoli, Środkowe Rubieże, około pięćdziesięciu lat przed Bitwą o Geonosis

- Wstawaj! Rusz zadek i biegnij, ty mały chakaarze, albo skopię ci twoją leniwą shebs\

Jakieś kilkaset metrów przed sobą Falin Mattran widział smużkę dymu snującą się z obozowiska najemników, chociaż równie dobrze mogło to być sto kilometrów. Nie mógł wstać. Nie miał już siły. Ledwo utrzymywał się w pozycji na czworakach i z trudem łapał oddech. Miał wrażenie, że każdy mięsień jego ciała płonie, ale nie pozwolił sobie na słowo skargi.

Miał siedem lat. No, prawie siedem. Według własnych wyliczeń miał jakieś sześć lat i dziesięć miesięcy, ale podczas wojny stracił rachubę.

- Nie mogę - wydyszał.

- Możesz. - Munin Skirata był potężnym mężczyzną. Nosił poznaną śladami trafień zieloną zbroję, a jego blaster strzelał metalowymi pociskami. Teraz pochylał się nad nim i ryczał swoim donośnym głosem. Twarz skrywał mu hełm z charakterystycznym wizjerem w kształcie litery „T”, którego Falin tak się przestraszył, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. - Wiem, że możesz! Przetrwaleś na Surcaris, sam, tyle czasu! Ale tym razem nie jesteś na przechadzce w tym waszym frymuśnym parku na Kuat, więc rusz swoją leniwą shebs, ty mały nibralul

To nie było w porządku. Życie w ogóle nie było w porządku. Rodzice Falina nie żyli. Świat był złym miejscem i Falin go nienawidził. Nie był pewien, czy nienawidzi również Munina Skiraty, ale gdyby mógł go wtedy zabić, zrobiłby to. Dał sobie z tym spokój tylko dlatego, że był zbyt wyczerpany. Sięgał już po nóż, który zabrał zabitemu ojcu, kiedy dotarło do niego, że Papa nie żyje i że nigdy już nie wstanie, niezależnie od tego, jak bardzo będzie się starał go obudzić - ale nie dał rady utrzymać broni w małych dłoniach i upadł na ziemię.

- Możesz! Jasne, że możesz! - ryknął Munin. - Po prostu ci się nie chce, i dlatego właśnie jesteś nibralem\ Wiesz, kto to jest nibrall Fajtłapa. Niedojda. Ktoś, z kogo nie ma żadnego pożytku. Wstawaj!

Tego było już za wiele. Falin nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek uważał go za lenia albo głupka. Tata nigdy nie nazywał go głupcem, mama też. Rodzice go kochali. Przy nich czuł się bezpieczny - ale ich zabrakło... Wiedział, że już nigdy więcej ich nie zobaczy. Zaciśnął zęby i podniósł się na kolana, a potem wstał. Zatoczył się i z trudem utrzymał pion, ale chwilę później już biegł.

- I o to chodzi! - powiedział Munin, truchtając obok. - No, dawaj! Przebieraj kulasami. Falin miał wrażenie, że jego nogi należą do kogoś innego. Przebiegł już tyle kilometrów, że nie chciały go słuchać. Próbował przyspieszyć, ale nie mógł zmusić ciała do utrzymania równego tempa i ledwie powłóczył nogami. Płuca paliły żywym ogniem, naprawdę musiał odpocząć. Ale nie miał zamiaru się zatrzymywać. Udowodni, że nie jest żadnym głupim nibralem. Co to, to nie. Przed nim majaczyło to, co było dla niego najbliższe pojęciu domu - obozowisko przenoszone z miejsca na miejsce każdego dnia, gdzie noc w noc zasypiał splakany, próbując stłumić szloch. Nie chciał, żeby Mandalorianie słyszeli, że płacze. Nie mają prawa się z niego wyśmiewać jak z jakiegoś dzieciucha.

Kawałek dalej zobaczył mandaloriańskich żołnierzy. Wiedział, że go obserwują. Wszyscy nosili zbroje. Mandaloriańskie kobiety nie ustępowały w niczym swoim mężom, ojcom ani synom i czasem trudno było stwierdzić, kto kryje się pod zbroją i czy w ogóle jest to człowiek.

Falin próbował zmusić swoje ciało do wysiłku, ale na próżno -pokonał jeszcze kilka kroków, zachwiał się i upadł na twarz.

Za każdym razem, kiedy próbował wstać, kalecząc dłonie o ostre odłamki żwiru, jego ramiona odmawiały posłuszeństwa. Zaszlochał z bezsilności. Meta była wciąż daleko przed nim, ale musiał wstać. Musiał do niej dotrzeć...

Nie jestem leniwy, powtarzał sobie. Nie jestem nibraleml Nie pozwolę, żeby ktokolwiek mnie tak nazywał...

- W porządku, ad'ika - mruknął Munin i podniósł go do góry. Posadził sobie chłopca na biodrze, tak jak nosi się małe dzieci, i pomaszerował w stronę obozowiska. Taka nagła zmiana, przejście od wrzasków do troskliwości była dziwnie krępująca. -Świetnie się spisałeś, młody. Już dobrze.

Falin uderzył Munina z całej siły, ale jego pięśćka odbiła się od metalowej płyty pancerza, nie robiąc mężczyźnie najmniejszej krzywdy. Zabołało, ale nie dał niczego po sobie poznać.

- Nienawidzę cię! - warknął. Teraz był tego pewien. - Kiedy dorosnę, to cię zabiję.

- Wierzę ci na słowo - odparł Munin czule. - Już raz próbowałeś.

Przeglądali im się wszyscy zgromadzeni Mandalorianie - część wciąż w hełmach, niektórzy bez. Żołnierze skończyli już walkę, mieli fajrant. Czekali teraz na statek, który zabierze ich do domu. Z tłumu wystąpił jeden z mężczyzn.

- Chcesz go zamęczyć? - wyciągnął rękę i zmierzwił włosy Falina. Okrawał właśnie swoim wibroostrzem spory kawał tego rybnego paskudztwa, gihaalu, i wrzucał sobie struzyny do ust jakby jadł owoce. Falin wiedział, że nazywa się Jun Hokan. - Biedny shab'ika. Życie i tak już dało mu wystarczająco w kość...

- Po prostu go szkolę.

- Mam wrażenie, że nie wiesz, kiedy przestać.

- Daj spokój! To mandokarlal Udowodnił już nieraz, że potrafi świetnie sobie radzić. Mały twardziel z niego.

- Twardziel czy nie, ja nie zmuszałem mojego małego do pełnych treningów, póki nie skończył ośmiu lat.

Falin nie lubił, kiedy dorośli rozmawiali o nim w jego obecności, jakby był powietrzem. Pośrodku obozowiska ustawionych nad ziemnymi jamami namiotów, skleconych z przykrytych darnią i gałęziami plastoidowych płacht, na trzaskającym ogniu per-kotał kociołek potrawy. Munin postawił chłopca na ziemi, otarł mu buzię i ręce wilgotną ścierką, a potem nałożył miszkę stawy i podał mu.

- Kiedy wrócimy do domu, będziemy musieli rozejrzeć się za jakąś zbroją dla ciebie - powiedział. - Musisz się nauczyć ją nosić i walczyć w niej. Beskar'gam. Druga skóra każdego Mandalorianina.

Falin łapczywie pochłaniał gorącą potrawkę. Był wiecznie głodny. Ta cienka polewka w niczym nie przypominała pysznego jedzenia, jakie gotowała jego mama, a poza tym brzydko pachniała zniechęcającą rybą, ale w porównaniu z tym, czym Falin żywił się przez rok w ruinach miasta, była to prawdziwa uczta.

- Nie chcę żadnej głupiej zbroi - fuknął.

- Kiedynosisz zbroję, możesz robić różne rzeczy, których nie potrafią zwykli ludzie, Kalu. Munin nadał mu przydomek „Kal”. W języku Mandalorian miało to coś wspólnego z nożami i z kluciem. Nazwał go tak, ponieważ kiedy pierwszy raz się spotkali, Falin spróbował pchnąć go trójstronnym nożem. O dziwo, mężczyzna wcale nie wyglądał wtedy na rozgniewanego.

Chłopiec miał wrażenie, że raczej go to rozbawiło. Ale Munin nakarmił go potem i nie zrobił mu

krzywdy, a od kiedy Falin dołączył do grupy najemników, czuł się dużo bezpieczniej, nawet jeśli nie był szczęśliwy.

Czasami Munin nazywał go Kal'ika. Najemnicy wyjaśnili mu, że znaczyło to tyle co „małe ostrze” i oznaczało, że Munin go lubi.

- Jestem Falin! - zaprotestował. - Mam na imię Falin! - Ale tak naprawdę powoli zapominał, kim był Falin. Wspomnienie o rodzinnym domu w Kuat City było teraz jak na wpół zapomniany sen. Jego rodzina przeprowadziła się na Surcaris, kiedy tata nadzorował w stocznicach KDY budowę nowych okrętów wojennych. - Nie potrzebuję nowego imienia - burknął.

Munin jadł w milczeniu swoją potrawkę. Kiedy nie krzyczał, był nawet miły, ale Falin wiedział, że nigdy nie zajmie miejsca Papy.

- Czasem trzeba zacząć wszystko od nowa, Kal'ika - powiedział w końcu. - Nie możesz zmienić przeszłości, ale zawsze możesz decydować sam o sobie - a to kształtuje twoją przyszłość.

Ta myśl nie dawała Falinowi spokoju. Kiedy miało się poczucie bezsilności, szansa zapobieżenia złu wydawała się najlepszą rzeczą pod słońcem. Falin już nigdy nie chciał czuć się słaby i bezbronny. Chciał zmieniać świat na lepsze.

- Dlaczego każesz mi biegać i dźwigać ciężkie rzeczy? - zapytał. - To boli.

- Chcę cię nauczyć umiejętności przetrwania, synu. Chcę, żebyś już nigdy nie musiał się nikogo bać. Chcę zrobić z ciebie żołnierza.

Falinowi podobała się taka perspektywa. Stworzył małą precyzyjną, ale długą listę istot, które miał ochotę zabić za skrzywdzenie jego rodziców. Kiedy zostanie żołnierzem, dokona tego.

- Dlaczego?

- To chlubny fach. Jesteś twardy i sprytny, będzie z ciebie wspaniały wojak. Tym właśnie zajmują się Mandalorianie.

- Dlaczego mnie nie zabiłeś jak całą resztę?

Przez długą chwilę Munin siorbał w milczeniu swoją polewkę.

- Bo nie miałeś rodziców, a ja i moja kobieta nie mieliśmy syna. Postanowiłem, że zrobimy tak, jak od wieków postępują Mandalorianie: weźmiemy cię do siebie i wyszkolimy na żołnierza i przyszłego ojca. Nie chcesz tego?

Teraz to Falin się zamyślił. Nie wiedział, co powiedzieć. Tak naprawdę czuł się teraz bardziej samotny, niż kiedy przebywał w gruzach Surcaris, ponieważ wszyscy Mandalorianie trzymali się razem. Łączyła ich głęboka więź, byli jak rodzina. A poza tym to nie oni zabili jego rodziców. Zjawili się w mieście rok później, kiedy wojna wciąż trwała. Nadal był jednak rozżalony i to na nich skupiał swój gniew.

- Uważasz, że jestem leniwy i głupi - burknął.

- Nieprawda - zaprzeczył Munin. - Nakrzyczałem na ciebie, żeby cię zdenerwować, bo wiedziałem, że tylko wtedy dasz z siebie wszystko. - Zaczekał, aż chłopiec opróżni miskę, i napelnił ją ponownie. - To dlatego, że prawdziwe źródło siły tkwi tutaj. -

Postukał palcem w głowę. - Jeżeli naprawdę tego pragniesz, możesz zmusić swoje ciało do czego tylko zechcesz. To się nazywa wytrzymałość. Kiedy wiesz, do czego jesteś zdolny, kiedy znasz swoje możliwości, czujesz się wspaniale, bo masz świadomość, że nikt nie jest w stanie cię skrzywdzić. Jesteś silny w każdym tego słowa znaczeniu.

Falin chciał się czuć wspaniale. Teraz, gdy miał pełny żołądek, życie wydawało mu się mgliście obiecujące, dopóki nie pomyślał o swoich rodzicach, leżących wśród gruzów domu, który wynajmowali na Surcaris.



Nie potrafił zapomnieć tego obrazu. Wstał, umył miskę w kuble z wodą i ponownie usiadł przy ogniu, żeby jak co dzień obejrzeć nóż swojego ojca. Narzędzie miało trzy płaskie boki i przypominało kształtem wydłużoną piramidę. Kiedy jego tata żył, nigdy nie pozwalał mu go dotykać, ale potem Falin nauczył się go używać, ponieważ nie miał gdzie się podziać i nikogo, kto by się o niego troszczył. Teraz radził sobie z nim całkiem niezłe; dużo ćwiczył. Umiał trafić w każdy cel - ruchomy albo nie.

- Jak to jest, być żołnierzem? - zapytał.

Munin wzruszył ramionami.

- Często nudno. Czasem strasznie. Dużo podróżujesz. Poznajesz ludzi, którzy stają się twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Żyjesz pełnią życia. Ale bywa też, że umierasz... zbyt wcześnie.

- Czy muszę słuchać rozkazów?

- Właśnie dzięki nim jesteś w stanie przetrwać.

Zmierzch jeszcze nie zapadł, ale Falinowi kleiły się oczy i po chwili zaczął zapadać w błogą drzemkę. Próbował utrzymać się w tym cudownym stanie między jawą a snem, ponieważ sen oznaczał nieuchronne koszmary, był jednak zbyt zmęczony. Jak przez mgłę docierało do niego, że ktoś bierze go na ręce i niesie, ale się nie obudził. Ostatnią rzeczą jaką zapamiętał, były ręce układające go na stercie ciepłych derek w jednym ze schronów pachnących olejem silnikowym, dymem i suszoną rybą.

Wtedy sny wróciły. Wiedział, że śni, ale to wcale nie pomagało. Wchodził do ich domu na Surcaris - o dziwo, wszystkie ściany leżały w gruzach, ale framuga drzwi była nietknięta. Widział zmasakrowane zwłoki i rozpoznawał w nich własną matkę - wyłącznie po niebieskim materiale jej ulubionej bluzki. Rozglądał się w poszukiwaniu ojca...

Papa leżał koło tego, co zostało z okna. Falin wiedział, że coś jest nie w porządku, ale dopiero po długiej chwili docierało do niego, że ciało praktycznie pozbawiono głowy. Klękał, żeby wyjąć z pochwy przy pasie nóż ojca, i odnosił wrażenie, że Papa się poruszył.

Za każdym razem budził się w tym samym momencie. W rzeczywistości było inaczej - chłopiec tkwił przy ciałach długi czas, zanim w końcu postanowił, że musi uciec i się ukryć. Wtedy też zabrał nóż, żeby mieć czym się obronić, ale we śnie wszystko wyglądało inaczej, działo się szybciej i było straszniejsze. Poderwał się gwałtownie, a serce tłukło mu się w piersiach jak spłoszony ptak.

- Głowa Papy... - zachlipał. - On jest ranny...

Munin Skirata przytulił Falina do piersi.

- Już dobrze - powiedział. - Jestem przy tobie, synku. Jestem przy tobie. To tylko złe sny.

- Chcę, żeby się skończyły! Nie chcę już oglądać głowy Papy!

Munin nie skrzyczał go za to, że się mazgai. Kołysał go tylko, dopóki szloch nie ustał. Falin wtulił się w jego pierś i pociągał nosem, aż w końcu mógł złapać oddech. Zauważył, że trójstronny nóż tkwi teraz w nowiutkiej skórzanej pochwie u jego pasa. Nie wiedział, skąd się tam wzięła.

- Odejdą, Kal - szepnął Munin. - Obiecuję. Dopilnuję, żeby nikt już nigdy cię nie skrzywdził. Będiesz silny i szczęśliwy.

Falin uznał, że właściwie może zostać Kalem, jeżeli dzięki temu koszmary odejdą. Te dwie rzeczy były ze sobą w jakiś dziwny sposób związane - jeśli przestanie być Falinem, nie będzie już widywał w snach ciał rodziców. Munin Skirata wydawał się taki pewny siebie, taki silny, że Falin mu wierzył. Jeżeli tylko chciało się tego wystarczająco mocno, można było zmieniać rzeczywistość. Można było robić wszystko.

- Nie jestem nibralem, prawda?

- Jasne, że nie, Kal - powiedział łagodnie Munin. - Nie powinienem był tak do ciebie mówić. W Mando'a nie ma dobrego określenia na to, kim jesteś.

Falin-Kal nie rozumiał. Spojrzał na Munina pytającym wzrokiem.

- Bohater - wyjaśnił mężczyzna. - W naszym języku nie ma takiego słowa. Ale jesteś prawdziwym małym bohaterem, Kalu Skirato.

Kal Skirata. Oto, kim miał być od tej chwili. Zasnął ponownie, a kiedy obudził się następnego ranka po nocy bez snów, bez koszmarów, świat był lepszym miejscem.

## **ROZDZIAŁ 2**

Ba'jur bal beskar'gam, Ara'nov, aliit, Mando'a bal Mandalor -} An \encuyan mhi.

Wiedza, nasza zbroja Plemię i obrona, Język nasz i nasz przywódca -Nikt nas nie pokona.

Rymowanka pomagająca mandaloriańskim dzieciom przyswoić Resol'nare - sześć zasad stanowiących podstawę kultury Mandalorian

Koszary kompanii Arca, kwatera główna brygady do zadań specjalnych, Coruscant,

736 dni po Bitwie o Geonosis - druga rocznica wybuchu wojny

Scorch uniósł do ramienia karabin i przyjrzał się dwóm sierżantom stojącym na placu defilad.

Dzięki poprawionemu celownikowi optycznemu DC-17 sprzęt w porównaniu z poprzednią wersją był znacznie lepszy. Na głowie Kala Skiraty, między linią jego oczu a podstawą szczęki skupiła się niewidzialna siatka linii celownika. Strzał z tej pozycji w ułamku sekundy skutecznie by unieszkodliwił mężczyznę. Scorch widział, że Mandalorianin mówi coś do Walona Vaua.

Ta-a, zupełnie jak w zasmarkanym Keldabe, pomyślał. Nie chodziło o to, że mu się to nie podobało. Po prostu...

Sierżant Vau - ta ranga stała się częścią jego imienia, nieważne, w wojsku czy w cywilu - był dla Scorcha kimś najbliższym pojęciu

ojca. Vau i Skirata wyglądali na pogrążonych w rozmowie. Dziwne było to, że obydwaj mówili naraz i nie patrzyli sobie w oczy, tylko wbijali wzrok w ferrobetonowe płyty placu defilad u ich stóp. Było to trochę niecodzienne zajęcie jak na początek dnia.

- Nie mówiłeś przypadkiem, że umiesz czytać z ruchu warg? -zapytał go Sev, żując garść pikantnych orzeszków warra.

- Umieję, ale nie mam pojęcia, co oni wyprawiają.

- Może rozmawiają w mandaloriańskim?

- Mandaloriański też czaje, mir sheb.

- Mogliby chociaż włożyć kubły i gadać przez komunikator -burknął Sev.

- Może to nic poufnego.

Nozdrza Scorcha wypełnił ostry zapach orzeszków.

- O nie! Stary, wiesz przecież, co się dzieje, kiedy napychasz się tym świństwem! Masz niestrawność i wzdęcia. Pamiętaj, że nie zamierzam nosić cię na rękach i klepać po plecach, żeby ci się odbiło.

Sev beknął donośnie.

- Jeszcze za mną zatęsknisz - rzucił z uśmiechem.

- Przydaj się wreszcie na coś i spójrz na to samo.

Jego kompan warknął gardłowo, przełknął resztę orzeszków i zerknął przez lunetkę własnego dece. Był snajperem; spędzał znacznie więcej czasu niż Scorch, gapiąc się w celownik.

- Zupełnie jakby coś deklamowali... - powiedział w końcu z namysłem. Oparł karabin z powrotem o ścianę, usiadł na pryczy i sięgnął po kolejną porcję orzeszków. - Obydwaj mówią to samo.

- Tyle to widzę. Ale co takiego?

- Nie mam pojęcia. Nie rozpoznałem słów.

Od kiedy Scorch pamiętał, Skirata i Vau zawsze mieli różne zdania w każdej kwestii - począwszy od taktyki, poprzez sposoby motywacji żołnierzy, na kolorze ścian w mesie kończąc. Wcale nierzadko próby narzucenia swojego zdania drugiemu kończyły się u nich bójką. Ale wyglądało na to, że wojna zmieniała wzajemne nastawienie. Nie darzyli się szczególną sympatią o ile Scorch był w stanie stwierdzić, a jednak łączyła ich jakaś szczególna więź.

Żaden z nich nie musiał tu tkwić. Dzięki napadowi na bank -a raczej nie rozmawiali teraz o tamtej akcji - Vau wzbogacił się o grube miliony. Obydwaj mężczyźni najwyraźniej mieli poczucie misji, kierowała nimi jakaś niepojęta dla Scorcha siła.

Powiększył i wyostrzył obraz, ale na niewiele to się zdało.

- Może gadają o czymś naprawdę nudnym - mruknął.
- Imiona - zdecydował w końcu Sev. - Powtarzają imiona.

Scorch zerknął ponownie.

- Ile lat ma Skirata? - zapytał Scorch, nie spuszczać tamtych dwóch z oka. - Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt jeden?

- Coś koło tego.
- Ile to będzie w przeliczeniu na lata klonów?
- Nieboszczyk - stwierdził bezdusznie Sev.

To sprowadziło Scorcha na ziemię. Dziwne, że nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Nigdy nie martwił się starością bo nigdy nie sądził, że przeżyje, pomimo wszystkich przechwałek Drużyny Delta, że Separatyści mogą im naskoczyć.

- Myślisz, że ten stary pomyłony chakaar próbuje znaleźć cudowną miksturę? - zapytał. Sev odchylił głowę do tyłu i podrzucony w powietrze orzeszek wpadł mu prosto w otwarte usta.

- Że niby co?
- Lekarstwo na przedwczesne opuszczanie przez nas tego łoża padółu - westchnął Scorch. - W kółko o tym głądzi.

Sev prychnął.

- Nadal twierdzą, że to on załatwił Ko Sai. I nadal twierdzą, że ma wyniki jej badań i że to dlatego ją wykończył. Chciał ją uciszyć. Jasne, dam sobie rękę uciąć, że właśnie próbuje znaleźć sposób, żebyśmy się tak szybko nie starzeli - rzucił z przekąsem.

Scorch podejrzewał, że Vau był zamieszany w zabicie zdradzieckiej klonerki z Kamino w tym samym stopniu co Skirata. Wciąż jednak był wobec niego ślepo lojalny, ponieważ to dzięki niemu Drużyna Delta nadal działała w pełnym składzie, jako jedna z nielicznych. Ludzie dowodzeni przez Vaua potrafili radzić sobie w każdych warunkach.

- Nie zamierzasz chyba wspomnieć o tym Zeyowi, co? - spytał podejrzliwie.
- Nie-e. Znow by nie spał po nocach.
- Ale skoro sierżant Kai ma wyniki badań Ko Sai, czemu nie zaczął pichcić tej mikstury?

To już prawie pół roku, jak wręczyłeś mu jej głowę.

- Mówisz o tym, jakby to był prezent urodzinowy - burknął Sev. - Może nie radzi sobie z jakimiś wzorami? Albo po prostu chce maksymalnie wydoić Republikę, zanim nawieje z farsą?
- Kal nie zostawiłby swoich cennych Zer na pastwę losu.

Scorch odwrócił się do Seva i uniósł brwi.

- Mówisz? - spytał.
- Strzelałbyś do nich, gdyby próbowali prysnąć? - Chciał wiedzieć Sev.

Scorch wzruszył tylko ramionami. Chociaż nie dał niczego po sobie poznać, na samą myśl o wpakowaniu serii w innego kлона robiło mu się niedobrze. Skirata traktował Zera jak swoich synów. Chociaż byli dorosłymi mężczyznami - potężnymi chłopami, którym mało kto odważyłby

się podskoczyć - dla niego wciąż pozostali ukochanymi dziećmi, i gdyby jakiś gnojek chociaż spojrzął na nich krzywo, Skirata zrobiłby sobie z jego bebechów podwiązki.

Nawet gdyby ten gnojek był jednym z nich.

- Nie musielibyśmy tego robić - odparł tylko. - Słyszałeś o szwadronie śmierci Palpatine'a przygotowanym na wypadek, gdybyśmy próbowali coś kombinować na boku?
- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Strzelałbyś do nich, gdyby nam kazano?
- To zależy - odparł flegmatycznie Scorch.
- Rozkaz to rozkaz.
- Zależy, kto go wydaje.
- Im dłużej trwa ta wojna, tym bardziej mam wrażenie, że Zera nie są po tej samej stronie co my.

Scorch wiedział, co Sev ma na myśli, ale sądził, że ocenia ich kolegów stanowczo zbyt surowo. Nie potrafił sobie wyobrazić Zer spiskujących z separańcami. Pupilki Skiraty były szalone, nieprzewidywalne, ale z pewnością nie były zdrajcami.

- Chodź! - złapał swój hełm i ruszył do wyjścia. - Zobaczmy, co kombinują nasi starszuskowie. Zżera mnie ciekawość.

Plac defilad był platformą otoczoną niskim murkiem i szpalerem przystrzyżonych przepisowo krzewów - Scorch był pewien, że istnieją przepisy regulujące nawet takie rzeczy - i raczej nie był świadkiem zbyt wielu defilad. Rzadko kiedy działo się tu coś poza rozgrywanymi sporadycznie i spontanicznie meczami bolo-balla. Dwóch sierżantów, którzy niejedno w swoim życiu widzieli, stało na środku placu z pochylonymi głowami. Wydawało się, że nie dostrzegają nadchodzących komandosów.

Ale ci ostatni wiedzieli, że to tylko pozory. Obydwaj mężczyźni Wykazywali nieustanną czujność. Mieli oczy dookoła głowy. Scorch

nadal nie mógł się nadziwić, w jaki sposób zdołali dopilnować szkolenia swoich kompanii w Tipoca City. Dla młodych klonów byli kimś w rodzaju wszechmogących bogów, których nie można było zwieść, przed którymi nic się nie ukryło i których nikt nie był w stanie przechytryć. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło.

Kiedy podeszli nieco bliżej, do uszu Scorcha dobiegły ich ściszone głosy. Brzmiały tak, jakby czytali jakąś listę. Komandosi byli teraz na tyle blisko, że rozpoznawali poszczególne słowa cichej litanii - rzeczywiście imiona.

Sierżanci powtarzali imiona.

Sev zatrzymał się w pół kroku i złapał Scorcha za ramię.

- Chyba nie powinniśmy im teraz przeszkadzać, ner'vod.

Skirata odwrócił się powoli, nie przerywając cichej deklamacji, i w tej samej chwili Vau uniósł głowę i spojrzął prosto na nich.

- Chcecie się przyłączyć, ad'ike? - powiedział łagodnie. Łagodność była ostatnią cechą, o jaką można było posądzić Walona Vaua. - Czcimy pamięć naszych braci, którzy odeszli do mandyi Zapomnieliście, jaki dziś dzień?

Scorch naprawdę zapomniał, chociaż powinien mieć to trwale wryte w pamięć. Siedemset trzydzieści sześć dni temu dziesięć tysięcy komandosów Republiki zostało bez uprzedzenia wysłanych na Geonosis z resztą Wielkiej Armii. Bez zbędnych ceregieli wsadzono ich na statki, nie dając czasu na pożegnanie ze szkolącymi ich sierżantami. Z dziesięciu tysięcy ludzi wysłanych na wojnę powróciła zaledwie połowa.

Scorch poczuł się jak ostatni idiota. Powinien był wiedzieć, co i dlaczego robili sierżanci: powtarzali imiona poległych klonów. Mandalorianie zwykli codziennie powtarzać imiona swoich

najbliższych, którzy odeszli - aby uczcić ich pamięć. Scorch zastanawiał się, czy powtarzali ten rytuał dzień w dzień.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że wymawia pan imię każdego zabitego, sierżancie? - zapytał Sev.

- Pamiętamy każdego chłopca, którego szkoliliśmy, i zawsze będziemy pamiętali - powiedział cicho Skirata. Scorch zauważył, że mężczyzna nie spuszcza wzroku z notatnika komputerowego, który trzyma w dłoniach. Pięć tysięcy imion, a do tego klony zabite po Bitwie o Geonosis - nikt nie byłby w stanie tego zapamiętać, nieważne, jak bardzo by się starał. - Jeśli chodzi o resztę...i potrzebujemy po prostu małej ściągawki.

Gdyby ktoś go zapytał, Scorch nie umiałby wymienić teraz nawet połowy drużyn w jego grupie z centrum szkoleniowego Tipoca, a co dopiero ich członków. Było mu wstyd, zupełnie jakby zdradził swoich braci. Vau skinął głową w jego stronę i wskazał swój notes, dając mu do zrozumienia, że przetransmituje dane, i kiedy Scorch odpiął własne urządzenie od pasa, na wyświetlaczu widniała już cała lista. Kompania, której członków imiona właśnie wymieniali, była podświetlona. Scorch posłusznie przyłączył się do czytania, a za nim Sev.

Klonów nazwanych tymi samymi imionami - od ich numerów - było wielu, więc raz po raz wyczytywali kolejnych Fi, Ninerów czy Forrów. Za każdym razem, kiedy wymieniali któregoś Seva, Scorch czuł w piersi dziwny chłód.

Z pewnością nie działało to dobrze i na morale samego Seva. Scorch zerknął na niego ukradkiem, ale klon wyglądał tak samo obojętnie jak zwykle. Skupiony na wyświetlaczu notesu, wyczytywał imię po imieniu:

- Baris, Red, Kef...

- ...Vin, Taler, Jay...

- ...Tam, Lio...

I tak dalej. Po kilku minutach złapali wspólny rytm i ich głosy brzmiały jak jeden. Powtarzanie imion przypominało jakiś dziwny rytuał, było niczym zaklęcie, które wprowadzało Scorch'a w coś na kształt transu. Wiedział, że był to po prostu skutek powtarzania raz po raz tych samych słów, ale nadal czuł się nieswojo. Rzadko bywał sentymentalny.

Za plecami słyszał ciche kroki, ale nie ośmielił się przerwać deklamacji i obejrzeć za siebie. Stopniowo przyłączali się do nich >nni komandosi. Zwykle w koszarach nie było wielu żołnierzy, ale teraz wydawało się, że wszyscy nagle zebrali się razem, by oddać hołd poległym. Tyle imion...

Czy w przyszłym roku moje również znajdzie się na tej liście? - przeszło mu przez myśl. Był na niej Fi, RC-8015, snajper Drużyny Omega. Skirata nawet nie mrugnął, kiedy wyczytywał Jego imię, tak samo jak Vau, chociaż od jakiegoś czasu krążyły Plotki, że Fi wcale nie zginął. Dziwna chwila na wypowiedzenie tego małego pyskatego di'kuta, jakby... odszedł od nich na zawsze. Scorch'a ogarnęło nagle poczucie winy. Czy to było

w porządku, że on przetrwał, podczas gdy tyłu jego braci odeszło? Kątem oka dostrzegł, że Sev powoli odwraca się w lewo, jakby kogoś zauważył. Scorch nie chciał się rozpraszać, więc nie sprawdził, co zwróciło uwagę towarzysza.

Przebrnięcie przez całą listę poległych zajęło im godzinę z kawałkiem. Kiedy przebrzmiało ostatnie imię, Skirata i Vau stali jeszcze przez chwilę w ciszy, z pochylonymi głowami. Scorch miał wrażenie, że nagle się obudził. Do jego uszu zaczęły nagle docierać różne odgłosy. Zmrużył oczy, chroniąc je przed promieniami ostrego słońca, jakby dopiero co wyszedł z ciemnego pomieszczenia. Podświadomie oczekiwał jakiegoś podniosłego zakończenia ceremonii, ale wszystko skończyło się w prosty, typowy dla Mandalorian sposób - bez ceregieli i zbędnej pompy. Wszystko, co powinno zostać powiedziane, zostało powiedziane.

Skirata uniósł głowę. Na placu zgromadziło się kilkuset komandosów. Niektórzy byli w hełmach, niektórzy bez - każdy w pomalowanej na inną modłę zbroi. Pstrokate ornamenty wydawały się dziwnie niestosowne przy takiej smutnej ceremonii, ale dla Mandalorian nie było w tym nic niezwykłego. Życie toczyło się dalej, trzeba było żyć pełną piersią i stale pamiętać, że utraceni przyjaciele i rodzina byli nierozdzielalną częścią codzienności. Aay'han - tak określano to uczucie w języku mandaloriańskim. Osobliwe połączenie radości i troski, poczucie bezpieczeństwa, jeżeli otaczali cię najbliżsi, a zarazem nieustanna świadomość braku tych, którzy odeszli. Zmarli byli wiecznie żywi w ich pamięci. Skirata miał statek klasy DeepWater, który nazwał „Aay'han”. To wiele o nim mówiło.

- Na co czekacie, ad'ike? - zapytał sierżant. Zawsze ich tak nazywał - „synkowie”. Scorch zastanawiał się czasem, czy sierżant oficjalnie adoptował wszystkie swoje drużyny. Taki właśnie był Skirata. - I niech żadnemu z was nie przejdzie nawet przez myśl dołączać do tej listy w przyszłym roku! - pogroził im żartobliwie.

- Myśli pan, że będzie jakiś przyszły rok, sierżancie? - Scorch nie znał gościa, który zadał pytanie, ale też żołnierze z Delti nie byli zbyt towarzyscy. Zbroję tamtego przyozdabiały granatowe

i złote szewrony. - Lubię mieć wszystko zaplanowane. Kto wie, co się wydarzy do tego czasu? Skirata wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Sami wiecie, jak mają się sprawy na froncie. Może wszyscy spotkamy się tu jeszcze za dziesięć lat?

- Twój wnuk będzie już wtedy nosił pełną zbroję!

Przez tłum przebiegła fala chichotów i Skirata uśmiechnął się smutno. Scorch spodziewał się, że na wzmiankę o chłopcu, który pojawił się niespodziewanie w życiu jednego z jego dzieci - biologicznych dzieci - sierżant zareaguje bardziej entuzjastycznie. Wszyscy wiedzieli, że stary świata poza nim nie widział. Ale wyglądało na to, że jest coś, co nie pozwala mu się w pełni cieszyć z wnuka.

- Z całego serca chciałbym, żebyście wszyscy mogli patrzeć, jak dorasta - powiedział w końcu.

No cóż, okazja raczej nie sprzyjała radosnemu świętowaniu. Dopiero co skończyli recytować na pustym placu imiona tysięcy poległych braci i Scorch czuł podświadomie, że to było odpowiednie podsumowanie. Nikt ostatnio jakoś nie głądził o darasuum kote - wiecznej chwale, chociaż Scorch uważał, że wers Vode An byłby akurat teraz bardzo na miejscu.

Tymczasem spontanicznie zwołane zgromadzenie rozstało się w milczeniu i Skirata odszedł, kuśtykając jak zwykle, a wraz z nim Vau. Scorch odprowadził obydwu sierżantów ciekawym wzrokiem aż do hangarów mieszczących się na odległym krańcu koszar.

- Chodź - przynaglił go Sev. - Nie mam zamiaru tkwić tu cały dzień. Mamy odprawę przed lunchem, a muszę jeszcze skalibrować mój HUD.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają?

- O starzeniu się - stwierdził Sev. No i planują, jak wydać fortunę Vaua.

- Nie... Jestem pewien, że mówią o czymś poważnym. Dam sobie rękę uciąć.

- O proszę! Nie wiedziałem, że umiesz czytać w myślach! -zakpił komandos.

Scorch nie rozumiał, czemu jego towarzysz nigdy nie dostrzega tego, co jemu wydawało się oczywiste. Dorastali pod okiem tych dwóch shabuire, a kiedy któryś z nich planował jakiś przekręt, miał ten specyficzny wyraz twarzy: niemal nieuchwytny, ale czytelny dla klonów, które siłą rzeczy musiały rozpoznawać takie niuanse, mając za braci żołnierzy będących praktycznie ich

lustrzanymi odbiciami. A na twarzy Skiraty gościł właśnie ten zagadkowy wyraz, bez dwóch zdań.

- Ani chybi wie coś, czego nie chce nam powiedzieć -mruknął.
- Cokolwiek by to było, nie da nam zrobić krzywdy.

Kiedy sierżanci zatrzymali się przy wejściu do zbrojowni, Scorch zobaczył coś, co potwierdziło jego przeczucia. W bocznym wejściu pojawiły się dwie znajome postacie w beskar'gamach, tradycyjnych mandaloriańskich zbrojach - ktoś, kogo nie widział ładnych kilka lat - a sierżanci przywitani się z nimi tym charakterystycznym uściskiem dłoni: ręka—łokieć. Uścisk pieczętowało zamknięcie dłoni na nadgarstku kompana. Vau powiedział im kiedyś, że takie przywitanie to znak, że mogą na siebie liczyć w każdej sytuacji.

Może tamci zjawili się, żeby świętować rocznicę? Wyglądało na to, że nie obchodzi ona nikogo spoza Wielkiej Armii.

- Co oni tu robią? - zdziwił się Sev. - Teraz?

Wad'e Tay'haai i Mij Gilamar była to dwójka Cuy'val Darów, instruktorów zwerbowanych do szkolenia klonów-komandosów na Kamino przez samego Jango Fetta. Większość Cuy'val Dar stanowili Mandalorianie, którzy zniknęli, gdy tylko ich kontrakty dobiegły końca, zgodnie z tytułem, który oznaczał „tych, którzy już nie istnieją”. Ostatnio jednak pojawiali się co i rusz - samotnie albo dwójkami. To tylko utwierdzało Scorcha w przekonaniu, że jego podejrzliwość jest uzasadniona.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Może Kal stwierdził, że potrzebuje towarzystwa intelektualistów? - Zamyślił się. Zauważył przewieszoną przez plecy Tay'haaia starożytną włócznię z brązem i flet z beskaru zaczepiony u jego pasa. Była to śmiertelnie niebezpieczna broń w rękach wprawnego wojownika. - Jak myślisz? Używa ich? - zapytał Seva.

- Pewnie, że tak. Podobno Zey umyślił sobie, że znowu zatrudni Cuy'val Darów do szkolenia zwykłych żołnierzy

- Tonący brzytwy się chwyta... - mruknął Scorch.

- Obawiam się, że już dawno straciliśmy grunt - skwitował Sev.

Czwórka Mandalorian zamieniła ze sobą kilka słów i zniknęła im z pola widzenia. Bez hełmu i jego systemów wzmacniania sygnału Scorch nie był w stanie dosłyszeć, o czym rozmawiali.

- Dlaczego w ogóle Fett zwerbował kadrę szkoleniową spoza Mandalorian?

Sev wzruszył ramionami.

- Mówił, że po to, żeby wzbogacić zakres umiejętności, ale podejrzewam, że po prostu nie mógł zebrać tylu Mando.

Scorch powlókł się za Sevem do budynków mieszczących kwatery mieszkalne. Często zastanawiał się, jak pośród braci wychowywanej w duchu mandaloriańskiej kultury czuli się komandosi szkoleni przez aruetiise - nie-Mandalorian. Tak naprawdę słowo to miało w mandaloriańskim bardzo szerokie znaczenie i mogło zostać użyte równie dobrze w stosunku do obcokrajowca, jak

i zdrajcy. Tak czy inaczej, takich żołnierzy nie zostało już zbyt wielu. Z mniej więcej dwóch i pół tysiąca, którzy ukończyli szkolenie pod okiem aruetiise, przetrwało mniej niż tysiąc. To mówiło samo za siebie.

- Moglibyśmy sami uczyć białasów - parsknął Scorch. -Mamy więcej doświadczenia, niż potrzeba.

Sev zdjął swój hełm ze stołu i odwrócił go, żeby dostroić układy.

- A więc masz już dosyć walki? Tęsknisz za ciepłą posadką w biurze, co?

- Nie, po prostu...

Scorch starał się nie myśleć za dużo. I tak w ich życiu pojawiało się zawsze zbyt wiele pytań, które miały pozostać bez odpowiedzi. Istniało całe mnóstwo spraw, które były zwyczajnie poza ich zasięgiem. Ale nieważne, jak bardzo się starał - wątpliwości dopadały go zawsze w chwilach, gdy najmniej się ich spodziewał: w kabinie odświeżacza, w kanonierce, po drodze do przydziału albo tuż przed snem. Skąd Wielka Armia miała wziąć więcej żołnierzy? Jeżeli zaczną szkolić na komandosów więcej konserw, kto wskoczy na ich miejsce? Z każdym dniem wszystko wyglądało coraz mniej ciekawie.

I gdzie się podziały te hordy szabla robotów, które ponoć były na usługach Separatystów? Owszem, było ich sporo, ale gdyby toieli ich taką liczbę, przy jakiej upierał się wywiad, pewnie siedzieliby sobie gdzieś daleko i mieli wszystko w nosie. Któryś z Zer zarzekał się, że wysyłali przeciwko nim tylko ułamek tego, co mieli.

A żołnierze ARC posiadali wiedzę, którą nie dzielili się z drużynami komandosów. Scorch zaś był zdania, że jeśli tamci czegoś nie wiedzieli, to był powód do zmartwień. Nie był dobry w liczeniu, ale z pewnością robotów było znacznie mniej niż głosiła oficjalna wersja.

- Może Palpatine zacznie werbować obywateli? - powiedział z nadzieją.

Sev parsknął śmiechem. Nie zdarzało mu się to za często.

- Wolałbym chyba odwalić papierkową robotę, niż służyć z mieszkańcami. Wystarczy, że robią bajzel w marynarce. Myślisz, że będą lepsi jako piechota?

- Przynajmniej wojna wcześniej by się skończyła. Wygralibyśmy albo przegrali z kretesem - mruknął Scorch.

- Gorzka prawda. Obawiam się, że niestety masz rację.

Ale co wtedy będzie z nami? - zastanowił się. Było to pytanie z rodzaju tych, które zadawały zwykle marudy z Omegi. Scorch nie mógł sobie pozwolić na tak dalekosiężne plany. Wiedział tylko, że jeśli straty utrzymają się na obecnym poziomie, za jakiś rok Wielkiej Armii zabraknie żołnierzy, a na horyzoncie nie było widać żadnego źródła, z którego mogłyby przybyć posiłki.

- Słyszałem, jak ktoś mówił, że Palpatine rozpoczął produkcję klonów na Coruscant, bo nie ufa Kaminoanom. Boi się, że separańcy znowu dobiorą im się do dupy - powiedział.

Sev prychnął i zajął się kalibrowaniem wyświetlacza.

- Ta-a, zupełnie jakbym słyszał plotki o tym nowym wypasionym dziale jonowym...

Miał rację. To była tylko kolejna wyssana z palca bajka jak setki innych, które słyszeli wcześniej. Gdyby Kanclerz zarządził produkcję nowych klonów, trąbiłby o tym na lewo i prawo, żeby podnieść morale żołnierzy i nastraszyć Separatystów. A gdyby naprawdę je miał, wcieliłby je do armii już dawno.

Scorch nie zauważył, żeby się na to zanosilo.

Gdyby jednak pogłoski okazałyby prawdziwe, to i tak minie sporo czasu, zanim żołnierze będą gotowi do walki. Klony z Kamino dojrzewały dziesięć standardowych lat.

Nie, to wszystko z pewnością tylko bujdy i domysły - może i doprawione szczyptą prawdy, którą znali tylko ci na najwyższych stanowiskach, ale nie można było w nie wierzyć. Nie zapowiadało się, żeby w najbliższym czasie wojsko dostało zastrzyk świeżej krwi.

Galactic City, Coruscant, 737 dni po Bitwie o Geonosis

Inwigilacja była sztuką, tak samo jak jej unikanie.

Agentka Skarbu Republiki, Besany Wennen, w ciągu ostatnich sześciu lat wyśledziła imponującą liczbę oszustów i malwersantów, ale sama nigdy dotąd nie podlegała śledztwu. Wychodziła właśnie z biura po długim dniu - pewne zlecenia wykonywało jej się najlepiej pod nieobecność kolegów, a szczególnie te, z powodu których mogła wylądować za kratkami. Odruchowo wsunęła rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma przy sobie dwie rzeczy. Pierwszą był blaster



Merr-Sonn, który dał jej Mereel, żołnierz Zero ARC N-7, drugą zaś notes elektroniczny pełny zaszyfrowanych danych, które nigdy nie powinny były opuścić systemu komputerowego Skarbu. Jestem szpiegiem, pomyślała. Działam na szkodę własnego rządu. Zawsze byłam grzeczną dziewczynką, prawda, tato? A teraz? Nie chciałbyś wiedzieć, kim się stałam.

Wiedziała jednak, że ojciec by ją zrozumiał. Była tego pewna. Nauczył ją walczyć o to, w co wierzyła. Nosila blaster na wszelki wypadek. Musiał to zrobić ktoś, kto miesza się w interesy Kanclerza. Wieczorami, nawet w jasno oświetlonych pomieszczeniach zatłoczonych istotami z najdalszych zakątków galaktyki, Besany czuła się bezgranicznie samotna i osaczona.

Każdego dnia - czasem rano, kiedy indziej po drodze do domu - była przekonana, że ktoś ją obserwuje, śledzi każdy jej krok. Kiedy się odwracała, nigdy nie było za nią nikogo poza współpasażerami zajętymi swoimi sprawami, ale niepokój stale jej towarzyszył. Bywało, że panika dopadała ją nawet w biurze. Zastanawiała się, czy nadal śledzą ją zmiennokształtni Gurlanie, ale do tej pory z pewnością opuścili już Coruscant. Poza tym gdyby tylko zechcieli, nawet Jedi nie byłby w stanie ich wyczuć.

Jednak tym razem uczucie, że ktoś ją obserwuje, nie było wytworem jej wyobraźni.

Gurlanin ostrzegł ją, że może być śledzona. Wyglądało na to, że miał rację. W pobliżu budynku Skarbu, na przystanku śmigaczy publicznego transportu spostrzegła mężczyznę, który wydał jej się podejrzany. Przyzwyczaiła się już do tego, że przyciągała ciekawskie spojrzenia - była szczupłą, wysoką blondynką - ale zainteresowanie nieznajomego nie miało nic wspólnego z pociąganiem

fizycznym. Facet przyglądał się Besany uważnie i wyraźnie starał się nie stracić jej z oczu, a jednocześnie próbował sprawiać wrażenie, że wcale go nie interesuje. Ktoś mógłby uznać, że Besany jest po prostu przewrażliwiona, ale instynkt śledczego podpowiadał jej, że tym razem to co innego. Przeczucie rzadko kiedy ją zawodziło.

Mężczyzna był w średnim wieku, szpakowaty, dobrze zbudowany. Nie wyróżniał się niczym szczególnym i był ubrany w dobrze skrojoną marynarkę z wysoką stójką. Udawał, że nagle zmienił zdanie i zrezygnował z oczekiwania na transport do uniwersytetu; szedł teraz jakieś dziesięć metrów za Besany.

Widziała jego odbicie w transpastałowych ścianach centrum handlowego Galos Mail. Śledził ją to pewne.

Skoro do tej pory mnie nie aresztowałeś, to znaczy, że albo nie możesz, albo nie wiesz, na co mnie stać, przemknęło jej przez myśl.

Trudno było wyobrazić sobie, co mogło oznaczać „nie móc” dla rządu, który wydawał się z taką bez troską i łatwością radzić sobie w sytuacjach krytycznych. Besany podświadomie i z trwogą oczekiwała łomotania do drzwi w środku nocy. Działo się tak, od kiedy zaczęła łamać zasady i zmieniać je według własnego uznania z powodu sierżanta Kala Skiraty - Kal'baira, Papy Kala. To jego niezwykły ojcowski autorytet sprawił, że bez zastanowienia podejmowała się najbardziej niebezpiecznych wyzwań.

Wiedziała, że robi to z pobudek moralnych. Nigdy się nie wahała, ani przez chwilę. Ale i tak bała się, że zostanie przyłapana na gorącym uczynku.

Ponownie zerknęła na odbicie swojego anioła stróża w transpastałowej sklepowej wystawie i z trudem przełknęła ślinę.

Im głębiej kopała w dokumentach transakcji Wielkiej Armii, tym więcej przekrętów napotykała - nieistniejące spółki, kredyty przelewane na rzecz ośrodków klonujących poza Kamino, nie mówiąc już o tym, że nigdzie nie było śladu przydziału dodatkowych żołnierzy, którzy mieliby uzupełnić topniejące szeregi Wielkiej Armii, teraz niebezpiecznie rozproszone po całej galaktyce.

Liczby były całym jej życiem, ale liczby w budżecie Kanclerza Palpatine'a przeznaczonym na obronę po prostu nie trzymały się kupy.

Tworzysz kolejną tajną armię, prawda, Kanclerzu? - zapytała w myślach. To dlatego Kaminoanie się martwią. Wiedzą że coś jest na rzeczy.

Nie zwolniła kroku. Szła po prostu przed siebie, wciąż stosunkowo bezpieczna w tłumie. Zastanawiała się, czy powinna pójść na postój dla taksówek powietrznych, złapać transport i zwać domniemanemu ogonowi, czy też zignorować nieznanego i skręcić w najbliższe przejście.

Ale co potem? Uciec? Zastrzelić go?

Weszła na ruchomy chodnik łączący najniższy poziom Galos Mail z poziomami, na których znajdowały się sklepy z ubraniami, ale obcy facet nie dał za wygraną. Besany oparła się o poręcz chodnika i wychyliła się lekko, próbując mu się ostrożnie przyjrzeć. Na wysokości segmentu z gotową odzieżą w ostatniej chwili zeszła z chodnika. Przez moment wydawało się, że go zgubiła, ale chwilę później zauważyła mężczyznę znowu. Przeglądał jakieś falbaniaste fatalaszki na wieszakach, jakby szukał czegoś dla żony. Sprawiał wrażenie tak zakłopotanego, że był prawie przekonujący.

Może naprawdę niepotrzebnie panikuję? - przemknęło jej przez myśl.

Odwróciła się na pięcie i wróciła na ruchomy chodnik. Postanowiła, że jeżeli nie pozbędzie się ogona, weźmie taksówkę powietrzną. A może powinna zaryzykować konfrontację? Tak, to chyba było najlepsze wyjście - podejdzie do niego, spojrzy mu w oczy z uroczym uśmiechem i zapyta, czy się znają.

Chcesz się go pozbyć, czy po prostu dowiedzieć się, kim jest? - zadała sobie pytanie.

Jeżeli agenci Palpatine'a chcieli ją zabić, mieli ku temu mnóstwo sposobności. Ten człowiek pewnie chciał się po prostu dowiedzieć, kim była i gdzie się wybierała... Ruchomy chodnik schodził łagodnie ku pasażowi. Besany zeszła z niego i udała się prosto na postój powietrznych taksówek. Jeżeli obcy faktycznie ją śledził, nie miał innego wyjścia, jak lecieć za nią aż do jej domu. A wtedy da jej powód, żeby go zastrzeliła.

Ale nawet jeśli to zrobi... z pewnością wyślą na jego miejsce kogoś innego.

Ile o niej wiedzieli? System bezpieczeństwa Skarbu nie miał dla niej tajemnic. Nie sądziła, żeby ktokolwiek podejrzewał, że Wykrada dane finansowe.

Stała teraz naprzeciwko wieżowca z czarnej transpastali. Piętra molocha zajmowały rozliczne restauracje i bary.

Obserwowała klientów. Tu i ówdzie co jakiś czas strzelały płomienie, kiedy któryś z szefów kuchni serwował klientom skrzydełka cojayava, a w lustrzanych taflach wciąż widziała odbicie przemykającego w tłumie mężczyzny w garniturze. Byli teraz w centrum części rozrywkowej kompleksu. Pasaże były zatłoczone mieszkańcami miasta z wypchanymi portfelami i turystami pragnącymi spróbować przysmaków, z których słynęły restauracje w stolicy galaktyki. Tłum zapewniał bezpieczną anonimowość, ale w tłoku łatwo było również o nieszczęśliwy wypadek. Besany przełożyła swój elektroniczny notes do wewnętrznej kieszeni, udając, że szuka czipa identyfikacyjnego, i zacisnęła dłoń na rękojeści blastera, żeby poczuć się pewniej. Wiedziała, że nie może posłużyć się bronią w miejscu publicznym. Gdyby otworzyła ogień, jej nowi przyjaciele z Sił Bezpieczeństwa Coruscant mogliby oczywiście zatuszować całą sprawę, ale nie byłiby w stanie zamknąć ust tysiącom otaczających ją istot. A ostatnią rzeczą której teraz potrzebowała, było zwracanie na siebie uwagi.

W miarę jak zbliżała się do postoju taksówek, tłum gęstniał z każdą sekundą. W pobliżu widać było kolejkę klientów oczekujących na wolne stoliki w smażalni Vesari; tamowali ruch pieszych do tego stopnia, że powstawały korki. Besany straciła z oczu faceta w garniturze. Kiedy zobaczyła,

jak ustępuje z drogi kolejce klientów restauracji, czmychnęła w stronę straganów z kafem, żeby zejść z drogi gawiedzi.

Próbowała utrzymać go w zasięgu wzroku. Nie chciała zrobić w miejscu publicznym niczego głupiego, co miałyby nieodwracalne konsekwencje. Pasaż, w którym się znalazła, prowadził na parking prywatnych śmigaczy. Jeżeli zdoła tamtędy zejść, dotrze do głównego przejścia przy platformie postoju taksówek... Za późno zdała sobie sprawę, że parking był wyludnionym labiryntem, zastawionym pojazdami i pełnym ciemnych zakamarków. Wkroczenie na taki teren było karygodnym błędem. Powinna była zostać na zewnątrz, bezpieczna w tłumie istot zajętych swoimi sprawami.

Odwróciła się powoli, z dłonią zaciśniętą na rękojeści blastera. Ucieczka nie miała sensu. Od prześladowcy dzieliło ją teraz zaledwie kilka kroków. Spoglądała mu prosto w oczy.

Kiedy wyciągnęła z kieszeni blaster, wydawał się zaskoczony, jednak jego okrągłe ze zdumienia oczy nie patrzyły na nią. Uciekły w bok, bo jego szyja znalazła się właśnie w stalowym uścisku czyjegós ramienia. Besany słyszała, jak facet próbuje złapać oddech. Jego prawą nogą wstrząsnął spazmatyczny dreszcz, a po chwili nieznajomy znieruchomiał.

- Sam fakt, że kogoś śledzisz, nie oznacza, że sam nie jesteś śledzony - odezwał się cichy głos. Znajomy głos. Głos, którego Besany tak bardzo brakowało. W ciszy parkingu rozległ się szelest ubrania. - Sprawdźmy, co tam masz, kolego... O proszę! DH-17! To chyba nie bardzo w twoim guście, co?

Niespodziewanie zza rogu wychynął poobijany, szary śmigacz transportowy. Zanim Besany zdążyła się obejrzeć, z otwartego włazu wysunęło się włochate ramię Wookiego i wciągnęło mężczyznę do środka. Kapitan Ordo, żołnierz Zero ARC-11 - jej ukochany - wsunął stożkowato zakończony blaster DH-17 za pazuchę i skinął na nią niecierpliwie. Powinien być teraz na misji, lata świetlne stąd, wcale nie tutaj! Nawet nie zauważyła, że ich śledził.

Wyglądało na to, że mężczyzna w garniturze również tego nie zauważył.

- Ordo! Miałeś lecieć na Zewnętrzne Rubieże! - wyszeptała spłoszona, rozglądając się w poszukiwaniu potencjalnych świadków. Serce waliło jej jak młotem. - Od kiedy mnie śledzisz? Śmigacz zwolnił i Ordo postawił stopę na schodku włazu. Trudno było go poznać bez nieskazitelnej, białej zbroi żołnierza ARC: był ubrany w zwykłe ciemne szaty. Mógł być kimkolwiek - od ochroniarza po członka któregoś z lokalnych gangów polujących na nierozważnych turystów.

- Lubię cię mieć na oku - mruknął. - Wskakuj.

- Co zamierzasz z nim zrobić? Jeżeli jego przełożeni wiedzą że mnie śledził, wiedzą również, w co jestem zamieszana...

Ordo był denerwująco spokojny. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że porywanie ludzi było czymś... niewłaściwym. Cóż, oddziały do zadań specjalnych pod dowództwem Skiraty porywały, unicestwiały i szpiegowały dla Republiki. Było w tym coś naturalnego: jeżeli wyszkoliło się supersprytnego, niezłomnego i twardego agenta, ten prędzej czy później zdawał sobie sprawę ze swojej przewagi i wykorzystywał ją dla własnych celów, nawet jeśli te kłóciły się z interesami Republiki.

- Utniemy sobie pogawędkę później - mruknął Ordo. - Wskakuj, cyar'ika.

Ordo zawsze zdawał się promieniować niezłomną pewnością siebie, nawet w sytuacjach kryzysowych. Besany wiedziała teraz, czemu żołnierze byli gotowi skoczyć za niektórymi oficerami w ogień. Zanim się obejrzała, już gramoliła się do śmigacza bez cienia protestu. Jej nozdrza wypełnił natychmiast stęchły odór oleju i wypieków - pewnie poprzedniego ładunku przewożonego śmigaczem. W przytłumionym świetle widziała sylwetkę Wookiego wciśniętego w dopasowany do ludzkich gabarytów fotel; Wookie trzymał mocno za kołnierz mężczyznę w

garniturze. Rozpoznała Enaccę, która była jednym z pomocników Skiraty. Jego współpracownicy stanowili imponującą mieszankę ras i profesji - od przedstawicieli arystokracji po najgorsze szumowiny. Skirata był mistrzem w nakłanianiu różnych istot do współpracy ku obopólnej korzyści. Besany pomyślała, że minął się z powołaniem. Politycy potrzebowali takich jak on. Enacca zawarzała cicho, ale Ordo wzruszył tylko ramionami.

- Nie, nie mam pojęcia, kim jest ten chakaar — burknął. — Podnieś ten złom do góry. Zaraz się dowiemy.

- Czego chcesz? - zapytał mężczyzna. - Pieniędzy? Śmigacza?

Wyraźnie próbował zachowywać się normalnie, ale zupełnie mu to nie wychodziło. Nie bał się wystarczająco - nie był nawet średnio wystraszony - jak na kogoś zgarniętego przypadkowo z ulicy. Każda normalna istota na jego miejscu trzęsłaby portkami, gdyby została porwana przez Wookiego i człowieka o aparycji Orda.

Komandos wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń, a drugą ręką sięgnął po verpiński miotacz o krótkiej lufie.

- Nie żebym sądził, że masz przy sobie prawdziwe dokumenty, ale przyjrzyjmy się. Besany skuliła się na swoim siedzeniu i przysunęła do ściany. Była teraz absolutnie bezpieczna, ale nawet w towarzystwie Wookiego i troszczącego się o nią żołnierza Zero ARC czuła się nieswojo w obecności człowieka, który ją śledził. Adrenalina zaczynała opadać. Nie tak wyobrażała sobie koniec swojej kariery w służbie Republiki. Jakiś rok temu Ordo dosłownie przewrócił jej życie do góry nogami i cała galaktyka zmieniła się wtedy nie do poznania. Dzisiejszy dzień nie był niczym nowym.

Enacca uniosła śmigacz i już za chwilę parking znikł im z oczu w labiryncie sztucznych szczytów i kanionów Coruscant. Przez mały iluminator na rufie Besany podziwiała nocną panoramę miasta. Zastanawiała się, dokąd lecą. Wiedziała, że Enacca jest specjalistką w załatwianiu pojazdów, a także bezpiecznego zakwaterowania dla klonów i osób współpracujących ze Skiratą. Tak czy inaczej, gdziekolwiek by lecieli, ten facet z pewnością nie będzie tam bezpieczny, uznała.

- Nazywam się Chadus - powiedział ich współpasażer, nie spuszczać oczu z Orda, przeszukującego zawartość jego portfela. - Pracuję na drugą zmianę w firmie transportowej.

- Osik prawda - warknął Ordo. - Dlaczego śledziłeś tę kobietę?

- Nie śledziłem!

- Chcesz mi wmówić, że prostu lubisz podglądać laski w sklepie z bielizną? Wiesz, jak się mówi na takich jak ty?

- Nie śledziłem jej! Szukałem po prostu czegoś dla mojej żony...

- Jestem z tych zazdrosnych - wszedł mu w słowo Ordo. - Nie lubię, kiedy jakiś zbok podgląda moją kobietę.

- Już ci mówiłem, że...

- To może wyjaśnisz mi łaskawie, po co ci ten DH-17?

- Na wypadek, gdybyś nie zauważył, na Coruscant bywa czasem naprawdę gorąco.

- Fakt, nie ma to jak poręczny blasterek. Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi - mruknął Ordo. Nie spuszczać z Chadusa lufy verpina, sięgnął do kieszeni swojej marynarki i wyciągnął zarekwirowany nieznanemu pistolet blasterowy DH-17. Przyglądał mu się przez chwilę, potem odbezpieczył go i podał Besany. Zawahała się, ale wzięła broń. - Ten sprzęt to broń zabójcy - westchnął Ordo. - Któż inny potrzebowałby tłumika płomieni i systemu wzmacniania oświetlenia?

- Dostałem go od kumpla!

- Widać twój znajomek robi w jakiejś brudnej branży - zadrwił komandos. - Słuchaj, moglibyśmy się w nieskończoność bawić w tę twoją gierkę, ale nie jadłem dziś obiadu, a to zawsze psuje mi humor.

- Jesteś jednym z tych cholernych klonów, prawda?

- A ty republikańskim szpiclem.

- Jestem zwykłym urzędasem! - parsknął Chadus.

- Niech ci będzie. - Ordo wyjął kieszonkowy skaner. - Besany, jeśli choćby się ruszy, odstrzel mu gett'se. A teraz zobaczmy, kim naprawdę jesteś, chłoptasiu.

Agentka nie miała pojęcia, w jaki sposób zdoła wycelować w cokolwiek innego niż pierś mężczyzny, ale próbowała sprawiać

wrażenie, że jest zdolna do wszystkiego. Na wysokości tysiąca metrów nad miastem Chadus nie miał zbyt wielkiego wyboru; mógł tylko poddać się skanowaniu. Ordo przesunął urządzeniem przed oczami mężczyzny, żeby sprawdzić wzór siatkówki, a potem przycisnął jego palce do czytnika.

- Po co to robisz? - zapytał nerwowo Chadus. Wyraźnie zaczynał tracić pewność siebie. - Nie byłem notowany.

- Założę się, że nie - mruknął Ordo i przyjrzał się ze zmarszczonym czołem danym na wyświetlaczu. - Cóż, agencie Lemmelocie Arbianie J., muszę przyznać, że masz imponujące kompetencje jak na urzędasę. Jeszcze dwa szczebelki w górę i donosiłbyś bezpośrednio samemu Kanclerzowi.

- Stang, Jak u diabła zdołałeś się tego dowiedzieć?!

- Ponieważ jestem o wiele cwańszy od ciebie, mieszańcu - warknął komandos.

Besany nigdy wcześniej nie zauważyła, żeby Ordo wstydził się swojego pochodzenia. Wręcz przeciwnie: szczycił się tym, że jego genom został wybrany i podrasowany dla stworzenia materiału na żołnierza doskonałego. Nieważne, jak mocno kaminoañscy kloneryzypieraliby się przy wersji, że prototypy Zero były nieudanym eksperymentem: intensywne szkolenie od małego kształtowało supersprawnych, niezwykle inteligentnych, ale i nieobliczalnych komandosów do tajnych operacji. Ordo był z nich najlepszy -i doskonale o tym wiedział. Taki bękart jak Chadus nie dorastał mu nawet do pięt. Co zresztą było widać gołym okiem.

A teraz klon miał również dane biometryczne agenta, dające mu dostęp do najściślej chronionych informacji Republiki. Mógł się włamać do dowolnych akt, musiał się jednak spieszyć. Wywiad z pewnością wkrótce się zorientuje, że Chadus, czy jak mu tam było, zniknął. Zera to specjaliści w wyciąganiu danych. Besany wiedziała, że są w tym o niebo lepsi od niej. Krótko mówiąc: lepiej było z nimi nie zadzierać.

Chadus-Lemmeloth doszedł widocznie do tego samego wniosku.

- Jak tylko zalogujesz się na mnie, natychmiast cię namierzą - uprzedził, śledząc każdy ruch Orda. W jego głosie słychać było napięcie, ale wydawał się raczej zaskoczony niż przerażony. -A tak w ogóle, to co ty wyprawiasz? Przecież zaprogramowano was do wykonywania rozkazów... Ordo zacmokał z dezaprobatą.

- Ktoś tu chyba nie uważał na lekcjach genetyki - mruknął. - Geny tylko predysponują. Liczy się środowisko, a programowanie... cóż, to się nie sprawdza u ludzi. Można ich szkolić. Nie programować.

- Jesteś żołnierzem Republiki! - wrzasnął agent. - Rozkazuję ci sprowadzić ten statek na ziemię i mnie uwolnić!

Ordo parsknął lekceważąco.

- Możesz mnie pocałować w shebs. Wciąż nie wyjaśniłeś mi, dlaczego śledziłeś agentkę Wennen.

- Dla kogo pracujesz, klonie?
  - Lubię sam sobie szefować - wypalił Ordo. - Lepsze godziny pracy. A teraz grzecznie proszę: odpowiedz na moje pytanie, zanim się naprawdę wkurzę.
- Besany w całej swojej karierze przesłuchiwała wielu podejrzanych, ale niezgadujące się salda i nieautoryzowane transakcje zwykle nie wymagały od niej porywania ludzi i grożenia im bronią. Lemmeloth ostrożnie odwrócił głowę, żeby na nią zerknąć, jakby miał nadzieję, że zdoła przemówić jej do rozsądku.
- Jeszcze nie jest za późno, agentko Wennen - powiedział. - Wiemy, co się stało. Ten podżegacz senator Skeenah nakładł pani do głowy jakichś wyssanych z palca bzdur na temat wojny...
  - Nonsens - ucięła Besany, mając nadzieję, że brzmi przekonująco. Jeżeli Chadus zaczynał od czegoś takiego, pewnie nikt nie wiedział, że miała na sumieniu gorsze rzeczy, jak na przykład wyciąganie danych na temat programu produkcji klonów i przekazywanie ich Skiracie. - Jestem zwykłym inspektorem finansowym. Tabele. Zestawienia bilansowe. Zarządzanie finansami.
  - Chciałbyś dodać coś jeszcze, Lemmeloth? - spytał cicho Ordo. - Masz ostatnią szansę. Chociaż Besany była bystra, niektóre rzeczy docierały do niej bardzo powoli. Dla Lemmelotha cała przygoda mogła się skończyć tylko w jeden sposób. Ordo nie mógł zwyczajnie zafundować mu kopniaka, pogrozić palcem i powiedzieć: „Żeby mi to było ostatni raz”. Złapali szpiega - a szpieg cierpieli na tę niemłą przypadłość, że nie zapominali. Nawet gdyby był z nimi Jusik, nie dałby rady wyczyścić pamięci Lemmelotha tak dokładnie, żeby w jego głowie nie pozostało żadne wspomnienie o przygodzie.
  - Jeżeli nie złożę meldunku, przyjdą prosto do ciebie - ostrzegł mężczyzna. - Jesteś ostatnią osobą, którą obserwowałem. Nie licz na to, że ci się upiecze.
  - Nawzajem - powiedział Ordo, nie podnosząc głowy znad swojego notesu elektronicznego. Zawzięcie klepał w klawisze urządzenia. - Jestem w systemie zabezpieczeń twojego komunikatora - oznajmił. - Właśnie wysłałeś wiadomość, że agentka Wennen wróciła prosto do domu, z nikim się nie kontaktowała i że odezwiesz się później.
  - A więc pracujecie dla Separatystów! - wykrzyknął Lemmeloth. - Oto, co dostajemy w zamian za to, że pozwalamy szkolić naszych żołnierzy tej mandaloriańskiej hołocie! - powiedział gorzko.
- Ordo spojrział na niego obojętnie i wyciągnął dłoń w rękawicy do Besany po DH-17.
- W tym momencie słyszę zwykle błaganie o litość - powiedział spokojnie i Lemmeloth wyraźnie zbladł. Zaczął strzelać oczami na boki, jakby rozważał szanse przeżycia skoku z wysokości siedmiu kilometrów.
  - To się nie uda, prawda?
  - Nie.
- Kiedy Ordo przestawił kontrolkę mocy blastera, Besany zaschło w ustach.
- Nie jestem jakimś dzikusiem - powiedział cicho klon. - Wybacz, to tylko interesy.
- Bez zbędnych ceregieli uniósł blaster, przystawił lufę do skroni agenta i nacisnął spust. W ciasnej przestrzeni śmigacza rozległo się głuche echo wystrzału i ciało szpiega osunęło się na podłogę. Wszystko odbyło się szybko i dziwnie beznamietnie. Zapach stęchłego jedzenia w kabinie śmigacza zastąpił momentalnie metaliczny odór wyładowania z blastera i przypalonej skóry. Besany nie potrafiłaby teraz wykrztusić słowa. Była jak sparaliżowana. Enacca obejrzała się przez ramię i zaryczała żałośnie.
- Wcale nie oczekuję, że odwalisz za mnie całą brudną robotę odparł Ordo, nadal denerwująco spokojny. - Sam się go pozbędę, i Wookie warknęła.

- W porządku, możesz zatrzymać blaster, ale pod warunkiem, że wyrzucisz ciało na którymś z niższych poziomów opuszczonej strefy. Borszczury szybko się nim zajmą. - Ordo opróżniał kieszenie trupa ze wszystkiego, co mogło w jakiś sposób naprowadzić kogoś na ich ślad albo się przydać. Robił to z taką wprawą jakby zdarzało mu się to już nieraz i Besany uprzytomniła sobie, że najprawdopodobniej właśnie tak było. - Są bardzo dokładne. A recykling to nasz obywatelski obowiązek - rzucił beztrąsko.

Podniósł wzrok na Besany, jakby dopiero teraz zauważył, że kobieta wpatruje się w niego z niemym przerażeniem. Pomimo wszystkich strasznych zadań, jakie mu powierzano, wciąż była w nim jakaś rozbrajająca niewinność. Dziwił się jak dziecko za każdym razem, kiedy docierało do niego, że swoim zachowaniem mógł kogoś urazić. Wennen nigdy wcześniej nie była świadkiem egzekucji, a co dopiero śmierci zadanej na jej oczach przez jej własnego chłopaka. Wiedziała doskonale, że praca komandosa jest ciężka i niewdzięczna, ale czym innym była świadomość, a czym innym zobaczenie takiej sceny na własne oczy.

- Wybacz - bąknął w końcu jak mały chłopiec przyłapano na gorącym uczynku. - Powinienem być cię uprzedzić, żebyś odwróciła głowę...

- Nie... nic się nie stało. - W głębi duszy Besany nie mogła się jednak z tym pogodzić. Miała wrażenie, że coś w niej pękło. Jej piersi przygniatał ogromny ciężar. - Wiem, że nie mogłeś... puścić go wolno.

Po kilku bezskutecznych próbach Ordo zdołał zdjąć mężczyźnie pasek z bancier skóry - wystrzelił ze szlufek niczym bicz.

- Myślisz, że jak on by się zachował na moim miejscu? Co by ze mną zrobił? Albo z tobą? Załatwiłby nas bez mrugnięcia. Ja... przecież go nie torturowałem ani nic takiego... - tłumaczył się. - Miał dobrą śmierć. Każdy z nas chciałby tak umrzeć.

Szczerze powiedziawszy, Besany miała akurat nadzieję umrzeć ze starości we śnie.

Podejrzała, że nie jest w tym osamotniona.

- Czy on wie... czy on wiedział o tym, co robiłam?

- Przejrzałem twoje akta w systemie wywiadu. - Ordo pokręcił głową. - Wygląda na to, że zaniepokoiło ich po prostu twoje spotkanie z senatorem. Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to powiedzieć swojemu szefowi, że śledził cię jakiś psychopata i że się boisz. Wtedy nikt nie będzie się dziwił, że jesteś roztrzęsiona ani

nosisz ze sobą broń. Wszystko będzie wyglądało naturalnie. . Jest komandosem, został wyszkolony na maszynę do zabijania. Nie miał szansy wyboru innej kariery, powtarzała sobie Besany, kiedy Enacca wysadziła ich pod jej apartamentem i zniknęła w mroku. Ledwie przekroczył próg mieszkania, Ordo zmienił się z zimnokrwistego zabójcy w przeciętnego, zadowolonego z życia obywatela. Pomaszzerował grzecznie do kuchni i zajął się zaparzaniem kawy. Besany stała w miejscu i obserwowała go, niezdolna się ruszyć. Wciąż jeszcze trzęsła się jak w febrze. Nie żeby było jej przykro z powodu Lemmelotha, ale właśnie dotarło do niej, że jeszcze kilka godzin temu tamten człowiek nie miał pojęcia, że umrze. Nie wiedziała, co bardziej wyprowadziło ją z równowagi: sama egzekucja czy świadomość, jak kruche jest życie podczas wojny i zrozumienie, że ludzie, których kochała i na których jej zależało, w każdej chwili mogli zginąć.

Na zewnątrz życie toczyło się jakby nigdy nic: Coruscianie robili zakupy, chodzili do restauracji i oglądali holofilmy. Wojna była dla nich czystą teorią.

- Zjadłbym banthę z kopytami - oznajmił Ordo, trzaskając drzwiczkami kolejnych szafek. Klony były wiecznie głodne. Wyglądało na to, że zabijanie nie pozbawiało ich apetytu.

- Zrobić kolację? Nauczyłem się ostatnio przyrządzać pikantną potrawkę z siewoziaren. Wiem, że ją lubisz...

- Poproszę filiżankę kawy. - Besany robiło się niedobrze na samą myśl o jedzeniu.

Otworzyła konserwator i wskazała równe rzędy pojemników z gotowymi daniami na dwa najbliższe tygodnie. Wszystkie opakowania były dokładnie opisane i opatrzone datami przydatności do spożycia. Besany lubiła porządek. - Częstuj się.

Ordo nakrył stół dla dwojga. We wszystkim, co robił, był zawsze bardzo dokładny, niemal pedantyczny, jakby zawsze postępował zgodnie z regulaminem. Besany wiedziała, że gdyby zmierzyła odległości między sztućcami, zgadzałyby się co do milimetra. Odsunął krzesło i zaprosił ją do stołu.

- Taka już moja praca - powiedział cicho. Widać ją przejrza) i wiedział, czym się martwi. Może nagła zmiana nastroju była jego lekarstwem, sposobem na odreagowanie? - Nie zabijam dla przyjemności.

- Wiem o tym.

- Najwyższy czas, żebyś opuściła Coruscant, Bes'ika. Na Mandalorze będziesz bezpieczna. Nie możesz tak dłużej żyć.

- Potrzebujecie wtyczki w departamencie...

- Teraz sam mogę się włamać do systemu. Mereel też. Wszyscy możemy, odkąd dałaś nam kody.

Tak, dokładnie tak było, pamiętała wszystko jak dziś. Na dzień dobry została wtedy postrzelona przez Jedi i uprowadzona przez kłona. A mimo to... ufała im. Byli jej tak bliscy jak rodzina.

- Tak będzie lepiej, zaufaj mi.

Ordo ostrożnie postawił przed nią filiżankę kawy, jakby odprawiał jakiś skomplikowany rytuał.

- Wiesz, kiedy jedyny raz pokłóciłem się z Kal'buiem? Kiedy próbowałem go przekonać, że nie powinniśmy narażać cię na takie ryzyko dla naszych celów.

- Od samego początku znałam cenę, Ordo - zaprotestowała.

- Ale nawet teraz jesteś przekonana, że powinnaś sama stawić czoło całemu światu, żeby móc mi spojrzeć w twarz.

Znał ją lepiej, niż przypuszczała.

- Nie zamierzam siedzieć na shebs w Kyrimorut, podczas gdy wy będziecie walczyć na froncie - burknęła. - Znam swoje możliwości.

Stang\ Na śmierć zapomniała o swoim komputerowym notesie.

- Proszę. - Wyciągnęła urządzenie z kieszeni i podała komandosowi. - Odkryłam kolejne niezgodności w budżecie zaopatrzeniowym. Nowe zamówienia dla zakładów Rothana Heavy Engineering.

Ordo wziął od niej notatnik i przyjrzał się danym ze zmarszczonym czołem. Jego wargi poruszały się przy tym, jakby coś liczył.

- Wychodzi mi jakieś pięćset lartów...

- Dokładnie - potwierdziła.

Kanonierki LAAT/i stanowiły główny środek transportu Wielkiej Armii i zawsze było na nie zapotrzebowanie. Wyprodukowanie pięciuset statków było dla RHE pestką - stocznie Rothany wypływały je taśmowo jak najtańszy model śmigaczy.

- Spójrz tylko na termin realizacji zamówienia - dodała.

Ordo uniósł brwi w niemym zdumieniu.

- Prawie rok temu! Składają je ręcznie, czy jak?!

- Czekać, mam coś lepszego - powiedziała. - Powiązałam autoryzację tego zamówienia z terminem realizacji i przeznaczonym na nie szacunkowym budżetem na przyszły rok. Wyobraź sobie, nie dość, że nic z tego się nie zgadza, to jeszcze wydatek zarejestrowano jako podlegający wydziałowi bezpieczeństwa Wewnętrznego! Na początku myślałam, że po prostu pomylili się



z przecinkiem, ale nie... wygląda to na opuszczenie jednej cyfry, sam zobacz! Za taką sumkę mogą kupić ładnych kilka tysięcy acclamatorów! - Zawiesiła głos w oczekiwaniu na jego reakcję. Ryzykowała życie, żeby dostarczyć mu cenne wiadomości, i uświadomiła sobie, że czeka na pochwałę.

- Albo Palpatine zamówił serię pozłaczanych lartów, żeby pokazać naszym chłopcom, jak bardzo o nas dba, albo gromadzi nową potężną flotę. - Ordo potarł w zamyśleniu policzki. - Całe mnóstwo wielkich statków. Shab, muszę się ogolić.

- Pewnie potrzebuje czegoś, na co mógłby zapakować swoją nową armię klonów - zauważyła Besany.

- Ale KDY i Rothana są w stanie narzucić tempo i dostarczyć statki w ciągu pięciu miesięcy! A w przypadku priorytetowego zamówienia poradzą sobie z palcem w nosie z setkami albo nawet tysiącami jednostek! Gdzie więc te wszystkie łajby, które niby budują?

- Nie mam pojęcia, dlaczego mieliby tak poganiać z budową nowych statków, poza bieżącymi uzupełnieniami.

- A więc Palpatine chomikuje klony i statki, ale w najbliższym czasie nie zamierza ich rzucić do walki. Dlaczego właśnie taki termin? O co tu chodzi?

Besany miała dostęp do faktów, które rzadko kiedy oglądały światło dzienne. Wiedziała wystarczająco dużo na temat sytuacji na froncie, żeby zdawać sobie sprawę, że każdego dnia w jakimś miejscu Wielka Armia dostawała tęgiego łupnia. Ostatniego łupnia. Ale rzucenie do walki dodatkowych sił mogło oznaczać koniec wojny.

- Myślisz, że wkrótce się to wszystko skończy?

- Dopiero co się zaczęło - westchnął Ordo. - Może w końcu wzięli na serio nasze sprzeczne doniesienia, że separańcy dysponują mniejszą liczbą robotów bojowych, niż twierdzą. Wciąż jednak nie rozumiem, skąd to opóźnienie. Tak czy owak, te informacje z pewnością się nam przydadzą.

Ordo przesłał dane Skiracie. To wszystko wyglądało na jakiś grubymi nićmi szyty spisek, a dla Zer liczby liczyły się w tej wojnie ponad wszystko. Szczególnie dla Skiraty. Wciąż natrafiali na dowody świadczące o tym, że armia robotów Separatystów nie była tak liczna, jak utrzymywali, a mimo to nikt nie kwapił się do zmiany taktyki narzuconej przez Palpatine'a. Ale, nawet jeśli zdobyte informacje dawały im nieznaczną przewagę nad wrogiem

wciąż dysponował on siłami znacznie przewyższającymi wydolność małej armii klonów. To wszystko wyjaśniałoby jednak, czemu Separatyści nie zaatakowali jeszcze Coruscant.

Besany wolała traktować to jako początek końca. Była osobą trzeźwo myślącą i twardo stającą po ziemi. Jej świat opierał się na sprawdzalnych dowodach i pewnych liczbach, ale zawsze starała się wykrzesać z siebie nieco optymizmu. Chciała myśleć o komandosach jako o ofiarach reżimu, który narzucał im pewne zachowania - nie jak o bezdusznym mordercach. Patrzyła, jak Ordo buszuje w konserwatorze, a potem siada do stołu nad talerzem zimnej pieczeni z roby i pogryza beztrudnie kromki chleba. Zastanawiała się, jakim cudem był w stanie zachowywać się po tym wszystkim tak... normalnie. Nie miał prawdziwego dzieciństwa i nawet troskliwa opieka Skiraty nie mogła zmienić faktu, że zarówno Ordo, jak i jego bracia byli istotami o zmodyfikowanym genomie, poddanymi intensywnemu szkoleniu, które miało z nich uczynić śmiertelną broń w ludzkiej skórze.

- Boisz się mnie - rzucił między jednym kęsem a drugim z rozbrajającą szczerością. Besany nie mogła się nadziwić, jak dużo było w nim z małego chłopca. - Cyar'ika, nigdy cię nie skrzywdzę, przysięgam.

- Wiem o tym, kochanie. - Ten jego sposób mówienia, ton, w którym pobrzmiwała nuta lęku i smutku, zawsze sprawiał, że Besany czuła żal i pretensję do całego świata. Ordo

zasługiwał na lepszy los. - Po prostu się zdenerwowałam, to wszystko. Nie co dzień mam okazję patrzeć, jak giną ludzie.

Dla Orda był to oczywiście chleb powszedni. Życie klonów było niewiele warte - i to zarówno dla ich kaminońskich stwórców, jak i polityków decydujących o ich losach. Jeżeli kogoś od małego uczono, że jego jedynym celem jest walczyć i umrzeć za Republikę, ten ktoś odruchowo traktował życie innych istot tak samo lekko - Besany zdawała sobie z tego sprawę. Większości Coruscan cały ten konflikt jawił się jako coś bardzo odległego, coś, co ich nie dotyczy. Wojnę toczyły istoty, których nigdy nie spotkali. Te dwa światy dzieliła bariera nie do pokonania. Besany była pewna, że taki stan działa tylko na szkodę społeczeństwa.

- To bez porównania lepsza roba niż ta, którą nam serwują w mesie - pochwalił beztrząsowo Ordo nieświadom jej dylematów. "Naprawdę niezła.

- Powinieneś dostawać wszystko, co najlepsze - odparła. - Zaslugujesz na to.

Ordo przyglądał się jej przez chwilę nieobecny wzrokiem, a potem sięgnął do sakwy u pasa. Położył przed nią na stole przedmiot, na widok którego o mało się nie zachłysnęła: złotą zapinkę z trzema olbrzymimi, lśniącymi ciemnym błękitem klejnotami - jednym dużym z dwoma mniejszymi po bokach. Kuchenne światło wydobyło z głębi kamieni zielone błyski.

- Chciałem ci to dać już dawno - powiedział przeproszającym tonem Ordo. - Ale nie było okazji.

Besany patrzyła na ozdobę jak zahipnotyzowana, jakby nie śmiała jej dotknąć. - Ordo, czy to jest to, o czym myślałem?

- Szafiry shoroni, zgadza się.

Kamienie shoroni były niezwykle rzadkimi i nieprawdopodobnie cennymi klejnotami. Klonom nie wypłacano żołdu, nie mówiąc już o tym, że żadnego z nich nigdy w życiu nie byłoby stać na coś takiego, więc Besany nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Skąd ją masz?

- Od sierżanta Vaua. Złupił schowek swojej rodziny na Mygeeto... wiesz, on jest wydziedziczonym arystokratą Irmenu. Tak czy inaczej, powiedział, żebyś zdecydowała o losie tej błyskotki. - Ordo nałożył sobie na talerz marynowanych majrootów. Same kamienie są warte jakieś dziesięć milionów.

- Ordo! - Besany czuła się, jakby ktoś uderzył ją w splot słoneczny. Miała wrażenie, że jeszcze jedna dawka mocnych wrażeń i ten wieczór będzie jej ostatnim. - Na pewno szuka już tego policja!

- Nie musisz brać tej zapinki. A poza tym skoro gliny do tej pory jej nie namierzyły, wątpię, żeby kiedykolwiek im się to udało - mruknął Ordo, nie podnosząc nosa znad talerza. Jest kradziony! - krzychało w niej sumienie. To nie w porządku!

Tak samo jak wykradanie ściśle tajnych danych z systemu komputerowego Skarbu, podszeptając cichy głosik. Tak samo jak przekazywanie jej hasła Kalowi Skiracie. Tak samo jak wyciąganie ciężko rannego kлона ze szpitala i usuwanie jego danych z rejestru Wielkiej Armii... I prawie tak samo jak obserwowanie bez słowa protestu, jak agent Republiki wypełniający swoje obowiązki ginie od strzału w głowę.

Siedziała w tym bagnie po uszy.

I nie zamierzam rezygnować, powiedziała sobie w myślach.

Besany nie miała pojęcia, co zrobić z tak cennym podarunkiem, kradzionym czy nie. Niemal wbrew sobie sięgnęła po broszę i odwróciła ją pod światło, obserwując z zafascynowaniem, jak światło wydobywa zielony blask ze szlifowanych fasetek.

- Kamienie shoroni lśnią na zielono w świetle dziennym - powiedział Ordo. - Mają niezwyklej strukturę krystaliczną. Dwój-łomną dwuosiową. To sprawia, że...

- Czy Kal nie mógł go sprzedać? - weszła mu w słowo. - Kyrimorut przydałby się zastrzyk kredytów.

- Mogłabyś zatrzymać chociaż jeden kamień...

Ozdoba była przepiękna. Widząc wyraz twarzy Orda, Besany się zawahała. Jej los i tak był przesądzony. Związała swoje życie z losem Skiraty, więc jego zasady były teraz jej zasadami. Czy naprawdę miało znaczenie, jeżeli doda jeszcze jedno wykroczenie do listy? Postanowiła, że pójdzie Ordowi na rękę, a ze swoim sumieniem porachuje się później.

- Dziękuję.

- Gdyby mi płacili, kupiłbym ci coś odpowiedniejszego... - powiedział Ordo tym przeprasającym, cichym tonem, który pojawiał się w jego głosie, kiedy był przekonany, że zawiódł. W tych rzadkich chwilach znikła jego zwykła pewność siebie. Besany czuła się wtedy, jakby miała przed sobą dziecko, które zamierzano ukarać za to, że nie poradziło sobie z postawioną zbyt wysoko poprzeczką. Za każdym razem łamało jej to serce. Nawet Skirata, powtarzający w kółko swoim chłopcom, jak są idealni, doskonali, fantastyczni, nie potrafił wybić im z głowy ich obsesji. - Na razie nie stać mnie na więcej. Wyjdiesz za mnie?

Był tylko niewolnikiem wyprodukowanym do wypełnienia misji, obiektem pozbawionym praw i głosu. Besany rozumiała teraz, dlaczego Etain pozwoliła sobie na chwilę szaleństwa i zaszła w ciążę z Darmanem. Klonom też należało się coś od życia.

Tym bardziej że żyły tak krótko.

- Ja... tak. Tak.

~ Świetnie. - Wyglądało na to, że Ordo ma bardzo konkretne Pojęcie na temat tego, jak powinien zachowywać się mężczyzna, z pewnością wpojone przez Skiratę. Oparł łokieć na stole, jakby Zamierzał się z nią siłować. - Weź mnie za rękę.

Posłuchała. Ufała mu, ale nie miała pojęcia, czy zamierza czule uścisnąć jej dłoń, czy może rąbnąć nią o blat i ogłosić zwycięstwo

- Mhi solus tome, mhi solus dar'tome, mhi me'dinui an, mhi ba'juri verde - powiedział, wpatrując się w jej oczy. — Teraz twoja kolej.

- Co to znaczy?

- To mandaloriańska przysięga małżeńska - wyjaśnił. - Jeżeli się zgadzasz, powtórz.

Oznacza, że od teraz jesteśmy jednością, nieważne - razem czy osobno, że dzielimy się wszystkim, co mamy i że wychowamy nasze dzieci na wojowników.

Cóż, nie do końca pasowało to do wyobrażeń Besany o ślubie, Ale z drugiej strony, nigdy się nie spodziewała, że sprawy przybiorą taki obrót. Jej świat przewrócił się do góry nogami dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny, a teraz wyglądało na to, że czekają trzecie trzęsienie ziemi.

- Dobrze - szepnęła. Nie mogła się opierać, zresztą nie chciała, nawet jeżeli to wszystko miało być kolejnym przykładem brutalnego mandaloriańskiego pragmatyzmu: w jednej chwili czysty interes, w drugiej kliwie obietnice. Ordo podjął decyzję - i ona także. Nie było sensu dłużej odwlekać tego, co nieuniknione. -Mhi solus tome, mhi solus dar'tome, mhi me'dinui an, mhi ba'juri verde.

Ordo uśmiechnął się promiennie.

- Wspaniale, że się dogadaliśmy - powiedział i cofnął rękę. -Chyba dobrze ci zrobi jeszcze jedna filiżanka kafu.

Chyba po prostu nadal jestem w szoku, pomyślała. Tak, to musi być to. Podczas wojny ludzie robią różne głupoty. Wiedziała, że klamka zapadła. Oto zdecydowała się na trudne, twarde życie praktycznie na marginesie społeczeństwa - los, jakiego nie zaznają nigdy ci, wśród których żyła do tej pory.

- To dobry pomysł - wykrztusiła. Próbowała się nie zastanawiać, jak wdowa po Lemmelocie - o ile oczywiście był żonaty - przyjmie wiadomość o jego zniknięciu. Na próżno. Wiedziała, że od teraz ta myśl będzie ją prześladować. Trwa wojna, przypomniała sobie po raz kolejny.

### ROZDZIAŁ 3

Dawniej nawet najmniejszy kęs informacji był dla nas tak cenny! Jakże trzęśliśmy się nad każdą jego cząsteczką! Analizowaliśmy go, niezmordowanie zgłębialiśmy jego znaczenie, do upadłego dyskutowaliśmy o jego wadze! Tak chciwie chłoniliśmy wiedzę, jakiej dostarczał! Tymczasem

dzisiaj... jesteśmy bombardowani faktami, zalewają nas fale informacji. Media nieustannie i w najdrobniejszych szczegółach

donoszą nam o działaniach naszego rządu i służb - wszystko na wyciągnięcie ręki, dostępne za jednym przyciśnięciem guzika. A jednak... lekceważymy to wszystko i nie wyciągamy żadnych wniosków. Pewnego dnia padniemy ofiarami własnej ignorancji.

Hirib Bassot, ekspert ds. mediów w Faktach, programie publicystycznym zdjętym z anteny wkrótce po emisji, z powodu niskiej oglądalności

Enceri, Mandalora, dzień targowy, mniej więcej pół roku później - 937 dni po Bitwie o Geonosis

Na Mandalorze było jak w raju.

Planeta leżała z dala od uczęszczanych szlaków handlowych i nie ofiarowała większości wygód, do których Fi przywykł jako komandos, ale tutaj w końcu przestał być żołnierzem pośród cywili. Mandalorianom nieobcy był żołnierski fach. Walka była dla nich sposobem na życie, więc Fi czuł się wśród nich jak ryba w wodzie. Mókł w uporzeczywej mżawce, która zmieniła plac targowy Enceri w błotnistą sadzawkę, i próbował przypomnieć sobie, dlaczego umówił się z Parją właśnie tutaj.

Tłumaczyła mu to, z całą pewnością, ale ostatnio często miał białe plamy w pamięci. Dla niego wojna już się skończyła. Nie miał Pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie walczyć.

Przecież nie umiem nic innego, przeszło mu przez myśl. Jaki ze mnie teraz pożytek?

- Wszystko w porządku, ner'vod? - spytał obcy mężczyzna w mandaloriańskiej zbroi, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Fi widocznie wyglądał na zagubionego. Klon miał niejasne wrażenie, że rozpoznaje głos mężczyzny, ale nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należał.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Fi miał przy sobie mapę, którą dała mu Parja. Czasem wiedział, że zapomniał o czymś ważnym, a kiedy indziej nie był tego świadom, dopóki ktoś mu o tym nie powiedział. Jednak sama świadomość, że o czymś nie pamiętał, świadczyła o postępie. Jeszcze nieco ponad rok temu wegetował, podłączony do aparatury podtrzymującej życie. Stwierdzono u niego śmierć mózgową. Jego wspomnienia z okresu powrotu do zdrowia były tak poszatkowane i mgliste, że równie dobrze mogły być sennymi majakami.

- Czekam na moją dziewczynę - wyjaśnił, opierając się na bvii'ragir, mandaloriańskiej włóczni myśliwskiej o wyważonym składanym drzewcu, którą dostał od Parji. Nie mógł teraz polować, ale broń znakomicie sprawdzała się jako laska, a poza tym wzbudzał z nią większy szacunek. Nie stracił nic ze swojej dumy. Wciąż jeszcze miał trudności z dobozem słów i wprawiało go to w zakłopotanie, ale z pewnością robił postępy. Parja cały czas mu to powtarzała.

- Mieliliśmy się tu spotkać. Czasami... zapominam różne rzeczy - dodał. - Przeżyłem wybuch. Mężczyzna nosił szarozieloną zbroję, jak wielu Mandalorian. Zauważył symbol weterana na hełmie Fi, ale nie zadawał pytań. ;

- Jesteś młodszy, niż myślałem - powiedział w końcu. Na pewno zaskoczył go głos Fi; Spodziewał się chyba kogoś starszego. - Dotrzymam ci towarzystwa, dopóki nie przyjdzie.

Fi dziwnie się czuł, kiedy ktoś starał się go chronić. Do tej pory to było jego zadanie - zapewniać innym bezpieczeństwo. Trudno mu było się z tym pogodzić.

Masz Parję i żyjesz, przypomniał sobie. Docień to.

Ale nie potrafił. Od kiedy trafił na Mandalorę, poznawał życie, o jakim wcześniej nie miał pojęcia - życie wolnych ludzi. Teraz żałował każdej chwili spędzonej w służbie społeczeństwu, w którym miał mniej praw niż robot.

- Dla kogo walczyłeś? - zapytał mężczyzna po chwili niezręcznej ciszy. Od wielu pokoleń planeta zaopatrywała galaktykę w najemników i służba w wojsku była zwykłym tematem rozmów. - Dobrze płacili?

- Dla Wielkiej Armii Republiki. I wcale nie płacili.

Znowu cisza. Mieszkańcy Mandalory nie sympatyzowali z Republiką. Obcy domyślił się widać, że Fi był jednym z klonów, których nie ceniono nawet na tyle, żeby płacić im za nadstawianie karku za Republikę. Jednak tutaj nie traktowano tego jak piętna.

- Jesteś dezzerterem - powiedział, ale w jego głosie nie było śladu dezaprobaty.

- Byłem ciężko ranny. - Fi szukał odpowiednich słów. Wiedział, co chciał powiedzieć, ale miał wrażenie, że usta nie chcą słuchać poleceń mózgu. Czuł, jak nad górną wargą gromadzą mu się kropelki potu. - Nie mogę już służyć.

- W porządku, ner'vod, jesteś tu wśród swoich - uspokoił go Mandalorianin. - Fett okrył się hańbą, sprzedając się Kaminoanom na klony dla Jedi. To nie twoja wina.

- Nie musisz się nade mną użalać - burknął Fi. Nie potrzebował litości. Klony nie obchodziły Kaminoan ani trochę bardziej niż Fetta, dopóki wygrywały bitwy, ale Kal Skirata troszczył się o swoich podopiecznych. - Nasz sierżant pilnuje, żeby nie stała nam się krzywda. Adoptował mnie. Nie narzekam.

- Słyszałem o tym.

- Sporo słyszałeś - parsknął klon.

- To mała planetka - odparł obcy. - Kilku Cuy'val Darów wróciło do nas, kiedy skończyli was szkolić.

A więc wiedział. Sierżanci wybrani starannie przez Fetta do szkolenia klonów nie pałali do niego miłością ale doceniali jego męstwo. Pobyt w Tipoca City nie był dla nich najprzyjemniejszym wspomnieniem. Cóż, właściwie nie trzeba było mówić nic więcej. Wszyscy znali już historię Wielkiej Armii Republiki.

Do Fi zaczynało powoli docierać, że Fett - Mand'alor i łowca nagród - był dobrą reklamą mandaloriańskiego drylu, chociaż niektórzy z jego własnych ludzi nie uważali go za bohatera. Żołnierze klony Alfa ARC, twardziele stworzeni na obraz i podobieństwo Fetta, bali się go i byli mu ślepo posłuszni, wykonując jego rozkazy nawet po jego śmierci. Ale Fi zdawał sobie sprawę, że niektórzy z tutejszych Mando'ade uważali go za samolubnego chakaara.

Mandalorianie nie mieli teraz przywódcy, a mimo to życie na ich ojczystej planecie toczyło się dalej. Fi wolał nie myśleć, co działałoby się na Coruscant, gdyby Kanclerz został nagle zamordowany i nie wyznaczył następcy. Jednak tu było inaczej. Bywało tak już wcześniej i będzie tak jeszcze nieraz, mawiano, ale żaden naród, który jest coś wart, nie powinien lamentować tylko dlatego, że nie ma komu nim rządzić.

- Masz dzieci? - zapytał Mandalorianin.

Fi wzruszył ramionami.

- Pracuję nad tym - mruknął.

Czasem, kiedy najmniej się tego spodziewał, dochodziło do głosu jego dawne „ja”. Był niezwykle sprawnym komandosem z elitarnej jednostki, a do tego obdarzonym czymś, co Skirata nazywał paklalat - darem wymowy; jednym słowem był mocny w gębie. Ale wybuch na Gaftikarze

położył temu kres i teraz był zwykłym inwalidą, zmuszonym polegać na opiekującej się nim kobiecie, Parji Bralor, która zdawała się nie zauważać, że nie był już tak sprawny jak dawniej. Mężczyzna zerknął za plecy Fi, jakby rozpoznał kogoś w tłumie ubranych w pancerze postaci. Wszyscy dzwigali fleksifoliowe torby wyładowane konserwowanymi warzywami, częściami do maszyn, a niektórzy nieśli pięciolitrowe baniaki tihaaru i miejscowego potrójnie destylowanego alkoholu, który świetnie sprawdzał się jako środek do odtuszczania części silnika.

- Czy to nie twoja kobieta? - zapytał. - Idzie do nas, na twojej szóstej.

Fi się odwrócił. Wystające spod hełmu ciemnokasztanowe, ozdobione czerwonymi i miedzianymi paciorkami warkoczyki Parji podskakiwały z każdym krokiem. Zbroja w kolorze ciemno-szkarłatnym sprawiała, że o szarówce wyglądała niczym jaskrawy jesienny owoc.

- Zgadza się - potwierdził Fi. - To ona.

- W takim razie pójdę już. Oddaję cię ponownie w dobre ręce.

Ponownie? - zastanowił się Fi. Co miał na myśli?

Zanim jednak zdążył się odwrócić, mężczyzna zniknął już w wielokolorowej ciżbie. Parja przeciskała się przez tłum obleczonych w zbroje ciał z uporem i skutecznością samobieżnego działka jonowego i już po chwili była przy nim. Przyciągnęła go do siebie i przycisnęła przód swojego hełmu do jego - był to jedyny sposób, żeby dać komuś całusa w pełnej zbroi. Pewnie dlatego niektórzy aruetiise sądzili, że Mandalorianie na powitanie strzelają sobie z bańki.

Aruetiise - cudzoziemcy, wrogowie, zdrajcy i tym podobni - łyknęliby każdą bujędę, pomyślał Fi.

- Udało ci się! - Parja promieniała dumą i miłością. - Dobra robota, cyar'ika - pochwaliła go. - Nawijujesz nowe znajomości?

- Nie wiem - mruknął z zakłopotaniem Fi. Nie widział mężczyzny nigdzie w pobliżu, zupełnie jakby ten zapadł się pod ziemię. - Zaproponował mi pomoc.

Parja postukała palcem w jego hełm. Wymalowała na nim mandaloriańskie litery „M” i „S”, od mir shupur - uraz mózgu. W taki sam sposób medycy polowi oznaczali rannych. Na Mandalorze ten symbol był traktowany jako coś pośredniego między informacją że daną osobę należy traktować w szczególny sposób, a odznaczeniem za męstwo.

- Zobaczył symbol na twoim buy'ce. Zrozumiał, że jesteś niepełnosprawny i dlaczego. To oszczędza wielu głupich pytań, no i ludzie wiedzą jak cię traktować.

Fi nigdy nie myślał o sobie jako o kimś niepełnosprawnym. Został ranny, zgadza się, ale nie był kaleką! Wmawiał sobie, że wciąż jeszcze jest za wcześnie i że Bardan Jusik powoli poskłada go do kupy za pomocą uzdrawiających technik Jedi.

- Co teraz? - zapytał.

- Musisz trafić do kantyny. - Parja nie okazywała ani śladu zniecierpliwienia, chociaż pewnie powtarzała mu to już setki razy.

- Nie będę ci podpowiadać. Skorzystaj z mapy. Co jeszcze miałeś zrobić? No, dalej... jestem pewna, że sobie przypomnisz.

- Notatki - wymamrotał. - Mam pisać po drodze notatki.

- Świetnie! Notatki. A więc musisz tylko pamiętać, żeby zaglądać do swojego notesu.

W porównaniu z ludnym, przypominającym kolonię termitów Coruscant Enceri było jak pryszcz na mapie. Najbliższą osadą był bastion Kyrimorut, schronienie budowane przez Skiratę dla klonów dezertów, ukryte głęboko w lasach na północy. Była to bardziej kolonia niż miasto, jednak Fi wciąż wydawała się skomplikowanym i trudnym do rozszyfrowania labiryntem.

Wyciągnął z kar-Wasza rysik i sprawdził swój notes elektroniczny. Pamiętał dobrze Wydarzenia sprzed kilku lat - nawet te z nienaturalnie krótkiego dzieciństwa - ale nie był w stanie przypomnieć sobie codziennych, zwykłych wydarzeń. Ustalił swoje położenie, tak jak go szkolono

- opierając się na punktach orientacyjnych, jak na przykład silos na zboże na skraju miasta, i korzystając z magnetycznego kompasu na Przedramieniu, rozpoczął mozolną wędrówkę. Trochę to potrwało, ale w końcu nauczył się ponownie korzystać z wyświetlacza przeziernego hełmu. Krok po kroku, bez pośpiechu - tak jak radziła Parja. Dziewczyna szła za nim i zachęcała go raz po raz:

- Świetnie ci idzie. Naprawdę, cyar'ika, każdego dnia radzisz sobie lepiej. Jestem z ciebie dumna.

Jakim cudem ktoś taki jak ona mógł coś do niego czuć? Wydawało mu się to niepojęte.

Ajednak... spotkali się przecież dopiero po jego wypadku, więc nigdy nie знаła tamtego starego, zdrowego Fi. Kochała go za to, kim był teraz. Mogło być tylko lepiej, wiedział o tym.

- Tęsknię za moimi braćmi - westchnął.

- Mnie też brakuje Orda.

Prawda, przesyłali sobie wiadomości, od czasu do czasu kontaktowali się nawet z członkami drużyny Omega i Zerami ARC, którzy byli dla niego jedyną rodziną, ale Fi spędził wśród takich jak on całe swoje krótkie życie. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie czuł się taki samotny.

Ogarnęło go nagle poczucie winy. Parja opiekowała się nim przez cały koszmarny okres po Coruscant, karmiła go i myła jak dziecko, a dzięki jej nieustającym zachętom i seansom uzdrawiającym Jusika znów mógł chodzić. Miła, troskliwa dziewczyna była wszystkim, o czym kiedyś marzył. Nigdy nie przypuszczał, że jego marzenia się spełnią - ale też nigdy nie sądził, że będzie musiał zaczynać wszystko od nowa.

- Wkrótce powinien do nas zająrzeć - powiedziała Parja. - Wiesz, że Zera nie mają ściśle określonego grafiku. Tak czy inaczej, za kilka dni powinien wrócić Bard'ika, akurat na twoją następną sesję.

Fi nie mógł się powstrzymać od pytania:

- Czy potem będę mógł wrócić do domu?

Parja spojrzała na niego, zaskoczona.

- Nie masz chyba na myśli Coruscant? Twój dom jest teraz tutaj

- Mam na myśli Coruscant.

- Nie, nie wrócisz tam. - Pokręciła wolno głową. - Chcieli cię zabić, nie pamiętasz? Chcieli odłączyć cię od aparatury podtrzymującej życie, bo uznali, że nie warto cię leczyć! Nie zdziwiłabym się, gdyby zatrzymali cię podczas odprawy celnej jako skradzioną własność Republiki - zakpiła. - Uwierz mi, nie chcesz wracać do tego obrzydłego dar'yaim.

Parja była wściekła, ale dla Fi wspomnienia z tamtego okresu były białą kartą. Oczywiście, wiedział, że chcieli go skrzywdzić, ale ta świadomość nie wywoływała u niego żadnych emocji, ponieważ leżał wtedy nieprzytomny, w śpiączce. Podczas ostrożnego marszu do kantyny sprawdzał co chwila mapę i próbował wyobrazić sobie, jak Besany i kapitan Obrim rozpaczliwie próbują uchronić go przed bezdusznym systemem, który poddawał eutanazji niepełnosprawne klony. Ordo opowiadał mu, że Besany sterroryzowała personel centrum medycznego i z narażeniem życia porwała go ze szpitala. Był zaskoczony jej odwagą. Taki czyn działał na mandaloriańskich samców tak samo, jak para zgrabnych damskich nóg na aruetiise. Waleczne kobiety wzbudzały w nich podziw i szacunek.

- Służby celne mogą mi naskoczyć - burknął. - Jestem komandosem.

- Besany wpakowała się w niezłą kabałę, żeby wyciągnąć cię ze szpitala.

- Wiem o tym. - Fi wciąż nie mógł się nadziwić, że w ciele tak drobnej, uroczej istoty mieszkał tak niezłomny duch, i że w krytycznej sytuacji potrafiła zachować zimną krew. - Nawet jej nie podziękowałem...

- Skoro tak ci na tym zależy, możesz zaczekać, aż nas odwiedzi - stwierdziła Parja.

- Gdybym tam poleciał, mógłbym się zobaczyć z moimi braćmi - nalegał. Skrećili teraz za róg - kantyna znajdowała się dokładnie tam, gdzie wskazywała mapa. Było to dla Fi kolejne małe zwycięstwo. Zdjął hełm i pozwolił, żeby krople deszczu padały mu na twarz. Czuł się głupio, bo miał wrażenie, że zachowuje się jak dzieciak.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym mógł się z nimi spotkać, chociaż na chwilę...

- Twoi bracia są rozsiani po całej galaktyce - przypomniała mu Parja.

- Chciałbym zobaczyć syna Etain.

~ To zbyt niebezpieczne, Fi.

- To nie w porządku, że Darman nie wie o swoim synu...

~ W galaktyce wiele rzeczy nie jest w porządku - powiedziała Zgodnie Parja. - Tak jest lepiej, uwierz mi.

- Nie czuję się tu dobrze. - Fi miał wrażenie, że coś w nim pękło. - Powiniennem być z nimi, walczyć... To jedyna rzecz, jaką potrafię. Wydawało mi się, że nigdy już nie będę chciał wrócić na wojnę, ale... po prostu nie wiem, co ze sobą zrobić.

Krople deszczu lśniły na drzwiach kantyny, jakby świeżo je pomalowano, i nadawały im wygląd jedynej stosunkowo czystej części budynku. Wpatrywanie się w ich czarną, lśniącą powierzchnię pozwalało Fi opanować frustrację i złość z powodu własnej bezsilności. Jakiś cichy głos wciąż szeptał mu do ucha, że jest teraz nikim, nie ma celu ani honoru. Wiedział, że te podszepty brały się z jego sumienia, ukształtowanego przez surowe szkolenie. Uświadomił mu to sierżant Kai. Podczas każdej rozmowy Kal'buir przypominał Fi, że jest teraz wolnym człowiekiem i że nie musi podporządkowywać się żadnym zasadom, tylko żyć pełnią życia.

A jednak Fi trudno było się z tym pogodzić. Wciąż miał wrażenie, że został wyrzucony poza margines wydarzeń i że jest dla Parji zwykłym balastem.

Dziewczyna zdjęła hełm i przypięła go sobie do pasa.

- Wiem, że sporo kosztowało cię dotarcie do tego miejsca - powiedziała cicho i wskazała głową drzwi. - Wiem również, że potrafisz znowu walczyć, jeżeli zechcesz, ale jeszcze nie teraz. Rozumiem, że to dla ciebie trudne. Postaraj się być cierpliwy.

- Nie mam czasu! - wyrwało mu się.

Za każdym razem, kiedy Fi wspominał, że dla niego czas płynie dwa razy szybciej niż dla normalnego człowieka, Parja czuła w piersi ukłucie bólu. Nie rozmawiali nigdy o planach Kal'buira, żeby zatrzymać przyspieszony proces starzenia się klonów. Na razie nie zanosilo się na przywrócenie klonom normalnego życia. Wciąż poszukiwali genetyka, który umiałby zrobić użytek z badań Ko Sai.

- Jestem pewna, że będziesz jeszcze miał go aż nadto - zapewniła go tym spokojnym, łagodnym tonem, który działał na niego lepiej niż najsroźsze połajanki. Przez chwilę wyglądała na zmieszaną. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wszystko jest na dobrej drodze.

- Jasne.

- Fi, spójrz na mnie. - Ujęła jego twarz w dłonie i zmusiła go, żeby popatrzył jej w oczy. - Czeka cię jeszcze długie, szczęśliwe życie. Korzystaj z niego. Nie po to się z tobą tak cackam, żebyś mi nawiał z jakąś aruetyc wysztafirowaną coruscańską lafiryndą, jak tylko dojdiesz do siebie, więc lepiej zacznij się poważnie zastanawiać nad ożenkiem! Czy to jasne? Mandalorianie nie zwlekają z zawieraniem małżeństw. Oboje już dawno powinniśmy się ustatkować. Nie mam ochoty dłużej czekać!

Pierwszą myślą Fi było, że powinien poprosić kogoś o pozwolenie - prawdopodobnie Kal'buira, szybko zdał sobie jednak sprawę, że nie ma racji, i ta myśl go przeraziła. Mógł przecież robić, co mu się żywnie podobało. Jego życiem nie kierowały już zasady i przepisy, nie istniał żaden



kodeks, którego powinien przestrzegać. Czuł się przytłoczony ogromem wyborów, których nigdy wcześniej nie miał, ponieważ nie mógł samodzielnie podjąć żadnej decyzji.

- Do niczego się nie nadaję - powiedział cicho. - Dlaczego miałabyś za mnie wyjść?

Parja zmrużyła swoje zadziwiająco błękitne oczy.

- Pozwól, że to ja będę decydować, co jest dla ciebie dobre. Jesteś Fi i tyle. Dla mnie to wystarczający powód. A teraz ładuj łaskawie swoją shebs do tej kantyny i udowodnij mi, że pamiętasz, jak zamówić ne'tra gal i posiłek.

Fi doskonale wiedział, że Parja tylko zgrywa wkurzoną. Jej cierpliwość wydawała się bezgraniczna. Nigdy nie robiła mu wyrzutów, gdy coś leciało mu z rąk albo kiedy zapominał języka w gębie. Jej ciotka, Rav Bralor, jedna z Cuy'val Dar, którzy szkolili ich na Kamino, mawiała, że Parja ma duszę inżyniera, który nie spocznie, dopóki wszystkie z jego urządzeń nie będą działały jak w zegarku. A Fi był projektem, którego realizację uznała widocznie za priorytet.

- Czy kiedy wydobrzeję, dalej będziesz mnie chciała? - Przejście przez drzwi kantyny wydawało mu się teraz większym wyzwaniem niż atak na najbardziej niebezpiecznego wroga. - Nie wiem, czy nie będę wtedy zbyt... - Przez chwilę nie potrafił znaleźć właściwego słowa, i już miał na końcu języka „boski”, ale zająknął się - ...interesujący, żeby się mną zajmować - dokończył.

~ Cóż, pewnie wtedy po prostu sprawię sobie odpowiedni filtr, żeby blask twojej chwały nie poraził moich zmysłów - odparła lekko. Byli już w środku i kilku klientów kantyny obejrzało się w ich stronę. Enceri była właściwie wioską, w której wszyscy się znali, więc Fi był dla większości obcym. - Albo będziesz musiał chodzić na okrągło w hełmie - dodała.

W porządku, w takim razie wezmę cię za żonę.

- Chyba dawno nikt nie dał ci porządnego łupnia - mruknęła

- Może powinienem zająć się handlem?

- Kiedy dojdiesz do siebie, będziesz mógł załapać się do warsztatu.

To właśnie była cała Parja: zawsze „kiedy”, nigdy „jeżeli”. chowywała się, jakby nie dopuszczała do siebie możliwości porażki. Kiedy Fi podszedł do baru, serce waliło mu jak młotem, bo bał się, że zapomni, jak zamawiało się piwo. Natychmiast zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn, którzy wyraźnie ożywili się na jego widok. Słyszał, jak mamrocą coś na jego temat. Ich hełmy leżały na podłodze obok stolika. Chociaż Fi miał czasem problemy ze zrozumieniem niektórych rzeczy, tym razem słyszał wyraźnie, o czym rozmawiali.

- To nie ten koleś, jestem pewien!

- Nie wydaje mi się, żeby...

- Spójrz tylko na niego, jasne, że to on!

- No, nie wiem...

- Skąd wiesz, gdzie Fett rozsiewał swoje bas neral, co?

Unieśli głowy, jakby nagle zdali sobie sprawę, że Fi się im przygląda. Widocznie wyczuli jego poirytowanie, bo szybko zmienili temat. Mandalorianie byli z natury równie taktowni, jak pijany Weequay, więc ci tutaj widocznie szybko się zorientowali, że ich słowa mogły zostać poczytane za obelgę. Fi postanowił się skupić na swoim zadaniu i wsunął dłoń do kieszeni w poszukiwaniu kredytów.

- Dwa ale - powiedział, słuchając mglistej podpowiedzi swojego dawnego ja. - I dwie zupy. Wiedział, że zupy podawano we wszystkich mandaloriańskich kantynach.

Barmanka, starsza kobieta o ostrych rysach twarzy, przyjrzała mu się uważnie.

- Nie wyglądasz mi na miejscowego, chłopcze - powiedziała w basicu. W Enceri wszyscy posługiwali się mandaloriańskim. ale Fi miał od jakiegoś czasu problem nawet z wysłowieniem

się w tym języku. Kobieta przechyliła głowę i zerknęła na hełm. | który trzymał pod pachą. Na widok oznaczeń wymalowanych na kuble wyraźnie zmięła. - Aaa! W porządku, verd'ika. Życzysz sobie polewkę z gi czy zupę z czerwonej tykwy?

Verd'ika. Tym pieszczotliwym mianem zwracano się do żołnierzy. Wyglądało więc na to, że oznaczenia na jego hełmie dobrze spełniały swoją rolę.

- Niech będzie tykwa.

Nie miał ochoty na gi. Po tym, co przydarzyło się Ko Sai, nie był w stanie przełknąć ani kęsa ryby. Kiedyś nadali Kaminoance żartobliwy przydomek gihaal, oznaczający mandaloriańską potrawę z ryby. Od czasu śmierci badaczki wszystko, co w jakiś sposób łączyło się z rybami, źle się Fi kojarzyło. Zapłacił za zamówienie, parja zajęła stolik w rogu knajpy i wskazała mu miejsce.

- Świetnie sobie radzisz, cyar'ika.

- Jak wyglądam? - Fi wiedział, że wygląda jak lustrzane odbicie każdego ze swoich braci klonów, czyli prawdopodobnie tak samo, jak Jango Fett w ich wieku. Tak dyskretnie, jak tylko zdołał, wskazał dwóch mężczyzn zajętych swoim piwem. - Fett nie żyje. A przecież był dużo starszy ode mnie.

- nie chodzi o Fetta - szepnęła Parja i zacisnęła dłoń na jego przedramieniu, jakby za wszelką cenę chciała go uciszyć. - Mówią o jednym z twoich braci. O Sparzę.

Spar, żołnierz ARC Alfa-02, zdezerterował, zanim jeszcze wojsko Wielkiej Armii zostało wysłane na Geonosis. Skirata mówił, że koleś może i jest di'kutem, ale nie jest głupi.

- On nie jest moim bratem - zaoponował Fi. - Chociaż podobno Fenn Shysa starał się wszystkim to wmówić. - Chciał przekonać nas, że jest pełnoprawnym potomkiem Fetta, żeby tylko zachować pozory. Pamiętaj, że od jakiegoś czasu nie mamy Mandalora.

- Kojarzysz w ogóle, kiedy ostatnio ktoś wami dowodził?

Parja zerknęła na niego spod oka. Na jej wargach błąkał się ślad uśmiechu.

- Najważniejsze, żeby aruetiise nie zaczęli się domyślać, że źle się u nas dzieje. Nie ma co mydlić sobie oczu... tak naprawdę nigdy nie podźwignęliśmy się po ciosie, jakim była utrata naszych najlepszych wojowników na Galidraanie. Na dobrą sprawę nie Ma potrzeby mobilizacji...

Fi nigdy się nad tym wszystkim zbytnio nie zastanawiał. Tak naprawdę Mando'ade nie potrzebowali przywódcy, chyba że kogoś, kogo mogliby oskarżać o wszelkie niepowodzenia. W głowie Fi niespodziewanie zakotłowało się od wspomnień i od słów, którymi mógł je wyrazić.

~ Fett ma syna, Bobę. Młody ma teraz jakieś dwanaście lat. Szczelny gówniarz z niego. Ordo podtopił go kiedyś w kiblu za Przechwałki, że jego tatulek mógłby wytrzeć Kal'buirem podłogę.

- Nawet gdybyśmy go znaleźli, na nic się nam nie przyda. Jest dzieckiem - przypomniała mu. - Nie mówiąc już o tym, że przepadł bez śladu.

- Wykapany tatuś - mruknął Fi.

- Musisz być ostrożny. Shysie może strzelić coś do głowy i każe ci odgrywać owoc jego łądźwi.

- Chyba raczej próbówki - parsknął Fi. Przypomniał sobie, że w Tipoca City widywał Fetta od czasu do czasu, jednak Mandalorianin był raczej typem samotnika i nie miał w zwyczaju spoufalać się z Cuy'val Darami, których zwerbował. Fi zastanawiał się, czy Mand'alor miał jakąś radochę z oglądania milionów kopii samego siebie. A może czuł się nieswojo? - Dlaczego właściwie Shysa nie zajął sam wolnego stołka? Albo nawet któryś z wodzów? ,

- Aruetiise wciąż jeszcze drżą na samo wspomnienie o Fetcie,

Aliit ori'shya taldin. Mandaloriańskie przysłowia zawsze trafiały w samo sedno. Rodzina była czymś zdecydowanie ważniejszym niż więzy krwi. Z technicznego punktu widzenia Fi był ciałem z ciała i krwią z krwi Janga Fetta, tak samo jak Boba. Jakie to dziwne, pomyślał, że nie czuł nic do człowieka, który teoretycznie był jego ojcem.

- A więc dla Mando jestem gorącym towarem - mruknął. - Wykapany Fett. Może tylko z większym szczęściem do kobiet.

Parja aż pokraśniała na jego uwagę, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Kandosii\ Jaing mówił mi, że miałeś cięty język. Szybko wracasz do zdrowia.

Fi odzyskał nieco wiary w siebie. Może faktycznie pewnego dnia stanie się znów tym, kim był kiedyś? Jadł swoją zupę nieporadnie, jak dziecko, które dopiero uczy się posługiwać sztućcami - Specjalnie usiadł twarzą do ściany, żeby nikt nie zauważył, jeżeli będzie mu ciepło po brodzie. Pocięło. Parja szybko i dyskretnie otarła mu podbródek, zanim zdążył sięgnąć po serwetkę.

- Jeszcze pół roku temu nie umiałeś sam chodzić - powiedziała ciepło. - Robisz niesamowite postępy, cyar'ika.

Zawsze wiedziała, kiedy dodać mu otuchy. Jestem cholernym szczęściarzem, pomyślał.

Przyjaciele nie dali mi zginąć. W końcu | wszystko będzie znowu po staremu. Kiedyś sądził, że żadne uczucie nie może być silniejsze niż więź z braćmi z jego pierwotnej drużyny, z którymi się narodził i wśród których dorastał. Ich śmierć

była dla niego niewyobrażalnym ciosem. Kiedy był pewien, że już nigdy z nikim nie zwiąże się równie mocno, trafił do Drużyny Omega. Z zaskoczeniem odkrył, że jej członkowie są mu tak samo drodzy jak polegli bracia. Co więcej, byli też inni -klony i nieklony - których traktował jak rodzinę. A ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, była miłość kobiety, która się o niego troszczyła.

- W porządku - powiedział. - Pobierzemy się, jak tylko odzyskam formę.

Chciał być dla niej tym, kim był kiedyś. Parja spojrzała na niego z namysłem i Fi zdał sobie sprawę, że mogła odebrać jego słowa jak próbę wykrętu. Może po prostu nie rozumiała, co miał na myśli... Często miał problemy z wysłowieniem.

- A więc lepiej się pospiesz - mruknęła.

Kal'buir uczył swoich chłopców wyznaczać sobie nieustannie cele, nie tyle ważne, co drobne. Następny szczyt, jutrzejszy poranek, nawet jeszcze jeden krok, jeżeli bywało ciężko - zawsze należało mieć coś, na czym można się było skupić i o co warto było walczyć.

Fi obiecał sobie, że za rok o tej porze będzie takim człowiekiem, jakim był przed wypadkiem.

Wziął swój kufel ne'tra gal i uniósł ostrożnie w stronę Parji. Uśmiechnął się szeroko, kiedy udało mu się nie uronić ani kropelki.

- Pomaluję specjalnie dla ciebie moją zbroję - obiecał. Może nadszedł czas, żeby przestał wyglądać jak duch Gheza Hokana, w którego zbroi chodził. - Jeśli tylko zechcesz.

Ale Parja nie zwracała na niego uwagi. Zaciśnęła wargi i wpatrywała się w drzwi kantyny tym swoim charakterystycznym wzrokiem, zdającym się mówić: „Lepiej zacznij już wołać mamusię na pomoc”, który tak go rozczulał. Odwrócił się powoli, żeby zobaczyć, co ją tak wkurzyło.

W ich stronę szedł właśnie mężczyzna w zielonej zbroi. Dotarł do stolika, zdjął hełm, spod którego wysypały się przydługie, jasne włosy, i wyciągnął do niego dłoń w rękawicy.

- No-no! Coś podobnego - powiedział. - Wykapany tatuś, a przynajmniej byłbyś kubek w kubek, gdyby on miał w życiu ^ój start. Wszystko w porządku, ner'vod!

Fi nie miał bladego pojęcia, kim był obcy - chyba jedyny w knajpie. Rozmowy i śmiechy ucichły jak nożem uciął i wydawało się, że wszyscy nagle wstrzymali oddech.

Parja patrzyła przybyszowi prosto w oczy.

- Tylko mi nie mów, że zajrzałeś tu przypadkiem - warknęła i położyła zaborczo dłoń na przedramieniu Fi. - Więc zanim zapytasz... mój chłopak nie ma dla ciebie czasu. Nie widzisz, że jest ranny?

Mężczyzna zignorował zaczepkę. Uśmiechnął się jakby nigdy nic i po mandaloriańsku uściśnął drugą rękę Fi.

- Pozwól, że się przedstawię, żołnierzu - powiedział. - Jestem Fenn Shysa. Chyba czas, żebyś zrobił coś dla Mandalory...

Punkt obserwacyjny Drużyny Omega w pobliżu szlaku Hadde-Rishun, Haurgab, Środkowe Rubieże

Darman nigdy nie miał żyłki do hazardu. Teraz, kiedy żegnał się ze swoimi kredytami, obserwując prującego ku niechybnemu zwycięstwu wyścigowego żuka Atina, wiedział już dlaczego.

Cóż, tak naprawdę robił nie ruszał się z nadświetlną prędkością ale wyglądało na to, że przynajmniej wie, co robi - rzadka cecha wśród przedstawicieli lokalnej fauny. Podczas gdy reszta żuków drużyny kręciła się nieporadnie w kółko, pupil Atina maszerował z determinacją prosto do mety - paska detonitu rozciągniętego na odwróconym do góry dnem kontenerze po amunicji, który pełnił rolę prowizorycznego toru wyścigowego.

Reszta owadów człapała tam i z powrotem, z godnym podziwu uporem odbijając się raz po raz od ścian, jakby wierzyły, że w końcu uda im się przebić przez którąś z nich na wolność.

Wyglądało na to, że żaden z nich nie potrafił się wystarczająco skupić. Darman i tak podziwiał je za niezłomny upór.

- Kandosi! - zawołał rozpromieniony Atin. W okolicy głos niósł się bardzo daleko, ale wewnątrz dźwiękoszczelnego hełmu komandos mógł sobie krzyczeć, ile dusza zapagnie. Wiele dni zabrało im znalezienie tego punktu obserwacyjnego i nie zamierzali się teraz wychylać. - Dawaj, ner vod, pokaż, na co cię stać! Moja szkoła!

Drużyna Omega miała mnóstwo wolnego czasu podczas oczekiwania na rebelianckie konwoje Separatystów przemierzające pustynię Maujas, a wyścigi żuków były dla nich jedyną rozrywką. Słońce stało w zenicie i paliło bezlitośnie - był to jeden z tych dni, kiedy klimatyzowana zbroja typu Katarn ratowała życie. Wyglądało na to, że upał dał się we znaki nawet biednym żukom.

Darman ostrożnie nakierował swojego zawodnika z powrotem na tor. Opalizujące, szkarłatne pancerzyki żuków przypominały mu jednodniówki, które widział na Qiilurze - owady umierające po przeżyciu tylko jednego, krótkiego, pełnego wrażeń dnia. Darman myślał kiedyś, że śmierć na polu walki to najlepsze, co może spotkać żołnierza, ale po kilku latach spędzonych poza Kamino ten pomysł nie wydawał mu się już tak atrakcyjny. To nie było w porządku.

Życie było zbyt krótkie - szczególnie dla klonów - i niosło ze sobą zbyt dużo rozczarowań.

Żywot jednodniówek był właściwie symbolem życia klonów. Darman pomyślał smętnie, że czasem czuł się zupełnie jak jedno z tych żyjatek: schwytyany i przenoszony z miejsca na miejsce, ślepo wypełniający polecenia, niemający pojęcia, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

Co rusz uderzał głową w mur wojny, której końca nie było widać.

Wcale nie podobało mu się porównywanie własnego losu do życia robali. Był mężczyzną i tęsknił za swoją dziewczyną. Chciał wrócić do domu - ale tak naprawdę nie wiedział, co jest jego domem.

Fi twierdził, że dla niego było nim Kyrimorut. Darman uznał, że jego dom będzie tam, gdzie zechce zostać Etain.

Czasem Jedi przysyłała mu przez Moc impulsy, żeby zapewnić go, że o nim myśli. Było to dziwne, niepokojące uczucie, zupełnie jakby ktoś go śledził. Umawianie się na randki z własnym

generałem, w dodatku Jedi, nie było najlepszym pomysłem i Darman zdawał sobie z tego sprawę, ale ta wojna musiała się przecież kiedyś skończyć. Wierzył, że wtedy osiągną coś, co sierżant Kal nazywał normalnym życiem. Tak naprawdę nie miał pojęcia, co miało oznaczać „normalność” w przypadku szybko starzejącego się klona i przedwcześnie zwolnionej ze służby Jedi, ale nie obchodziło go to. Cokolwiek przyniesie los, będzie dobre, uznał.

Nakierował swojego żuka z powrotem na trasę.

- Ruszaj się, di'kucie\ No, pędź!

- Hej, tylko bez oszustw! - Corr odwrócił się w stronę sędziującego Ninera. - Żądam natychmiastowej dyskwalifikacji tego nikczemnego kanciarza! Jego żuk jest na prochach dopingujących!

- Dobra już, dobra... i tak wiem, że przegrałem. - Darman rzucił w Atina kredytka, zabrał swojego żuka i ustawił w kierunku mety. Pajacowanie było zawsze działką Fi. Kiedy go zabrakło, jego miejsce zajął Corr i trzeba mu oddać sprawiedliwość: wywiązywał się z roli nadwornego błazna najlepiej, jak potrafił, - Po prostu nie mogę patrzeć, jak te biedaki kręcą się żałośnie w kółko.

- Nigdy nie osiągniesz sukcesu jako hodowca, jeżeli będziesz pobłażał swoim zawodnikom, Dar...

Niner doczołgał się do kontenera i zajrzał do środka. Jego cień padł na jednego z żuków. Kiedy owad wyczuł spadek temperatury, zatrzymał się i zamachał antenkami, a potem ruszył w stronę zawodnika Corra - żuka o błyszczącym, jaskrawoturkusowym pancerzyku - i zaczął się na niego gramolić. Najwidoczniej zebrało mu się na amory.

- Mam dziwne wrażenie, że twoje małeństwo nie jest zainteresowane wyścigami, ner vod - powiedział Niner i uklękł. Żuk Atina wciąż parł przed siebie, determinacja dorównując swojemu tymczasowemu właścicielowi. Wkrótce przekroczył linię mety. -Ta-a, znowu Atin. Zdrowie zwycięzcy!

Mieli do picia tylko uzdatnianą wodę „z odzysku”. Darman z utęsknieniem pomyślał o świeżej, zimnej wodzie z kranu. Nieważne, jak gorliwie producent systemów zapewniał, że specjalny filtr czynił wielokrotnie przetworzoną wodę „osobistą” - jak ją elegancko określano - krystaliczną niczym źródła na Naboo. Nie bardzo podobała mu się sama świadomość, że to, co pije, opuściło jego organizm już kilkakrotnie. Pociągnął łyk z dozownika wewnątrz hełmu. Woda była nieprzyjemnie ciepła.

Zawsze mogło być gorzej, pomyślał. Lepsze własne niż cudze.

Wielki dzban lodowatej wody, prysznic i miękkie łóżko...

Atin uniósł pięść w geście zwycięstwa.

- Oya. Płacie, pokonani! - Machnął ręką w ich stronę. - To daje mi osiem miażdżących wygranych.

- Należy ci się puchar, At'ika. - Darman wytrzasnął skądś wyschnięty kielich jakiejś lokalnej rośliny. - Możesz teraz odprowadzić swojego rumaka do stajni i zająć się hodowlą czempionów.

- Jeżeli skojarzę swojego mistrza z szatanem Corra, to dzieci będą w paski czy fioletowe?

- To nie jest mieszanie farby! Nie uważało się na genetyce, co?

Niner zebrał wszystkie żuki i cisnął w powietrze. Owady rozsypały się w migotliwym deszczu jak drogie kamienie, rozłożyły tęczowe skrzydełka i poszybowały ku słońcu.

Skoro umiały latać, dlaczego nie próbowały uciec z pudła? Dlaczego uparcie uderzały małymi główkami w ściany kontenera, skoro mogły po prostu spojrzeć do góry i odfrunąć?

Niner umieścił działko jonowe na statywie i skierował lufę na rozpadlinę w skałach. Przez chwilę majstrował przy celowniku. Ostatnio był jakiś niespokojny i zamknięty w sobie, jakby targaly

nim wątpliwości, o których nie chciał rozmawiać z resztą. Może chodziło o Fi? Nie tylko o sam fakt, że go z nimi nie było - co już samo w sobie stanowiło wystarczający powód do przygnębienia - ale o to, co się z nim działo? Świadomość, że Fi doznał urazu mózgu bardzo im wszystkim ciążyła. Tak bardzo, że chyba łatwiej byłoby im się pogodzić z jego śmiercią. Nie widzieli go od czasu, kiedy sierżant Kal wysłał go na Mandalorę. Od czasu do czasu wymieniali wiadomości, ale właściwie nie wiedzieli, co u niego słychać, poza tym że opiekowała się nim jakaś dziewczyna o imieniu Parja. Wyglądało na to, że zagościła w jego życiu na dłużej. Jusik twierdził jednak, że Fi ma się lepiej. Darman przypomniał sobie marzenia ich przyjaciela o dziewczynie. Cóż, wyglądało na to, że się spełniły. Darman nie musiał już dłużej czuć się winny z powodu Etain. Większość ludzi czuła się chyba pewniej, kiedy inni im czegoś zazdrościli, ale Darman - tak samo jak reszta klonów - miał wyrzuty sumienia, jeżeli wszedł w posiadanie czegoś, czego brakowało jego braciom.

Dla generała Zeya Fi był martwy - nie żeby Zey uwierzył w tę bajeczkę. Fi był daleko od nich - pod każdym względem - że równie dobrze mógł być rzeczywiście martwy.

Jusik również zniknął. Ich paczka była w rozsypce.

Darman wyciągnął się na brzuchu i wlepił wzrok w pylistą drogę na dole. W ciszy upału dało się słyszeć słabe bulgotanie, kiedy Atin pociągnął łyk wody ze swojego dozownika. Leżeli w cieniu nain starożytnej fortecy o rozpadających się ścianach wzniesionych z palonych cegieł. Z pewnością była świadkiem licznych bitew.

- A skoro mowa o genetyce - rzucił leniwie Atin - co tak naprawdę przydarzyło się Ko Sai?

Darman wrzucił ramionami.

- Gdyby Kal'buir chciał, żebyśmy wiedzieli, nie omieszkałby nas o tym poinformować.

- Słyszałem dziwne plotki..

- Jak dziwne?

- Że Kal przywłaszczył sobie jej badania i ją zabił.

- Od kogo to słyszałeś?

- Od Seva. Atin był jednym z klonów szkolonych przez Vaua, tak samo jak członkowie Drużyny Delta. Darman wiedział, że pomimo zatargów wciąż ze sobą rozmawiali.

- Sev jak zwykle plecie, Co mu ślina na język przyniesie -mruknął. - Tak czy inaczej, Ko Sai dostała z pewnością to, na co sobie zasłużyła.

- Wiem, ale po co Kal'burowi wyniki jej pracy?

Darman pomyślał, że przynajmniej Atinowi nie jest żal tej starej przynęty na aiwhy. Od kiedy opuścili zakichane Tipoca City, Darman z każdym dniem bardziej nienawidził Kaminoan.

Czasami żałował, że nie odczuwał tego kiedy byli na wyciągnięcie ręki i miał szansę policzyć się z nimi osobiście. Niesamowite, jak

łatwo pogodzić się z najgorszym nawet losem, jeżeli nie ma się porównania z niczym innym.

Nie mam pojęcia - odparł. - Może chce je komuś opchnąć za niezłą sumkę?

Niner zmienił ogniwo zasilające w swoim deuce

- Pytałeś go o to?

- Nie - przyznał Atin. - Dlaczego sam go nie spytasz Dar?

Jesteś jednym z jego pupilków. jak Ordo i Fi. Może któregoś dnia zamarzy mu się wnuczek pół-Jedi. Corr parsknął z rozbawieniem.

- Przecież ma już Bard'ikę, a to zupełnie jak synalek Jedi z krwi i kości, no nie?

Darman poczuł się nieswojo. Chciał być traktowany jak jeden z nich, ale czuł się wyobcowany.

- Kal'buir nie ma pupilków - zaprotestował. - Bardziej prawdopodobne, że traktuje mnie inaczej, bo uważa mnie za dziecko specjalnej troski, którego trzeba pilnować. Naprawdę chcesz, żeby

go zapytał? - Nie miał pojęcia jak się do tego zabierze, ale jeśli chodziło o chłopców Skiraty, sierżant wykazywał nieskończoną wręcz cierpliwość. - W porządku zrobię to.

W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, jak naprawdę traktował go Skirata. Jednak ziarno wątpliwości zostało zasiane i teraz nie potrafił przestać o tym myśleć. Ułożył się wygodniej, oparł swój dece w zgięciu łokcia, ustawił maksymalny zasięg systemów optycznych wizjera i czekał.

- Co za idiota w jednostce zaopatrzenia zamówił dece z magazynkiem po lewej? - mruknął Corr. Od samego początku nie przepadał za bronią komandosów, DC-17. Oddziały klonów uczyły się posługiwać karabinami już od małego, ale doszkalani żołnierze, tacy jak Corr, nieoswojeni z bronią, często marudzili. - I to jeszcze ładowanym poziomo. Nie można tego nawet porządnie schować do kabury!

- Idiota, który nigdy nie musiał strzelać w obronie własnej - prychnął Niner. - Albo myślał, że jak celujesz prawą, to lewą masz wolną do przeładowania...

- Co za banda tępych bev'ikase.

- Sam to wymyśliłeś?

- To właściwe słowo, no nie? Oznacza...

- Hm, tak, ale nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ktoś używał tego jako inwektywy. Tylko w kontekście... anatomicznym.

- Racja - wtrącił Atin. - Jestem pewien, że prawdziwą przyczyną, dla której robią z nas oburęcznych, jest fakt, że w zaopatrzeniówce pracują or'diniise.

Darman lubił swojego dece. Owszem, zamek uprzykrzał życie, ale za to sprzęt nigdy się nie psuł, nieważne - upał, mróz czy pył. Broń była, a wymiana modułów nie sprawiała więcej problemu niż zmiana magazynka.

- Verpiny, to dopiero jest coś! - westchnął. - Wypasione sztuki. Pamiętacie, jak wysłali nas z nimi na terrorystów na Potrójnym Zerze?

Atin pokręcił głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi.

- Chciałeś powiedzieć, ciebie i Fi.

- Zgadza się - powiedział Darman. Brakowało mu Fi, ale w porę ugryzł się w język, żeby nie urazić Corra, który w gruncie rzeczy był dobrym kompanem. Po kilku tygodniach wszyscy się czuli, jakby był częścią drużyny od zawsze. Ale byłoby świetnie, gdyby Fi wrócił.

W rozgrzanym powietrzu brunatne piaski pustyni migotały i mamiły wzrok. Darman widział tu i ówdzie ciemniejsze plamy, które

znikały równie szybko, jak się pojawiały. Według prognozy pogody Fleet Metu z dużym prawdopodobieństwem można było się spodziewać burz piaskowych. Haurgab była kolejną zapyziałą planetką, której znaczenie strategiczne było dla Darmana kompletnie niezrozumiałe. Jasne, były tu kopalnie rudy potrzebnej Separatystom jeżeli zamierzali dalej produkować roboty, ale dlaczego Palpatine do tej pory nie zdecydował się na zaatakowanie najbardziej zaludnionych światów sympatyków separańców? Dlaczego armia klonów musiała być rozproszona po całej galaktyce?

- Poszerza łańcuch dostawców - odpowiedział głośno na własne pytanie.

- Kal'buirl

- Nie. Ten stary cwaniak, Palpi. Powinien zostawić sprawy wojskowe generałom. Typowy szabla cywiluch. Zasmarkany geniusz taktyczny, co to siedzi na dupie w swoim bezpiecznym biurze.

Można było śmiało stwierdzić, że Haurgab stanowiła kwintę sencję idiotycznej strategii stosowanej w całej tej wojnie. WAR miała zbyt mało środków, żeby wygrać, ale również za dużo, żeby ponieść druzgocącą porażkę, która uświadomiłaby politykom, że pora się wycofać.

Wszystkie działania były tak wykalkulowane, żeby szala zwycięstwa jeszcze długo nie przechyliła się na żadną ze stron. Nie było na to szans.

Po drugiej stronie koryta dawno wyschniętej rzeki, jakieś dwadzieścia klików na północny wschód, stacjonowały dwie kompanie osiemdziesiątej piątej brygady piechoty. Właśnie z tamtej strony zaczęły przed chwilą dobiegać przytłumione odgłosy kanonady, którym po chwili zawtórował wyższy i ostrzejszy dźwięk salw z działek. W oddali Darman widział wykwitające jedna po drugiej chmury czarnego dymu. Sekwencje wybuchów były tak regularne, że mógłby według nich ustawić swój chronometr. Lokalne klany Mauja robiły sobie prywatne pokazy fajerwerków tuż po lunchu, zmuszając ludność zamieszkującą Hadde, aby szukała schronienia w najbardziej upalnej porze dnia. Siali popłoch, zanim nie zerwał się wieczorny wiatr zmuszający Maujasów do zabarykadowania się w domach. Wszystko odbywało się dziwnie cyklicznie, zupełnie jakby odwalali zlecenia na bombardowanie o ściśle określonej godzinie, a potem wracali do domów w samą porę na kolejny odcinek ulubionego holoseriału.

Dwie kompanie - niecałe trzy setki żołnierzy. Siły były żałośnie niewyrównane, a poza tym mieli marne wsparcie z powietrza. Reszta batalionu była rozproszona po najdalszych zakątkach regionu. Plutony zajmowały wciąż nowe tereny, żeby nazajutrz oddać je wrogowi bez walki. Właśnie dlatego ich tu przysłano. Mieli jeden jasno określony cel - unieszkodliwić ważnego przywódcę Maujasów o imieniu Jolluc. Czekali teraz, aż wyjdzie ze swojej nory.

- Co za gówno - parsknął Corr. - Gdyby tylko przydzielili nam nieco większe wsparcie z powietrza i wykurzyli całe to osik z ich nor, nie musielibyśmy odparzać sobie shebs i moglibyśmy urwać się wieczorem w jakieś sympatyczniejsze miejsce. Spójrz tylko... cholerne góry, jak okiem sięgnąć!

- Wzgórza - poprawił go Atin.

- Podobno wsparcie powietrzne jest w drodze.

Corr zaczynał karierę jako specjalista od ładunków wybuchowych i wciąż jeszcze nie władał płynnie mandaloriańskim. Przewidując uczył się najpierw przekleństw i slangu, tak samo jak Etain. Robił szybkie postępy i nawet tworzył własne neologizmy.

- Cor'ika, gdybyśmy nie trafili tutaj, wysłaliby nas z pewnością w równie fascynujące miejsce - mruknął Atin. - A poza tym polecono nam, żebyśmy walczyli o serca i umysły\*, zamiast niszczyć bezbronne wioski.

- Jasne, bezbronne, osik prawda. Ci wieśniacy są uzbrojeni po zęby. Nie muszą nosić mundurów, żeby być wrogami. Dlaczego każda rasa, która ma pretensje do sąsiadów, jest uznawana za separańców i kończy jako cel na liście naszych przeciwników?

- Tutaj nawet nie są odmienną rasą - przyłączył się do narzekania Darman. - Nie tak jak na Gaftikarze, gdzie od razu wiedziałeś, kto jest kim. Tutaj wszyscy są ludźmi. Wyglądają tak samo. Na horyzoncie pojawiły się tumany pyłu - pewnie kierowały się ku nim jakieś pojazdy naziemne. Niner zaszcząkał zębami, jak to miał w zwyczaju, kiedy coś go zdenerwowało. Przejął ten nawyk od Skiraty.

- Nienawidzę, kiedy się zastanawiasz. Jak się zaczynasz nad czymś zastanawiać, zawsze są kłopoty.

\* Nawiązanie do hasła, pod jakim Stany Zjednoczone prowadziły kampanię podczas wojny w Wietnamie (przyp. red.).

- Taka praca - prychnął Atin.

- Jakież wieści od Laseemy?

- Na razie żadnych, sierżancie.

- Jestem pewien, że się odezwie. Uszy do góry.

- Wiem o tym - burknął Atin. - Chcemy się pobrać.



- Co takiego?!
- Dobrze słyszałeś.

Nowina nie spowodowała, żeby spuścili wzrok z obserwowanego terenu, ale bez wątplenia ich zaskoczyła. Darman czuł się, jakby mu żołądek fiksał koziołka. To było tak dziwne, nie mogło być prawdą. To...

- Niemożliwe - wyrwało się Ninerowi. - Nie możesz się ożenić. Jesteś w wojsku! Przydomek „Atin” znaczył w Mando'a tyle co „uparty”, ale nie było to określenie negatywne. Sugerowało raczej wytrwałość i nieugiętość niż ośli upór. Atin był znany z tego, że zawsze kierował się surowym pragmatyzmem - dopóki coś go nie zirytowało. W takich rzadkich chwilach instynkt brał u niego górę nad rozsądkiem, zupełnie jak u Vaua, i szalał, dopóki komuś nie udało się go spacyfikować. Vau uczył ich takiego postępowania celowo. Jego zdaniem budziło to w nich pierwotne instynkty, które miały utrzymać ich przy życiu w sytuacjach, gdy zwykli ludzie poddawali się i ginęli.

- Masz na to jakieś papiery? - zapytał zaczepnie Atin.

Darman widział, jak nerwowo zaciska szczęki, nawet pod bezpieczną przykrywką jaką dawał mu hełm.

- No, słucham. Znajdź mi przepis, który zabrania nam się żenić!
- Nie zostaliśmy stworzeni do zakładania rodzin - powiedział cicho.
- Ale nie ma tego w żadnym kodeksie.
- Nie. Nadal jednak uważam, że to głupi pomysł.
- Dlaczego?

Klony nie musiały widzieć twarzy żadnego ze swoich pobratymców, żeby wiedzieć, o czym myślą. Darman słyszał dobiegające z hełmu Ninera nikłe trzaski i echo przyspieszonego oddechu. Wiedział, że chłopak jest pobudzony, że chyba coś go naprawdę wyprowadziło z równowagi. A przecież jego towarzysza nie tak łatwo wkurzyć. Widocznie wziął sobie ich słowa naprawdę do serca, jednak próbował nie dać po sobie niczego poznać.

- Uważasz, że skoro nam nie płacą - warknął w końcu - to nie jesteśmy w stanie utrzymać rodziny? Nikt nie zapewni nam zakwaterowania. Nikt... - Atin zająknął się, szukając argumentu. Ledwie mogli go zrozumieć, tak mocno zaciskał szczęki. - Laseema jest Twi'lekanką! Twi'lekowie i ludzie nie mogą się krzyżować! Ma gdzie mieszkać. Kal'buir opłacił jej apartament. Ma pracę. Nie muszę jej utrzymywać. Szlag trafił twoją teorię, co, sierzancie?

- Lepsze jest utrzymywanie faceta, tak? - mruknął pod nosem Corr. - Świetnie!
- To szaleństwo! - Niner nie dawał za wygraną. - Nie moja sprawa. Rób, co chcesz.

Darman poczuł, że jego plany założenia rodziny są zagrożone. Trzymał stronę Atina. Byli ludźmi, nie robotami. Mieli prawo oczekiwać od życia czegoś więcej - to właśnie powtarzał im Skirata.

- Uważasz, że nie możemy się żenić, bo jesteśmy czyjąś własnością, sierzancie? - zapytał Darman.

- Nie wiem. Zapytaj generała Zeya - burknął Niner.
- Zeya gównu to obchodzi - prychnął Atin. - A nawet gdyby tak było, to co z tego? Co za różnica między tym, co robię teraz, a tym, jak będę wypełniał rozkazy po ślubie z Laseemą?
- Teoria - skwitował Darman. - Czysta teoria.
- Chcę mieć własne życie! - Wyglądało na to, że Atin naprawdę się wkurzył. - Jeżeli uda mi się przeżyć, nie zamierzam do końca moich dni służyć w wojsku. - Na chwilę zawiesił głos, jakby zastanawiał się nad dalszym ciągiem. - Mam dość. Chciałbym zdezercerować.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że któryś z nich powiedział to na głos. A może w ogóle po raz pierwszy któryś z nich tego zapragnął? Odejście Fi w jakiś sposób otworzyło tamę buntu i sprawiło, że każdy z nich zaczynał snuć ambitne plany, nie dotyczące WAR.

Zapadło niezręczne milczenie. Corr nie miał ochoty wdawać się w pyskówki. Czasem jeszcze zdarzało mu się zachowywać w ten sposób, jakby mówił: „Wiem, wiem, przecież jestem tylko zapchajdziurą”, chociaż wszyscy wiedzieli doskonale, że Fi już nigdy do nich nie wróci.

- Zamiast myśleć o dezercji, lepiej skup się na misji. - Niner uderzył w ten swój zrzędlawy ton.

- Jestem skupiony - burknął Atin. Doczołgał się do Corra i zajął stanowisko u jego boku. - Mam wyjątkowo podzielną uwagę.

Tak naprawdę myślenie o jednym pozwala mi lepiej wykonywać drugie.

Nie... Tu nie chodzi o wypadek Fi. Darman uznał, że to wszystko zaczęło się od narodzin wnuka Skiraty. Dzięki dziecku dotarło do nich, że życie przecieka im przez palce. Gdyby byli białasami, zwykłymi żołnierzami klonami, które miały ograniczony kontakt z normalnym życiem i cywilami, może dalej pozwoliliby sobie mydlić oczy, wmawiać, że nie jest tak źle. Jednak oni cały czas zajmowali się rzeczami, które dla zwykłych ludzi były czymś normalnym. Skirata zapewnił im tyle swobody, ile zdołał, ale okazało się to przekleństwem, ponieważ wiedzieli teraz, ile tracili.

- A co z tobą i Etain, Dar? - spytał Atin.

- Pytasz, czy zamierzam się ustatkować?

- Hm, tak.

Etain będzie musiała opuścić Zakon. Jedi nie wolno było zawierać związków, ale nie narzucali też nikomu celibatu. Zdaniem Darmana sami się tylko prosili o kłopoty. Mimo surowego szkolenia, prędzej czy później jednemu czy drugiemu Jedi zdarzało się popełnić jakieś głupstwo w szale miłosnych uniesień i zwykle nie kończyło się to dobrze. Nikt nie był w stanie przemienić czującej istoty - czy to klona, czy to Jedi - w bezdusznego robota. To nie było rozsądne. To nie było w porządku.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym - odparł Darman. - Ale tak, chyba właśnie tego chcę.

- Dzieci?

Darman pomyślał o wnuku Skiraty. Dzieciaki wymagały nieustannej troski i były wiecznie głodne. A dzieciaki wrażliwe na Moc... Cóż, to już była działka Etain. Tak czy inaczej, były to na razie tylko mgliste plany i nie zamierzał się nad tym szczególnie zastanawiać. «

- Może kiedyś - powiedział. - Ale na pewno jeszcze nie teraz.

- Lepiej zacznij już robić pierwsze podejścia - podsunął usłużnie Corr. - Zanim się okaże, że jesteś na to za stary.

- Skoro już mowa o podejściach... - przerwał im Niner. - Przygotować się!

Darman z trudem przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach, jak zawsze przed akcją. Przesunął się nieco, żeby mieć lepszy widok, i zobaczył, co przykuło uwagę Ninera: przez pustynię, wzbijając w powietrze tumany kurzu, sunął konwój ciężarówek repulsorowych wiozących zaopatrzenie z portu kosmicznego. Atin cisnął

w powietrze sondę zwiadowczą. Niewielkie kuliste urządzenie przeleciało kawałek, zawisło nad wąską ścieżką i zaczęło przekazywać obraz sytuacji w dole.

Corr pomajstrował przy ustawieniach swojego HUD-a i symbol wyświetlacza wewnątrz hełmu Darmana zasygnalizował zmianę punktu widzenia jego brata. Komandos obserwował teraz południową ścianę zwietrzałego urwiska na skraju szlaku, a kiedy Darman też przestawił swój wizjer na tę okolicę, zauważył jakieś cienie wypełzające ze szczelin niczym rój owadów.

- Nadal twierdzą, że muszą tam mieć jakieś tunele - burknął poirytowany Corr. - Inaczej zauważylibyśmy, jak się tu tarabania.

Niner miał dobry widok na koryto wyschniętej rzeki.

- Cóż, na razie nie interesuje mnie nic poza tym, żeby oni nie zauważyli nas - mruknął. - Pamiętaj, że obchodzi nas tylko Jolluc. Dopóki nie zajdzie taka potrzeba, nie możemy marnować amunicji na nic innego.

Co tydzień pluton rebeliantów zjawiał się na pylistej drodze, żeby przejąć transport wieziony do Hadde z miasta portowego Rishun, a Drużyna Omega nie interweniowała. Po prostu czekali i zbierali informacje. Mieli dorwać Jolluca, człowieka, który według danych wywiadu był mózgiem rebelii. A teraz rebeluchy zaczynały łapać luz, jak mawiał Mereel. Traciły czujność. Zdaniem Darmana to wszystko było bezcelowe, ponieważ Maujasowie nie stanowili dla Republiki żadnego zagrożenia. Wątpił, żeby byli zdolni choćby przeliterować słowo „Separatysta”. Po prostu lubili kraść i nie darzyli szczególnym uczuciem własnego rządu, co do złudzenia przypominało nastawienie Skiraty. Brali wszystko, co im wpadło w ręce. Hadde było prawdopodobnie niezłym kąskiem do splądrowania.

Ale Darman wiedział, że gdyby zaczęli do nich strzelać, tamci odpowiedzieliby ogniem, więc resztki jego współczucia znikły bez śladu szybciej, niż parowało splunięcie na rozgrzanej skale. Przyjrzał się celowi. Rebelianci musieli napadać na konwoje z bliska, ponieważ bombardowanie zniszczyłoby cały ładunek, który chcieli złupić, a to z kolei czyniło z nich łatwe cele. Jeżeli wywiad się nie mylił, Jolluc będzie z nimi; doskonały cel dla ataku.

- Mogą tu mieć cały labirynt tuneli - upierał się przy swoim Corr. - Bez wsparcia z powietrza możemy sobie na nich polować do usranej śmierci. Powinniśmy po wszystkim zejść na dół

i przeskanować teren. Może znajdziemy jakiś sposób, żeby ich stamtąd wykurzyć...

Na drodze pojawiło się kilku Maujasów z częściami rozmontowanych blasterów samopowtarzalnych. Zajęli pozycje pośród skał po drugiej stronie i zaczęli składać broń. Było ich około trzydziestu, ale wśród nich nie widzieli Jolluca. Darman przyglądał się kolejno wszystkim postaciom, które zdołał namierzyć przez celownik DC-17 i porównywał z wgranymi do systemu wyświetlacza zdjęciami herszta rebeliantów.

- O kilku więcej niż zwykle - stwierdził Atin. - Może nie ma dziś nic ciekawego w holowiadomościach?

Niner pokręcił głową.

- Nie było mowy, że dzisiejszy transport ma być jakiś szczególny.

- Jak zwykle - parsknął Darman. - Nasz wywiad jest bystry jak woda w klozecie. Nie ma co na nich polegać.

Konwój repulsorowych ciężarówek był teraz kilka minut drogi od pułapki. Na czele kolumny leciały śmigacze ochrony. Wiedzieli, że będą mieli towarzystwo - zawsze obrywali. Za każdym razem mogli się tylko zastanawiać, jak mocno. Dlaczego więc Republika nie pozwalała na dostarczanie towarów drogą powietrzną prosto do miasta? Byli durni jak te szabla żuki. Gdyby tylko zechcieli łaskawie interweniować, cały ten głupi rytuał skończyłby się raz na zawsze. Zdaniem Darmana świadczyło to tylko o tym, że albo Palpatine'owi kończyły się kredyty i mięso armatnie, albo nie miał bladego pojęcia o taktyce. Niewykluczone, że obydwie te rzeczy naraz.

- Gotowi? - zapytał Niner.

- Powinniśmy uprzedzić konwój, że tu jesteśmy.

- Nie zamierzam ryzykować. W jednej chwili wspierają rząd, a w następnej przeskakują na drugą stronę barykady. Nie można im ufać.

Darman uznał, że jeżeli zacznie się robić zbyt gorąco, rzuci granat lub dwa na północną ścianę zbrocza - w stronę stanowisk obrotowych blasterów rebeluchów. Sprzęt wyglądał na zabytkowy. Widać mieszkańcy planety byli ciut zacofani pod względem technicznym, ale lekceważenie ich możliwości było doskonałym sposobem na to, żeby skończyć, gryząc piach.

Nadal ani śladu Jolluca.

- Dwa kilometry - oznajmił Niner. Darman słyszał odległe echo przeładowywanych blasterów. - Stang, naprawdę jest ich trochę więcej niż zwykle...

- Możemy się wycofać - powiedział Atin.

- Nie teraz - powiedział Niner, trzymając palec na spuście. Wszyscy rebelianci zajęli stanowiska. Znajdowali się teraz dokładnie w połowie drogi między nimi a konwojem.

- Naliczyłem trzydziestu i jednego.

Świetnie. Tkwimy pośrodku piaszczystego zadupia, wystawieni na widok na szczycie samotnej skały, pomyślał Dar. Będziemy musieli stąd wiać. Powinniśmy byli pomyśleć o skuterach repulsorowych...

- Zgarniamy Jolluca, jak tylko się pokaże - przypomniał im Niner. - Jeśli nie wystawi dupska, wstrzymujecie ogień i odpuszczamy. Konwój będzie musiał zatroszczyć się sam o siebie. Żadnej bohaterszczyzny.

Prawda była brutalna: nie przysłano ich tu, żeby pilnowali dostarczania towarów dla cywili. Darman ponownie sprawdził swój dece i zmusił się do myślenia o dzbanku lodowatej wody po powrocie do bazy. Siatka jego celownika skupiła się na antycznym sprzęcie, kiedy czerwona chmura zasygnalizowała eksplozję pierwszego granatu.

W rozgrzanym pyłe popołudnia rozbrzmiały echem serie z blasterów rebeliantów. Eskorta odpowiedziała ogniem, a jednostki tworzące konwój spróbowały się rozproszyć, ale po prostu nie było gdzie.

- Gdzie ten cholerny Jolluc? - Niner się zdenerwował.

- Dajmy mu trochę czasu. - Atin odwrócił wzrok od rozgrywającej się w dole sceny. - Shab\ Nie mogę na to patrzeć...

- Nie jesteśmy tu, żeby pilnować porządku.

Chociaż wszyscy o tym wiedzieli, trudno było beczynnie obserwować tę rzeź. Darmana świerzbiły palce, żeby nacisnąć spust. Zdarzyło mu się wcześniej wyłamać i pospieszyć cywilom na ratunek na Qiilurze, ale był wtedy żółtodziobem, ledwie na drugiej misji. Wojna uczyła ostrożności. Zaprawienie w boju utrwalała świadomość, jak łatwo można stracić życie. Darman wiedział teraz, że bohaterskie czyny lepiej zostawić nowicjuszom.

Jakim nowicjuszom? - pomyślał z ironią. Kończą nam się posiłki.

Wokół rozlegała się kanonada blasterowego ognia i wybuchały kłęby dymu. Darman usiłował nie zwracać uwagi na wrzaski i okrzyki. Niner położył mu bez słowa dłoń na ramieniu.

- Mamy naszą ptaszynę - wycedził Corr i warknął gardłowo, zupełnie jak Sev. - Przy pojeździe na czele kolumny. Obrzydły hut uun.

Przez chwilę Darman nie mógł zrozumieć, dlaczego Corr nagle traktuje wojnę domową na Haurganie tak osobiście, ale kiedy powiększył obraz na wyświetlaczu swojego hełmu, wszystko stało się nagle jasne. Jolluc, we własnej osobie, paradował pośród kłębow dymu ubrany w białe plastoidowe części pancerza - zbroi klona. Przechadzał się, jakby nadzorował akcję gaszenia pożaru.

Mógł zdobyć tę zbroję tylko w jeden sposób - a to rzeczywiście zmieniało postać rzeczy.

- Ciekawe, co się stało z tym biednym białasem, któremu ją zabrał - szepnął Corr, biorąc Jolluca na muszkę. - Cóż, parszywy dupku, zaraz się przekonasz, że ta łupinka nie chroni tak dobrze jak porządny katarn...

Niner przestawił broń na tryb samopowtarzalny. Nie spodziewali się tylu rebeluchów, więc będą musieli sobie odpuścić. W tym zamieszaniu wystarczy jeden celny strzał. Maujasowie nie będą w stanie stwierdzić, skąd padł.

- Jak tylko go zdejmujemy, spadamy stąd - zarządził Niner. -Zrozumiano?

Corrowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Darman zobaczył, jak z głowy Jolluca unosi się smużka dymu. Chwilę później przywódcą rebeliantów, niewyróżniającym się niczym szczególnie łysiejącym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, wstrząsnął krótki dreszcz i ciało zatoczyło się na płonąca ciężarówkę.

- Jeszcze się rusza - zdziwił się Darman.

Atin wypalił ze swojego dece.

- Już nie.

Niner sięgnął po karabin.

- W porządku, spływamy stąd.

Zanim Maujasowie zorientują się, co się stało, ich drużyna zdąży zejść na dół i znajdą się daleko poza zasięgiem rebeliantów. A przynajmniej taki był plan.

- Snajper! Snajper! - rozległo się w dole i kanonada na chwilę ucichła. W tej ciszy jakiś metr nad nimi coś przeleciało i uderzyło w ścianę fortecy. Darman i reszta odruchowo zanurkowali

w poszukiwaniu schronienia. Kawalek od nich wybuchł pocisk z moździerza.

Kolejny strzał będzie pewnie celniejszy.

- No to jesteśmy udupieni. - Corr westchnął i zmienił moduł snajperski na generator impulsów jonowych. - Namierzili nas.

- Zanim zejdziemy na dół, będą już na nas czekać. - Darman policzył ponownie rebeliantów. Było ich teraz około dwudziestu. - Damy radę.

Niner uklęknął i wycelował blaster.

- Ja ich czymś zajmę, a wy spadajcie.

Darman zignorował go i sięgnął po kilka granatów. Atin i Corr również nie palili się do wykonania rozkazu.

- Sierzancie, proszę... - zaczął Atin. - Doskonale wiesz, że tak się nie robi. Idziemy.

Kilka ciężarówek zdołało się wycofać i kierowały się teraz z powrotem w stronę Rishun. Nad głowami komandosów przeleciał kolejny pocisk, tym razem stanowczo zbyt blisko. W powietrzu unosiła się chmura pyłu i dym z płonących pojazdów. Darman zamrugał kilka razy, aktywując filtry wizjera, i jego oczom ukazał się pełny widok poboju. Wszędzie walały się szczątki i mnóstwo ciał - więcej niż się spodziewał.

- W porządku. Chodźmy.

Dar zaczął się wycofywać. Był przekonany, że reszta jest tuż za nim, ale jego uwagę zwrócił nagle nieznaczny ruch w polu symbolu punktu widzenia Niner. W tumanie zasnuwającym wąskie przejście coś się poruszało. Z początku widzieli tylko pojedyncze sylwetki, które szybko zmieniły się w strumienie postaci płynących nieprzerwanie ze szczelin w ścianach wyschniętego koryta.

- Jest ich jakaś setka - powiedział Niner cicho, układając pod ręką pozostałą mu amunicję. Corr przełknął głośno ślinę.

- Sieć tuneli - mruknął. - A nie mówiłem?

Rebeliantów było znacznie więcej, niż podejrzewał wywiad. Wyglądało na to, że naprawdę się wkurzyli. A do tego wiedzieli teraz dokładnie, gdzie są komandosi.

Drużyna Omega mogła bez problemu sobie poradzić z dwudziestoma rebeluchami. Oni mieli pancerze, a ruch oporu nie. Jednak setka... to stawiało całą sprawę w zupełnie innym świetle.

- O... shab - jęknął Darman.

Prywatny stolik w kantynie Nerfi Udziec na terenie Uniwersytetu Coruscant

Mandalorianie byli kłamliwymi dzikusami, którym obce było pojęcie lojalności, do tego agresywnymi. Kradli wszystko, co nie było przymocowane, i traktowali zabijanie jak rozrywkę. Taką opinię mieli Mando'ade u większości istot i Kal Skirata postanowił wykorzystać ten stereotyp, żeby zatrzeć ślady. Nie chciał, żeby którykolwiek z aruetii dowiedział się, że potrzebował informacji z powodów czysto emocjonalnych. To zawsze utrudniało negocjacje.

- A więc czy jest mi pan w stanie pomóc, profesorze? - Wpatrywał się w niego pewnym siebie spojrzeniem mówiącym „lepiej nie podskakuj”. Rozparł się na siedzeniu w taki sposób, że zza poły jego najlepszej kurtki ze skóry banthy widać było kaburę blastera. Na Coruscant nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi na Mandalorianina w pełnej zbroi, ale Kal wolał podjąć się tej roboty po cywilnemu, na wypadek gdyby komuś zachciało się węszyć. - Nie wiem, ile zarabiają rocznie uniwersyteccy biolodzy, ale dam sobie rękę uciąć, że nie są to miliony kredytów. Towarzyszył mu Gilamar, w razie gdyby potrzebował drobnej konsultacji z medycyny, a także i Mereel, którego krzepa robiła odpowiednie wrażenie. Mężczyzną z którym się spotkali, był doktor Reye Nenilin, wybitny gerontolog. Skirata rozpaczliwie potrzebował jego pomocy.

- Nie narzekam - stwierdził flegmatycznie naukowiec. - Musiałbym mieć naprawdę dobry powód, żeby narażać się na takie ryzyko.

- Mówią że wie pan na temat procesu starzenia więcej niż ktokolwiek inny.

- Czy mogę zapytać, do czego pan zmierza?

- Mojemu ojcu nie ubywa latek - odezwał się Mereel, porucznik elitarnego oddziału Zer, N-7, stojący za krzesłem Skiraty.

- Słodziak z niego, prawda? - zapytał z udawanym rozczeniem Skirata. - Ma to po mamie. Cóż, powiedzmy, że po prostu mam układanę, której złożenie może mi przynieść krocie, i szukam kogoś, kto pomoże mi odnaleźć brakujące części.

- To sprawy zawodowe? - spytał podejrzliwie Nenilin.

- Jestem Mandalorianinem - odrzekł Skirata. Ujawnienie temu gościowi, z kim ma do czynienia, nie zaszkodzi. - Czy wyglądam, jakbym się starał o Naukowy Medal Republiki?

- A więc chodzi o pieniądze... - stwierdził naukowiec. - Skoro już mowa o procesie starzenia... co to za dane, które podobno macie?

- Założę się, że wiem, o czym myślisz. - Skirata uśmiechnął się pod nosem.

- Żebyś się nie zdziwił - palnął profesorek.

Mandalorianin pomyślał, że stary jest zdecydowanie za dużo

wyszczekany jak na nieuzbrojonego jajogłowego, szczególnie takiego, który przebywa w pokoju z trzema osiłkami. Przydałaby mu się mała nauczka, pomyślał. Może to nauczyłoby go nieco szacunku dla Mandalorian.

- Uważasz, że chodzi o jakieś machloje z odmładzaniem, co?

- Zdziwiłby się pan, jak często otrzymuję podobne propozycje. Wielu producentów zbiłoby prawdziwe fortuny, gdybym tylko zdecydował się im odrobinę pomóc, panie Fal.

Fal. Skirata nigdy wcześniej nie posługiwał się tym przydomkiem. Tak naprawdę nie wiedział, dlaczego postanowił go użyć po tylu latach. Był Skiratą od dziecka.

- Oczywiście, chodzi o przemysł - potwierdził, zapominając na chwilę o Falinie Mattranie. Jedyną rzeczą, którą pamiętał z Kuat była zielona transpastałowa ściana w pokoju jego rodziców; przez ten kolor apartament wydawał się zanurzony w tropikalnym oceanie. - Rozwiązanie naszego małego problemu oznaczałoby prawdziwy przełom w dziedzinie klonowania.

Skirata słyszał nad głową spokojny, głęboki oddech Mereela. Chłopak był w gorącej wodzie kąpany i czasem trudno mu było utrzymać nerwy na wodzy, szczególnie podczas bardzo delikatnych operacji.

Spokojnie, synu, przemówił do niego w myśli. Tak, jak was uczyłem.

- Cóż, to śliska sprawa - odparł z namysłem Nenilin. - Klonowanie na skalę przemysłową to nie moja działka.

- To bardzo roztropna decyzja. - Skirata uśmiechnął się zjadliwie. - Mądrała z pana.

Klonowanie na skalę przemysłową jest surowo zabronione, zgodnie z prawem wojennym. To zdecydowanie zła wiadomość dla tych, którzy prowadzą interesy oparte o klonowanie. Oznacza, że wyczerpuje im się źródło dochodów. Widzi pan, klony szybko się starzeją. To częściowo kwestia przyspieszonego dojrzewania, ale nie tylko. Jeżeli produkujesz klony, to chcesz na nich zarabiać, więc programujesz im coś w rodzaju terminu przydatności. To sprytne, ale teraz wiele przedsiębiorstw zatrudniających klony nie ma skąd czerpać siły roboczej. Zależy im na utrzymaniu tych, które mają, najdłużej jak się da, więc chcieliby cofnąć proces ich starzenia.

Nenilin przyglądał się Skiracie długo i w milczeniu. Mandalorianin uznał, że nie lubi tego gościa, ani trochę. Facet nosił staromodny kaftan w rodzaju tych, w jakie ubierała się skostniała arystokracja, co potwierdzałoby też, dlaczego upodobał sobie kantinę, w której się spotkali. Miejsce miało imitować styl wiejskiej karczmy. Stoły były niezbyt udanymi replikami grubo ciosanych ław, a porceplastową zastawę zastąpiono pleekowymi miskami. Serwowano tu warzone na miejscu ale, nieapetycznie mętne i pełne podejrzenia wyglądających farfocli, które chyba miały mu nadać pozory autentyczności. Nenilin był zapewne przekonany, że w takich fałszywie sielskich warunkach żyła kiedyś klasa pracująca i że modnie było za nimi tęsknić. Gównu wiesz o takim życiu, człowieku, pomyślał Skirata. Nie chciałbyś go spróbować na własnej skórze.

- Nie jestem pewien, czy chcę być współodpowiedzialny za wyzysk sklonowanych istot żywych - powiedział ostrożnie naukowiec. Merel odsunął krzesło, usiadł między nimi i posłał Skiracie znużone spojrzenie. - To prawie jak niewolnictwo.

Świetnie, trafił nam się aruetii z resztkami sumienia... - pomyślał Kal. Nie miał złudzeń; doskonale rozumiał, że były to tylko pozory. Spojrzał na Gilamara, szukając u niego wsparcia technicznego. Mężczyzna nie był specem od takich spraw, ale jako były lekarz znał się na medycynie i wiedział, jak posługiwać się medycznym żargonem.

- Wiesz, w jaki sposób Arkanian Micro udaje się wyhodować w ciągu roku dorosłych ludzi? - spytał profesorka Mij Gilamar. - Co robią klonerzy?

- Tak. A przynajmniej teoretycznie. Pracujecie dla Arkanian?

Skirata nie musiał odpowiadać. Nenilin uwierzy w to, co będzie dla niego wygodne.

- Gdybyśmy pracowali dla Arkanian Micro, łamalibyśmy prawo, pracując nad projektem objętym ścisłym zakazem, prawda?

- Zakładam, że przestawienie się na hodowlę nerfów nie wchodzi w rachubę?

- Obawiam się, że nie.

Nenilin nie mógł się oprzeć pokusie ukucia własnej teorii. Lubił czuć się mądrzejszy od innych. Pewnie uważał wszystkich Mandalorian za tępych wieśniaków.

- Gdybym był na miejscu Arkanian, znalazłbym jakieś chwilowe rozwiązanie... jakiś sposób na przedłużenie życia moich produktów na czas wojny, jednak zostawiłbym sobie furtkę, to znaczy możliwość odwrócenia procesu po wygaśnięciu zakazu.

- Regulację szybkości starzenia - podsunął Skirata.

- Czyli coś, o czym zwykli śmiertelnicy mogą tylko marzyć. Jednak w przypadku organizmów zaprogramowanych na szybsze dojrzewanie i starzenie to raczej kwestia zmiany istniejącego stanu rzeczy.

- Dokładnie. - Skirata nie spuszczał wzroku z Gilamara w oczekiwaniu na chwilę, kiedy Mij będzie musiał się wtrącić podczas omawiania spraw technicznych. - Rozmawiamy o ludziach. A to twoja działka.

- Musiałbym zobaczyć... próbkę genomu.

Gilamar nachylił się lekko w jego stronę.

- To ściśle tajne dane. Musimy mieć pewność, że zdaje pan sobie sprawę z tego, jak delikatna to sprawa...

Nenilin sprawiał wrażenie poirytowanego.

- Jak już pan Fal był uprzejmy wspomnieć, każda działalność związana z klonowaniem... czy to wprost, czy pośrednio... jest na terenie Republiki uznawana za nielegalną, o ile nie wydano na nią specjalnego pozwolenia.

- Więc z pewnością żaden naukowiec o pańskiej reputacji nie narażałby się, przyjmując nielegalne zlecenie...

A więc rozumieli się nawzajem doskonale. Gdyby Nenilin im pomógł, to jeżeli się wygada, utraci więcej niż tylko stołek. Wyglądało na to, że połknął haczyk. Był gerontologiem i pokusa poznania sekretu kontrolowania procesu dojrzewania przez klonerów była dla niego zbyt kusząca. Każde z przedsiębiorstw zajmujących się klonowaniem zazdrośnie strzegło swoich sekretów. Spółki klonujące podszyły konkurencji szpiegów i nie wymieniały się danymi. Były tak zdeterminowane, że niekiedy wymuszały na swoich pracownikach podpisywanie zobowiązań umów poufności za pomocą blastera, jeśli nie gorzej.

Skirata niemal widział, jak myśli Nenilina układają się nad jego głową w hologram - lśniąca kulę z bronzium: Naukowy Medal

Republiki, a w jego uszach rozbrzmiewa aplauz zachwyconej widowni.

Mam cię! - pomyślał z satysfakcją.

Gilamar przekazał mu nośnik z danymi.

- Masz tu kilka sekwencji do zbadania. Na tym etapie projektu genetycy wykluczyli geny H-siedemdziesiąt-osiem-b i H-siedemdziesiąt-jeden... jeden za pomocą cynku, drugi w procesie metylacji.

- Ciekawe... - mruknął Nenilin i wsunął kartę do notesu komputerowego, po czym pochylił się nad ekranem i zmarszczył brwi. - Spodziewałem się raczej manipulacji długością telomeru za pośrednictwem genów supresorowych... Z pewnością nie tego... Tak, to naprawdę bardzo, bardzo ciekawe. - Zawiesił głos, jakby ostrożnie formułował w myśli pytanie. - Naprawdę jesteście Mandalorianami?

- Chodzi ci o to, czy naprawdę potrafimy używać skomplikowanych słów i czy chodzimy na dwóch nogach? Cóż, niektórzy z nas ewoluowali. - Gilamar zetknął opuszki kciuka i palca wskazującego tak, że tworzyły okrąg. - Widzisz? Może za kilka tygodni wynajdziemy koło! Widać Nenilin porządnie zirytował doktora. Skirata miał nadzieję, że nie dojdzie do rękoczynów.

- Miałem tylko na myśli... - zająknął się naukowiec. - Pan ma chyba wykształcenie medyczne?

- Jestem tylko wiejskim konowalem - burknął Gilamar. - Obawiam się, że nie mieliśmy żadnego wartego uwagi genetyka od czasu Demagola.

Nenilin zrobił minę, jakby podejrzewał, że powinien znać to nazwisko. Ponieważ nie znał, nie wiedział, czy Gilamar stroi sobie z niego żarty, czy mówi poważnie. Gdyby się dowiedział - jeśli



by się dowiedział - rozpoznałby zniewagę. Ale Skirata widział doskonale, że biolog połknął już haczyk i kierowała nim teraz nienasycona ciekawość. Z pewnością nie będzie sobie zawracał głowy taką bzdurą, jak porównanie do najbardziej niesławnego i zniechęconego mandaloriańskiego naukowca.

Nie mieli gwarancji, że Nenilinowi się powiedzie. Ko Sai, ta parszywa przynęta na aiwhey, uważała się za wyjątkowo błyskotliwego inżyniera genetycznego - być może najwybitniejszego w historii galaktyki. Mieli twarde orzechy do zgryzienia.

- To nie jest cały materiał, mam rację?

- Oczywiście, że nie - parsknął Skirata. - Mamy jednak współpracowników, którzy byliby bardzo zawiedzeni, gdybyśmy przekazali panu całość badań...

Nenilin patrzył teraz na Gilamara z nieco większym szacunkiem.

- Czego dokładnie ode mnie oczekujecie?

- Proszę przejrzeć dane, które panu przekazałem i powiedzieć, czy wykluczenie tych dwóch genów H wpłynie na którekolwiek w grupie chromosomu dziewięć-A albo czternaście-B.

- A więc sami już do tego doszliście?

- Czekam na pana ocenę.

- Jeżeli chcecie zatrzymać proces przyspieszonego starzenia, potrzebujecie czegoś więcej niż tylko kontroli aktywności telomeru. Ale podejrzewam, że to również już wiecie. Czy jednak moglibyście mi wyjaśnić jedną małą rzecz? - Nenilin uśmiechnął się kpiąco. Skirata pomyślał, że stary spędza stanowczo zbyt wiele czasu w towarzystwie wpatrzonych w niego jak w obrazek studentów. Może powinien był pozwolić Gilamarowi dać mu małą nauczkę? - Skoro wasi... współpracownicy zdołali znaleźć sposób na przyspieszenie procesu starzenia, nie powinni mieć problemów z cofnięciem zmian w genomie, prawda?

Tym razem to Gilamar uśmiechnął się z wyższością.

- A czy ktoś twierdził, że chodzi tylko o manipulację procesem dojrzewania? - zapytał. -

Nie mogę oczywiście ujawnić zbyt wiele, ale... może mówimy o wymianie materiału między poszczególnymi genomami, a może nawet o tworzeniu... całkiem sztucznych genów? Zdaje pan sobie chyba sprawę, doktorze, jak brzemienne mogłoby to być w skutkach?

Nenilin aż pokraśniał na wzmiankę o sztucznie tworzonych genach. Pewnie dla takich jak on byłaby to gratka.

- A może po prostu wykradliście te dane konkurencji i brakuje wam kluczowych części materiału?

- Powiedzmy, że genetyk, który mógłby nam pomóc, nie bardzo jest w stanie to zrobić, ponieważ... nie żyje - uciął jego dywagację Skirata.

Złośliwy uśmieszek Nenilina zniknął bez śladu. Skirata miał nadzieję, że facet udławi się tym zakichanym ale, jednak wcześniej na coś im się przyda. Nawet nie zapytał o wynagrodzenie. A Skirata nie ufał nikomu, kto nie miał swojej ceny.

- Jest jeden warunek - powiedział w końcu Nenilin i Kal poczuł ulgę. Zwykła, zdrowa chciwość.

- Śmiało. - Skinął życzliwie głową.

- Jeżeli uda mi się ułożyć waszą małą układankę, pozwolicie mi wykorzystać dane do moich badań. Oczywiście, żadnego ujawniania źródła — zastrzegł szybko. - Macie na to moje słowo.

Nie było jednak szans, żeby zapomniał o swoich projektach. Tak czy inaczej, nie przejdzie to z pewnością bez echa w jego profesji. Jednak co Nenilin robi z danymi, kiedy już rozwiąże zagadkę przyspieszonego starzenia klonów - jego klonów, jego chłopców... synów - obchodziło Skiratę mniej niż zadek motta. Jego definicja odpowiedzialności zmieniła się nieco od czasu,

kiedy postanowił znaleźć lekarstwo na proces przyspieszonego starzenia. Teraz był gotów udostępnić je każdemu klonowi w Wielkiej Armii, który o nie poprosi. W pierwszej kolejności zamierzał jednak zadbać o swoich.

- Shab\ Nawet ci za to zapłacimy! - parsknął i rzucił mu od niechcenia kredytowy czip o wysokim nominale, jakby naukowiec był kelnerem czekającym na napiwek. - To cię zmotywuje. Kup sobie jakieś próbówki czy co ci tam trzeba.

- Raczej chłodziarkę, skalpele hydrauliczne i kuwety - obruszył się Nenilin. - Ale dziękuję, przyda się.

- Będziemy się z tobą kontaktować co tydzień. - Skirata wstał i ruszył do wyjścia. -

Robienie z panem interesów to czysta przyjemność, doktorze Nenilin.

Mereel i Gilamar podążyli za Skiratą do głównej sali kantyny, przeciskając się przez hałaśliwy tłum nobliwej klienteli. Wszyscy bywalcy sprawiali wrażenie przedstawicieli tego samego gatunku co Nenilin. A podobno to klony są takie same, pomyślał gorzko Kal. Brak zaufania Skiraty do wyższych klas społecznych nie wynikał tylko z jego kuatskich korzeni. Brał się ze sposobu, w jaki te istoty obnosiły się ze swoją bezgraniczną ignorancją. Za każdym razem, kiedy zetknął się z takim zjawiskiem, musiał trzymać nerwy na wodzy. Kiedy wyszli na zewnątrz, odetchnął z ulgą chłodnym powietrzem; czuł się jak topielec, któremu właśnie udało się wynurzyć na powierzchnię. Nawet alejka, którą szli, była utrzymana w pseudozabytkowym stylu. Nieudolna imitacja wcale nie wyglądała przekonująco.

Skirata wyciągnął z kieszeni trzy kawałki korzenia ruik, rozdał swoim towarzyszom, włożył swoją część do ust i żuł przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

- Co o tym sądzisz, Mij? - zapytał w końcu.

- Zobaczymy, co wykombinuje.

- Miałem wrażenie, że gada ze swoją shebs.

- Cóż, jeśli poznamy jego metodologię, będziemy mogli się dostosować - mruknął Gilamar.

- Wytykanie, co nie działa, na nic nam się nie zda.

- Obiecuj mi, że nie zabijesz go, dopóki nie wyciągniemy z niego jakichś przydatnych informacji...

- Hm, ciężka sprawa - sapnął Mij. - Wiele radochy sprawiłoby mi zabawienie się z tym koleśkiem wielką zardzewiałą strzykawką... Ale do rzeczy: chciałeś, żebym wpadł obejrzeć Kad'ika. Mam iść do niego, zanim złożę wizytę Zeyowi i wyjaśnię mu, gdzie może sobie wsadzić swoją propozycję?

- Najpierw wpadnij do Zeya - poprosił Kal. - A ja nie mam szczególnych zaleceń co do miejsca aplikacji propozycji...

- Wad'e i ja... cóż, nie potrafiliśmy przekonać go, że Mando'ade mają lepsze rzeczy do roboty niż szkolenie kolejnych żołnierzy do wykonywania tajnych operacji.

W kółko to samo, westchnął w duchu Kal. Klonom z tajnej grupy operacyjnej nakazano polować na ARC, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo WAR i zbiegli. Gilamar i Tay'haai bardzo źle przyjęli tę wiadomość, chociaż i tak chyba lepiej niż Darman, który wściekł się tak bardzo, że zabił dwóch z nich. Republika gniła od środka i Skirata miał wrażenie, że im bardziej nią trzęsło, tym więcej robactwa wypadało z jej trzewi. Klony zabijające klony... tego już za wiele, zdaniem Skiraty.

- Mij - powiedział łagodnie - im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej.

- I tak mamy dostęp do wszystkich ważnych informacji - zaoponował Gilamar. - Jaing i Mereel mogą się włamać do każdego systemu Republiki, włącznie ze Skarbem. Dlaczego po prostu nie oskubiemy Palpatine'a i nie pryśniemy?

Skirata próbował zachować kamienną twarz. Gilamar nie miał nawet pojęcia, jak bliski był prawdy. Kal czuł się paskudnie, oszukując go, ale wiedział, że to oszczędzi mu wielu kłopotów. Wiedział tyle, ile było konieczne, i nic poza tym.

- Tak, ale w ten sposób możemy wpływać bezpośrednio na sytuację - argumentował. - Naprawdę stęskniłeś się za Priestem i Reau?

- Nie musiałeś tego mówić. - Gilamar aż się zapienił. - Wszyscy, byle nie oni. - Nienawidził tej dwójki z całego serca. - Nadają się w sam raz do Straży Śmierci. Priest i te jego krwawe zapasy... - parsknął. - A ona i te jej „wyruszmy ponownie na podbój galaktyki!”... osik lepsza. Nie tego potrzeba Mandalorze.

- Umiem motywować, co? - Kal mrugnął do niego.

Gilamar w zamyśleniu potarł grzbiet skrzywionego brzydko nosa. Złamanie było pamiątką po szczególnie ostrym meczu get shuka. To dzięki niemu Mij wyglądał raczej na takiego, co to potrafi porządnie przyłać, a nie leczyć kontuzje. Cóż, tak naprawdę jedno nie wykluczało drugiego.

- Lepiej, żeby trzymali się z dala ode mnie - burknął. - Szczególnie on. Jango musiało zdrowo pokręcić, że ich zwerbował.

- Tylko żartowałem, Mij...

- W porządku. Wyjaśnij mi, proszę, na jakich dokładnie informacjach nam zależy.

- Na wszystkim, co dotyczy terminu zmiany strategii - wyjaśnił Skirata. - Tak jak ci mówiłem, zanoszą się na zmiany. Słyszałem sporo plotek i nie chciałbym, żeby wpakowali moich chłopców w jakieś osik.

Gilamar stał przez chwilę z rękami na biodrach, wpatrując się bez słowa w buty Skiraty.

- Zgoda, ale wiedz, że robię to tylko dla ciebie. I zrób coś w końcu z tą swoją nogą. To prosty zabieg. Nie musisz całe życie zgrywać męczennika.

Może nim właśnie jestem, pomyślał smutno Kal.

Przez prawie czterdzieści lat nie pozwolił zoperować sobie kostki. Wmawiał sobie, że ta pamiątka po urazie przypomina mu, żeby nie podejmował niepotrzebnego ryzyka, ale tak naprawdę traktował związane z tym niedogodności jako pokutę. Od czasu uratowania Orda i jego braci z rąk Kaminoan sypiał na siedząco, żeby ich pilnować. Postanowił, że nie zaśnie wygodnie w łóżku, dopóki nie zapewni im bezpiecznej przyszłości. Tak naprawdę nie wiedział, co miał spowodować ten rytuał z kostką na którego odprawianiu strawił sporą część życia. Utrzymać go w formie? Oblaskawić bóstwa, żeby zesłały jego chłopcom dobry los?

- Masz rację - powiedział. - Wyleczę ją.

Mandalorianin pokiwał głową i ruszył przed siebie. Mereel, jak zwykle milczący, skierował się w drugą stronę, na parking dla śmigaczy.

- No, no... Nasz profesorek nie bronił zbyt długo teorii zabraniającej mu wykorzystywać biedne, uciskane klony, takie jak ja - mruknął. - Cholerna chorągiewka na wietrze.

- Synu - powiedział łagodnie Skirata. - Gdyby wszyscy naukowcy mieli sumienia, wciąż walczylibyśmy kamiennymi toporkami. Jak myślisz, kto wynajduje te wszystkie przydatne blastery, lasery i działa jonowe?

- Podejrzewam, że banda uczonych protestujących przeciw wojnie.

- Zgadza się. Gdybyśmy jednak tam wrócili i gdybyś zdradził naszemu przemądrzałemu koleżce, kim naprawdę jesteś, a potem poprosił go o pomoc dla ciebie i twoich braci, wzięłyby te swoje krzywe kulasy za pas tak szybko, że aż by się za nim kurzyło. To dla niego czysta teoria, nie traktuje tego osobiście. Gorzej... nie motywuje go nawet wizja zarobku. Nienawidzę ludzi z poczuciem misji. Nie można im ufać.

- Jasne - parsknął Mereel. - Uważaj, bo uwierzę, że wypruwasz sobie przez nas flaki dla kredytów i sławy.

- To co innego - zaprotestował Skirata. - Jesteście moimi dziećmi.

- Tak czy inaczej, moglibyśmy się obejść bez niego. To tylko jeden z wielu, dostał zaledwie fragment danych. A poza tym wątpię, żeby miał ochotę paplać o tym na lewo i prawo przy kafele w świetlicy uniwersytetu. Żaden z nich nie odważy się puścić pary z gęby. Każdy będzie ślęczał nad własną częścią genomu, przekonany, że został dopuszczony do wyjątkowego sekretu. Nie mają szans na ogarnięcie całości.

- Prędzej czy później będziemy musieli w jakiś sposób poskładać wszystko do kupy i przetestować kurację.

- Zgłaszam się na ochotnika.

Rozwiązanie należało przetestować na klonie. Skiracie nigdy nie przyszedłoby do głowy traktować jak króliki doświadczalne nawet zwykłych żołnierzy, których nigdy nie spotkał, a już na myśl o wypróbowaniu niesprawdzonej terapii na którymś z jego chłopców serce podchodziło mu do gardła. Nie mógł wypróbować jej na sobie samym, niezależnie od tego, jak bardzo by tego pragnął.

Było to jedyne poświęcenie, które leżało poza jego możliwościami.

- Zanim zaczniemy cokolwiek robić, musimy się upewnić, że w razie czego cały proces będzie można cofnąć - powiedział Skirata, mierzwiąc czule czuprynę Mereela. - Nie chcę narażać was na niebezpieczeństwo.

Mereel roześmiał się w głos.

- Jasne, lepiej posyłać nasze shebs pod ostrzał!

Skiratę ogarnęło nagłe poczucie winy. Często mu się to zdarzało i przeważnie miało związek z jego synami.

- W każdej chwili możesz wrócić na Mandalorę - powiedział cicho. - Nie musisz walczyć.

- Ostatnie, na co mam ochotę, to siedzieć tu na shebs, podczas gdy moi bracia walczą. - Wydawało się, że Mereel niezbyt przejmuje się wizją przedwczesnej starości. Bardziej interesował go pobliski neon. Przyspieszył kroku. - A może będziemy mogli zbadać próbki pobrane od Kad'ika.

Skirata stanowczo pokręcił głową. Etain pozwoliła Ko Sai zbadać genom swojego syna, ale Kaminoanka była wtedy więźniem trzymanym w odosobnieniu. Jej wiedza nie mogła zostać wykorzystana przez resztę klonerów. Gdyby jednak ktoś zorientował się, że Darman i Etain mają syna, dziecko stałoby się gorącym towarem. Połączenie Jedi z żołnierzem doskonałym - za taką kombinację wiele ośrodków badawczych i rządów gotowych byłoby się nawzajem pozabijać.

- To zbyt niebezpieczne, Mer'ika - powiedział cicho Skirata. - Mogą wykryć midichloriany i o wszystkim się dowiedzieć.

- Może Zakon Jedi wiedziałby, jak się do tego zabrać...

- Myślisz, że nie zorientują się, że z materiałem komórkowym jest coś nie tak?

- Kad'ika jest jedynym dzieckiem kлона, o jakim wiemy. I tylko on może nie mieć genów przyspieszonego starzenia... a przynajmniej tego, co za nie uważamy. - Mereel mówił wolno i spokojnie, jakby usiłował wytłumaczyć niczego nierozumiejącemu Skiracie trudną lekcję biologii za pomocą wykresów przedstawiających squalle i jakraby. - Myślałem, że z jakiegoś im tylko znanego powodu Kaminoanie włączyli w podstawowy model Jango geny recesywne, ale okazuje się, że w genetyce nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Dodanie czy ujęcie genu, zastąpienie go innym czy przemieszczenie może mieć wpływ na całą resztę. Geny tworzą łańcuch, są ze sobą połączone. To coś więcej niż tylko poszatkowanie sekwencji genów i złożenie ich z powrotem do

kupy. Gdyby było inaczej, klonowanie nie byłoby tak dochodowym interesem i zazdrośnie chronioną tajemnicą. Bardzo trudno jest uzyskać właściwy efekt.

Skirata nie miał zamiaru się z nim sprzeczać. Całe to przedsięwzięcie było tylko i wyłącznie jego inicjatywą. Nie mógł teraz po prostu odwrócić się na pięcie i powiedzieć im, że jest granica, której nie przekroczy; oznajmić, że zaprzestaje walki o ocalenie swoich klonów od przedwczesnej śmierci. Nie wiedział, czyjego niechęć do pomysłu Mereela wynikała ze strachu przed ujawnieniem Kad'iki światu, czy po prostu nie podobał mu się pomysł wykorzystywania dziecka w badaniach genetycznych. To wszystko za bardzo mu cuchnęło Kaminoanami. To przecież tylko dziecko, pomyślał. Mój wnuk... Naprawdę jest moim wnukiem.

- Moglibyśmy też spróbować zabrać się do tego od strony embriologii - zaczął znowu Mereel. - Doktor Elliam Baniora. Sporo słyszałem o jego osiągnięciach w tej dziedzinie. Moglibyśmy mu powiedzieć, że chcemy sprawdzić, czy można sklonować ludzi o przedłużonej żywotności, potrzebnych do pracy.

Historie z okładek mogły zawierać w sobie tylko tyle prawdy, żeby sprawiały wrażenie prawdziwych. Skirata zastanawiał się, czy powiedzieć im swoją prawdę: że zanim w jego życiu znalazła się garstka małych klonów, które potrzebowały jego pomocy, był zwykłym nieudacznikiem, więc teraz zrobi wszystko, żeby zapewnić im normalne, długie życie. Jeżeli ceną dyktowaną przez naukowców za pomoc jego chłopcom miała być biotechnologia, zapłaci ją. Nie zawaha się przed niczym. Chciał tylko dać im szansę na to, co dla innych było normą.

- Wiesz, co jest w tym najzabawniejsze? - Skirata wyłączył blokadę w śmigaczu złupionym na terrorystach Jabiiim, którym z pewnością na nic by się już nie przydał, bo byli martwi - i zauważył, że neon, w który wpatruje się Mereel, jest reklamą sklepu ze słodyczami. Klony były wiecznie głodne i uwielbiały łakocie. Może było to w jakiś sposób związane z ich przyspieszonym dojrzewaniem? Ich organizm musiał sobie przecież w jakiś sposób radzić z takim tempem zmian. - Że ten facet siedział tuż obok ciebie i nawet mu przez myśl nie przeszło, kim tak naprawdę jesteś. Założę się, że większość mijających nas aruetiise nie ma pojęcia, jak wygląda żołnierz klon. Zresztą nawet ich to nie obchodzi, pomyślał. No, są oczywiście wyjątki, jak na przykład Besany. Merell zatrzymał się w pół kroku.

- Poczekasz na mnie kilka minut, Kal'buirl Chciałbym coś kupić.

- Kandyzowane orzechy? - domyślił się Kal.

- Słyszałem, że mają tu doskonałe.

Skirata odruchowo poszperał w kieszeniach i wcisnął Mereelowi w rękę garść kredytów.

- Najwyższy czas, żebyśmy założyli wam konta bankowe - mruknął.

Mereel wzruszył ramionami.

- Nie narzekamy przecież na biedę.

- Chodzi mi o rachunki oszczędnościowe. Nie będziecie przecież wiecznie na łasce Republiki. To na wypadek, gdyby coś mi się przydarzyło - dodał.

- Buir, przecież tak jak mówił Mij, możemy się włamać do każdego systemu bankowego w galaktyce - jęknął Mereel. - Jesteśmy już dużymi chłopcami! A tobie na pewno nic się nie stanie. Skirata balansował na niebezpiecznej granicy między chęcią chronienia swoich adoptowanych synów przed okrutną galaktyką a przyznaniem im swobody w decydowaniu o własnym losie, której poskąpiła im Republika. To był dylemat rodzica, tyle że na większą skalę, a wszystko dodatkowo komplikował fakt, że chłopcy starzeli się szybciej niż normalni ludzie. Nie chciał wydzielać im kieszonkowego jak małym dzieciom. Byli dorosłymi mężczyznami, żołnierzami - i

powinni mieć środki, które pozwolą im żyć na poziomie. Zasługiwali na prawo dokonywania podstawowych wyborów, które przysługiwało zwykłym obywatelom.

- To nie żadne pranie pieniędzy - uspokoił go Skirata. - Jaing założy wam wszystkim normalne rachunki osobiste, konta, z których będziecie mogli korzystać według uznania i bez mojego pozwolenia.

Mereel roześmiał się i ruszył w stronę sklepu.

- Gdybym miał pieniądze, natychmiast wydałbym wszystko na szybkie śmigacze, piękne kobiety i drogie słodycze... - rzucił na odchodnym.

Skirata siadł za sterami pojazdu i czekał cierpliwie na Mereela. Dla zabicia czasu sprawdził wiadomości w komunikatorze. Wiedział, że nie musi się martwić o Mereela. Chłopak był towarzyski i pewny siebie. Skirata był pewien, że bez trudu znajdzie sobie miejsce wszędzie, gdzie rzuci go los. Z całej szóstki Zer to on najlepiej radził sobie z brzemieniem, jakim obarczyli ich Kaminoanie. Ale troska o resztę - A'dena, Kom'rka, Jainga i Prudiiego czasem nie dawała mu w nocy spać. No i był jeszcze Ordo.

Jestem po prostu nadopiekuńczy, przywołał się do porządku. Ordo da sobie radę. Jest dorosłym mężczyzną. A poza tym ma Besany...

Gapił się niewidzącym wzrokiem na ekran komunikatora. Bardzo starał się nie faworyzować żadnego ze swoich podopiecznych, ale stracił głowę dla Orda już w chwili, kiedy jako dwuletni brzdąc klon rzucił się z blasterem przeciwko Kaminoanom próbującym skrzywdzić jego braci. Skirata przebiegł wzrokiem serię przesłanych mu przez chłopaka rutynowych raportów. Dane dotyczące sprawozdań finansowych opatrzone były notką, że w trzecią rocznicę wybuchu wojny wojsko miało otrzymać sporo nowego sprzętu. Wyglądało na to, że termin nabierał coraz większego znaczenia. Dziwne... Kal przeczytał dodane do wiadomości krótkie postscriptum: „Pozbyliśmy się agenta wywiadu, który śledził Besany. Trzeba ją namówić do wyjazdu na Mandalorę, zanim stanie się coś złego. Poza tym wzięliśmy ślub”.

Skirata czytał raz po raz ostatnią linijkę. Wychował swoich chłopców po mandaloriańsku; widocznie ideę zawarcia małżeństwa możliwie jak najwcześniej wzięli sobie głęboko do serca, chociaż Skirata nie przypominał sobie, żeby próbował im ją wpoić. Zera nie były już wcale takie młode, jak na standardy Mandalorian. Normą był tam ożenek w wieku szesnastu lat.

Mój chłopiec dorósł i ruszył w świat, pomyślał.

Ślub był właściwie umową między parą kochających się ludzi, niczym więcej, ale stało się to tak niespodziewanie, że Skirata poczuł się dziwnie odtrącony - i wcale mu się to nie podobało.

Ordo zachowywał się nadal jak nadopiekuńczy brat - tak samo jak w Tipoca City - ale Skirata wiedział, że jego obawy są uzasadnione. W powietrzu z pewnością coś wisiało. Mogli się nawet domyślać przybliżonego terminu. Teraz należało się skupić na

115

gromadzeniu środków i znalezieniu sposobu na zatrzymanie procesu starzenia klonów.

Priorytetem było zapewnienie przyszłym dezertantom drogi ucieczki. Zaczęło się od Zer, potem przysła kolej na kompanię jego komandosów, a teraz jego plan uwzględniał każdego zwykłego żołnierza, który chciał od życia czegoś więcej niż tylko niewolniczej służby Republice.

Skirata traktował to jak swoją świętą misję i wiedział, że nie spocznie, póki jej nie wypełni.

Ale tak naprawdę ilu białasów, jak potocznie nazywano zwykłe klony, miałoby ochotę zdezerterować? Ilu z nich miało w ogóle pojęcie, jakiego życia je pozbawiono?

Nie da rady ocalić miliona ludzi, nie mówiąc już o trzech. Uratuje tyłu, ilu zdoła. Chociaż z pewnością nie zdawali sobie z tego sprawy, byli jego wybawieniem - ich zasługi nie ograniczały się tylko do ratowania mu tyłka podczas walki.

Szybciej, Mer'ika\ - ponaglił w myślach chłopaka. Wykupujesz cały sklep, czy jak?

Przejrzał pozostałe wiadomości. Większość dotyczyła interesów. Upłynnienie wszystkich kosztowności, które Vau zrabował z banku na Mygeeto, było czasochłonne, tak samo jak pranie papierów wartościowych i kredytów. Dostał też informację od Rav Bralor na temat postępu budowy twierdzy w Kyrimorut.

Mało brakowało, a przeoczyłby ostatnią wiadomość. Była bardzo krótka:

„Tato, Ruusaan zniknęła. Nie daje znaku życia już od dłuższego czasu. Musimy porozmawiać. Ijaat”.

Ijaat. Jego syn.

Nie syn klon - jedno z adoptowanych dzieci, dla których narażał się dzień w dzień na ryzyko.

Ijaat był jego synem biologicznym, z którym utracił kontakt dawno temu, tak samo jak z drugim - Torem. Jego własne dzieci wyrzekły się go. Był dla nich dar'buirem.

Aruetiise nie rozumieli praw rodziny Mando, ale Mandalorianie uznawali, że być odrzuconym przez własne dziecko to jedna z najgorszych zniewag.

Ruusaan... Ona również nie odzywała się do niego od bardzo dawna, ale też ona jedna nie uznała go za dar'buira. Miał nadzieję, że nie ma mu za złe rozwodu z matką.

Moja mała dziewczynka, pomyślał ze smutkiem. Zniknęła...

Drzwi śmigacza otworzyły się i Mereel wskoczył na siedzenie pasażera. Miał wypchane kieszenie, a na twarzy uśmiech od ucha do ucha.

- Buir! - przyjrzał się Skiracie uważnie. - Buir, co się stało? Skirata nie zdawał sobie sprawy, że jego ból i szok były tak

bardzo widoczne. Dopiero teraz uświadomił sobie, że policzki ma mokre od łez.

- Moja córka - szepnął. - Zniknęła... moja dziewczynka. Skirata miał dwie rodziny - a teraz obydwie były w potrzebie.

Żaden Mandalorianin nie odmówi pomocy swoim dzieciom, nawet jeśli te się go wyrzekły.

- Znajdziemy ją, Buir - powiedział Mereel z przekonaniem. - To przecież nasza siostra.

Skirata też miał taką nadzieję. Rodzinę łączyło coś więcej niż tylko geny.

#### **ROZDZIAŁ 4**

Nie, nie zamierzam bawić się w Mand'alora. W porządku, możesz ogłosić wszystkim, że jestem synem Fetta, jeśli to was uszczęśliwi, ale nie mam zamiaru zajmować się polityką. I porządnej zapłaty. Ten numer pozbawi mnie pracy najemnika.

Spar, były żołnierz ARC-02, do Fenna Shysy, rozważając propozycję udawania syna Fetta  
Restauracja Kragget, dolne poziomy Coruscant, 938 dni po Bitwie o Geonosis

- Witaj, złotko! - Twi'lekańska kelnerka przywitała Etain szerokim uśmiechem. - To co zwykle?

- Z miłą chęcią. - Etain odwzajemniła uśmiech. - Dzięki. Nikt nie trafiał do Kraggeta przypadkiem. Przychodzili tu tylko

stali bywalcy. Lokal sprawiał wrażenie obskurnego i mieścił się na granicy dolnych poziomów, więc siłą rzeczy przyciągał tych, którzy

spędzali wiele czasu w niezbyt bezpiecznej okolicy - głównie pracowników Coruskańskich Sił Bezpieczeństwa. Generał Etain Tur--Mukan, Jedi, także od jakiegoś czasu była stałym bywalcem Kraggeta, ale to nie serwowane cały dzień obfite śniadania ją tu sprowadzały. Przychodziła tutaj, żeby ukradkiem zobaczyć się ze swoim synkiem.

Dała mu na imię Venku, ale teraz wszyscy wołali na niego Kad - Kad'ika, Mały Miecz.

Kad miał już prawie roczek i każdego ranka na myśl o kolejnym dniu, którego nie mogła z nim spędzić, jej serce krwawiło. To, że opiekowała się nim mała armia troskliwych nianieł, wcale nie

zmniejszało bólu wywołanego koniecznością ukrywania faktu, że jest matką, przed każdym - włącznie z ojcem Kada.

Wiedziała, że im dłużej będzie zwlekać, tym trudniej będzie jej powiedzieć Darmanowi, że ma syna.

Skierowała się do stolika w kącie, odpowiadając po drodze grzecznie na powitania oficerów CSB. Znała większość z nich z widzenia, choć nie z nazwiska. Brązowe szaty Jedi dawały jej komfortową anonimowość - działały tak samo jak zbroja klona: nikt nie pytał, co robi w tak obskurnym miejscu, ponieważ Jedi często zlecano brudną robotę, a poza tym i tak należała do bandy Kala Skiraty. A całe CSB, szczególnie kapitan Jaller Obrim, darzyło Skiratę i jego chłopców sympatią i szacunkiem.

- Pani generał, czy ma pani jakieś wieści od Fi? - zapytał jeden z mężczyzn, kiedy usiadła przy stoliku.

- Szybko wraca do zdrowia - odparła. Oficerowie wiedzieli, że Fi przeżył, ponieważ pomagali Besany go ratować. Myśl, że Etain nie jest jedyną kobietą która porywała się na szalone, niebezpieczne rzeczy dla dobra klonów, była pocieszająca. - Ma nawet dziewczynę - dodała z uśmiechem.

Wśród klientów rozległy się pomruki uznania. Gliniarze lubili Fi. Właściwie nie było chyba nikogo, kto by go nie lubił. Fi był zabawnym, miłym chłopcem, a wśród pracowników CSB nadal krążyły legendy o tym, jak kiedyś rzucił się na granat, żeby chronić ich ludzi. To budziło podziw. Wtedy ocalała mu życie zbroja typu Katarn, która nie uchroniła go jednak przed urazem mózgu na Gaftikarze. Nawet komuś takiemu jak Fi szczęście musiało kiedyś nie dopisać.

- Jeżeli kiedykolwiek wróci - powiedział oficer - proszę mu powiedzieć, żeby zajrzał do naszego klubu, dobrze?

- Na pewno mu powtórzę - zapewniła go Etain.

Przy jej stoliku zjawiała się Soronna, twi'lekańska kelnerka pracująca w Kraggecie na dzienną zmianę, i postawiła przed nią filiżankę kawy.

- Laseema się spóźnia - powiedziała lekko zaniepokojona Etain. - Czy coś się stało?

- Nie, wyskoczyła po prostu kupić trochę ciuszków dla małego. - Soronna mrugnęła do niej porozumiewawczo. Jak to kiedyś określił Darman, kelnerka pierwszą młodość miała już dawno za sobą, ale nadal był w niej jakiś zniewalający magnetyzm. Poruszała się lekkim krokiem tancerki, którą kiedyś była, i wciąż przyciągała spojrzenia klientów. - Kad'ika rośnie jak na drożdżach. Ten malec ma prawdziwy apetyt na życie! Zupełnie jak jego dziadek, w gorącej wodzie kąpany!

Mój synek, pomyślała Etain.

To moje dziecko, ale to nie ja wybieram dla niego ubranka. To nie ja go karmię i to nie ja kołyszę go co noc do snu.

Czy Soronna wiedziała, że Etain jest matką małego? Jeżeli nawet, to nie dała niczego po sobie poznać. Ale Skirata zwykł otaczać się ludźmi, którzy znali zasady i trzymali język za zębami. Stawka była zbyt wysoka, żeby ryzykować.

No i co z tego? - zbuntowała się w duchu Etain. Co takiego się stanie, jeżeli wyleją mnie z Zakonu za związek z Darmanem?

Korciło ją, żeby skontaktować się z generałem Zeyem i do wszystkiego przyznać. Ostatnio zdarzało jej się to coraz częściej. Gdyby się jednak na to zdecydowała, straciłaby stanowisko i wpływ na losy wojny. Nie mogła odwrócić się od Wielkiej Armii w takiej chwili, kiedy dowódcy rozpaczliwie potrzebowali każdego wyszkolonego Jedi.

Bardan nie jest już Jedi... a jednak wciąż pomaga, przypomniała sobie.



W chwili kiedy Bardan Jusik postanowił opuścić Zakon, wszystkie jej argumenty przemawiające za utrzymaniem ciąży w tajemnicy straciły sens. Jego decyzja nic zresztą nie zmieniła. Nadal był głęboko zaangażowany w walkę i pomagał klonom tak jak wcześniej. Etain zapatrzyła się w swój kubek i zastanowiła się, czy przypadkiem nie przywiązała się po prostu za bardzo do takiego życia. A może zanadto przejmowała się, co pomyślą o niej inni Jedi?

Mawiają, że nieważne, ile masz lat, zawsze w głębi duszy pragniesz aprobaty rodziców, przyszło jej do głowy.

Chwilę później drzwi restauracji otworzyły się na oścież i do środka weszła Laseema z Kad'iką opartym na biodrze, dźwigając w drugiej ręce torbę z zakupami. Wyglądała jak zwykła młoda, szczęśliwa mama i Etain nie mogła przed sobą udawać - na jej widok ścisnęło ją w gardle.

Próbowała grać rolę przyjaciółki zachwyconej dzieckiem Twi'lekanki, ale było to niemal ponad jej siły. Kiedy mały uderzył w płacz, omal nie pękło jej serce. Chciała porwać go w ramiona i utulić. To był odruch, pierwotna potrzeba.

Kilku gliniarzy zaczęło gaworzyć do chłopca, próbując go uspokoić, ale malec nie przestawał zanosić się płaczem i wiercić w objęciach Laseemy.

- Każdy z nich chciałby być dobrym wujkiem - mruknęła Twi'lekanka, puszczając mimo uszu chór zachwyty. Podniosła malucha i podała Etain, jakby chciała ją namówić do potrzymania go chwilę na rękach. - Proszę. Chcesz go pokołysać?

Kiedy Jedi utuliła Kad'ikę w ramionach, chłopiec natychmiast przestał płakać, a Etain miała wrażenie, że cały świat nagle przestał istnieć. Pachniał cudownie, jak każde niemowlę, i był taki... taki jej. Głina przy stoliku obok odstawił swój kubek kafu i pochylił się w ich stronę, strojąc miny, jakie zwykle robią dorośli do małych dzieci. Etain otarła małemu zaśliniony podbródek, a chłopiec patrzył na oficera jak zahipnotyzowany tymi swoimi ogromnymi, ciemnymi oczami. Oczami Darmana.

- Nio, ktio tio? Nio ktio jeść takim słodziuskim maleństwem?-Facet był potężnym, barczystym gliną, który wyglądał, jakby wolny czas spędzał na łupaniu dla rozrywki kamieni gołymi rękami, jednak przy dziecku miękł jak wosk. Spojrzał na Etain. - Byłabyś doskonałą matką - powiedział, a kobieta o mało się nie rozpląkała. - Świetnie sobie radzisz.

- Takie tam sztuczki Jedi - zażartowała z wymuszonym uśmiechem. Najwyższy czas udać się w jakieś odosobnione miejsce, zanim zupełnie się rozkleję, pomyślała. Jedi czy nie, jej hormony wciąż jeszcze wariowały, a sprawę pogarszał jeszcze fakt, że musiała żyć z dala od osób, które były jej najdroższe. - Chyba trzeba mu zmienić pieluszkę - powiedziała. - Chodźmy, Laseemo. Jeśli wszystkiego nie dopilnujemy, Kal znów będzie kwękał, że zaniedbujemy jego wnuka.

Apartament Laseemy, który Skirata kupił, żeby wyrwać Twi'lekanę z łap Hutta Qibbu i zapewnić im bazę poza koszarami, mieścił się w tym samym przysadzistym, surowym budynku z permabetonu, co Kragget. Do apartamentu można się było dostać, wychodząc z lokalu tylnym przejściem, przez kuchnię. Potem wystarczyło wjechać turbowindaną wyższy poziom i przejść schodami kawałek dalej. Lokal sprawiał wrażenie fortecy, zresztą pewnie był to jeden z powodów, dla których Skirata wybrał właśnie to miejsce. Mieszkanie zajmowało całe piętro. Etain szła przodem, a Laseema trzymała się kilka kroków za nią. Drzwi wejściowe prowadziły prosto do przestronnego pokoju gościnnego. Pomieszczenie pełniło chyba wcześniej rolę magazynu, a teraz można było wyczuć, że bywają tu trzy zupełnie różne osoby zajmujące się tym samym małym dzieckiem. We wnętrzu unosił się zapach jedzenia, prania i odświeżacza powietrza. Etain wyczuwała przez Moc emocje osób, które spędzały tutaj najwięcej czasu. Jusik był odrobinę zaniepokojony, jednak z pewnością spokojniejszy niż Laseema, której nieustająca troska o Atina nie pozwalała w nocy spać. Z lekkim zaskoczeniem Jedi stwierdziła, że aura

Skiraty nie jest już tak mroczna jak jeszcze niedawno. Wciąż rozpoznawała żal, gniew i potrzebę bezinteresownego poświęcania się dla innych, ale była też głęboka radość, łagodność, których nie wyczuwała wcześniej. Na stole leżał stos najróżniejszych części elektronicznych i plątanina kabli, które musiały być ostatnim projektem Jusika. W pokoju nie było właściwie żadnych namacalnych śladów bytności Skiraty; wychowany wśród prowadzących koczowniczy tryb życia Mandalorian mężczyzna nauczył się zachowywać ostrożnie.

- Na ile cię puścili? - zapytała Laseema.

Etain podeszła z Kad'iką do najbliższego krzesła. Chłopiec stanął na nóżkach, trzymając się mebla. Przez chwilę trzymał się prosto, ale zaraz wylądował z rozmachem na pupie i roześmiał się radośnie.

- Dwa dni.

- Ach... - powiedziała cicho Laseema.

- Przejęłam teraz obowiązki Bard'iki. Dwa dni to sporo czasu, kiedy zajmujesz się grupą komandosów. - Etain wpatrywała się w swojego synka z miłością. Nie mogła się nadziwić, jak bardzo urósł od ostatniego razu, kiedy go widziała. - Padam z nóg, ale żal mi marnować czas na sen. - Potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem.

Pilnowanie pięciu tysięcy komandosów to trudne zadanie. Byli bardzo samodzielni i właściwe jedyne, co mogła zrobić, to przekazywać im informacje na temat misji, rozpatrywać ich prośby, rozwiązywać problemy i towarzyszyć im na polu walki. Mieli stanowczo zbyt mało Jedi, żeby mogli nimi we właściwy sposób kierować.

Oto kolejny argument przemawiający za tym, żeby zostać w Zakonie... - podszepnął jej cichy głosik.

A w dodatku komandosi tak bardzo się między sobą różnili! Nie licząc garstki szkolonej przez Skiratę, każda drużyna wydawała się hołdować własnym zwyczajom - nawet te trenowane przez Walona Vaua i Rav Bralor, których członków musiała siłą rzeczy poznać nieco bliżej.

- Opowiadam mu o tobie - powiedziała Laseema, wskazując na Kad'ikę. - Wiem, że jest jeszcze za mały, żeby zrozumieć, ale zawsze mówię mu: „Niedługo wróci mama!” i inne rzeczy... Nigdy byś nie uwierzyła, jak wiele rozumie...

Etain przeniosła wzrok na kelnerkę. Laseema była typową młodą śliczną Twi'lekanką, której los nie rozpieszczał, dopóki nie znalazła bratnich dusz pośród klonów. One również nie miały łatwego życia, więc znakomicie się rozumieli. Wyglądała na lekko zawstydzoną, jakby ogarnęło ją nagle poczucie winy z powodu zajmowania się synkiem innej kobiety.

- Dziękuję - powiedziała Etain. - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. To wszystko moja wina. Gdyby nie ty... cóż, wystarczy mi świadomość, że jest w dobrych rękach.

- Nie próbuję zająć twojego miejsca - zaprotestowała słabo Laseema, chyba jednak niezbyt przekonana.

- Nigdy mi to nawet nie przeszło przez myśl, ale gdyby nawet, chyba nie mogłabym narzekać.

Laseema spojrzała na nią z zakłopotaniem. Ostatnio bardzo się zmieniła. Zrezygnowała z frywolnych, obcisłych i głęboko wydekoltowanych ciuszków, w jakie zwykły stroić się twi'lekańskie dziewczęta, na rzecz znacznie mniej krzykliwych i zakrywających więcej ciała ubrań. Może chciała w ten sposób odciąć się od przeszłości i jasno dać wszystkim do zrozumienia, że nie jest już dłużej zabawką trzymaną dla rozrywki wbrew własnej woli w obrzydliwej spelunie Huttów? Etain poprzysięgła sobie, że za każdym razem, gdy zacznie narzekać na własny los, przypomni sobie o życiu, na jakie była skazana większość młodych Twi'lekanek.

- Kal stracił dla niego głowę - powiedziała Laseema, próbując sprowadzić rozmowę na neutralny grunt. - Świetnie sobie radzi z dziećmi. Uwierzyłybyś? Mandalorianie sprawiają wrażenie takich brutalnych twardzieli...

Skirata został wychowany w duchu mandaloriańskiej więzi z najbliższymi i bezwarunkowego oddania własnemu klanowi. Małe dzieci wzbudzały w nim odruch opiekuńczy.

- A Bard'ika?

- Uwielbia małego. Kiedy się z nim bawi, powoli oswaja go z Mocą.

- Naprawdę? - Etain zmarszczyła z troską czoło, ale po chwili uznała, że to jednak dobre rozwiązanie. Jeżeli Kad'ika nauczy się korzystać z Mocy jednocześnie z przyswajaniem innych umiejętności, takich jak chodzenie, w razie potrzeby będzie umiał ukrywać swoje zdolności. - Muszę z nim o tym porozmawiać.

Laseema chyba pożałowała, że się wygadała.

- Cudowny z niego brzdąc. Rzadko kiedy płacze i do wszystkich się uśmiecha. Kal twierdzi, że to kubek w kubek mały Darman.

A mnie to wszystko omija, pomyślała ze smutkiem Etain. Nie mogę obserwować, jak rośnie i jak się rozwija...

Etain była Jedi. Obowiązki nie pozwalały jej poświęcać się wychowywaniu dzieci. Teraz lepiej niż kiedykolwiek wcześniej rozumiała, dlaczego Zakon zabraniał wchodzenia w związki. To była surowa zasada i Etain niezbyt podobała się świadomość, że Zakon wychowuje kolejne pokolenia Jedi w bezdusznym odseparowaniu od emocji, ale w chwilach takich jak ta docierało do niej, jak niebezpiecznie jest przywiązywać się do kogoś tak mocno, że uczucia zaślepią i zniekształcą trzeźwy osąd.

Jeśli jednak wzbraniamy się przed odczuwaniem emocji... jakie mamy prawo oceniać tych, którzy nie posługują się Mocą? - zastanowiła się. Jak możemy rozumieć ich pobudki?

Wolała nie myśleć, do czego w końcu doprowadzi Zakon tłumienie wielkich uczuć. Posadziła sobie synka na kolanach. Z zakłopotaniem zdała sobie sprawę, jak nowe wydają się jej odruchy, które powinny być dla młodej matki czymś naturalnym. Kad'ika podniósł na nią ciekawy wzrok, uśmiechnął się szeroko

i wykrzyknął głośno: „Ka! La!” To nie były prawdziwe słowa, ale młoda mama aż zachłysnęła się z radości. Chłopczyk przyjrzał się jej okrągłymi ze zdumienia oczkami, zaskoczony gwałtowną reakcją.

- On mówi! - szepnęła z niedowierzaniem Etain. - Mój mądry Kad'ika\ Kto jest takim małym mądrałą, no kto? Powiedz „mama”. No? Potrafisz powiedzieć „mama”?

Kad zaszczębiotał coś po swojemu i roześmiał się wesoło. Do Etain powoli dotarło, że jej synek prawdopodobnie próbował powiedzieć „Kal” i „Laseema”. Było to logiczne, ponieważ właśnie te imiona słyszał każdego dnia, jednak tym bardziej bolało.

- Mama! - wykrzyknął nagle Kad. - Mama-mamaaa-maaaa!

Roześmiał się z dumą, nie spuszczać z niej wzroku. Etain nie trzeba było do szczęścia nic więcej. W tej chwili łącząca ich więź była doskonała i wiedziała, że nie zapomni jej do końca życia. Pocałowała malca w nosik i uniosła do góry, co wywołało kolejne salwy beztróskiego śmiechu.

- Mądry Kad'ika. Ta-ak! To twoja ma-ma!

Kad wyciągnął paluszek w stronę Laseemy.

- La-la! Lalala!

Twi'lekanka odwzajemniła promienny uśmiech dziecka.

- Rośnie jak na drożdżach.

Dla każdej innej matki byłby to powód do dumy, ale w Etain uwaga Laseemy natychmiast wzbudziła obawę, że jej syn mógł odziedziczyć po ojcu geny odpowiedzialne za przyspieszone dojrzewanie. Mereel zapewniał ją co prawda, że Kaminoanie dopilnowali, aby ta cecha nie była dziedziczna... Zastanawiała się, czasem, dlaczego nie zdecydowali się na sterylizację klonów, ale uznała, że musieli mieć jakiś powód. Może wywołałoby to jakieś komplikacje? A może po prostu chcieli sprawdzić, co się stanie, jeżeli któryś zostanie ojcem? Kaminoanie mieli specyficzny sposób myślenia, bardzo różny od ludzkiego. Klony były dla nich tylko produktem, czymś w rodzaju organicznych robotów. Miała nadzieję, że Mereel się nie mylił. Podczas ciąży naczytała się stanowczo za dużo o epigenetyce i teraz bała się, że Kad mógł w jakiś sposób odziedziczyć pewne pechowe cechy po Darmanie.

Kad gaworzył coś do siebie. W pewnej chwili sięgnął po luźny lok jej włosów, a ona ledwie zdążyła go złapać, kiedy przechylił się na bok i zwymiotował.

124

Laseema natychmiast rzuciła się do sprzątanania, ale Etain była zdeterminowana - postanowiła sama zająć się obowiązkami matki, nawet tymi mniej przyjemnymi. Podobno torsje nie były u małych dzieci niczym niezwykłym.

- Mam nadzieję, że to normalne... - powiedziała niepewnie.

- Matki zawsze się o wszystko martwią - uspokoiła ją Laseema. - Nie mówię tego oczywiście z własnego doświadczenia... -zająknęła się. - Podobno moja siostra tak miała.

W jej słowach pobrzmiwało echo bólu i żalu, i Etain zdała sobie sprawę, jak mało właściwie o niej wie. Może Laseema miała kontakt ze swoją rodziną ale Etain wyczuwała jej bezbrzeżny smutek. Twi'lekanka przeżyła koszmar, sprzedana w niewolę, tak jak wiele dziewcząt z jej planety. Co prawda miała teraz Atina i dzięki niemu nie była już dłużej samotna, ale związek z kimś spoza jej rasy oznaczał, że o macierzyństwie mogła tylko marzyć. Zajmowanie się cudzym dzieckiem musiało być dla niej bolesnym przeżyciem. Może dla Mandalorian adoptowanie i wychowywanie cudzych dzieci jak własnych było na porządku dziennym, ale Etain wiedziała, że dla innych mogło to stanowić problem.

Jest mój, szeptało jej serce. Kad'ika jest moim dzieckiem. To ja powinnam go wychowywać.

Poczuła przemożną chęć, żeby złapać taksówkę powietrzną, polecieć do biura Zeya mieszczącego się na terenie koszar kompanii Arca i oznajmić mu, że opuszcza Zakon. Ta myśl coraz częściej przychodziła jej ostatnio do głowy - zaczynała się do niej przyzwyczajać. Kad popatrzył na nią poważnym wzrokiem, a po chwili zmarszczył nosek i zakwilił żałośnie. Zdała sobie sprawę, że reaguje w ten sposób na jej zdenerwowanie.

Czy Jedi, którzy mnie wychowywali, kiedy byłam dzieckiem... wyczuwali w ten sam sposób mój nastrój? - zastanowiła się. Czy ja też czułam ich emocje?

Nie pamiętała - tak samo, jak nie przypominała sobie własnej rodziny. W tej chwili bała się tylko jednego: że taki sam los może spotkać jej dziecko. Musiała znaleźć sposób, żeby tego uniknąć. Spróbowała skupić się na czymś weselszym. Wyobraziła sobie siebie i Darmana w pięknym ogrodzie, z malutkim Kadem na rękach, i postarała się przekazać synkowi tę wizję za pośrednictwem Mocy. Wrażliwe na Moc dzieci potrzebowały nie tylko przytulania i śpiewania kołysanek na dobranoc.

- Spójrz na nas - powiedziała do Laseemy. - Jedi, Twi'lekwowie, klony... Los każdego z nas uwarunkowały geny. Ale to wcale nie oznacza, że musimy się z tym godzić. Mamy prawo wyboru. Możemy sami decydować o własnym życiu...

Laseema przyniosła z kuchni napełnioną sokiem butelkę ze smoczkiem i podała ją Etain. W surowym, ciemnym stroju wyglądała raczej jak urzędniczka niż jak kelnerka. Na widok butli Kad wyciągnął radośnie rączki.

- Nie jestem już tancerką - zauważyła Twi' lekanka. - A ty też nie tańczysz już, jak ci Zakon zagra. Myślę, że dzięki Kalowi obie nie musimy już być marionetkami. Przyszłość rysowała się teraz nieco jaśniej. Wojna wydawała się czymś na tyle odległym, że Etain nie zaprzętała już sobie głowy myśleniem, kto w niej zwycięży ani jak będzie potem wyglądało życie w galaktyce. Coraz częściej miała wrażenie, że Jedi nie walczyli już o demokrację. A tym, o co walczyła ona sama, było dotarcie do szczytu niezdobytej góry. Czuła, że jeśli tam dotrze, będzie bezpieczna.

Wiedziała jednak, że w każdej chwili może spaść.

- No dalej, kochanie! - Kad zawzięcie ssał smoczek. Wszystko wydawało się takie normalne... Jej synek rósł i rozwijał się jak każde inne dziecko. Niezwykłość była ostatnią rzeczą jakiej potrzebowała. Chłopiec i tak wyrastał w dość niecodziennym otoczeniu.

Etain próbowała sobie wyobrazić reakcję Zeya, gdyby o wszystkim się dowiedział.

- Kiedy zamierzasz mu powiedzieć? - zapytała Laseema, zajęta przebieraniem Kada.

Etain wiedziała, że Twi'lekanka nie ma na myśli generała Zeya. Mówiła o Darmanie.

A na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Zdecydowanie łatwiej byłoby jej najpierw porozmawiać z Jedi. Darman powiedział kiedyś, że nie spieszy mu się z dziećmi, ale wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała mu wyznać prawdę o Kadzie. To będzie trudne.

Wielokrotnie żałowała, że nie powiedziała mu od razu, ale pocieszała się myślą, że Skirata miał rację: Darman

i bez tego miał dość problemów. Chociaż wyglądał i zachowywał się jak dorosły mężczyzna, wciąż miał wrażliwość dziecka.

- Wygląda na to, że raczej prędzej niż później - odpowiedziała w końcu. - Nawet jeżeli trudno będzie mu się z tym pogodzić, nie mogę dłużej ukrywać prawdy.

Czterdziestoosmiogodzinna przepustka była zdecydowanie za krótka. Czas mijał niepostrzeżenie.

Cóż, sama sobie wybrała taki los. Patrząc, jak Kad pochłania łączywie zawartość butelki, sięgnęła poprzez Moc ku Darmanowi, żeby sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku.

Wiedziała dokładnie, gdzie jest w tej chwili. Owszem, mogła się z nim skontaktować, a nawet załatwić mu przeniesienie. Była odpowiedzialna za przydział żołnierzy do operacji specjalnych, a on był jej podwładnym, ale nie mogła, nie powinna traktować go ulgowo. Kad wydudlił już całą butlę i teraz patrzył na nią wzrokiem, który mówił: „Lepiej ją napełnij”.

- Powiem Darowi, jak tylko wróci z misji na Haurgab - obiecała. - Ale nadal nie wiem, czy przyznać się Zeyowi...

Zamierzała zapewnić swojemu synkowi normalne życie, tak różne od jej własnego.

Będzie mógł sam decydować o sobie.

Apartament Laseemy, Coruscant

Jusik aż do dzisiejszego ranka nigdy nie zastanawiał się, co na siebie włożyć. Patrzył na swoje odbicie w lustrze i zastanawiał się, czy z ogoloną pierwszy raz od niepamiętnych czasów broda wygląda na inspektora sanitarnego.

Jako Jedi nigdy nie miał zbyt wiele dobytku - brązową szatę, kilka tunik na zmianę, spodnie, bieliznę, miecz świetlny i parę niezbędnych urządzeń - a i tak właściwie nic z tego nie było jego własnością. Cały jego majątek mieścił się w zwykłej torbie. Teraz najważniejsza była dla niego zdolność do szybkiego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Posiadał tylko zbroję i kilka przebrań.

Dziś miał udawać przeciętnego urzędnika - z aktówką w rękę, gładko ogolonego. Czekala go wizyta w więzieniu. Doktor Ovolot Qail Uthan była przenoszona z jednej placówki do drugiej, aby w końcu zniknąć im z oczu, ale przed Zerami nic tak naprawdę nie mogło się ukryć. Byli doskonale wyszkoleni i potrafili zinfiltrować każdą sieć, a włamanie się do systemu Republiki

było dla nich pestką. Kody, które przekazała im Besany, pomogły Jaingowi, żołnierzowi ARC N-10. Przedzierał się przez systemy

127

kolejnych wydziałów w sieci rządowej i zbierał informacje, wykorzystując ich wewnętrzne interfejsy do obchodzenia zabezpieczeń.

Idea rządu złożonego z wielu jednostek, zapewniającej skuteczniejszą współpracę na polu biurokracji, miała wkrótce upaść. Jednak taka sieć znacznie ułatwiała wykradanie danych.

- Pożegnaj się, Kad'ika\ Powiedz wujkowi Bardanowi „pa-pa”! - Trzymając synka jedną ręką, Etain wzięła jego małą rączkę i pomachała nią do Jusika.

- Bada! - oznajmił z przekonaniem malec. Wyglądało na to, że bardzo podobają mu się słowa zakończone na „a”.

Były Jedi odmachnął chłopcu. Kad wydawał się bardzo zdziwiony nagłą zmianą w wyglądzie Jusika i popatrywał co chwila na Etain, jakby szukając u niej potwierdzenia tożsamości „wujka”.

- Tak, to Bard'ika - uspokoiła go. - Niedługo do nas wróci.

- Muszę tylko potwierdzić lokalizację naszego celu - powiedział Jusik. - To nie potrwa długo.

- Zastanawiasz się, jak mogę tak dalej żyć, prawda? - spytała z goryczą Etain. Jedi niewiele mogli ukryć przed sobą.

- Wcześniej wydawało mi się to nierealne - powiedział ostrożnie Jusik. Wiedział, że rozłąka nie jest dobra ani dla niej, ani dla dziecka. - Ale rozumiem cię. Darman musi walczyć, ty także.

- Gdyby cokolwiek mi się stało... - zaczęła.

- Niewielu Jedi ucierpiało jak dotąd w tej wojnie... jak dotąd - przerwał jej szybko.

- Wysłuchaj mnie do końca - poprosiła. - Gdybym nie wróciła, dopilnuj, żeby Zakon nie upomniał się o Kada.

Jusik poluzował sztywny kołnierzyk koszuli. Pomyślał ponuro, że zbroja nie jest nawet w połowie tak niewygodna jak oficjalne stroje urzędników.

- Nic ci się nie stanie - uspokoił ją. - Tak jak mówiłem, poza Jedi, których straciliśmy na Geonosis, niewielu zginęło.

- Bardan...

- Gdyby chcieli dostać Kada, musieliby wysłać po niego uzbrojone po zęby wojsko - zażartował Jusik. - Ale w porządku, masz moje słowo. Jeżeli będzie trzeba, oddam życie, żeby go chronić. !

Etain westchnęła cicho, a kiedy Jedi odwrócił się do niej, zobaczył, że drży jej podbródek, jakby z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Nie wymagam od ciebie, żebyś...

- Wiem, aleja wymagam tego od siebie.

Wkrótce Etain będzie musiała wrócić do swoich obowiązków, ale wiedziała, że pod nieobecność Bardana o bezpieczeństwo małego zadbają doskonale Laseema, Besany i Skirata.

- Dobra, żarty na bok, bez głupiej bohaterszczyzny proszę. Niech Moc będzie z tobą, Etain. Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Zawsze, kiedy żegnał się z kimś bliskim, nadchodziła taka chwila, kiedy musiał przerwać kontakt wzrokowy, ponieważ ból rozstania stawał się nie do zniesienia. Nie lubił łzawych pożegnań. Poruszanie się po mieście w taki sposób, żeby nikt nie zdołał go wysledzić, weszło mu już w krew - płacił wyłącznie gotówką, wielokrotnie zmieniał środki transportu i unikał miejsc, które były monitorowane. Mógł oczywiście czyścić pamięć osób, które spotykał, i bez większego wysiłku zakłócać pracę kamer, ale nie chciał zostawiać śladów, które mógłby wykryć ktoś wrażliwy na Moc.

A jeśli nawet coś pójdzie nie po jego myśli, zawsze mógł liczyć na pomoc Jallera Obrima. Gdyby nie potężna, dobrze strzeżona brama i wrota dwukrotnie szersze niż śluza powietrzna na Mustafar, karny zakład psychiatryczny Valorum Center wyglądałby z zewnątrz jak przeciętny kompleks spa. Nie wszyscy jego pacjenci byli przestępcami. Wielu z nich stanowiło zagrożenie tylko dla siebie samych, jednak wszyscy trafili tu, ponieważ sąd uznał, że trzeba ich trzymać w odosobnieniu. Budynek nie rzucał się w oczy, ale na Coruscant powstawało ostatnio wiele budowli rządowych o niezbyt atrakcyjnej architekturze, a poza tym zakład leżał z dala od dzielnic mieszkaniowych.

Jusik pokazał swój identyfikator strzegącemu bramy robotowi, który przypominał raczej ruchomą wieżyczkę działka jonowego. Strażnik zeskanował dokument i otworzył wrota.

Spreparowanie fałszywego identyfikatora nie stanowiło problemu, jeśli miało się wysoko postawionego znajomego, który zgodził się udostępnić swój dokument. Przy znajomości odpowiednich technik taką kartę można było kopiować i modyfikować w nieskończoność. Dzięki czipowi identyfikacyjnemu agentki Besany Wennen w zawiłym systemie administracji Republiki funkcjonowała teraz pokaźna grupa fałszywych pracowników. Nie było nic prostszego od

wniknięcia niepostrzeżenie w strukturę organizacji, w której personel zmieniał się jak w kalejdoskopie. Kiedy ostatnio Jusik włamał się do systemu płac, sama tylko grupa zatrudnionych na stałe wynosiła osiem milionów, czyli dwukrotnie więcej niż liczba żołnierzy Wielkiej Armii.

Denel Herris był jednym z wielu urzędników, których istnienia nikt nigdy nie będzie w stanie potwierdzić. Dla Jusika przybieranie nowych tożsamości było jak zmienianie rękawiczek.

- To nie zajmie dużo czasu - powiedział, przywołując na twarz maskę zatroskanego zastępcy administratora. Szedł przez labirynt pomalowanych na neutralny, zielony kolor korytarzy za mężczyzną, który według przypiętej do fartucha plakietki był Pelbionem, dr S.

- Przygotowujemy po prostu raport dla Ministerstwa Zdrowia. Wie pan, kolejna afera z niebezpiecznym pacjentem wypuszczonym zbyt wcześnie.

- Nie mam pojęcia, jak mogliśmy przeoczyć pański wniosek - powiedział skruszony lekarz.  
- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nic się nie stało. - Jusik dzięki uprzejmości niczego niepodejrzewającej administracji otrzymał już plany budynku, ale uznał, że nie zaszkodzi, jeżeli wszystko nagra. Podczas spaceru korytarzami cały czas trzymał w ręku komunikator, jakby lada chwila spodziewał się ważnej rozmowy. Kamera urzędnika była włączona i rejestrowała szczegóły otoczenia. - Czy mógłbym się zobaczyć z dyrektorem?

Powiedz, że nie! - zaklinał doktora w myślach. Tak naprawdę jest mi wszystko jedno... Mógłbym się z tego wyłgać, ale...

- Obawiam się, że nie ma go dziś w biurze.

- Hm, trudno. - Bardan odetchnął z ulgą. - Jestem pewien, że pan też może mi przekazać wszelkie potrzebne informacje. - Jusik starał się sprawiać wrażenie, że nie wie, dokąd prowadzi go lekarz. - Jak bardzo niebezpieczni są pacjenci, których tu trzymacie? - zagadnął. - Ilu z nich stanowi prawdziwe zagrożenie dla otoczenia? Przypuszczam, że są to przeważnie osoby mające problemy ze sobą... niedoszli samobójcy i tak dalej.

- W większości - odparł ostro Pelbion, szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce. Za każdym razem, kiedy mijali drzwi, oglądał się przez ramię, jakby spodziewał się ataku. - Ale trzymamy też tutaj krótkoterminowo kilku pacjentów zdiagnozowanych jako osoby stanowiące potencjalne zagrożenie dla innych. Ci naprawdę niebezpieczni są zwykle odsyłani do zakładu na Javelet

I mogę pana zapewnić, że opinie na temat poziomu ryzyka wystawiane przez naszą klinikę są o wiele dokładniejsze niż różnych innych instytucji - stwierdził z naciskiem. - Nie pokładamy przesadnej wiary w środki farmaceutyczne ani w sesje terapeutyczne połączone z oceną stanu pacjenta.

Budynek był wyludniony i panowała w nim nienaturalna wręcz cisza. Jusik spodziewał się czegoś w rodzaju szpitala, ale tutaj nie kręciły się nawet androidy medyczne i wyglądało na to, że wszystkie drzwi były zamknięte na głucho. Nic nie zakłócało panującego spokoju. Im dalej zapuszczali się w głąb budynku, tym bardziej nieswojo Jusik się czuł. Przebywanie w takim miejscu było prawdziwą torturą dla kogoś wrażliwego na Moc. Były Jedi odbierał jak antena otaczające go emocje. Niczym odległe szepty, z zamkniętych pokoi napływały do jego umysłu fale niepokoju, strachu, dzikiej euforii, a czasem nawet dziwnej pewności siebie. Nigdy do tej pory nie zetknął się z obecnością tylu osób, które były... mógłby użyć słów „szalone”, „obłąkane”, „chore”, ale nie do końca tak było. Niektóre z nich były bardzo nieszczęśliwe, inne wręcz promieniały radością. Jusik nie był mięczakiem, ale to, co tu się działo, naprawdę nim wstrząsnęło. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że nikogo nie widział, tylko czuł. Miał wrażenie, że jest otoczony przez duchy.

- Jaki odsetek pacjentów wychodzi na wolność? - spytał Pelbiona, próbując się uspokoić. Czasem zazdrościł zwykłym ludziom, którzy postrzegali świat samymi tylko oczami. Nie mógł jednak wytłumić tej emocjonalnej kakofonii, ponieważ szukał jednego umysłu, konkretnej osoby, która prawdopodobnie była tu przetrzymywana.

Szukał doktor Uthan. Jeśli jej tu nie znajdzie, trop się urwie, bo to był ostatni szpital do przeszukania.

- Tylko trzy procent opuszcza mury zakładu - powiedział Pelbion. - Trafiają do nas różne przypadki.

Jusik skupił się na docierających do niego uczuciach. Próba wyłowienia z tego zgiełku jednego umysłu była jak wsłuchiwanie się w setki prowadzonych jednocześnie rozmów w poszukiwaniu jednego słowa, ale nie mógł przecież szwendać się bez końca po szpitalu bez wzbudzania podejrzeń Pelbiona. Daleko przed nimi pojawił się android medyczny i Kalamarianka w bladej żółtej fartuchu laboratoryjnym, pogrążeni w rozmowie. Po chwili oboje znikli za rogiem, w korytarzu prowadzącym do biura. Jusik

zaczynał już podejrzewać, że w budynku nie ma poza nimi nikogo poruszającego się swobodnie, więc widok personelu medycznego sprawił mu ulgę. Od czasu do czasu zza grubych drzwi do jego uszu dobiegały stłumione strzępki rozmów. Chociaż nie mógł zrozumieć poszczególnych słów, kilka razy zdawało mu się, że słyszy mandaloriański. Ludzki umysł ma niesamowitą zdolność do skupiania się na rzeczach, które wydają się znajome, pomyślał. Spróbował wsłuchać się w głos. Ton wznosił się i opadał, jakby kobieta - z pewnością była to kobieta - na zmianę zawodziła i przeklinała. Kilka słów faktycznie przypominało Mando'a, ale reszta była jakimś bełkotem. Dziwne. Przysiągłby, że przed chwilą usłyszał chakaar. Nie... to brzmiało jak „shekker”. Cóż, cokolwiek to było, nie brzmiało jak mandaloriański. Nie mógł sobie pozwolić na rozkojarzenie. Masz misję, przypomniawszy sobie.

Rozpaczliwie pragnąc znaleźć jakiś punkt wyjścia dla swoich poszukiwań, postanowił ostrożnie wybadać lekarza. Nie mógł użyć sztuczki z wpływaniem na umysł, bo nie wiedział, jak sformułować pytanie. Jeżeli Uthan rzeczywiście tu była, z pewnością nie trzymali jej w celi oznaczonej „Tajny więzień”.

- Praca tutaj musi być bardzo przygnębiająca - zaczął. Miał nadzieję, że uda mu się skłonić Pelbiona do zwierzeń. Wtedy będzie mu łatwo dalej pokierować rozmową i wyciągnąć informacje, których potrzebował. - Większość lekarzy wierzy, że uda im się wyleczyć swoich



podopiecznych. Ale w waszym przypadku można tylko pilnować, żeby nie stanowili zagrożenia...

- ...albo utrzymywać ich w stanie błogiej nieświadomości -dodał Pelbion, otwierając kolejne drzwi strzeżone przez zwalistego robota uzbrojonego w pałkę ogłuszającą. - To cel sam w sobie.

Jusik wyczuł swoją szansę.

- Muszą być strasznie nieszczęśliwi.

Uthan z pewnością byłaby nieszczęśliwa, gdyby trzymano ją w takim miejscu, pomyślał. Zera ustaliły, że pani genetyk dla rozrywki hodowała muchy soka, ale nie było gwarancji, że pozwolili jej trzymać owady w tym surowym, sterylnym miejscu. W budynku czuć było charakterystyczny odór środków dezynfekcyjnych kojarzący się Jusikowi z dentystą - ostry zapasek, który osiadał w gardle i trudno było się go pozbyć.

- Wręcz przeciwnie, niektórzy czują się wspaniale, zatraceni we własnych urojeniach - sprostował Pelbion.

Taka niezobowiązująca forma pogawędki zdawała się mu odpowiadać - może sądził, że dzięki temu zdoła nieco udobruchać Jusika?

- Muszę powiedzieć, że czasem niektórym zazdroszczę.

Bardan wyczuwał napływającą od niektórych pacjentów agresję, w większości nieskierowaną przeciwko nikomu konkretnemu. W pewnej chwili minęli drzwi, zza których promieniowała nienawiść tak silna, że Bardan mimowolnie przyspieszył kroku - byle dalej od tej ślepej furii. Gdyby któryś Jedi chciał poznać mroczną potęgę gniewu, to miejsce doskonale się do tego nadawało.

- Czy nie jest panu czasem ich żal? - spytał ostrożnie Jusik. Potrzebował jakiegoś sygnału, że ten, kogo szuka, rzeczywiście tutaj jest. Uważnie sondował umysły pacjentów sprawiających wrażenie spokojniejszych, bardziej zrównoważonych. - Czy nigdy nie przeszło panu przez myśl, jak to dobrze, że pana nie spotkało coś takiego?

- Cóż, mamy tu całkiem sporo pacjentów, którzy sami wcześniej leczyli - odparł Pelbion. - Trudno patrzeć, jak się męczą. Proszę sobie wyobrazić, że nie brakuje też istot, które sobie uroiły, że są lekarzami. Czasem mam wrażenie, że niektóre z nich są bardziej kompetentne od tych wykwalifikowanych...

Jusik uśmiechnął się z przymusem. Chcesz mi powiedzieć więcej... - przekazał w myślach doktorce.

Kiedy żądanie Jusika utorowało sobie drogę do jego mózgu, lekarz zamrugął ze zdziwieniem. Nie miał w zwyczaju dyskutować na temat zachowań pacjentów. Czuł się dziwnie, jakby zapomniał o czymś ważnym.

Jusik napał mocniej: Chcesz mi opowiedzieć o pacjentach, których twoim zdaniem nie powinniście tu trzymać. Chcesz mi ich pokazać.

- Niektórzy... cóż, właściwie myślę sobie, że powinni wyjść na wolność - wyznał w końcu lekarz. Narzucił szybsze tempo. Chyba prowadził teraz Jusika w konkretne miejsce. - Nie uwierzy pan, ale potrafią przedstawiać swoje urojenia z takim przekonaniem, że często muszę sam sobie przypominać, po co ich do nas przysłano!

Pokaż!

Chcesz mnie do nich zabrać!

Chcesz mi udowodnić, jak ciężko pracujesz, żebym mógł ci wystawić pochlebny raport!

Chociaż było to ryzykowne, Jusik musiał nacisnąć mocniej. Co prawda Pelbion nie powinien się zorientować, że jego gość stosuje sztuczki Jedi, mógł jednak poczuć się na tyle zaniepokojony, żeby zawrócić.

Nagle Jusik poczuł obecność kogoś dziwnie znajomego. Na drzwiach do celi widniał numer 7885. Dziwne. Nigdy wcześniej nie spotkał doktor Uthan, więc nie mógł mieć pewności, że to właśnie ona, ale za tymi drzwiami z pewnością był ktoś normalny, ktoś przy zdrowych zmysłach. Ktoś, kogo nie powinni tu trzymać.

- Jak na przykład ta osoba? - zapytał Jusik wskazując celę.

- Nie, nie. Tego pacjenta przysłano do nas po tym, jak... spowodował niefortunny wypadek na swojej rodzinnej planecie. -Pelbion wyglądał, jakby bił się z myślami. - Dobrze. Proszę za mną.

Ale przecież w tej sali jest ktoś, kto nie wymaga leczenia! - zaprotestował w myślach Jusik.

Nagła świadomość, że w pobliżu jest osoba zdrowa, więziona tu wbrew własnej woli, na chwilę wytrąciła go z równowagi. Promieniujące zza drzwi poczucie zdrady i bezsilności było tak przytłaczające, że o mało się nie cofnął. Czuł głęboką potrzebę, żeby pomóc tej osobie, jednak przypomniał sobie, że przybył tu z misją. Odwrócił wzrok i zmusił się, żeby nie myśleć o więźniu.

Wkrótce znaleźli się w Skrzydle Hesperidium i zostawili blok z celami daleko w tyle. Gdyby nie zapach środka dezynfekującego i pancerne drzwi, wewnątrz mogłyby się nawet wydawać całkiem przytulne. Przechodzili przez kolejne drzwi, aż w końcu dotarli do starszej części budynku, o wysokich sufitach. Całą drogę Bardan przyglądał się dyskretnie otoczeniu. Gdyby na jego miejscu był któryś z Zer, z pewnością zapamiętałby bez trudu każdy mijany szczegół. Chłopcy mieli wyjątkową pamięć, a to za sprawą Kaminoan, którzy uznali, że ta cecha uczyni z nich lepszych żołnierzy.

Pelbion zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami i wpisał kod dostępu.

- Tak, ta kobieta mnie niepokoi - powiedział, jakby Jusik pytał go o zdanie. Z całą pewnością nie reagował na manipulację umysłem tak jak większość istot. - To osobliwy przypadek.

Zanim jeszcze drzwi do celi się otworzyły, Jusik wiedział, że w środku znajdują może nieco zdezorientowaną, ale absolutnie poczytalną osobę. Czuł to. Wydawała się lekko otumaniona, ale z całą pewnością nie potrzebowała opieki psychiatrycznej. Jeszcze nie. Kiedy skrzydła drzwi się rozsunęły, odsłaniając kolejne, ze zbrojonej transpastali, o mało nie krzyknął z radości.

Chociaż brakowało tu okien, cela była przestronna i urządzona całkiem wygodnie. Pierwsze, co rzuciło się Bardanowi w oczy, to rzędy przezroczystych pojemników, w których roiły się małe czarne punkciki.

Muchy soka.

- Ubzdurzyła sobie, że jest badaczką Separatystów i prowadzi badania nad śmiertelnym wirusem - powiedział Pelbion konspiracyjnym szeptem. - To naprawdę niesamowite... zwłaszcza że bez dwóch zdań ma odpowiednie wykształcenie i jest niezwykle błyskotliwa. Pewnego razu niemal udało jej się mnie przekonać, że została porwana przez siły Republiki gdzieś na Zewnętrznych Rubieżach, ranna i umieszczona tutaj, żeby ujawnić wyniki swoich badań!

- Coś podobnego! - zdziwił się przekonująco Jusik. A więc Uthan pamiętała wydarzenia z Qiilury... - To bardzo interesujące urojenie — powiedział grzecznie.

- Według akt została tu skierowana przez Departament Bezpieczeństwa Publicznego. Podobno obawiali się, że ma rzeczywiście dość wiedzy, żeby wynaleźć jakąś zarazę. Muszę przyznać, że nawet mimo braku dostępu do specjalistycznego sprzętu laboratoryjnego osiąga

zdumiewające wyniki w badaniach genetycznych nad tymi muchami. Czasami oczywiście odrobinę jej pomagamy... wie pan.

- Nieprawdopodobne... - A niech mnie! - Czy wolno panu ujawniać mi takie informacje? To nie jest poufne?

- Wątpię, żeby zaburzenia psychotyczne były czymś ściśle tajnym, panie Herris... chociaż bliźny na jej ciele sugerują, że naprawdę mogła jakiś czas temu zostać ranna.

Jusik wszedł do pokoju. Przy prowizorycznym biurku siedziała zadbana kobieta w średnim wieku, o czarnych, przetykanych czerwonymi pasemkami włosach. Uniosła wzrok znad notatnika komputerowego i zmierzyła intruza chłodnym spojrzeniem.

- Chciałbym pani przedstawić gościa z zarządu służby zdrowia Coruscant - powiedział Pelbion z nerwowym uśmiechem. - Oprowadzam go po naszym zakładzie. Jak tam pani hodowla? Uthan - nie mogło być mowy o pomyłce - uniosła pogardliwie jedną brew.

- Możesz do woli faszerować moje jedzenie prochami, ty niewydarzony konowale, ale mój mózg nadal będzie działał lepiej niż twój - powiedziała ze znużeniem i przeniosła wzrok na Jusika. - A więc jest pan kimś z góry, tak? W takim razie chciałam pana poinformować, że jako jeńcowi wojennemu przysługują mi pewne prawa. Ponownie domagam się prawnika. Nazywam się doktor Ovolot Qail Uthan i jestem tu przetrzymywana wbrew mojej woli.

Jusik uśmiechnął się do niej ze współczuciem. Kanclerz był cwany, musiał przyznać. Ukrycie Uthan w takim miejscu było mądrym posunięciem. Tutaj była tylko jednym spośród wielu pacjentów opowiadających bajeczki, w które i tak nikt nie uwierzy.

- Oczywiście, proszę pani - odparł Jusik dyplomatycznie. - Zajmę się wszystkim osobiście tak szybko, jak tylko zdołam.

Wyciągnę ją stąd, już niedługo, tyle tylko że nieco mniej oficjalnymi kanałami.

- Niesamowity umysł - szepnął do niego Pelbion, kiedy wychodzili. Po drodze Jusik zakłócił działanie kilku umieszczonych w korytarzu holokamer, rozmazując rejestrowany przez nie obraz. - Naprawdę sprawia wrażenie okazu zdrowia psychicznego!

- To smutne - powiedział Jusik. Wręcz przeciwnie! To wspaniale! Cudownie! To nadzieja dla moich braci. - A wracając do tych danych, o których wspominałem...

- Oczywiście, panie Herris - odparł pospiesznie Pelbion.

Bardan raczej nie musiał czyścić pamięci mężczyzny, ale na wszelki wypadek usunął z jego wspomnień część rozmowy, żeby zredukować swoją wizytę do mało ważnego incydentu, o którym lekarz szybko zapomni.

Po drodze do apartamentu (cztery przesiadki, między którymi pokonywał część trasy pieszo, i dwie pętle - tak na wszelki wypadek) Jusik czuł, jak jego euforię coraz bardziej zakłóca niedająca mu spokoju myśl.

To nie kłębowisko emocji pacjentów tak go rozstroiło, ani nawet bezpośredni kontakt z kobietą która pracowała nad śmiertelnie niebezpieczną bronią.

Najbardziej go zaniepokoiła informacja, że badaczka nie jest jedyną osobą w pełni władz umysłowych, którą przetrzymują w centrum Valorum. A on nie mógł na to nic poradzić. Nie mógł skorzystać ponownie ze swojej fałszywej tożsamości inspektora sanitarnego, bo Herris musi teraz zniknąć. I tak było z tym wszystkim dość kłopotów.

Wypadki nie były na wojnie niczym niezwykłym - i nie wszystkie zdarzały się na froncie.

Trasa Hadde-Rishun, Haurgab, 15.10 czasu lokalnego

- Dar? Dar! Padnij!

Jak spod ziemi wokół nich wyrósł tłum uzbrojonych Maujasów. Członkowie Drużyny Omega byli teraz otoczeni przez wroga, który odcinał im drogę ucieczki z ruin fortecy. Wyglądało na to, że szczęście przestało im dopisywać.

Konwój zniknął, z wyjątkiem kilku pojazdów, które wciąż płonęły. Darman rzucił się na ziemię, w ostatniej chwili schodząc z toru lotu kolejnego pocisku, który uderzył w szczątki fortu. Ściana eksplodowała deszczem odłamków przy akompaniamencie ogłuszającego huku. Komandos stwierdził, że wybuch naruszył również resztki fasady budynku, który chwilowo zapewniał im schronienie - wyglądało na to, że nie na długo.

- Skąd u licha się wzięli?! - rozległ się czyjś głos wewnątrz jego hełmu.
- Mówiłem ci, że mają pieprzone tunele!
- At'ika, możesz ruszyć sondę? Spróbuj! Musi być stąd jakieś inne wyjście! Nie możemy tu siedzieć cały shabla dzień i czekać, aż nas zamienią w siwy dym!
- Mam ją, sierżancie. Hej, widzicie to samo co ja?
- O shab...

Niner rzadko przeklinał. Musiało być gorzej, niż Darman sądził. Przeczłogał się najszybciej, jak potrafił, odsuwając z drogi skrzynkę z amunicją. Kiedy w końcu zerknął na wyświetlacz HUD, stwierdził, że widok z sondy nie nastraja zbyt optymistycznie. Pokazywała teren z wysokości jakichś dwustu metrów nad nimi i obraz był raczej przytłaczający: z trzech stron zbocza opadały ostro w dół, a skalisty stok za plecami komandosów był jedyną drogą do fortecy. Był również jedyną drogą którą mogli się stąd wydostać. Za czasów swojej świetności bastion był z pewnością znakomitym i łatwym do obrony punktem obserwacyjnym, ale nawet czterech komandosów Republiki nie mogło go bronić przed setkami Maujasów w nieskończoność.

- Chyba czas poprosić, żeby ktoś nas stąd zgarnął - stwierdził Niner.
- Darman spróbował oszacować, jak daleko uda im się przedrzeć, jeżeli stawią czoło napastnikom.
- Zgarnął? Kto, do shab, miałby stąd zabrać nasze tyłki?
  - Osiemdziesiąty piąty ma larty...
  - Tak, już widzę, jak rezygnują z przerwy na polerowanie paznokci i rzucają się nam na ratunek.

Przesyłane przez sondę obrazy pokazywały szeregi Maujasów torujących sobie drogę na szczyt wzniesienia. Dotarcie na górę zajmie im pewnie jakieś pół godziny, no, może nieco dłużej, jeżeli Darman zapewni im dodatkowe atrakcje w postaci deszczu skał.

Zmienił moduł broni na granatnik i doczołgał się do prowadzącej ostro w dół ścieżki.

- Zatrzymam ich do czasu, aż wezwiecie taksówkę - zawołał do reszty.
- Niner przystawił dłoń do miejsca, w którym pod hełmem znajdowało się jego ucho. Zawsze tak robił, kiedy byli w opalach, jakby nie słyszał, co się do niego mówi, chociaż ich hełmy były wyposażone w skomplikowaną aparaturę akustyczną.

- Niech cię szlag, Dar, cofnij się choć trochę! Wystawiasz się prosto na ich cel!
- Corr słuchał wymiany zdań z przekrzywioną głową, oparty od niechcienia na jednym łokciu, jakby się opalał.

- Wygląda na to, że mają tam na dole kolejny samopowtarzalny blaster albo działko - powiedział.

- Więc mogliby nas stąd już dawno zdmuchnąć - zauważył Atin. - Ale wtedy byłoby po nas, więc skoro go do tej pory nie użyli, to znaczy, że chcą nas wziąć żywcem.

Darman dobrze wiedział, co znaczyło dostanie się w niewolę i nie miał ochoty dokonywać żywota w tak bolesny sposób. -Módlmy się lepiej, żeby nie skołowali skądś wsparcia z powietrza - powiedział.

- Baza Hadde? Tu Omega! Baza Hadde? Tu Omega... Prosimy o natychmiastową ewakuację! - Niner w kółko powtarzał komunikat, ale wyglądało na to, że baza nie spieszy się z odpowiedzią. W głośnikach komunikatora Darmana rozbrzmiewały tylko szумы i trzaski

zakłóceń. - Baza Hadde? Odbiór! Tu Omega. Utknęliśmy w fortecy Churt, dwadzieścia klików na południowy

zachód od was... Kończy nam się amunicja... Jesteśmy otoczeni przez wroga w sile... między pięćdziesiątką a setką napastników. Mają działka i ciężkie blastery. Nie zauważyliśmy wsparcia z powietrza. Baza Hadde? Tu Drużyna Omega!

Darman przechodził przez to wszystko już nieraz w ciągu ostatnich kilku lat. Istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że zginą. Im częściej takie sytuacje się zdarzały, tym bardziej był przekonany, że zdoła wyjść z nich cało, jednak za każdym razem zdawał sobie również sprawę z tego, że może to być ten ostatni raz.

Czekała ich długa droga, a do tego blokowana przez bandę zatraconych Maujasów. Chociaż ocierał się właśnie o śmierć, jego myśli krążyły wokół przyziemnych spraw. Przyszło mu do głowy, że dawno nie kontaktował się z Etain. Od miesiący nie rozmawiał również z Fi... Poza tym ma czyste sumienie, uznał.

Nagle zapadła dziwna cisza. Niner oparł się plecami o ścianę fortecy i sprawdził stan amunicji.

- Nawet jeśli jakimś cudem damy radę zejść, jesteśmy pieszo i nie zdołamy długo stawiać oporu. Zapowiadali burze piaskowe -zauważył.

Darman sprawdził swój HUD. Chociaż ich hełmy były wyposażone w filtry i mieli różne inne zabezpieczenia na wypadek złych warunków pogodowych, perspektywa burzy nie wydawała się zachęcająca. Wpadli po uszy.

- Ile mamy detonatorów termicznych? - spytał ponuro Darman.

- Ja mam trzy.

- Dwa - zameldował Atin.

Corr odpiął od pasa trzy sztuki.

- Jako spec od fajerwerków szacuję, że mamy wystarczającą ilość baradium, żeby przemienić ten szczyt w kupę gruzu albo przynajmniej zrobić w ziemi taką dziurę, że się w nią zawali.

Myśli Darmana pędziły jak oszalałe. Na dole czekała na nich armia wkurzonych tubylców, kończyła im się amunicja, ale mieli całkiem sporo ładunków wybuchowych.

- Tak, na to wygląda - mruknął.

- Jest tylko jeden mały problem... Ten szczyt znajduje się pod naszymi tyłkami.

- Moment! Myślę.

- Cóż, to chyba lepsze wyjście niż być przesłuchiwanym przez tubylców.

- Mięczak - prychnął Darman, ale Corr miał rację. Zastanawiał się nad zdjęciem zbroi.

Chciał umrzeć szybko; nie miał ochoty skończyć jak Fi. Nagle żał, że nie pożegnał się z Etain, ogarnął go falą trudnego do zniesienia bólu. Nie mógł pogodzić się z tym, że już nigdy jej nie zobaczy. - Słuchajcie, jeżeli chcą nas dorwać, muszą wspiąć się na stok. Ścieżka ma niecałe dwa metry szerokości, więc będą musieli iść gęsiego.

- Masz ochotę pograć sobie nimi w kręgle? - spytał Atin.

- Cóż, pole rażenia ładunku wynosi pięć metrów. Potrafię rzucić trochę dalej. - Darman zaczynał karierę w drużynie jako specjalista od ładunków wybuchowych. Od czasu Geonosis sporo się nauczył i...

Fierfek, zapomniałem o rocznicy! - pomyślał. Zapomniałem... Ale wspominam ich przecież każdego dnia.

Wybaczcie Vin... Jay... Taler...

- No i co dalej? - Niner przeładował blaster samopowtarzalny. -Ajeżeli nie uda nam się załatwić ich wszystkich?

- Zawsze coś się uda. - Darman wzruszył ramionami.

Mieli marne szanse. Zbroje typu Katarn mogły długo chronić ich przed ostrzałem z blasterów, pozwalały nawet znieść bez szwanku wybuch granatu, ale jeżeli rebelianci wedrą się na górę, nie będą w stanie bronić się długo. Tubylców było po prostu zbyt wielu.

Atin pociągnął ze zbiornika łyk wody z głośnym siorbnięciem.

- Nie chcę cię poganiać, Dar, ale sądząc po widoku z sondy, wkrótce będziemy mieli gości. Darman wysunął z osłony dłoni wibrostrze i obrzucił je krytycznym spojrzeniem. W porządku. Jeśli chcą walki, proszę bardzo. Corr wciąż próbował połączyć się z bazą a Dar zajął się łączeniem poszczególnych ładunków w zgrabny pakiecik. Obok wybuchł kolejny pocisk z moździerza - tym razem stanowczo za blisko. Atin doczołgał się do krawędzi.

- Nie wiedzą ile nas tu jest.

- Na razie - mruknął Corr. - Dopóki nie dotrą do tego szabla wierzchołka, At'ika... - przerwał w pół zdania, jakby nasłuchiwał wieści z komunikatora. - Jeżeli wyjdziemy z tego cało, pierwsze, co zrobię po powrocie, to wybebeszę kilku buców z wywiadu...

- Namierzyłem pozycje dwóch działek - wszedł mu w słowo Niner. - I popieram, chętnie się do ciebie przyłączę.

Darman nie widział, co się dzieje na dole. Łączenie detonatorów termicznych było zadaniem wymagającym dużego skupienia. Prowizoryczna bomba mogła w każdej chwili wybuchnąć mu w rękach, zapewne ku uciesze rebeliantów. Darman żałował, że nie ma z nimi Jusika. Były Jedi świetnie sobie radził z różnymi urządzeniami. Nie mówiąc już o tym, że przydałaby im się porządna wywołana odrobiną Mocy lawina.

- Dobra, gotowe - powiedział. - Jak daleko wleźli ci chakaarel

Atin zerknął na obraz przesyłany przez sondę. Urządzenie było za małe i znajdowało się zbyt wysoko, żeby Maujasowie zdołali je zauważyć.

- Pokonali jakieś piętnaście metrów. Za mniej więcej dziesięć dotrą do osypiska. Jeśli wyślemy im teraz tę paczkę, miną godziny, zanim się wygrzebią.

Połączone detonatory tworzyły kulistą bryłę wielkości ludzkiej głowy. Dar przyjrzał się krytycznie swojemu nieco koślawemu dziełu; nie był już taki pewien, czy zdoła cisnąć je wystarczająco dokładnie. Będzie musiał je zepchnąć i zdetonować zdalnie. A to wymagało niezwykłego wyczucia.

- At'ika, pomożesz mi? - zapytał i zbliżył się do skraju ścieżki. Musiał dostać się na zbocze i wycelować najlepiej, jak zdoła. - Gotów?

- Gotów.

Fortecą wstrząsnęło kolejne trafienie, a Niner posłał w kierunku grupy tubylców serię z blastera. Darman pokonał kilka metrów wąskiej ścieżki, aż usłyszał głosy rebeliantów.

Jeśli zrzucę ładunek teraz, dotrze do nich za jakieś osiem sekund, obliczył.

Kogo właściwie chciał oszukać? Nie mógł być pewien, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Zaczekał, aż Atin przesunie sondę na nową pozycję, a po chwili zobaczył niekończącą się kolumnę rebeliantów mozolnie przedzierających się w ich stronę. Każdy miał przewieszony przez plecy karabin. Prawdopodobnie było ich około pięćdziesięciu, ale komandos miał wrażenie, że nadciągają całe tabuny i że wkrótce dołączą do nich następni.

- W porządku.

- Przyjąłem, Dar - potwierdził Atin.

- Uwaga, rzucam! - Puścił ładunek, który potoczył się po kamienistej dróżce. Położył palec na trzymanym w lewej dłoni

zapalniku i śledził, jak paczka podskakuje i odbija się od skał. Modlił się w duchu, żeby bomba nie wybuchła za wcześnie.

Leć! No, jeszcze kawałek! - przynaglał ją w myślach.

Głowy.

Zza wzniesienia ukazały się czubki głów i Darman nacisnął guzik.

Przez chwilę nic się nie działo i pomyślał odruchowo, że urządzenie nie zadziałało, ale zaraz ziemia zatrzęsała się od siły wybuchu, a jego HUD rozświetliła kula ognia i szczątków. O zbroję zabębnił grad odłamków. Odniósł wrażenie, że spada, więc rozpaczliwie zamachał rękami w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia... Natrafił dłońmi na skałę i w tej samej chwili zorientował się, że siedzi na ziemi.

Nie czuł jednak gruntu pod nogami. Natychmiast ogarnęła go panika. Nie! Tylko nie to! Złamałem kręgosłup! - pomyślał przerażony i spróbował ruszyć nogami.

- Dar! Dar? - usłyszał wołanie Atina. Wiedział, że reszta drużyny patrzy na obrazy przesyłane przez sondę. - Dar, nic ci nie jest? Daaaar!!!

Zerknął ostrożnie w dół. Siedział na skalnej półce i patrzył prosto w otchłań zięjącego pod nim, właśnie powstałego wąwozu. W wyniku eksplozji osunęła się spora część zbocza; ze ściany wciąż odrywały się i spadały w dół kawałki skał. Z jego nogami było wszystko w porządku, po prostu ziemia osunęła mu się spod stóp.

- A jednak daliśmy sobie radę bez Jusika - mruknął do siebie. - Coś mi się zdaje, że ciężko im będzie wygrzebać się spod tego bałaganu - dodał nieco głośniej.

- Och, shab\ - Corr wydawał się bardziej zaskoczony niż wściekły. - Nam raczej też nie uda się już tędy zejść...

Darman odczołgał się od przepaści, podźwignął na nogi i w te pędy ruszył z powrotem.

Przynajmniej jesteśmy na najwyższym punkcie, pomyślał. Nad nami jest czysto, mamy schronienie... i kilku wrogów mniej niż przed chwilą.

Co nie zmieniało faktu, że tkwili na skale, sto pięćdziesiąt metrów ponad ziemią, z odciętą drogą, bez wsparcia, no i kończyły im się zapasy. Kiedy Darman wrócił, nikt nie odezwał się ani słowem. Ogień w dole na chwilę ucichł.

- No dalej! Opieprcie mnie! - warknął.

Atin wzruszył tylko ramionami i nakierował sondę na wyższy pułap- Darman widział panujący w dole chaos - rebelianci powoli dochodzili do siebie, próbowali ratować swoich kompanów i przegrupować siły. Wybuch zapewnił komandosom trochę czasu, ale w gruncie rzeczy nic nie zmienił.

- Jak tam, Cor'ika? - spytał Niner. Tak samo jak reszta, miał dostęp do kanału łączności Corra, ale chciał przerwać niezręczną ciszę. - Nie żebym marudził, ale jeżeli osiemdziesiąty piąty nie odpowie, będziemy musieli zatłuc resztę pozostałych przy życiu rebeluchów albo nauczyć się, fierfek, latać.

- Raczej jedno i drugie - poprawił go Atin. - Możemy oczywiście spróbować zejść, ale będziemy wtedy całkiem odsłonięci.

Trzy sekundy, pięć metrów - mniej więcej tyle mogli pokonać, zanim namierzy ich snajper.

Pancerz typu Katarn nie był raczej zaprojektowany z myślą o wspinaczce górskiej, a rebelianci nie dysponowali może najnowocześniejszą bronią, ale wystarczyło, że mają sprawne móżdżki.

- Co z resztą konwoju? - zainteresował się Darman. - Część wozów zdołała uciec. Pewnie skontaktowali się już z bazą.

- Tak, tylko że tamci nie wiedzą, że tu jesteśmy, nie mówiąc już o tym, że z pewnością uznali naszą akcję za jakieś lokalne porachunki - wtrącił Niner z przekąsem. - O ile w ogóle nas zauważyli.

Corr ułożył przed sobą cały dobytek uporządkowany według przydatności do walki. Kiepsko to wyglądało. Wcześniej sądzili, że są przygotowani do obrony, ale nie planowali tej akcji zbyt

szczegółowo. Na pewno nie spodziewali się, że będą musieli stawić czoło bandzie rebeliantów. Corr spojrział smętnie na ostatni przedmiot w rzędzie - niewielki granat.

Uniósł wzrok i popatrzył na Darmana.

- Ten jest dla mnie - powiedział. - Nie przywitają nas raczej z otwartymi ramionami.
- Dobry pomysł - mruknął Niner, podzuczając w ręku taki sam granat.

Dar przeniósł wzrok na Atina, ale ten, podobnie jak on sam, nie przygotował sobie żadnego „wyjścia awaryjnego”. Może powstrzymywała ich od tego świadomość, że mają kogoś, kto na nich czeka?

- Próbuj dalej - powiedział Niner. - Musimy w końcu dobić się do tych z osiemdziesiątej piątej...

- Daj sobie spokój. - Atin pokręcił głową. - Stuknij raczej do kwatery głównej. Powinni mieć jakiś sposób na dotarcie do nich.

Zwykle zajmowało to sporo czasu, którego przeważnie brakowało, ale teraz nie chodziło o czas. To rebelianci stanowili problem. Przegrupowali się i podjęli wędrówkę na szczyt. Wkrótce ich otoczą.

Etain na pewno dowie się, że byli w opałach, a gdyby Darman miał jakiś wybór, wolałby jej nie niepokoić, jednak tym razem nie było wyjścia. Przynajmniej znajdują się wysoko i wszystko wskazuje na to, że rebele chcą ich wziąć żywcem, pomyślał smętnie.

Oczywiście, zawsze mogli spróbować ich tu przetrzymać. Nawet w klimatyzowanej zbroi z odzyskiwaniem płynów komandosi nie mogli siedzieć wiecznie na gołej skale pośrodku gorącej pustyni.

- Kwatera główna? Tu Drużyna Omega - powtarzał Corr spokojnie, jakby zamawiał jedzenie na wynos. Reszta drużyny nasłuchiwała w milczeniu. — Kwatera główna Arca? Tu Omega. Pilnie potrzebujemy przekazania prośby o natychmiastową ewakuację. Kwatera główna Arca, tu...

Za parę godzin zacznie się ściemniać. Darman i Niner zabrali się do gromadzenia wszystkiego, czym dało się wzmocnić poznaczone śladami strzałów ściany twierdzy. Była to ich jedyna ochrona. Jakiś metr nad nimi w mur trafiła seria z blastera, jednak miała chyba raczej ich przestraszyć, niż zrobić im krzywdę.

- Drużyna Omega? Tu kwatera główna Arca - rozległ się w ich głośnikach męski głos. - Powtórzcie.

- Witam, kapitanie Maze. Widzę, że to pan obsługuje dziś łączność...

Maze, przyboczny generała Zeya, nie był zbyt towarzyskim żołnierzem.

- Omego, mamy wasze współrzędne. Problemy z łącznością?
- Nie możemy wywołać osiemdziesiątki piątki. Prosimy o natychmiastową ewakuację z fortu Churt. Jesteśmy otoczeni i kończy nam się amunicja.

- Zawiadomię bazę operacyjną w Hadde - oznajmił Maze. - Będziemy w kontakcie.

Corr przełączył komunikator na prywatny kanał, żeby Maze ich nie słyszał.

- Jak się miewacie, moje drogie Omegi? Czegoś wam potrzeba? Naprawdę, cholernie nam przykro, że jesteście zupełnie odcięci na tej szabla skale i otoczeni przez hordy uzbrojonych dupków, którzy obetną wasze gett se, kiedy dopadną was na tym pieprzonym szczycie! - Aktywował ponownie otwarte łącze. -Dziękuję, kapitanie. Czekamy na odpowiedź.

Darman odetchnął z ulgą. Wiedział, że Corr musiał po prostu dać upust napięciu. Wiem, co powiedziałby w tej sytuacji Fi, pomyślał odruchowo. „Kapitanie! Łamie mi pan serce! Nie dzwoni pan, nie przysyła kwiatów...”. Darman miał nadzieję, że Fi dobrze się czuje na Mandalorze.



- Naliczyłem jakichś siedemdziesięciu chakaare - mruknął Atin. - Co to za „hordy”?  
- Z pewnością mają w tych tunelach stado koleśki, którzy tylko czekają, żeby nam skopać tyłki - powiedział Corr. - Nie bądź taki elokwentny. Podobno można od tego oślepnąć - zażartował.

- Nie słyszałem, żeby mówił coś o wysłaniu po nas larta.

- Powiedział, że będziemy w kontakcie.

Corr wsunął do swojego deca nowy magazynek. Ikona jego punktu widzenia sygnalizowała, że przygląda się zbozom na dużym powiększeniu, więc on również musiał zwrócić uwagę na brak jednoznacznej odpowiedzi.

Darman podszedł do północnej ściany i ustawił HUD na maksymalne zbliżenie. Hadde było zasnuwane czarnym dymem; teraz, kiedy nie skupiał się już tak mocno na własnych problemach, słyszał odległe echo wystrzałów. Wszystko wskazywało na to, że osiemdziesiątka piątka ma pełne ręce roboty. Widocznie Maze chciał im oszczędzić takich rewelacji.

- To co z tą ich łącznością? - zapytał Niner.

- Omega, wysyłamy po was transport z Neski - przerwał mu obojętny głos Maze'a. -

Przybędą z opóźnieniem około jednej godziny z powodu burz piaskowych. Baza Hadde straciła przekąźnik. Są ostrzeliwani. Trzymajcie się.

Maze nie zapytał nawet, czy dadzą radę wytrzymać tak długo, ale chyba nie mieli innego wyjścia. Neska była najbliższą bazą zaraz po Hadde. Wiedzieli, że nikt nie przybędzie im na ratunek szybciej.

- Dzięki, kwatery główna - burknął Corr. - Przy okazji proszę przekazać generałowi Zeyowi, że sprzątnęliśmy Jolluca.

- A więc wasza wycieczka nie pójdzie na marne, Omega.

- Ja również życzę miłego dnia, kapitanie - powiedział chłodno Corr, ale zanim dokończył, połączenie zostało przerwane. -Może wizyta u fryzjera? Jakies małe zakupy?

- ARC dostają świra, kiedy sadza się ich za biurkiem - mruknął Darman. Czuł niejasną potrzebę usprawiedliwienia Maze'a.

- Z pewnością woleliby walczyć na froncie...

- Naprawdę sądzisz, że każdy dorosły facet przy zdrowych zmysłach marzy o tym, żeby ktoś odstrzelił mu shebsl? Może akurat on nie czuje potrzeby bratać się ze swoimi, jak Zera.

- Alfy też mają przyjaciół - powiedział cicho Darman, przypominając sobie Sulla i jego wściekłość po wyroku wydanym na jego brata żołnierza, który dopuścił się dezercji. - Są tacy jak my.

Corr prychnął tylko pogardliwie. Ciszę przerwały ze świstem trzy wiązki energii. Trafiły w ścianę nad nimi i na głowy komandosów posypał się deszcz cegieł. Niner odpowiedział ogniem i po chwili udało mu się odłupać od zbocza kawałek gruntu razem z kilkoma stojącym na nim postaciami, ale Darman widział, że wokół roi się od rebeliantów. Musieli widocznie wezwać posiłki. Tak, tym tunelom zdecydowanie przyda się farsz w postaci tony czy dwóch plastoidu termicznego typu pięćsetka.

- Pięćdziesiąt pięć minut - zameldował Atin, celując przez otwór w ścianie. Przynajmniej nie mieli teraz nikogo za plecami

- wróg nadciągał z trzech pozostałych stron. Odrobina optymizmu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Kanonierka LAAT/i z pewnością była już w drodze. - Odliczam.

- Pamiętaj, vode, tylko bez szaleństw - mruknął Niner. - Nie strzelajcie na darmo.

Pamiętajcie, że transport może się spóźnić.

Atin przestawił sondę.

- A nasi chakaare mogą zmienić się w górskie nerfy - zażartował.

Widok z sondy pokazywał, że grupa Maujasów nadal przygotowuje się do wspinaczki. Mieli kotwiczki, linki i coś, co wyglądało na wyrzutnie.

- Jak daleko są od nas? - zapytał Darman. - Ile dokładnie?

Ikona punktu widzenia Atina pokazywała, że komandos obserwuje przekazywany przez sondę obraz telemetryczny.

- Sto pięćdziesiąt osiem metrów i czterdzieści centymetrów - zawiesił głos. - Do linii odniesienia.

Linka wbudowana w zbroję komandosa miała sto metrów długości. Darman pomyślał, że w najgorszym wypadku mogliby

spróbować spuścić się na dół, jednak nie miał pomysłu, co dalej. Z shab wie iloma rebeluchami na karku nie będą w stanie zdziałać zbyt wiele. Przypomniał sobie o nadchodzącej burzy. Cóż, przynajmniej zapewni im jakąś osłonę, chociaż równie dobrze mogła oznaczać śmierć.

- Plecaki rakietowe - powiedział tęsknie. - Naprawdę powinni nam dawać coś takiego. Mandalorianie nie są głupi.

Maujasowie wystrzelili linkę i kotwiczka zaczepiła się o skałę z metalicznym szczękiem. Kiedy pierwszy ze śmiałków pokonał jakieś dwadzieścia metrów, Corr posłał laserowy strzał w jego głowę.

- Następnym razem zaczekam, aż wlezie wyżej...

Darman kilka razy wysunął i schował swoje wibroostrze, ani na chwilę nie spuszczać oka z obrazu przesyłanego przez sondę. Zaczynał się denerwować. Odsiecz czy nie, czym innym było bronić się do upadłego, a czym innym stać tu jak stado feshu czekających na rzeź. Zastanawiał się, ilu napastników zdoła ze sobą zabrać, zanim go obezwładnią.

- Mogą sobie zgrywać choj raków, dopóki tu nie dotrą i nie spróbują wziąć nas żywcem.

- Żywcem, no właśnie - podchwycił Niner. - Może nie mają wystarczającego sprzętu, żeby zrobić z nas miazgę?

Ta godzina dłużyła się im jak nigdy przedtem. Darman obserwował uważnie sondę (której rebelianci najwidoczniej nie wykryli, bo gdyby było inaczej, już dawno spróbowaliby ją sprzątnąć) i próbował pokonać odruch odpowiedzenia ostrzeliwującemu ich wrogowi, zerkając co chwila na północ.

Czarna chmura nad Hadde znikła, zastąpiona przez żółty tuman, który nadciągał nieubłaganie w ich stronę. Silny wiatr zerwał się nagle i poderwał w powietrze masy piachu i śmieci. Darman dokonał szybkiego rachunku i stwierdził, że burza dotrze do nich w ciągu kilku minut.

- Głowy w dół, vode - ostrzegł komandosów. - Zaraz się zacznie.

Piasek raczej nie powinien się dostać do ich próżnioodpornych pancerzy, dece były wyposażone w filtry, a wyświetlacze HUD pozwalały poruszać się w najgęstszym nawet dymie. Hełmy bez problemu wygłuszą wycie wiatru. Jednak utknięcie w samym środku takiej burzy nie było miłą perspektywą. Darman usłyszał, jak pierwsze niesione przez wiatr ziarenka piasku bombardują płyty jego katarna i skulił się pod ścianą. Reszta poszła w jego ślady.

- O shab — wyrwało się Corrowi.

Darman dezaktywował zewnętrzny mikrofon i ściana piachu uderzyła w niego w kompletnej ciszy. Mogli tylko siedzieć i próbować przeczekać. Jedno było pewne: w takich warunkach rebelianci zrezygnują ze wspinaczki. Dar pomyślał o Etain; miał nadzieję, że Maze przekazał meldunek do kwatery głównej... \

- Fierfek, chyba trafiliśmy na niezłą zadymę - stwierdził Niner. Nie zanosilo się na to, żeby burza szybko przeszła. Piach ogarniał pewnie setki kilometrów kwadratowych. - Nie zabiorą nas stąd, dopóki nie przejdzie. Nawet pilot JOI nie dałby sobie rady w takich warunkach.

Sicko nie dałby za wygraną, pomyślał Darman. Choć Sicko zginął dawno temu i znali się tak krótko, jego śmierć nadal była dla niego bolesnym wspomnieniem.

Widoczność spadła do zera. Darman ostrożnie otworzył zewnętrzny kanał audio. Ściszył dźwięk i wycie wiatru spadło do ledwie słyszalnego szumu. Wydawało mu się, że przez odgłosy burzy przebija się jakiś inny dźwięk, ale uznał, że to złudzenie. To musiały być uderzenia wiatru.

Łup-łup-łup-łup! - miarowy terkot stawał się coraz głośniejszy.

Nie... nie przesłyszał się. Odgłos było teraz słychać wyraźniej, jakby jego źródło znajdowało się bliżej.

Łup-łup-łup-łup...

Dźwięk brzmiał mechanicznie, jak wydawany przez maszynę. Wznosił się i opadał regularnie, co upodabniało go do odległego wycia syreny. Nie, poprawił się w myślach Dar, nie syreny.

Przypominał raczej... krztuszący się silnik.

Cokolwiek to było, z pewnością nie LAAT/i, uznał. Odgłosy kanonierki poznałby wszędzie - tak teraz wytęsknione, cudownie znajome i uspokajające.

- Shab - jęknął. Darman miał w zwyczaju określać stopień natężenia sytuacji kryzysowej danego dnia na podstawie częstotliwości użycia przez niego słowa na „S”. Dziś był jeden z dni, w których shab pojawiał się stanowczo zbyt często, wyczerpując limit. Żadne inne słowo nie przynosiło takiej ulgi, kiedy było się zmęczonym, obolałym albo po prostu czuło się potrzebę powiedzenia czegoś - czegokolwiek - w obliczu nadciągającej zagłady. - Shab, to nie nasi...

Wszyscy spojrzeli odruchowo do góry, chociaż nie musieli tego robić. W razie potrzeby sonda mogła im przesłać obraz sytuacji w podczerwieni.

Nie... to z pewnością nie była LAAT/i. Silniki walczące z tumanami kurzu niesionymi przez wiatr brzmiały obco, bo wydawał je obcy statek. Przez żółtawą mgłę widzieli brzuch pojazdu — jaskrawoturkusowy, z kanciastymi wzorami wymalowanymi czarną farbą, na wpół zatartymi przez czas i piach. Statek był stary. Darman widział majaczące tu i tam przewody hydrauliczne i tłoki serwomotorów.

- Shabuir- prychnął Corr, sięgając po omacku po moduł przeciwpancerny i próbując zamontować go na swoim dece. - W porządku. Jeżeli my nie wracamy do domu, to nikt nie wraca.

Darman wycelował w coś, co wydawało mu się zbiornikiem hydraulicznym. Nagły podmuch wiatru niemal ściął go z nóg. Atin wpadł na niego, a Niner zaczął na nich krzyczeć, żeby zeszedli mu z drogi; jakimś cudem wciąż udawało mu się utrzymać blaster w dłoniach.

Wystrzelił serię, a za nim Darman. Być może reszta również, ale nagle oślepiła ich chmura ognia i ostatnią rzeczą, jaką Darman zapamiętał, był upadek na plecy. Jego wizjer wypełniły rozpryski szczątków skały i płonącej cieczy.

Keldabe, Mandalora

Fi twardo obstawał przy swoim. Cóż, tak naprawdę to Parja obstawała, a on nie śmiał się sprzeciwiać. Nie pomoże Fennowi Shysie, wcielając się w rolę młodego Fetta.

- Jesteśmy w Keldabe na wycieczce, jasne? - Parja prowadziła go pod rękę, ale raczej jak zaborcza żona niż osoba pomagająca niepełnosprawnemu. - Zwiedzanie dużego miasta, nic poza tym. Nie jesteś nikomu nic winien, a już z pewnością nie jemu.

Tak naprawdę Keldabe wcale nie było duże. Fi wprawdzie wciąż czuł się przytłoczony, ale pamiętał, żeby kierować się informacjami ze swojego notatnika komputerowego. Stolica Mandalory była w rzeczywistości mało imponującym skupiskiem budynków z kamienia, drewna, durastali i plastoidu, wyrastających z granitowej skały na podobieństwo kolonii grzybów. U podnóża stromych

klifów płynęła wartko rzeka Kelita. Miejsce wydawało się zaniedbane i dzikie, a jednocześnie budziło dziwny szacunek. Był w nim jakiś pierwotny magnetyzm, który przyciągał tu ludzi

wbrew ich woli. W skrócie - tak mogłyby wyglądać dolne poziomy Coruscant, gdyby odrobinę o nie zadbać, utworzyć z nich coś na kształt miasta i przenieść w jakąś sielską okolicę. Fi natychmiast się w nim zakochał. Słońce odbijało się oślepiającym blaskiem od wież zakładów MandalMotors - był to charakterystyczny punkt, którym piloci kierowali się podczas schodzenia do lądowania.

Powietrze przesycił zapach żywicy - rozkoszna odurzającą woń lasu.

- Cudownie - westchnął z zachwytem Fi. -Tu jest... cudownie.

- To slumsy - Parja zacisnęła mocniej dłoń na jego łokciu. -Shebs galaktyki. Ale jest nasze. Przeszli przez jeden z licznych mostów i skierowali się do centrum miasta. Siatka ulic, które przebiegały między budynkami w dziwnie nieregularny i trudny do przewidzenia sposób, jasno dowodziła, że Mandalorianie nie wiedzieli, co to planowanie urbanistyczne. Miasto było właściwie przeciwieństwem Coruscant.

- Czy on mieszka w pałacu? - zaciekał się Fi.

- Shysa to tylko jeden z pomniejszych hersztów. Nawet Mandalorzy nie mieszkają w pałacach. Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek mieszkali - mruknęła dziewczyna.

- Gdzie się z nim spotkamy?

- W pubie.

- Dlaczego akurat tam?

- A gdzie indziej? - Parja zatrzymała się przed sklepową wystawą pełną narzędzi i części do maszyn. Patrzyła na nie z takim samym wyrazem twarzy, jaki Fi widywał czasem u Coruscanek oglądających wystawy butików. - Wszyscy znają „Oyu'baat". Działała już, kiedy Canderousa Orda nie było jeszcze na świecie, i jest zawsze czynna. Mawiają, że kociołek nad ogniem perkocze tam bez przerwy od tysiąca lat i że kucharze każdego dnia po prostu dorzucają do niego więcej warzyw i mięsa.

- Uch! - Fi skrzywił się z obrzydzeniem. - Mam nadzieję, że chociaż myją ręce.

Mandaloriańska bezceremonialność go fascynowała. Został wychowany wśród żołnierzy, gdzie wszystko regulowały przepisy, których należało ściśle przestrzegać. Co najdziwniejsze, w panującym tu pozornym chaosie nadal istniał jakiś porządek, poczucie wspólnego celu, które nadawało mu cechy spójnej całości. Fi zdjął hełm i odetchnął głęboko. Kilku przypadkowych przechodniów przyjrzało mu się ze zdziwieniem.

- Widzisz? - zapytał z szerokim uśmiechem. - Podziwiają mnie! Jestem chodzącą doskonałością!

Parja roześmiała się beztrasko.

- Bardan będzie zachwycony twoimi postępami. Posłuchaj sam siebie!

Tak... Jednak kiedyś potrafiłem zejść na lince z budynku kwatery głównej Erelan, przed śniadaniem robiłem dwieście pompek, a trafienie ruchomego celu z odległości tysiąca metrów było dla mnie pestką pomyślał tęsknie. Byłem kimś wyjątkowym. Byłem... najlepszy.

- I Shysa ma się z nami spotkać w tym miejscu?

- A dlaczego nie? Poinformowanie go, gdzie może sobie wsadzić swoje durne pomysły, zajmie nam nie więcej niż dwie minuty. Potem kupimy kilka rzeczy i wrócimy do domu, żeby Bardan mógł się tobą zająć.

Fi z niecierpliwością odliczał dni między wizytami Jusika. Cieszyła go obecność przyjaciela, z którym wiele go łączyło, a każdy kolejny seans przybliżał go do odzyskania dawnej formy. Czuł, jak z każdym dniem odzyskuje siły - jakby wracał do siebie po ciężkim dniu. Jednak po każdym spotkaniu Jusik sprawiał wrażenie skrajnie wyczerpanego, zupełnie jakby oddawał mu swoje siły. Fi nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Jedi potrafi wpływać na komórki jego ciała. To było zupełnie jak... cud.

- Znalazłem! - wykrzyknął nagle triumfująco.

Oyu'baat przypominał rudere. Fasada lokalu wyglądała, jakby budowniczemu obce były takie pojęcia, jak pion i poziom. Budynek sprawiał wrażenie poskładanego z przypadkowych fragmentów ruin. Fi wyprostował się, uniósł podbródek i przeszedł przez drzwi. Natychmiast owionął go zapach płonących na kominku szczap, drożdży i bogaty aromat gotowanego na ogniu jedzenia. Shysa siedział przy palenisku, na którym wesoło buzował ogień, plecami do wejścia. Opierał nogi na sąsiednim krześle, a ręce miał splecione na karku. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w zielonkawych zbrojach. Kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi, odwrócił głowę, a na widok Fi wstał z krzesła i odwrócił się w ich stronę.

- Co my tu mamy? Syn marnotrawny i jego dobrodziejka - mruknął z lekkim rozbawieniem.  
- Napijcie się czegoś?

- Nie zabawimy długo - rzuciła chłodno Parja. - Mamy się spotkać ze znajomym. Kiedy ochroniarze Shysy odwrócili się w ich stronę, Fi zdziwił się, że nie rozpoznał ich wcześniej. Powinien był się domyślić ich tożsamości od razu - obaj byli tej samej postury i mieli tak samo przyszczyżone ciemne włosy.

Byli klonami, tak jak on. Chociaż nie... nie do końca. To byli żołnierze ARC. Pierwszego, Sulla - znanego wcześniej jako A-30 - Drużyna Omega wytropiła na Gaftikarze, a potem sierżant A'den puścił go wolno. Temu drugiemu, jak się domyślał Fi, było na imię Spar.

- Chyba powinienem ci podziękować - powiedział Sull, przyglądając mu się spod w półprzymkniętych powiek. - Za to, że uniknąłem śmierci z rąk tamtych dwóch, nasłanych na mnie.

Pogrzebaliśmy ich z należnymi honorami, przypomniał sobie Fi. Wykonywali tylko rozkazy. A Dar był wtedy naprawdę wkurzony...

- To byli Moz i Olun - burknął. Poczł dumę, że pamięta ich imiona. Były to szczegóły z rodzaju tych, o których myślał, że je zapomniał. - Na wypadek gdybyś pytał.

- Co ci się stało? Na Gaftikarze nie zamykała ci się jadaczka.

Parja miała minę, jakby zamierzała mu się rzucić do gardła.

Niesamowite, że tak drobna istota potrafiła wyglądać tak groźnie.

- Ledwo się wylizal po porządnej eksplozji... - oto, co się stało, chakarze - warknęła.

- Ja... przykro mi.

Shysa klepnął Sulla w ramię.

- No, wystarczy tego dobrego. Zostaw naszego gościa w spokoju. Spar, przynieś no jakieś krzesła dla moich gości.

A więc jednak. To był Spar - klon, który zdezerterował na długo przedtem, zanim Wielka Armia w ogóle opuściła Tipoca City. Fi nie był pewien, co o nim myśleć. Szczerze powiedziawszy, gość nie wyglądał na przesadnie szczęśliwego...

- Dziękuję, ale zaraz wychodzimy - fuknęła Parja.

- Skoro nie chcecie się ze mną napić, przejdę od razu do rzeczy - westchnął Shysa. -

Mandalorianie potrzebują kogoś, kto

zajmie miejsce syna Fetta. Żaden z naszej trójki się do tego nie rwie, więc proszę cię o przysługę raz jeszcze. To nic trudnego. Zwykła gra pozorów.

- A mógłbym zerknąć na plan emerytalny? - spytał zjadliwie Fi.

- To tylko przedstawienie dla aruetiise - uspokoił go Shysa. - Żyjemy w ciężkich czasach i naprawdę przydałby się ktoś na to stanowisko.

- Nie rozumiem, dlaczego klany nie załatwią tego tak jak zwykle - mruknął Spar. - Albo Mandalora potrzebuje prawdziwego przywódcy, albo nie. Skoro zamierzamy wystawiać pozoranta, równie dobrze można by załatwić wszystko legalnie.

- Nazwisko „Fett” budzi prawdziwą grozę wśród aruetiise -przypomniał mu Shysa. Przynajmniej był szczery. Fi z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że czuje do tego mężczyzny pewien... szacunek. Twarda fasada skrywała człowieka, który był głęboko zatroskany losami swojego świata. - Jango zginął haniebną śmiercią, ale wcześniej zabijał Jedi gołymi rękami. Ludzie nie zapominają takich rzeczy. Wierzę, że wszyscy pamiętają Straż Śmierci. Cóż, chyba nikt z nas nie chciałby powtórki z rozrywki, a każdy wie, co się dzieje, kiedy klanom przez długi czas brakuje silnych rządów. W tej chwili nie mamy dobrego kandydata na stanowisko przywódcy.

Fi czuł się przytłoczony zawłościami mandaloriańskiej polityki, ale wyglądało na to, że Parja trzyma rękę na pulsie.

- Czemu w takim razie nie wysuniesz swojej kandydatury, Fenn? - zapytała, kładąc zaborczą dłoń na ramieniu Fi.

- Och... - Shysa rozłożył bezradnie ramiona. - Ja tu tylko sprzątam. Przynajmniej nie owijał w bawełnę.

- Param się różnymi rzemiosłami. Jestem zwykłym szeregowcem. W tych niepewnych czasach potrzeba nam kogoś więcej niż tylko człowieka od brudnej roboty.

- Potrzebujemy kogoś, kto zjednoczy klany. Jeśli o mnie chodzi, wyglądasz na takiego, co da radę.

Fi nie bardzo rozumiał ideę społeczeństwa, w którym ludzie nie sięgali po władzę, kiedy ta była w ich zasięgu. A może tak naprawdę nie było po co sięgać? Może skupiał się za bardzo na odrzuceniu propozycji? Pewnie Parja miała rację: to było szaleństwo, nawet jeśli wydawało mu się, że rozumie Shysę.

- To jak, Fi? - spytał Fenn.

Były komandos czuł, jak na jego górnej wardze zbierają się kropelki potu. W uszach słyszał ostrzegawczy głos Skiraty.

- Nie mogę chodzić o własnych siłach ani nawet porządnie się wysłowić, a poza tym syn Fetta wciąż krąży gdzieś po galaktyce. Przykro mi. Nie podejmę się tego zadania. Shysa uśmiechnął się smutno.

- W porządku. Nie miej mi za złe, że próbowałem cię namówić. - Skinął przyjaźnie głową.

- Wracaj do zdrowia, ner vod.

- Ja też odpadam - powiedział cicho Sull. - Stanę do walki, jeśli będzie trzeba... o ile mi za to zapłacą... ale wolałbym się trzymać na uboczu. Poprzedni pracodawcy nie byli zbyt zachwyceni moim nagłym wymówieniem.

Wszyscy spojrzeli na Spara, który wzruszył ramionami.

- Mogę ci robić reklamę, Shysa, ale wtedy twoja dobra passa nie potrwa długo. I nie jestem Fettowi winien żadnej kriffing rzeczy.

- A samej Mandalorze? Nie sądzisz, że masz wobec tego świata jakiś dług?

- Mandalorze, powiadasz? Nigdy nie kupiłem tych bzdur, które Fett wciskał nam na temat Republiki, więc marny ze mnie patriota. - Odwrócił się do Fi. - Tak jak ci mówiłem, ner vod, Fett troszczył się tylko o swoją shebs, cała reszta mało go obchodziła. Płacili mu za produkcję mięsa armatniego - klonów takich jak ja i ty. Czy to właśnie ma być symbol potęgi Mandalorian?

Imponujące - zakpił.

A więc to ze Sparem Fi rozmawiał na rynku w Enceri... Fi zastanawiał się, czy żołnierz ARC czuł się winny, że zdezerterował jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Nie wyglądał na kogoś gnębionego przez wyrzuty sumienia, ale otaczała go jakaś aura... żalu.

- Rozumiem więc - powiedział Shysa z namysłem - że nie masz nic przeciwko przedstawianiu cię jako jednego z synów Fetta i sugerowaniu, że Mandalorianie rozważają obsadzenie ciebie na jego miejscu?

Spar miał ten typowy dla żołnierzy ARC pogardliwy wyraz twarzy: zaciśnięte wargi, jedna brew drwiąco uniesiona do góry. Z pewnością mieli to po Jango.

- Zgoda, o ile nie zamierzasz ogłaszać wszem wobec, że jestem dezerterem, i obiecasz, że nie będzie się za mną uganiał szwadron śmierci.

- Dzięki, chłopcze. - Shysa uniósł kubek w toaście. Wyglądało na to, że umowa została zawarta. - Cóż, to by było chyba na tyle. Na razie.

Fi wciąż nie rozumiał, dlaczego Shysa po prostu nie ruszy własnego tyłka i nie usadzi go na miejscu Mandalora, skoro i tak miał się zajmować całym tym teatrzykiem. Parja skorzystała ze sposobności i odciągnęła go w odległą kąt kantyny.

- Cieszę się, że to załatwili. Świetnie sobie poradziłeś, cyar'ika. - Cały czas popatrywała na drzwi w oczekiwaniu na Jusika. - Spełniłeś coś więcej niż tylko swój obowiązek. Pora, żebyś nauczył się troszkę egoizmu.

Fi nie był przyzwyczajony do odmawiania. Skirata wpajał swoim chłopcom przekonanie, że mogą wszystko, bo są najlepsi, a stąd był już tylko krok do przeświadczenia, że są zobowiązani podejmować się każdego zadania, bo po prostu potrafią je wykonać. Fi miał teraz niejasne poczucie winy. Może powinien był przyjąć propozycję - przecież musiałby tylko siedzieć na shebs, wyglądając jak Fett i od czasu do czasu bąknąć coś patetycznego w Mando'a.

- I tak nie byłbym zbyt dobrą reklamą - powiedział, jakby chciał przekonać samego siebie. - Wyobrażasz to sobie? Mandalor Zaśliniony...

Parja wzięła go za rękę i uściśniła mocno.

- Cyar'ika, nie...

- Żartuję.

- Mam taką nadzieję.

Oyu'baat był bardzo spokojnym miejscem jak na centrum życia towarzyskiemu Keldabe. Fi spodziewał się raczej widoku licznych przywódców klanów zawierających umowy i grających w tę głupią mandaloriańską grę z uderzaniem w kwadraty, ale może po prostu nie trafił na porę załatwiania interesów przez mandaloriańskich decydentów. W końcu drzwi się otworzyły i do środka weszła niewysoka postać w zielonej zbroi.

Jusik nie wyglądał już ani trochę na Jedi, jednak wciąż nosił u pasa miecz świetlny. Fi wiedział, co myślała większość Mandalorian na widok broni Jedi, i nie dziwił się, że patrzyli na niego z mieszaniną szacunku i nieufności. Nikt nie brał go za Jedi. Uznawali jego miecz za trofeum, dzięki czemu Jusik natychmiast zyskiwał powszechny szacunek.

Przywitał się z nimi mandaloriańskim zwyczajem i zdjął hełm. Był krótko ostrzyżony, a po jego brodzie nie było śladu. Mogłoby się wydawać, że go to odmłodzi, jednak metamorfoza zadziałała w drugą stronę.

- Jak tam, ner'vod. - Jusik uśmiechnął się szeroko do Fi. - Chyba wracasz do siebie, co?

- Jestem trochę zmęczony - westchnął Fi. - Wolałbym wrócić do domu...

- Tym razem udało mi się wyrwać na parę dni - powiedział były Jedi. - Daj znać, jak tylko będziesz gotów. Poza tym mam trochę nowin, które pewnie cię zainteresują. Powiedzmy, że od starego przyjaciela.

Parja wstała i zdjęła hełm ze stołu.

- Muszę zabrać kilka części z MandalMotors - oznajmiła. - Potem możemy się stąd zabierać.

Fi postanowił, że opowie Jusikowi o całej historii z Shysą trochę później. Były Jedi rozglądał się dyskretnie po kantine, jakby podziwiał wystrój, ale Fi nie dał się zwieść - zbyt dobrze znał ten wyraz twarzy z poprzednich misji. Widocznie coś go zaniepokoiło. Odwrócił głowę w stronę Shysy i dwóch dezertorów ARC.

- O proszę - mruknął. - Vode\
- Spar i Sull - prychnęła cicho Parja.
- Chodźmy już. - Jusik skinął powoli głową.

Fi do tego stopnia przywykł do obecności Jusika - nieważne, czy występował jako Jedi, czy Mando'ad - że nigdy wcześniej nie zastanawiał się, jak zareagowałiby inni Mando, gdyby dowiedzieli się, że jest użytkownikiem Mocy. Przeszłość nie ma znaczenia, mawiali tutejsi. Jeśli nosiłeś beskar'gam, należałeś do rodziny, aliit. Fi był ciekaw, czy to czyszczenie konta dotyczyło również nowych wśród Mandalorian.

Tak czy inaczej, Sull odwrócił się nagle w ich stronę, zupełnie jakby coś wyczuł. Może chciał spojrzeć na Fi, a może była to zwykła ostrożność wpojona każdemu żołnierzowi ARC szkolonemu przez Jango? Cóż, cokolwiek to było, patrzył teraz prosto na nich, a po chwili wstał od stolika.

- Czy my się przypadkiem nie znamy? - zapytał Jusika.
- W Oyu'baat o tej porze było na szczęście niewielu klientów. Jusik odwzajemnił spojrzenie Sulla bez lęku. Shysa i Spar sprawiali wrażenie kompletnie niezainteresowanych.

- Ty mi to powiedz - odparł były Jedi.

Sull podszedł do nich wolno i Fi odruchowo wszedł między mężczyzn, a Parja postąpiła krok do przodu. Trudno było zgadnąć, co się za chwilę wydarzy. Dezertier zmierzył Bardana od stóp do głów i skinął głową w stronę jego miecza.

- Nigdy nie spotkałem cię osobiście - powiedział cicho Sull - ale ten głos brzmi znajomo... jakbym słyszał go już wcześniej w głośniku komunikatora.

- Nic do ciebie nie mam - powiedział Jusik. - Nie jesteśmy na Coruscant i nie wykonujemy rozkazów WAR.

- Kto wydał tajnym jednostkom rozkaz zabijania własnych ludzi, generale?

W środku zapadła absolutna cisza, a wszystkie twarze zwróciły się w ich stronę. Dawniej Fi interweniowałby w takiej chwili bez zastanowienia, choć teraz nie było tak naprawdę potrzeby. Jusik potrafił znakomicie radzić sobie sam - komandos widział kiedyś, jak były Jedi roztrzaskał ciężkie drzwi zwykłym machnięciem.

- Nie jestem już generałem, Sull - powiedział Bardan ze stoickim spokojem. - Poza tym czy naprawdę sądzisz, że byłbym w stanie skrzywdzić klona?

- Sądzę - warknął Sull - że wasza banda świętoszkowatych hipokrytów wyrznęłaby nas do nogi, gdyby miało się to przysłużyć waszym interesom.

- Licz się ze słowami - ostrzegł go Fi - bo mówisz do mojego vod.

Spar uznał widać, że najwyższy czas się wtrącić, bo wstał od stolika i podszedł do nich niespiesznie.

- Jakiś problem? - zapytał pozornie obojętnie.

- To jest Jedi - wycedził Sull. Jego ręka krążyła niebezpiecznie blisko rękojeści blastera. - Kriffing Jedi, próbujący wcisnąć wszystkim kit, że jest jednym z nas!

Fi zareagował instynktownie. Widać jakaś część jego mózgu działała już całkiem sprawnie, bo zanim zdążył pomyśleć, jego pięść wystrzeliła w stronę szczęki Sulla. Klon zatoczył się i wpadł na Spara, a jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Odwal się od niego - warknął Fi. - Spróbuj go tknąć, a wypruję ci...



Czuł, że Parja i Jusik starają się odciągnąć go na bok. Miał ochotę rozerwać faceta na strzępy.

Nie wiedział, skąd nagle

wzięło się w nim tyle gniewu, po prostu czuł palącą potrzebę wyładowania agresji. Nie zostało w nim nic z miłego, zabawnego Fi. Obok Sull'a jak spod ziemi wyrósł Shysa. Złapał Sull'a za kołnierz i szarpnął do tyłu. Fi nie miał pojęcia, skąd wziął siłę do ciosu, ale musiał tamtego nielecho kropnąć, bo ręka bolała jak haran, a Sull miał rozciętą wargę.

- Gówniarzeria - syknął starszy Mandalorianin, zakładając Sullowi blokadę na szyję. -

Wiem, moje krnąbrne chłopaczki, jak wam spieszo do bitki. Jeżeli jednak naprawdę macie jakiś problem, proponuję rozwiązać go podczas miłej pogawędki przy drinku czy dwóch. Zrozumiano?

- Chodź, Fi. - Parja pociągnęła go w stronę drzwi. - Nie warto. Zostaw go.

Barman obserwował całe zajście z lekko znudzonym wyrazem twarzy. Opierał policzek na dłoni, jakby podobne incydenty były dla niego chlebem powszednim. Fi wyrwał się Parji i pogroził Sullowi palcem.

- Lepiej trzymaj się z dala od Bard'iki! Słyszysz? Spróbuj na niego choćby spojrzeć i nie żyjesz!

Na zewnątrz Fi natychmiast ogarnęło poczucie winy. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał.

Serce waliło mu tak mocno, że prawie bolało. Nie był sobą, czuł się tak, jakby przed chwilą przejęła nad nim kontrolę jakaś do tej pory uśpiona, zwierzęca natura. Jusik wziął go pod ramię i pomógł Parji przeprowadzić go przez plac. Kiedy usiedli na ławce przy moście, były Jedi położył swój hełm na kolanach i westchnął.

- Cóż, widzę, że wracają ci zdolności motoryczne - stwierdził. - Nie mówiąc już o płynności werbalnej...

- Przepraszam - mruknął skruszony Fi. - Po prostu zobaczyłem jego dłoń i... miał blaster, i...

- Nie masz za co przeproszać, synu - powiedział łagodnie Jusik. - Dziękuję.

Parja wciąż odwracała głowę ku Oyu'baat, jakby spodziewała się, że w każdej chwili klony ARC mogą po nich przyjść. Poklepała swoją kaburę.

- Sull tak tylko gada. Rav mówi, że ARC to nic, tylko wielka gęba i kamas.

- Nie mogą mieć do niego pretensji - powiedział cicho były Jedi. - Wie, że żołnierzy ARC nie czeka szczęśliwa emerytura.

Z pewnością trudno jest mu zaufać Jedi po tym, przez co przeszedł. ..

- Czy to znaczy, że każdy ma cię tak traktować? - spytał ostro Fi. Był bardziej niż zły: był wściekły. Jusik był jego przyjacielem, jego bratem - był mu tak samo bliski, jak Ordo czy jego bracia. Oczywiście, jak każdemu, im również zdarzały się utarczki i scysje, ale Jusik był przy nim zawsze, kiedy go potrzebował. - Czy każdy ma cię opluwać za to, że byłeś Jedi? Nie pozwolę na to! To nie w porządku!

- Och, w końcu się przyzwyczają zobaczysz. - Jusik dał mu żartobliwego kuksańca i wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale Fi wiedział, że to tylko gra pozorów. - A poza tym to tylko Sull. Wszyscy ARC to świry. A'den mówił, że ostatnim razem mało brakowało, a dałby mu z bańki. Zaraz, zaraz... a czy to przypadkiem nie on ugryzł Dara?

Fi wrócił myślami do misji na Gaftikarze. Darman i Atin złapali A-30, kiedy zdezerterował, i podczas szamotaniny Sull ukąsił Dara w rękę. To była niezła jatka.

- Tak, od tamtej pory ma cyborreańską wściekliznę...

- No, proszę! Jeszcze miesiąc temu nie potrafiłbyś wymówić tego słowa. - Jusik podniósł się z ławki. - Wrócisz na służbę, zanim się zdążyś obejrzeć, ner vod. Chodź. Wracamy do domu. Jusik ruszył przed siebie, pogwizdując beztrudnie. W jednej ręce trzymał hełm, a w drugiej obracał od niechcienia swój miecz świetlny. Wyglądał jak przeciętny, butny i niefrasobliwy

Mandalorianin, ale Fi wiedział, że nie jest mu tu lekko. Nie był zwyczajnym Korelianinem czy Togorianinem, ani przedstawicielem żadnej z tysięcy innych ras, których Mandalorianie przyjmowali bez mrugnięcia okiem: był jednym z Jedi, a Mando'ade nie mieli o nich najlepszego zdania. A teraz do grona przeciwników Zakonu dołączyła mała, ale wciąż rosnąca grupa klonów, które obwiniały Jedi o swój parszywy los.

To będzie ostateczna próba tradycyjnej mandaloriańskiej tolerancji, cin vhetin - pola pokrytego dziewiczym śniegiem, po którym miał prawo chodzić każdy, kto stawał się jednym z Mandalorian. Przeszłość przestawała mieć znaczenie, zostawała z tyłu.

Fi był nauczony ostrożności. Nie można było ryzykować - należało zawsze wiedzieć, kto cię osłania. Fi wiedział, że będzie musiał osłaniać Jusika do końca swojego życia.

Bez niego nie byłby tym, kim jest teraz. Był mu winien przynajmniej tyle.

## ROZDZIAŁ 5

Czyli... budujemy dla Republiki potężną flotę - tak naprawdę znacznie więcej statków, niż są w stanie obsadzić załogą - i., ile uzbrojenia? Tu brakuje przecinka, czy co? To znaczy... to jeszcze większe zamówienie od tego złożonego dwanaście lat temu przez Kamino! Czy to nie wydaje się nikomu... dziwne? I ile kriffing lat mamy to magazynować tym razem?

Kontroler linii produkcyjnej Rothana Heavy Engineering podczas sprawdzania ściśle tajnego programu zaawansowanego przebiegu prac

Punkt obserwacyjny Drużyny Omega, Haurgab, 938 dni po Bitwie o Geonosis

Każda normalna załoga kanonierki zastanowiła by się dwa razy nad tym, co robi, gdyby jej statek został ostrzelany. Jednak Maujasowie wyglądali na dzikich desperatów.

Darman poderwał się na nogi, próbując przetrzeć zachlapaną wizjer hełmu. Spodziewał się, że ujrzy roztrzaskany statek i porozrzucane wszędzie części ciała. Owszem, kanonierka nie była może w najlepszym stanie, właściwie wyglądała jak płonąca kupa złomu, ale rebeliantom zdawało się to wcale nie przeszkadzać. Wysypali się ze statku wprost w burzę piaskową i najwyraźniej nie zamierzali rezygnować z dobrania im się do tyłków.

Darman zanurkował za osłonę, jaką dawała ściana fortecy, i zaczął strzelać. Nie żeby specjalnie celował - i tak nic nie widział. Mógł polegać jedynie na odczytach sensorów rejestrujących zmianę temperatury i wykrywających metalowe części broni rebeliantów.

- Dar! At'ika! - To był głos Ninera. Darman słyszał wołanie, ale nigdzie nie widział śladu przyjaciela. - Padnij!

Przesłaniający wszystko żółty wir przecięła błękitna błyskawica laserowego ognia i niemal natychmiast odpowiedziały jej białe i czerwone promienie energii. Rebelianci ukryli się za hałdą gruzu utworzoną przez przewróconą ścianę fortecy.

- Gdzie pan, do shab, jest, sierżancie?

- Widzę cię, Dar! Jestem jakieś osiem metrów na lewo od ciebie

Wyświetlacz HUD zamigotał. Przypominało to oglądanie zakodowanego kanału HoloNetu:

wszędzie majaczyły zamazane kształty, które przypominały ciała, ale nie dało się nic rozpoznać.

- W porządku, mam!

Gdzieś w pobliżu rozległ się okrzyk Corra. Darman nie potrafił stwierdzić, czy ich towarzysza został ranny. Trudno mu było to ocenić nawet z odczytów dostarczanych przez specjalistyczny system biomonitoringu, w jaki były wyposażone ich kombinezony. Dane były wyświetlane w takim miejscu HUD-a, że trudno było je śledzić - szczególnie pod ostrzałem. Z każdym dniem bardziej nienawidził zaopatrzeniówki Republiki.

- Cor'ika, wszystko w porządku?

- Tak. Shabuir... - Corr stęknął, jakby się z kimś siłował. - At'ika, uważaj na swoją lewą.

Widzę jednego, jak...

Darman uniósł broń, żeby wystrzelić, ale w tej samej chwili blasterowa błyskawica trafiła go w pierś. Zachwiał się i przez moment trudno mu było złapać oddech. Kiedy już doszedł do siebie, posłał dwa granaty w stronę, z której nadszedł strzał. Na głowę posypały mu się szczątki ściany fortecy i zanurkował odruchowo w bok. Słyszał, jak Atin klnie siarczyście. Potem coś dużego uderzyło w jego pancerz, ale prędko się pozbiierał i spróbował wygrzebać spod szczątków. Na chwilę zrobiło się dziwnie cicho - wiatr wciąż wiał, ale strzały i krzyki ustały - i Darman już był pewien, że wykończył wszystkich rebeluchów, dopóki nie trafiło go coś znowu, tym razem w plecy. Początkowo sądził, że to po prostu gruz, ale zaraz dotarło do niego: dostał.

Odczołzył się na bok, klnąc pod nosem, a oczy łzawiły mu z bólu. Kiedy znieruchomiał, nagle jego wizjer wypełniła twarz Maujasa - dziwnie blisko, dziwnie wyraźna. Spojrzał prosto w wylot lufy. Niewiele myśląc, wysunął wibrostrze i rzucił się na napastnika, celując w udo. Cios był tak silny, że przez kilka sekund nie mógł wyciągnąć broni z ciała rebelianta. Facet wydał z siebie zwierzęcy skowyt - nie tyle bólu, co zaskoczenia. Adrenalina była cudownym środkiem znieczulającym, ale nie mogła zatamować krwotoku z tętnicy udowej. Krew była wszędzie. To nie ja krwawię, to nie ja, to nie ja... - powtarzał Dar w myślach jak mantrę. W tej chwili nie liczyło się nic więcej. Wstał i podbiegł kilka metrów w stronę miejsca, gdzie - jak sądził - czekała reszta.

Wiatr nadal bombardował jego zbroję gradem ziarenek piasku, ale wyglądało na to, że wokół się przejaśnia; wszystko zaczynało nabierać kształtów.

Ilu maujaskich rebeliantów mogło się zmieścić na pokładzie głupiej kanonierki?

Widać nieco więcej, niż Darman przypuszczał. Poprawka: znacznie więcej.

- Shab - parsknął Atin - czy oni nie mogliby po prostu wziąć i umrzeć?

Sądząc po deszczu czerwonych i białych laserowych promieni, ostrzeliwało ich jakichś czterdziestu-czterdziestu pięciu chakaare. Zdecydowanie za dużo. Darman zachowywał się, jakby był na autopilocie: nie przestawał strzelać ani na chwilę. Z jednej strony miał jakieś zabobonne przeświadczenie, że przerwanie serii będzie oznaczało śmierć, a z drugiej resztki rozsądku podpowiadały mu, że w ten sposób tylko marnuje amunicję - która w końcu kiedyś się skończy. Od Maujasów dzieliło ich teraz tylko jakieś dziesięć metrów. Było to jak wojna pozycyjna: między nimi znajdowały się stosy szczątków i zrujnowana ściana fortecy.

- Kiedy burza się skończy, jesteśmy udupieni - stwierdził Corr.

Jak długo jeszcze zdołają się bronić? Która seria z blastera w końcu przeciąży ich katarny i dosięgnie ciała? Darman stwierdził, że im lepszą ochroną dysponowałeś, tym bardziej przerażająca wydawała się perspektywa śmierci. Gdyby nie te wszystkie skomplikowane zabawki, całą sprawę załatwiłby strzał z blastera - szybko i czysto - a tak, kto wie, jakie męczarnie ich czekają? Chociaż pancerz pozwalał im odpierać dłużej atak wroga, nie zapewniał nieśmiertelności - po prostu opóźniał nieuchronne.

Tak czy inaczej, Darman nie miał ochoty wpaść w ręce Maujasów żywy. Wybacz, Et'ika... - pomyślał. Nawet się z tobą nie pożegnałem. Załadował ostatni magazynek do generatora impulsów jonowych i wycelował.

Widział teraz zarys ściany. Burza mijała. Za chwilę będą musieli stanąć oko w oko z wrogiem. Cóż, nie poddadzą się bez walki. Między kolejnymi seriami sięgnął do pasa, żeby upewnić się, że został mu ostatni detonator - na czarną godzinę.

- Mam nadzieję - odezwał się ostrożnie Niner - że to nie halucynacje... Słuchajcie tylko... Darman wstrzymał oddech, ale nie słyszał nic poza odgłosami walki.

- O co chodzi, sierżancie? - spytał Corr. Widocznie on również nie zauważył nic niezwykłego.

Darman zaczął coś mówić, ale przeszkodził mu głos dobiegający z prawego głośnika hełmu. Był tak donośny i wyraźny, że Dar aż podskoczył; jakim cudem ktoś wszedł na ich kanał łączności?

- Omega, głowy w dół. Widzimy was. Trzymajcie się, za chwilę będzie tu gorąco.

Darman zorientował się, że głos nie pochodzi z głośników -dobiał z zewnątrz, z góry, z prawej strony. Towarzyszył mu najśłodszy, wytęskniony dźwięk: ostre, wysokie terkotanie silników kanonierki LAAT/i.

- Shab\ - sapnął Niner. - Rychło w czas...

Pilot nie żartował. Ledwie zdążyli się rzucić pod osłonę resztek ściany, przednie działka laserowe larta bluznęły strumieniami energii i ziemia zadrżała. Darman na wpół świadomie czekał, że skała pęknie i się zawali - tak samo, jak przedtem część zbocza. Wydawało mu się, że ogłuszający hałas będzie trwał w nieskończoność, ale w końcu ostatnia seria przebrzmiała i zapadła nienaturalna cisza, wśród której kanonierka opadła na ziemię tuż przed nimi. Właz na burcie otworzył się i Darman zobaczył machające ku nim ramię w białym pancerzu.

- Omega, ruszcie no łaskawie swoje tyłki, co? - Wołający ich żołnierz był sierżantem. -

Ruchy, ruchy, panowie! Nie mam ochoty na rebeliancką bombę w dupie! - ponaglił, kiedy żaden z nich się nie ruszył. - No, co? Jazda, do środka!

W końcu posłuchali i zaczęli gramolić się nieporadnie na pokład, zeszywniali i roztrzęsieni; adrenalina opadała. LAAT/i uniosła się, jeszcze zanim pokrywa włazu opadła do końca i wkrótce szybowali ponad pustynią. Kątem oka Darman zdołał jeszcze uchwycić rozbłysk laserowej salwy i prawie w tej samej chwili lartem zatrzęsło: na pewno coś w nich uderzyło. Działka ponownie obudziły się do życia. Kadłub zadygotał, jakby statek się krztusił i Darman stwierdził, że trzyma się kurczowo poręczy. Lewe ramię bolało jak diabli, a z kolanem też nie było najlepiej.

- Dzięki - odezwał się Niner.

W odpowiedzi sierżant zasalutował im żartobliwie.

- Nie ma sprawy. Który to geniusz taktyczny wysadził górę?

163

- To Dar.

Sierżant pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Cud, że nie wyrwało wam bebechów.

Kiedy Darman spróbował zdjąć hełm, wyczuł w okolicy szyi dziwne zgrubienie. Dopiero po chwili zorientował się, że to ślad po trafieniu z blastera.

- Masz szczęście, że nie odstrzelili ci łba - stwierdził bezceremonialnie Corr. - To tworzywo miało być podobno blasteroodporne?

- Przy trafieniu z tak bliska? Zapomnij.

Była to właściwie rozmowa o niczym - musieli się po prostu odzywać, żeby odreagować.

Wszyscy zachowywali się, jakby nigdy nic, chociaż tak naprawdę Darman miał ochotę uściskać sierżanta, pilota i tych idiotów obsługujących działka, i zapewnić ich, że są od dzisiaj jego najlepszymi przyjaciółmi.

Fierfek, znów nam się udało! - wykrzykiwał w duchu.

Wreszcie zdecydował, że musi to z siebie jakoś wyrzucić - chociaż po namyśle uznał, że przytulanie załogi nie byłoby najlepszym pomysłem.

- Ner vod, nie masz bladego pojęcia, jaką radochę sprawił nam wasz przyłot! - Darman przycisnął swój hełm do piersi i odetchnął głęboko chłodnym klimatyzowanym powietrzem. - Byłem już pewien, że któryś z tych chakaare zrobi sobie z moich gettse kolczyki...

Sierżant pewnie przyglądał mu się podejrzliwie, chociaż trudno było to stwierdzić przez hełm. Skierował wizjer w stronę Darmana, ale nie odpowiedział, jakby zastanawiał się, czy dobrze słyszy.

- Co takiego? - spytał w końcu.
- Tam, na dole robiło się już shabla gorąco. - Może tamten nie wiedział, co maujascy rebelianci robili z jeńcami? - zastanowił się Dar. - Dzięki, serio.
- Czy to jakiś lokalny dialekt?
- Że co?
- Neir wood - powtórzył ostrożnie sierżant, jakby były to jedyne słowa, które do niego dotarły.

Cóż, Darman nie spodziewał się po białasach, że będą gadały w Mando'a. Właściwie tylko komandosi Republiki szkoleni przez Mandalorian, takich jak Kal, używali tego języka, ale każdy żołnierz znał ze słyszenia słowa pieśni Vode An, a niektóre wyrażenia, jak na przykład ner vod i co bardziej soczyste przekleństwa szybko wchodziły do żołnierskiego słownika.

Widać ten tutaj był wyjątkiem. Dziwne.

- Jesteś z osiemdziesiątki piątki? - spytał go Darman.
- Czternasta brygada piechoty - wyjaśnił sierżant.
- W porządku, możemy ci udzielić ekspresowego kursu Mando'a, żebyś mógł się dogadywać z „błyszczącymi”, jak my.
- Wybaczcie - powiedział żołnierz. Miał dziwny akcent, inny niż większość białasów, z którymi Darman miał do tej pory do czynienia. - Nigdy o tym nie słyszałem. Jestem nowy. To wiele wyjaśniało. Kiedy sierżant wstał i trzymając się poręczy ruszył ostrożnie do kokpitu, Darman założył hełm, żeby porozmawiać z resztą drużyny na wewnętrznym kanale.
- Myślicie, że to posiłki? Nowi rekruci?

Niner zaszczekał nerwowo zębami.

- Jeśli masz rację, to znaczy, że na Kamino zmienili program szkolenia. Wszystkie konserwy znają Vode An.

Atin usiadł wygodnie, skrzyżował ramiona na piersi i wyciągnął przed siebie nogi, dając wszystkim do zrozumienia, że zamierza się zdrzemnąć.

- Może Kaminoanie uznali, że cała ta sprawa z Mando wymyka się spod kontroli i chłopcy za bardzo zadzierają nosa?
- A może tną po kosztach? - zastanowił się Niner.
- A może po prostu ktoś powiedział któregoś z tych przynęt na aiwhy o jeden raz za dużo żeby kovid lo'shebs'ul narif? - podsunął Corr.

To niby drobiazg, ale w ich fachu życie i śmierć zależały od pozornie błahych szczegółów. Darman obiecał sobie, żeby wspomnieć o tym Skiracie przy najbliższej okazji. Chwilę później wyłączył się ze wspólnego kanału serią mrugnięć i wywołał kod prywatnego komunikatora Etain. Musiał jej powiedzieć, że jest cały i zdrowy - gdziekolwiek teraz była.

Pokład statku „Wybawca”, jednostki wsparcia floty Republiki, przestrzeń kosmiczna w okolicy Thyferry, 940 dni po Bitwie o Geonosis

- Jak pani na imię, pani komandor? - zapytała Etain. Kobieta miała jasnobrązowe włosy i była mniej więcej w wieku ich pani generał, ale nie wyglądała jak Jedi, z którymi Ordo miał dotychczas do czynienia. Zamiast tradycyjnych brązowych szat nosiła zwykły, sprany kombinezon, jakby dopiero co skończyła zmianę w fabryce. Tego, że była Jedi, można się było domyślać tylko po mieczu świetlnym, przy którym właśnie majstrowała - a i on różnił się od tych, które Ordo widywał. Ostrze było koloru żółtego, a rękojeść rzeźbiona w jakieś morskie stworzenia. Z pewnością nie pasowała do przepisowej wizji Jedi ulubionej przez Zeya.

Ordo z konsternacją stwierdził, że kobieta wygląda całkiem atrakcyjnie. Przez chwilę dręczyły go wyrzuty sumienia; samo zauważenie innej kobiety sprawiło, że czuł się dziwnie nieojajny w

stosunku do Besany. Postanowił, że następnym razem zapyta Kal'baira, czy takie zachowanie było bardzo nieprzyzwoite. Wiedział, że nie było sensu pytać o to Mereela. Wszystko wskazywało na to, że jego brat uważał takie zachowanie za obowiązek każdego mężczyzny.

- Callista, pani generał - odpowiedziała Jedi. - Callista Masana. - Skinęła grzecznie głową w stronę Orda. - Panie kapitanie...

- Drużyna Delta jest już w drodze. - Etain wyglądała na zakłopotaną, chyba coś ją niepokoiło. Długo i ostrożnie dobierała słowa. - Dziękujemy za odpowiedź na nasze wezwanie o pomoc. Liczy się każda para rąk.

Callista spojrzała na nią z ukosa, jakby ona również czuła się niezręcznie.

- Jestem pewna, że szybko pani przywyknie do naszej...eee... oryginalnej filozofii, pani generał - powiedziała i skierowała się w stronę LAAT/i, koło której tłoczyła się grupka jej towarzyszy. Ordo był w równej mierze zaskoczony reakcją Etain, co zachowaniem nowych. Callista objęła jednego z młodych Jedi i pocałowała go w policzek. Z pewnością nie był to zwykły, przyjacielski pocałunek. Jakby to powiedział Mereel, między tymi dwójkiem z pewnością iskrzyło.

- Mistrz Altis ma nieco kontrowersyjne poglądy na temat modelu życia Jedi - wyjaśniła cicho Etain, dając Ordowi lekkim kuksańcem do rozumienia, żeby przestał się gapić i poszedł za nią w stronę wyjścia z hangaru. - On i jego uczniowie optują za powrotem do mniej sztywnych, swobodniejszych zasad.

Jedi całujący się w miejscu publicznym? Nie mieściło mu się to w głowie. A Etain musi ukrywać swój związek z Darmanem... Ci ludzie powinni się w końcu zdecydować, o co im chodzi.

- Ten cały Mistrz Altis... - zaczął Ordo, maszerując za Etain do sali odpraw. - Wiesz, jak on traktuje kwestię zawierania małżeństw i posiadania dzieci? Czy to właśnie miała na myśli Callista, kiedy wspomniała o „ciut odmienniej filozofii”?

Etain wzięła głęboki oddech, jakby przygotowywała się do wyjaśnienia szczególnie skomplikowanego zagadnienia.

- W dawnych czasach nie było zakazu zawierania związków, a Mistrzowie mogli szkolić tylu padawanów, ilu chcieli, i to nawet dorosłych. Wszystko było... mniej sformalizowane. Altis nawołuje do powrotu do korzeni.

- Może powinnaś do nich dołączyć?

- To oni do nas dołączyli...

- Wie pani, o czym mówię, pani generał.

- Jak myślisz, co by na to powiedział Bardan?

Po opuszczeniu Zakonu Jusik stał się dla części młodszych Jedi czymś w rodzaju życiowego kompasu. Wszyscy darzyli go szacunkiem na długo, zanim wystąpił z Zakonu, i nie było dla nikogo tajemnicą, że bardzo krytycznie odnosił się do stanowiska Jedi w sprawach związanych z wojną. Dla niektórych stanowił wręcz wzór do naśladowania, ale Ordo odnosił wrażenie, że Zakon nie pochwalał jego decyzji, choć otwarcie się do tego nie przyznawał.

- Jak znam życie, to powie ci, że każdy powinien sam decydować o swoim losie - mruknął.

- A moim zdaniem przyłączenie się do grupy Jedi o bardziej liberalnych poglądach oznaczałoby, że chce się złapać dwa jastrzębionietoperze za ogon, ignorując problemy, które skłoniły Bardana do rezygnacji z funkcji.

- Chce pani opuścić Zakon?

- Tak.

To było i tak najmniejsze z jej zmartwień. Każdy kolejny dzień odsuwający wyznanie Darmanowi, że Kad jest jego dzieckiem, tylko pogarszał sprawę. Ordo łamał sobie głowę, jakby go najdelikatniej o tym poinformować, ale nie potrafił wymyślić nic mądrego.

Kiedy dotarli do sali odpraw, członkowie Drużyny Delta słuchali już dowódcy grupy razem z dwiema innymi drużynami komandosów - Orar i Naast, w których skład wchodziły głównie klony szkolone przez Rav Bralor. Nikt z nich nie zwrócił uwagi na Orda i Etain, kiedy zajęli chyłkiem miejsca na tyłach sali. Resztę krzeseł zajmowali żołnierze piechoty i piloci, ale na razie nie było wśród nich braci Orda, Zer. Rzadko zjawiali się na spotkaniach osobiście, ale brakowało im swojego towarzystwa, a Kom'rk był na misji w terenie już stanowczo zbyt długo, w dodatku sam.

- A tak w ogóle, to co ty tu robisz? - spytała go szeptem Etain. - Czy to Kal cię przysłał, żebyś miał mnie na oku?

- Nie. To ja zamierzam mieć na oku Kal'buirą.

- Coś nie tak?

- Trudno stwierdzić.

Etain przechyliła głowę i spojrzała na niego spod oka.

- Proszę, bez takich zagadek.

- Niedawno skontaktował się z nim jeden z jego synów. Podobno jego córka zniknęła.

Etain przymknęła na chwilę powieki.

- Biedny Kal. Nic mi nie powiedział! Co dokładnie masz na myśli mówiąc „zniknęła”?

- Nie mam pojęcia. Sam czekam, aż Kal'buir coś nam wyjaśni.

Generał westchnęła ciężko.

- Tak bardzo chciałabym dla nas wszystkich prostego, zwyczajnego życia... Nieważne, jak ciężko mielibyśmy pracować.

- Zobacz pani, jeszcze do tego dojdzie. Damy radę.

Ordo rzadko kiedy odczuwał coś na kształt litości, ale - oprócz jego braci - Etain była jedyną osobą, której naprawdę było mu żal. Tym bardziej teraz, kiedy wiedział, że istnieli Jedi, którzy traktowali pewne sprawy w inny sposób i że być może Etain miała po prostu pecha... Gdyby urodziła się w innym miejscu i w innym czasie, miałaby prawo sama decydować o swoim losie. To nie było w porządku - zabierać komuś dziecko, a potem od małego wpajać mu własne zasady i indoktrynować, nie pozostawiając mu prawa wyboru własnego losu. Gdyby było inaczej, mogłaby kochać bez obaw i konieczności podporządkowania się regułom.

Cóż, gdyby tak rzeczywiście było... gdyby galaktyka była inna, może nawet nie doszłoby do tej okrutnej wojny?

- Nie będziemy czekać, aż wojna się skończy, prawda? - szepnęła niemal bezgłośnie Etain.

- Ale skąd w takim razie mamy wiedzieć, że nadeszła odpowiednia pora?

Mówiła o ucieczce, którą planowali - o dezercji, o pozostawieniu losów wojny samym sobie. Dziwnie było słyszeć takie pytanie z ust Jedi. Ordo zawsze się wydawało, że wyczulone zmysły członków Zakonu uprzedzają ich o nadejściu ważnych wydarzeń. Uświadomił sobie z nagłą jasnością, że w gruncie rzeczy to on miał większe szanse na przewidywanie przyszłości niż ta kobieta, - zważywszy na jego dostęp do informacji wywiadu.

- W tym już moja głowa - powiedział. - I Kal'buirą.

Nie było sensu szukać sposobu na zatrzymanie procesu przyspieszonego starzenia, jeśli nie przetrwa nikt, kogo można będzie poddać terapii. A to oznaczało pozostawienie milionów braci klonów na polu walki, podczas gdy niewielka grupka szczęśliwców wybranych przez Kal'buirą da drapaką...

Tak, teraz Ordo rozumiał, dlaczego Etain trudno było pójść w ślady Jusika i porzucić służbę Republice.

- Jak pani myśli, czy Callista i jej kompania wolnomyślicieli dadzą sobie radę? - spytał. Na podeście przed słuchaczami dowódca floty demonstrował na holomapie system rozmieszczenia

żołnierzy mających zabezpieczać kosmoport. - Nigdy nie dowodzili wojskiem, a obydwójce doskonale wiemy, co się stało ostatnim razem, kiedy powierzono tę rolę niewyszkolonym Jedi.

- Nie mam pojęcia - mruknęła Etain - ale poleciłam członkom drużyn, żeby nie słuchali ich rozkazów, jeżeli będą szczególnie głupie albo samobójcze. Zdają sobie z tego sprawę.

Etain była bystra. Znała swoje mocne i słabe strony, no i ufała żołnierzom. Ordo skinął jej głową na pożegnanie i opuścił dyskretnie salę, żeby poszukać swoich braci.

Umówili się w jednym z przedziałów maszynowych, gdzie mógł im przeszkodzić najwyżej robot dokonujący napraw. Miejsce nie było może idealne, ale „Wybawca” znajdował się akurat w dosyć dogodnym punkcie i czasie, a dzięki Etain Ordo miał dobrą wymówkę, żeby znaleźć się na jego pokładzie. Kiedy wszedł do przedziału, nie było jeszcze żadnego z Zer, ale Skirata już czekał. Wydawało się, że go nie zauważył. Stał plecami do wejścia i rozmawiał przez komunikator - sądząc po tonie, z kimś bliskim.

- Wiem, synku - powiedział. - Czy nie potrzebujesz czegoś? Wszystko w porządku? Nasłuchiwał przez chwilę, a potem zaśmiał się smutno.

- Ret - powiedział na pożegnanie, a po chwili wpisał następny kod i czekał cierpliwie na połączenie. - 'Cuy, Gar'ika. Me'mar ti gar?

Pierwszą myślą Orda było, że Skirata rozmawia z jednym ze swoich biologicznych synów, Torem, ale po chwili zorientował się, że nawiązuje po kolei łączność ze wszystkimi komandosami ze swoich drużyn i sprawdza, czy wszystko w porządku. Zawsze im powtarzał, że to ważne. Ludziom potrzebna jest świadomość, że kogoś obchodzi, co się z nimi dzieje, mawiał. Etain widocznie wzięła to sobie do serca, bo kiedy tylko mogła, odwiedzała każdą ze stu dwudziestu pięciu drużyn w swojej grupie komandosów.

Ordo zaczął, aż Skirata zakończy kolejne połączenie i zakasłał cicho. Kal podskoczył, jakby ktoś strzelił do niego z blastera.

- Wybacz, Kal'buir...

- Synu, wiesz przecież, że jestem przygłuchy... - Skirata odwrócił się do niego, przełożył jedną nogę przez metalową ławkę i usiadł na niej okrakiem. - Sprawdzałem tylko, co u ad'ike. Była to ta część życia Skiraty, która właściwie nie obejmowała Orda i innych Zer, coś na kształt rodziny, którą sierżant posiadał, zanim przybył na Kamino. W jakiś przedziwny sposób Mandalorianin rozgraniczał te trzy dziedziny swojego życia. Zera ledwie znały komandosów, którymi opiekował się Kal'buir przed Geonosis. Ordo tłumaczył to sobie jako metodę Skiraty: unikał porównywania czasu, który poświęcał Zerom, z uwagą której wymagało od niego zajmowanie się mniej więcej setką młodszych komandosów.

- Rozmawiałem z naszymi vode - wyjaśnił sierżant.

- Musimy wyjaśnić sobie kilka spraw.

- Masz na myśli, że wy wszyscy musicie? - Skirata wyglądał na nieco zakłopotanego. - Brzmi groźnie. Zamierzacie mnie obsztorcować?

- Dokładnie.

- Ja... jeśli chodzi o moją nogę, to zaklepię wizytę u chirurga. Naprawdę. Na przyszły tydzień.

Ordo otworzył swój notes komputerowy i wywołał kalendarz, sprawdzając kody centrów medycznych. Mereel ustalił już termin operacji.

- Nie ma takiej potrzeby, Buir'ika. Załatwione.

Skirata był jakiś nieswój. Na pierwszy rzut oka było widać, że wieści od członków jego prawdziwej rodziny wyprowadziły go z równowagi. Zdaniem Orda to nie fair: synowie się go wyrzekli, a teraz nagle oczekiwali, że tatulek przybędzie im na ratunek,



kiedy coś się stanie. Byli dorośli, mogli mieć już nawet własne wnuki. Ale... to jego córka miała kłopoty. A ona jako jedyna nie uznała go za dar'buir. Ordo był gotów traktować ją ulgowo ze względu na Skiratę, ale wolał trzymać rękę na blasterze - na wypadek gdyby okazała się kolejnym problemem, których ich ojciec i tak miał już za dużo.

Czyżbym był zazdrosny? - przeszło mu przez myśl. Czy po prostu martwię się dlatego, że uważam go za naszego ojca, naszego buira - i chcę go chronić przed innymi? Ta myśl nie pasowała do filozofii Mando i Ordo z wysiłkiem odsunął ją od siebie. Znowu poczuł wyrzuty sumienia - a efekt był taki, że ponownie zaczął się zastanawiać, kim naprawdę był.

- Nie musisz być Jedi, żeby wiedzieć, że nadchodzą zmiany - powiedział Skirata. - Kontaktowałem się z Omegami.

- Są cali i zdrowi. Wiem o tym... z pewnego źródła.

- Zgadza się - przyznał Kal. - Dar twierdzi jednak, że trafili na żołnierzy, którzy nie znają Vode An.

Podczas wojennej zawieruchy nie miało to znaczenia. Jednak w zestawieniu z tym, co Zera odkryły na Kamino - nadciągający nieuchronnie koniec produkcji klonów i zdeponowanie urządzeń na Coruscant, a także ujawnione przez Besany dowody związane z programem klonowania wdrażanym na Centaksie II - oznaczało to wdrożenie nowego programu szkolenia. Te długoszyje przynęty na aiwhy były zawsze cholernie konsekwentne. Vode An stanowiła od zawsze część przyspieszonego kursu, który miał za zadanie wpoić młodym klonom pojęcie celu i wartości, związanych z toczoną przez Republikę wojną.

- Czy to pierwsza seria z Centaksa? - zapytał Ordo. - Bo szczerze powiedziawszy, nie zauważyłem szczególnego wzrostu liczby naszych żołnierzy... A wierz mi, Kal'buir, śledzę sprawę bardzo wnikliwie.

- Pewnie muszą najpierw sprawdzić kilku w walce, nie sądzisz? - A może po prostu dali im szansę, żeby się zaaklimatyzowali? Jeśli jednak tamci nie byli szkoleni w Tipoca, i to nie Kamino dostarczało embriony na Centax, dane dotyczące materiałów klonowania wysyłanych na planetę ujawnione przez Besany, oznaczały, że mieli do czynienia z całkowicie sprawnymi żołnierzami wyprodukowanymi w ciągu roku - albo nawet w krótszym czasie.

Istniał tylko jeden znany Ordowi sposób na uzyskanie takiego wyniku... komory Spaarti.

- Arkanian Micro? - podsunął Skirata.

- Nie sądzę, żeby zdołali pokonać barierę roku, nawet oni. Może Spaarti Creations na Cartao? Niewykluczone, że Palpatine sprowadził po prostu kilku byłych klonów Spaarti.

- Z pewnością ma paru Kaminoan na Coruscant - mruknął Skirata. - Koleś się nie cacka.

Ordo nie musiał nawet zaglądać do swojego notosu komputerowego. Przywołał z pamięci raport sprzed niemal dwóch lat, z czasów, zanim Separatyści zniszczyli fabrykę Spaarti na Cartao.

- Podejrzewam, że zgarnęli kilku naukowców po ataku na Cartao, Kal'buir - powiedział ostrożnie.

- A więc klony ze Spaarti... Jak myślisz, ile są warte, jeżeli produkują je w takim szalonym tempie?

Ordo czuł się niezręcznie, słuchając, jak o ludziach - takich jak on - mówiło się jak o przedmiotach, nawet jeżeli rozmawiał ze Skiratą.

- Nie chodzi o sam proces - sprostował. - Głównie o materiał, z którego je hodują.

Kaminoanie nie byli zadowoleni z wyników uzyskanych podczas produkcji drugiej partii, dlatego nie pozwalali Fettowi odejść.

- Musimy dobrze zbadać tę sprawę.

- Po co? Możemy po prostu poczekać na chwilę, kiedy Kanclerz postanowi ich wcielić do armii. To będzie dla nas znak, że pora się zmyć.

- Nie chcę prosić Besany o więcej. Już dość dla nas zrobiła.
- Wiem o tym.

Na chwilę zapadło niewygodne milczenie, ale zanim Skirata zdołał coś powiedzieć, w drzwiach pojawiła się głowa Kom'rka.

- Ojej, chyba się rozplaczę - powiedział komandos. - Nie było mnie cały rok, a nikt nie upiekł nawet ciasta na powitanie. Widać wcale za mną nie tęskniliście...
- Kom'ika... - powiedział ciepło Skirata i przytulił go do piersi. Ordo cierpliwie czekał na koniec czułości. - Dawaj, chłopie, zdejmij no ten kubeł! Niech ci się przyjrzę... shab, synek, wychudłeś mi jakoś...

Kom'rk wzruszył ramionami i przypiął hełm do pasa. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Ordo skorzystał z okazji i podszedł, żeby

go uściskać. Po chwili pojawiła się reszta Zer i nagle w przedziale zrobiło się dziwnie tłoczno. Prawie jak za dawnych dobrych czasów - cała siódemka, gotowa stawić czoło całemu światu.

- Troszczyłem się o niego, Kal'buir - odezwał się Jaing. - Poza tym ktoś musi go trzymać z dala od Mereela i jego niezaspokojonych chuci... - zażartował.

Prudii poklepał Orda po plecach.

- No to teraz kolej Ord'iki na zwiedzanie Zewnętrznych Rubieży - powiedział. Miał rację. Gdyby miał wybór, Ordo nie zostawiłby Skiraty ani na chwilę, ale wiedział, że i tak spędza w bazie o wiele więcej czasu niż reszta Zer. Kal'buir traktował ich wszystkich równo.
- Mogę się z kimś zamienić. Są chętni?

Mereel zdjął hełm i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jasne. A ja zaopiekuję się pod twoją nieobecność agentką Wennem. Co ty na to? Wszyscy się roześmiali, a Ordo prychnął pogardliwie.

- Hej, zebraliśmy się tutaj, żeby ochrzanić Kal'buiara, vod'ikase, zapomnieliście?
- - Pomyślałem, że może skoczymy do mesy i wrzucimy coś na ruszt, żeby uczcić fakt, że wciąż żyjemy - zaproponował Skirata. - Oczywiście po tym, jak już przedstawicie wasze postulaty - dodał.

- A więc będziemy się streszczać - zarządził Prudii. - Po pierwsze, pójdziesz pod nóż i dasz sobie zoperować tę kostkę... i uprzedzam, tym razem żadnego marudzenia. Po drugie, znajdziemy twoją córkę, a przy okazji, jeżeli ten twój synalek znowu kombinuje, jak cię wydoić, bo myśli, że jesteś teraz nadziany, obetniemy mu jego...

Wystarczył błysk smutku w oku Skiraty, żeby Prudii przerwał w pół zdania.

- Nie jesteś mu nic winien, Kal'buir - dokończył o wiele łagodniej.
- D'ika, to mój syn.
- Wyparł się ciebie - zaprotestował komandos. - Twoja żona nie pozwoliła ci wychować dzieci na Mandalorian, ale jakoś nie mają problemu z wydawaniem twoich kredytów. To jakaś kpina z tym uznaniem za dar'buiara. Jedyne mandaloriański zwyczaj, który im przypasował. Ordowi wydawało się, że Skirata z każdym słowem robi się bledszy. Nikt nigdy nie poruszał tego tematu, ponieważ istniał tylko jeden powód, dla którego synowie, którzy odrzucili swoją mandaloriańską spuściznę, mogli wykorzystać pradawne prawo, żeby wyprzeć się ojca, jeżeli wiedzieli, że go to zaboli; jeśli wiedzieli, jak bardzo się tym przejmie.
- Cokolwiek mi zrobili - powiedział cicho Skirata - nigdy nie przestaną być moimi dziećmi. A teraz chodźmy wszyscy coś zjeść, a po drodze ustalimy jakiś plan. Jaing, jak tam zbieranie funduszy?

Komandos wyszedł za Skiratą z pomieszczenia.

- Wszystko zgodnie z planem; inwestycje zaczynają się zwracać.
- Dobra robota, synu - pochwalił go Kal. - A jak u ciebie, Kom'rk?

- Grievous wciąż pojawia się i znika z Utapau, Kal'buir. Często odwiedzają go różne ciekawe typy; nikt by się po nim nie spodziewał takich znajomości... Między innymi regent Garis.

- Zdawało mi się, że opowiedział się za Republiką?

- Podrzucić to Zeyowi. - Kom'rk podał Skiracie datakartę. - To nagranie ich rozmów.

Oczywiście, wykasowaliśmy lokalizacje. Nie można pozwolić, żeby Windu albo Kenobi polecieł tam w te pędy i radośnie wysadzili wszystko, zanim wykorzystamy tę informację. A Grievous, biedaczek, nie może się doprosić Dooku o wyjaśnienia, co z tymi miliardami robotów, które tamten mu obiecał - dodał szeptem. - Wygląda na to, że go wystawili do wiatru.

- Mówiłem przecież - mruknął Skirata. - Zwykła propaganda. Zwykle osik.

- Czy mogę w takim razie skoczyć gdzie indziej? Wynudziłem się tam za wszystkie czasy.

- Musisz się nauczyć znajdować sobie rozrywki, ner'vod - powiedział Mereel, unosząc porozumiewawczo brew.

Zera śmiały się całą drogę do mesy. Kiedy zajęli miejsca, Skirata przywołał androida kelnera i zamówił dla wszystkich steki z nerfa. Mesa była jak zwykle pełna oficerów - klony były tu rzadkimi gośćmi - ale nikt z obecnych taktownie nie zwracał uwagi na grupę żołnierzy ARC ani na dwóch sierżantów, o ile w ogóle rozpoznali Skiratę i A'dena. Wiedzieli, co potrafią komandosi ze specjalnych oddziałów zwiadowczych i że lepiej ich unikać.

Wspólny posiłek był dobrą okazją do świętowania i Zera pozwoliły sobie nawet na odrobinę chandrilańskiego wina.

- Powinienem był to zrobić już dawno temu, ad'ike. - Skirata uniósł szklankę w toaście. - Ni kyr'taylgai sa'ad.. Mereel, Jaing, Kom'rk, A'den, Prudii. Załatwione. Od teraz oficjalnie jesteście moimi synami i spadkobiercami.

- Obiecujemy, że nie puścimy cię z torbami - mruknął Jaing.

- Z pewnością nie z sumą jaką podskubujesz, nervod - stwierdził radośnie Mereel i również uniósł szklankę. - Dziękujemy, Buir'ika. To dla nas wielki zaszczyt.

Ordo poczuł ulgę. Jeden powód do wyrzutów sumienia mniej, pomyślał. W końcu nie był jedynym Zerem oficjalnie adoptowanym przez Skiratę. Był to właściwie szczegół, czysta formalność, ale Ordo nie chciał być wyjątkiem. I tak już był traktowany ulgowo. Jedli i rozmawiali o błahostkach, dopóki Ordo nie zauważył, że kilku poruczników przy stoliku obok patrzy z lekkim rozbawieniem w stronę wejścia do mesy.

Odwrócił się i zobaczył stojącego w pobliżu drzwi młodszego oficera. Mężczyzna gapił się na nich z mieszaniną zdziwienia i pogardy.

- Klon! - parsknął, kiedy Ordo nawiązał z nim kontakt wzrokowy. - Co to ma znaczyć? Klon...

Cóż, taki początek rozmowy nigdy nie wróżył nic dobrego. Mereel uśmiechnął się z przymusem.

- Tylko bez wypruwania flaków, Ord'ika. Nie przy jedzeniu.

Ale Ordo nie było wcale do śmiechu. Nie chodziło tylko o zniewagę. Wiedział, że jeżeli pozwoli temu bufonowi sobą pomiatać, da mu tym samym przyzwolenie na podobne traktowanie wszystkich klonów. Przyda mu się mała nauczka, uznał.

- Podporuczniku - powiedział powoli i głośno. - Nie jestem klonem. Jestem kapitanem. - Poklepał swój czerwony naramiennik. - Kapitanem Ordo, żołnierzem serii Zero oddziału elitarnych zwiadowców, w skrócie ARC, brygada do zadań specjalnych Wielkiej Armii Republiki. I proszę zwracać się do mnie w odpowiedni sposób.

W mesie zapadła kompletna cisza. Podporucznik zadarł z żołnierzem ARC. W skrócie oznaczało to mniej więcej tyle, że będzie musiał wynieść stąd swoją shebs we własnych rękach. Ordo nie potrzebował zdolności telepatycznych, żeby wyczuć wiszące w powietrzu napięcie.

- Do kogo ta gadka? - parsknął kpiąco oficer. - Jesteś parszywym klonem!  
Ordo wstał i podszedł do niego wolnym krokiem, z kciukami założonymi za pas. Zatrzymał się tuż przed nim i pochylił. Ich twarze dzieliło teraz tylko kilka centymetrów. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie przyłożyć temu dupkowi. Swędziały go ręce. Bardzo. Kątem oka zauważył na piersi mężczyzny, obok tabliczki z rangą, plakietkę KOCHR-y. Widać chłoptaś był karmiony polityczną papką. Skrót pochodził od Komisji Ochrony Republiki, bandy nadętych gnojków, którzy opowiadali się za polityką twardej ręki. Tak, przynajmniej dopóki ta ręka smagała batem innych, pomyślał Ordo z ponurym rozbawieniem.

- I jestem z tego dumny - powiedział. Czuł, jak w jego żyłach pulsuje adrenalina. - Zostałem stworzony do dowodzenia. A kiedy patrzę na ciebie, rozumiem już, czemu Republika gromadzi zapasową marynarkę. Masz jakiś problem?

- Podoficerom nie wolno przebywać w mesie. - Podporucznik się nie wycofał, musiał być więc albo szczególnie tępy, albo wyjątkowo odważny. - Tylko oficerowie...

- Zacytuj mu regulamin, Ord'ika. - parsknął Prudii. - Rozdział i paragraf. To go powinno nauczyć grzeczności.

Wyglądało jednak na to, że gnojek wpadł w jakiś amok.

- Nie mówiąc już o tym, że za przyprowadzanie tutaj opłacanej ochrony, tego najemnika... - powiedział, pokazując palcem na Skiratę.

Aż do tej chwili Ordo nie mógł się zdecydować, czy cała sytuacja bardziej go śmieszy, czy irytuje. Wiedział, że bywa wybuchowy i próbował panować nad swoim charakterem. O Zerach mawiano, że to świry, że nadmierne manipulacje materiałem genetycznym czyniły ich nieobliczalnymi. Ordo wiedział, że jest w tym ziarno prawdy - czasem nad sobą nie panował. Jednak teraz miał ważniejsze sprawy niż spełnianie zachcianek podporucznika żądającego mesy bez sierżantów, i postanowił postąpić instynktownie. A jego instynkt był bardzo, ale to bardzo wkurzony.

- Przepis WAR numer pięć-sześć-jeden-jeden, paragraf A: „Oficer może zapraszać do mesy gości” - zacytował Ordo. - A teraz przepros sierzanta Skiratę.

- Nic z tego. Odpowiesz za to przed sądem wojskowym.

Ordo nie odpowiadał przed nikim oprócz Skiraty, którego ten mały śmierzdel miał obowiązek przeprosić. To była sprawa honoru - i to nie tylko jego.

- Naprawdę? - zdziwił się. - A co powiesz na to? - Szybkim, wypracowanym ruchem walnął głową w twarz żołnierza i w mesie rozległ się paskudny odgłos pękających kości. Podporucznik zatoczył się w tył, uniósł dłonie do nosa i stęknął kompletnie zaskoczony. Przód szarego munduru momentalnie zalała krew.

- Oskarżam cię o niesubordynację - powiedział spokojnie Ordo i sięgnął po śnieżnobiałą serwetkę, żeby wytrzeć sobie czoło. Bez hełmu zawsze bolało bardziej. - Nazwisko? Podporucznik był ledwie przytomny.

- Lu... Luszgoti.

- A teraz, podporuczniku Luszgoti, chcę usłyszeć to magiczne słowo. - Ordo złapał chłopaka za kołnierz, podniósł do góry i postawił przed Kalem. - Proszę przeprosić sierzanta Skiratę.

Oficer rozejrzał się ukradkiem dookoła, jakby obliczał szanse obezwładnienia Orda albo szukał wsparcia u starszych rangą. Nikt się nie ruszył. Ordo wzmocnił uścisk.

- Przepraszam... - wykrztusił w końcu podporucznik - sierżancie.

Skirata uniósł szklanę.

- Przeprosiny przyjęte, synu. A teraz usenye, zanim moi chłopcy naprawdę się wkurzą.

Przy akompaniamencie oklasków podporucznik Luszgoti opuścił mesę. Widać nie był tu zbyt lubiany. Chwilę później przy ich stole zjawił się android kelner z dzbankiem ale, którego Skirata nie zamawiał.

- Wspaniałe przedstawienie, kapitanie - odezwał się komandor siedzący przy pobliskim stoliku, dając do zrozumienia, że napój jest na jego koszt. - Od dawna marzyłem o czymś takim. Podporucznik z pewnością dwa razy się zastanowi, zanim następnym razem spróbuje zdrwić z klona, zresztą podobnie jak reszta świadków incydentu. Nauczki bywały bolesne.

- Koyacyi - powiedział Skirata. - Na zdrowie!

Mandaloriański toast mówił sam za siebie: k'oyacyi znaczyło w Mando'a tyle, co „obyś żył” - życzenie korzystania z życia i pokonywania przeciwności, ale też kolejnych bezpiecznych powrotów do domu. Utrzymanie się przy życiu i radość z każdego naszego dnia było silnie zakorzenione w kulturze Mandalorian.

- K'oyacyi - powiedział A'den. - Oya manda.

Ordo, który nie był szczególnie amatorem alkoholu, wpatrywał się smętnie w swoją szklankę i zastanawiał, jak wyglądałoby wojsko Republiki, gdyby składało się wyłącznie z nie-klonów. Ktokolwiek zamówił produkcję klonów, był bardzo przewidujący.

Ale, jak to kiedyś powiedział Fi, cała ta wojna mogła być ustawiona. Wszczynanie starannie zaplanowanego konfliktu pod byle pozorem nie było niczym nowym.

Tylko kto potrafił być tak dalekowzroczny i zaplanować wszystko tak szczegółowo?

Pokład hangarów „Wybawcy”, dwie godziny później

Skirata zaszył się w odległym kącie hangaru i czekał na swój transport. Długo się wahał, zanim w końcu wywołał na komunikatorze kod Tora.

Od trzech dni zastanawiał się, co mu powie. W nagłym odruchu gniewu chciał oddzwonić do syna natychmiast po otrzymaniu wiadomości i zażądać wyjaśnień, ale dzieliło ich już i tak zbyt wiele. Nie chciał pogłębiać przepaści między nim a chłopcem.

Chłopcem...

Tor miał teraz trzydzieści dziewięć lat. Może sam miał już wnuki? Mogło tak być, gdyby zgodnie z mandaloriańskim zwyczajem ożenił się w młodym wieku, ale Tor nie hołdował tradycjom Mando, tak samo jak jego matka. Kiedy Ilippi wychodziła za Skiratę, uważała beskar'gam za coś ogromnie pociągającego, ale ciągłe wyjazdy męża na długie misje szybko zaczęły ją męczyć. Nie potrafiła sobie poradzić sama z trójką małych dzieci. Miarka się przebrała, kiedy Skirata postanowił - jak każdy mandaloriański ojciec - zabrać niespełna ośmioletniego wtedy Tora na pięć lat, żeby mały walczył u jego boku i szkolił się na wojownika.

Skirata wiedział, że nigdy nie zapomni widoku Ilippi z pięcioletnią Ruusaan i sześcioletnim Ijaatem uczezionymi jej nóg, krzyczącej, że póki żyje, nie puści żadnego ze swoich dzieci na wojnę - Nie powinna była tego robić — nie w obecności dzieciaków... Od tamtej pory zaczęło się między nimi psuć. Kiedy wrócił z kolejnej misji, dzieci były już u jej rodziców na Korelii, a Ilippi zażądała rozwodu.

Zajęło to trzydzieści sekund, po mandaloriańsku - krótka przysięga przy zawarciu ślubu, jeszcze krótsza przy rozstaniu. Skirata oddał żonie wszystkie swoje oszczędności i wyruszył na następną wojnę.

Dostała każdy kredyt, pomyślał z rozgoryczeniem. Co do jednego, z wyjątkiem tych naprawdę niezbędnych do przeżycia, dopóki nie wezwano mnie na Kamino. Wtedy ślad po mnie zagał.

Czekając na połączenie z Torem, wyłączył wizję. Nie miał pojęcia, jak się do niego zwracać.

Synu? Z przyzwyczajenia mówił tak do wszystkich młodych mężczyzn. Tym razem tego odruchu zabrakło.

- Skirata, słucham - popłynęło z głośnika. Z jakiejś przyczyny oczekiwał, że Tor zmieni nazwisko. Odkrycie, że było inaczej, stanowiło dla niego szok; otrząśnięcie się z niego zajęło mu kilka sekund. - Halo? - powtórzył zniecierpliwiony głos.

- Tu... Kal Skirata.

- Ja... - zająknął się Tor. - Nie sądziłem, że oddzwonisz.

Kal stłumił chęć wypytania go o najdrobniejsze szczegóły - jak mu się wiedzie, co u niego słychać. W końcu to oni się go wyparli. Wtrącanie się w ich życie tylko pogorszyłoby sprawę. Musiał za wszelką cenę zachować spokój.

- Napisałeś, że Ruu „zniknęła”. Czy u Ijaata wszystko w porządku?

- Tak, jest cały i zdrowy.

- Opowiedz mi, co dokładnie stało się z Ruusaan.

- Urwał nam się kontakt kilka miesięcy temu.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- My... nie byliśmy blisko.

Dorosły Tor wydawał się kimś obcym. Ten Tor, którego zapamiętał Skirata, dorósł i odszedł na zawsze dawno temu. W mężczyźnie, z którym teraz rozmawiał, nie zostało z niego nic, nawet podobny głos. Skirata zawiesił palec nad klawiszem aktywacji hologramu. Wahał się, ale w końcu chęć zobaczenia własnego syna po trzydziestu dwóch latach zwyciężyła.

W powietrzu przed nim uformowała się lśniąca bryła hologramu - błękitnawa i nierzeczywista.

Tor miał ciemne włosy, był krępy, dobrze ubrany - i to wszystko, co Skirata mógł stwierdzić.

W przypadku hologramów o niskiej rozdzielczości nie dawało się rozpoznać zbyt wielu szczegółów.

Tor widział go również, tak samo jak otoczenie, w którym przebywał.

- Gdzie jesteś? - spytał. - Kto... och, armia Republiki, jak widzę - sapnął.

- To klony, żołnierze - wyjaśnił Skirata. Moi synowie, tak jak ty, dodał w myśli, głośno zaś powiedział: - Jestem na wojnie.

- Jak zawsze...

Jeżeli sygnał jego komunikatora nie był specjalnie błędnie kodowany - a Skirata nie miał podstaw, żeby podejrzewać coś takiego - Tor znajdował się teraz na neutralnej Korelii. Wojnę oglądał pewnie tylko w wiadomościach HoloNetu. Nie było szans, żeby zrozumiał styl życia Kala.

- Tor, opowiedz mi o Ruusaan. Potrzebuję wszystkich informacji, które możesz mi podać.

- Tak właśnie pomyśleliśmy... że najlepiej będzie zwrócić się z tym do ciebie.

- Kiedy zniknęła? Gdzie? W jaki sposób? - Czy naprawdę rozmawiam z dzieckiem, które wychowałem, jak z klientem? - zapytał siebie w duchu. - Najdrobniejsze szczegóły.

- Mieszkała na Drall... przynajmniej to ostatnie miejsce, o którym wiemy. Widywaliśmy się rzadko, może raz na rok, ale kiedy kod jej komunikatora przestał odpowiadać, zaczęliśmy się martwić. Z jej apartamentu zniknęły wszystkie rzeczy.

- Sprawdzaliście rachunek w banku?

- Po co?

- Transakcje. Podejmowanie pieniędzy albo brak śladów korzystania z konta.

- Nie... Nie mieliśmy dostępu do takich informacji. Tak jak mówiłem, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko...

Pod moim okiem wyrósłbyś na bystrzejszego faceta, synu, przeszło Skiracie przez myśl. I... bylibyśmy sobie bliscy.

- Czym się zajmowała?

- Różnie. Pracowała w ochronie, potem jako kelnerka, a ostatnio jako kurier... przynajmniej tak twierdziła.

Proszę... wszystko, tylko nie najemniczka. Nie nauczyłem jej, jak przetrwać.

- Czy zgłosiliście zaginięcie służbom na Korelii?

- Powiedzieli, że skoro jest dorosła, mogła lecieć, gdzie jej się żywnie podoba, i że do wszczęcia śledztwa potrzebne są dowody świadczące o popełnieniu przestępstwa.

- Rozumiem. Potrzebuję numeru identyfikacyjnego i względnie aktualnego holozdjęcia.

Znam datę jej urodzin. Jest moim dzieckiem. Moją córeczką. Resztą zajmę się sam.

- Nie chcielibyśmy cię obciążać kosztami...

- Dam sobie radę, dziękuję.

- Wyglądasz na zmęczonego... tato. - A więc teraz Skirata był znowu „tata”?

To bolało. Kątem oka widział Mereela i Orda prowadzących luźną pogawędkę. Udawali, że mają go na oku, ale wiedział, że tak naprawdę chodzi o podchwycenie ile się da z jego rozmowy z Torem. Pewnie chcieli się dowiedzieć, co zamierzał. Czy przyjmie z powrotem Tora i Ijaata? Czy wymieni któregoś z klonów na potomka, w którym płynęła jego krew?

Nigdy, pomyślał. Czy to źle? Czy to... naturalne? Szlachetne? Nie wiem. To po prostu fakt.

- Wszystko w porządku - zapewnił syna Skirata, próbując usunąć z pamięci wszystkie złe wspomnienia i cały ból związany w jakiś sposób z osobą z którą właśnie rozmawiał. Nie chciałem was opuszczać - krzychał jakiś głos w jego sercu. Nie powinienem być. Wysyłałem wam całe moje zarobki, co do kredyty. -Prześlij mi wszystkie dane. Znajdę ją, nie martw się. Tor chyba chciał coś powiedzieć, ale się wahał. Było to widać gołym okiem.

- Chciałem tylko... Chcę, żebyś wiedział, że jest nam przykro. Chodziło o mamę, to wszystko. Po prostu... to smutne, że nie było cię przy niej, kiedy umierała.

Skirata nie potrafił dłużej tłumić emocji. Kątem oka widział zbliżający się do niego biało-czerwony, zamazany kształt, ale nie spojrział w tę stronę.

- Nie ma teraz sensu tego roztrząsać - wykrztusił przez ściśnięte gardło. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie można cofnąć czasu, ale wtedy każdy z nas uczynił to, co w danym momencie uważał za słuszne, synu.

Synu...

Powiedział to odruchowo. Ordo podszedł powoli, z rozważą i stanął w polu transmisji, trzymając hełm pod ręką. Położył dłoń

na ramieniu Skiraty. Gest był sygnałem dla Tora, a znaczył: „Łapy precz od mojego ojca”.

- Buir, generał Tur-Mukan chce się z tobą widzieć - powiedział stanowczym tonem Ordo. Czy naprawdę zaakcentował słowo buir, czy Skiracie tylko się zdawało? - Wkrótce odlatuje. Zdziałało.

- Muszę kończyć, Tor - powiedział Kal. - Przekaż mi dane najszybciej, jak zdołasz.

- Buir? - powtórzył Tor. - Czy on nazwał cię... ojcem?

Świetnie. Jak ma przedstawić biologicznego syna, który się go

wyrzekł, jego przyrodnemu, adoptowanemu bratu? Kal uznał, że nie będzie się nad tym zastanawiał.

- Tor, to jeden z moich synów. Kapitan Ordo Skirata. Słuchaj, naprawdę się spieszę.

Powiedz Ijaatowi... powiedz mu, żeby się nie martwił i że wszystko będzie dobrze.

Przerwał połączenie i podniósł wzrok na Orda. Jakimś cudem na twarzy klona malował się jednocześnie wyraz dezaprobaty i poczucie winy.

- Wybacz, Kal'buir...

- I tak nie wiedziałbym, jak zakończyć rozmowę, synku - pocieszył go Skirata. - Martwisz się?

- To raczej nie wyglądało na szczęśliwe pojednanie.
- Nawet nie wiem, czy Ruu naprawdę zniknęła. Po prostu nie wiedzą, gdzie jej szukać. - Skirata postanowił, że podejdzie do całej sprawy z dystansem, dopóki nie zdoła włamać się na konto bankowe córki i nie sprawdzi daty ostatniej aktywności. - Wygląda na to, że była niespokojną duszą.
- Chciałem powiedzieć - mruknął Ordo - że twoi synowie przysparzają ci tylko zmartwień.
- A tobie?
- Jeżeli chcesz się z nimi pogodzić, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wszystko... odbyło się bezkonfliktowo.

Ordo nigdy nie był zazdrosny, nawet jako dziecko. Wszystkie Zera w swój dziwny sposób zabiegały pilnie o to, żeby przypadkiem nie miały więcej przywilejów niż ich bracia. Była to po prostu ich metoda na unikanie konfliktów w ciasnej, sztucznie stworzonej społeczności Tipoca City. Ale Zera były również genetycznie zmodyfikowane w sposób, który miał zapewnić potencjał ślepej lojalności. Ich trudne dzieciństwo sprawiło, że ów potencjał ujawnił się w pełni po ocaleniu przez Skiratę - a kiedy któreś z Zer darzyło już kogoś uczuciem, było gotowe za niego umrzeć. A jeśli nie darzyło - cóż, był to dobry powód, żeby zejść mu z drogi. Nie istniał dla nich stan pośredni.

- Nigdy nie zajmą waszego miejsca, synu. - Skirata ścisnął dłoń Orda. - A poza tym i tak zamierzałem powiedzieć mu usen'ye, ale chyba jestem na to za cienki - zażartował smutno. - Widać ojcowskie uczucia nie mają terminu ważności. Powinienem być utrzymywać z nimi bliższy kontakt, a nie ograniczać się do zasilanie ich kont bankowych.

Ordo wyprostował się, założył kciuki za pas i skłonił lekko głowę.

- Wydoili cię do czysta i potem się ciebie wyrzekli, a ty nadal ich kochasz... Mam rację?
- Nie wiem, Ord'ika.

Skirata spostrzegł zbliżającą się ku nim szybkim krokiem Etain. U jej pasa kołysały się dwa miecze świetlne, a przez plecy miała przewieszony ciężki karabin udarowy. - Gdyby jednak się mnie nie wyparli, nigdy nie przyjąłbym propozycji Janga i nigdy bym was nie spotkał.

Ordo zwiesił głowę.

- A wtedy czekałaby nas eutanazja, bo nikt inny by nie uznał, że warto zachować nas przy życiu. Skoro uważasz to za zrzędzenie losu, przyjmuję twój argument, ale to nie zmienia faktu, że oni cię wykorzystali.

- Cóż, największy blask wydobywa się przez najmocniejsze polerowanie. - Skirata zastanawiał się, co zrobiłby Jango, gdyby Kal nie powstrzymał w porę Oruna Wa przed unicestwieniem małych Zer. Fett zachowywał się jak twardziel, bo był twardzielem, jednak jego szorstki sposób bycia obejmował dzieci, nawet jeśli komuś mogło wydawać się, że jest inaczej. - Jango może i był egoistycznym chakaarem, ale nie wierzę w te wszystkie zapewnienia, że Boba nie był dla niego nikim więcej niż tylko uczniem. Chciał mieć syna, wiem o tym. Jako dziecko nieraz otarł się o śmierć, więc sądzę, że poczęstowałby tę przynętę na aiwhy niezłym kov'nyn i odesłał, gdzie jego miejsce.

Szkoda, że nie zdołałeś zrobić więcej dla innych sklonowanych z twoich genów chłopców, Jang'ika, ale sądzę, że nie zostało w tobie wiele współczucia po tym wszystkim, przez co przeszedłeś. ... - pomyślał.

Etain dotarła do ich grupy i obrzuciła Skiratę uważnym spojrzeniem.

- Co się stało? - zapytała. - I co to znaczy kov'nyn?
- Dać komuś z bańki - wyjaśnił Ordo. - Inaczej keldabański pocałunek.



Etain zmarszczyła brwi, jakby starała się zapamiętać nową informację. Skirata odnosił wrażenie, że ta Jedi usiłuje przyswoić jak najwięcej mandaloriańskich wyrażań, jakby chciała przygotować się do zostania w przyszłości jak najlepszą żoną Mando.

- Kal, równie dobrze moglibyście mieć obaj nad głowami wielki neon z napisem „problemy”. Mogę jakoś pomóc?

- Sprzeczka rodzinna - mruknął Mandalorianin. - Ten twój Jedi-radar jest naprawdę niczego sobie.

- Tak samo jak wasza sprzeczka - rzucił Ordo enigmatycznie i uściśnął na pożegnanie ramię Skiraty. - Ret', Kal'buir.

Pokład powoli zaczynał się zapełniać wózkami repulsorowymi przewożącymi palety pełne żywności, części zapasowych i ogniów paliwowych ze składów do promu zaopatrzeniowego. „Wybawca” był ciężko uzbrojonym latającym magazynem. Drogi Etain i Skiraty miały się za chwilę ponownie rozejść.

- Czy przekazać coś Drużynie Veshok? - spytała. - Właśnie się do nich wybieram.

Skirata wyciągnął z kieszeni paczkę kandyzowanych owoców bofa.

- Tylko powiedz im, żeby pamiętali potem o umyciu zębów. - Podał jej torebkę.

- Tęsknisz za nimi, prawda?

- Chyba tak. - Skirata uśmiechnął się smutno. Zastanawiał się, jak Etain znosi tak częstą i długą rozłąkę ze swoim synkiem. - A wracając do twojego pytania... Właśnie rozmawiałem z jednym z moich biologicznych synów po raz pierwszy od czasu, gdy się mnie wyrzekli. Nie jest mi lekko.

- Chodzi o twoją córkę, zgadza się?

- Jak znam życie, to wypuściła się gdzieś w pogoni za przygodą, ale i tak spróbuję ją znaleźć, tak dla świętego spokoju.

- Nie jestem pewna, czy Ordo jest zazdrosny, czy się boi, ale zauważyłam, że jest bardzo zdenerwowany.

- Nie ma się o co martwić - zapewnił ją Kal. - Ten chłopak jest moim oczkiem w głowie, i dobrze o tym wie.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, Kal... Wiem, że nadal wspierasz swoje dzieci finansowo, chociaż już dawno stuknęła im trzydziestka. To nie moja sprawa, ale uważam, że zrobiłeś dla nich już i tak znacznie więcej, niż wymagał obowiązek. - Etain patrzyła na niego spod współprzymkniętych powiek. Skirata nigdy nie mógł się nadziwić, że ta filigranowa osóbką o lekko piegowanej buzi i szczerym spojrzeniu ma prawdziwie durastalową wolę i nerwy. - Kiedy pierwszy raz wspomniałeś o tym, jak się siebie wyrzekli, opowiadałeś to w taki sposób, jakby wciąż byli dziećmi, a nie dorosłymi mężczyznami. I wcale ich nie opuściłeś. To oni kazali ci odejść.

- Taki już mój mandaloriański urok - zażartował. - Trudno mu się oprzeć.

- Nie zrozum mnie źle; po prostu uważam, że nie powinienes się o nic obwiniać. Podzielałam zdanie Orda. Nie możesz się tak dać wykorzystywać.

W głębi duszy Skirata wiedział, że Etain ma rację, ale nie potrafił pozbyć się uporczywej myśli, że zawiódł na całej linii. Rozumiał jej intencje. Chciała go chronić, tak samo jak Ordo.

- A co z tobą? - zainteresował się.

- Powiem Darmanowi o Kadzie, jak tylko wróci z Haurgab.

- Świetnie.

- I zamierzam opuścić Zakon.

Skirata był zaskoczony, ale nie dał nic po sobie poznać, chociaż wiedział, że Etain i tak wszystko wyczuje.

- Teraz?

- Nie, ale będę wiedziała, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Czeka mnie jeszcze sporo pracy.

Odwróciła głowę na dźwięk swojego imienia. Ktoś ją wołał -młody porucznik, stojący na rampie opancerzonego promu.

- Pani generał? Procedura przedstartowa zakończona. Czekamy na rozkazy. Etain mrugnęła do Skiraty.

- Dopilnuję, żeby Veshok umyli zęby. Niech Moc będzie z tobą, Kal'buir. Skirata patrzył, jak odchodzi. Była tak drobna, że ledwie było ją widać zza olbrzymiego karabinu. Znał bardzo niewielu Jedi, którzy gustowali w broni używanej przez zwykłych żołnierzy, a tak się dziwnie składało, że wszyscy należeli do jego niezwykłej - musiał przyznać - grupy.

Kal'buir. Nazwała mnie Kal'buirem - pomyślał. Sprawdził w komunikatorze, czy Tor przesłał mu obiecane dane i zastanowił się, czy Ruusaan też go tak nazwie, kiedy ją odnajdzie.

## **ROZDZIAŁ 6**

Jako Jedi, miałem obowiązek chronić życie. A poprowadziłem te klony... nie, tych mężczyzn - na śmierć. To były żywe istoty, czujące istoty. Dostałem rozkazy stojące w sprzeczności ze wszystkim, czego nauczono mnie jako Jedi.

Mistrz K'Krukh, który przebywał na dobrowolnym wygnaniu na Ruul, wyjaśniający Mace'owi Windu, dlaczego zrezygnował z pełnienia funkcji generała, na krótko przed powrotem do Zakonu i do walki

Wysunięta baza operacyjna Hadde, Haurgab, półtora miesiąca później

- Co się stało, pani generał? Czy w końcu znaleźliśmy na tej planecie coś wartego zrabowania?

Etain westchnęła, ale nie była to reakcja na słowa Scorcha. Komandos wiedział, że generał Tur-Mukan jest jedną z najspokojniejszych Jedi dowodzących klonami i że nie bierze sobie do serca swobodnych uwag klonów. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Baza w Haurgab rozrosła się do rozmiarów niewielkiego miasteczka. Nie miał pojęcia, dlaczego jeszcze dorzucają tu ludzi, kiedy powinni ich stąd raczej odsyłać. Ta kupa gruzu nie była warta wysiłku wkładanego w jej obronę. Skoro lokalni chcieli się nawzajem powybić, nie widział powodu, dla którego mieliby im tego zabraniać. Gdyby całą planetę zajęli Separatyści, pewnie nikt nie zauważyłby różnicy.

- Nie nam decydować, co i jak, ner vod\* - westchnął Sev. -Wychowano nas, żebyśmy łykali to wszystko bez słowa skargi.

\* Nawiązanie do cytatu z wiersza Alfreda Tennysona The Change of the Light Bridge (org. Ours is not to reason why) - przyp. red.

- Szabla osik - mruknął Scorch. - Przypomnij mi, żebym dał w zęby następnemu tępemu cywiluchowi, który to powie.

Prawdę mówiąc, Scorch wątpił, czy kiedykolwiek znajdzie się wystarczająco blisko jakiegoś cywilucha, żeby dać mu w zęby. Powód był prosty - większość wiedziała na ich temat wystarczająco dużo, żeby trzymać język za zębami, nawet jeśli myśleli to, co myśleli. Jednak sama perspektywa była na tyle kusząca, że Scorch oddał się na chwilę marzeniom. Boss i Sev ruszyli w stronę kantyny, a Fixer kręcił się w pobliżu niczym uosobienie niezadowolenia.

Przyjrzał się krytycznie nowemu sprzętowi.

- No tak, powinniśmy wsadzić polityków do kokpitów i wycofać stąd nasze siły - przyznała im rację Etain. - Ale teraz chyba możemy o tym tylko pomarzyć. Wrzucicie coś na ruszt, póki jest spokojnie - poradziła im i skierowała się do kwater dowództwa. Niecałą minutę później ziemia się zatrzęsała i budynek aż podskoczył przy akompaniamencie ogłuszającego, ale odległego „lu-uup!”. Scorch zanurkował odruchowo w poszukiwaniu schronienia. Powietrze momentalnie wypełniła chmura pyłu.

- Kryć się!... - zażartował ktoś celowo znudzonym głosem i wszyscy się roześmiali.  
- Tak, cisza. - Fixer otworzył wysuniętym z osłony dłoni wibroostrzem kontener z amunicją i pogmerał w środku. - Prawdziwa wiejska sielanka - parsknął. - Uwsteczniczenie się, oto, co nas tu czeka.

- Że co? - zapytał nieprzytomnie Scorch. Jedyne, o czym mógł myśleć, to najbliższy posiłek. W takich warunkach trzeba było nauczyć się czerpać z życia pełnymi garściami, co się tylko dało - i kiedy tylko się dało: jedzenie, wodę, sen, śmiech. Wokół płątało się sporo klonów. Najdziwniejsze, że nie rozpoznawał oznaczeń jednostki na pancierzach kilku z nich. A Scorch był znany z tego, że lubił wiedzieć. Zanotował to sobie w pamięci jako coś, co należy później sprawdzić.

- Zamierzasz złożyć skargę do Galaktycznej Unii Zjednoczonych Burzycieli Budynków? Fixer przyjrzał się z lekką pogardą nowemu granatowi wyważającemu Merr-Sonn.

- Nawet Weequay umiałby go użyć.

- O to właśnie chodzi, geniuszu! - wtrącił Scorch. - Powinieneś im to podsunąć... pasuje na slogan reklamowy. - Wziął od

niego granat, zamocował drążek kierunkowy i nasunął nakładkę na lufę swojego dece. Całą operację obserwowało z dystansu kilku żołnierzy; było to dosyć ryzykowne. W zamyśle konstruktorów pocisk miał służyć do wysadzania drzwi z bezpiecznej odległości... a przynajmniej bezpiecznej dla strzelającego. - Osobiście nie mam nic przeciwko wymianie zawodowego elitaryzmu na bezbolesność.

Fixer wyciągnął rękę po granat. Scorch oddał mu pocisk, a obserwujący ich żołnierze wyraźnie się uspokoili.

- Wydawało mi się, że jesteś perfekcjonistą.

- Bo tak jest. - Wzruszył ramionami. - Po prostu nie lubię, kiedy ktoś na grzeczne pukanie do drzwi odpowiada serią z blastera.

Fixer wrzucił kilka granatów do zasobnika u pasa. Zdjęli hełmy i ruszyli w stronę, z której dobiegał smakowity zapach skwierczącego oleju i gorącego sosu. W korytarzu prowadzącym do kantyny kłębił się tłum białych panczerzy w różnych stadiach czystości - od śnieżnej bieli po mocno przybrudzone - z samotną wysepką matowoczarnych zbroi typu Katarn III. Etain siedziała przy stoliku z Drużyną Omega, pogrążona w rozmowie z komandosami.

- Wydawało mi się, że chciała się zobaczyć z dowódcą - zdziwił się Fixer.

Scorch rozejrzał się w poszukiwaniu plam czerwieni i oranżu, żeby namierzyć Seva i Ninera. Stali w kolejce i czekali, aż android z obsługi nałoży im na talerze porcję jedzenia. Jak na gust Seva, kontrolował ilości wydzielanego prowiantu zbyt skrupulatnie. Przez szum rozmów w korytarzu przebijało się marudzenie komandosa:

- Potrzebuję dodatkowych protein! Kiedy jestem niedożywiony, mam kiepskiego cęla, a wtedy zdarza mi się niechcący trafić blaszaka!

- Widocznie zmieniała zdanie - mruknął Scorch. - Wygląda na to, że nie może przejść obojętnie koło Darmana.

- To się źle skończy - skwitował Fixer.

- Nie kracz.

- Zobaczysz. Z takich rzeczy nie wynika nic dobrego. Klony nie powinny się bratać z dowództwem. Nie mówiąc już o Jedi.

- Bo co? Bo może nam odbije i zaczniemy mieć ambicje niezwiązane ze służbą? Jasne, nie powinniśmy wychylać się poza szereg, a potem mamy po cichutku i czysto umrzeć, żeby nie denerwować cywiluchów - parsknął Scorch.

- Chyba za dużo rozmawiasz z Fi i z Zerami.  
- Miałeś czas, żeby wyrobić sobie zdanie o przeciętnych obywatelach galaktyki? Od czasów Kamino nic się nie zmieniło. To my jesteście górą, nie oni.  
Fixer gapił się na niego w milczeniu. Scorchowi nigdy do tej pory nie zdarzyło się wygłosić równie śmiałej opinii. Cóż, ta naprawdę była... groźna. Scorch wiedział, że według planu nie mieli prawa czuć się prawdziwymi ludźmi, ponieważ nie rodzili się jak oni - byli produkowani. Jednak im dłużej miał do czynienia z ludźmi, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że są... przereklamowani.

A on był żołnierzem. Jednym z najlepszych. Zasługiwał na taki sam szacunek jak ludzie - a może nawet większy.

- Zazdrościsz Darmanowi - stwierdził w końcu Fixer.

- Ona nie jest w moim typie. - Scorch był dziwnie rozdrażniony. - Jednak skoro już o tym mowa, to tak, zazdroszczę mu, że ma wystarczające jaja, żeby żyć własnym życiem, a nie tylko robić, co mu każą.

- Di'kut - mruknął Fixer.

Czasem - a tak naprawdę stanowczo zbyt często - Scorch nie miał do roboty nic innego poza czekaniem. W takich chwilach jedynym zajęciem było rozmyślanie o różnych rzeczach, nawet jeśli nie bardzo miał na to ochotę. Jego myśli często krążyły wokół wnuka Skiraty. Pod pewnymi względami klony nie różniły się od reszty istot zaludniających galaktykę - tak samo jak one lubiły spekulować i plotkować.

- Myślisz, że to dziecko któregoś z klonów? - zapytał w końcu.

- Jakie znów dziecko? - Fixer przyglądał się jadłospisowi wywieszonemu nad ladą. Było z czego wybierać. Grupa żołnierzy rozstała się, żeby mogli przejść. - Stary, co cię ugryzło?

- Chodzi o dzieciaka, którego Skirata przyniósł do koszar pod nieobecność Zeya. Jego wnuka - wyjaśnił Scorch.

- Aaa, tego pędraka. Kojarzę. A co ci do tego?

- Nic. Ale to trochę dziwne, oddawać dziecko Mando walczącemu na wojnie. To znaczy... zastanawiam się, jaka rodzina mogłaby uznać, że małe dziecko będzie bezpieczniejsze u Skiraty niż w domu?

- Ale dlaczego od razu klona? Skąd wiesz, może rodzina Skiraty żyje w shebs galaktyki i uznała, że młodemu będzie lepiej pośród pól minowych, na rękach u starego shabuira?

- Jakich znów pól minowych? Na Coruscant - poprawił towarzysza Scorch.

Pomyślał o kręconych, ciemnych włosach i brązowych oczach malca. Było w nim coś dziwnie znajomego. Dziecko do złudzenia przypominało małe klony na Kamino, wyglądało jak kubek w kubek jak jeden z tych ciekawskich i poważnych bąków, które przyglądały się starszym klonom w stołówce. Zupełnie jak ja, i to całkiem niedawno, pomyślał. Scorch widział w nich swoje odbicie: rozpaczliwie pragnącego sprostać pokładanym w nim oczekiwaniom dzieciaka, tęskniącego za czymś, czego nie umiał nazwać, czującego się bezpiecznie jedynie w otoczeniu swoich braci.

Przerażony. Drżący ze strachu przed wszystkim.

- Wezmę może... gulasz z nerfa - powiedział z namysłem Fixer, jakby przyszedł na degustację do wykwintnej restauracji. Scorch nie pamiętał, czy jego brat zawsze sprawiał wrażenie takiego dobrodusznego naiwniaka. - A ty, Scorch?

- Hm, cokolwiek, byleby dali dużą porcję. Makaron chaka.

Troszczenie się o małego klona - to by było bardzo w stylu Skiraty. Facet był zabójcą, egzekutorem długów, zdolnym do okrutnych czynów i bezlitosnym, ale swoich chłopców darzył

ślepią miłością. Gdyby któremuś z nich zdarzyła się wpadka, z pewnością zaopiekowałby się dzieckiem jak własnym.

- A może to dziecko któregoś z Omeg? - zapytał podejrzliwie Scorch.

Fixer odwrócił się powoli i spojrzał na niego uważnie. Musiał zrobić pełny obrót, bo rama plecaka nie pozwalała mu się obejrzeć przez ramię.

- Co tam znowu gędzisz? Nie dosłyszałem.

- Zastanawiam się, czy szczęśliwym tatuśkiem nie jest ktoś z Drużyny Omega - powtórzył Scorch, starając się nie mówić za głośno. - To przecież jego pupilki.

- Przyznaj się, znowu piłeś zanieczyszczone chłodziwo?

- Dobra, już nic nie mówię.

Fixer wydawał się zdecydowanie bardziej zainteresowany obiadem, więc Scorch odwrócił się, zrezygnowany, w stronę Omeg pogrążonych w rozmowie z Etain. Nie było tajemnicą, że podczas wspólnej operacji dwóch drużyn na Coruscant pani generał i Darman mieli się ku sobie. Scorch uznał, że taka koncepcja go przerasta i to do tego stopnia, że nie powinien się nad nią w ogóle zastanawiać. Miał już wystarczająco dużo problemów. Martwił się, że zaczyna upodabniać się do Fi. Ten wyszczekany mały di'kut sływał w Drużynie Delta z tego, że robił wszystko, czego klon komandos powinien się wystrzegać - za bardzo tęsknił za normalnym życiem, nie bał się głośno protestować, kiedy był z czegoś niezadowolony, a do tego nie wahał się namawiać do tego samego swoich braci. Był buntownikiem. Nie potrafił się pogodzić z myślą, że jedynym sposobem na wydostanie się z tego bałaganu było opuszczenie pola walki w plastikowym worku. Co zawsze powtarzali im podczas szkolenia? Byli niezawodni i mieli cel - a to znacznie więcej, niż otrzymywała większość żalonych, wegetujących istot żywych. Dlaczego zatem wciąż chcieli więcej?

- Może i tak. Może to owoc miłości pani generał i Darmana - powiedział Fixer, wracając do tematu. Android polał kopczyk puree z jarzyn na jego talerzu brązową breją. Chociaż do potwierdzenia, że to gulasz z nerfa w sosie własnym, trzeba by zatrudnić ekipę z laboratorium kryminalistycznego, wciąż było to o niebo lepsze od nijakich w smaku racji odżywczych, którymi karmiono ich w dzieciństwie i które wciąż stanowiły część ich suchego prowiantu. Ciepły, w miarę smaczny posiłek był luksusem, który nie zdarzał się często. - Zniknęła na Qiilurze na całe wieki. A może to bachor kapitana Maze'a? Taki z niego elokwentny czaruś, że pewnie żadna nie jest w stanie mu się oprzeć... - zażartował.

Maze przypominał w obejściu chodzącą górę lodową i był największym zrzędą, jakiego można było sobie wyobrazić.

- Teraz to ty gadasz, jakbyś się opił chłodziwa.

- Widzisz, ja też potrafię snuć szalone teorie - pochwalił się radośnie Fixer. - Nie wymyślisz nic głupszego. Wygrałem! A teraz jedzonko.

Zabrali swoje tace i skierowali się do stolika zajmowanego - w pełnym, wojskowym tego słowa znaczeniu - przez Bossa i Seva. Drużyna Omega teoretycznie nie miała nic przeciwko brataniu się z innymi, ale członkowie Deltę najlepiej czuli się we własnym towarzystwie, a poza tym ich specyficzny sposób bycia skutecznie odstraszał większość żołnierzy. Scorcha korciło, żeby podejść do któregoś z białasów noszących oznaczenia jednostki, których nie rozpoznawał i zadać mu kilka pytań, ale to mogło poczekać. Postawił swój dece między nogami, nadział na niego hełm i zajął się górą makaronu na talerzu.

- Co w takim razie robi tu pani generał? - zapytał Boss znad stosu paćkowego ciasta nakrapianego jakimiś czerwonymi owocami. - Poza oczywiście odwiedzaniem swojej ulubionej drużyny?

- Rozdaje cukierki - westchnął rozmarzony Sev. - Za każdym razem, kiedy odwiedza drużynę w terenie, przywozi słodycze. Zupełnie jak Skirata.

- Kto wie, czego jeszcze ją nauczył? Może potrafi posługiwać się garotą tak samo biegle jak on?

- Skarżyła się, że za dużo ludzi tu przysłali - wyjaśnił Sev. - Generał Mlaske mówił, że naciskała na Zeya i Camasa, żeby wycofać garnizon i zostawić sprawy tubylców im samym, bo dla Separatystów będą taką samą kulą u nogi, jak dla nas. Mogą ich tutaj zatrzymać za darmo. Fixer przeżuwał z namaszczeniem swoją porcję. Przez chwilę nikt się nie odzywał wokół rozlegały się tylko ciche odgłosy mlaskania i siorbania.

- To w pewnym sensie logiczne, że...

Boss nie zdołał dokończyć zdania. W jednej chwili kantyna była spokojnym, rozświetlonym przez małe okienka pod sufitem miejscem, a w następnej Scorch poderwała z miejsca chmura duraplastowych szczątków, która cisnęła go w poprzecinaną płomieniami ciemność. Coś uderzyło go w pierś, wyciskając z płuc resztki powietrza, a potem jakaś ogromna siła uniosła go w górę. Stolik... Wyciągnął odruchowo dłoń po karabin, ale ten zniknął gdzieś razem z hełmem, leżał więc teraz na plecach i próbował złapać oddech, ale tylko się dławiał wypełniającym powietrze pyłem. Nie mógł oddychać...

Ale słyszał. A to już było coś.

Tuż obok rozległy się okrzyki - nie wrzaski rannych, ale zwykłe rozkazy: zrobić to, sprawdzić tamto, wezwać medyków. Scorch spróbował nieporadnie usiąść, ale zorientował się, że nadal przygniata go stół. Nagle ciężar zniknął i z chmury permabetonowego pyłu wynurzyła się twarz Seva. Scorch nie miał pojęcia, jak długo to wszystko trwało, więc zerknął na wyświetlacz swojego chronometru wbudowanego w karwasz zbroi. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że i tak nic mu to nie da.

- Bezpośredni atak od frontu - poinformował go Sev i otarł usta wierzchem dłoni. Jego twarz pokrywały kropelki krwi, zupełnie jakby ogolił się tępym ostrzem. - Nic ci nie jest?

- A co z granicznym systemem obrony? Podobno mieliśmy tu być bezpieczni.

Sev pomógł mu dźwignąć się na nogi, ale wszędzie wałało się tyle gruzu i śmieci, że praktycznie nie było gdzie stanąć. Kantyna pełna była poprzewracanych stołów i krzeseł. Pocisk nie trafił w samą kantynę, ale fala uderzeniowa i szczątki wyrwały drzwi z futryny i poprzewracały wszystko, co nie było przymocowane na stałe.

Posłany siłą podmuchu w powietrze stos metalowych tac stał się bronią równie śmiertelną, jak wirujące ostrza Kaski. Scorch miał znów to okropne wrażenie déjà vu - jego mózg próbował zidentyfikować scenę, jaka rozgrywała się przed jego oczami, ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go: „To okropne, nie patrz, odwróć wzrok, jeżeli nie chcesz się porzygać”. Tace spadły na dwóch żołnierzy stojących obok regału. Jeden z nich był w zwykłym mundurze - metalowy pocisk uciał mu nogę w kolanie. Obok niego klęczeli już jego koledzy i udzielali mu pierwszej pomocy. Drugiemu nie mogli pomóc - tace odcięły mu połowę głowy.

Scorch wiedział z doświadczenia, że niektóre widoki oglądane podczas wojny po prostu wyrzucało się z pamięci, ale były też takie, których do końca życia nie dało się zapomnieć. Ta scena miała wracać do niego w najgorszych koszmarach: resztki jedzenia, talerze, kubki i sztucce walające się w kałużach krwi. Było w tym coś obrzydliwie... niewłaściwego.

Ledwie zdołał ochłonąć, zaczął w nim narastać gniew. Spowolnienie spowodowane zaskoczeniem ustąpiło w mgnieniu oka jakiejś nadludzkiej mobilizacji. Nikt nie powinien ginąć po służbie, podczas posiłku. W swoim życiu Scorch widział już niejedną śmierć, ale teraz był świadkiem czegoś odmiennego. Miał wrażenie, że ta scena przelała czarę goryczy, sprawiła, że przekroczył jakąś granicę i nic już nie będzie takie jak kiedyś. Zaczął przekopywać się przez

szczątki, odrzucając na bok plastoidowe stoliki. Działał jak maszyna; nie liczyło się nic, oprócz jednego

celu: wygrzebie swój dece, a potem znajdzie tych gnojników, którzy to zrobili, i odstrzeli im łby. Był w pobliżu drzwi, kiedy poczuł, że ktoś łapie go za ramię.

- Scorch! - To był Boss. Za jego plecami stał Sev. Mózg Scorcha rejestrował zamieszanie wokół i wycie syren alarmowych, ale on sam nie zwracał na nic uwagi. Miał wrażenie, że ogląda wszystko zza grubej, transpystalowej szyby. - Hej, a ty dokąd? - Boss odwrócił Scorcha do siebie i podał mu jego hełm. - A poza tym pewnie ci się to przyda - mruknął.

Nawet taka interwencja wystarczyła, żeby wyrwać go z amoku spowodowanego żądzą zemsty. Uświadomił sobie, że dyszy ciężko jak po długim biegu. Powoli zaczynało do niego docierać, gdzie jest i co się dzieje. Po chwili w ich stronę zaczęli się przedzierać członkowie Drużyny Omega. Ich pancerze, podobnie jak reszty Delt, pokrywała gruba warstwa kurzu. Obok, jak spod ziemi, wyrosła Etain. Włosy miała w nieładzie, ale wydawała się cała i zdrowa.

- Czy nikomu nic się nie stało? - spytała z troską. - Scorch, nie dostałeś czymś przypadkiem? Straciłeś przytomność?

- Nie mam wstrząsu mózgu, jeżeli to masz na myśli - zapewnił ją. Jego głos brzmiał dziwnie głucho. Może wyglądał, jakby mu odbiło? - Chciałem po prostu znaleźć i wykończyć tego shabuira, który to zrobił. Jak udało im się przedrzeć przez system antyrakietowy?

- Skontaktowałam się właśnie z personelem ochrony bazy - powiedziała Jedi. - Skanery systemu bezpieczeństwa wykryły, że pocisk został wystrzelony z terenu miasta, nie z obozu rebeliantów.

- Majają współrzędne?

- Zawężili obszar do zespołu budynków - wyjaśnił Niner.

- Świetnie. - Scorch widział skierowane na niego podejrzliwe spojrzenia, ale nawet teraz, kiedy doszedł już do siebie, wiedział, że tylko jedna rzecz pozwoli mu dziś spać spokojnie. - Czas złożyć komuś wizytę.

Siedziba Departamentu Skarbu, Coruscant

- Ojej! - zawołała Jilka. Chwyciła Besany za nadgarstek i uniosła jej dłoń do światła. - Ładniutki! Besany powinna była wiedzieć, że przed Jilką Zan Zentis nic się nie ukryje - zajmowała się w końcu tropieniem przestępstw podatkowych. Potrafiła z zawiązanymi oczami wywęszyć podatnika winnego rządowi chociażby kredytu. Przyjrzała się pierścionkowi, który zdaniem Besany był skromny i niepozorny.

- To nic takiego.

- Na moje oko wcale nie wygląda na „nic takiego” - oceniła fachowo Jilka. Besany próbowała się wycofać do mniej uczęszczanego zakątka archiwum. - Wygląda mi to na bardzo kosztowny szafir. Czyżbyś wymieniła tego twojego żołnierzyka na jakiś lepszy towar.

- Żołnierzyk — powiedziała Besany, próbując zachować spokój - nie został wymieniony. A poza tym zamierzam wyciągnąć Orda z wojska. - Za późno ugryzła się w język: nie było zbyt mądrze rozpowiadać takie rzeczy na prawo i lewo, ale nie miała zamiaru ukrywać związku z mężczyzną, którego kochała, tylko dlatego, że był klonem. - Pobraliśmy się.

Jilka spojrzała na Besany, jakby właśnie się dowiedziała, że jej koleżanka przyłączyła się dla kaprysu do grupy jabiimskich terrorystów.

- To dozwolone?

- Żadne prawo tego nie zabrania - burknęła hardo Besany. Przynajmniej udało jej się uniknąć pełnego śledztwa w sprawie klejnotu. Modliła się w duchu, żeby koleżanka nie powiedziała, że nie można wyjść za klona. Nie miała gotowej odpowiedzi na taki argument. - I tak, wiem, w co się pakuję, nie musisz pytać - dodała spieszenie.

Korytarzem przemykały androidy sprawozdawcze.

- Nie mam pojęcia, w co się pakujesz, więc nie zamierzałam pytać - skwitowała Jilka. - A poza tym i tak wspominasz o nim tak rzadko, że nie wiedziałabym nawet, przed czym miałabym cię ostrzec. Rany, coś ty ostatnio taka nerwowa? - Besany wzruszyła ramionami. - No cóż, w takim razie przyjmij moje gratulacje. Chyba nie załapię się już na tort weselny?

Besany była nerwowa, to fakt. I nie chodziło tylko o regularne wykradanie danych z sieci komputerowej Republiki. Już niemal przywykła do ciągłego niepokoju, który odczuwała z tego powodu. To te kriffing szafiry shoroni doprowadzały ją do szału - może dlatego, że w przeciwieństwie do wykradania danych tak bardzo rzucały się w oczy. Myślała, że sprawa jest załatwiona, kiedy Vau

oddał trzy kamienie do pocięcia na mniejsze kamyczki jednemu ze swoich szemranych huttańskich znajomków. To zdecydowanie zmniejszyło ich wartość, ale nadal były warte grube miliony - a poza tym mniejsze kamyczki trudniej było wyśledzić. Besany zmiękła na tyle, że zgodziła się wprawić jeden z nich w pierścionek, żeby Ordo nie czuł się taki odrzucony. Jak tylko zdoła go przekonać, że naprawdę wystarczy jej plastoidowa obrączka, wymieni pierścionek na twarde kredyty.

To nie w porządku, pomyślała. Nie powinnam czerpać z tego korzyści.

Pozostałe kamyczki trzymała owinięte szczelnie w małym, flimsiplastowym woreczku w kieszeni marynarki - po prostu nie wiedziała, co z nimi zrobić. Miała co prawda jeden pomysł, który nie dawał jej spokoju...

To szaleństwo! - szeptało jej sumienie. A jednak... ktoś, kogo znam, może zrobić na rzecz klonów bardzo dobry użytek z tych kredytów - i nawet Skirata nie będzie mógł na to nic poradzić.

- To wszystko przez wojnę - odpowiedziała w końcu koleżance.

- Kiedyś w końcu musi się skończyć. - Oczywiście Jilki powędrowały znów do szafiru; była to zimna wycena zawodowca szacującego niezapłacone podatki, nie zaś babski zachwyty świecidełkiem. - A poza tym i tak nie dotrze na Coruscant - dodała.

- Czemu tak sądzisz?

- Po prostu wiem i już.

- Pytam, dlaczego myślisz, że się skończy.

Jilka wzruszyła ramionami. Wydawało się, że ostrożnie dobiera słowa, ale Besany знаła ją wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że dziewczyna próbuje uniknąć stwierdzenia oczywistej rzeczy: że Republika może zostać zmuszona do spełnienia żądań Separatystów, bo wojna ją osłabiała. Jeżeli szeregi klonów nadal będą topniały w takim tempie, wkrótce nie będzie komu walczyć. Prawda to czy nie, lepiej było nie mówić o takich rzeczach głośno.

Przynajmniej wyglądało na to, że Zentis widzi, co się dzieje -w przeciwieństwie do większości społeczeństwa.

- Zbyt dużo to kosztuje - powiedziała w końcu Jilka. - Senator Skeenah poruszył w Senacie kwestię zamówienia dużej liczby kanonierek, które do tej pory nie zostały wysłane na front.

Podejrzewam, że chodzi o jakiś kryzys finansowy, ale w rachunkach jest takim bałagan, że nie wiadomo, od czego zacząć.

Więc o to chodziło... Skeenah był przyzwoitym, uczciwym człowiekiem, któremu nie był obojętny los klonów. Przy jego osiągnięciach dokonania Besany traciły w jej oczach na znaczeniu; czasem agentka żałowała, że jest tak gorliwy. Wolą, żeby nikt nie interesował się jej działalnością. Może przekazanie mu kredytów ze sprzedaży szafirów nie było tak dobrym pomysłem, jak się jej początkowo wydawało?

Jilka powiedziała: „Zacząć”...



Zacząć?

- Jak to „zacząć”? - spytała ostrożnie.

- No cóż... jeżeli senat poprze jego wniosek o przeprowadzenie pełnej kontroli finansowej, jakiś pechowiec będzie musiał się tym zająć.

Besany zawsze starannie zacierała za sobą ślady.

Od jakichś piętnastu miesięcy wyciągała z sieci finansowej Republiki pozornie nic nieznaczące dane dotyczące eksportu i zamówień dla sektora obrony i pieczołowicie układała je w spójną całość. Z uzyskanych informacji jasno wynikały zamówienia na produkcję statków w stocznjach KDY i dyspozycje przekazania sprzętu laboratoryjnego na Centax II.

- Pewnie zlecą to mnie - powiedziała cicho. Żałowała, że Skeenah nie trzymał języka za zębami. Gdyby chociaż rozpoczął swoją krucjatę finansową wcześniej, zapewniłby jej lepszą przykrywkę do tego, co robiła. - A szczerze mówiąc, chwilowo mam co robić. - Zerknęła na zegar wiszący na ścianie archiwum i z pudłem datakart pod pachą skierowała się do wyjścia. - Mam mnóstwo roboty. Do zobaczenia później.

- Udało ci się znaleźć tego dostawcę sprzętu medycznego, którego próbowałaś namierzyć?  
- spytała na odchodnym Jilka.

- Nie, dałam za wygraną - odpowiedziała Besany o wiele za szybko.

Jilka знаła ją i wiedziała, że nie była z tych, co łatwo się poddają. Cóż, pozostało jej mieć nadzieję, że przyjaciółka uzna jej pytania za przejaw troski o Orda. Kiedy znalazła się we własnym biurze, bezpieczna, zajęła się rutynowym wyszukiwaniem nowych transakcji w rejestrze Skarbu - czasem było to nawet do miliona pozycji dziennie. Ustawiła parametry wyszukiwania na kody produktów dla sektora obrony i sektora medycznego. Każdy, kto chciałby ukryć takie zamówienia, raczej by z nich nie skorzystał, ale musiała od czegoś zacząć. Mogła zgłębiać je bez trudu dzięki datom realizacji zamówień - wszystkie wydatki były uporządkowane według kwartałów, w których miały zostać ściągnięte z budżetu.

Czego tak naprawdę szukała? Harmonogramów. Wiedziała, co się działo; teraz potrzebowała możliwie jak najwięcej wskazówek, na podstawie których Skirata będzie mógł ustalić, kiedy powinien dać drapakę ze swoimi chłopcami.

I ze mną pomyślała.

Nigdy nie była na Mandalorze i nie miała pojęcia, jak może wyglądać żywot na zabitej dechami rolniczej planecie. Przyjrzała się swoim wypielegnowanym dłoniom urzędniczki i uznała, że za późno, żeby się o to martwić. Skupiła się na przesuwających się po ekranie linijkach danych; nie czytała, raczej prześlizgiwała się po nich wzrokiem, próbując wyłapać najistotniejsze rzeczy. Pozycje zamówień sprzętu medycznego nie układały się według żadnego oczywistego wzoru, ale kody zaopatrzenia systemu obrony powtarzały się przez jakiś czas już od miesiąca czy dwóch. Samo w sobie nie było to specjalnie dziwne, ale w kontekście tego, co już wiedziała, stanowiło potwierdzenie prawdopodobnego terminu nasilenia działań wojennych. Besany sporządziła kopię listy wydatków na obronę. Należało to do jej kompetencji i było całkowicie legalne - w przeciwieństwie do tego, co zrobiła później, czyli zapisania informacji we własnym notatniku komputerowym w celu przesłania Skiracie.

Ile z tego Skirata przekazuje Etain? - zastanowiła się.

Besany rzadko ją widywała. I chyba dobrze się składało, bo nie wiedziała, czy całkiem bezpiecznie może z nią rozmawiać na niektóre tematy. Chociaż operacje, w których uczestniczyły, były ze sobą w wielu punktach związane, nie bardzo mogły usiąść przy filiżance kawy i plotkować o tajnych projektach.

Jak co dzień wyszła w porze lunchu, żeby rozprostować nogi i przesłać dane poza budynkiem. Natychmiast, kiedy zakodowany system poinformował, że dane dotarły do odbiorcy, usunęła pliki - im krócej znajdowały się w jej notesie, tym lepiej. Przechadzka po okolicy i marudzenie przed wystawami sklepów stwarzały pozory, że jej życie toczyło się normalnym torem i nie ograniczało się do odliczania dni do chwili, kiedy będzie musiała to wszystko porzucić.

Podczas przechadzki znów dopadło ją to dziwne wrażenie, że jest obserwowana. Naprawdę powinnam wziąć się w końcu w garść, uznała. Jeśli czegoś z tym nie zrobi, wkrótce kompletnie zeświruje. Ukradkowe spojrzenie przez ramię potwierdziło tylko, jak zresztą prawie za każdym razem, że nikt jej nie śledzi. Otaczał ją tłum pracowników biurowych, którzy - tak jak ona - wyskoczyli coś przekąsić i zrobić zakupy.

Od niedawna na ulicach pojawiało się coraz więcej patroli klonów. Zaczęło się od pojedynczych grupiek w okolicach budynków rządowych, ale ostatnio widywała ich znacznie częściej. Nosili te same białe zbroje, które tak dobrze знаła, ale niektóre były ozdobione błękitnymi motywami, inne zaś czerwonymi. Postanowiła, że zapyta o nich Orda przy najbliższej okazji i wróciła do oglądania sklepowych wystaw.

Co liczy się bardziej? - zastanawiała się. Łatwe życie czy robienie tego, co jest słuszne? Skoro możesz coś zmienić, masz moralny obowiązek tego dokonać. Tak właśnie postąpiłby tata.

Da sobie radę, ponieważ Etain też sobie radziła. Tak samo jak Laseema. Wszystkie były silne. Kiedy wróciła do biura, zajęła swoje miejsce i odblokowała terminal, żeby przystąpić do pracy - prawdziwej pracy, tej, za którą jej płacili. Dzisiaj sprawdzała poufne informacje na temat umów o aprowizację, zawieranych z nieistniejącymi firmami, dzięki którym ktoś w sektorze zaopatrzeniowym nieźle się obłowił. To nie było nic nowego w potężnym, wielosegmentowym budżecie.

- Widać nikomu nie można już dziś zaufać - mruknęła do siebie. - W porządku, co my tu mamy...

Uzyskała dostęp do bazy danych zarejestrowanych spółek Skarbu, ale kiedy spróbowała porównać wyniki z materiałem inspektoratu sanitarno-epidemiologicznego AZC pojawił się problem. Zamiast linijek nazwisk, adresów i numerów rejestracyjnych wyświetlił się tylko ekran portalu - nie mogła dostać się do systemu.

System prawie nigdy nie odmawiał posłuszeństwa.

- Jay-Nine? - zawołała. - Jay!

Robot pomocniczy zwykle pałętał się gdzieś w okolicy, gotów na każde wezwanie do problemów z komputerami. Rzadko kiedy trzeba go było wołać, zwykle zwabiały go odgłosy przekleństw.

Słyszała cichy szum jego repulsorów, kiedy sunął korytarzem, a po chwili zobaczyła czubek jego kopułki tuż ponad poręczą zamocowaną w transpastalowej ścianie.

- Agentko Wennen? - zagadał grzecznie, zatrzymując się tuż przed jej biurkiem. - Jakiś problem?

- Nie mogę się dostać do sieci AZC, Jay. Wylogowuje mnie.

W tej samej chwili, gdy to powiedziała, jej żołądek fiknął koziołka. Namierzyli mnie! - pomyślała z przerażeniem. Odkąd Ordo zastrzelił śledzącego ją republikańskiego szpiega, spodziewała się pukania do drzwi w środku nocy albo dłoni na ramieniu w najmniej spodziewanym momencie - znaku, że gra skończona, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Centrala techniczna odłączyła dostęp do sieci podczas przerwy na lunch - wyjaśnił robot.

- Znaleźli w systemie coś, co wygląda na wirusa, więc włączyli zabezpieczenia wewnątrz departamentu. To nic poważnego. Po prostu przez kilka dni wszystkie próby o dostęp do danych

należy kierować za pośrednictwem komunikatorów. Nie otrzymała pani informacji o odcięciu sieci?

- Nie - powiedziała cicho. Poczula ulgę, ale wciąż nie mogła pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia strachu, które dławilo ją w gardle i sprawiało, że czuła w uszach dudnienie przyspieszonego pulsu. - Ale dlaczego usunięcie wirusa miałyby potrwać aż kilka dni?

- Nigdy wcześniej nie mieliśmy z czymś takim do czynienia. Ma bardzo złożoną strukturę. Szczerze powiedziawszy, trudno nawet stwierdzić, co dokładnie robi, ponieważ na dobrą sprawę nie zakłóca działania sieci. Po prostu wytropiliśmy jakiś program, który z pewnością nie należy do systemu macierzystego Skarbu i nigdy nie powinien się w nim znaleźć.

Założę się, że nie, pomyślała Besany. Jaing i Mereel byli zdolnymi hakerami, tak samo jak Ordo. Była kiedyś świadkiem, jak włamał się do systemu wywiadu Republiki z taką łatwością, jakby sprawdzał rozkład kursów publicznego transportu. Nie było w tym nic magicznego ani tajemniczego. Za większością przypadków naruszenia bezpieczeństwa, jakie badała, nie stali żadni mistrzowie w łamaniu zabezpieczeń - chociaż Zera akurat w pełni zasługiwały na ten tytuł. Zwykle chodziło po prostu o lekkomyślność użytkowników przy stosowaniu haseł i weryfikacji. To wszystko moja wina, uświadomiła sobie. Otworzyłam im drzwi. Wpuściłam Zera do systemu.

Nie żałowała niczego, ale to ani trochę nie zmniejszyło jej obaw.

A teraz wpadła po uszy. Miała ściśle ograniczony dostęp do systemu, a informatycy Skarbu zorientowali się, że coś jest nie tak. Z pewnością wkrótce zostanie wszczęte śledztwo, a to oznacza, że zaczną węszyć. Miała sporą wiedzę z zakresu audytowania sieci komputerowych, ale nie dorastała Jaingowi do pięt - i nie miała pojęcia, co mógł wpuścić do systemu. . - Cóż, będę sobie musiała jakoś poradzić, Jay - westchnęła Besany. - Czy w innych departamentach też mają takie problemy?

- Nadal szukają, agentko Wennen - odpowiedział uprzejmie robot.

Besany wiedziała, że nie może się teraz zerwać i pognać na ulicę, żeby zawiadomić Skiratę. Zanim udała się do domu, odczekała godzinę - na wypadek gdyby ktoś ją obserwował. Wyszła na zewnątrz, przeszła niespiesznie przez plac przed budynkiem Departamentu Skarbu, kupiła od ulicznego sprzedawcy chlebowy paluch i pogryzając go od niechcenia wybrała na komunikatorze kod Skiraty.

- Kal? - zaczęła. - Wygląda na to, że mam kolejny problem...

Hadde, stolica Haurgab, pół godziny po ataku raketowym Hadde było teraz terytorium wroga. Po miesiącu spokojnego stacjonowania w bazie WAR nie mogła już czuć się tu bezpieczna. Darman osłaniał z góry sunący główną ulicą miasta konwój, złożony ze śmigacza patrolowego Drużyny Delta i lecących za nim Omeg. Po obydwu stronach kolumny, jako wsparcie, leciały przydzielone im z osiemdziesiątej piątej brygady piechoty nowiutkie opancerzone platformy bojowe typu Nek Pup.

- Kolejni z czterastej piechoty - mruknął Corr. Wokół życie toczyło się całkiem normalnie. Było skwarne popołudnie; rolety sklepów dawno pozaciągano i tylko z rzadka spotykali mieszkańców. Wkrótce znaleźli się w pobliżu punktu, z którego wystrzelono pocisk raketowy. - Widzicie to co ja? Ten po prawej! Ma blaster z magazynkiem.

Żołnierz wyglądał jak przeciętny klon, poza dyskretnymi oznaczeniami jednostki, których nie rozpoznawali. Darman wyteżył

wzrok, żeby im się przyjrzeć, ale po chwili przeniósł spojrzenie na ulicę. Nie mógł sobie pozwolić na chwilę nieuwagi podczas patrolowania okolicy; reszta kontrolowała dachy budynków. Kawalek przed nimi leciała wysłana przez Atina sonda. Skanowała teren w poszukiwaniu zasadzek, aktywujących ładunki linek i innych podejrzanych obiektów, i przesyłała

obraz do ich wyświetlaczy przeziernych HUD. Już wcześniej trasa i jej sąsiedztwo zostały sprawdzone przez służby militarne Hadde i policję cywilną.

- Czy to jakieś oddziały specjalne? - zachodził w głowę Niner. - Pojawiają się tylko dwójkami albo pojedynczo... Dziwne. Nie mówiąc już o tym, że nic o nich nie wiemy. A to się wydaje wysoce podejrzane.

- Zera też nie mają pojęcia, o co chodzi - zasepiła się Etain, siedząca na tylnym siedzeniu otwartego śmigacza, za Atinem.

- I co z tego? - zdziwił się Corr.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Darman. - Wyglądają na takich, co to są ze wszystkim na bieżąco, w przeciwieństwie do nas.

- Przesadzasz, ner vod.

- Ale to prawda!

- Gdyby Zera były wrażliwe na Moc - powiedziała Etain - wtedy dopiero robilibyście przed nimi ze strachu w gacie.

- Jakby sprawiali wrażenie nieszkodliwych - parsknął Darman. Odwrócił lekko głowę - naprawdę lekko, żeby tylko na nią zerknąć. Fierfek, to moja dziewczyna! - pomyślał radośnie. Mam dziewczynę! Mam kogoś, kogo obchodzę. Przez chwilę miał ochotę krzyczeć z radości. - Chodzi mi o to, że - jasne - są naszymi braćmi i teraz, kiedy znamy ich lepiej, każdy z nas oddałby za nich życie, ale... cóż, kiedy wpadają w szal, potrafią człowiekowi napędzić niezłego stracha.

- Są niebezpieczni tylko dla aruetiise - powiedział Corr, obserwując bacznie budynek, który właśnie mijali. Darman przez chwilę był pewien, że klon dojrzał coś niepokojącego w tumanie kurzu podniesionym przez śmigacze.

- Szczerze mówiąc, ja tam na razie bardziej boję się Scorcha - mruknął Atin, i nie był to żart. Śmigacz Drużyny Delta był jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi, otulony chmurą pustynnego pyłu. - Chyba za bardzo się wczuł.

Kiedy droga się zwężyła, znaleźli się w labiryncie krętych uliczek i zaułków. Co jakiś czas mijali patrol lokalnych służb, pozdrawiający ich machaniem ręką albo salutem. Określenie „za bardzo się wczuć” stało się wśród żołnierzy Wielkiej Armii umownym określeniem na rosnące znużenie i gniew, którego doświadczali tym mocniej, im dłużej trwała ta wojna. Darmanowi też się to zdarzało. On również miewał koszmary. Z jakiegoś powodu obraz stojącego w płomieniach magazynu na Coruscant, misji, z której ledwo uszedł z życiem, prześladował go w snach - stanowczo zbyt często. To nie zmasakrowane ciała na polu walki ani twarze członków jego pierwszej drużyny nie dawały mu spokoju, tylko ogień.

Biedny Scorch... Darman doskonale go rozumiał.

- Porozmawiam z nim później - obiecała Etain, poprawiając słuchawkę komunikatora. Ton jej głosu sugerował, że to będzie poważna rozmowa. - Jesteśmy na miejscu. Kordon przed nami. Niner zatrzymał śmigacz obok pojazdu Delt. Wokół roило się od przedstawicieli miejscowych służb. Milicjanci byli uzbrojeni po zęby i bacznie obserwowali każdy kąt, ale Darman nastawił moduł samopowtarzalny blastera na maksymalną siłę ognia i trzymał go cały czas w pogotowiu. W pewnej chwili przybiegł do nich z wewnętrznego kordonu jeden z oficerów, a Boss wskazał mu kciukiem Etain jako ich szefa.

- Zabezpieczyliśmy teren w ciągu dziesięciu minut po wybuchu, pani generał - zameldował mężczyzna. - Do tego czasu mogli uciec, ale namierzyliśmy budynek, z którego wystrzelono pocisk. - Odwrócił się w stronę drogi i pokazał w lewo. - Ustawiliśmy blokady na obu wylotach ulicy, zgodnie z rozkazem. Z tego, co wiem, budynki nie zostały ewakuowane.

- Nie sprawdziliście tego?

- Nie, proszę pani. Czekaliśmy z tym na was. Nie zauważyliśmy nic podejrzanego. Etain nie odezwała się ani słowem, ale po zaciśniętych wargach można było poznać, że nie jest zbyt zadowolona ze sposobu, w jaki wypełnili swoje obowiązki. Darman zastanowił się przelotnie, dlaczego właściwie po prostu nie aresztowali własnych obywateli, którzy stwarzali problemy, ale pewnie po prostu chcieli, żeby WAR zajęła się całą brudną robotą. Może i dobrze się stało? Scorchowi przyda się tego rodzaju terapia. Darman nie miał wątpliwości, że demonstracja potęgi WAR była jak kubel zimnej wody dla każdego, komu chociaż przez myśl przemknęło przyłączenie się do rebeliantów.

- Może miejscowi nie chcą żeby mieszkańcy widzieli, jak swoi wloką swoich na przesłuchanie? - rozległ się cichy głos Atina na wewnętrznym kanale. Obydwie drużyny komunikowały się teraz ze sobą na tej samej częstotliwości. - My spokojnie możemy odgrywać tych złych.

- Może chcą pokazać ludziom, że jesteśmy na miejscu i że nie damy się tak łatwo wykurzyć? - zasugerował Niner.

- Pewnie, a może po prostu jest tak, że dziś panowie milicjanci, a już jutro rebelianci? - parsknął Corr, wcielając się zupełnie w tak pasującą do Fi rolę nadwornego cynika.

- Nie można im ufać - wtrącił Scorch. - Żadnemu z nich. Gdyby tylko dać im sposobność, wpakowaliby serię w łeb każdemu z nas.

Był śmiertelnie poważny. Darman wiedział, że nie żartuje. Trudno było przewidzieć, co dla kogo może stać się kroplą, która przeleje czarę goryczy. Dar nie miał pojęcia, dlaczego Scorch tak bardzo przeżywał atak na bazę, ale było to widać gołym okiem. Może dlatego, że traktował kantinę jak miejsce, gdzie wojna i wszystko, co z nią związane schodziło na dalszy plan? Coś w rodzaju ziemi niczyjej? A teraz nawet ona stała się polem walki.

Postanowił, że zapyta go o to później.

- W porządku, przygotujcie się do wejścia na teren budynku.

Ósemka komandosów rozdzieliła się na dwie drużyny, osłaniane każda przez dwie platformy bojowe Nek Pup. Darman sprawdził obraz przesyłany przez czujniki sondy: dachy wyglądały na czyste, tak samo jak otoczone murami dziedzińce. U wejścia siedziało małe, brązowe stworzenie nieznanego Darmanowi rasy i czyściło sobie futerko. Sprawdził ponownie i powiększył obraz. Na tyłach największego z domów widać było wyraźnie plamę spopielonej roślinności.

Wielkością pasowała do śladów, jakie powstawały podczas odpalania pocisków raketowych typu Arakyd Huntmaster. Ładunki łatwo było transportować, a wystrzelenie zajmowało dosłownie kilka minut. I właśnie taki pocisk uderzył w bazę Hadde.

- No cóż, może po prostu robili grilla w ogródku? - zażartował ponuro Darman.

- W takim razie chyba czas na sprawdzenie kielbasek - stwierdził Sev.

- Nie podoba mi się to. - Etain nadal niosła swój karabin, ale tym razem odpięła od pasa oba miecze. Jeden należał do niej, drugi zatrzymała na pamiątkę po swoim zmarłym Mistrzu. Shab, zmieniała się chyba nieco od czasu, kiedy Darman ją poznał. Jednak nawet na Qiilurze, gdzie ukrywała się przez tak długi czas, że nie wiedziała nawet o istnieniu armii klonów, zdawała sobie sprawę z tego, że ma słabe rozeznanie w sytuacji i im zaufała. Wiedział, że teraz też im ufa. Włączyła jeden z mieczy i wbiła wzrok w budynek, jakby chciała samą siłą woli zmusić drzwi, żeby się otworzyły.

- Wyczuwam w środku kilka osób... są uzbrojeni... i wrogo nastawieni. Miejmy nadzieję, że będą mieli na tyle rozumu, żeby zostać w środku. - Jakby nigdy nic, podeszła do drzwi i załomotała w nie, wciąż trzymając w zaciśniętej dłoni miecz świetlny. Było to śmiałe posunięcie, nawet jak na Jedi. - Wielka Armia, otwierać!

- Ho! Ho! - powiedział Sev. - Odważnie. I niezbyt rozsądnie.

- Otwórzcie albo odsuńcie się od drzwi! - krzyknęła Etain. Nie miała żadnej osłony, ale była Jedi i kierowała się własnym systemem wczesnego ostrzegania. Niezależnie od tego Darman i tak był gotowy ją asekurować. Zapamiętał, żeby potem strzelić Seva w ucho za głupią uwagę. - Wasz wybór. Rzućcie broń i opuśćcie budynek!

Nadal żadnej odpowiedzi. Akcje z udziałem Jedi różniły się od tych, w których brali udział sami, ponieważ Etain miała sojusznika w Mocy. Teraz pochyliła głowę i cofnęła się od drzwi, a Darman już wiedział, że coś wyczuła.

- Sześć albo siedem osób, mają działa - szepnęła. - Liczyłam, że się poddadzą... Nieważne. Otwórz skrzyneczkę, Dar. Zobaczmy, co jest w środku.

- Pani generał - powiedział uroczyście Scorch. - Proszę o pozwolenie na dołączenie do grupy szturmowej.

Widocznie tego potrzebował - i Etain to rozumiała.

- Pozwolenie przyznane.

Darman uświadomił sobie z zaskoczeniem, że miała w sobie teraz więcej z żołnierza niż z Jedi. Podobało mu się to, że rozumiała ich lepiej. Dzięki temu czuł się bezpieczniejszy, pewny, że wszyscy wrócą do domu cali i zdrowi. Jeden z Neków podjechał bliżej, a obsługa podniosła przednie działko samopowtarzalne i przygotowała do strzału.

- Omego, naprzód - zarządziła Etain. - Dar, gotów?

Darman nigdy do tej pory nie używał granatów wyważających

MerrSonn. Drażek kierunkowy sprawiał, że jego dece wydawał się dziwnie nieporęczny. Darman miał nadzieję, że dwadzieścia metrów wystarczy, żeby nie chybić. Atin, Corr, Scorch i Niner zajęli miejsca po obu stronach drzwi, sporo dalej niż zwykle. Drużyna Delta stała w pogotowiu, gotowa odeprzeć ogień z innych miejsc.

Darman wycelował i wstrzymał na chwilę oddech. Poza słabym szumem silników Neka było tak cicho, że słyszał dobiegający skądś płacz dziecka. Etain uniosła głowę i rozejrzała się nerwowo.

- Jest jakąś ulicę stąd - uspokoił ją Darman. Widział, że wytrąciło ją to z równowagi. - W porządku. Gotowi.

Etain uśmiechnęła się do niego z przymusem; wyglądała, jakby siłą powstrzymywała płacz, ale w mgnieniu oka wzięła się w garść.

- Wchodzimy - powiedziała. - Ognia!

Darman nacisnął spust.

Wysadzanie drzwi taką metodą biło na głowę strzelanie do nich z bliska. Drażek pocisku przyłgął do metalowego poszycia, a chwilę później wśród oślepiającego rozbłysku i przy akompaniamencie głośnego wybuchu drzwi po prostu wpadły do wewnątrz w chmurze pyłu.

Scorch cisnął do środka granat i drużyna ruszyła ku wejściu, a potem zaczęła się rzeź.

Drzwi i okna przecinały serie białej i niebieskiej energii. Darman przestawił moduł dece na ogień blasterowy i przygotował się do zdjęcia potencjalnych napastników, ale niezbyt podobało mu się pilnowanie terenu na zewnątrz, podczas gdy jego kompani robili porządek w środku.

Nagle przypomniał sobie, jak został rozdzielony ze swoją macierzystą drużyną na Geonosis.

Dlaczego przyszło mu to do głowy akurat teraz? Strzelanina ustała równie szybko, jak się zaczęła. W powietrzu rozległ się głuchy odgłos potężnego wybuchu i dach dwupiętrowego budynku eksplodował w chmurze pyłu i szczątków. Etain zanurkowała i widocznie otoczyła się tarczą ochronną Mocy, bo żaden z odłamków nie zrobił jej krzywdy. Deszcz okruchów zabębnił o zbroję Darmana.

- Shab, Scorch! - Głos należał chyba do Corra. - Zadowolony?

- Omego, wychodzimy - zarządził Niner. - Czterech jeńców, trzech zabitych.

Jeden z Neków podjechał bliżej domu, żeby zapewnić im osłonę, podczas gdy pozostałe stały w miejscu, obstawiając pobliskie zabudowania. Sąsiedzi nie kwapili się do wyglądania przez okna, żeby sprawdzić, co się dzieje. Corr, Atin i Niner wyprowadzili ze środka trzech zataczających się, oszołomionych mężczyzn i jedną kobietę.

- Wyrzutnia rakiet w przybudówce na tyłach - zameldował Niner. - A do tego cała fura karabinów, moździerzy i pocisków przeciwpancernych. Halo! Niech ktoś zawoła milicję, żeby zabrała stąd tych żartownisiów, dobrze?

Dopiero wtedy Darman zauważył, że nie ma z nimi Scorcha. Ich kompan wyszedł z budynku dopiero po dłuższej chwili, ciągnąc za jedną nogę ciało - sądząc po tym, co z niego zostało, mężczyznę słusznej postury. Był to nie lada wyczyn, nawet jak na krzepkiego komandosa. Zostawił trupa na środku ulicy między Nekami i jakby nigdy nie wrócił do budynku.

Nie musieli zajmować się zwłokami, mogli zostawić wszystko milicji. Darman ruszył za nim, ale Etain zatrzymała go w pół kroku i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Oslaniaj go tylko - powiedziała cicho. - Na twoim miejscu nie wchodziłabym mu teraz w drogę.

Musiała wyczuć coś, o czym nie wiedzieli. Nie trzeba było jednak wrażliwości Jedi, żeby zorientować się, że Scorch nie jest sobą. Darman słyszał, jak Sev mruczy coś pod nosem, a po chwili wszedł mu w słowo Boss:

- Zabraniam, Sev. Ani mi się waż.

Trochę to trwało, ale w końcu Scorch wyciągnął z budynku resztę ciał i ułożył je starannie w rzędzie. Darman myślał, że to już koniec popisu ku przestrodze miejscowych, że Scorch chce po prostu pokazać mieszkańcom, jak się kończy zadzieranie z WAR. Z pewnością nie przysłuży się to walce o serca i umysły, ale

Darman wiedział, że Scorch nie jest w nastroju do rozdawania miejscowym dzieciakom cukierków.

Czy to nie dwa lata temu chciał ocalić mieszkańców Qiilury przed separańcami? Cóż, nie ma to jak grzeszyć naiwnością...

Scorch stanął nad ciałami ze swoim dece w dłoni i przyjrzał się martwym rebeliantom. Darman był pewien, że zostawi ich i wróci, usatysfakcjonowany, jeżeli nawet nieoczyszczony, ale Scorch po prostu uniósł broń i posłał w stronę ciał serię z blastera. Darman słyszał w głośnikach hełmu, jak co najmniej kilku z nich zaczerpnęło gwałtownie powietrza. Wszystko skończyło się równie nagle, jak zaczęło: Scorch wstrzymał ogień, zdjął hełm i splunął z pogardą na każdą kupkę zwęglonych szczątków. Potem włożył z powrotem hełm, podszedł do najbliższej platformy i usiadł na stopniu.

- Dobrze, że trafiliśmy na właściwy dom - mruknął Corr pod nosem.

Okoliczni mieszkańcy prawdopodobnie odebrali popis Scorcha jako akt pogardy, komunikat, żeby nie zadzierać z Republiką. Jednak Darman widział przed sobą doprowadzonego do ostateczności brata, który nie potrafił wyładować swojego gniewu i żalu w żaden inny sposób - może tylko chwilowo, może na zawsze. Widział coś takiego już raz czy dwa wcześniej - podobne przypadki załamania wśród klonów - ale nie miał pojęcia, co się działo z tymi, którzy nie wracali do siebie. Niespodziewanie przypomniał sobie o Fi i nagle już wiedział.

- W porządku, już po wszystkim! - Etain przynagliła gestem dłoni milicjantów czekających za barykadą. - Przydałoby się uprzętnąć ten bałagan i przeszukać resztę budynku tak na wszelki wypadek. Lepiej będzie, jak się wycofamy. Pójdę porozmawiać ze Scorchem. - Nie wyglądała na zbyt zszokowaną jego reakcją.

Usiadła na schodku Neka obok komandosa i wzięła jego dłoń w swoje drobne ręce. Darman czuł się trochę dziwnie, obserwując tę scenę. Od czasu do czasu do jego uszu dolatywały niesione

wiatrem słowa: mówiła jego przyjacielowi, że rozumie i że może sprawić, że poczuje się lepiej, jeżeli on nie będzie miał nic przeciwko drobnej ingerencji w jego myśli. Podsluchiwanie przerwało ledwie słyszalne kliknięcie w głośnikach hełmu, oznaczające, że ktoś wszedł na ich wewnętrzną częstotliwość.

- Wszyscy cali i zdrowi? - zapytał Niner. Darman wiedział, co brat ma na myśli. Chciał się upewnić, że nikogo nie spotkało to, co Scorcha. - Bo jeżeli nie... lepiej o tym zameldujcie.

Nikt nie potrafił przewidzieć własnej reakcji na niektóre rzeczy

- czasem okazywało się, że pękasz w najmniej spodziewanym momencie.

Nagle gdzieś z boku rozległa się seria dziwnych, mechanicznych szczęknięć.

- Shab\ Jakiemuś chakaarowi nie spodobało się nasze przedstawienie! - warknął Atin.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się na pięcie, żeby namierzyć gnojka. Był po drugiej stronie ulicy, na dachu sąsiedniego budynku. Obsługujący jeden z Neków żołnierz natychmiast odpowiedział ogniem, ale zanim zdążył skierować działko w miejsce, w które celowała reszta, pierwsza seria trafiła w beczkę na deszczówkę kawalek dalej. Zdążyli odpowiedzieć snajperowi ogniem i wycofać się za barykadę, zanim Atin zorientował się, że zaliczył strzał w ramię.

- Nic mi nie jest - bąknął z zakłopotaniem i spróbował wyciągnąć szyję, żeby przyjrzeć się szramie w płycie pancerza. - Och, katarnie III, mój drogi przyjacielu... - Westchnął i poklepał czule swoją zbroję. - Shab, to mi zepsuje humor na cały dzień!

- Ładny strzał, mir'osik - zawołał Darman do strzelca z czternastki. Nawet Weequay zdołałby trafić do celu z tej odległości.

- Kto, do shab, cię szkolił?!

- Program szkolenia przyspieszonego - zameldował posłusznie klon.

- To powiedz temu całemu Przyspieszonemu, że osik z niego, a nie instruktor - dogryzł mu Darman. - Jeśli chcesz, mogę ci udzielić kilku lekcji... pod warunkiem że ładnie poprosisz.

- Zostaw biednego białasa w spokoju, Dar - stanął w jego obronie Corr, sam stosunkowo niedawno awansowany z rangi konserwy. - To jego pierwsza akcja.

My podczas naszej pierwszej akcji byliśmy fantastyczni, pomyślał Darman. Co to w ogóle za wymówka?

W gruncie rzeczy na ich pierwszej akcji nie do końca było tak całkiem różowo. Wręcz przeciwnie. Generałowie Jedi byli kompletnie zdezorientowani, zupełnie jak dzieci we mgle. Na Geonosis zginęła połowa komandosów wysłanych w charakterze piechoty. Znaleźli się w złym miejscu w niewłaściwym czasie, w dodatku bez wsparcia z powietrza. Darman zacisnął szczękę. Corr miał rację.

- Wybacz, ner vod - mruknął cicho. - Kiedy was wypuścili z Kamino?

Żołnierz wahał się przez chwilę, jakby próbował sobie przypomnieć. Kiedy zdjął hełm, żeby otrzeć czoło, na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania; z całą pewnością nie szukał wymówki.

- Przysłali nas do kwatery głównej kilka tygodni temu - powiedział w końcu.

- Założę się, że w Tipoca wciąż leje jak z cebra. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przestało. Nawet na chwilę, serio.

Klon sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zakłopotanego. Obracał swój hełm niepewnie w dłoniach, jakby zastanawiał się nad jego ponownym włożeniem.

- Kiedy nas wsadzali na pokład, było sucho jak na pustyni -wymamrotał. - Szczerze powiedziawszy, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek tam padało.

- Hm, sprawdzę może twoją kalibrację, kolego - zaoferował się Atin i wspiął na wieżyczkę Neka.



Darman był tak zaskoczony odpowiedzią kolegi, że nawet nie odgryzł się starym dowcipem o żołnierzu na poligonie. Na Kamino nie pada? Może u kolesia było tak samo kiepsko ze spostrzegawczością, jak z celnością?

- Jakiś problem? - Etain wyrosła obok jak spod ziemi.

- Hm, nasz przyjaciel z czternastki właśnie próbuje nam wmówić, że na Kamino nigdy nie pada.

Etain zmarszczyła czoło i przyjrzała im się spod oka.

- Może to ironia?

- Gość raczej nie wygląda na mistrza ciętej riposty - stwierdził kaśliwie Darman. Był bardzo wyczulony na szczegóły, które w jego mniemaniu nie pasowały do rutynowego życia i szkolenia klonów, a jeżeli ci z czternastej piechoty nie znali ani słowa w Mando'a i pochodzili z Kamino, na którym nie padało... cóż, z pewnością coś tu było nie w porządku.

Nie mówiąc już o tym, że był marnym strzelcem, Darman nigdy w swojej karierze nie widział, żeby jakiś klon tak fatalnie

chybił. Nigdy. Nawet najmłodsze klony były wybornymi strzelcami.

- Myślisz, że może być szpiegiem? - zapytał, przypominając sobie nagle dwóch żołnierzy z jednostki specjalnej, których zabił. Byli tacy sami, jak on... a jednak został wysłany przeciwko własnym braciom. - Cóż, chyba po prostu jestem nadmiernie podejrzliwy od czasu Gaftikaru - westchnął.

- Jeżeli nawet - mruknęła Etain - z pewnością nie był prymusem.

- Nie wiem. Dziwne to wszystko - skwitował Darman. Włożył hełm i uruchomił zabezpieczony kanał łączności. Skirata z całą pewnością powinien się o tym dowiedzieć.

Drobiazgi zawsze wyostrzały obraz sytuacji. - Lepiej to zgłosić.

- Dar, chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała Etain.

Kanał Skiraty był zajęty i Darman stwierdził, że nie ma już tyle cierpliwości, co dwa lata temu.

- Co się stało, Et'ika? - zapytał z troską.

- Nie tutaj.

- Naprawdę zamierzasz powiedzieć Zeyowi, że chcemy się wyrwać z tego szamba?

- Tak, zamierzam, ale...

- Świetnie. To strata czasu, skoro moglibyśmy walczyć o cele o dużym znaczeniu.

- Dokładnie. - Wydawała się nagle bardzo znużona. - Masz rację.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Etain oparła ręce na biodrach i zapatrzyła się w czubki swoich butów.

- To może poczekać - powiedziała cicho.

Gdy tylko milicja potwierdziła, że zajęli się przeszukiwaniem budynku, ich mały konwój skierował się z powrotem do bazy. Darman czekał, aż Etain podejmie temat, ale miał wrażenie, że znów przerwał jej w niewłaściwym momencie i zapomniała, co chciała mu powiedzieć.

To z pewnością nie było nic ważnego.

## ROZDZIAŁ 7

Odkryliśmy, że pogrożki Separatystów to zwykła, wyszana z palca bujda. Przechwałki mówiące o kwadrylionach, kwintylionach czy nawet septylionach robotów bojowych są tak niedorzeczne, że oczekujemy ich oficjalnego zdementowania, chyba że ktoś dysponuje niepodważalnymi dowodami na to, że jednak jesteśmy w błędzie. Nic się nie zgadza - i to dosłownie. Czy wiecie, ile to jest kwadrylion? Skorzystajmy ze standardowego zapisu galaktycznego: tysiąc milionów milionów. Kwintylion? Milion kwadrylionów. Septylion? Miliard kwadrylionów.

Każda koalicja zdolna wyprodukować

choć kwadrylion jakichkolwiek maszyn rozniósłaby Republikę w pył w ciągu kilku dni, nie mówiąc już o tym, że ilość środków i energii potrzebnych do stworzenia i utrzymania nawet takiej liczby jest niewyobrażalna - zrujnowałaby cały, nie przymierzając, system gwiazdny. A więc albo nasz rząd to niepotrafiący liczyć idioci, albo rozdmuchują kwestię zagrożenia i próbują zrobić idiotów z przeciętnych obywateli, żeby usprawiedliwić działania wojenne.

Hirib Bassot, ekspert ds. mediów w programie publicystycznym na kanale HoloNetu, na krótko przed tym, jak został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu (przyczyna zgonu: przedawkowanie skażonego błyszczystymu)

Kyrimorut, Mandalora, 995 dni po Bitwie o Geonosis

Jusik wskazał na mur po drugiej stronie ogrodzonego terenu, na końcu pasa rozciągniętej taśmy. Ubrany w same szorty i sprawiający wrażenie bardzo nieszczęśliwego Fi stał obok, z rękami założonymi na piersi i wyrazem twarzy, który mówił: „nie lubię robić z siebie idioty”. - Przejdź wzdłuż tej linii, Fi. No, dalej. Fi zaczerpnął głęboko powietrza, jakby zamierzał zaprotestować, ale odwrócił się i zaczął posłusznie iść przed siebie. Jusik i Gilamar stali za nim i obserwowali go uważnie, rejestrując jego

ruchy podręcznym holoskanerem. Jusik zauważył, że urządzenie nosi nadruk głoszący:

„Własność Centrali Zaopatrzenia Medycznego Republiki”.

- Ładny sprzącik - mruknął pod nosem. - Rozumiem, że to dowód uznania od Republiki? Gilamar parsknął śmiechem, ale nie oderwał wzroku od niewielkiego monitora. Urządzenie pokazywało punkty odniesienia na ciele Fi: kręgosłup, stawy, czaszkę, a także analizowało jego ruchy i postawę.

- Cóż, kurzył się zapomniany na półce - powiedział - a ja miałem akurat pacjenta w potrzebie. - Wciąż wpatrzony w ekran sięgnął do sakwy u pasa i wydobyl z niej kilka małych, ale wyglądających na kosztowne przyrządów. - Skanery stykowe. Encefaloskan i probierze neurochemiczne. Najlepsze w galaktyce. Dzieła szabla sztuki.

Fi dotarł do końca linii, zrobił całkiem zgrabny obrót i zaczął spacer z powrotem.

- Ukradłeś to - powiedział Jusik.

- Hm, wolę określenie „uwolniłem właścicieli od zbędnego balastu” - stwierdził z rozbrajającą szczerością Gilamar. - Podatnikom to nie zaszkodzi, ponieważ nie łożą na centra rehabilitacji klonów. Muszę jeszcze tylko zlokalizować kilka przenośnych instrumentów diagnostycznych i specjalistycznych zabawek i możemy tu otwierać całkiem przyzwoity szpital polowy. Nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczą nasi milusińscy. A urazy mózgu nie są tak znowu rzadkie.

- Nie krytykuję cię - wyjaśnił Jusik. - Tylko podziwiam.

Oczywiście, Jedi też zdarzało się przywłaszczyć czyjąś własność i oszukiwać właściciela w imię sprawiedliwości. Jusik słyszał wiele historii o Mistrzach rekwirujących statki i stosujących różne, nie całkiem uczciwe sztuczki bez mrugnięcia okiem. Nie widział żadnej różnicy między takim zachowaniem a tym, co robił Gilamar - tak długo, dopóki służyło to szczytnemu celowi.

- Nie uwierzyłbyś, co można wynieść z centrów medycznych, jeżeli potrafisz używać odpowiedniego żargonu, nosisz kitel i wiesz, jak przechytryć system ochrony - powiedział Gilamar. - Kiedyś zdarzyło mi się zwędzić za jednym razem prawie cały stół operacyjny!

Fi zakończył spacer i stał teraz ze spuszczoną głową, czekając na ich opinię.

- I jak mi poszło? Mogę się już ubrać?

Gilamar obrócił mały holoe ekran w taki sposób, żeby klon mógł go widzieć.

- To ty w porównaniu z jednym z twoich braci w szczytowej formie. Widzisz? - Z tego, co zdołał odczytać Jusik, ekran pokazywał wartości w procentach. - To wyniki opisujące chwiejność chodu, długość kroku, elastyczność kręgosłupa - takie różne biometryczne brednie. Spójrz.

Fi zmarszczył czoło, jakby coś obliczał.

- Nieco ponad osiemdziesiąt dziewięć procent.

- Osiemdziesiąt dziewięć przecinek dwa procent zgodności z wzorcem.

Fi westchnął ciężko.

- Hm, rozumiem.

- Co znaczy „Hm, rozumiem”?

- Nigdy nie będę miał znów stu procent...

- „Nigdy” to dużo czasu, ad'ika, a osiemdziesiąt dziewięć procent klona-komandosa to jakies sto pięćdziesiąt procent przeciętnego obywatela. Jesteś jak luksusowy model człowieka. Możesz sobie pozwolić na te kilka procent mniej.

Fi nie wyglądał na przekonanego.

- Więc jestem lepszy niż mieszaniec... Świetnie.

- Ubieraj się, zaraz zaczniemy badania kognitywne.

Fi powlókł się do twierdzy, a lekarz i Jedi odczekali chwilę, zanim ruszyli za nim. Pomimo dużych postępów, jakie chłopak poczynił do tej pory, Jusik miał wrażenie, że go zawiodł. Był przygotowany na to, że poświęci resztę życia na leczenie przyjaciela, jeżeli będzie to konieczne, jednak on był człowiekiem i na razie jego życie zapowiadało się na znacznie dłuższe niż klona. Jusik był kompletnie wyczerpany. Każda sesja uzdrawiająca stanowiła dla niego spore wyzwanie. Na początku Fi odzyskiwał siły w niespodziewanie szybkim tempie, jednak teraz postępy były nieznaczne; do ich stwierdzenia potrzebna była specjalistyczna, bardzo czuła aparatura. Jedynym wymiernym kryterium oceny jest dla mnie szczęście Fi, pomyślał.

- Czasami powrót do zdrowia zajmuje całe lata, a część i tak nigdy nie odzyskuje pełnej sprawności - powiedział ostrożnie Gilamar, kiedy wchodzili do głównych pomieszczeń. Obaj z przyzwyczajenia wytarli buty: Rav Bralor przy każdej okazji groziła im, że przerobi ich na szaszłyki, jeżeli zabrudzą nowe podłogi. - Nie ma sensu w kółko powtarzać mu, że robi niesamowite postępy, bo zawsze będzie interpretował to inaczej. Widziałem skany jego mózgu. Trwałe urazy w co najmniej dwóch różnych obszarach. To cud, że w ogóle przeżył, ale przecież klony powstały z materiału genetycznego Jango, a facet miał naprawdę niezłą krzepę. To właśnie poważne uszkodzenia przodomózgowia są odpowiedzialne za zaniki pamięci i napady agresji. Jusik pomyślał z ciężkim sercem, ile wysiłku kosztowało doprowadzenie Fi do takiego stanu, a przecież było tylu ludzi, którzy potrzebowali pomocy...

- Chce wrócić ze mną na Coruscant i zobaczyć się z resztą drużyny.

- Może dobrze by mu to zrobiło? - Gilamar zerknął ponownie na ekran swojego cennego sprzętu medycznego. - Wciąż nie mogę się nadziwić, jak ty to robisz...

- Tak naprawdę sam nie wiem. - Jusik wzruszył ramionami. Leczył poprzez wizualizowanie. Widział na wskroś materię ciała, wyłuskiwał z niej uszkodzone komórki i wyobrażał sobie je ponownie, całe i zdrowe. Był to dla niego taki sam akt użycia Mocy, jak kiedy sięgał po nią w celu wyważenia drzwi. - Mam pewną teorię... owszem. Mógłbym to określić jako coś w stylu serii działań mikrokinetycznych w połączeniu ze stymulacją naturalnych mechanizmów samoleczenia ciała.

- Jak precyzyjny jest ten proces?

Jako Jedi, Jusikowi wpajano zasadę, że zamiast dokonywać chłodnych kalkulacji i wszystko roztrząsać, lepiej jest zaufać własnym uczuciom. Tak naprawdę nigdy do końca się z tym nie pogodził, ponieważ uważał, że intelekt nie powinien się marnować. Skoro został obdarzony umiejętnością korzystania z Mocy, to na pewno nie bez powodu. A jeśli było inaczej, nie miał zamiaru podporządkowywać się jej zasadom.

Wyciągnął z konserwatora kawałek owocochleba, ugryzł okazały kęs i pomyślał refleksyjnie, że zawsze był zbyt ekscentryczny jak na standardy Zakonu.

- Tak precyzyjny, jak tylko potrafię, Mij'ika.

- Hm, kiedy uda mi się zdobyć sprzęt do skanowania mózgu w rozdzielczości na poziomie neuronów, dam ci lepiej krótki

kurs anatomii mózgu. Wtedy będziesz maksymalnie precyzyjny. - Gilamar sięgnął po owocochleb. Jego zbroja miała niemal ten sam odcień zgaszonego złota, co Skiraty - złoty kolor symbolizował zemstę - ale Mij nie pochodził z tego samego klanu, co Kal. Wybór tego koloru był związany z bardzo osobistą dla mężczyzny sprawą. - Jesteś sprytniejszy, niż się przyznajesz, Bard'ika.

- Mistrzowie w Akademii zarzucali mi, że za dużo myślę i zadaję zbyt wiele pytań.

- Cóż, czego więcej można się spodziewać po bandzie cwaniaków, która nie chce, żeby ktoś podważał jej autorytet?

- Dlaczego nosisz złotą zbroję? - Jusik nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Masz ci los! Chyba ci twoi Mistrzowie mieli rację...

- Wybacz. Nie chciałem być wścibski...

- Nie, w porządku, nie mam ci za złe. Zakochałem się kiedyś w Mandaloriance, wzięliśmy ślub, ale zabił ją pewien hut'uun. Znam go i kiedyś go znajdę. A wtedy pokażę mu, co to znaczy zadzierać z Mandalorianinem, który jest specem od anatomii i mistrzem skalpela. - Uśmiechnął się złośliwie.

Na Mandalorze Ciemna Strona potrafiła być naprawdę mroczna, ale Jusik nie bał się jej.

- Niech jej dusza znajdzie spokój w mandzie.

- Wierzysz w to?

Jusik nie widział w mandaloriańskiej koncepcji zbiorowej świadomości miejsca, do którego trafiają po śmierci dusze ich braci i siostr, nic zdrożnego, nawet jeżeli większość Mandalorian nie traktowała jej dosłownie.

- Korzystam z Mocy, Mij - przypomniał przyjacielowi. - Potrafię pojąć wiele rzeczy.

- Czy twoi starzy kumple uznali, że przeszedłeś na Ciemną Stronę?

- Niewykluczone. - Jusik westchnął. - Czasami chciałbym, żeby przestali się martwić całym tym podziałem na Jasną i Ciemną Stronę, a zamiast tego zaczęli odróżniać dobro od zła.

Gilamar parsknął serdecznym śmiechem. Jusik cieszył się, że jest w stanie rozbawić go tuż po tym, jak skłonił go do wyjawienia bolesnej tajemnicy, podejrzewał jednak, że tak naprawdę mężczyzna nie zapomina o niej nawet na sekundę.

- Z czego się śmiejecie? - zapytał Fi, wystawiając głowę przez drzwi. Był ubrany w szary kombinezon, jaki Mandalorianie zwykle nosili pod zbroją. - Niech zgadnę: to ten kawał o Hutcie i zgniataczu odpadów?

- Uprawiamy czary - zażartował Gilamar i wyjął notes elektroniczny. - W porządku.

Zobaczmy teraz, jak sobie poradzisz. - Program wyświetlał w powietrzu holowizerunki przedmiotów od prostych po wyjątkowo złożone i zadaniem Fi było je nazwać. Wciąż miał z niektórymi problem i był z tego powodu bardzo sfrustrowany. - I proszę mi tym razem bez żadnego „takie coś”, żołnierzu.

- Nie jestem już żołnierzem - burknął Fi, skupiając się całkowicie na obrazach. - Stół... pocisk przeciwpancerne... bantha...

Nic dziwnego, że znów czuł się jak dzieciak. Wracił do zdrowia, ale wciąż oceniał swój stan przez pryzmat dawnego Fi, nie przeciętne dorosłego mężczyzny. Jusik spróbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby nagle ktoś pozbawił go kontaktu z Mocą. Nadal byłby bystry i sprawny, ale wiedział, że bez tego dodatkowego zmysłu czułby się głuchy i ślepy.

- Oto, co nazywam postępem! - powiedział Gilamar, pokazując Fi wyniki. Jusik nie wiedział, czy Fi coś z tego zrozumie. Na ekranie roilo się od cyfr. - Jesteś cudem natury, mój chłopcze, chociaż nie zaszkodziłaby ci wizyta u fryzjera. A teraz sprawdzimy ci krew. Gilamar przycisnął małą sondę do opuszki palca Fi. Klon uniósł jedną brew i wpatrywał się w Jusika natarczywie, dopóki ten nie załapał, o co chodzi i nie wręczył mu kawałka owocochleba.

- Sierżant Kai powtarzał nam codziennie, że musimy dawać z siebie to, co najlepsze, ponieważ jesteśmy najlepsi - powiedział Fi z pełnymi ustami. - Dobry nie znaczy wystarczająco dobry.

- Z pewnością nie o to mu chodziło, Fi. - Jusik zmierzwił czule czuprynę klona. Podczas seansów uzdrawiania spędził tyle godzin z dłońmi na czaszce Fi, że znał jej kształt lepiej niż swojej. - Chciał, byście byli ambitni.

- Jeśli ktoś jest najlepszy, to już lepszy być nie może, tylko gorszy.

- Och, widzę, że dziś aż tryskasz optymizmem! - zażartował Gilamar, dając Fi pieszczotliwego prztyczka w nos, jak niegrzecznemu szczeniakowi akk. Gilamar pracował jako najemnik i szkolił twardzieli, ale czasem Jusik widział w nim lekarza, którym mężczyzna kiedyś był. Wątpił jednak, żeby miał za sobą karierę zwykłego wiejskiego felczera, jak utrzymywał. - Spójrzmy no na poziom progesteronu... Nadal ponad normę. Może jesteś w ciąży? Miewasz poranne nudności?

- Nie - mruknął Fi. - Ale mam zachcianki. Ojej, czy zrobią mi się rozstępny? Czasem Jusik musiał chwilę pomyśleć, zanim uznał, że klon żartuje. Poczucie humoru było w pewnym sensie miernikiem jego powrotu do zdrowia. W chwilach takich jak ta wydawało się, że stary Fi wrócił.

- Niestety, musisz pożegnać się ze szczupłą sylwetką - powiedział Gilamar z kamienną twarzą. - Od teraz wszystko zacznie ci obwisać. Jusika naprawdę cieszyła poprawa humoru Fi.

- Czy ten progesteron to naprawdę taki problem, Mij'ika? -zapytał.

- Nie - odparł Gilamar. - Ten hormon występuje u każdego. Bez niego mężczyźni nie byliby w stanie produkować testosteronu. Jego podwyższony poziom wyjaśniałby, w jaki sposób zdołałeś zmobilizować mózg Fi do samonaprawienia. Dowiedziono, że progesteron w dużej mierze odpowiada za leczenie urazów mózgu. Twoje hokus-pokus, Jedi, stymuluje widocznie jego wytwarzanie.

- Będziesz musiał poczekać z wystawieniem rachunku, Bard'ika - powiedział Fi. - Chwilowo jestem tak jakby, hm, boracyk.

Jusik wyjął z kieszeni garść kredytów i wcisnął chłopakowi w dłoń. Kredyty, twarda waluta, której przepływ trudno było śledzić, nie stanowiły problemu dla charakteryzującego się dość wybiórczą moralnością gangu Skiraty. Jusik był tylko zaskoczony, jak szybko do tego przywykł.

- Ba'gedet'ye - rzucił. - To powinno ci pomóc stanąć na nogi.

Fi przez długą chwilę przyglądał się pieniądzom z niedowierzaniem.

- Napadłeś na bank? - zapytał w końcu podejrzliwie.

- Nie ja, Vau.

- Nie mam ich nawet jak wydać! Najbliższy sklep jest w Ence-ri, a ja nie mogę prowadzić śmigacza... jeszcze. - W tym ostatnim słowie słychać było pełne nadziei błaganie. Bez możliwości transportu Fi był tu więźniem.

- Parja może być twoim szoferem, przynajmniej na razie.

- Dobrze, że nie musi mi podcierać shebs - burknął rozżalony Fi. - Najwyższy czas, żebym dorósł.

Podszedł do konserwatora i zaczął buszować po półkach. Gilamar zerknął szybko na Jusika i wykorzystał fakt, że chłopak był do nich odwrócony plecami.

- Daj mu odsapnąć - powiedział bezgłośnie.

Jusik kiwnął głową.

- No cóż, będę się zbierał. Muszę postraszyć pewnego embriologa. - Gilamar założył hełm i karwasze. - Ten stary śmierdziel obiecał mi na dziś wyniki pewnych badań. - Mrugnął do Jusika. - Powoli do przodu. Na razie nic konkretnego, ale mamy dla Uthan całkiem sporo materiału do przejrzenia.

Kiedy Mandalorianin wyszedł, Fi wpatrywał się w drzwi niewidzącym wzrokiem.

- A skoro mowa o ciąży - powiedział w końcu - czy Dar wie już o Kadzie?

- Nie - zaprzeczył Jusik.

- To wobec niego bardzo nie w porządku. - Spojrzał na Bardana błagalnym wzrokiem. - Czy możemy lecieć do Keldabe? Nie mogę cały czas płatać się po warsztacie Parji. Ma robotę. Jusik wiedział, że gdyby Parja miała wybierać między pracą a Fi, rzuciłaby wszystko w cholerę i żyła o wodzie i zdechłych borszczurach, ale Fi chciał się po prostu stąd wyrwać i tylko szukał pretekstu. Wyglądało na to, że wizyta w Keldabe dobrze mu zrobi, chociaż czasami miasto go przytłaczało.

- Jak będziesz grzeczny - powiedział były Jedi - dam ci popilotować śmigacz. Z pewnością przyda ci się też wizyta u fryzjera. Ale musisz obiecać, że nie będziesz się rwał do bitki, jeżeli spotkamy Sulla.

Fi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Zupełnie jak za starych czasów.

Tak właśnie było. Dwóch dobrych kumpli, planujących zabawić się na mieście. Nie miało znaczenia, że jeden z nich był kiedyś Jedi, a drugi klonem szkolonym, by mu służyć.

Właśnie taka była Mandalora: wszyscy byli tu równi i każdy miał prawo zacząć życie od nowa. Kwatera główna brygady do zadań specjalnych, Coruscant

- Jak leci, Kal? - spytał Zey.

Skirata usiadł nieproszony. Generał znał go wystarczająco dobrze, żeby nie czuć się urażonym pozornym grubiaństwem Mandalorianina. Mało tego - poczęstował go nawet kafem. Za oknem Tay'haai i Vau wyciskali z klonów szkolonych na komandosów ostatnie poty podczas treningu walki wręcz. Vau utrzymywał cały czas, że nie pracuje już dla WAR, ale trudno było brać jego słowa na poważnie. Co oni by zrobili bez wojska?

- Całkiem nieźle, generale - odpowiedział na pytanie.

- Widzę, że zoperowałaś w końcu nogę?

- Za bardzo mnie spowalniała.

- Zapytałbym, jak tam rodzina, ale to chyba nie byłoby zbyt taktowne pytanie...

- To prawda. - Skirata upił łyk kawy. Widocznie Zey wciąż próbował wyciągnąć z niego, co tak naprawdę stało się z Fi. Czemu aż tak go to obchodziło? Nigdy nie interesował się zbyt klonami, poza tym teoretycznym aspektem, tak typowym dla Jedi. Skirata postanowił go zaskoczyć szokującą wiadomością - tylko po to, żeby mu udowodnić, że nie jest wszechwiedzący.

- Moja córka znikła bez śladu.

Zey zastygł na chwilę w bezruchu, a potem odwrócił się powoli do Skiraty. Z pewnością był zaskoczony i nie czuł potrzeby, żeby to ukrywać.

- Nie wiedziałem, że masz córkę - zdziwił się. - Przykro mi. Czy możemy ci jakoś pomóc?

- Kiedy powiedziałem „bez śladu”, miałem na myśli, że prawdopodobnie nie chce zostać odnaleziona - wyjaśnił gładko Skirata, ciesząc się w duchu małym zwycięstwem nad Zeyem. - Ruusaan ma ponad trzydzieści lat i potrafi o siebie zadbać.

- Jesteś pewien, że nic jej nie jest?

- Korzystała ze swojej karty identyfikacyjnej niecały miesiąc temu.

- Skąd wiesz?

- Jestem jej ojcem - wyjaśnił z kamienną twarzą - a ojcowie wiedzą takie rzeczy. - Skirata zastanowił się przelotnie, czy wspomnianie Zeyowi, że potrafi włamywać się do ściśle strzeżonych systemów, było aby na pewno dobrym pomysłem. Shab, Zey wiedział, że takich rzeczy wymagała od Zer służba Republice, bo sam je o to czasem prosił... zresztą zwykle w bardzo oględny sposób, żeby w razie potrzeby móc się ze wszystkiego wyłgać. - Po prostu staram się mieć ją na oku, nic poza tym.

- Kiedy wspomniałem o rodzinie, miałem na myśli twojego wnuka - odbił piłeczkę generał. Skirata starał się nie pokazywać z Kadem w pobliżu Zeya w obawie, że Jedi wyczuje wrażliwość małego na Moc. Wolał dmuchać na zimne - nie chciał, żeby dziecko zostało porwane i zindoktrynowane. Na dobrą sprawę nie był nawet pewien, czy plotki na temat związku Etain i Darmana nie dotarły do uszu Zeya. Generał słyszał o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać.

- Kad ma się świetnie - powiedział ostrożnie. - Wszędzie go pełno. To żywe srebro. - Westchnął. - Generale, skończmy już tę bezsensowną pogawędkę i przejdźmy do rzeczy. O co chodzi?

- Departament Skarbu potrzebuje pewnej... szczególnej ekspertyzy. Chciałbym, żeby Zera się tym zajęły.

Żołądek Skiraty fikał koziołka. Całe szczęście, że Besany poinformowała ich o wykryciu szpiegowskiego oprogramowania Jainga. Zey musiał wyczuć jego reakcję poprzez Moc - była zbyt gwałtowna, żeby ją przeoczyć.

- Kal, wiem, że oni zajmują się czym innym, niż powinni - westchnął ciężko Zey. Sierżant również westchnął w myślach, ale z ulgą. Wyglądało na to, że Jedi mylnie zinterpretował jego niepokój. - Wiedz, że cały czas przymykam oko na ich nadprogramowe zajęcia, cokolwiek by robili.

Skirata uznał za bardzo miłe ze strony Mocy, że przekazywała informacje w niezbyt jasnej formie. Etain opisała kiedyś Kalowi, jak to wygląda. Zey wiedział tylko, że sierżant stał się nerwowy na wzmiankę o Zerach albo o Skarbie - i obstawiał to drugie. Ha! To by było na tyle, jeżeli chodzi o mit o wszechwiedzących Jedi, pomyślał Kal z satysfakcją.

- Wiesz, jacy moi chłopcy bywają krnąbrni - powiedział z udawaną troską. - Czego dokładnie od nich oczekujesz?

- Jaing i Mereel to spece od hakowania, zgadza się? Obiło mi się o uszy, że włamali się do kilku systemów Separatystów...

I waszych, dodał w myśli Skirata, głośno zaś powiedział:

- Dobrze ci się obiło.

- Chciałbym, żeby zajęli się wytropieniem pewnego cholernie sprytnego świństwa, które ktoś zainstalował w systemie Skarbu. Kasuje się samo jak tylko nasi informatycy próbują wyizolować kod. Szczerze powiedziawszy, nie wiedzą nawet, jakie szkody wyrządza, ale z całą

pewnością nie powinno go tam być. Wywiad podejrzewa, że możemy mieć gdzieś separatystyczną wtykę.

- Rozumiem - powiedział Kal. - W takim razie skrzyknę ich, żebyś mógł im wydać instrukcje osobiście. Kto badał sprawę wniknięcia do systemu Skarbu? Majają jakieś podejrzenia? - Skirata musiał to wiedzieć. Teraz nie bał się już, że Zey wyczuje jego niepokój, bo był uzasadniony. - To będzie trudna sprawa, nawet dla moich chłopców, ale jestem pewien, że zrobią co w ich mocy.

Mogło być gorzej, pomyślał.

- Departament zamierza przydzielić im własnego człowieka, starszą audytor... Wennen czy jakoś tak - powiedział generał.

A może jednak nie? - zmienił zdanie Skirata.

Czyżby Zey jakimś cudem wszystkiego się dowiedział i zamierzał go teraz szantażować? A przynajmniej sprawiał wrażenie, jakby wiedział...

- Czyli mamy szukać programu szpiegującego i innych podejrzanych rzeczy?

- Dokładnie. Odwołałem drużyny Omega i Delta z Haurgab i to nie tylko z powodu marudzenia generał Tur-Mukan na temat bezsensu prowadzenia działań w tamtym rejonie. Chłopcy zajmowali się już takimi rzeczami i wiedzą, jak tropić komórki terrorystyczne. Wygląda na to, że wywiad był zamieszany w jakieś działania departamentu, które poszły nie do końca zgodnie z planem. Dostałem z biura Kanclerza informację, że chcą, żeby ta robota była wykonana solidnie.

- Miło słyszeć, że darzą moich chłopców zaufaniem.

A więc wszystko jasne. Kal w dodatku wiedział coś jeszcze, o czym Zey nie miał pojęcia: że wywiad wysłał za Besany pechowego agenta, który zaginął bez wieści. Skirata był znany ze swojego paranoicznego usposobienia. Rozważył w myślach kilka potencjalnych scenariuszy sytuacji i już wkrótce miał w głowie taki mętlik, że czuł się, jakby uczestniczył w zabawie karnawałowej w sali luster podczas obchodów Święta Republiki. Czy Zey wiedział o Besany i Jaingu, i chciał go zmusić, żeby przyznał się do winy? A może to wywiad wszystko odkrył i teraz wykorzystywał niczego nieświadomego Zeya jako narzędzie? Przypominało to technikę stosowaną często przez Jallera Obrima - wrabianie podejrzanych o dokonanie masowego morderstwa w konferencję, na której mieli błagać o zwrócenie wolności swoim bliskim. W większości przypadków działało - niewielu było takich, którzy się nie łamali.

Oczywiście zawsze istniała jeszcze szansa, że to tylko zwyczajny przypadek... Jaing i Mereel nie mieli sobie równych, a Besany była starszym śledczym do spraw budżetu obrony. Gdyby separańcy chcieli się dostać do jakichś informacji, z pewnością nie szukaliby danych na temat służb oczyszczania dolnych poziomów Coruscant. No i - zgadza się, Zey miał rację - drużyny Omega i Delta prowadziły wcześniej tajne operacje na Coruscant. Byli jedynymi przydzielanymi do takich zadań komandosami i radzili sobie o niebo lepiej niż te baniec mózdzki z wywiadu. Taki scenariusz wyglądał dosyć realnie, ale wewnętrzny głos podpowiadał Skiracie, że jest to cecha właściwa wszystkim dobrem zasadzkom.

Tak czy inaczej, nie mógł odmówić. Co mu jednak szkodzi troszkę podpuścić Zeya i sprawdzić, co uda się z niego wyciągnąć? Udawanie, że Besany nie wie o Zerach, nie miało sensu. Miała przecież dostęp do operacji dokonywanych przez centralę zamówień WAR.

- Znam Wennen - powiedział ostrożnie. - Badała sprawę jakiegoś tajniaka, którego zdjęli moi chłopcy. Wyszło trochę zamieszania, ale wszystko skończyło się polubownie. Swoją drogą typ kobiety, którą trudno zapomnieć.

- Czyli nie będzie miała nic przeciwko, jeżeli Zera trochę narozrabiają w jej piaskownicy? - Wyglądało na to, że Zey nie przejął się zbyt tym wszystkim. Brzmiał, jakby faktycznie nie



zamierzał zawracać sobie tą sprawą głowy. - Niektórzy cywile nie są zbyt dobrze nastawieni do klonów.

Ta-a, a Jedi to nie? - zadrwił w myślach Kal.

- Dokładnie - przytaknął. - Słyszałem, że Mistrz Vos również nie ma najlepszego zdania o naszych chłopcach. - Niemal zgrzytnął zębami. Nadejdzie taki dzień, kiedy tym aroganckim shabuiere szczęście przestanie w końcu sprzyjać. Zobaczymy, kto się będzie wtedy śmiał. - W porządku, zajmę się wszystkim.

- Naprawdę myślisz o nich jak o „naszych chłopcach“?

Było to jedno z tych idiotycznych pytań, z których zadawania słychać Zey. Skirata nie mógł rozgryźć, czy zadaje je w celach taktycznych, czy może ma tak stresującą pracę, że w jego głowie kłębi się od podobnych dylematów, które wymykały mu się w najdziwniejszych chwilach.

- To moi synowie - powiedział cicho Skirata. I co z tego, że adoptował Zera? To była sprawa Mando, nie aruetiise i Zey, ani nawet sam Palpatine, nie mieli tu nic do gadania. - I jeśli będzie trzeba, oddam za nich życie.

Zey nalał sobie jeszcze kawy.

- To bardzo wzruszające - powiedział, nie patrząc mu w oczy.

- Rozumiem, ile dla ciebie znaczą.

- Nie... nie rozumiesz. Oni naprawdę są moimi synami. Formalnie i legalnie, dziedzicami. Adoptowałem ich zgodnie z mandaloriańskim prawem i zwyczajem.

Teraz Zeyowi z wrażenia naprawdę opadły kute. Zamrugał kilkakrotnie, jakby się przesłyszał. Skirata stwierdził, że wygląda nietęgo - i nie chodziło tylko o jego posturę.

- Cóż, nie ma chyba żadnych przepisów, które tego zabraniają - powiedział w końcu ostrożnie i mrugnął porozumiewawczo.

- A gdyby nawet były... udawałbym, że ich nie znam.

- Cieszę się, że się rozumiemy, sir - powiedział Skirata i wyszedł.

Wracanie do apartamentu okrężną drogą, żeby zatrzeć ślady, weszło mu w krew już do tego stopnia, że nawet się nad tym nie zastanawiał. Zmieniał śmigacze, wybierał mało uczęszczane szlaki powietrzne, a część drogi pokonywał nawet pieszo. Ustawił śmigacz na autopilota i skontaktował się po kolei z każdym Zerem i z Besany. Może Jusik zdąży wrócić na czas z Mandalory? Nie szykowało się jeszcze spotkanie sztabu kryzysowego, ale pewne rzeczy należało pilnie omówić. Musieli się przygotować do ba slan shev'la - ucieczki w stylu mandaloriańskim, a dosłownie zniknięcia bez śladu w celu przegrupowania sił i pojawienia się ponownie w najmniej spodziewanym momencie.

Jednak nie, uznał.

Najwyższy czas, żebym poinformował o wszystkim chłopców z Omegi.

Kogo jeszcze? Komu mógł bez obawy powierzyć tajemnicę bezpiecznej przystani przygotowanej na przyjęcie dezertersów?

Jego myśli pędziły jak oszalałe. Komandosi z Drużyny Omega wiedzieli, że coś się święci, ale nie znali szczegółów poszukiwań leku na przyspieszone starzenie. Skirata nigdy nie wyjawiał im planów ucieczki. Nie miał pojęcia, jak to przyjmą.

A Zey... Kal myślał czasami, że chciałby żywić do niego taką nienawiść jak do większości Jedi, ale nie mógł się oprzeć przekonaniu, że generał tkwił po prostu po uszy w czymś, z czym nie potrafi sobie poradzić pomimo najszczerzych chęci. Był człowiekiem, który nigdy tak naprawdę nie dostał prawa wyboru, podobnie jak klony.

Nie usprawiedliwiaj go, skarcił się w myślach. Jedi potrafią dawać sobie radę. Gdyby chciał, powiedziałby „dość”, tak jak Bard'ika.

Po zmarnowaniu sporej ilości paliwa na kluczenie i zwróceniu uwagi na kilka dodatkowych patroli klonów rozmieszczonych na straży budynków publicznych Skirata wylądował w pobliżu Kraggeta i zrobił sobie spacer do restauracji. Traktował to miejsce jak dom, coś, czego tak naprawdę nie miał przez bardzo długi czas - właściwie nie mógł tym słowem określić nawet żadnej konkretnej planety. Jednak w Kraggecie i apartamencie czuł się niemal tak bezpiecznie jak w Kyrimorut, a może nawet bardziej. W twierdzy na Mandalorze brakowało mu tych wszystkich hałasów, zapachów i zamieszania.

Wszedł do środka i rozejrzał się szybko po wnętrzu w poszukiwaniu osób, których nie znał - był to jeden z licznych mandaloriańskich nawyków, dzięki którym wciąż był cały i zdrowy. Znał wszystkich, z wyjątkiem trzech klientów - dwóch nosiło mundury CSB i wyglądało na zwykłych gliniarzy, którzy wyskoczyli na lunch.

Kapitan Jaller Obrim siedział przy tym stoliku, co zwykle, zajęty talerzem pełnym kawałków mięsa nerfa.

- Coś nie tak? - zapytał, kiedy Skirata podszedł do stolika, żeby się przywitać.
- Widać to po mnie, co?
- Przykro mi, Kal. Jak cholera.
- Zaczyna się robić gorąco. - Skirata wiedział, że może temu mężczyźnie zaufać. Glina niejedną raz łamał przepisy po to, żeby pomóc jemu i jego paczce. - Wiesz o moich planach urlopowych... - zaczął.
- Masz na myśli sporty zimowe? - Obrim wiedział o Kyrimorut, chociaż nie znał jej dokładnego położenia. - Masz już jakiś konkretny termin?
- Niekoniecznie, ale podejrzewam, że nastąpi to szybciej, niż się spodziewałem. Z pewnością przed wielką odwilżą - mruknął.
- Ach, tak?
- Dokładnie.
- Co powiesz na pogawędkę w jakimś spokojniejszym miejscu, Kal? Może mógłbym ci udzielić kilku porad na temat sprzętu narciarskiego...

Rozmowę przerwały im odgłosy sprzeczki i obydwoj odwrócili się w stronę, z której dobiegały podniesione głosy. Wyglądało na to, że jeden z klientów, mężczyzna siedzący przy stoliku w pobliżu drzwi do kuchni, zaczepił Laseemę. Twi'lekanka nadal pracowała jako kelnerka, choć wcale nie musiała. Chyba dopiero co wyszła z kuchni, bo niosła tacę z zamówionymi posiłkami. Zawahała się chwilę, a potem postawiła ją na stole obok.

Do uszu mężczyzny dobiegł strzępek zdania:

- ... hej! Chciałem być po prostu miły! - mówił nieznajomy.
- Wy, Twi'lekaneczki... no wiesz, klienci lubią sobie popatrzeć na wasze...

Mężczyzna który trzymał ręce na stole, nie zdołał dokończyć zdania - Laseema w mgnieniu oka wyciągnęła nie wiadomo skąd nóż i wbiła go w stół z głośnym hukiem, przygważdżając rękaw mężczyzny do blatu. Potem chwyciła go za kołnierz i niemal podniosła z miejsca.

- Słuchaj no, shabuire - wycodziła, mrużąc oczy. - My, Twi'lekaneczki... na pewno nie jesteśmy waszymi zabawkami. Nie jestem tu dla twojej rozrywki i nie jestem na sprzedaż, rozumiano? Ta „Twi'lekaneczka” może ci urznąć gettse.

W absolutnej ciszy, jaka zapadła po tej wymianie zdań, Skirata usłyszał dwie rzeczy: beztrioskie pogwizdywanie dobiegające z kuchni i szcęk kilkunastu odbezpieczanych blasterów. Każdy glina w restauracji wyciągnął i wycelował w mężczyznę swoją broń. Skirata nie był wyjątkiem, działał odruchowo.

- Mówisz o spokojniejszym miejscu? - mruknął w odpowiedzi na propozycję Obrima.
- Synu, sądzę, że czas przenieść się do biura - sapnął Jaller.

- Teraz.

Laseema wyszarpnęła nóż i cofnęła się od stolika, a nieznajomy wstał i w pośpiechu wyszedł, co było chyba najlepszym wyjściem, zważywszy na okoliczności.

- A napiwek? - krzyknęła za nim. - Sknera!

Zabrała tacę i jakby nigdy nic zaczęła roznosić zamówienia. Wszyscy wrócili do jedzenia, picia i rozmów. To miejsce nie było zwyczajną restauracją. Okupowali je niemal wyłącznie przedstawiciele CSB i WAR, i zaczepianie tutejszych kelnerek było niezbyt dobrym pomysłem.

- Kal, muszę powiedzieć, że masz urocze przyszłe synowe — powiedział Obrim, chowając swój blaster do kabury. Wytarł kawałkiem chlebowego palucha sos ze swojego talerza. - Kto by pomyślał, że kiedy ją pierwszy raz spotkałeś, ta dziewczyna była zbyt zahukana, żeby wykrztusić choć słowo - pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Mam wybitny talent do wydobywania ukrytego potencjału - powiedział Skirata z szerokim uśmiechem. - Zobaczymy się później. Klub CSB?

- Za osiemnaście standardowych godzin. Do zobaczenia.

Skirata wstał i ruszył do tylnego wyjścia, najmniej widocznej drogi do apartamentu. Kiedy mijał Laseemę, Twi'lekanka uśmiechnęła się do niego ciepło. Zatrzymał się, żeby zamienić z nią słówko.

- Besany jest z Kadem - powiedziała, uprzedzając pytanie. - Mały ciągle powtarza „tata”. To jego słowo dnia. Pokazaliśmy mu holowiadomość od Etain. Był naprawdę zachwycony!

- Chciałem tylko zapytać, jak się czujesz...

- Lepiej niż kiedykolwiek, Kal'buir.

- Na pewno? Ten chakaar...

- Nigdy do tej pory nie wolno mi było swobodnie odmówić mężczyźnie. - powiedziała Laseema z błogim uśmiechem, jakby doznała właśnie cudownego objawienia. Skirata dobrze wiedział, przez jakie piekło przechodziły twi'lekańskie dziewczęta z ubogich rodzin. Były masowo wystawiane na sprzedaż i nikt nie kiwnął nawet palcem, żeby ukrócić ten proceder. - To... wspaniałe uczucie.

Skirata nosił się z zamiarem zaproponowania jej krótkiego kursu samoobrony, ale wyglądało na to, że Atin go uprzedził. Nie pierwszy raz zastanawiał się, dlaczego wciąż walczył za Republikę, biorąc pod uwagę, jak bardzo była zepsuta i skorumpowana.

Jeżeli nawet Zey i jego kompani z Zakonu uważali Grievousa za złego do szpiku kości, to najwyraźniej patrzyli przez palce na sprawki Republiki, w których zresztą sami brali udział.

- Już niedługo - szepnął. - Przed końcem roku nie będzie tu po nas śladu. Głowa do góry, ad'ika. Dziś wieczór wszystko zaplanują. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będą mieli bardzo mało czasu, żeby zniknąć.

Pomyślał, że tak naprawdę nie liczy się, kto wygra w tej wojnie. Najważniejsze, żeby zdołał wyrwać z jej szponów osoby, które kochał.

Stacja kosmiczna Nerrif, Środkowe Rubieże, 996 dni po Bitwie o Geonosis

- Nalegam - powiedział Corr - żebyśmy natychmiast po przybyciu na Coruscant postawili szefów zaopatrzenia, wywiad, komitet obrony i tego zaplutego mir'shebs Palpatine'a pod ścianą i dali im wszystkim powąchać lufy naszych dece.

Ich transportowiec czekał na lądowanie na stacji Nerrif, zachowując odległość trzech kilometrów od innych statków w kolejce do zejścia do hangaru. Niner zmienił pozycję. Siedział z rękami założonymi na piersi i wydawał się drzeć. Etain trzymała się na uboczu i obserwowała uważnie członków swojej drużyny. Martwiło ją załamanie Scorcha.

- Mówisz, jakbyś szykował jakiś przewrót - zauważył Niner. - A poza tym chyba zapomniałeś, że klony i ryby głosu nie mają.

Atin poklepał Corra po ramieniu.

- Potrzymam ci kurtkę, Cor'ika - zażartował.
- To głupie. Czysty idiotyzm!

Corr zawsze musiał mieć własne zdanie. Etain szybko się nauczyła, że komandosi są wygadani i lubią narzucać swoje zdanie innym, ale wciąż nie mogła się nadziwić, z jaką łatwością zwykli żołnierze przyzwyczajali się do nowych swobód. Spodziewała się po nich raczej reakcji typowej dla hodowanych w niewoli nun, które nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić na wolności.

Widać białasom, jak nazywali zwykłych żołnierzy komandosi, nie trzeba było wiele, żeby zorientowali się, że mogą dać drapaka, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja.

- Dlaczego głupie? - zapytała. - Nie żebym się z tobą nie zgadzała...
- Masz na myśli poczęstowanie rządowych serią z blastera? - rzucił Corr.
- Cóż, właściwie chodziło mi o krytykę działań wojennych, ale...
- To nie jest teoria wywrotowa - burknął chłopak. Wyglądało na to, że ma pretensję do Ninera. - Mówię o instrukcjach awaryjnych. Skoro oni nie stosują się do zasad, my również możemy ich olać. A nawet wypowiedzieć im posłuszeństwo.

Etain nie przejmowała się zbyt jego pretensjami, ale była ciekawa spostrzeżeń z Haurgabu.

- Naprawdę tak sądzisz?
- Cor'ika, mamy sto pięćdziesiąt szabla instrukcji postępowania awaryjnego, regulujących wszystko, co się da, począwszy od aresztowania Kanclerza, jeżeli zacznie mu odbijać, po wykluczanie głównych sprzymierzeńców, gdyby odwrócili się do nas... plecami - burknął Atin. - Włącznie z wystrzelaniem wszystkich Jedi, jeżeli przejdą do obozu wroga. Co nie oznacza, że masz się do nich teraz stosować.

- Daj spokój, Corr - poparła Atina Etain. Instrukcje postępowania w sytuacji awaryjnej dotyczyły listy najgorszych scenariuszy i nie miała ochoty ponownie wysłuchiwać ich wszystkich. - Odpukaj w niemalowane.

- Cóż, jeżeli chcesz, żeby ludzie z Haurgabu nas kochali, na pewno nie możesz wysyłać służb do zadań specjalnych i kazać im wysadzać osik w powietrze, tym bardziej że ichni rząd w niczym nie ustępuje tym, których uważamy za naszych wrogów. Trzeba im raczej Korpusu Rolniczego i kilku inżynierów. Jestem pewien, że gdyby zapewnić im stały dostęp do wody i zadbać o uprawy, natychmiast by się uspokoili - upierał się Corr.

- Otóż to - stwierdził Atin. - Czy w ogóle próbowaliśmy czegoś innego niż przemoc? Kiedykolwiek? Skończy się tak, że roześlą nas na jeszcze więcej frontów i będziemy rozrzućeni po całej mapie. Nie wierzycie mi? To zerknijcie sobie na plan rozmieszczenia sił. Dajcie to na holorzutnik, taki jak ten, który mają w kwaterze głównej. Spójrzcie no tylko. - Włączył swój holoprojektor i ciasną kabinę wypełniła siatka linii, poprzetykana punktami planet w trzech kolorach: czerwony oznaczał sojuszników, niebieski - wrogów, a żółty - tereny neutralne. Po chwili klon skonfigurował klasyfikację kryteriów i schemat zmienił się nie do poznania. Czerwone plamki oznaczały teraz punkty rozmieszczenia dowodzących klonami Jedi, a fioletowe znaczniki wskazywały dowódców spoza Zakonu, mieszańców - jak nazywały ich klony. Obszary zieleni odpowiadały terenom obsadzonym ich siłami. Całość wyglądała bardzo chaotycznie; najgęściej nakrapianym terenem były Zewnętrzne i Środkowe Rubieże.

- Oto, co nas wykańcza - powiedział cicho Atin. - Wiem, że na początku wszystko szło jak z płatka, ale obawiam się, że koniec jest bliski. Gdybyśmy skupili się na jednym strategicznym celu naraz i naprawdę dalibyśmy czadu przed zajęciem kolejnej pozycji, już dawno byśmy wygrali tę wojnę.

- Albo przegrali - wtrąciła cicho Etain. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jej stronę, czuła to, chociaż nie mogła widzieć spojrzeń za wizjerami hełmów. - Chcę przez to tylko powiedzieć, że nic nie jest przesądzone.

- Ta-a, może nawet separańcy zrobiliby lepszy porządek - parsknął Corr.

- Wiem, że to nie wygląda za dobrze - dodała łagodnie Jedi.

- Jest tak marnie, że wydaje się, jakby próbowali rozproszyć wszystkie siły, możliwie najbardziej, nie mówiąc już o przydzielaniu wsparcia.

Racja, nie wyglądało to zbyt różowo. Chociaż w gruncie rzeczy nigdy tak nie było. Etain nie obchodziło w tej chwili nic poza tym, żeby jej chłopcy - posługując się określeniem Skiraty, które naturalnie przyswoiła - wyszli z tej kabały żywi. Pomyślała o komandorze Levecie, Beku i Venie - nigdy o nich nie zapomniała - i przypomniała sobie, żeby sprawdzić, czy ten ostatni przeżył oraz jak się miewa Levet. Podczas misji na Qiilurze wspominał, że podoba mu się pomysł prowadzenia gospodarstwa.

Klony nie miały problemu z dostosowaniem się do nowych realiów, tak innych od narzucanych im norm, a kiedy już do nich przywykły, nie traktowały ich z radosnym brakiem krytycyzmu.

Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego generał Kenobi wyrażał się o nich jak dumny właściciel sfory psów akk. Brało się to stąd, że nie potrafił się przyznać, nawet sam przed sobą iż Zakon realizuje politykę będącą zupełnym przeciwieństwem zasad, którymi Jedi kierowali się przez wieki; nie potrafił zauważyć, że to, co

robią, jest na wskroś złe. Cóż, on przynajmniej pamiętał ich imiona, w przeciwieństwie do generała Vosa. Etain pomyślała, że coraz trudniej jest się jej pogodzić ze stanowiskiem innych Jedi. Odnosiła wrażenie, że Zakon chylił się ku upadkowi; naginając zasady, które przez wieki pozostały niezmiennie, sam się ogranicza wyssanymi z palca historiami na temat mistycznych, niewidocznych dla oczu śmiertelników tajemnic, a nie dostrzega własnego moralnego zepsucia. Mistrz Altis z pewnością również to zauważył, pomyślała.

Pomyślała o tych Jedi, tak bardzo innych od członków jej Zakonu, którzy przybyli im na pomoc, na przykład Calliście; o tych, którzy mieli rodziny i żyli poza Świątynią szczęśliwi bez zasad narzucanych im przez Radę. Zakon uważał odszczepieńczy grupę Altisa za niebezpieczną jednak przy całej ich herezji nie byli w najmniejszym nawet stopniu skażeni Ciemną Stroną.

To właśnie dlatego poprosiła Callistę o spotkanie. Musiała istnieć trzecia droga.

- Przygotować się do lądowania - rozległ się w interkomie głos pilota. - Jesteście po służbie w przeciwieństwie do mnie, parszywce.

- Pysznic, jeść, spać - westchnął Darman.

- Jeść, pysznic, spać - poprawił go Atin.

- Spać - mruknął Niner. - A potem jeszcze spać.

Wszyscy spojrzeli na Corra.

- Gwałtowna rewolucja, a potem ustanowienie junty - wypalił z szerokim uśmiechem. Etain uniosła brwi, nie do końca pewna, czy on żartuje, ale też się roześmiała. - Albo pokażna taca pasztecików z robą - dodał komandos. - Nie mam zbyt wygórowanych wymagań.

Transportowiec opadł na pokład, a kiedy osiadał na amortyzatorach, kadłubem lekko zatrzęsło.

Etain wyszła na zewnątrz | cofnęła się o krok, żeby sprawdzić, czy drużyny Omega, Delta i Vevut są w pełnym składzie. Tych ostatnich szkoliła Rav Bralor - i było to widać. Zachowywali się jak synowie pragnący za wszelką cenę przypodobać się matce.

- Pani generał, trzeba panią nakarmić i napoić - odezwał się Dec, ich sierżant, patrząc w stronę mesy. - Niewiele pani wskóra bez wrzucenia na ruszt porządnego skraan.

~ Dołączę do was później - obiecała, spoglądając na chronometr. - Za dwie standardowe godziny, pomost zmiany warty,

zrobimy odprawę. Tymczasem odpocznijcie, możecie nawet napić się ale.

- Kiedy wylatujemy? - zapytał Darman.

- Jutro.

- Świetnie.

- Powiedziałam Zeyowi, że jeden dzień go nie zbawi, więc chcę, żebyście się porządnie wyspali.

Dar uśmiechnął się do niej szeroko.

- Tak jest, pani generał!

- Snu na wojnie nigdy za wiele. Aha, chciałabym z tobą porozmawiać później na osobności.

- Jeżeli to konieczne... - Darman wzruszył ramionami. - Nie mam nic do ukrycia.

- To sprawa osobista - powiedziała z naciskiem. - Naprawdę osobista.

Uśmiech na chwilę zastygł Darmanowi na ustach, a kiedy komandos odezwał się ponownie, w jego głosie słychać było lekkie napięcie.

- W porządku. Czy mam się wcześniej znieczulić kilkoma ale?

- Niekoniecznie. - Och, fiefek\ Z pewnością ci się to przyda, powiedziała do niego w myślach. - I tak za nim nie przepadasz.

Etain odwróciła się na pięcie i odeszła pośpiesznie. Nie chciała, żeby wiadomość, którą musiała mu przekazać, ze zdenerwowania wyrwała jej się tutaj, przy licznych świadkach. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była połowa galaktyki trąbiąca o tym, że generał Jedi ma dziecko. Potrzeba pozbycia się ciężaru paliła jej duszę żywym ogniem. Im dłużej będzie ukrywała przed Darmanem, że mają syna, tym będzie gorzej.

Zrobiła błąd. To wszystko była jej wina. Ale z drugiej strony skoro istniał system, który stawiał dwoje ludzi w takim położeniu, musiało być z nim coś nie w porządku.

Znalazła Callistę na pokładzie medycznym piętro niżej.

- Przepraszam, że w takim miejscu, pani generał, ale staram się robić, co mogę.

Etain domyśliła się, że młoda Jedi ma na myśli pomoc medyczną.

- Uzdrawianie?

- Nie jestem specjalistką, ale próbuję. Mogę przynajmniej troszeczkę wpłynąć na ich umysły, żeby podbudować ich morale.

- Pytałaś, czy tego chcą? Callista wyglądała na lekko urażoną.

- Oczywiście, że tak.

- Oczywiście - powtórzyła Etain. Potrzebowała rozmowy z kimś, kto nie będzie ciskał na nią gromów z powodu jej postępowania i próbował ją nawrócić. - Poprosiłam cię o spotkanie, bo chcę z tobą porozmawiać o waszej „ciut odmiennej filozofii”, jak to ujęłaś.

- Coś mi mówi, że nie zamierzasz mi prawić morałów...

Kobiety patrzyły na siebie przez chwilę w milczeniu, badając ostrożnie swoje aury poprzez Moc.

- Nie... raczej nie zamierzam - odezwała się w końcu Etain. - Obawiam się, że nie jestem wzorem cnót Zakonu.

No, dalej, wyrzuć to z siebie! - krzychało w niej coś.

- Mam dziecko, o którym nie wiedzą, i... kochanka. Wciąż jestem na służbie, ale nie potrafię tak dłużej żyć. Zanim kompletnie odetnę się od dotychczasowego życia, chciałabym... się dowiedzieć, czy nie mogę tego w jakiś sposób pogodzić.

Callista położyła jej dłoń na ramieniu.

- Chcesz się do nas przyłączyć? Wiesz, co się stanie, jeżeli się na to zdecydujesz. Nasza grupa jest traktowana jak stuknięty krewny, o którym się nie rozmawia.

- Czy przyjęlibyście mnie do siebie? Czego właściwie oczekujecie od waszych członków?
- Na pewno nie mielibyśmy nic przeciwko twojej rodzinie. Nie można żyć w kłamstwie.
- A ty... czy masz kogoś?
- Tak - odparła Callista z uśmiechem. - Jak można żyć, odrzucając jedną z najpiękniejszych rzeczy danych żywym istotom?

Etain zastanawiała się, jak czułby się w takiej społeczności Darman: niewrażliwy na Moc, sam pośród Jedi. Nagle dotarło do niej, że właśnie podejmuje za niego kolejną decyzję, usiłuje kierować jego życiem i zakłada, że wie lepiej - tak samo, jak kiedy postanowiła urodzić jego dziecko.

- A gdybym zdecydowała do was dołączyć... musielibyśmy żyć pośród was? - zapytała. Callista przechyliła głowę, jakby źle usłyszała i cały pomysł nagle przestał się wydawać Etain tak atrakcyjny. Nie mogła liczyć na to, że będzie Jedi na pół etatu, wpadającym od czasu do czasu powiedzieć grupie mistrza Altisa „cześć” i odwalić jakąś Jedi-robotę.

- Nie mam wpływu na miejsce przydziału ojca mojego dziecka... - zaczęła się tłumaczyć. Callista wyglądała na zaskoczoną jej pytaniem.

- Porozmawiam z mistrzem Altisem, ale nie wyobrażam sobie, żeby miał ci odmówić, gdybyś chciała do nas dołączyć - nieważne, na jak długo.

Etain było głupio, że Altis i jego ludzie zgodzili się walczyć u boku Zakonu, kiedy był w potrzebie, skoro przez resztę czasu się ich wypierał. Przeróżające było to, że Jedi - jej Jedi - nie mieli nic przeciwko przyjęciu tej pomocy, bo tak im akurat pasowało. To była hipokryzja. Zdała sobie sprawę, że zaczyna się buntować tak samo jak Jusik.

- Któregoś dnia chętnie do was wpadnę - powiedziała. Jeszcze kilka tygodni, obiecała sobie, tylko żeby się upewnić, że nie chce dłużej kroczyć ścieżką Jedi. - O ile oczywiście mnie przyjmiecie...

- To smutne - stwierdziła Callista.

- Co takiego?

- Że wy i wam podobni cierpicie z powodu naturalnych, ludzkich odruchów. Mistrz Altis mówi, że Zakon ze wspólnoty duchowej przekształcił się w coś w rodzaju korporacji, w której panują surowe przepisy, regulujące infrastrukturę pod rządami komitetu. Mówi, że potwierdza to też fakt, iż Zakon zapomniał o swojej głównej misji, którą było po prostu niesienie pomocy potrzebującym.

Etain pomyślała o Świątyni, przepastnych archiwach, drogim wyposażeniu i pozornie nieograniczonym budżecie. Musiała przyznać, że rzeczywiście gdzieś po drodze zatracono w tym wszystkim pierwotny sens istnienia Zakonu.

- Chciałabym móc powiedzieć, że to chwilowy kryzys - westchnęła Etain, pragnąc zakończyć tę rozmowę, zanim coś w niej pęknie i wyleje przed tą kobietą wszystkie swoje żale i frustrację - ale obawiam się, że rzeczywiście się staczamy.

Callista pokiwała smutno głową.

- Odwiedź nas kiedyś ze swoim małym - zaproponowała. -Będzie nam bardzo miło was gościć.

W drodze powrotnej do mesy na głównym pokładzie Etain zastanawiała się, czy rzeczywiście wspomniała, że ma syna. Może nie miało to znaczenia i Callista powiedziała tak bez zastanowienia. .. a może była na tyle wrażliwa na Moc, że zdołała to wyczuć?

Etain zatęskniła nagle za Darem. Nerrif była potężną stacją

- służyła jako platforma lądownicza i baza zaopatrzeniowa dla jednej czwartej Środkowych Rubieży - i kiedy Jedi w końcu dotarła do mesy, Drużyny Omega już tam nie było. Pokład był

pełen obcych istot, w większości żołnierzy klonów; tu i ówdzie dało się dostrzec szare mundury oficerów i padawanów Jedi. Kiedy sięgnęła ku Darmanowi poprzez Moc, wyczuła jego spokojną, wytłumioną obecność niemal natychmiast. Zawsze była taka sama

- do tego stopnia, że czasem Etain nie umiała zgadnąć, czy Dar śpi, czy czuwa. Sięgnęła po komunikator i nawiązała połączenie. Odebrał dopiero po kilku sygnałach.

- Dar, gdzie jesteś?

- Odświeżacze na pokładzie K.

- Android steward zakwaterował mnie w apartamentach oficerskich - powiedziała. - Nie żebym o to prosiła... To prywatna kabina, nie sala zbiorowa. Numer siedemnaście-sześćdziesiąt jeden, pokład N. Będę na ciebie czekać.

- Też się za tobą stęskniłem - powiedział Darman dziwnie ochrypłym głosem.

Etain była przygotowana na to, że może źle ją zrozumieć. Biedny Dar, pomyślała. Liczył pewnie na kilka miłych chwil sam na sam... ale z pewnością nie spodziewał się największego szoku w swoim krótkim życiu. Musiała działać ostrożnie. - Najpierw rozmowa - powiedziała do mikrofonu. - Potem przyjemności, zgoda?

- Umowa stoi.

Wróciła do swojej kajuty i postanowiła trochę pomedytować. Bycie Jedi wymagało utrzymywania się w dobrej formie - tak fizycznej, jak i psychicznej. Wiedziała, że jeśli przestanie ćwiczyć, jej zdolności osłabną. Ostatnio spędzała większość czasu w towarzystwie zwykłych ludzi i rzadko znajdowała czas na medytację. Nawet jej zdolności telekinetyczne wymagały podreperowania. Jej obowiązki nie polegały już głównie na walce. Musiała wziąć się w garść, chociażby po to, żeby w razie potrzeby przetrwać w trudnych warunkach.

Wyczuła obecność Darmana na długo, zanim zapukał do drzwi. Przynajmniej tę jedną umiejętność ćwiczy regularnie, pomyślała ponuro. Aura Dara w Mocy była przedziwnie niewinna - nie

przypominała już co prawda dziecięcej naiwności, która zmyliła ją za pierwszym razem, wtedy, na Qiilurze, a niezmacony optymizm nieco przygasł, ale wciąż stanowiła ostry kontrast dla mrocznego ducha gniewu i determinacji otaczających Skiratę.

A Scorch... mimowolnie przypomniała sobie uspijony wulkan strachu i nienawiści, którego wybuch stłumiła w Hadde. Miała nadzieję, że Moc uchroni Darmana przed czymś takim. Wojna dotykała nawet ich, chociaż byli najlepsi, wybrani, stworzeni z myślą o całkowitej odporności na stres.

- Et'ika?

- Dziesięć na dziesięć za orientację w terenie. Wchodź, szybko. - Nie wyczuwała w pobliżu niczyjej obecności, ale wołała dmuchać na zimne. Nie chciała, żeby ktoś zauważył znikającego w kabinie oficerskiej klona. - Jadłeś coś?

- Straciłem tytuł mistrza GAR za wciągnięcie dziesięciu kiełbasek roba i wypicie pół litra kawy - powiedział, kładąc swój karabin i hełm na górnej koi. Kajuta była ciasna, z rodzaju tych, w których kabiny przyszniców wysuwały się ze ścian. - Corr pobił mój rekord - poskarżył się. - Ten gość to chodzący sarlacc. Nadal jednak jestem mistrzem całej brygady do tajnych operacji w jedzeniu ciasta z niezidentyfikowaną owocową breją. Wciąż możesz być ze mnie dumna, Et'ika - wyznał z rozbajającym uśmiechem.

To tylko pogorszyło sprawę; Etain czuła promieniujące z niego bezgraniczne zaufanie, a jej piers przytłaczał ogromny ciężar. Będzie go błagać o wybaczenie. Powie mu... jednak najpierw musiała go na to jakoś przygotować.

- Wiesz, że lubię Corra - zaczęła. - Naprawdę. - To niesamowite, jak bardzo bierze to wszystko do siebie. Ma naprawdę przenikliwy umysł, Powiedziałabym nawet... wywrotowy.



Dar zdjął plecak i zabrał się do ściągania części pancerza. Położył ostrożnie ochraniacze koło hełmu. Uwolnienie się z pancerza

i pozbycie ekwipunku, w jaki wyposażano komandosów Republiki, nie było wcale łatwe.

- Tak... - mruknął gorzko. - My, proste klony, umieć nawet liczyć i my być szczęśliwe takie głupie, tak jest, sir! Hop-hop, z linii produkcyjnej i mykusiem na strzelnicę, bo i tak nic nie czujemy...

Etain ścisnęło się serce. Nie miała zamiaru go urazić... Chciała po prostu dać mu do zrozumienia, jak bardzo podziwia ich zdolność opierania się indoktrynacji, która miała ich przekonać, że jedynym ich celem było oddanie życia w służbie Republice.

- Dar! - zawołała. - Jak możesz?! Wiesz chyba, że nigdy przez myśl by mi nie przeszło coś równie ohydneho! - Złapała go za rękę. - Wiesz o tym, prawda? Nie jestem hipokrytką. Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Wiem. Przepraszam. Nie chciałem. Po prostu jestem trochę... zdenerwowany.

Darman był zwykle istnym wcieleniem spokoju, a więc w mesie musiało wydarzyć się coś nieprzyjemnego. Któryś z oficerów, mieszańców, palnął pewnie coś głupiego... Kiedy Etain się dowie, kto to był... Jeżeli się okaże, że to któryś z Jedi... cóż, wtedy pójdzie prosto do niego i powie mu do słuchu kilka rzeczy bardzo nie w stylu Jedi.

Teraz jednak czekało ją inne, trudne zadanie.

- Dar, kochanie... wiesz, że cię kocham... - powiedziała, f - Stało się coś złego, prawda?

- Nie... nie do końca.

- Sierżant Kal zawsze tak zaczyna rozmowę, jeśli chce nas za coś obsztorcować: „Wiecie, że was kocham, chłopaki, ale żeby mi to było ostatni raz”. Ale on nas naprawdę kocha, więc nie ma sprawy.

Etain wiedziała teraz, czemu Jedi - jej Zakon - obawiał się konsekwencji zawierania związków. W tej chwili była tak roztrzęsiona, że nie potrafiła wziąć się w garść i przywołać do porządku. Co by było, gdyby miała w takim stanie dowodzić żołnierzami? Miłość zaślepiała, nie pozwalała trzeźwo myśleć. Nie zamieniłaby jej jednak na nic innego, nie wyłączając szansy na przeżycie w chwili śmierci. To uczucie było dla niej świętością.

- Dar, posłuchaj mnie uważnie. - Poglaskała czule jego dłoń. Tak naprawdę miała ochotę chwycić go za ramiona i odwrócić w swoją stronę, ale była za niska. - Dar, muszę ci coś wyznać... coś, co powinnam była ci powiedzieć już dawno temu. Proszę, nie miej mi tego za złe, choć zrozumieć, jeśli będziesz na mnie wściekły.

To go w końcu otrzeźwiło. Przyjrzał się jej uważnie.

- Chodzi o Mereela?

- Co takiego?

- Kiedy ja... kiedy mnie nie ma?

Przez chwilę Etain nie mogła wyjść z osłupienia.

- Fierfek, Dar! Co też ci przyszło do głowy! - wykrzyknęła. -Nie, nic podobnego! Nigdy, przenigdy nie zrobiłabym ci czegoś takiego.

Przerabiała to już tyle razy... tyle razy docierała do tego punktu i tym razem nie było inaczej: znowu się wahała. Była na granicy łez. Zrób to, nakazała sobie w myślach. Powiedz mu! W tej chwili. Stang, jak mógł pomyśleć, że go zdradzała?!

- Dar... wtedy, kiedy zniknęłam na Qiilurze na pięć miesięcy... byłam w ciąży. Urodziłam dziecko.

Miała wrażenie, że te słowa zawisły w powietrzu między nimi, prawie namacalne. Żyły własnym życiem, nabrzały potencjałem i nagle przerażająco rzeczywiste. Nigdy wcześniej Kad nie wydawał jej się bardziej drogi, prawdziwy, jej, chociaż w tej chwili dzieliły ich całe lata świetlne.

Darman stał bez ruchu i patrzył na nią niepewnie. Czują go poprzez Moc: był zupełnie otepiały. Wyglądał, jakby nie docierało do niego znaczenie słów.

- Słucham?

Pomyślała, że pewnie użyła złego sformułowania. Powiedziała „urodziłam dziecko”, bo było to pierwsze, co jej przyszło do głowy. Darman ruszał przez chwilę ustami, jakby próbował coś powiedzieć, ale nagle zapomniał, jak to się robi. Patrzył jej prosto w oczy, ale wydawał się tak obcy... Między nimi otworzyła się nagle głęboka przepaść.

- Czy ono... umarło? - wykrztusił w końcu. - Och, Et'ika...

Nie spodziewała się tego. Zupełnie się nie zrozumieli. Dlaczego zasugerował się czasem przeszłym? Nawet nie zapytał, czy dziecko było jego. Miała wrażenie, że nie powiązał w ogóle tego faktu z tym, że byli razem.

Cóż, nie spodziewała się takiej reakcji.

- Nie, Dar. Ma się bardzo dobrze. Jest piękny. Jest twój. Jest... nasz.

Chłopak wpatrywał się w nią bez słowa. Oddychał szybko przez otwarte usta jak ktoś, kto ma zamiar kichnąć. Nawet poprzez Moc Etain nie potrafiła stwierdzić, co czuje. Sprawiał wrażenie krańcowo przerażonego. Wiedziała, że ta wiadomość go zaskoczy, ale wyglądało na to, że dosłownie ścięła go z nóg.

- Nie powiedziałaś mi... - odezwał się w końcu. - Dlaczego nie chciałaś, żebym wiedział? Cóż, w rzeczywistości było dużo gorzej. Czy powinna była mu powiedzieć, że zrobiła to umyślnie? Tak, uznała; powinna, ponieważ nie chciała dłużej żyć w kłamstwie. On i Kad byli jej całym światem. Nie mogła nic przed nim taić.

- Wiedziałam, że jeżeli ci powiem o ciąży, będziesz się martwić... a na froncie i tak masz wystarczająco dużo trosk. - Nie było sensu mu mówić, że to była decyzja Skiraty. Oszukiwała Darmana od samego początku, planując zająć w ciąży i wprowadzając go w błąd, że nie powinien sobie tym zawracać głowy. To była jej wina i nie zamierzała uchylać się przed konsekwencjami.

- Apotem... trudno mi było znaleźć odpowiedni moment. Bałam się, że Zakon dowie się o wszystkim, że mnie wyrzucą albo, co gorsza, będą chcieli odebrać mi Kada...

- To... on tak ma na imię? - wszedł jej w słowo Dar.

- Tak. Kad. Nazwałam go najpierw Venku, ale potem któregoś dnia powiedziałaś, że podoba ci się imię Kad, pamiętasz? To było wtedy, kiedy... - urwała w pół słowa. Przypomniała sobie, kiedy ta rozmowa miała miejsce i natychmiast pożałowała, że w ogóle o tym wspomniała. Wiedziała, że burza nadchodzi nieuchronnie. - Rozmawialiśmy o imionach - dokończyła cicho. Darman miał doskonałą pamięć. Może nie ejdetyczną, jak usprawniona pamięć Zer, ale naprawdę świetną. „Kiedy” - słowo dźwięczało jej w uszach. Kiedy Skirata przedstawił Kada drużynie jako swojego wnuka, dokończyła w myślach. Więc teraz wpakowała również Kal'buirę...

- To był mój syn - powiedział Dar tak cicho, że Etain ledwie go słyszała. Był zupełnie oszołomiony. - Mój syn - powtórzył do siebie.

- Już dobrze, Dar. - Spróbowała oburącz uścisnąć jego dłoń, ale nie odwzajemnił gestu. Bała się go przytulić, chociaż tak naprawdę nie wiedziała dlaczego. Wyglądał, jakby łąda chwila miał wybuchnąć. - Wszystko będzie dobrze, Dar - powiedziała. - Przepraszam. Tak mi przykro, naprawdę... Wybaczysz mi? Wiem, że źle zrobiłam, ale tak bardzo chciałam, żebyś miał syna, żebyś miał jakąś... przyszłość. Tego właśnie pragną Mandalorianie, prawda? Mieć dzieci...

Do Darmana nie dotarło chyba, że zrobiła to z rozmysłem i pomogła sobie Mocą ale teraz już i tak nie miało to znaczenia. Cofnął się o krok, powoli unióś złączone dłonie i zakrył twarz.

- Dar?

Na dźwięk swojego imienia wyprostował się i opuścił swobodnie ramiona.

- Czy tylko ja o tym nie wiedziałem? - Wyglądał, jakby próbował sobie przypomnieć całą rozmowę tamtego feralnego dnia, kiedy wszyscy zgromadzili się w apartamencie Besany i podziwiali nowego członka rodziny Skiraty. Kal nawet zaadoptował go wtedy w ten prosty mandaloriański sposób. A Darman powiedział jej, że nie jest gotów być ojcem... Jeżeli pamiętał to wszystko, musiał mieć teraz w głowie potworny mętlik. A jednak nie wyczuwała nic, tylko pustkę. - Etain, czy naprawdę wiedzieli wszyscy oprócz mnie?

- Nie. Tylko ci, którzy musieli... dla dobra Kada.

Chłopak spojrział niewidzącym wzrokiem na kobietę i zaczął zabierać części swojej zbroi.

- A więc wszyscy oprócz mnie i drużyny.

Etain ufała mu i wiedziała, że nigdy w życiu by jej nie skrzywdził, ale w tej chwili czuła przed nim niewytłumaczalny strach. Przerazała ją ta cisza - i to zarówno jego milczenie, jak i brak emanacji w Mocy. Majstrował nieporadnie przy swoim hełmie, ale w końcu dał za wygraną i zamiast go uszczelnić, wsadził sobie pod pachę.

- Dar, kiedy będziesz gotów o tym rozmawiać... - zaczęła.

Odwrócił się do niej plecami.

- Muszę się po prostu chwilę przejść - powiedział nieswoim głosem. - Pozbierać myśli.

Słuchała jego kroków na korytarzu, dopóki nie ucichły, a potem sięgnęła po komunikator, żeby zadzwonić do Skiraty i powiedzieć mu, co właśnie zrobiła.

## ROZDZIAŁ 8

Oczywiście, że klony cierpią. Dlaczego miałyby być inaczej? Walczą w tej wojnie bez przerwy już ponad dwa lata - a czasy są naprawdę ciężkie. Stres na wojnie jest rzeczą nieuniknioną.

Gdyby WAR składała się ze zwykłych ludzi, teraz nie mielibyśmy kogo wysłać do walki. Klony są ulepszoną wersją człowieka

- tylko dwa procent populacji szczyty się taką odpornością, elastycznością i hartem ducha, jak ci żołnierze. Ale jeśli dawać

im dzień w dzień wycisk bez żadnej taryfy ulgowej, pozbawić snu, wsparcia i nadziei, nawet oni w końcu się załamują.

Dr Mij Gilamar, Cuy'val Dar i doradca medyczny brygady do zadań specjalnych w odpowiedzi na oświadczenie Departamentu Obrony Republiki, jakoby żołnierze klony mieli nie odczuwać stresu jak inni ludzie, ponieważ nie znają innego życia i zostali do tego stworzeni

Pokład tranzytowy N, WAR, stacja kosmiczna Nerriif, godzina 19.10 standardowego czasu galaktycznego, 996 dni po Bitwie o Geonosis

Darman nigdy do tej pory nie był tak wdzięczny za to błogosławieństwo - szczelny hełm. Mógł krzyknąć ile dusza zapagnie na oczach innych żołnierzy, ale dopóki się nie ruszał, nikt by się tego nie domyślił.

W tymczasowych koszarach nie istniało pojęcie prywatności. Drużyna Omega tłoczyła się w otwartej kabinie z czterema kojami. Komuś z zewnątrz mogli się wydawać wcieleniem spokoju, ale wnętrza ich buy'cese były odosobnioną przestrzenią, w której toczyła się właśnie bolesna rozmowa. Jedyłą niedogodnością był fakt, że musieli panować nad językiem ciała, ale tę umiejętność każdy z klonów przyswajał od chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że może wycofać się do środka swojej zbroi i uczynić z niej sanktuarium, do którego Kaminoanie nie mieli wstępu. Darman zastanawiał się, ilu generałów Jedi domyślało się, że popularne „przyjąłem...” było niczym innym niż komentarzem wymienianym między braćmi na prywatnych łączach poza zasięgiem słuchu oficerów.

- Shab, Dar... co teraz? - spytał Atin.

- Nie wiem. - W ciągu ostatniej godziny Darman nie wymyślił zbyt wiele. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy tak naprawdę był zły. Przypominało to stan, jaki ogarnął go po śmierci Jaya, Vina i Talera - niedowierzanie, szok, ciężar w piersi i zupełna niemożność trzeźwego myślenia. - Nie mam pojęcia.

- Przecież nie musi nic robić - odezwał się Niner tym rzeczowym, poważnym tonem sierżanta próbującego podtrzymać morale swojej drużyny podczas kryzysu. - Jaki niby ma wybór? Dziecko to dziecko, to fakt. Z pewnością ma się doskonale. Nie ma żadnych przepisów, które zabraniałyby mu być ojcem. A Etain chyba nie zamierza wytoczyć mu procesu o alimenty. A więc wszystko, co musi zrobić, to pogodzić się z faktem, że urodziła jego kriffing dziecko i nie mu o tym nie powiedziała.

- Czyli nic specjalnego - skwitował Atin, zakładając ręce na piersi. Był to dobry sposób na powstrzymanie się od gestykulacji, dzięki czemu nie wzbudzało się podejrzeń osób postronnych. -Czuje się po prostu oszukany. Wyliże się.

Corr nie odezwał się do tej pory ani słowem. Na ogół zwykł głośno wyrażać swoje zdanie na najróżniejsze tematy i miał niewyparzoną gębę, ale też wiedział, kiedy należy trzymać ją na kłódkę. Takie zachowanie było bardzo... ludzkie i Dar był mu za to wdzięczny.

Znalazł się w położeniu, o którym nigdy nawet nie śmiał myśleć.

- Kal'buir wiedział...

- Tak, ale mówiłeś, że Etain znalazłaby się po uszy w osik, gdyby Policja Myśli Jedi ją dorwała... - Wyglądało na to, że Niner próbował znaleźć okoliczności łagodzące. - I czy oni przypadkiem nie porywają dzieci Jedi? Miała dobry powód...

Ale teraz mu powiedziała, a Kad nie był wcale narażony na większe ryzyko. Chodziło o to, że dziecko było wrażliwe na Moc, czy jak tam to sobie nazywali. To nie czyniło z niego Jedi. Darmanowi brakowało Jusika i jego zdrowego, trzeźwego toku myślenia. On umiałby mu wszystko wyjaśnić. Z pewnością przedstawiłby Darmanowi sytuację we właściwym świetle i pokazał, że sytuacja ma swoje dobre strony. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że jego pierwszym odruchem nie było - jak zawsze do tej pory - wyzalić się Skiracie.

- Dar... - zaczął ostrożnie Corr. - Czy ty... nie chcesz tego dziecka?

- Oczywiście, że chcę - powiedział bezwiednie Darman. -Nie to, żebym miał coś takiego w planach, ale... ono jest moje. Chodzi mi o to, że jestem teraz czymś więcej niż tylko zwykłym żołnierzem. Sam nie do końca to rozumiem, ale wiem, że to ma znaczenie. Ojcostwo czyni ze mnie kogoś innego.

Normalni ludzie dorastali i przyswajali koncepcję rodziny w sposób naturalny, nawet jeśli sami jej wcześniej nie mieli. Wychowując się w sztucznym środowisku na Kamino, w ciągu wszystkich tych lat, które ukształtowały jego osobowość, Darman nauczył się czegoś niezwykle istotnego: że istniał ktoś taki jak ojciec - i tym właśnie był dla niego Kal Skirata. Owszem, od czasu do czasu widywał Janga Fetta i jego syna, wiedział też, że został stworzony z materiału genetycznego tego mężczyzny, ale nigdy nie czuł z nim takiej więzi jak ze Skiratą. Pod tym względem ludzie nie różnili się zbytnio od innych istot zamieszkujących galaktykę. Mieli wpojona instynktowną potrzebę posiadania i troszczenia się o swoje młode, i klonowanie ani hodowanie w zbiornikach wcale ich tego instynktu nie pozbawiało.

- Założę się, że Ko Sai byłaby zaszokowana, że jej grzeczne, przewidywalne klony mają takie skomplikowane problemy -mruknął Corr. - I pewnie wcale by się to jej nie podobało.

- W takim razie szkoda, że nie żyje. Chciałbym zobaczyć jej reakcję.

Niner zaszczekał nerwowo zębami.

- No cóż, w takim razie możesz chyba zapomnieć o problemach natury technicznej, a my pomożemy ci rozwiązać złe przecucia, jak zwykle. Vode An, co nie?

Tym razem Niner był w błędzie - i to dużym. Darman znalazł się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. I nie chodziło tu tylko o nagłe odkrycie, że jest ojcem. Chodziło o zaufanie. W galaktyce aż roilo się od kłamstw i nawet jego praca wymagała czasem od niego różnych oszustw, ale

dopóki istniała w jego życiu bezpieczna przystań, ktoś, komu bezgranicznie ufał, był w stanie znieść wszystko.

Tym stałym łądem pośród wzburzonego oceanu wojny nie była Etain. Był nim Kal'buir.

- Wiedział... - szepnął Darman. - A mimo to nie powiedział mi...

- Kal? - domyślił się Corr.

- Dlaczego mi nie powiedział?

- Ponieważ wiedział, że się wkurzysz.

- Naprawdę nie mam prawa wiedzieć?! - zapytał rozżalony Dar. — Zawsze powtarzał mi, że mam prawo sam decydować o własnym życiu, aż tu nagle to on wybiera, co jest dla mnie dobre, a co złe?

- Daj mu spokój - wtrącił się Niner. - To nie Kal'buir zaszedł w ciążę, w dodatku zatajona.

- Jak rozumiem, miał ważny powód, żeby mi nie mówić: albo uznał mnie za zbyt głupiego, żebym sobie z tym poradził, albo stwierdził, że ważniejszy jest problem Etain. Bo mam nadzieję, że nie podejrzewał mnie o to, że wszystkim rozgadam?

- Albo - stwierdził sierżant - uznał, że skoro ty i Etain jesteście dorośli, nie będzie mieszał się w wasze sprawy.

To byłoby logiczne rozwiązanie, jak zresztą większość spostrzeżeń Ninera. Nie zmieniało jednak faktu, że Darman był wściekły. Mglisty, bolesny chaos jego uczuć zaczynał formować się w trzy wnioski. Po pierwsze - ludzie, którym ufał i których kochał, nie odwzajemniali jego zaufania; po drugie - nie był teraz pewien, czy może im zaufać, i po trzecie - czuł rozpaczliwą potrzebę zobaczenia swojego dziecka, nawet jeśli nie był do końca pewien, czego oczekuje od niego Etain jako od ojca tego dziecka.

Wiedział jednak, że się tego nauczy. Rozumiał, na czym polegało bycie ojcem. Dotąd sądził, że miał dobry model do naśladowania w Skiracie, ale teraz zaczęły nim targać wątpliwości.

Sprawdził na wyświetlaczu HUD czekające połączenia. Kiedy nie mógł lub nie chciał rozmawiać, dane były przechowywane w formie tekstu, który mógł później przeczytać. Skirata próbował się z nim skontaktować na zabezpieczonym kanale. Etain zostawiła tylko wiadomość, że mieli dotrzeć na Potrójne Zero, Coruscant, Corrie, Pępek Galaktyki - jak zwał, tak zwał, bo nie miało to dla niego teraz znaczenia - o godzinie 06.00 standardowego czasu galaktycznego.

Nie to, że nie chciał się z nimi kontaktować - po prostu nie wiedział, co powiedzieć, nie mówiąc już o tym, jak zareagować na wyjaśnienia.

- Wszystko będzie dobrze, Dar - powiedział Atin łagodnie. -Zobaczysz. To nic nowego.

Blaski i cienie bycia z kobietą. Wiedzielibyśmy dużo lepiej, jak sobie z nimi radzić, gdybyśmy dorastali na Corrie.

Darman cenił sobie zdanie Atina. Niner miał zawsze coś do powiedzenia na każdy temat, ale w przypadku kobiet mógł tylko teoretyzować, a przelotne związki Corra kończyły się z chwilą kiedy opuszczał kolejną planetę, dzięki wpływowi Mereela Z Atinem było jednak inaczej - miał Laseemę i wiedział, przez

co przechodzi Darman, nawet jeśli nie musiał się martwić o to, że nagle dowie się o dziecku - ponieważ po prostu nie było takiej możliwości.

- Żeby wszystko było zawsze takie proste... - westchnął Niner.

Właściwie było. Jednak teraz życie Darmana zostało przewrócone do góry nogami. Zaczynał tęsknić za błogą nieświadomością.

Dorastanie w tempie dwukrotnie szybszym, niż zaplanowała natura, wydawało się teraz znacznie bardziej bolesne, niż sądził. Nie dawało czasu na uodpornienie się na ból serca.

Siłownia koszar kompanii Arca, Coruscant, godzina 6.30, 997 dni po Bitwie o Geonosis

Wydawało się, że Vau jest w swoim żywiole. Scorch nie użyłby w stosunku do takiego starego chakaara, jak jego sierżant, słowa „rozpromieniony”, ale Mandalorianin sprawiał wrażenie, jakby pierwszy raz od długiego czasu coś sprawiało mu radość.

- Wydaje ci się, że to boli? - warknął, przygważdżając nieszczęsnego żołnierza w żelaznym uścisku do podłogi. Di'kut był chyba szalony, że zgłosił się na ochotnika, ale widać nie miał wcześniej do czynienia z Vauem i uznał go za niegroźnego staruszka. Cóż, sierżant nie był pierwszej młodości, jednak z pewnością nie ustępował formą młodzikom, a poza tym doskonale wiedział, jak zadać ból. - Zgadza się, tylko ci się wydaje - orzekł radośnie. - To boli.

Żołnierz zawył. Mówiło to wiele o umiejętnościach Vaua, bo niełatwo było złamać takich twardzieli jak ten tutaj. Może i byli konserwami, ale dorównywali sprawnością i wytrzymałością wielu żołnierzom ARC. Scorch nie mógł na to dłużej patrzeć. Postanowił przerwać widowisko, bardziej z potrzeby oszczędzenia sobie tego widoku niż zadośćuczynienia żądaniu Zeya czy oszczędzenia nieszczęśnikowi dalszej męki. Technika, którą prezentował właśnie Vau, była znana szerzej jako „keldabański uścisk dłoni”, ale raczej niewiele miała wspólnego z nazwą.

- Sierżancie! - zawołał. - Panie sierżancie, generał Zey przesyła wyrazy szacunku i chciałby się z panem spotkać w pilnej sprawie.

Vau uwolnił z uścisku wrażliwą część ciała maltretowanego żołnierza i pozwolił, żeby biedaczysko zwinął się w kłębek na podłodze. Cóż, przynajmniej Scorch wiedział teraz, w jaki sposób unieszkodliwić wroga jednym chwytem... Mird obserwował scenę z boku i ziewał od czasu do czasu, jakby widział to wszystko już nieraz.

- Zmykaj do centrum medycznego na konsultację, ad'ika - mruknął Vau, próbując doprowadzić swój pognieciony mundur do porządku. Bez zbroi nie wydawał się taki straszny jak zwykle, ale pozory myliły. - Mird, pilnuj ich i nie pozwól, żeby pod moją nieobecność się objęli. Ekipa, po powrocie chcę widzieć, że każdy z was opanował lekcję do perfekcji. Zrozumiano?

- Tak jest, panie sierżancie! - odpowiedzieli chóralnie żołnierze.

- Na wielkiego Darakaera z Irmenu! Zostałem pokarany głuchotą za moje grzechy! Pytam raz jeszcze: rozumiano?!

- Tak jest, panie sierżancie! - krzyknęli gromko.

Vau sprawiał wrażenie chwilowo usatysfakcjonowanego. Ruszył ze Scorchem do biura Zeya. Czuć było od niego świeżym potem i maścią z bacty.

- Czyżby wrócił pan do służby, sierżancie? - zapytał Scorch.

- Nie. Wciąż jestem szczęśliwym cywilem - odparł Vau. Na jego twarzy malował się wyraz troski, który jednak nie miał raczej nic wspólnego z przerwaniem zajęcia. - W ten sposób mogę dać Zeyowi do zrozumienia, gdzie może sobie wsadzić swoje rozkazy bez utraty szacunku dla własnego wojskowego drylu. Wojsko, które sprzeciwia się rozkazom, jest tylko bandą patałachów.

Scorch słyszał taką opinię nie pierwszy raz. Znał tego typu teksty na pamięć: „Wojsko, które sprzeciwia się rozkazom stanowi zagrożenie dla obywateli. Wojsko, które sprzeciwia się rozkazom, to trupy”.

- Czy kiedykolwiek odmówił pan wykonania rozkazu, sierżancie?

- Tylko kiedy był niezgodny z prawem. A to czasem nie jest tak oczywiste, jak by się wydawało. Szczególnie kiedy blasterowe błyskawice świszczą ci koło uszu. Najwięcej wiedzą o tym oczywiście prawnicy, siedzący wygodnie na swoich shebse rok po incydencie. - Vau nigdy nie był zbyt gadatliwy. Może miał właśnie do czynienia z jego prawdziwym „ja” - tym, które rzadko oglądali członkowie szkolonych przez niego drużyn? - A co tam u ciebie?

- Przepraszam, sierżancie... słucham?

- Mam oczy i uszy dookoła głowy. Podczas takiej wojny nie ma się czego wstydzić, każdemu się zdarza ześwirować.

Widać przed starym nic nie mogło się ukryć. Scorch podejrzewał jednak, że to Etain się wygadała, nie ktoś z drużyny. Żaden z chłopaków nie doniósłby Vauowi, że Scorch miał kryzys. Stary Vau dałby mu nieźle popalić za to, co zrobił w Hadde - głupie ryzykowanie, poddawanie się emocjom, a ogólnie, rozklejenie się wtedy, kiedy nie trzeba. Jednak dziś Vau był dziwnie łagodny i to samo w sobie było podejrzane. Scorch zastanowił się przelotnie, czy przypadkiem nie stracił kontaktu z rzeczywistością bardziej, niż mu się wydawało.

- Jestem trochę zmęczony - powiedział ostrożnie. - Nic poza tym. Wkrótce lecimy na Kashyyyk. Trochę nam się tam zejdzie...

- Wiem, ale chcę cię widzieć w moich kwaterach o osiemnastej, jasne? Nagły niepokój skręcił wnętrze Scorch'a w ciasny węzeł.

- Tak jest, panie sierżancie - wymamrotał karnie.

Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że nie miał do czynienia z prawdziwym Vauem, ale ze zmiennokształtnym Gurlaninem. Scorch słyszał, że czasami nie całkiem udawało im się odwzorować prawdziwy charakter osób, które udawali. Czuł się już lepiej, naprawdę. Nie mówiąc już o tym, że nie rozumiał, o co ten hałas. Jego zachowanie było po prostu reakcją na działania chakaare, którzy go zdrowo wkurzyli, to wszystko. Miał też co prawda ostatnio koszmary, ale któż ich nie miewał? Powie o tym Vauowi, postanowił.

Kiedy wszedł do biura Zeya, Boss, Fixer i Sev już na nich czekali. Nigdzie nie było śladu kapitana Maze'a. Zey opierał skrzyżowane ramiona na swoim eleganckim, wyłożonym lazurytem biurku. Był to znak, że - daleki od swojego zwykłego wścibskiego nastroju - łąził z nerwów po ścianach.

- Panowie, to poufne spotkanie - powiedział. Dyskretnie wdusił przycisk pod biurkiem i drzwi do pokoju zamknęły się z głuchym trzaśnięciem. - Nic z tego, o czym będziemy rozmawiali, nie ma prawa wydostać się poza ściany tego pokoju.

Scorch poczuł się urażony. Każda shabla robota, którą im zlecano, była poufna. Zauważył, jak Walon zaciska szczęki - a więc nie był to jednak Gurlanin, tylko stary dobry Vau, bez dwóch zdań.

- Powinieneś wiedzieć, że masz do czynienia z profesjonalistami - powiedział. - Możesz nam zaufać. - Poluzował stójkę swojego kombinezonu. Zapewne czuł się nieswojo bez zbroi. - Cokolwiek by to było. O co chodzi?

- Problemy z siecią komputerową - rzucił Zey.

- To już wiem. Nie omieszkałeś o tym wspomnieć. Potrzebujemy wsparcia Zer i pomocy ze strony techników Skarbu, zanim weźmiemy się do roboty. Czy Drużyna Omega nie miała przypadkiem zająć się tym razem z nami?

- W tym cały problem, Walonie. - Zey sprawiał wrażenie człowieka postawionego pod ścianą. - Potrzebuję kogoś, kto będzie miał Skiratę i jego Zera na oku. I nie mam tu na myśli pilnowania, czy nie brakuje im kawy i ciasteczek.

- Czego pan od nas oczekuje, generale? - zapytał Vau z kamienną twarzą. - Może przynajmniej ten jeden raz postara się pan wyrażać nieco jaśniej?

To nie był pierwszy raz, kiedy Zey podejrzliwie traktował Skiratę. Wcześniej próbował wykluczyć Kala z misji pojmania Ko Sai. Ale też nie był to pierwszy raz, kiedy Zey prosił, przynajmniej tu obecnych, o traktowanie go jak wroga.

- Darzę tego człowieka ogromnym szacunkiem jako żołnierza, ale po prostu nie chcę dopuścić do sytuacji, w której mógłby nadużyć swoich kompetencji - powiedział Zey, uważnie dobierając słowa. - Chciałbym, żebyście patrzyli mu i jego małej prywatnej armii na ręce.

- Prosi mnie pan, żebym szpiegował brata, zgadza się?

- Chcę mieć tylko pewność, że nie działa na szkodę Republiki, Walonie. To wszystko. Wiem doskonale, jak bardzo troszczy się o swoich żołnierzy i wiem też, że zdarza mu się łamać zasady. Nie mam do niego o to pretensji. Wierzę, że robi to dla dobra klonów. Nie mogę też ignorować rejestru sukcesów Zer jako jednostki specjalnej. Nie chciałbym natomiast dowiedzieć się, że Skirata w jakiś sposób psuje nam szyki w tej wojnie... świadomie czy nie.

Vau wyglądał, jakby przeżuwał dokładnie odpowiedź przed wypluciem jej na biurko Zeya. Członkowie Delt siedzieli w milczeniu. Rozmowa toczyła się bez ich udziału, jak często bywało,

Scorch zastanawiał się, czy Zey nalega na ich udział w takich posiedzeniach tylko po to, żeby wyczuć poprzez Moc, czy wiedzą coś użytecznego. Ta myśl nie była zbyt pocieszająca. Przypominało to nieustanną kontrolę na Kamino - sprawdzanie pod kątem odchyłeń. Klony miały setki sposobów na to, żeby sprawiać wrażenie spokojnych, łagodnych i niewyróżniających się z tłumu. Nikt nie miał ochoty zostać poddany resocjalizacji. Część z tych, którzy na nią trafili, już nigdy nie wracała. Każdy klon, wykazujący choćby śladową chęć przetrwania, starał się pozostać tak anonimowy, jak tylko się dało - inaczej istniała obawa, że wytropi cię któraś z tych przynęt na aiwhy i zafunduje bilet do laboratorium. Bilet w jedną stronę.

- Jeżeli mam się wpakować w to szambo, muszę mieć dowody - powiedział w końcu Vau. - Nie mam ochoty bawić się z tobą w ciuciubabkę. Gramy w otwarte karty albo przestań marnować mój czas. Chcę wiedzieć, o co dokładnie chodzi. Nie dam się wykiwać ani poderżnąć sobie gardła, kiedy najmniej będę się tego spodziewał.

- A więc wchodzisz w to?

- Nie - warknął sierżant. - I nie oczekuj ode mnie odpowiedzi, zanim się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Jestem za stary na zgadywanki.

Zey opadł na oparcie swojego krzesła.

- Podejrzewam, że nas okrada.

- Cóż, podobno wszyscy Mandalorianie tacy są. - Vau wzruszył ramionami ze złośliwym uśmiechem, jednak Zey nie dał się sprowokować. - Nawet Skirata nie jest w stanie wydoić Republiki na tyle, żeby nadwyrężyć budżet na działania wojenne. Pytam o sabotowanie misji, celowe nieujawnianie informacji, spiskowanie z Separatystami i tego typu rzeczy.

Scorch wiedział, że Skirata miał na sumieniu różnego rodzaju machloje, a w niektórych nawet brał czynny udział. Podobnie jak Vau, jeżeli już o tym mowa, ale to właśnie było jedną z przyczyn, dla których figurowali na liście płac brygady do zadań specjalnych. To nie była praca dla młodszych zwiadowców. Musieli się zadawać z najgorszymi mętami galaktyki.

Vau sprawiał teraz wrażenie wcielonego opanowania. Etain twierdziła, że jego sygnatura w Mocy jest zawsze nadzwyczaj spokojna, nawet jeżeli właśnie podrzynał komuś gardło wibroostrzem. Zey miał za to niezbyt szczęśliwą minę.

- Znam trochę Skiratę - powiedział Mandalorianin powoli. - Według standardów Coruscant jest kryminalistą. Tak samo jak ja. Ale zdrajcą? Nigdy. Jest zawodowcem.

- Chcesz mnie przekonać, że Mandalorianie nigdy nie podejmują się kreciej roboty?

- Na pewno nie za stawki, które pan nam proponuje, generale.

Przez chwilę mężczyźni mierzyli się twardym wzrokiem, a potem Zey sięgnął po komputerowy notes, wklepał kod i pchnął urządzenie przez blat biurka w stronę sierżanta. Vau bez mrugnienia okiem sięgnął po notatnik i spojrział na wyświetlacz.



- To lista kombatantów Separatystów wziętych do niewoli w ciągu ostatniego miesiąca - wyjaśnił generał. - Rozpoznajesz jakieś nazwiska?

Vau ani drgnął.

- Tak.

- Kiedy Skirata wspomniał, że jego córka zniknęła, tak bardzo mu współczułem, że sprawdziłem kilka list w rządowych bazach danych... tak na wypadek, gdyby pojawiła się w rejestrze któregoś z centrów medycznych czy biur pośrednictwa pracy.

- I znalazł ją pan w republikańskim więzieniu - dokończył za niego Vau.

- Zakładam, że to o nią chodzi. Skirata nie podał mi jej nazwiska...

- R-U-U-S-A-A-N - przeliterował Vau. - Zdrobniale Ruu. Chcesz powiedzieć, że córka walcząca po drugiej stronie barykady skłoniłaby Skiratę do narażenia jego ukochanych klonów na jeszcze większe ryzyko? - zapytał z niedowierzaniem.

- To jego biologiczne dziecko.

- Wygląda na to, że wciąż nie rozumiesz Mando'ade. - Vau westchnął ciężko. - Aliit ori'shya taldin. Rodzina to coś więcej niż więzy krwi. Gdyby jednak przyjrzał się pan bliżej któremukolwiek z Mando dla was pracujących... a mogę zapewnić, że wykonują naprawdę solidną robotę... wiedziałby pan, że członkowie ich rodzin walczyli w wielu konfliktach po stronie Republiki. Pracujemy jako najemnicy od tysięcy lat. Kiedy wynajmujesz Mando, zawodowa lojalność jest wliczona w rachunek. To zabawne, że kiedy płacicie nam za walczenie o waszą sprawę, uważacie nas za współpracowników, a kiedy wynajmuje nas ktoś inny, jesteśmy bandą amoralnych barbarzyńców. Może traktujecie nas jak tych innych Jedi, którzy pochodzą spoza światów Republiki...

- Nie wezwałem cię tutaj, żeby dyskutować na tematy etyki ani wynajmowania najemników, Walonie.

- Tak, rozumiem, że to dla ciebie jeden z tych śliskich tematów, których nie lubisz poruszać. Jeżeli jednak wymagasz ode mnie, żebym stanął przeciwko człowiekowi, któremu być może kiedyś będę musiał powierzyć podczas bitwy swoje życie, żądam twardych dowodów. Klienci przychodzą i odchodzą, ale cechu się nie wybiera.

- W porządku - wycedził Zey. - Wywiad twierdzi, że ktoś szperał w ich aktach. Nie powiedzieli mi dokładnie, o co chodzi, widać uznali, że jako głównodowodzący oddziałów specjalnych nie muszę tego wiedzieć. Nie jestem jednak w stanie śledzić tego, czego nie widzę po samym tylko cieniu. Wiem tyle, że chodzi o Departament Skarbu i Departament Obrony. Jeżeli jest ktoś, kto ma środki, żeby zabrnąć tak głęboko w system Republiki bez zostawiania śladu, to tylko Skirata i jego sprytne chłopaczki.

Na twarzy Vaua nie drgnął żaden mięsień. Chociaż dźwiękoszczelne ściany biura zakłócały działanie podsłuchów i pluskiew, w głuchoj ciszy, jaka nagle zapadła, dał się słyszeć jakiś hałas. Przypominał drapanie pazurów o drzwi. To Mird dawał o sobie znać.

- Nie mogę się spierać z twoimi argumentami - powiedział Vau.

- Wchodzisz w to? - Zey nie zawracał sobie nawet głowy pytaniem Bossa o zdanie członków Delty, ponieważ tak naprawdę się nie liczyło. - Tak czy nie?

Vau odczekał pięć uderzeń serca. Scorch widział już Vaua w takich sytuacjach wiele razy i wiedział, że zwłoka w odpowiedzi była zawsze wprost proporcjonalna do strachu, jaki należało odczuwać. Pięć uderzeń serca zwiastowało coś naprawdę niemiłego.

- Ty tu płacisz - powiedział w końcu sierżant. - Jeżeli dowiem się, że robi cokolwiek, żeby pomóc wrogowi, poinformuję cię o szczegółach. Ale tylko wtedy, kiedy naruszy waszą umowę. Raz dane słowo jest dla nas święte. Gdyby było inaczej, byłibyśmy tylko zwykłymi dzikusami.

Zey nie skomentował ostatniego stwierdzenia i Scorch nie umiał ocenić, czy generał podziela powszechny sąd o Mandalorianach. Mógł być ignorantem w sprawach kultury, ale siłą rzeczy miał dużo tolerancji dla spraw związanych w jakiś sposób z mistyką.

- Pamiętaj, że oczekuję dyskrecji - powiedział i się zawahał. - Dziękuję - dodał po chwili, ale Scorch widział, jak jego wargi układają się już do komendy „odmaszerować”.

Skrzydła drzwi się rozsunęły i Vau wyszedł eskortowany przez członków Deltę. Mird siedział grzecznie w progu i nie wyrażał chęci wtargnięcia do biura. Na ich widok zerwał się i ruszył przodem przez korytarz, z nosem tuż przy plekdrewnianej podłodze, tropiąc jakieś fascynujące aromaty. Scorch przełączył hełm na wewnętrzny kanał, żeby Vau nie słyszał rozmowy.

- Skirata obetnie mu jego kriffing gettse i wepchnie do gardła, kiedy się o tym dowie.

- Mówiłem, że robi się tu całkiem jak na Keldabe - parsknął Sev.

- Kal nie narażałby Republiki na straty - zawyrokował Boss.

- Jesteś pewien? - Fixer nie wyglądał na przekonanego. - A co ważniejsze, czy sam Kal jest tego pewien?

Vau nie odezwał się ani słowem przez całą drogę, dopóki nie dotarli do skrzydła szkoleniowego budynków kwatery głównej. Odwrócił się do nich powoli i przyjrzał im uważnie, jakby ich twarze nie skrywały hełmy i mógł im czytać nie tylko w oczach, ale i w umysłach.

- Na wypadek gdybyście się zastanawiali dlaczego, czy i kiedy - powiedział wolno - to są sprawy Cuy'val Darów i nie zamierzam was w to mieszać. Nie wasz interes, więc nic wam do tego. TayWbacl - To był najbardziej brutalny sposób, w jaki Mandalorianin mógł zapytać kogoś, czy rozumie... - a jeżeli ten ktoś czuł się w obowiązku odpowiadać, najlepszym wyjściem było powiedzieć „tak”. Ogólnie, należało trzymać łapy przy sobie. Ale Drużyna Delta służyła pod rozkazami Etain, a ta z kolei była człowiekiem Skiraty. To stawiało ich w dość niezręcznej sytuacji.

- Sierzancie - odezwał się Boss - a co z generał Tur-Mukan?

Vau pochylił głowę i popatrzył na Scorcha tym swoim dobrotliwym, odrobinę kpiącym spojrzeniem.

- Tak jak wy nie powinniście się mieszać w sprawy Cuy'val Darów, mnie nic do polityki wewnętrznej Zakonu. Jeżeli nie otrzymacie wyraźnych rozkazów, żeby wypowiedzieć jej posłuszeństwo, wciąż jest waszym dowódcą.

Scorch lubił, kiedy sprawy były postawione jasno. Wszyscy lubili. Czasami zazdrościł białasom, że w ich życiu zawodowym nie było miejsca na politykę.

- A niech to shab - mruknął Sev, patrząc za zmiernym do sali gimnastycznej Vauem. - Chyba zacznę przyjmować zakłady.

Jak myślicie, kto o tej porze za rok ostanie się w szczęśliwej bandzie Kala?

Wodociągi Galactic City, podziemny zbiornik rezerwowy, Coruscant, późnym wieczorem

- Ciekawe, kiedy zamierzał mi powiedzieć, że moja córka jest jeńcem wojennym - zastanawiał się Skirata, usadowiony na kadłubie „Aay'han”. Osiągnął ten stan, w którym - zmuszony radzić sobie ze zbyt wieloma problemami naraz - zaczynał traktować je, jakby były tylko przelotnymi niedogodnościami, z którymi lepiej było się pogodzić. Rób, co możesz, mówił sobie w takich chwilach. Pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Vau, ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi za plecami, przemierzał wolnym krokiem permabetonowe moło, jakby robił przymiarki na długość dywanu.

- Postaraj się wyglądać na zaskoczonego, kiedy w końcu uzna to za stosowne, Kal.

Skirata zapatrzył się na trzymany w dłoni datakryształ urządzenia rejestrującego Vaua. Żaden Mando przy zdrowych zmysłach nie poszedłby na podejrzane spotkanie bez dobrze ukrytego „elektronicznego świadka”. Vau zawsze miał coś takiego przy sobie, ukryte w kołnierzyku albo

pasie, ret'lini - na wszelki wypadek. Mando uczono tego od małego. Nigdy nie wiadomo, co się stanie - czy za rogiem nie czeka cię coś, co zepsuje ci cały dzień.

- Nie martw się. Zrobię takie przedstawienie, że wyskoczy z butów - uspokoił go Skirata. - Dzięki, Walon. Czyli... zamierza wykorzystać Ruu, żeby mnie szantażować, czy też powiedział ci to tylko po to, żeby sprawdzić, czy polecisz mnie ostrzec?

- Cóż, wiemy, że to prawda: jest na liście jeńców wojennych. Sprawdzalem. Lepiej jednak chyba zakładać najgorsze. Zey nie jest wytrawnym holoszachistą. Ta wojna ciągnie go na dno jak nas wszystkich, więc próbuje się po prostu chwycić wszystkiego, dzięki czemu będzie mógł dłużej utrzymać się na powierzchni.

- Widzę, że nastroiło cię dziś na Imperialną Flotę Irmenu -mruknął Vau.

- To ta woda - wyjaśnił flegmatycznie Kal. - Budzi we mnie ukrytego żeglarza. Błyski odbite od tafli podziemnego jeziora, źródła awaryjnego zaopatrzenia wody dla mieszkańców Coruscant, padały na wysoko sklepiony permabetonowy strop rozciągający się we wszystkich kierunkach jak okiem sięgnąć. „Aay'han” cumowała tu dzięki uprzejmości różnych typków, którzy byli winni przysługę Jallerowi Obrimowi. Ukryta w tym odludnym, zapomnianym miejscu, łódź mogła się w każdej chwili bez problemu wynurzyć, gotowa do podróży poza planetę. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, mieli się stąd wydostać przez służbę na odległym krańcu pieczary.

Ordo twierdził, że odległość była wystarczająca, żeby osiągnąć prędkość startową, zanim statek prześliznie się przez wąską szczelinę na zewnątrz. Z pewnością kilka osób będzie miało niezłą niespodziankę, kiedy „Aay'han” wychynie znikąd w okolicy zakładu wodociągów. Nie będzie prób - mieli tylko jedną szansę. Nie będzie miejsca na pomyłkę - ale wszyscy wiedzieli, że Ordo sobie poradzi.

- Alarm włączył mi się, kiedy Zey powiedział, że chce, żeby Mereel, Jaing i Besany zbadali wirusa - powiedział Skirata. - To taktyka typu „zgrupować wszystkich podejrzanych w jednym miejscu”. Zupełnie jak w koreliańskich holonowelach.

- Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale lepiej zakładać najgorszy scenariusz. Jak wyglądają sprawy u Etain?

- Cóż, nowinki niemal ścięły Dara z nóg. Chwilowo się do niej nie odzywa. - Skirata sprawdził chronometr na karwaszu. Lubił pracować w pełnej zbroi - służyła po części za ubranie ochronne, po części jako zestaw przydatnych narzędzi. - Za kilka godzin powinni wrócić z Nerrif do koszar. Przy odrobinie szczęścia może Bard'ika też zdoła wrócić na czas. Sądzę, że powinniśmy potraktować to jako ostatnie poważne spotkanie strategiczne.

- Zamierzasz powiedzieć Omegom o wszystkim?

- Poza tym, co z Darem... cóż, chyba powinienem im oszczędzić moich strapień, dopóki nie będziemy gotowi wyruszyć. A więc na razie nie.

Skirata nie mógł się opędzić od podszeptów wewnętrznego głosu, który mówił mu: „Ta-a, świetny pomysł! Zgrupuj wszystkich razem i uprzedź Vaua, tak żeby mógł podkablować wszystko Zeyowi”. Czuł się rozdarty. Nie wiedział komu powinien ufać, a komu nie. Ale to była ich, aruetic, gra - dziel i rządź, siej nieufność, nastaw Mando przeciwko Mando, doprawiając wszystko szczyptą jadowitych wątpliwości...

Jeżeli Vau mnie wrabia i to jest jakaś podwójnie podwójna gra, nie będę się spieszyć z zabijaniem go, pomyślał.

Problem z takimi wielowarstwowymi podchodami był taki, że nie wiadomo było, w którym miejscu należy przestać. Można było próbować się dokopywać wciąż głębiej i głębiej, dopóki człowiek nie oszalał. Skirata poznał Vaua w ciągu tych lat, kiedy byli udupieni na Kamino. Gdyby teraz miał go wrabiać... Skirata odsunął od siebie tę myśl najdalej, jak potrafił.

Mandalorianie musieli trzymać się razem, troszczyć się o siebie nawzajem i pozwolić, żeby reszta galaktyki znalazła sobie innych frajerów do walki i umierania na ich miejsce.

- Jeżeli moja obecność na tym spotkaniu jest ci nie na rękę, Kal, po prostu powiedz. - Vau ukucnął, żeby pogłaskać Mirda, który skończył właśnie inspekcję prowizorycznych doków i wrócił, żeby przedstawić sprawozdanie w formie serii chrząknięć i skomleń. - Sam fakt, że jestem dobry w te brudne gierki wymagające obłudy, nie znaczy, że mi się to podoba, a jeżeli dojdzie do kolejnego niemiłego zbiegu okoliczności, nie chcę być podejrzewany o to, że jestem wtyczką.

Skirata nie wiedział, czy go zawstydza, czy bawi słuchanie, jak Vau artykułuje jego własne myśli, ale tak czy inaczej czuł się niezręcznie.

- A więc... od kiedy jest pan jedynym Mando-telepatą, sierżancie? - zażartował.

- Lata praktyki, spoufalanie się, zbieżność myśli...

- Znamy się na tyle długo, żeby wiedzieć, o co toczy się gra.

Mird wydawał się zadowolony z inspekcji podziemnego molo.

Potruchtał do mechanizmu korbowego w ścianie i obficie oznaczył terytorium.

- Mird, jak tylko damy nogę, możesz sobie w ten sposób ulżyć w całym biurze Zeya - powiedział Skirata, rozpaczliwie doszukując się czegoś zabawnego w całej sytuacji. - Trzeba będzie je potem napromieniować, żeby doczyścić.

„Aay'han" była niemal gotowa. Łódź została powoli, ale skrupulatnie wyremontowana; zapasy i baki były uzupełnione i zabezpieczone, a całość wyglądała znacznie lepiej, niż kiedy wytargował ją od tego rodiańskiego handlarza. Nie była zwyczajną

wielozadaniową łodzią podwodną. Była arką dla wszystkich, których kochał i o których się troszczył.

Obok niej tkwił przycumowany mały sportowy jacht podwodny - „Gi'ka", z którego korzystali do obserwacji kryjówki Ko Sai na Dorumaa. Mereel go uwielbiał. Schodził tu czasem, żeby go popilotować, kiedy wracali do bazy - w ten sposób się wyżywał, jak każdy chłopak w jego wieku. W Kyrimorut będzie mógł się nim rozbijać po jeziorze do woli, pomyślał Skirata. W gorączce zmieniających się jak w kalejdoskopie planów dobrze było znajdować małe rzeczy, które pozwalały się cieszyć.

O nie, Zey, powiedział do siebie w myśli. Nie po to dotarłem tak daleko, żeby teraz dać się zaszczyć. Już niedługo... Chcesz mnie powstrzymać? A więc będziesz musiał mnie zabić.

Mird stanął na skraju molo, podniósł nogę i radośnie obsikał taflę jeziora. Vau uśmiechnął się ponuro na ten widok.

- Hm, siki Mirda i farba przeciwporostowa „Aay'hana" to z pewnością ciekawe połączenie. Przypomnij mi następnym razem, żebym nie pił coruskańskiej wody, dobra?

- To kolejny dobry powód, żeby się stąd wynosić. Chodź. Czas wracać do bazy.

Czekanie, aż wszyscy zbiorą się w apartamencie Laseemy, trwało zdaniem Skiraty stanowczo zbyt długo. Chociaż trzymał na kolanach Kada, nie potrafił się cieszyć jego obecnością tak jak zwykle. Męczyła go świadomość, że wszystko powinno być już przygotowane do ucieczki.

Wyglądało na to, że Kad i Mird znaleźli wspólny język. Malec szczebiotał radośnie do strilla, który powarkiwiał i popiskiwał przez chwilę, a potem gdzieś zniknął. Wrócił, ciągnąc w zębach koce gwizdnięte z łóżka Jusika, i natychmiast zabrał się do budowania z nich gniazda. Strille były bezwzględny drapieżnikami, ale też oddanymi rodzicami. Można się było pokusić o stwierdzenie, że ich charakter odzwierciedlał ducha Mandalorian.

Tuż po północy zjawili się Ordo i Besany. Laseema położyła Kada spać. W ciągu kilku godzin na miejscu były już wszystkie Zera i Gilamar. Brakowało Jusika i Etain. Skirata odczekał jeszcze

trochę i w końcu postanowił, że rozmówi się z nimi później. Puścił wszystkim nagranie rozmowy Vaua z Zeyem i czekał, co powiedzą

- Jak udało ci się okłamać Mistrza Jedi? - zapytała z podziwem Laseema. - I to tak, że tego nie wyczuł?

- Nie kłamałem - odparł Vau. - Powiedziałem: „Jeżeli dowiem się, że robi cokolwiek, żeby pomóc wrogowi”. Z radością doniosę mu o wszystkim natychmiast, kiedy nasz mały shabuire sięgnie po komunikator, żeby skontaktować się z którymkolwiek z gnojzków od Straży Śmierci. Skirata patrzył na niego przez chwilę z niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem.

- Znam któregoś?

- Nie, ale to jedyna banda, którą mogę z czystym sumieniem nazwać moimi wrogami. A więc nie skłamałem. Podszedłem do tego tak emocjonalnie, że Moc pozwoliła mi uwierzyć, w co chciałem.

Laseema aż klasnęła w dłonie.

- Sprytnie!

- Dziękuję ci, moja droga. Mando'ade są szkoleni w sztuce wprowadzania umysłu w odpowiedni stan, więc zmiana nastroju to dla nas nic trudnego.

- Przepraszam - powiedziała Besany, siedząca obok Kom'rka. Wyglądała na wyczerpaną. - To wszystko moja wina. Gurlanin ostrzegł mnie, że powinnam być ostrożniejsza...

- Shab, nic podobnego! - Skirata pokręcił głową. - Ordo widział twoje akta, pamiętasz? Jesteś poza podejrzeniami. Świetnie wykonałaś swoją robotę, ad'ika. I dzięki tobie wiemy teraz wystarczająco dużo, żeby mieć dobre rozeznanie w sytuacji. Wiemy o drugiej partii klonów, wiemy o dodatkowej flocie. Może nie znamy szczegółów, ale to wystarczy, żebyśmy zdołali ocalić nasze shebse, kiedy nadejdzie czas. A to wszystko dzięki tobie.

- Może to ja trochę zaszarżowałem - mruknął ze spuszczoną głową Jaing. - To przecież ja wprowadziłem program do sieci Skarbu. Po zebraniu danych system przekazywał wszystko do mojego komputera. Powinienem być zostać przy krótkoterminowych programach, które same się usuwają. Pracowałem na migawkach.

- Jak to działało? - zapytał Vau.

- Powinieneś być widzieć te ilości danych, które napływały. Większość była bezużyteczna, ale... przy migawkach musisz szukać we właściwym miejscu o właściwym czasie, więc pomyślałem, że gra jest warta świeczki...

- Spryciarz z ciebie!

- Cóż, tak naprawdę wciąż nie wiedzą o programie nic poza tym, że był w systemie i zniknął - wtrąciła Besany. - Oczywiście

jeśli naprawdę nie wiedzą, że jestem w to zamieszana, i nie kazali wciskać mi ciemnoty nawet robotowi.

- Nie ma szans, żeby doszli, że program został wprowadzony przez twój terminal. - Jaing stanowczo pokręcił głową. - Przesłałem go za pośrednictwem głównego komunikatora, więc jeżeli nawet odkryją drogę, którą się dostał, nie mają żadnych podstaw, żeby oskarżać o jego wprowadzenie konkretnego użytkownika.

Skirata uświadomił sobie, jak głęboko ci ludzie wzajemnie sobie ufali. Nie był głupi, ale techniki, którymi Jaing posługiwał się z taką łatwością, jak Skirata władał ostrzem, były dla niego czarną magią. Podejrzał, że była to kwestia wiary, którą - o ironio! - wpoili Zerom genetycznie Kaminoanie: wiary w to, że wiedzą co robią. Nie wiedział dlaczego, ale Besany zdawała się również o tym przekonana. Kal był ze swoich dzieci naprawdę dumny. Do tej grupy zaliczał teraz także Besany. Była jego córką ponieważ Mando traktowali małżonków swoich potomków jak pełnoprawne dzieci.

- Sądzę, że powinniśmy omówić dwie ważne sprawy - powiedziała Besany głośno i wyraźnie, jak ktoś nawykły do prowadzenia zebrań. - Po pierwsze: co się stanie, kiedy rozpoczniemy to śledztwo? Czy powinniśmy je traktować poważnie i zakładać, że nie jesteśmy wrabiani, czy może uznać od razu na wstępie, że to prowokacja? Sądząc po rozmowie Zeya z Walonem, podejrzewam, że raczej to drugie. Tak czy inaczej, musimy znaleźć inny sposób na pilnowanie rzeczy, które nas interesują... a to właśnie drugi problem, który chciałam poruszyć. Od teraz powinniśmy się skupić na łańcuchu dostaw, nie na zamówieniach. Musimy tylko mieć na oku przedsiębiorstwa, o których wiemy, że miały zrealizować zamówienia. Przede wszystkim KDY i Rothanę. Poza tym mamy Aurodiseal, dużego dostawcę sprzętu dla Spaarti Creations przed zniszczeniem Cartao, a dane, które wyciągnęłam z baz CSX i ISE, nie wykazały u nich spadku w produkcji ani dochodach po zakazie klonowania - wyjaśniła. - Twierdzą że zajmują się teraz produkcją urządzeń do uzdatniania wody, ale ponieważ stracili nagle największego kontrahenta, trudno mi uwierzyć, że w tak krótkim czasie się przekwalifikowali. Musimy po prostu znaleźć sposób na przyjrzenie się ich produkcji i transportowi. Sprawdzić, co wysyłają, kiedy i gdzie to trafia.

- Czy ktoś ma jakieś wtyki w KDY? - spytał Mereel, rozglądając się dookoła. - Jeżeli nie, będziemy musieli jakoś wniknąć w ich szeregi.

Mój ojciec pracował dla KDY, przypomniał sobie Skirata.

Próbował szanować pamięć swoich biologicznych rodziców, ale minęło już ponad pięćdziesiąt lat i coraz trudniej było mu przywoływać w pamięci obrazy z wczesnego dzieciństwa. Wspomnienie apartamentu na Kuat skurczyło się teraz do widoku ścian, ale zacieranie się w jego pamięci tamtych czasów miało też i dobre strony: nie pamiętał już okropnych szczegółów z powrotu do zbombardowanego domu na Surcaris.

- Znam pewną godną zaufania pilotkę - powiedział A'den. - Pomagała zniknąć naszemu dezterterowi ARC, więc z pewnością podejmie się kilku kursów do KDY.

- A co z Aurodiseal? - spytał Skirata.

- Ja się tym zajmę - obiecał Vau.

Kal stopniowo się uspokajał. Wyglądało na to, że powoli znowu wszystko wraca pod kontrolę. Wystarczyła lista zadań i odrobina trzeźwego myślenia.

- W porządku, a teraz inne sprawy. Mamy jeszcze Uthan, nadal więzioną w dobrze strzeżonym szpitalu psychiatrycznym, i moją córkę przetrzymywaną w obozie jenieckim. Najlepiej by było, gdybyśmy dali radę wyciągnąć je obydwie mniej więcej jednocześnie, żeby nie marnować czasu i jak najszybciej prysnąć poza planetę. Bard'ika ma oko na szpital, a ja zatroszczę się o Ruu. - Powiedział to tak spokojnie, jakby widział ją nie dalej niż w zeszłym tygodniu, a przecież jeszcze do niedawna nie wiedział nawet, jak córka teraz wygląda, dopóki bracia nie przesłali mu jej hologramu identyfikacyjnego. Szukał w jej twarzy podobieństwa do Ilippi, ale zdecydowanie wdała się w niego. Miała brązowe włosy i łobuzerskie spojrzenie. Teraz musiał nauczyć się z powrotem traktować ją jak swoją rodzinę. Żaden z Zer tego nie komentował, ale Kal wyczuwał, że są czujni, gotowi interweniować w każdej chwili, gdyby coś poszło niezgodnie z planem.

Muszą najpierw uwolnić ją z więzienia. Potem sama zdecyduje, co dalej.

- W porządku, coś jeszcze? - spytał Skirata.

- Aktualizacja kwestii medycznych i finanse - podsunął Prudii. - Mij'ikal

- Nenilin ma parę teorii, ale żadnych sensownych wniosków - powiedział Mij. - Wypłaciłem mu zaliczkę i dałem do zrozumienia, że jeśli puści parę z ust, będę bardzo... rozczarowany. -

Gilamar

nie wdawał się w szczegóły, a Skirata nie zamierzał ciągnąć go za język. - Ale mamy ciekawe wieści od embriologa. Potwierdził, że w próbce nie ma sztucznie wytworzonych genów, a jedynie zmiany w naturalnych. Przynęta na aiwchy trzymała się planu. To potwierdzałoby przypuszczenia Mereela - że skupili się na przyspieszeniu tempa wzrostu. A także na zapewnieniu, że geny wpływające na łączenie się i zgodność z grupą pozostaną nienaruszone, aby zapewnić maksymalną lojalność i karność klonów.

- A więc wyciągnęli wnioski - stwierdził Mereel. - Nas interesuje głównie dojrzewanie, które niestety jest najbardziej złożoną częścią tego wszystkiego.

- Bazy danych? - spytał Skirata.

Mereel zamyślił się na chwilę, a potem wcisnął kilka klawiszy swojego notesu komputerowego.

- Mamy większość informacji na temat klonowania i genetyki z sektora publicznego i komercyjnego. Uthan dostanie wszystko, czego będzie potrzebowała. Shab\ Arcanian Micro dałoby wszystko, żeby zdobyć to, co mamy...

Bardzo rzadko Skiracie zdarzało się patrzeć z boku na wszystko, co robił. Wyłudzenie, szantaż, wywiad gospodarczy, kradzież, oszustwa, porwania, przemoc... nawet stare dobre szpiegostwo. Cóż, sporo mieli na sumieniu. Miał własną organizację kryminalną.

Nigdy nie myślał o sobie jako o jakimś chakaar Hutcie ani jak o gangsterze. Nie uważał siebie również za wzór cnót. Ale nie budził się w nocy z powodu wyrzutów sumienia. Uznał, że może żyć w zgodzie z sobą samym, ponieważ - inaczej niż na wojnie, która była zupełnie inną sprawą - wszyscy, których krzywdził, sami się o to prosili. To wszystko były skutki uboczne. Wiedział, że czasem, żeby przetrwać, trzeba zachowywać się bezwzględnie. W galaktyce nie było miejsca dla mięczaków. Na każdym kroku czyhało zło, przed którym musiał chronić siebie i swoich bliskich. Jednak teraz... ogarnęły go wątpliwości. Uderzyła go nagła świadomość, że w tym, co robił, nie różnił się zbyt od Zeya. Jedi nie był łajdakiem i dobrze traktował Maze'a. Ale kiedy przyszło co do czego, chował litość i wyrozumiałość do kieszeni, ponieważ miał usprawiedliwienie. Skutki uboczne... Cóż, obydwaj mieli własny kodeks postępowania opracowany dla własnych potrzeb.

Czym się od niego różnię? - zastanowił się. W czym niby jestem od niego lepszy? Przynajmniej nie gładzę o współczuciu

i szacunku do życia - odpowiedział sam sobie. Nie wyzyskuję niewolników, naginając zasady moralne. No i... traktuję to wszystko osobiście. Kiedy zabijam, robię to z pełną świadomością przyczyn i konsekwencji. Nawet jeśli to po prostu konieczność, żeby samemu przetrwać.

Skirata stwierdził z zakłopotaniem, że przygląda się Ordowi, który z kolei wpatruje się w Besany. Chłopak był jego synem, a nie jednorazową maszynką do zabijania, stworzoną do wykonywania rozkazów. Był mężczyzną, który czuł, kochał i mógł być kochany - a ta wyróżniająca się nieprzeciętną urodą i przenikliwym umysłem kobieta postrzegala go jako kogoś wyjątkowego i kochała go całym sercem.

Jedi nie pozwalano na miłość.

Jeżeli komuś zabraniało się kochać osobę, na którą mógł patrzeć i której mógł dotykać, jakim cudem miał się nauczyć traktować godnie obce istoty? Jedi nigdy tak naprawdę nie nauczyli się kochać nic poza ideałami - i to właśnie była ta przepaść, która oddzielała Kala od Zeya.

Nawet nie próbował się zastanawiać nad moralnym aspektem tego, co robi. Chciał tylko wiedzieć, że nie czyni więcej zła, niż musiał.

- Kal'buir, wszystko w porządku? - Prudii pogładził go po policzku. - Halo? Buir Co się stało?

Skirata ocknął się z zamyślenia tak nagle, że przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, a serce waliło mu jak młotem.

- Wybacz, synku - bąknął zmieszany. Rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem i spróbował obrócić wszystko w żart. - Próbuję przetwarzać zbyt wiele myśli naraz moją jedną szarą komórką. Wy, bystrzacy, nie wiecie, jakie to trudne...

- Potrzebujesz snu - powiedział A'den. - Już się przestraszyliśmy, że masz udar mózgu. Trup nam niepotrzebny, Buir.

To był stary mandaloriański żart, z rodzaju tych, którymi beroyase raczyli swoje ofiary.

- Finanse - odezwał się Jaing. - Chcecie usłyszeć nowinki? Uprzedzam lojalnie, że możecie po tym nie zasnąć.

Jusik się spóźniał, tak samo Etain. Skirata postanowił, że zdrzemnie się nieco i - jeśli się nie zjawią - pójdzie ich poszukać.

- W porządku. Ostatni punkt programu posiedzenia - powiedział Jaing. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i Skirata czekał na jakąś niespodziankę. - W chwili obecnej nasze środki finansowe wynoszą jeden przecinek trzy i sześć trylionów kredytów.

Na chwilę zapadła tak absolutna cisza, że Kal słyszał, jak Mir-dowi burczy w brzuchu.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Słuch miał przytępiony od zbyt wielu wybuchów, ale nie sądził, że ogłuchł aż tak bardzo...

- Że jak, synu? Powtórz proszę.

Gilamar również wyglądał, jakby się przestęszczał.

- Meh'shab - bąknął.

- Trochę ponad trylion kredytów, Kal'buir. Chcesz, żebym ci policzył zera?

- Wayii\ - Mereel zaczął klaskać. Po chwili przyłączył się do niego Ordo, Laseema i reszta.

- Oya manda! Ori'kandosii, vod'ika\ Udało ci się!

- Miałem nadzieję, że mój talent się nie zmarnuje - odparł Jaing z szerokim uśmiechem.

Pogładził zatknięte za pas rękawiczki. Skirata miał nadzieję, że Etain nie będzie zadawała zbyt wielu pytań. - Chociaż raz do czegoś się przydałem.

Zera były z natury ryzykantami. Skirata bał się, że Jaing przesadził - nie dość, że wykryto jego program szpiegowski, to jeszcze ograbił Republikę na taką sumę, która nie mogła ująć uwagi służb. Shab...

Wstał i podszedł do niego.

- Wyjaśnij mi, jak tego dokonałeś, synu.

- Martwisz się, Kal'buir?

- To niezła sumka - mruknął Mandalorianin. - Trudno będzie nie zauważyć takiej dziury w budżecie.

- Chyba że była ściągana po trochu z kilku trylionów kont!

Zera zaśmiały się radośnie. Skirata nigdy wcześniej nie widział, żeby tak się z czegoś cieszyły. Naprawdę uważały to za doskonały dowcip. Chichotały jak dzieci.

- Wytłumacz to jeszcze raz temu staremu chakaarowi - powiedział, wskazując na siebie palcem.

- Jestem za - przytaknął Vau.

- Wiesz mniej więcej, jak działał mój program - zaczął Jaing. Mird podszedł i położył mu głowę na kolanach, jakby przyłączając się do ogólnego zachwyty. Wyglądało na to, że klonowi nie przeszkadza zaśliniony pysk strilla, ale jednak wyjął rękawiczki zza pasa i włożył sobie za szlufkę na naramienniku. - Buszuje po

262

sieci, kopiuje dane i przesyła je z powrotem do mnie. Stworzyłem więc wersję, która przemieszcza się w sieci kont bankowych, podskubuje kredyt czy pół z każdego konta, które



znajdzie, i deponuje je na innym. Dzięki centralnemu systemowi rozrachunkowemu Republiki program ma większy zasięg, niż się spodziewałem. Ma dostęp do każdego banku w systemie. Tryliony kont... a kto by się przejął brakiem pół kredytu w saldzie? Kto miałby ochotę wyklócać się o to z bankiem? I któremu bankowi chciałoby się wszczynać śledztwo w takiej sprawie? Co możemy powiedzieć? Dziękujemy za wybranie Banku Oszczędnościowego Klonów, obywatelu. To mądry wybór, zapraszamy ponownie!

Skirata pokręcił z niedowierzaniem głową. Był zmęczony, więc trudno mu było panować nad emocjami, ale wciąż nie docierało do niego to, co właśnie usłyszał. Besany ukryła twarz w dłoniach

- może chciało jej się śmiać, ale może po prostu także nie mogła uwierzyć własnym uszom. Biedne dziecko, pracowała przecież jako śledczy w banku! - uświadomił sobie Kal. Ściganie takich jak Jaing było jej obowiązkiem!

- Kal'buir, to nie tak, że огоłociłem czyjeś konto... - powiedział skruszony Jaing. Najwyraźniej źle zinterpretował reakcję Skiraty. - Shab\ Nawet nie oskubałem żadnego Hutta! Działalem tylko w obrębie banków Republiki... To wszystko podatki.

- Jesteś... jesteś... geniuszem - wykrztusił w końcu Skirata.

- Gratuluję spostrzegawczości, Kal'buir. - Vau nachylił się i wyciągnął do Jainga dłoń. - To naprawdę sprytne, obejść takie zabezpieczenia. Pieniążki wyprane? - zapytał.

- Wyprane, wyprasowane, wykrochmalone, pocerowane i przeinwestowane - odparł radośnie komandos. - Chcesz wiedzieć, ile odsetek zyskujemy dziennie, Kal'buir?

- Nie, dziękuję. Wyczerpałem już na dziś swój limit szokujących wiadomości.

- Mamy teraz fundusze na prowadzenie kampanii!

- Chyba dołączę do ciebie jako ofiara krótkotrwałego niedokrwienia, Kal - mruknął Gilamar. Był równie blady, jak Skirata.

- Te cyferki zatamowały mi dopływ krwi do mózgu.

Mogli teraz kupić wszystko, co im się żywnie podobało -włącznie z wolnością dla wielu klonów i rozwiązaniem problemu ich przyspieszonego starzenia. Skirata wiedział, że do spokoju sumienia brakuje mu tylko zobaczenia, jak w drzwiach

apartamentu pojawiają się Darman i Etain, pogodzeni ze sobą i szczęśliwi. Wkrótce zapadł w płytką drzemkę - jak zwykle w fotelu, właściwie na wpół czuwając. Niestety, nikt nie przyszedł.

## **ROZDZIAŁ 9**

Ktoś wie. Czują to. I wiem, że ktoś z uporem węszy w poszukiwaniu informacji o nowej armii klonów. To przedsięwzięcie na ogromną skalę - zbyt duże, żebym zdołał je utrzymać w tajemnicy, ale właściwie po co miałbym to robić? Ludzie uwierzą we wszystko, co im powiesz. Nigdy nie sprawdzają, nigdy nie pytają, nigdy nie myślą. Jeśli

powiedzieć im, że zagrażają nam kwadryliony robotów bojowych

- nie będą w to wnikać. Jeśli zapewnisz, że możesz ich ocalić - nie zapytają: przed czym? przed kim?

Wystarczy szepnąć

„tyrania”, „zagrożenie”, „zagłada” - nie będą się zastanawiać. Nie podawaj szczegółów. Chociaż prawda będzie na wyciągnięcie

ręki, nie sięgną po nią. To jak magiczna sztuczka - chodzi o odwrócenie ich uwagi w taki sposób, żeby widzieli to, co chcesz

im pokazać. Tylko ci twardo stąpający po ziemi nie dadzą się zwieść pozorom i będą ci cały czas patrzyli na ręce.

Tacy ludzie są niebezpieczni - i albo pracują dla mnie, albo dla nikogo.

Kanclerz Palpatine podczas spotkania z osobistymi agentami wywiadu Republiki, znanymi jako jego Ręce Serwerownia Departamentu Skarbu, Coruscant, godzina 08.45, 998 dni po Bitwie o Geonosis

- Wszystko gotowe? - spytała Besany.

- Tak jest, agentko Wennen - odparł Jay. - Zadbaliśmy o najwyższy poziom bezpieczeństwa. Nikt z personelu nie wie, że to śledztwo w sprawie audytu. Poinformowaliśmy wszystkich, że zawiesiliśmy działanie systemu z powodu zainfekowania sieci wirusem.

- Chodźmy - powiedziała Besany i skinęła głową w stronę Mereela i Jainga. Kilka kroków za nimi trzymała się pracownica Centralnego Biura Audytowego Republiki. Plakietka na jej piersi głosiła: „Ellik”, ale Besany była pewna, że kobieta jest z wywiadu. Nie miało to tak naprawdę znaczenia; i tak nie było szans, żeby znalazła coś podejrzanego. - Wszyscy są odcięci - wyjaśniła.

Trzymali się procedury - nikogo nie ostrzeżono. Zdziwiony personel w całym budynku nagle stwierdził, że urządzenia wyjściowe nie działają monitory nie reagują na żadne komendy, a oni nie mogą używać komunikatorów. W tej samej chwili do akcji wkroczyła mała armia robotów i natychmiast zabrała się do przeszukiwania ich stanowisk pracy - to zajęcie lepiej było zlecić maszynom. Roboty były bezosobowe, bezstronne i po wszystkim nikt nie będzie miał do nich pretensji. Dzięki temu zachowywano przyjazną atmosferę w miejscu pracy.

Wszystkich wyjść z budynku strzegły androidy ochroniarze, co właściwie było naruszeniem przepisów przeciwpożarowych. Besany cała ta sytuacja wydawała się dziwnie zabawna.

- Co mamy robić, agentko Wennen? - zapytał Mereel z kamienną twarzą. - Porucznik Jaing jest gotów rozpocząć działania na rozkaz.

Obydwa Zera stanęły na baczność przy konsoli kontrolnej. W pokoju, w którym się właśnie znajdowali, odbywały się wszystkie operacje przetwarzania danych departamentu. Pracowali tu głównie ludzie, ale było też kilku Nimbanelów i Sullustan, a wszyscy w tej chwili podejrzliwie popatrywali na dwóch żołnierzy ARC. Besany zastanawiała się, czy nie poprosić chłopców, żeby zdjęli hełmy - wtedy personel mógłby przynajmniej się przekonać, że pod białym plastoidem kryją się ludzkie twarze, a nie roboty. Z jakiegoś powodu chciała, żeby byli świadomi tej różnicy. Ale wiedziała również, że klonom zależy na łączności na wewnętrznym kanale. Jaing i Mereel z pewnością woleli zachować prywatność.

Musimy załatwić tę sprawę w taki sposób, żeby nie pogrążyć się jeszcze bardziej, postanowiła. Nawiązywanie przyjaznych stosunków z otoczeniem będzie musiało poczekać.

- Proszę wprowadzić program diagnostyczny, poruczniku - poleciła i cofnęła się o krok, żeby ułatwić Jaingowi dostęp do terminalu. Pracownica CBAR wyrosła przy nich jak spod ziemi; patrzyła mu na ręce, kiedy wsuwał do urządzenia datakartę i wklepywał polecenia.

- Jakiego dokładnie programu używasz, klonie? - spytała.

Besany aż się zjeżyła. Używanie określenia „klon” było w takiej sytuacji zdecydowanie głupim błędem - tym bardziej że kobieta знаła stopień i imię mężczyzny. Równie dobrze mogła mu powiedzieć, że jest śmieciem.

- Analizuję drogę dostępu - powiedział krótko Jaing. - Musimy się dowiedzieć, przez który terminal wirus wniknął do sieci, a potem usunąć go z systemu, biała kobieto z nadwagą. Chwilowe zaskoczenie szybko ustąpiło oburzeniu.

- Słucham? - wysapała gniewnie Ellik.

- Skoro pominęła pani mój numer i stopień - wyjaśnił Jaing - uznałem, że zwracamy się do siebie, posługując się opisem fenotypu rodzajowego.

To nie był najlepszy moment na dyskusję o formach grzecznościowych, ale Besany wiedziała, że reakcja Jainga świadczy o tym, jak bardzo takie incydenty działają Zerom na nerwy. Kiedy indziej uznałaby to za zabawne, ale teraz nie była pora na żarty. Agentka Ellik miała minę, jakby próbowała przetłumaczyć sobie słowa Jainga na jakiś bardziej zrozumiały język. Besany miała cichą nadzieję, że komandos daruje sobie kolejne docinki.

- W jaki sposób ten program... jak ma wytropić wirusa, skoro nam się to nie udało... poruczniku? - burknęła.

- Ponieważ to ja go napisałem, agentko Ellik, a jestem daleko inteligentniejszy niż ci, którzy stworzyli system nadzoru departamentu zaopatrzenia Republiki - wyjaśnił gładko Jaing.

Obrażanie się na żołnierza nie miało sensu - przedstawiał po prostu suche fakty. Ellik nie odpowiedziała; spojrzała tylko na klona spode łba, a Besany z całych sił próbowała sprawić wrażenie, że ciekawi ją, co znajdą w systemie.

- Mam - powiedział w końcu Jaing. - Oto wasz punkt wejścia: portal wprowadzania danych komunikatora.

- Sądziłam, że mamy odpowiednie zabezpieczenia filtrujące na wypadek ataku przez łącza - zdziwiła się Besany. - Jay, umów mnie proszę na rozmowę z szefem bezpieczeństwa systemu. Trzeba koniecznie zablokować kanał łączności. - Jaing i tak nie potrzebował już do niego dostępu. - Poruczniku, czy ma pan na to jakąś radę?

- Oczywiście, proszę pani - odparł słuźbiście komandos.

- Czy może pan zidentyfikować połączenia przychodzące? - spytała Ellik.

Jaing odsunął się trochę od monitora, żeby mogła się przyjrzeć wyświetlanym na nim danym.

- Niestety, obawiam się, że nie. Ten tutaj kod wskazuje na to, że...

- Ach, tak - mruknęła agentka. - Ta grupa numerów jest podporządkowana centrali publicznej.

- Jest pani bardzo dobrze poinformowana - zauważył Jaing, nie przerywając wprowadzania komend. - Rzeczywiście - to publiczny węzeł łączności w dzielnicy Fobosi. Uniwersytet. Ellik przymknęła na chwilę oczy.

- Jeżeli to jakiś studencki kawał... muszą tam mieć piekielnie zdolnych programistów.

- Ach, ta dzisiejsza młodzież - westchnął Jaing, wzruszając ramionami.

Widać było, że Ellik przestała traktować go jak robota. Najwyraźniej uznała też, że jako specjalista ma do powiedzenia więcej niż Besany.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, poruczniku, że mamy do czynienia z dzieciakiem, który włamał nam się do systemu dla zabawy?

- Gdybym miał obstawiać, agentko Ellik... stawiałbym na szpiegostwo przemysłowe.

- Dlaczego akurat przemysłowe?

- Ponieważ tajemnice spółek i związane z nimi korzyści są o wiele większe niż interesy planetarne. Zwykle szpiegostwo to przy tym betka.

- Nie wiem, co powinno nas bardziej martwić... - powiedziała z zatroskaną miną kobieta.

- Jeżeli trzeba, mogę oczywiście przeprowadzić podobne kontrole dla wszystkich kontrahentów Republiki, o których informacje są przechowywane w systemie Skarbu, począwszy od Obrony - wyjaśnił Jaing. - Ten program szpiegowski... bo właśnie z czymś takim mamy, jak sądzę, do czynienia, skoro nie ma śladów zmian... pewnie zbierał informacje, które uznał za użyteczne pod względem komercyjnym...

- Skąd to przypuszczenie?

- Gdyby to był wywiad wojskowy, agentko Ellik, szukaliby zupełnie innych informacji: specyfikacji, parametrów działań, częstotliwości zagłuszania... - ciągnął komandos. - Nie widzę nic takiego. Ktokolwiek buszował w sieci, szukał danych finansowych.

- Sprytnie - pochwaliła go agentka. - Bardzo sprytnie. Dam panu dostęp do kontrahentów obrony, proszę przeprowadzić kontrolę także tam. Wątpię, żeby w takiej sytuacji odrzucili pomocną dłoń.

Besany podziwiła stalowe nerwy Jainga. Czyżby zaplanował to wszystko wcześniej? A może po prostu improwizował, czyli, jak mawiał Skirata, wciskał jej głodne kawałki? Tak czy inaczej, właśnie dostali błogosławieństwo Republiki na swobodne hasanie po systemach KDY. Wszystko odbyło się tak naturalnie, tak swobodnie, że Besany zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę wie wszystko o Ordzie.

- Mógłbym przeprowadzić operację znaną jako „hartowanie celu” - zaproponował Jaing. - Spróbuję włamać się do ich systemu, żeby sprawdzić, czy jest dobrze zabezpieczony. Jestem pewien, że postarali się o ekspertyzę specjalistów, ale tak samo zrobił Skarb, co jednak nie uchroniło sieci przed szpiegowskim programem.

Ellik pokiwała z namysłem głową.

- Zaczynajcie od KDY. Załatwię to z szefem departamentu i z biurem Kanclerza. Czekać na moje potwierdzenie. Panie poruczniku, proszę przesłać ten program do naszego wydziału technologii informatycznej. - Spojrzała spod oka na Besany. - Chciałabym zapoznać się z wynikami kontroli personelu. Na wszelki wypadek - dodała. - Ci hakerzy mogą tu mieć jakąś wtykę...

- Właśnie to sprawdzamy, agentko Ellik. - Besany odwróciła się i omiotła wzrokiem zgromadzonych. - Jak tylko ochrona uwinie się z rewizją, przywróćcie system - poleciła. Ellik wyszła bez pożegnania, co raczej nikogo nie zaskoczyło. Chwilę później Jaing, Mereel i ślaniająca się na nogach z ulgi Besany skierowali się do turbowind. Mereel wyciągnął ramię i zatoczył nim krąg, a potem zerknął na wyświetlacz wbudowany w karwasz.

- Nie wykryłem pluskiew - powiedział i zdjął hełm. - To Szpieg.

Jaing również zdjął swój kubeł.

- Szpieg, jak nic - powtórzył za bratem. - Nikt nie zdołałby zapamiętać kodów wychodzących publicznej centrali łączności. A już na pewno nie ot, tak... dla rozrywki.

- Igrałeś z ogniem, Jaing - powiedziała Besany. Adrenalina zaczynała powoli opadać i dziewczyna czuła, że policzki palą ją żywym ogniem. - Czy dobrze zrozumiałam? Zamierzasz buszować bezkarnie w systemie KDY?

- Proszę paaaani! Prooooooże! - zaczął błaznować Mereel. - Czy mogę trochę poszpiegować? Nie zrobię dużego bałaganu... Wstrętny lizus!

- Zazdrościsz mi po prostu mojego nieodpartego zwierzęcego magnetyzmu, vod'ika - odgryzł się Jaing.

- O, właśnie się zastanawiałem, skąd ten smród.

- Żadna mi się nie oprze - powiedział Jaing niskim, uwodzicielskim głosem. - Nawet Ellik!

- Przeceniasz się, mój drogi! - parsknął Mereel. - Ale muszę przyznać, że do tego, co tam odstawileś, trzeba mieć gettse ze stali.

Besany obserwowała w milczeniu zmieniające się na tablicy cyfry, w miarę jak pokonywali drogę na czterechsetne piętro budynku.

- Nie rób tego więcej, Jaing - powiedziała cicho.

- Przy odrobinie szczęścia, nie będziemy musieli - odparł.

Komandosi włożyli z powrotem hełmy, a Besany poprawiła fryzurę i przejrzała się w lusterku. Nie chciała wychodzić z windy zaczerwieniona i z poczuciem winy wymalowanym na twarzy. Kolejny raz oszukiwała swoich przełożonych.

Kiedy drzwi się otworzyły, ruszyli prosto do jej biura. Po drodze mijali pomieszczenia, w których androidy ochroniarze nadal przeszukiwały biurka i szafki pod czujnym wzrokiem pracowników biura.

- Naprawdę zamierzasz dać jej dostęp do swojego programu? - spytała Besany, upewniwszy się najpierw, że jej terminal znowu działa.

- Zamierzam dać jej... program - powiedział Jaing. - Nikt się nie zorientuje w różnicy. To moja własność intelektualna i jeżeli chcą ją wykorzystać na rzecz Republiki, będą musieli mi za to zapłacić.

- Nie mówiąc już o tym, że nigdy nie namierzą kolejnego ukrytego w nim wirusa - dodał Mereel. - Wszystko pod kontrolą - Mrugnął do niej.

Besany pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Zaraz, zaraz... chcesz powiedzieć, że wcisnąłeś im kolejny kit?

Jaing wzruszył ramionami.

- Cóż, babka jest przekonana, że mają teraz program, który będzie wynajdywał szpiegowskie aplikacje, ale jest w błędzie. Równie dobrze mogą dostać więcej wirusów, o których nigdy w życiu się nie dowiedzą. Podsumowując... tak, myślę, że właśnie tak zrobiłem.

- Przypomnij mi, żeby nigdy nie grała z tobą w sabaka -wypaliła Besany.

Posługując się terminem wojskowym: było czysto. Kryzys został zażegnany. Besany mogła już wrócić do swojej codziennej rutyny - i strachu przed nakryciem na gorącym uczynku, chociaż musiała przyznać, że teraz bała się odrobinę mniej.

- Agentko Wennen? - Na dźwięk swojego nazwiska Besany obejrzała się nerwowo. Wołał ją robot pomocniczy.

- Wszystko w porządku, Jay? - spytała. - System jest już sprawny?

- Zespół ochrony osiem-siedem-beta natrafił na dowody świadczące o bezprawnym dostępie do danych i ich wykorzystaniu przez kogoś z personelu, proszę pani - doniósł robot. Besany westchnęła ciężko. Wracała do nużącej rzeczywistości dnia codziennego. Chodziło o spekulacje, jak nic - najwyraźniej mieli kilku uzależnionych pracowników. A zdawałoby się, że powinni być ostrożniejsi...

- Kto tym razem, Jay? - spytała. - Mam nadzieję, że chociaż im się to opłaciło...

- Chodzi o agentkę Jilkę Zan Zentis, proszę pani - wyjaśnił robot. - Przedstawiliśmy jej zarzuty nieautoryzowanego korzystania z informacji leżących poza zakresem jej obowiązków, sporządzanie flimsikopii poufnych danych i usuwanie informacji z systemu.

Besany zamarała. Jej niedawna ulga okazała się boleśnie krótkotrwała. Zera nie dały nic po sobie poznać, jakby nie wiedziały, o co chodzi.

- Czy to... - zająknęła się. - To tylko uchybienia proceduralne, zgadza się? - Niektóre dane nie miały prawa opuścić budynku ani na datakartach, ani w wersji drukowanej. - Jestem pewna, że to pomyłka. A poza tym, co to ma wspólnego ze mną? Ona pracuje w windykacji podatkowej... To nie mój wydział.

- Ale to pani odpowiada za naruszenie ochrony danych obrony, agentko Wennen. - Jay wykazywał nieskończoną cierpliwość, o ile roboty w ogóle mogły być cierpliwe. Besany zakładała, że tak. - A wszystko wskazuje na to, że szperała w danych dotyczących budżetu na obronę.

- To... niemożliwe - zaprzeczyła stanowczo Besany. Nie, to jakaś pomyłka! - przeszło jej przez myśl. - Jestem pewna, że doszło do nieporozumienia, nie pierwszy raz zresztą. Powiedz jej, żeby wracała do swojego biura. Porozmawiam z nią później.

- Przykro mi, proszę pani, ale to niemożliwe - oznajmił robot.

- Dlaczego?

- Zgodnie z procedurą jesteśmy zobligowani do zgłoszenia sprawy odpowiednim organom. Ach, stare dobre CSB, pomyślała Besany. Kapitan Obrim nie powinien mieć problemu ze zrobieniem z tym porządku - w końcu to on zatuszował sprawę udziału Besany w ataku na centrum medyczne.

- Zadzwoń w takim razie do CSB - powiedziała. - Potwierdzę zgłoszenie osobiście.

- Przykro mi, proszę pani, ale wykroczenie popełnione przez urzędnika państwowego podlega Wydziałowi Wewnętrznego Bezpieczeństwa Republiki. Zostali już poinformowani przez szefa ochrony.

Besany zaschło w ustach. WWBR był nowym tworem, niemającym nic wspólnego z CSB ani organami prawa cywilnego

i podlegał bezpośrednio zwierzchnictwu biura Kanclerza. Słowo „bezpieczeństwo” w nazwie było tylko przykrywką dla bezlitosnej maszyny zniewolenia.

- Cóż... w takim razie wkrótce z pewnością zorientują się, że złapali nie tę osobę, co trzeba.  
- Wzruszyła ramionami.

Wiedziała, że tak było, ponieważ to ona była winowajczynią.

W tej chwili nie przychodził jej jednak do głowy żaden sposób na wyratowanie przyjaciółki z oparów, tak żeby jednocześnie nie ściągnąć kłopotów na głowę Skiraty, Orda i wszystkich, którzy byli jej drodzy.

Cóż, wyglądało na to, że teraz miała przekonać się na własnej skórze, co oznaczają „skutki uboczne”...

Koszary kompanii Arca, Coruscant, później tego samego dnia

Coś było nie w porządku - i Darman o tym wiedział.

- Czy nie powinniśmy przypadkiem polować teraz na złych koleśki? - Niner oparł się o transpastalową ścianę świetlicy wychodzącą na plac defilad. Dotykał czołem przezrystej tafli, a ręce trzymał w kieszeniach swojego czerwonego kombinezonu. - Nie ma odprawy? Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi?

Darman siedział na krześle, trzymając nogi na stojącym w pobliżu stoliku i próbował się przygotować psychicznie na spotkanie ze Skiratą. Nie mógł tego dłużej odkładać, kiedy jednak oddzwonił do Kal'buira, Skirata nie odpowiedział. Dar wsunął komunikator do kieszeni i po raz kolejny powtórzył sobie w myślach długi monolog, który zamierzał wygłosić przed Etain.

Nie mogę wiecznie tego od siebie odsuwać, pomyślał. Muszę zobaczyć Kada. Jest moim synem.

- Dar? - odezwał się Atin.

- Nie pytaj, At'ika.

- Wydawało mi się, że mieliśmy pracować z Drużyną Delta. Gdzie oni są?

- Wiesz, że nie możemy nic zrobić, dopóki nie dostaniemy wyraźnych rozkazów - burknął.

- Aż tak cię nosi?

- Nie, Dar. Myślałem, że może wiesz... - rzucił Atin.

- A skąd u licha miałbym wiedzieć? - warknął. - Jestem tylko pionkiem. Robię, co mi każą.

Corr wyglądał, jakby kompletnie nie interesowała go wymiana zdań kolegów. Badał właśnie jedną ze swoich protez przedramion: odsłonił spod syntskóry skomplikowany mechanizm i poświęcił się bez reszty studiowaniu miniaturowych serwomotorów. Stracił obie kończyny tuż powyżej łokci i czasem sprawiał wrażenie, jakby jeszcze nie pogodził się z tym faktem. Od czasu do czasu ściągał syntskórzane powłoki i tak paradował, strasząc obnażonymi przewodami.

Zdarzało mu się nawet szlifować wibroostrze o durastalowe palce zupełnie tak, jak czasem znudzone kobiety polerują paznokcie. Darman traktował to jak ostentacyjną chęć zwrócenia na siebie uwagi. Utrata jednej dłoni nie była niczym szczególnym i nie wzbudzała współczucia w społeczności, której zapewniano doskonałą opiekę medyczną, ale brak obydwu kończyn w jakiś niewyjaśniony sposób odzierał z części człowieczeństwa. Besany bardzo to przeżywała. Corr był pierwszym żołnierzem, z którym miała bliżej do czynienia.

- Dar? - odezwał się w końcu Corr. - Chcesz, żebyśmy poszedł z tobą?

- Dokąd? - spytał Darman, chociaż wiedział doskonale, o czym mówi jego towarzysz.

Bracia klony znali siebie na wylot, do tego stopnia, że potrafili czytać sobie w myślach. Zwykle było to budujące, ale tym razem Dar czuł się... osaczony. - Po co? - warknął.

- Ponieważ nie powinieneś iść tam sam. Chodź, zobaczmy tego twojego dzieciaka.

- Nie wiem nawet, gdzie on jest - przyznał się Darman. - Wyszedłem, zanim Etain zdążyła mi powiedzieć.

? - To ją spytaj.

Darman nie miał pojęcia, jak zareaguje na widok syna. Z całych sił próbował przypomnieć go sobie z tamtego spotkania, kiedy to Skirata przekazał dziecko w jego ramiona. Teraz wiedział już, dlaczego Kal'buir był wtedy tak wzruszony; wiedział też, że mały z pewnością zmienił się od tamtego czasu. Dzieci rosną tak szybko... Klony w Tipoca City były nieustannie otoczone swoimi młodszymi braćmi, ponieważ Kaminoanie nie zwracali sobie głowy ukrywaniem transpastalowych zbiorników podtrzymujących życie maluchów. Darman pomyślał, że wie wystarczająco dużo o rozwoju dzieci, żeby poradzić sobie z własnym.

- Dobra - powiedział i wybrał jeszcze raz kod Skiraty.

Niner nie musiał widzieć, co robi jego towarzysz, żeby wiedzieć. Podeszedł bliżej i obserwował go w milczeniu.

- Synku? - odebrał Skirata odrobinę zadyszany głosem. Bez dwóch zdań, był prawdziwym ojcem Darmana, formalnie i oficjalnie. Cóż, przynajmniej w świetle mandaloriańskiego prawa. - Synu... martwiłem się o ciebie. Wszystko w porządku?

- Tak - bąknął Dar. - Kal'buir, gdzie jest teraz mój syn?

- Laseema się nim opiekuje - powiedział Kal. - Chciałbyś się z nim zobaczyć? To wspaniały dzieciak.

- Tak.

- Etain próbowała się z tobą skontaktować.

- Wiem.

- Nie miej do niej pretensji, synu - poprosił Skirata. - To Wszystko moja wina, niczyja inna. Darman słyszał w tle głos Orda, ale nie rozumiał słów.

- Nie mogę go zabrać do koszar, dopóki jest tu Zey. Jedi porywają wrażliwe na Moc dzieci, ale nie zrobiliby tego pod moim okiem. Posłuchaj, mamy tu w tej chwili mały problem, ale za jakieś dwadzieścia minut albo coś koło tego postaram się dotrzeć do koszar i wtedy coś wymyślimy, obiecuję. Dobrze? - spytał.

Darman miał długą listę pytań, które chciał zadać Skiracie, ale na razie nie potrafił wykrztusić żadnego z nich. Rozłączył się i spróbował zebrać myśli. Chociaż wciąż jeszcze nie do końca pogodził się z tym wszystkim, był już spokojniejszy, a poza tym chwilowo nie miał obowiązków ani żadnych pilnych spraw. Wiedział, co powinien teraz zrobić. Pójdzie do Etain, weźmie Kada, rzuci w cholere WAR i wyruszy... cóż, gdzie go oczy poniosą. Prawdopodobnie na Mandalorę, chociaż nie znał dokładnej lokalizacji Kyrimorut. Fi wspomniał, że skoro miała być twierdzą dla dezertorów i renegatów, jej istnienie trzymano w tajemnicy.

Darman tęsknił za Fi. Jego marzeniem, jak zwykł określać ten idylliczny stan, tak odległy od obecnej sytuacji, było spokojne życie w otoczeniu najbliższych: braci, Etain, Jusika i całej reszty, którą darzył zaufaniem. Teraz do tej grupy dołączył również Kad. Tak - dokładnie tego chciał: patrzeć, jak Kad dorasta wśród rodziny i przyjaciół. Nie wyobrażał sobie, żeby mogło być inaczej. Nie chciał, żeby los wiecznie rzucał go z miejsca na miejsce. Nie chciał być odcięty od swoich bliskich przez resztę życia.

- Włożę lepiej zbroję - powiedział. - Nie mogę cały dzień byczyć się w kombinezonie.

O tej porze koszary kompanii Arca były dziwnie opustoszałe. Większość drużyn była w terenie i na miejscu kręciła się tylko garstka komandosów, przedstawiających raporty z misji, korzystających z opieki medycznej, pobierających sprzęt albo przechodzących dodatkowe szkolenia. Omegi miały cały kompleks dla siebie. Darman wziął prysznic i doprowadził do porządku swój kombinezon, a potem włożył pancerz, usiadł w szatni z hełmem na kolanach i czekał - Po chwili zjawiała się pozostała trójka z jego drużyny. Wyglądali, jakby oczekiwali ze strachem, że Dar wybuchnie, jeżeli powiedzą coś niewłaściwego. To było bardzo długie dwadzieścia minut.

- Idzie - powiedział cicho Atin.

Na podłodze korytarza zadudniły dwie pary butów - na pewno nie obuwia z ekwipunku WAR. Sądząc po dźwięku, były to mandaloriańskie cetare. Od kiedy Skirata dał sobie zoperować kostkę, jego chód nie był już tak charakterystyczny. Brzmiał teraz jak krok każdego innego żołnierza - no, może poza sporadycznym szuraniem. Widać Mandalorianin nie odzwyczaił się jeszcze od utykania. Podczas pobytu w koszarach zawsze nosił pełną zbroję, beskar'gam, zupełnie jakby chciał się odciąć od aruetyc atmosfery panującej na Coruscant i jej cywilnych trendów.

Kiedy jednak wszedł do pomieszczeń odświeżaczy, miał na sobie swój cywilny strój - kurtkę ze skóry banthy i brązowe spodnie. W połączeniu z ciężkimi mandaloriańskimi butami dawało to dziwny efekt. Za jego plecami stał Vau w swoim czarnym beskar'gamie, z hełmem pod jednym ramieniem i wiernym Mirdem u boku.

- Dar'ika - odezwał się Skirata. - Chodź do mnie, synku.

Darman posłuchał go wbrew własnej woli. Wstał i pozwolił, żeby Skirata otoczył go ramionami. Kal'buir uważał, że męski uścisk rozwiązywał wiele problemów — i zasadniczo miał rację. Jednak tym razem sprawy były nieco zbyt skomplikowane, żeby wystarczyło samo okazywanie uczuć.

- Wybacz mi - powiedział. - Wiem, że masz do mnie żal...

Atin, Corr i Niner stali z boku, oparci o szafki: moralne wsparcie brata w potrzebie.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, Buirl - spytał Darman. - Czemu Etain mnie okłamała? Czego się bała? Wstydzisz się mnie?

- Shab, ależ skąd, synu! - Na twarzy Skiraty malowała się udreka i zmęczenie. - Ta kobieta straciła dla ciebie głowę! To wszystko... moja wina. To ja zabroniłem jej mówić ci o wszystkim. Chciała, wierz mi... od samego początku, kiedy tylko dowiedziała się o ciąży, ale zagroziłem jej, że zabiorę dziecko, jeśli mnie nie posłucha.

Darman nie wierzył Kalowi. Skirata może i był bezlitosnym twardzielem, który nieraz uciekał się do przemocy, ale był też najtroskliwszym z ojców. Nigdy nie posunąłby się do grożenia kobiecie.

- Nie broń jej, Kal'buir.

- Nie bronię - zaprzeczył Skirata. - To prawda. Zapytaj Orda, bo był świadkiem naszej kłótni. Nie zamierzam się uchylać od odpowiedzialności. To ja zamknąłem jej usta i teraz wiem, że to był błąd, niezależnie od okoliczności.

Darmanowi nie podobało się uczucie, które zaczynało kielkować w jego piersi. Skirata był w jego dzieciństwie jedyną

bezpieczną przystanią, jedynym dorosłym, któremu ufał, tarczą chroniącą go przed Kaminoanami i wszystkim, czego się bał. Nie chciał uwierzyć, że to, co mówił mu teraz ten człowiek, może być prawdą. Etain... Etain była Jedi i niezależnie od uczucia, jakim ją darzył, nie znaczyła dla niego tyle, co Skirata.

- Pozwoliłeś mi trzymać syna na rękach - wykrztusił przez ściśnięte gardło - i nie powiedziałeś mi, że to moje dziecko.

- Przysięgam ci, synu, na wszystko, ori'haat zamierzaliśmy ci wtedy powiedzieć, ale sam stwierdziłeś, że nie jesteś gotów, żeby być ojcem, więc uznaliśmy to za nie najlepszy pomysł.

- Wy...

- W porządku: ja. Nie mieszajmy w to Etain. Ona jest jeszcze dzieckiem, tak jak ty. Nigdy nie miała szansy na normalne życie i postąpiła, jak umiała najlepiej. Potrzebowała rozpaczliwie kogoś, kogo mogłaby kochać, ponieważ nigdy jej na to nie pozwolono. Ma teraz ciebie i Kada. Powinienem był przewidzieć, jak to się skończy...



Darman wiedział już, czym jest narastające mu w piersi uczucie. Rozpoznawał je. Najwidoczniej Niner również wiedział, co się święci, bo przysunął się teraz do niego bliżej, jakby zamierzał chwycić go za ramię i powiedzieć, żeby się nie denerwował i że wszystko będzie dobrze. Darman czuł żal i wściekłość. Wiedział, że powinien kontrolować emocje.

- Dlaczego nie pozwoliłeś jej powiedzieć mi od razu?

- Sądziłem, że to cię wytrąci z równowagi podczas walki i możesz zginąć - wyjaśnił Skirata. Vau wciąż stał za nim bez słowa. Chociaż pokój był pełen żołnierzy, liczyli się teraz tylko oni dwaj: Skirata i Darman. - Nie miałem pewności, czy za bardzo się tym wszystkim nie przejmiesz... Wiem z doświadczenia, że czasem mężczyźni znacznie bardziej doświadczeni od ciebie robili dziwne rzeczy, kiedy dowiadawali się, że zostaną ojcami.

- A więc jestem dorosłym mężczyzną czy dzieckiem, który nie może sam o sobie decydować? - warknął Dar.

- Posłuchaj, myliłem się... - Widać było, że Skirata jest roztrzęsiony. Mówił łamiącym się głosem, a oczy lśniły mu od łez. - Miałeś prawo wiedzieć. Powinieneś być obecny przy narodzinach Kada. Odebrałem ci to i nigdy sobie tego nie wybaczę.

Racja, tu nie chodziło o Etain. Jakimś cudem, chociaż miał bardzo niejasne pojęcie o życiu w normalnej rodzinie, Darman wiedział... czuł, że dla dziewczyny cała sytuacja była równie trudna, co dla niego. Skirata był jednak dorosłym mężczyzną, który wiele widział, zaprawionym w bojach, ojcem i sierżantem - i taki ktoś powinien był podjąć właściwą decyzję.

- Chciałbym zobaczyć Kada - powiedział cicho. - Kiedy skończymy dziś służbę, chcę się spotkać z moim synem.

- Co z Etain?

Darman zastanawiał się przez chwilę. Tak, teraz był gotów, żeby z nią porozmawiać. Skinął głową, chociaż nie czuł się zbyt pewnie. Lawina ruszyła i nie potrafił jej powstrzymać. Musiał wiedzieć. Wszystko.

- Co się dzieje, Kal'buir? - spytał niepewnie. - Chodzi mi o... o całą tę sytuację. Wiemy, że nie jesteś wszechwiedzący, ale zawsze masz jakieś plany, o których nam nie mówisz. Kiedy z tobą rozmawiałem, powiedziałaś, że macie problem...

Skirata zerknął na Vaua, który wzruszył tylko ramionami i wyszedł z Mirdem pilnować drzwi.

- Proszę, kubły z głów. - Wskazał ich zbroje. - Chcę widzieć, że jesteście odcięci, wszyscy - zażądał.

- Nie ufasz nam? - spytał Corr.

- Oczywiście, że wam ufam, ale wolę dmuchać na zimne - wyjaśnił Kal. - Zaczynam mieć paranoję pod względem naruszania zasad bezpieczeństwa i wszystkich tych nowinek technicznych, które wymyślają aruetiise. Nie jest dobrze.

- Właśnie że jest wspaniale - rzucił Atin kwaśno i pokazał mu środek hełmu. Systemy były martwe. - Nie jesteśmy amatorami.

- Jaing też nie - westchnął Skirata. - A jednak któryś z republikańskich bubków zorientował się, że ktoś grzebał w ich sieci.

- Jakiej sieci? - spytał Niner.

- Departamentu Skarbu.

Darman wiedział od samego początku, że Besany przekazywała Skiracie dane. Kal mógł przewidzieć, co się stanie - a przynajmniej powinien się tego domyślać.

- Złapali Jainga na hakowaniu? Czy nakryli Besany?

- Pudło. - Sierżant pokręcił głową. - WWBR zgarnęło jej przyjaciółkę Jilkę. Obawiam się, że nawet sam Obrim ze swoimi znajomościami nic nie wskóra. Kobieta wie trochę za dużo, a to z kolei może zaszkodzić Besany.

- Ale co ona takiego zrobiła?
- O tym później - powiedział Skirata. - Teraz trzeba znaleźć Jilkę i uciszyć ją, zanim wypaple coś drabom Palpatine'a.
- Uciszyć? - powtórzył Niner z obrzydzeniem. Zrezygnowana mina mówiła, że jeżeli będzie trzeba, wypełni rozkaz, ale wcale nie musi go pochwalać i nie zamierza w związku z tym milczeć. -Zabrzmiało zupełnie jak „zlikwidować”.
- Jeśli będzie trzeba...

Atin zerknął na Darmana.

- To koleżanka Besany - powiedział z naciskiem.
- Może ją wkopać.
- W co? - spytał Niner.

Skirata wyraźnie robił coś niezbyt zgodnego z interesem Kanclerza. Dla Darmana był to dowód na to, że sierżant kombinuje coś za ich plecami, jakiś grubymi nićmi szyty spisek. Działał przeciwko Republice. Dar kochał i szanował Kal'buir, ale nie miał złudzeń co do stosowanych przez niego metod. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu jest zamieszany w jakieś ciemne sprawy: porwanie Fi, baza na Mandalorze, Ko Sai, bankowe machlojki Vaua na Mygeeto, o których członkowie Delti nie chcieli mówić - szykowało się coś poważnego. Skirata knuł coś razem ze swoimi Zerami.

- Wykrztuś to w końcu - rzucił Darman. - Jesteśmy już dużymi chłopcami. Udowodnij, że nas nie wkręcasz.

Skirata z pochyloną głową okrążył wolnym krokiem pomieszczenie. Wbijał wzrok w szare kafelki na podłodze, jakby przygotowywał się do ogłoszenia im czegoś nieprzyjemnego. Pilnujący wejścia Vau westchnął teatralnie i pokręcił głową w ten swój charakterystyczny sposób, który oznaczał, że kończy mu się cierpliwość i jeżeli Skirata zaraz nie weźmie się w garść, to on wejdzie do środka i sam im wszystko powie. Ale Darman chciał to usłyszeć od Kal'buir.

- Do jasnej shab, Kal! - jęknął Vau.

Teraz to Skirata westchnął.

- Ad'ike, to, co wam zaraz powiem, absolutnie nie może wyjść poza te ściany. Zrozumiano? Nawet jeżeli sam Kanclerz tego od was zażąda. Szczególnie on. - Spojrzał wymownie na Ninera.
- Ciebie również to dotyczy, chłopcze. Wiem, jak cenisz sobie szczerłość, ale wierz mi: to nie czas ani miejsce na zgrywanie stróża moralności.

A więc A'den musiał powiedzieć Skiracie o ich sprzeczce na temat dezercji i puszczenia Sulla wolno. Niner prawie się zachnął. Najwyraźniej poczuł się dotknięty.

- To nie będzie nic miłego, prawda, Kal'buir? - spytał.

Skirata już nad sobą panował, zupełnie jakby wcześniejszej rozmowy o dzieciach i kłamstwach wcale nie było.

- Proszę was o to nie dlatego, że wam nie ufam, ale dlatego, że zazwyczaj jeżeli czegoś nie wiecie, nie ma siły, żeby ktoś wam tę informację wydarł. Zazwyczaj - powtórzył z naciskiem.

- Dobra - powiedział Atin. - Po prostu nam powiedz.

- To nie Jilka wykradała dane Skarbu - westchnął Skirata. - To Besany. Na moje polecenie. To nie jest świat, w którym każdy dostaje adwokata i ma gwarancję uczciwego procesu. To świat, w którym, chcesz czy nie, popełniasz samobójstwo... tak jak ten wścibski biedak z wiadomości HoloNetu.

Wszyscy milczeli.

- A więc chcecie zlikwidować Jilkę, żeby ocalić Besany? - spytał w końcu Niner.

- To jedyne wyjście, Ner'ika, wierz mi - zapewnił go Kai. - Besany dokopała się do bardzo... poważnych dowodów. A poza tym nie chodzi tylko o nią.

- A o co, do shab? - wybuchnął Darman. - Dalej, Kal'buir, przestań nam wciskać kit!

- Palpatine tworzy nową armię klonów - powiedział Skirata ledwie słyszalnym szeptem. - Dużą.

To było jak policzek, chociaż nie powinni byli tego tak odczuć. Z pewnością chodziło o zwykłe wzmocnienie sił, dlaczego więc reagowali tak podejrzliwie?

- Co masz na myśli? Więcej takich jak my? - dopytywał Dar. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Kolejne klony Fetta, zgadza się, ale nie z Kamino - westchnął Skirata. - Widać pożarli się z Lamą Su. Ma własne fabryki, a do tego buduje potężną flotę. Podejrzewamy, że klony z cztertnastki to właśnie pierwsza partia. Na mieście jest coraz więcej nowych.

Darman czuł, że powoli przestaje to wszystko ogarniać. Coś tutaj było nie w porządku. Skirata ujawniał im właśnie informacje, które miały strategiczne znaczenie dla jednostek do zadań specjalnych. Jeżeli ktoś na górze planował rzucić do walki posiłki...

cóż, Kal powinien był im o tym powiedzieć wcześniej - tak samo jak o jego synu.

- Rychło w czas - mruknął Niner. - Nasze siły są już rozproszone tak bardzo, że można by przez nie czytać holozina. W porządku, Kal'buir, nie musimy znać szczegółów, ale wciąż nam nie wyjaśniłeś, jaki cała ta sprawa ma związek z Jilką.

- Niner, ner vod, zamknij się, dobrze? - ofuknął go Corr.

- Nie - wszedł mu w słowo Skirata. - Musicie znać szczegóły i całą resztę, ponieważ już wkrótce zacznie się robić naprawdę gorąco. Chcę, żeby wszystko było przygotowane do ucieczki. W pomieszczeniu odświeżacza zrobiło się nagle tak cicho, że Darman słyszał odległe echo kapiącej gdzieś z kranu wody.

- Dobra, zamieniamy się w słuch - stwierdził Niner.

- Dodatkowi żołnierze nie zostaną powołani do służby jeszcze przez najbliższe kilka miesięcy. - Skirata uniósł do góry dłoń, uprzedzając ich pytania i protesty. - Palpatine trzyma ich w pogotowiu; to dojrzałe, gotowe do walki klony. Podejrzewamy, że zostały wyhodowane w przyspieszonym trybie w komorach Spaarti. Trwa to rok lub coś koło tego, nie jak na Kamino, i są ich grube miliony. Palpatine planuje coś dużego, a fakt, że trzyma to wszystko w tak ścisłej tajemnicy sprawia, że robię pod siebie ze strachu. Dlatego plan wygląda tak: kiedy Palpatine wciśnie wielki czerwony guzik, spływamy stąd. I mam tu na myśli nas wszystkich.

Darman słyszał, jak Niner przestępuje niespokojnie z nogi na nogę, bo części zbroi otarły się z szelestem o materiał kombinezonu. Wielokrotnie zastanawiali się, co z nimi będzie, kiedy skończy się wojna, a teraz nagle wiedzieli. I czuli się... dziwnie.

Czy to jednak naprawdę oznaczało koniec wojny?

- A nie powinniśmy przypadkiem zostać i walczyć do końca? - spytał Corr. - Robić, co do nas należy? To niegrzecznie, wychodzić przed końcem przyjęcia.

- Synu, nie znam szczegółów, ale wierz mi, nie warto ryzykować. - Skirata zapiął kurtkę, jakby szykował się do zakończenia dyskusji. - Im więcej wiem, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że dla takich jak wy czy ja źle się to wszystko skończy. Ja... my... to znaczy, Zera, Vau i ja przygotowaliśmy drogę ucieczki i schronienie dla każdego żołnierza, który chce zakończyć służbę w WAR inaczej niż w plastikowym worku. Poza tym jesteśmy coraz bliżej odkrycia sposobu na zatrzymanie procesu

przyspieszonego starzenia. To będzie jak nowe życie, ad'ike... długie życie jak innych ludzi.

Wchodzicie w to? Czy pójdziecie ze mną, kiedy dam wam znak, że czas się związać?

Znowu głębokie milczenie.

Kap... kap... kap... - do pierwszego kranu dołączył kolejny.

- A więc to prawda, co mówili o Ko Sai - odezwał się w końcu Niner.

- To nie my ją zabiliśmy, synu, ale tak... mamy jej badania -potwierdził Kal.

Każdy potrzebował w życiu wiary w to, że pewne rzeczy są stałe, niezienne. Darman zdawał sobie sprawę z tego, że niektórzy wymagają jej więcej, jak na przykład Atin, ale jeśli chodziło o niego samego, chciał tylko mieć pewność, że Kal Skirata był kimś, z kim klony mogły się utożsamiać, kto stanowił dla nich wzór do naśladowania. A w tej chwili miał wrażenie, że traci grunt pod stopami i spada w przepaść. Nie mógł już ufać Kal'buirowi. To, co nieznanne i niewidoczne dla oczu, było gorsze niż kłębiące się na horyzoncie czarne chmury.

- Nie powiedziałaś nam... - szepnęła. - Znowu zdecydowałaś za nas.

- Dar, daj spokój - przerwał mu Corr. - Taka już nasza żołnierska dola...

- Kal'buir, oszukiwałaś nas. To dokładnie to samo, co ukrywanie Kada. - Darman patrzył Skiracie w oczy, a nozdrza falowały mu gniewnie. Czuł rosnące gdzieś za oczodołami ciśnienie, jakby jego głowa miała lada chwila eksplodować. Nie potrafił dłużej powstrzymać złości. - Czego jeszcze nam nie powiedziałaś?! - wykrzyknął. - Jak mamy ci po tym wszystkim ufać?!

- Dar, tak mi przykro... - Skirata położył mu dłonie na ramionach, chcąc go uspokoić, ale Darman go odepchnął. - Właśnie dlatego mówię wam o tym wszystkim teraz...

- Pytam, czego jeszcze!

- Nic więcej przed wami nie ukrywam - powiedział spokojnie Kal. - A przynajmniej nie wydaje mi się, żeby...

- Skąd mamy w ogóle wiedzieć, czy to wszystko to nie jedno wielkie osik? - rzucił gorzko Dar. - Stek kłamstw!

W oczach Skiraty coś się zmieniło. Wyglądał, jakby coś w nim pękło, i Darman zrozumiał, że zranił go do żywego.

- Nie jestem może świętym z Asratu, przyznaję. Jednak cokolwiek zrobiłem... i jakkolwiek głupie by to było... zrobiłem to, ponieważ kocham was, chłopcy. Bardziej niż jesteście sobie w stanie wyobrazić.

- Kłamca - warknął Darman. - Kłamca! - powtórzył głośniejszym głosem, a potem uderzył Kal'buirowa w twarz.

Jak przez mgłę, poczuł impet uderzenia, ból w dłoni i ramieniu. Ktoś do niego krzyczał, żeby przestał, ktoś inny szarpnął go za ramię, ale nic nie mogło go teraz powstrzymać. Skirata zatoczył się na pokrytą kafelkami ścianę. Dar niejasno zdawał sobie sprawę, że on również krzyczy:

„Zostawcie go! Zostawcie! Wyoście się i zostawcie nas samych!”, ale nie zważał na nic - nawet kiedy ogarnęła go fala obrzydzenia i przerażenia. Uniósł Skiratę do góry i uderzył ponownie.

Usłyszał stłumione stęknienie i poczuł na twarzy coś mokrego, ale Skirata nie odwzajemnił ciosu.

- Już dobrze, synu - wykrztusił tylko, próbując stanąć na nogi. Darman widział tylko krew, nic więcej. - Już w porządku. Wyrzuć to z siebie. Sam się o to prosiłem.

Po wszystkim Darman pamiętał tylko tyle, że następne sekundy - a może minuty? - były serią zadawanych bezlitośnie, na oślep, ciosów. Bezludnie, bezmyślnie - wszystko przestało istnieć, w końcu nawet Skirata. Była tylko dzika furia, napędzana strachem - i Darman dawał się ponieść, bo wiedział, że jeżeli nie da jej upustu, po prostu się udusi. Jak przez mgłę słyszał krzyki Vaua, który wrzeszczał na innych, żeby się wynosili i zostawili to im dwóm.

A potem słyszał już tylko chrapliwy, urywany oddech. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że to on tak dyszy. Skirata również próbował rozpaczliwie zaczerpnąć powietrza. Kiedy Dar spojrzął na swoje dłonie, z przerażeniem zobaczył, że są poranione i pokrzwawione. Natychmiast pomyślał, jakie to szczęście, że nie miał na sobie opancerzonych rękawic. Otrząsnął się i uniósł na Kala przerażony wzrok.

- Kal'buir... Ja... Przepraszam, tak mi przykro!
- Skirata siedział pod ścianą w dziwnej pozycji. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę. Kiedy spróbował wytrzeć nos i usta, tylko pogorszył sprawę. Darman stał jak sparaliżowany. Przytłaczało go przerażenie i żal, a od zapachu krwi zbierało mu się na mdłości. Jakimś cudem zdołał się przemóc i pomógł Kalowi podźwignąć się na nogi.
- Chcesz porozmawiać, synu? - Skirata oparł się o ścianę jedną ręką i splunął do najbliższej umywalki. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem. - Czy... chcesz pobyc przez chwilę sam?
  - Przepraszam... Shabl -jąkał się Dar. - Wybacz mi, Buir...
  - To ja przepraszam - stęknął Kal. - Już dobrze. Chodź do mnie - powiedział łagodnie i przytulił go do serca, chociaż dla kogoś obserwującego całą scenę z boku mogło to wyglądać raczej tak, jakby Kal uwiesił się komandosowi na szyi, żeby się nie przewrócić. Darman miał wrażenie, że jego ciało przestało go słuchać. Nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że to on zrobił Kal'burowi coś takiego. Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło, ale czuł niewyobrażalną ulgę, że już sobie poszło. A Skirata obejmował go czule, jakby nigdy nic.
  - Już dobrze - wymamrotał. - To jak, synu?
  - Nie chcę rozmawiać - powiedział cicho Darman. - Ale nie chcę też być sam.
  - Wszystko będzie dobrze, nic się nie martw. - Kal znowu splunął krwią i w umywalce coś zagrzechotało. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

## ROZDZIAŁ 10

Co więc jest złego w byciu najemnikiem? Czy cała ta wasza wojenka jest coś warta? A jeżeli tak - czy liczy się, kto dla was walczy? Czy nie jesteśmy do szpiku kości przesiąknięci ślepą wiarą w słuszność waszych racji, skoro chwytamy dla was za broń? Wolelibyście może, żeby to wasi mężczyźni i kobiety przelewali za was krew? Skoro ta wojna jest taka szlachetna, taka konieczna - dlaczego nie walczycie w niej sami? Przemyślcie to sobie dobrze, zanim zaczniecie nas opluwać, aruetii.

Jaster Mereel, Mand'alor, ArOri'Ramikade, podczas rozmowy z regentem Mek va Uil, na dziesięć lat przed śmiercią z rąk towarzysza, któremu ufał

Koszary kompanii Arca, trzy godziny później, 998 dni po Bitwie o Geonosis

Postać generała Zeya wypełniała prawie cały korytarz - poły jego płaszcz trzepotały wściekle, kiedy pędził korytarzem jak szarżująca bantha.

A przynajmniej zdaniem Scorcha tak to wyglądało. Zey wkroczył na ścieżkę wojenną. Scorch wiedział, że w te ciche dni, kiedy każdy zdawał się balansować na krawędzi wścieklej furii, lepiej było położyć uszy po sobie. Męczyło go jednak bezczynne oczekiwanie na rozkazy w atmosferze tak napiętej, jakby lada moment coś miało gdzieś wybuchnąć.

Vau i Mird zbliżali się do Jedi kursem kolizyjnym, jakby nie dostrzegali jego wzburzenia.

- Sierzancie Vau! - warknął Zey. Ach, więc już nie „Walonie”... - Co, na litość Mocy, przytrafiło się Skiracie?! Właśnie go spotkałem...

Vau był jedyną znaną Scorchowi istotą, która potrafiła zatrzymać się w sposób obraźliwy dla rozmówcy.

- Nic mu nie jest - rzucił flegmatycznie.
- Właśnie że jest! - zaprotestował wzburzony generał. - Jest ciężko ranny! Nie może nawet prosto siedzieć!

Vau odetchnął głęboko.

- Prowadziliśmy, mandaloriańskim zwyczajem, dyskusję filozoficzną - powiedział obojętnie. - Przekonywałem go, że jedynym sposobem na potwierdzenie rzeczywistości jest świadomość jednostki, ale on upierał się przy istnieniu wyższych wartości moralnych, które miałyby ponoć stać wyżej niż wolna wola. Więc dałem mu w ryj.

Zey nawet nie mrugnął.

- Schowaj te swoje żarciki do kieszeni - burknął.
- Uważam po prostu - odparł lekko Vau - że powinien pan się trzymać z dala od spraw klanów Mando, generale. Dla własnego dobra. A teraz... chce pan raport czy nie?  
Zey wskazał sierżantowi boczny korytarz. A więc ten podły chakaar naprawdę szpiegował Skiratę... Scorch był naprawdę zaskoczony - a nawet odrobinę rozczarowany, ale Zey miał swoje powody, a poza tym Vau zgodził się wykonywać rozkazy. Stał bliżej i spróbował udawać, że nie podsłuchuje.
- Szybko wam poszło - mówił Zey.
- To tylko jakaś głupia biurwa, panie generale - wyjaśnił Vau znużonym głosem. - A to znaczy, że Skirata nie jest zdrajcą. Nawet jeżeli mała łajza z niego o lepkich łapach, która ukradłaby panu zęby, gdyby się pan do niego uśmiechnął, to nie on w tym maczał palce. I szczerze wątpię, żeby miał pan jeszcze okazję przyłapać go na jakichś machlojkach, ponieważ chyba już pojął swój błąd.  
Scorch spróbował przełożyć to sobie na bardziej zrozumiały język. Wyszło mu, że Vau sprawił Skiracie tęgie lanie za robienie problemów i wymógł na nim obietnicę, że nigdy więcej nie tknie funduszy ani sprzętu Republiki. To było... dziwne. Scorch zawsze uważał Skiratę za wzór Mandalorianina, nawet jeżeli sierżant musiał stawać na skrzynce, żeby dać Vauowi z bańki.
- Cieszę się. - Zey skinął głową z wyraźną ulgą. - Nie chciałbym myśleć, że źle oceniłem motywy jego działania.
- Wciąż czeka nas wiele pracy, generale - przypomniał mu Vau. - Podejrzana... ta urzędniczka, którą przetrzymuje WWBR... Kanclerz może sobie do woli powoływać wewnętrzne agencje wykonawcze, ale osobiście nie pokładam wiary w niczyje zdolności śledcze poza moimi. Chciałbym z nią porozmawiać.
- Powodzenia - mruknął Zey. - Jestem tylko głównodowodzącym oddziałów specjalnych. Nie mam kompetencji...
- Dokładnie - stwierdził radośnie Vau. - A WWBR ma nas gdzieś i dlatego zamierzam się do nich przejść i wyciągnąć tę kobietę osobiście, jeżeli zajdzie taka potrzeba.  
Zey rozłożył ręce w geście udawanej bezsilności.
- Moja władza nie sięga poza wyjście z tego budynku.
- Wiem. - Vau pokręcił głową. - Chcę tylko twojego błogosławieństwa.
- Ależ to... absurd!
- Zapewne tak samo jak plotki, które słyszałem na temat zmasowanego ataku wroga, który ma niedługo nastąpić? Mam różne źródła, wie pan, generale.  
Zey odchrząknął, zatarł dłonie w ten charakterystyczny dla Jedi sposób i łypnął na Vaua spod oka.
- Czy próbuje pan wy badać mnie na obecność Ciemnej Strony, generale? - zakpił Vau.
- Nie wyczuwam nic mrocznego, tylko spokój.
- Słyszałem to już nieraz - prychnął sierżant. — A to powinno tylko włączyć twój alarm, jetii. Widać twoje zmysły potrzebują kalibracji. Żaden z was nie potrafi wyczuć mroku, nawet kiedy ten paraduje mu w najlepsze pod samym nosem.
- W porządku, niech ci będzie. Masz moje pozwolenie - burknął Zey. - Ale jeżeli coś pójdzie nie tak, radź sobie sam.
- Nawet nie przyszłoby mi do głowy prosić cię o pomoc.  
Była to kolejna z wielu „rozmów, których nie było”. Zey odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem; poły jego płaszcz łopotały jak skrzydła gigantycznego jastrzębionietoperza.
- Co mamy robić, sierżancie? - spytał Scorch Vaua, kiedy ten wyszedł z korytarza.  
Sierżant przywołał Mirda do nogi.

- Nic.
  - Ale, panie sierżancie, możemy przecieżyć...
  - Nie, nie możecie - powiedział twardo Walon. - Przykro mi. To nie wasza sprawa, wolę was w to nie mieszać. Chciałem tylko uprzedzić Zeya o moich planach, ale lepiej będzie, jeżeli nie będziecie znali szczegółów.
  - Tak jest, panie sierżancie. - Scorch aktywował łącze swojego hełmu. Zastanawiał się, dlaczego Vau uznał, że nie są na tyle dobrzy, żeby zmierzyć się z WWBR. - W ciągu pół godziny będzie miał pan schematy budynku i plan działania.
  - Chrzanić plan, Scorch, ale schematy... bardzo chętnie. Idź się lepiej trochę zdrzemnąć. Na Kashyyyku może być ciężko.
  - Tak jest, panie sierżancie. - Do odlotu zostało jeszcze trochę czasu i Scorch nie chciał spędzić go bezczynnie. - Ale naprawdę... dalibyśmy radę...
  - Wiem - zapewnił go Vau. - Ale ta sprawa jest zbyt delikatna nawet dla oddziałów do zadań specjalnych. Skupcie się na Kashyyyku. To nie będzie kaszka z mleczkiem. - Uniósł do góry kciuk i ruszył w stronę kwater.
- O co chodziło z tym całym wielkim atakiem? - zastanawiał się Scorch. Z pewnością coś się kroilo, a Vau był mistrzem w niedopowiedzeniach. Mówił zawsze tylko tyle, żeby dać wszystkim do zrozumienia, że coś wie, ale nic więcej.
- Tak czy inaczej, jedno było pewne - był specjalistą od spraw Jedi.
- Scorch starał się stłumić ciekawość i przestać nad tym wszystkim zastanawiać. Nie obchodziło go, skąd Vau czerpał wiadomości. Cieszył go sam fakt, że wie - i wierzył, ponieważ dobrze pamiętał, co Mandalorianin powiedział im kiedyś na Kamino: „Zrobię wszystko, żebyście umieli przetrwać w każdej sytuacji -nawet jeżeli będzie mnie to kosztowało życie”.
- Tak jest, panie sierżancie - mruknął pod nosem. - Wiemy o tym.
- Kyrimorut, Mandalora
- Ale przecież mógłbym lecieć - marudził Fi. - Proszę, Parja... Mogę? Proooszę...
- Fi wiedział tylko tyle, że na Coruscant nie dzieje się za dobrze. Jusik szykował się do powrotu dzień wcześniej, niż zamierzał. Nigdy do tej pory nie łamał danego słowa - jeżeli mówił, że zostanie cztery dni, to siedział bite cztery dni.
- Teraz jednak pakował swoje rzeczy do oznaczonego śladami trafień myśliwca typu Agresor - i wyglądał na bardzo zaaferowanego. Metamorfoza Jusika ze skromnego Rycerza Jedi w twardego Mandalorianina - i to nie tylko zewnętrzna - była zawrotnie szybka, jakby jego przyjaciel po prostu wymienił jeden zestaw przekonań na drugi. Może tak właśnie wpływało na psychikę uczenie się od małego wierności ideałom? We wszystko, co robił, Jusik wkładał całe serce. Fi wiedział doskonale, jak to jest, kiedy traci się grunt pod nogami i wszystko wali się w gruzy. Wyglądało na to, że Bardan nie przestał gustować w szybkich i niebezpiecznych statkach. Agresor był myśliwcem używanym chętnie przez łowców nagród - miał przyzwoity hipernapęd, a nawet cele, w których w razie potrzeby można było przewozić jeńców.
- Skoro nalegasz, F'ika - westchnęła Parja. - Pamiętaj tylko, że jesteś dezterterem, teoretycznie trupem i skradzioną bezprawnie własnością Republiki, więc lepiej nie daj się złapać. Jusik zapiął torbę, udając, że nie słyszy tej wymiany zdań.
  - Jedyna dobra rzecz w byciu Jedi, to fakt, że nigdy nie ma się problemu z pakowaniem - powiedział. - Teraz muszę wymyślić, czego się pozbyć, żeby podróżować z nadświetlną.
  - Mnie? - spytał Fi półżartem. Wiem, że jestem ci kulą u nogi, dodał w myślach.
  - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - ofuknął go Bardan.
  - Obiecuję, że nie będę zawadzał...

- Rozmawiałem przed chwilą z Kal'buiem - zmienił temat Jusik. - Mamy kilka problemów do rozwiązania. Dar w końcu dowiedział się o Kadzie, więc przynajmniej to mamy z głowy.

- Dlaczego tak ci spieszo? - spytał Fi.

- Jesteśmy już prawie na finiszu - wyjaśnił były Jedi. - Czeka nas masa roboty, trzeba wszystko zapiąć na ostatni guzik i Skirata potrzebuje każdej pary rąk.

- Powiedziałeś, że jestem już równie sprawny, jak przeciętny człowiek. - Fi postanowił, że poleci, nawet jeżeli sam będzie musiał dotrzeć do Jądra Galaktyki. - A to oznacza, że dorównuję Kal'buiowi, a jego byś na pewno zabrał...

Jusik spojrział na Parję, jakby szukał w niej wsparcia. Nic z tego.

- Bard'ika, wiesz, że wolałabym go mieć przy sobie - westchnęła. - Ale rozumiesz też na pewno, że powinien decydować sam za siebie. Będę na niego czekać. Mandaloriańskie kobiety nie zatrzymują swoich mężczyzn, kiedy ci ruszają na wojnę.

- Mogłabyś lecieć z nami - zaproponował Fi nieśmiało. - A poza tym... to przecież nie wojna.

- Nie muszę cię dłużej prowadzić za rączkę, Fi - odparła Parja. - Tak czy inaczej, ktoś powinien zostać w warsztacie. Interes musi się kręcić.

- To tylko kilka tygodni - zapewnił ją. - Szybko miną, zobaczysz.

Jusik obejrzał się przez ramię, jakby nasłuchiwał, ale zaraz wzruszył ramionami i zatrzasnął klapę ładowni.

- Nie zmienisz zdania, prawda?

- Nie.

- Weź go ze sobą, Bard'ika - powiedziała cicho Parja. - Martwię się o niego cały czas, kiedy nie ma go przy mnie, ale zmuszanie go, żeby został tutaj, nie wyjdzie mu na dobre.

Jusik nie odpowiedział. Podeszedł tylko do tępo zakończonej rufy stateczku i przyjrzał się jej krytycznie, jakby sprawdzał stan poszycia, ale Fi znał go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że coś kombinuje. Jakoś go to zaniepokoiło.

- Co się stało? - spytała Parja i sięgnęła po blaster.

Zrobiła to prawie bezwiednie, zupełnie jakby zamierzała się zabrać do jego czyszczenia, jednak kiedy odbezpieczyła broń, Fi zrozumiał: mieli towarzystwo. Nikt nie wiedział, że tu byli, więc nikt nie powinien ich znaleźć, ale Jusik z pewnością coś wyczuł.

- Może nic — mruknął Bardan, ale jego dłoń krążyła w okolicy miecza. Fi nie mógł przywyknąć do koncepcji Mando walczącego tradycyjną bronią Rycerzy Jedi. Jusik rzadko jej co prawda ostatnio używał, ale widać odruchy pozostały. Ciało pamiętało - nie musiał myśleć, żeby reagować. Rycerze Jedi zaczynali szkolenie w wieku czterech lat.

Fi bardzo długo nie używał broni palnej i teraz czuł się obco, trzymając swojego zmodyfikowanego WESTARA-20. Jusik odwrócił się do nich plecami i rozejrzał wokół czujnie.

- Na ziemię - powiedział cicho. - Fi, Parja... poszukajcie jakiegoś schronienia.

Dziewczyna chwyciła Fi za rękaw i wciągnęła go za jedno z bliźniaczych ramion manipulacyjnych Agresora.

- Podobno mieliśmy tu być bezpieczni - szepnął Fi. - To miejsce było trzymane w tajemnicy...

Jusik zrobił kilka kroków do przodu. Fi słyszał chrzęst żwiru pod podeszwami jego butów.

- Wiem, że jest was dwóch - zawołał Bardan. - Wiem, że nie jesteście wcale pewni, czy dacie radę mnie zabić... i potrzebujecie pomocy. Mogę nawet dokładnie określić waszą pozycję.



Brak odpowiedzi. Poza szumem drzew i odległym, rytmicznym pochrząkiwaniem szatuala na rykowisku ciszy nie zakłócał żaden dźwięk - nie było słuchać szumu silników ani rżenia odpalanej maszyny.

Szkoda, że Jusik nie był w swoim buy'ce. Mógłby wtedy przesłać Fi współrzędne celu. Cóż, właściwie to Fi też był bez helmu.

- No, dajcie spokój! - zawołał Jusik ze znużeniem. - Wiem, jak wygląda w Mocy sygnatura klonów. Każdy z was jest inny, vode, ale wszyscy jesteście podobni!

Jakieś piętnaście metrów od statku w trawie coś zaszeleściło. Parja zerknęła przez celownik swojego blastera.

- Chyba ich mam - mruknęła. - Stang! Ten twój Jedi to chodzący dalmierz. Mam przecucie, że to ten shabuir Sull i jego szurnięty kumpel.

- Widzisz ich?

- Nie.

- Nie strzelaj, cyar'ika. - Fi próbował namierzyć kryjówkę nieproszonych gości. Przed Gaftikarem był strzelcem wyborowym, doskonałym snajperem, więc bardzo przeżył spadek umiejętności do poziomu przeciętnego żołnierza. - To klony ARC. Znają swój fach.

Jusikowi zdarzały się napady lekkomyślnej brawury. Przez większość czasu był rozważnym, spokojnym mężczyzną, uwielbiającym majsterkowanie i dłubanie w różnych urządzeniach, jednak od czasu do czasu robił coś szalonego, jakby dla kaprysu. Fi przypomniał sobie ich karkołomny rajd skuterem repulsorowym po Coruscant i teraz patrzył z niemą zgrozą, jak były Jedi wychodzi lekkomyślnie na otwartą przestrzeń, wystawiając się na cel. Parja ostrożnie uklękła na jedno kolano i oparła łokieć na krawędzi kadłuba.

- Dobra, chłopaki, koniec zabawy - zawołał Jusik i rozłożył szeroko ramiona. - Parja, Fi! Nie strzelajcie, rozumiano? A przynajmniej dopóki Sull albo Spar nie zaczną.

Kilka sekund później w trawie się zakotłowało i z zarośli wynurzyły się dwie postaci w zielonych beskar'gamach.

- Osik! - warknęła Parja i wzięła intruzów na cel. - Byli dwa metry od miejsca, w które mierzyłam!

- Są dobrzy w myleniu przeciwnika - ocenił Fi. Obiecał Sullowi, że go zabije, gdyby ten zadarł jeszcze raz z Jusikiem, i zamierzał dotrzymać słowa, jeśli teraz shabuir choćby drgnie. - Tak samo jak w tropieniu. Chyba byliśmy ciut nieostrożni...

Wstał i ruszył w stronę Jusika, nie spuszczając z przybyszów celownika blastera, a Parja natychmiast rzuciła się, żeby go osłaniać. Żaden z ARC nie rzucił broni.

- Jeżeli macie ochotę wpakować we mnie seryjkę, nie krępujcie się - oznajmił lekko Jusik. W pierwszej chwili Fi pomyślał, że były Jedi szykuje jakiś fortel, ale zaraz dotarło do niego, że wcale nie żartuje. Bard'ika wystawiał się na cel w jakimś idiotycznym akcie martyrologii. - Zapraszam, droga wolna!

- Bard'ika, starczy tego dobrego! - krzyknął Fi i w dwóch susach dopadł do przyjaciela. - Dosyć!

- Fi... wiem, co robię - westchnął Bardan.

Spar zdjął hełm.

- Naprawdę jesteś szurnięty, Jedi. - Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Cóż, co prawda nie jestem już Jedi, ale byłem... i dlatego wciąż mam trochę na sumieniu - rzucił Bardan.

Spar schował blaster do kabury, za nim Sull, ale Fi ani drgnął, dopóki nie zjawiała się Parja i nie odciągnęła go na bok.

- Jakiś problem, panowie? - warknęła, patrząc na żołnierzy spode łba. - Idźcie pryskać swoim testosteronem gdzie indziej. Nawet nie wiecie, co znaczy być Mando'ade. Jeżeli jednak potrzebujecie lekcji, chętnie jej wam udzielę. To coś więcej niż tylko noszenie beskar'gamów.

- Jak nas znaleźliście? - spytał Jusik.

- Cóż, kiedy latasz czymś takim, automatycznie zwracasz na siebie uwagę - wyjaśnił Sull. - Spróbuj go następnym razem trochę lepiej zamaskować.

Jusik podniósł dłoń, ucinając protesty Fi, zanim jeszcze chłopak zdążył otworzyć usta.

- Racja, ner vod. Byłem nieostrożny. Czego od nas chcecie?

- Doszły nas słuchy, że Skirata może nam pomóc - powiedział ostrożnie Sull.

- Ach, ci ARC. - Jusik pokręcił głową z rozbawieniem. - Straszni z nich plotkarze!

- Czy to prawda? - spytał klon. - Naprawdę może sprawić, że będziemy wolniej się starzeć?

- Jeszcze nie.

- Ale pracuje nad tym, zgadza się?

- Jeżeli wasze źródło jest godne zaufania - powiedział Bardan - to znacie odpowiedź.

Wiecie też na pewno, że pomoże każdemu dezterterowi.

Sull spojrział z ukosa na Spara.

- To on pomógł ci w ucieczce z Kamino?

Spar uniósł brew.

- Stary sukinkot jest w porządku - rzucił tylko.

- W porządku, a więc idziemy na to - stwierdził Sull. - Jak możemy go złapać? Czy szuka już ludzi?

- Na Agresorze jest osiem miejsc. - Bardan wskazał ruchem głowy myśliwiec. - Wybieramy się na Coruscant. Jeżeli chwilowo nie macie nic lepszego do roboty, przyda nam się każda para rąk.

Fi uznał, że Bardan jest przesadnie łatwowierny. Miał ochotę złapać go za ramiona, potrząsnąć nim i krzyknąć, że nie może ot, tak sobie zgarniać dwóch żołnierzy renegatów Alfa i podrzucać ich Kal'buirowi czy Ordowi, ale w porę przypomniał sobie, że jego druh ma więź z Mocą, która była najlepszym doradcą. No, może poza pewnymi niedociągnięciami, jak na przykład zlekceważenie konieczności maskowania pojazdów. Nawet tutaj, na Mandalorze, musieli być ostrożni.

- W porządku - powiedział Sull. - Ruszajmy.

Jusik otworzył właz stateczku i poprowadził ich do małej ładowni. Parja dała Fi kuksańca, oparła ręce na biodrach i wbiła wzrok w ziemię. Dopiero teraz, na chwilę przed odlotem, dotarło do niego, że właśnie muszą się rozstać. Tęsknił za swoimi braćmi, czuł się bezużyteczny i miał potrzebę działania, ale... przecież tak długo marzył o kimś takim jak ona!

Jestem niewdzięcznikiem, pomyślał z poczuciem winy. Moje marzenia się spełniły, a teraz zapominam, jak strasznie jest być samotnym.

- Cóż, mówiłam, że warto cię poskładać do kupy - mruknęła dziewczyna. Więc Jusik i ja... udało nam się, więc... - zaplątała się, a na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. - Spakować ci na drogę jakiś prowiant? - spytała w końcu.

- Ja... hm, mam pełny plecak...

- Uważaj na siebie.

Fi był odrobinę rozczarowany, że nie błagała go, żeby został. Może mandaloriańskie kobiety tak właśnie postępowały? Zaciskały zęby i radziły sobie, jak umiały - jeśli oczywiście same nie były właśnie zajęte siekaniem wroga na kawałki. Nie marudziły, ale to czyniło pożegnania czymś jeszcze gorszym.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział cicho.

Shab, nie mógł przypomnieć sobie słów przysięgi. Sięgnął po swój komputerowy notes.

- Wyjdź za mnie - poprosił.

Parja wciąż była ubrana w poplamiony smarem kombinezon roboczy, a kieszenie miała wypchane narzędziami. Wytarła dłoń w spodnie i wyciągnęła ją do mandaloriańskiego uścisku: nadgarstek—łokieć. Fi chwycił ją za rękę.

- Pamiętasz słowa, F'ika? - spytała.

- Przeczytam.

- W porządku. - Skinęła głową. - Przeczytamy razem.

Spojrzała mu prosto w oczy. Powtarzał za nią tekst z minimalnym tylko opóźnieniem i całkiem nieźle wychodziło im składanie przysięgi bez potrzeby zaglądania do notatnika.

- Mhi solus tome - powiedziała, a Fi powtórzył posłusznie. -Mhi solus dar'tome, mhi me'dinui an, mhi bajuri verde.

Była to bardzo prosta przysięga, zobowiązanie, właściwie swego rodzaju umowa: razem stanowimy jedność, osobno stanowimy jedność, podzielimy się wszystkim, wychowamy wojowników. Nie trzeba było dodawać nic więcej.

- To wszystko? - zapytał Fi.

- Ta-a, teraz jesteś do mnie uwiązany. - Mrugnęła do niego łobuzersko.

- Bardzo się cieszę. Naprawdę.

- Skoro tak mówisz...

Jusik wystawił głowę przez otwór włazu.

- Czyżby coś mnie ominęło?

- Pobraliśmy się - oznajmił radośnie Fi. Czy czuł jakąś różnicę? Tak, czuł. - Jak widzisz, Parja przepuściła cały nasz majątek na suknię ślubną.

- Mir'sheb\ - Dziewczyna dała mu soczystego buziaka. -Ciesz się, że masz kobietę, która potrafi wymienić uszczelkę. A teraz słuchaj mnie uważnie, Bard'ika: masz mi go przywieźć z powrotem w tym samym stanie... no, może w ciut lepszym, bo inaczej ta galaktyka będzie za mała, żebyś zdołał się przede mną ukryć.

Długie, ckiwe pożegnania nie były najlepszym sposobem na rozstanie. Fi uświadomił to sobie z pewnym zdziwieniem i chociaż było mu ciężko, wiedział też, że ból rozłęki będzie niczym w porównaniu ze świadomością że żyje i umrze samotnie. To ten rodzaj bólu, który mógł rozpamiętywać, żeby przypominać sobie, jak wiele zyskał; mówić sobie, że ma dla kogo żyć i o co walczyć.

Agresor uniósł się w powietrze. Fi wpatrywał się w malejącą szybko postać w brązowym kombinezonie, dopóki nie znikła mu z oczu. Zamaskowana forteca wyglądała z góry jak zwykły pagórek.

- Nie powinieneś przypadkiem teraz świętować? - spytał Jusik i przełączył statek na autopilota. Sull i Spar siedzieli w ładowni na rufie. - To naprawdę smutne, rozstawać się tuż po ślubie...

- Hej, przecież nie zostawiam jej na zawsze! - zaprotestował Fi. - A poza tym już mieliśmy miesiąc miodowy... można tak powiedzieć.

- Cóż, będzie jeszcze czas na picie i hulankę - uznał Bardan.

To dobry pomysł, zdecydował Fi. Będą mogli uczcić to wspólnie. Wszystko wskazywało na to, że wojna miała się ku końcowi i nawet jeżeli Skiracie nie uda się znaleźć sposobu na spowolnienie tempa ich starzenia, on zamierzał korzystać z życia, ile się da.

Na przeszkodzie między nim a tymi szczęśliwszymi czasami stało teraz Coruscant. W tej chwili jednak nie liczyło się nic poza tym, że wracał do swoich. Wyjrzał przez iluminator i dopóki Agresor nie skoczył w nadprzestrzeń, patrzył w gwiazdy, rozmyślając o Sicko, pilocie JOI, który

zginął, pomagając Drużynie Omega dostać się na statek Separatystów. Przestrzeń była strasznym miejscem do umierania - bezkresnym i zimnym.

- Bard'ika - odezwał się po dłuższej chwili - mam dziwne przeczucie, że Kal'buir ostro się wkurzy, kiedy zobaczy, że przyprowadziłeś mu tych dwóch patafianów. Znaleźli nas, chociaż twierdzi nawet nie ma na mapie. A poza tym, skąd się dowiedzieli o badaniach? Dlaczego mielibyśmy im ufać na tyle, żeby brać ich ze sobą?

Jusik spojrział na Fi z namysłem.

- Póki siedzą grzecznie w ładowni, nie łązą w kółko i nie gędzą o tym, jak to łatwo nas znaleźli... nie szkodzą nam. Widać mają wtyki wśród żołnierzy ARC. Stawiam na Maze'a. Pewnie mu się nudzi i papie na lewo i prawo o głowie Ko Sai w pudełku.

- To niesmaczne.

- Dokładnie.

- Nie, żeby mi było z jej powodu przykro... - sprostował prędko Fi. - Nigdy nie traktowała nas jak ludzi, ale kiedy myślę o rzeczach, które wtedy robiłem... a które wydawały mi się absolutnie słuszne...

- To wojna, Fi - przypomniał mu Jusik. - Nie musisz się czuć winny. Naprawdę nie miałeś wyboru. Ale ona... tak.

- Wiesz, co mam na myśli, prawda?

- Czasami.

- Dobry z ciebie brat, Bard'ika.

Fi obliczył czas do lądowania na Potrójnym Zerze. Powinni dotrzeć do Galactic City o zmierzchu. Zaczynał czuć to dziwne

łaskotanie w brzuchu, podobne do zdenerwowania przed walką. Parja miała rację: to nie był zwykły powrót do bazy. Próbował się przekraść potajemnie z powrotem, w dodatku jako ktoś, kto właściwie nie istniał. Nie mógł sobie pozwolić na żaden fałszywy krok; nie mógł dać się złapać.

To było jak tajna operacja na terenie wroga. Ale akurat w tym zakresie Fi miał spore doświadczenie.

Coruscant, Potrójne Zero, było teraz terytorium nieprzyjaciela.

Apartament Laseemy, Coruscant

Etain nie odrywała wzroku od drzwi. Zaszło jej w ustach, a żołądek miała skręcony ze strachu w ciasny węzeł. Wyczuwała obecność Darmana, coraz bliżej, tak samo jak Skiraty.

Znała ich sygnatury w Mocy tak dobrze, że mogła wskazać lokalizację każdego z nich o każdej porze dnia i nocy. Od czasu do czasu zdarzały się odchylenia, ale na ogół odbierała ich w ten sam sposób: Skirata emanował mieszaniną głębokiej miłości i nienawiści, a Darman był niezmiennie oazą spokoju. Dzisiaj jednak w aurze każdego z nich wyczuwała subtelną zmianę. Darman promieniował udręką i niepewnością, a od Skiraty napływały fale bólu.

Ale nawet świadomość tych zmian nie przygotowała jej na to, co zobaczyła, kiedy weszli do środka.

- Kal, co ci się stało?! - zawołała.

Skirata wyglądał fatalnie. Garbił się lekko, jakby bolał go brzuch, a spuchniętą twarz pokrywała mozaika ran i sińców. Ktoś widać dał mu porządny wycisk. To Vau, przyszło jej od razu do głowy. Myślała, że sierzanci zakończyli swój długotrwały konflikt, ale wszystko wskazywało na to, że wybuchł z nową siłą.

- Dostałem to, na co sobie zasłużyłem - wymamrotał Skirata. Widać było, że mówienie sprawia mu ból. - Nie pierwszy raz i nie ostatni. - Pchnął ostrożnie Darmana przed siebie. - Idź, synu. Masz z kimś do pogadania.

- Kal... - zaczęła.

- Et'ika, po prostu się nimi naciesz. Nic mi nie będzie, nie martw się o mnie - mruknął. - Nie wiadomo, kiedy będziesz miała następną okazję spotkać się z nimi obydwoma. Wrócę rano, a Laseema zostaje na noc u rodziny Jallera.

Dzięki Kalowi uniknęła niezręcznego momentu powitania z Darem. Nie rozmawiali od chwili, kiedy wyszedł z jej kajuty na Stacji Nerrif i teraz Etain nie miała pojęcia, jak zacząć. Jednak w tej chwili wszystko przestało się liczyć. Darman objął ją i przytulił bez słowa. Ukrył twarz na jej ramieniu i ścisnął tak mocno, że prawie krzyknęła z bólu. Zerknęła mu przez ramię, żeby zobaczyć, co robi Skirata, ale Kala już nie było. Słyszała tylko cichnący odgłos jego kroków w korytarzu.

- Kad śpi - powiedziała. - Obudzę go.

- Na pewno nic mu nie będzie?

Wyglądało na to, że Darman bardzo naturalnie wcielił się w rolę troskliwego ojca.

- Oczywiście, że nie - uspokoiła go. - Śpi, kiedy jest zmęczony, ale trudno go przyzwycząić do stałej pory, bo i u nas różnie bywa z grafikami.

- Kto się nim zajmuje? - dopytywał Dar. - Laseema?

- Tak, jest naprawdę kochana - przytaknęła Etain. — Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili - tak samo jak bez Besany, Bardana i Kala. Ale chyba najwyższy czas, żeby poznał swojego tatę.

- Jasne. - Darman przełknął ślinę. - Jestem gotów.

- Nie wiem, co powiedzieć, Dar... - zaczęła.

- Nie musisz nic mówić - zapewnił ją. - Nie da się cofnąć czasu, ale możemy zapomnieć o tym, co się stało i zacząć od nowa.

To był właśnie cały Darman: nie potrafił długo chować urazy i był nieskończenie cierpliwy.

Jeżeli ktokolwiek uparłby się, że wszystkie klony są takie same, powinien poznać jego i jego braci. Różnili się między sobą tak samo, jak każda inna grupa przypadkowo wybranych z tłumu osób.

- Wybaczysz mi? - spytała.

- Oczywiście. - Dar cofnął się o krok i zaczął nerwowo skubać górną wargę.

Ten sam tik podpatrzyła wcześniej u Skiraty. W zwykłym, cywilnym ubraniu, bez kombinezonu i zbroi, która była jak etykieta wyróżniająca produkt z Kamino, Darman wyglądał na przeciętnego mieszkańca Coruscant. Etain pomyślała z nadzieją że ich rodzinę może jeszcze czekać zwykłe, spokojne życie.

- To byłem ja, Et'ika - odezwał się po chwili Dar. - To ja pobitem Kal'buirą.

- Co takiego? - Etain nie wierzyła własnym uszom.

: - To prawda - potwierdził. - Nawet nie próbował się bronić. Pozwolił, żebym okładał go pięściami i tylko w kółko powtarzał, że przeprasza...

Etain nie potrafiła wyobrazić sobie Darmana tracącego nad sobą panowanie, nie mówiąc już o skrzywdzeniu kogoś, kogo kochał. To w niczym nie przypominało bezwzględności, której wymagano od nich na wojnie.

Czy rzeczywiście? - zapytała się w myślach. A może po prostu tak ślepo wierzyła w głoszony przez Jedi pogląd, według którego przemoc była dopuszczalna, jeśli tylko nie wynikała z nienawiści czy gniewu, że przestała się nad tym w ogóle zastanawiać?

- Dlaczego? - spytała tylko.

- Powiedział nam o wszystkim, co do tej pory przed nami ukrywał. O wszystkim: o badaniach Ko Sai, o nowej armii klonów... Nazwałem go kłamcą. Krzychałem, że nie możemy mu ufać. Czuję... nienawidziłem go za to, że nie powiedział mi o Kadzie - tłumaczył jej. -

Właściwie nie chodziło chyba nawet o to. Ja... Przestałem myśleć, poniosło mnie. Zupełnie jak Scorch.

Po raz pierwszy Etain zdała sobie sprawę, jak bardzo klony przeżywały tę wojnę. Czym innym było przekonywać Jedi o konieczności traktowania ich po ludzku, a czym innym była świadomość, że ich człowieczeństwo ma również swoją mroczną stronę. Przywykła traktować ich jako całkowicie odpornych na stresy, ponieważ zakładała, że wyjątkowe zdolności chronią ich psychikę przed wstrząsami. Okazywało się, że dramat wojny odciskał swoje piętno i na nich - była to tylko kwestia czasu.

- Dlaczego mi przebaczył, Et'ika? - spytał Darman ze łzami w oczach.

- Ponieważ cię kocha - powiedziała łagodnie. - Jesteś jego synem. - Wiedziała, że bardziej niż rany Skiratę bolała utrata zaufania Darmana. - A czy ty mu wybaczyłeś?

Darman wpatrywał się w swoje dłonie. Otarcia i siniaki na knykciach były wstydliwą pamiątką świadcząca o zapamiętaniu, z jakim zaatakował Kala.

- Oczywiście. Ja... - zająknął się. - Naprawdę tego nie chciałem. Nie byłem wtedy sobą.

Ludzie często mówili, że zrobili coś niechcący i pod wpływem impulsu, ale raczej chodziło o to, że nie dopuszczali do siebie

myśli, iż pewne rzeczy mogą im przyjść do głowy, nie mówiąc już o wcieleniu ich w czyn.

- Czy sądzisz, że Skirata coś jeszcze przed wami ukrywa, Dar? - spytała ostrożnie.

- Nie wiem - odparł chłopak. - Ale teraz to i tak bez znaczenia.

Miłość i zaufanie nie zawsze idą w parze, uznała Etain. Postanowiła zmienić temat. Nie mieli dużo czasu i nie warto było trwonić go na smutki.

- Chodź, zobaczysz Kada - powiedziała.

Chłopczyk spał spokojnie i przez chwilę oboje stali nad jego łóżeczkiem, wpatrując się w dziecko z milczącym zachwytem. W końcu Etain wzięła synka na ręce i podała Darmanowi. Malec obudził się i wlepił w tatę okrągłe ze zdziwienia oczka. Czy odróżniał go od Orda albo Mereela? Może i tak, bo natychmiast szeroko się uśmiechnął. Cóż, właściwie uśmiechał się do wszystkich, ale tym razem... zareagował jakoś inaczej. A może to była tylko wyobraźnia Etain? Ale przecież poprzednio też silnie zareagował na Darmana...

- To ta-ta! - zaszczębiotała do niego. - Powiedz „ta-ta”, kochanie...

Oboje jak na komendę wybuchnęli płaczem.

Nie musieli nic mówić - wystarczyły uczucia. Nie trzeba było wyjaśniać niczego więcej. Resztę popołudnia i cały wieczór spędzili bawiąc się z Kadem i udając, że na zewnątrz wcale nie toczy się okrutna wojna, że nie mają obowiązków, które ich z nią łączą

i że są zwykłą, beztruską rodziną. Nagrali nawet na pamiątkę kilka rodzinnych hologramów. Był to szalony, upojny dzień, jakby na chwilę przenieśli się do jakiejś innej rzeczywistości - takiej jaka dla tylu rodzin była banalną codziennością. Etain pomyślała z goryczą o tych wszystkich, którzy marzyli, żeby oderwać się od prozy życia. Ona i Dar mieli aż nadto emocjonujących przeżyć.

- Cieszę się, że dałaś mu na imię Kad - powiedział Darman.

- Jesteś dumny, że rośnie z niego mały Mandalorianin? - spytała Etain.

- A czy będzie potrafił władać Mocą?

- Zaczęliśmy go z Jusikiem uczyć, jak ją kontrolować - przyznała. - Cóż, właściwie to powinien raczej ukrywać fakt, że jest na nią wrażliwy. Nie chcę, żeby upomniał się o niego Zakon.

- Naprawdę by to zrobili? - spytał Darman, marszcząc czoło.

- Owszem - zapewniła go. - Zrobiliby to z uroczym uśmiechem, ale nie zawahaliby się ani przez chwilę.
- Zakon wcale nie jest tak szlachetny, jak nas uczono na Kamino, prawda? - powiedział gorzko.
- Nie wszyscy Jedi są tacy, jak myślisz... - zaprotestowała.
- Mimo to chcę, żeby mój syn został Mandalorianinem.
- Ja też.

Wzięła Kada za rączki i poprowadziła w stronę taty, ale chłopczyk wyrwał się i sam do niego podreptał, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha. Darman patrzył z cielecym zachwytem, jak mały próbuje wgramolić mu się na kolana.

- Wygląda zupełnie jak ty - szepnął, chociaż na pierwszy rzut oka było widać, że Kad to wykapany ojciec. Miał duże, ciemne oczy i czarne włosy Dara i jego braci, jednak jego noski był wąski i odrobinę zadarty, tak jak nos Etain. - Powinienem być przy jego narodzinach, prawda? - spytał z zakłopotaniem. - Widziałem na holofilmach, jak to wygląda...

- W prawdziwym życiu nie jest wcale tak śliczne - powiedziała Etain. - Wierz mi, nie masz czego żałować. Nie byłam, hm... w najlepszej formie.

- Bolało?

- Nie chcesz wiedzieć.

Zabawne, jak łatwo się zapomina o bólu fizycznym. Etain patrzyła, jak Darman oswaja się z rolą ojca, i była zdziwiona, jak bardzo ten mężczyzna, w którym tak wiele było jeszcze z dziecka, przypomina Skiratę. Podczas zabawy z Kadem zachowywał się zupełnie tak samo, jak Kal - do tego stopnia, że robił nawet podobne miny, żeby rozśmieszyć chłopca. Pewne odruchy były widocznie instynktowne i ani klonowanie ani surowa dyscyplina na Kamino nie mogły ich stłumić, chociaż nie wszystko w graniu roli ojca przychodziło z naturalną łatwością.

Etain nigdy nie spotkała Jango Fetta, ale była pewna, że cechy Darmana nie są wyłącznie manifestacją jego genomu. Wpływ Skiraty widać było gołym okiem. Kal był ojcem Dara w pełnym tego słowa znaczeniu i wpoił mu zasady, które miały zdecydować, jakim on sam będzie ojcem dla swoich dzieci.

Aliit ori shya tal'din. No właśnie - rodzina była czymś zdecydowanie ważniejszym niż więzy krwi... i midichloriany.

## **ROZDZIAŁ 11**

W Mando'a istnieje więcej sposobów na obrażenie kogoś niż w którymkolwiek z popularnych galaktycznych języków. Podczas gdy większość obelg w mowach innych ras jest związana z przodkami lub wyglądem obrażanego, mandaloriańskie wyzwiska dotyczą głównie tchórzostwa, głupoty, lenistwa, gapiostwa albo braku higieny.

Znakomicie oddaje to ducha tego ludu wojowniczych nomadów, którzy bardziej niż więzy krwi cenią sobie przymioty ducha, których twarze przez większość czasu skrywają hełmy i dla których higiena i porządek w obozowisku mają kluczowe znaczenie.

Mandalorianie: tożsamość i język, wyd. Galaktyczny Instytut Antropologii  
Apartament Besany Wennen, Coruscant, 999 dni po Bitwie o Geonosis

- Nie zgadzam się na to! - krzyknęła Besany. Nie mogła dziś spać. Obudziła się w środku nocy, wstała i zabrała się do porządków. Ordo nie miał pojęcia, czy to u kobiet normalne, ale nie mógł się nie zgodzić, że efektywne wykorzystywanie czasu było dobrym pomysłem, kiedy ktoś nie mógł spać. Porządek stanowił podstawę dyscypliny.

Besany była bardzo zdenerwowana, a jeszcze bardziej wyprowadzał ją z równowagi fakt, że Ordo spał w najlepsze, podczas gdy nią szarpały wyrzuty sumienia.

- Wiem, że bardzo to przeżywasz... - powiedział, przypatrując się, jak gorączkowo szoruje naczynia z kolacji. - Wydaje mi się jednak, że powinnaś wyjechać. Robi się zbyt niebezpiecznie. Besany odwróciła się tak gwałtownie, że jej włosy rozsypały się w powietrzu lśniąca aureolą.

- Mam na myśli Jilkę! - fuknęła. - Jest w więzieniu! Może nawet ją torturują! A w dodatku to wszystko moja wina... - jęknęła. - Ordo, kochanie, wiem, że w twojej pracy to norma, ale dla mnie to okropne!

Ordo nie wiedział, jakie dowody naprowadziły służby na trop Jilki. Kobieta nie miała o niczym bladego pojęcia. Niezależnie od tego, jak bardzo WWBR starałoby się wyciągnąć z niej jakieś zeznania, nie mogła im zdradzić informacji, których po prostu nie miała. Tyle że podczas tortur ofiary mówiły często różne rzeczy - czasem wyssane z palca, żeby tylko ocalić życie. Nalał sobie kolejną filiżankę kawy i zastanowił się, co też porabiają Mereel i Jaing. Los wciąż rzucał jego braci z miejsca na miejsce i to uświadamiało mu, jak wiele czasu on sam spędzał w stolicy.

- Ordo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytała podniesionym głosem Besany.

- Oczywiście - zapewnił ją. - Przykro ci z powodu Jilki.

- Przykro?! - wykrzyknęła. - Przykro?! - Besany była olśniewająco piękną kobietą, o anielskiej wręcz urodzie, ale kiedy wpadała we wściekłość, jej wdzięk ustępował miejsca lodowatej pasji. Z zaciśniętymi ustami i oczami ciskającymi pioruny wyglądała jak wcielenie furii. - To moja wina! Moja przyjaciółka siedzi w celi WWBR zamiast mnie! Nie mogę na to pozwolić! Po prostu... tak nie można.

- Co więc planujesz? - Ordo nie wiedział, że obie kobiety były ze sobą tak blisko, ale wszystko wskazywało na to, że poza Jilką Besany nie miała w ogóle koleżanek. - Pójdiesz grzecznie do sługusów Palpatine'a i wszystko im wysypiesz? Wsypując przy okazji Kal'baira? Ujawnisz cały plan ucieczki?

- Ale ona jest niewinna... - jęknęła Besany.

Besany Wennen nie była żołnierzem i obca była jej idea koniecznych poświęceń. Dla Ordo również nie było to łatwe, ale kiedy nie miał innego wyjścia, potrafił się pogodzić z koniecznością wyboru mniejszego zła. Miał nadzieję, że nie będzie musiał dokonywać takich wyborów w życiu osobistym.

A poza tym, to Besany była dla niego całym światem, Jilka zaś kimś zupełnie obcym.

Z całych sił starał się zrozumieć zdenerwowanie swojej ukochanej, ale wiedział, że był zbyt podobny do Kal'baira: istniało ściśle grono osób, dla których ocalenia poświęciłby wszystko, a cała reszta musiała troszczyć się o siebie sama.

- Takie rzeczy zdarzały się zawsze - powiedział cicho. - Czasem musimy posłać całą kompanię żołnierzy na pewną śmierć, bo gdybyśmy ich ostrzegli, Separatyści dowiedzieliby się, że znamy ich plany.

- My? - wybuchła Besany. - Ty osobiście?

- Nie. - Ordo nie wiedział, czy zdołałby sam podjąć taką decyzję i wolał się nad tym nie zastanawiać.

- A więc nie wiesz, jak teraz się czuję - rzuciła ostro.

Problemem Besany była bezkompromisowa moralność. Ordo bardzo ją za to podziwiał i szanował. To dlatego nie godziła się na wykorzystywanie klonów i dlatego nadstawiała dla nich karku. Z tego samego powodu nie mogła się teraz pogodzić z aresztowaniem Jilki. Istniał tylko jeden sposób na uspokojenie jej sumienia: uwolnienie Zan Zentis z więzienia.

Ordo martwił się przede wszystkim tym, co kobieta mogła wysypiewać śledczym WWBR. Skirata musiał coś z tym zrobić, o ile już nie było za późno. Ordo stał przed dylematem: czy powiedzieć swojej żonie, że jej przyjaciółka mogła zostać uciszona na zawsze przez tych samych, za których Besany nadstawiała karku?

Musiał być ostrożny - no i nie chciał jej zmartwić. Zastanowił się, co powiedziałby na jego miejscu Kal'bair.



- Może to zabrzmieć nieprzyjemnie - zaczął - ale sama chciałaś mieć jakiś wkład w losy tej wojny. Niestety, tak to właśnie wygląda. Czasem przychodzi zapłacić wysoką cenę: poświęcić dobro bliskich, niekiedy oddać życie. Życie podczas wojny jest okrutne. To nie jest praca jak każda inna. Nie ma regulujących wszystko przepisów, a pod koniec dnia nie wracasz spokojnie do domu, układając w głowie plany na jutro.

To była naprawdę gorzka prawda. Ordo cieszył się, że udało mu się uniknąć przedstawienia całej sytuacji jako szczęśliwego zbiegu okoliczności. Mało brakowało, a wymknąłby mu się argument, że w tej samej chwili, kiedy Jilka jest przetrzymywana w areszcie, tysiące klonów giną i cierpią - a przecież też niczym sobie na taki los nie zasłużyły.

- Wiem - westchnęła Besany z rezygnacją. - Ale gdybym to ja była na jej miejscu, chciałabym wiedzieć, że ktoś jest gotów pospieszyć mi na ratunek.

- Może tak właśnie jest - powiedział ostrożnie Ordo. - Ale jeżeli nawet, to i tak na razie możemy tylko czekać.

Cóż, zinterpretuje to jak zechce, uznał. Ale co będzie, kiedy się dowie, że ją okłamał? Czy znienawidzi go za to?

Niezręczną ciszę przerwało pukanie do drzwi. Besany aż podskoczyła.

- Ja otworzę - powiedział Ordo i sięgnął po swój pistolet.

Było późno, a jedynym gościem, którego Besany mogła się spodziewać, był robot dostarczający zakupy, który jednak z pewnością zadzwoniłby najpierw z dołu komunikatorem. Pukanie do drzwi oznaczało, że gość niepostrzeżenie dostał się do budynku, a Besany nie należała raczej do osób, do których sąsiadki wpadały w środku nocy na kaf i ploteczki.

Ordo polecił jej gestem trzymać się z dala od okna i bezszelestnie przemknął krótkim korytarzem do drzwi wejściowych. Sprawdził obraz z kamery ochrony, ale nie zauważył nic podejrzanego. Wyłożony pluszowym dywanem kremowy hol był pusty. Tak naprawdę właśnie tego się spodziewał. Nastawił moc blastera na maksimum i rozejrzał się ponownie, a wtedy coś przykuło jego uwagę.

W pierwszej chwili uznał ciemny wyciek z kratki wentylacyjnej tuż nad podłogą za plamę smaru, ale przypominał sobie, że widział coś takiego już wcześniej. Nie spuszczał płamy z celownika, dopóki nie przekształciła się w dziwną, wypukłą kałużę.

- Przynajmniej tym razem zapukałeś - mruknął.

Plama zmieniła się w dużego czworonożnego, podobnego do piaskowej pantery drapieznika o lśniącej czarnej sierści i długich, rozdwojonych na końcach kłach. Stworzenie zamrugało i wbiło w niego spojrzenie pomarańczowych ślepiów.

- Zapukałem, żebyś tym razem się nie zdenerwował i nie wziął mnie na cel - odezwało się głębokim, dźwięcznym głosem. - Ale poprzednio strzelałeś do Jinart, a ja jestem Valaqil.

W drzwiach pojawiła się Besany i Ordo zmarszczył czoło z dezaprobatą. Nie powinna była wychodzić, dopóki by nie zapewnił jej, że jest bezpiecznie.

- Nie miałeś się przypadkiem ulotnić, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy? - spytała.

- Wróciłem - wyjaśnił Valaqil. - Nie, żebyśmy byli waszej rasie coś winni, ale Qiilura powoli dochodzi do siebie po okupacji, a wasz mały wredny sierżant dotrzymał słowa i zostawił nas w spokoju. To dlatego wywiązuję się z mojej części umowy. Uciekajcie, póki czas - ostrzegł.

- Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej? - spytał Ordo zgryźliwie. Nie przepadał za Gurlanami, chociaż zdawał sobie sprawę,

że jego uprzedzenie jest absurdalne. Nie miał powodu, żeby im nie ufać, ponieważ do tej pory nie zdarzyło im się oszukać kogoś z nich, ale przez sam fakt ich zmiennokształtności czuł się

nieswojo. - W tej chwili mamy całkiem imponującą listę rzeczy, przed którymi powinniśmy uciekać.

- Lada moment Palpatine rzuci do walki potężną armię klonów... tę, którą hodował na Centaksie II - powiedział Valaqil.

- Wiemy o tym - rzuciła Besany.

- Ale nie wystawi ich przeciwko Separatystom... — dodało stworzenie.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał chłodno Ordo. Wieści były rzeczywiście co najmniej... interesujące.

- Ponieważ byłem na Centaksie II - wyjaśnił Gurlanin - i widziałem na własne oczy plany operacji wojskowych. Musiałem się upewnić, że Qiilury nie ma na liście.

Zmiennokształtni byli znakomitymi i bardzo groźnymi szpiegami. Mogli się wcielić w dowolną postać, dostać się bez wzbudzania podejrzeń na pokład każdego statku i przeniknąć dosłownie wszędzie, a do tego porozumiewali się ze sobą telepatycznie. To prawda, że ich rasa nie szczyciła się wybitnymi osiągnięciami technologicznymi, ale lepiej było z nimi nie zadzierać.

- Coś jeszcze? - rzucił cierpko Ordo.

- Żołnierzu, masz problem z dostrzeżeniem tego, co jest tuż przed twoim nosem - prychnął Valaqil.

Ordo nie nawykł do krytyki, czuł się więc nie tyle urażony, co zaskoczony.

- O jakich liczbach mówimy? Jakie są cele? - zapytał rzeczowo.

- Wystarczy na podbicie tysięcy światów.

- Planet Separatystów? - Myśli Orda krążyły gorączkowo. Jeżeli Palpatine planował masowy atak na separańców, które światy mógł wybrać na główne cele? Postanowił, że przemyśli wszystko po wizycie Gurlanina. - Wiem, że cała ta wojna została zaplanowana w jakimś konkretnym celu, co zresztą nie jest niczym nowym, ale co by z tego miał Palpatine? O które planety chodzi?

- Za dużo, żeby wyliczać - powiedział Valaqil. - Nie musisz wiedzieć nic więcej. Wydaje mi się, że z grubsza znam wasze plany, więc radzę wcielić je w życie póki czas, lepiej wcześniej niż później. Agentka Wennen jest następnym w kolejce pracownikiem Skarbu, który może zniknąć w lochach WWBR, a jeśli tak się stanie, wyłapanie was wszystkich przez Palpatine'a będzie tylko kwestią czasu. Musicie uciekać. Teraz.

- A więc wiecie o Jilce - stwierdziła Besany.

- Oczywiście, że tak - potwierdził Valaqil. - To dzięki niej daliśmy ci więcej czasu.

Ordo natychmiast połapał się, o co chodzi.

- To wy ją wrobiliście, zgadza się? - Odruchowo wyciągnął dłoń, żeby zablokować Besany linię strzału, zanim zrobi coś głupiego. Zauważył, że Gurlanin użył liczby mnogiej. — Prawdę mówiąc, niewiele nam to pomogło. Jest za blisko nas, żebyśmy mogli czuć się pewnie.

Dopiero teraz do jego żony dotarło, o czym mówił Gurlanin.

- Ty... ty... - wykrztusiła zbielełymi wargami. - Ufałam wam! Buszowałeś w moim biurze? Jak mogłeś?! Dlaczego akurat Jilka?! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- A dlaczego ktokolwiek inny? - spytał refleksyjnie Valaqil. -Dlaczego my? Przeglądała dane tej nieistniejącej spółki, które tak cię zaniepokoiły, więc jej działania zostały zarejestrowane w systemie. W tym momencie wystarczyło tylko wydrukować na flimsi informacje, które świadczyły o tym, że interesowała się sprawą Centaksa II.

- Ale ona jest niewinna! - zaprotestowała Wennen. - Czy masz pojęcie, co mogą jej teraz robić?

- A wolałabyś być na jej miejscu? - Valaqil przez chwilę zamierzał chyba zwinąć się w kłębek na dywanie, ale odwrócił się tylko i podszedł do kratki wentylacyjnej. Przysiadł na

tylnych łapach i wlepił wzrok w wylot szybu, jakby czekał na potencjalną ofiarę. - Powinnaś być bardziej ostrożna i nie obnosić się tak ze swoim związkiem z tym oto dziarskim kapitanem - przestrzegł ją. - Stąd już tylko krok do powiązania niezdrowego zainteresowania działaniami na Centaksie z waszą grupą.

Besany odwróciła się gwałtownie do Orda.

- Mówiłeś, że nic na mnie nie mają!

- I miał rację - wtrącił Valaqil - ale ostatnio coraz więcej istot dołącza do bandy Skiraty.

Wkrótce nie będziecie już mogli dłużej działać anonimowo, bo za dużo osób będzie o was wiedziało i zbyt wielu pokrzyżujecie plany. Ta chwila jest już blisko. Lepiej módlcie się, żeby wasi wrogowie poświęcili Jilce jak najwięcej czasu, zanim się zorientują, że jest dla nich bezużyteczna i zaczną rozglądać się za nową ofiarą - warknął i zamrugnął raz po raz, jakby czekał na podziękowania.

Ostatnim razem miał rację, więc Ordo nie widział powodu, żeby teraz mu nie wierzyć.

Stworzenie w ułamku sekundy zmieniło się w plamę czarnej cieczy, zniknęło w kratce wentylacyjnej i tyle je widzieli.

Apartament Laseemy, Coruscant, nadzwyczajne posiedzenie Cuy'val Darów

- Nie możecie jej zlikwidować - zaprotestował Skirata, chowając komunikator do kieszeni.

- To był Ordo - wyjaśnił. - To Gurlanie wrobili Jilkę, żeby zmylić WWBR.

- A więc miała po prostu niefart - mruknął Vau. Z każdą chwilą wydawał się bardziej zaniepokojony. Mird, jak zwykle wyczulony na nastrój swojego pana, podniósł pysk i zaskowyczał cicho. - Ona nie jest jedną z naszych. Jeżeli ją uwolnimy, będziemy musieli coś z nią zrobić - stwierdził. - Nie ma szans, żeby po tym wszystkim nam podziękowała, zapomniała o całej sprawie i wróciła do dawnego życia. To niemożliwe. Będziemy mieli ją na głowie do końca jej dni.

- A więc ukryjmy ją - zaproponował Tay'haai. - Znajdę jakiś sposób na wyciągnięcie jej z Coruscant, skoro wy nie możecie.

- Jeżeli została wrobiona i nie ma szans, żeby coś im wyśpiewała, to nie musimy się spieszyć z jej uciszeniem. Jasne - stwierdził Vau z przekąsem - liczy na to, że zapomni, jak ma na imię facet Besany. Czy naprawdę muszę ci wyklądać wszystko jak bantcie na rowie, Kal?

- Przypominam, że i tak mamy już do wyciągnięcia zza kratki dwie ptaszyny - wtrącił Gilamar z rezygnacją, która zmartwiła Skiratę. Zwykle nie zgadzali się z Vauem, nawet jeśli chodziło o coś tak banalnego jak pora dnia. - Mamy mało czasu. Nie możemy w nieskończoność szwendać się po okolicy i wyciągać z więzień kolejne sieroty.

- Czy to wszystko ma na celu uspokojenie sumienia Besany? - spytał ostro Vau. - Bo jeśli tak, to chciałbym ci tylko przypomnieć, że mamy już jeden problem z powodu głupich sentymentów twoich chłopaczków. Wszystko przez to, że bez mrugnięcia okiem wyskakują ze zbroi dla pierwszej dziewczuchy, która się do nich uśmiechnie.

- Ty chakaarze! - warknął Skirata. Nie zamierzał tolerować obelg pod adresem swoich synów ani ich wybranek. - Besany zasłużyła sobie, żeby być jedną z nas! Nie mówiąc już o tym, że to po prostu... słuszne.

- Znowu zaczynasz moralizować - parsknął Vau, unosząc brew.

- Ale przecież o to w tym wszystkim chodzi! - upierał się Kal. - Robimy to, żeby pomóc ofiarom systemu - dodał bez przekonania, bo w głębi duszy wiedział, że Vau ma rację. Gdyby Jilka miała wsypać Besany - co oznaczałoby wpakowanie w kłopoty ich wszystkich - nie było innego wyjścia, niż ją uciszyć. Był gotów zrobić to osobiście, dopóki nie uświadomił sobie, jaki to może mieć wpływ na Besany, a przy okazji i Orda. Przypomniał sobie zaskoczenie Ninera, kiedy wyjawiał im w kabinach odświeżacza cały plan.

- Wyciągniemy ją - powiedział stanowczo - razem z Uthan i moją córką.
- A skąd wiesz, że Jilka już nie wsypała Orda i Besany? - spytał Vau. - Zabierajmy Uthan i spadajmy stąd najszybciej, jak się da.

Drużyna Omega i Etain wciąż byli na Coruscant. Besany właśnie leciała do apartamentu Laseemy, lada chwila spodziewali się też Jusika w towarzystwie dwóch żołnierzy ARC i Fi. Mieli ponad trylion kredytów i tyle danych na temat klonowania, że Arkanian Micro mogło się schować. To był najlepszy moment na ucieczkę. Jilka mogła powiedzieć WWBR wszystko, ale i tak było już za późno, żeby zatrzymać lawinę.

Jednak Skirata nie mógł się tak łatwo poddać. Chociaż czuł z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia, nie uważał sprawy uwolnienia Ruu za priorytet.

- Odbijemy Jilkę - powiedział stanowczo. - I zabierzemy ją na Mandalorę.
- Jasne, z pewnością będzie nas całować po rękach za to, że Wpakowaliśmy ją w shebs Rubieży na resztę życia - prychnął Vau. - Teraz już wiem, po kim Omegi mają zwyczaj brać jeńców, zamiast likwidować ich tak, jak Moc przykazała.
- Spróbujmy chociaż - nie ustępował Skirata. - Nie zachowujmy się jak dzikusy.
- Racja, jesteśmy żołnierzami, Kal - potwierdził Vau. - Ale chyba zapomnieliśmy, że to wojna.

Czwórka Cuy'val Darów pochyliła się nad holomapą, przedstawiającą system zabezpieczeń i trasy dostarczania zaopatrzenia do budynków więzienia. Mieli cały zestaw fałszywych identyfikatorów i mogli spokojnie dostać się do środka jako przedstawiciele firmy aprowizacyjnej, ekipy sprzątającej czy nawet wprowadzając roboty zajmujące się konserwacją sprzętu biurowego. Musieli tylko znaleźć najprostszą drogę i zlokalizować Jilkę. Zakład karny nie był dużym obiektem, liczył zaledwie dwadzieścia cel.

Drzwi do apartamentu otworzyły się i do środka wszedł Ordo z Besany. Dziewczyna miała ze sobą niewielką torbę podróżną a na jej twarzy malował się wyraz głębokiej troski. Wszystkie rozmowy ucichły jak nożem uciął.

- Bes'ika nie powinna zostawać w swoim mieszkaniu - wyjaśnił Ordo. - Nigdy nie wiadomo, kto może zapukać jutro...
- Właśnie się zastanawialiśmy, jak uwolnić Jilkę z więzienia - powiedział Skirata. Nie było już odwrotu.

Vau uniósł brew, a reszta czekała w milczeniu.

- Nie możemy odbić jej siłą, bo tylko niepotrzebnie zwrócilibyśmy na siebie uwagę - zauważył Ordo i wyciągnął swój komputerowy notes. - Przekonamy ich, żeby sami wypuścili Jilkę z celi i przejmemy ją podczas transportu.
- No to mamy plan - stwierdził Gilamar.
- Otóż to - potwierdził Ordo. - Mam kody wywiadu Republiki. W odpowiedniej chwili prześlę żądanie przeniesienia więźnia do zakładu karnego wywiadu i przechwycimy ją po drodze.
- Tak, ale ten oto mózg galaktyki zdążył już wypaplać Zeyowi, że zamierzamy ją odbić. - Skirata przewrócił oczami i wskazał Walona.
- Podwójny błąd - stwierdził beztrząsowo Vau. - Kiedy się o tym dowie, nie będzie się zastanawiał, czy nie kierowaliśmy się jakimiś podejrzanymi pobudkami, i nie będzie węszył. I tak jest przekonany, że cały czas patrzę ci na ręce. Jestem pewien, że pokiwa tylko głową i powie coś w stylu: „Och, stary dobry Vau robi, co do niego należy i krzyżuje plany tym cwaniakom z wywiadu i WWBR”. Zobaczycie.
- Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Teraz możemy tylko posprzątać ten cały bałagan najlepiej, jak umiemy - powiedział Skirata, przeczesując dłonią włosy.

- Dobra, idziemy na potrójny blef - zdecydował Ordo. - Sierżant Vau, ty i ja przechwycimy transport.

[ - Jeśli w ogóle łykną kit.

- Przebierzcie się - zarządził Kal. - Jak dobrze pójdzie, uwiniemy się ze wszystkim w godzinę. Postarajcie się wyglądać możliwie najbardziej separańsko.

- Pochwalę się moim najlepszym jabiimskim akcentem - powiedział Vau ze śmiertelną powagą.

Besany sprawiała wrażenie zagubionej, jakby nie mogła się odnaleźć w nowej sytuacji. Skirata uznał, że za jakiś miesiąc przywyknie i będzie tak samo zdeprawowana jak oni.

- Chodź, córeczko - powiedział, biorąc od niej torbę i próbując uśmiechnąć się pokrzepiająco. - Zaraz poczujesz się jak u siebie w domu. To cały twój bagaż?

Besany skinęła głową.

- Tak. Nie mam pojęcia, co zrobić z tamtym mieszkaniem...

- Zostaw wszystko tak, jak jest - poradził jej. - Jeżeli usuniesz wszystkie ślady, tylko zwrócisz na siebie uwagę. Myślę jednak, że dobrze by było, gdybyś zrezygnowała z pracy. W jej oczach na chwilę zagościł ból, ale natychmiast wzięła się w garść.

- Powiem im, że mam problemy osobiste - stwierdziła. - Rzadko wtrącają się w życie prywatne pracowników, a poza tym i tak pewnie ktoś zwrócił uwagę, że ostatnio dziwnie się zachowuję.

Skirata nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył w milczeniu, jak dziewczyna otwiera torbę i wypakowuje zawartość do szafek w pokoju zajmowanym zwykle przez Orda. Wzięła ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy - widocznie instynktownie wiedziała, co przyda jej się w nowych okolicznościach, bo oprócz paru ubrań na zmianę miała tylko blaster, kilka nośników danych i parę hologramów.

Właśnie wyjęła z torby holoprojektor i ustawiła ostrożnie na szafce nocnej.

- Dobrze jest podróżować z lekkim bagażem - zauważył Skirata.

- Cóż, po dzisiejszym dniu rozumiem Mandalorian o niebo lepiej. - Rozłożyła urządzenie i aktywowała wyświetlacz. - Jeżeli nie możesz czegoś ze sobą zabrać, to znaczy, że jest niepotrzebne a jeżeli nie można tego łatwo zastąpić, nie warto tego żałować.

- Poślubiłaś Mandalorianina - przypomniał jej Kal. - Czego się spodziewałaś?

Z ulgą powitał uśmiech, który rozświetlił jej smutną twarz.

- Czy będę musiała nosić zbroję? - spytała.

- Z najprzedniejszego beskaru - zapewnił ją. - Moje dziewczyny zasługują tylko na to, co najlepsze!

Niektóre istoty miały w zwyczaju uwieczniać szczęśliwe chwile na arkuszach flimsi, nieruchomych i milczących. Skirata myślał kiedyś, że taka forma nie umywa się do ruchomych, wydających dźwięki, trójwymiarowych hologramów, ale później przekonał się, że te milczące lepiej pomagają przetrwać trudne dni. Zastygły obraz w jakiś sposób podkreślał znaczenie przeszłości - nie pozwalał uczestniczyć w ulotnej chwili nagrania i przypominał, że tamte czasy już nigdy nie wrócą. Oglądanie hologramów było bolesne: oto znowu ci, którzy odeszli, otaczali nas jak żywi, jakby mogli odpowiedzieć na pytanie albo odwzajemnić dotyk. To było okrutne złudzenie. Podczas gdy statyczne, dwuwymiarowe obrazy przypominały beznamiętnie o przemijaniu, hologramy przenosiły niedostępną przeszłość w teraźniejszość i torturowały ułudą.

- Chcesz zobaczyć mojego ojca? - spytała Besany. - Biologicznego?

- Czuję się zaszczycony, że mogłem zająć jego miejsce - powiedział Skirata. - Tak, z miłą chęcią.

Ruchomy obraz obudził się do życia, przenosząc na kilka chwil jej ojca, Norlina Wennena, w krainę żywych.

- Chodźże, Bes! -Norlin uśmiechnął się i skinął dłonią jakby zamierzał pokazać jej coś niezwykłego. - Założę się, że nigdy nie widziałaś nic podobnego...

Besany z roztargnieniem odwzajemniła uśmiech wizerunku.

- Chodzi o klejnotogroty na Birsingrial - wyjaśniła. - Spędzaliśmy tam wakacje. Miałam jakieś dziesięć lat.

Nieważne, ile razy odpowiedziałyby na wezwanie - obraz nie mógł jej usłyszeć, nie mógł zareagować. Obserwowała w mil' czeniu, jak rozchichotana mała dziewczynka - ona sama - znika w czerwonozielonej poświacie jaskini.

- Też cię zabiorę na wakacje - obiecał łagodnie Skirata. . - To był nasz ostatni wspólny wyjazd przed odejściem mamy... i - Miała powód?

- Tak, ale nie pamiętam jego imienia - odparła smutno.

- Chcesz obejrzeć moje zdjęcia? - spytał Skirata. Wyciągnął z kieszonki u pasa mały holoprojektor, z którym nigdy się nie rozstawał, pomanipulował przy kontrolkach i podał jej. W powietrzu między nimi pojawiła się siatka małych obrazów. W miarę jak dziewczyna wybierała i powiększała kolejne kadry, Kal objaśniał, co przedstawiają.

, - Mężczyzna w zielonej zbroi, tej samej, którą nosi teraz Jusik, to mój przybrany ojciec Munin.

A tu są wszyscy moi vode z poprzednich misji. - Kolejne zdjęcie. - Moje dzieci klony, biologiczne... A to Kamino. Większość obrazów rejestrował Walon. Stwierdził, że będę potrzebował dowodu obrony, gdybym przypadkiem wybebeszył następnego Kaminoanina. -

Wskazał na obraz przedstawiający jego samego w otoczeniu grupki sześciu identycznych, poważnych malców, którym demonstrował rozkładanie potężnego karabinu blasterowego. - Nic nie trzeba im było pokazywać dwa razy. A to moi komandosi na szkoleniu... Tak, to Theta, pierwsza drużyna Dara. Biedni mali shabuire... wszyscy oprócz niego nie żyją.

- Dlaczego Ordo zawsze śpi z naciągniętą na głowę kołdrą? -spytała Besany.

Skirata przyglądał się obrazom przez chwilę z roztargnieniem, a potem odstawił holoprojektor na szafkę.

- To po testowaniu materiałów wybuchowych - wyjaśnił. -Musieliśmy sprawdzić, jak małe dzieci reagują na hałas i szok. Potem bał się burz na Kamino i zawsze spał z nakrytą głową. Dziwne, nikomu innemu się to nie zdarzało.

Besany spojrzała na niego z powagą i przez chwilę Skirata zastanawiał się, czy przypadkiem nie uznała, że w ten sposób chciał jej przypomnieć, jak błahe są jej własne problemy w porównaniu z tym, przez co przeszedł Ordo i jego bracia. A może po prostu próbowała wyobrazić sobie Kamino i małą grupkę Mandalorian, próbujących trzymać się razem przez te wszystkie lata, niezależnie od tego, czy darzyli się wzajemnie sympatią, czy nie; budujących mały, nietypowy przyczółek Mando'ade z dala od domu, tylko po to, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach? Kto kogo ocalił? - zamyślił się po raz kolejny Skirata. Kto potrzebował bardziej lekcji mandaloriańskiej etyki - nasi chłopcy czy my?

Besany uśmiechnęła się do niego smutno.

- Nie daj mu zginąć.

- To jest Ordo - odparł tylko Skirata. - Postanowił, że nie da się zabić, kiedy miał dwa lata. Tak... Zera, tak samo jak wszystkie jego klony, przeszły bardzo wiele... Ale koniec drogi był jeszcze daleko.

Sektor L-32, Galactic City, godzinę później

Ordo musiał przyznać, że Vau wyglądał niezwykle przekonująco.

Z krótko, prawie do samej skóry przystrzyżonymi włosami i przyciemnianym, miniaturowym wizjerem HUD w rodzaju tych noszonych przez ochroniarzy, wyglądał na prawdziwego twardziela. Całości dopełniał prosty czarny mundur. Wygląd Vaua mówił sam za siebie: „lepiej mi nie podskakuj”. Wyglądał jak republikański waśniak radzi, co to nie warto z nimi zadzierać: małowówny i zabójczo skuteczny.

- Całe szczęście, że szybko rosną - powiedział Vau, usadowiony wygodnie w fotelu nieoznakowanego, czarnego śmigacza, i dyskretnie przesunął dłonią po czaszce. - Taka fryzura to nie dla mnie.

Śmigacz nie był oficjalną maszyną WAR, ale Enacca miała znajomych, dzięki którym mogli dostać dokładną replikę wszystkiego, co miało silnik i repulsory.

Ordo też był przebrany, ale poprzestał na najpopularniejszym wśród służb planetarnych modelu hełmu i wizjera. Mereel mógł sobie do woli zmieniać fryzury i kolor oczu, ale Ordo ograniczył się do koniecznego minimum.

Zerknął na swój chronometr: zostało pięć minut do zakończenia zmiany - zarówno w areszcie wywiadu Republiki, jak i WWBR. Minie co najmniej osiem godzin, zanim w obydwu zakładach sprawdzą listy więźniów. Ordo i Walon nie zamierzali czekać aż tak długo.

- Mam nadzieję, że z Mirdem wszystko w porządku - powiedział Vau z roztargnieniem, wpatrując się w strumień ruchu powietrznego.

- Zastanawiasz się, czy strill jest bezpieczny w towarzystwie małego dziecka? - parsknął Ordo.

- Strille są zmiennopłciowe, mają silny instynkt macierzyński - wyjaśnił Vau. - Stąd to ciągle budowanie gniazd, kiedy mały jest w pobliżu.

- Jeżeli jeszcze raz zrobi sobie gniazdo z moich ubrań... - zaczął Ordo.

- Daj spokój, przecież to urocze! — zaprotestował sierżant.

Ordo przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył Mirda.

Zwierzę było wtedy większe od niego i wydawało mu się tak przerażające, że podniósł na nie blaster. Teraz Mird był ich przyjacielem, właściwie jednym z nich. A do tego uwielbiał zabawy z dziećmi. Cóż, widać w tej galaktyce wszystko było możliwe.

Spojrzał ponownie na chronometr: czternasta zero zero.

- Dobra, do roboty - mruknął i aktywował swój komunikator.

- Wad'e, gotów do zaganiania nerfów?

- Ostatnim razem, kiedy to robiłem, omal nie skręciłem karku. - Tay'haai chrząknął znacząco. - Postarajmy się tym razem uniknąć kraks.

Vau nawiązał połączenie i przesłał do systemu WWBR fałszywy kod, identyfikujący ich jako przedstawicieli wywiadu Republiki. Ordo przygotował lewe kody upoważniające i wpiął się do sieci wywiadu, żeby wysłać żądanie przekazania więźnia z terminalu prawdziwego pracownika, który akurat wyszedł na lunch. Namierzenie pozostawionych bez opieki urządzeń nie było trudne

- wystarczyło dostać się do listy terminali danego departamentu i sprawdzić, które maszyny były przestawione na tryb uśpienia. Przy odrobinie szczęścia nikt niczego nie zauważy przez wiele godzin.

- Proszę z wydziałem dozoru WWBR - powiedział Vau. Miał świetny akcent i głęboki, dźwięczny głos, który potrafił przekonująco modulować. Teraz ociekał wręcz charyzmą brzmiał władczo i stanowczo. - Halo? ... tak, wywiad Republiki... Mamy nakaz przeniesienia więźnia. Kobieta, Zan Zentis J. Przeliterować? Nie? Świetnie. Proszę wybaczyć, że bez uprzedzenia, ale rozumie pan... musimy zachować najwyższy poziom bezpieczeństwa, zminimalizować ryzyko... na wypadek próby odbicia więźnia. Mamy powody, by przypuszczać, że jej towarzysze mogą się o nią upomnieć... Do rzeczy. Możecie ją przekazać osobiście albo my się

tym zajmiemy, ale z wymienionych powodów nalegam, żeby odbyło się to niezwłocznie. Vau patrzył przed siebie i nasłuchiwał uważnie. W takich chwilach Ordo odczuwał zawsze lęk pomieszany z przyjemnością, jakiej dostarczała dawka adrenaliny. Jeżeli WWBR kupi historyjkę i postanowi samo przekazać więźnia... cóż, będą musieli odbić Zentis po drodze. Jeżeli zaś okażą się na tyle leniwi, że zażądają zgłoszenia się po nią osobiście - tym lepiej, bo obędzie się bez przemocy.

- Oczywiście, mamy upoważnienie... proszę chwilę poczekać, już przesyłam - mówił sierżant.

- Dziękuję... tak, to bardzo miło z państwa strony - odezwał się Vau długie trzydzieści sekund później. - Będziemy czekać. Czy mógłbym prosić o numer identyfikacyjny waszego pojazdu? Przekażemy go ochronie... - Przewrócił oczami, ale jego głos nie zmienił się ani na jotę.

- Rozumiem. Dziękuję.

Ordo odpalił śmigacz i na pełnym gazie skierował się na parking WWBR. Teren był pilnie strzeżony, ale postanowili pokręcić się w okolicy i poczekać, aż pojawi się ich transport.

Vau wklepał kod transpondera do systemu czujników pokładowych, tak żeby mogli od razu zidentyfikować właściwy pojazd. Zwykle tego typu maszyny były nieoznakowane.

- Shab - westchnął, kładąc sobie na kolanach budzącego grozę verpińskiego obrzyna. - Nienawidzę takiej nadgorliwości. Dlaczego nie pracują u nich tak jak w każdym innym departamencie leniwi di'kute, którzy pozwoliliby nam odwalić całą robotę?

- Możemy zsynchronizować holomapy? - rozległ się w komunikatorze głos Tay'haai, który krążył kilka przecznic dalej. W tle słychać było szcęk hamulców i szelest materiału. Ordo poczuł, że wnętrze skręca mu strach i z rozmysłem wykorzystał niepokój do wyostrenia zmysłów - tak jak nauczył go Skirata. Była to jedna z pierwszych lekcji, które przyswoili Ordo i jego bracia: uczynić sprzymierzeńca z własnego lęku. Kal'buir powtarzał im zawsze, że to ich system alarmowy. Musieli go tylko odpowiednio dostroić. Adrenalina przyspieszała reakcje, dodawała sił w walce i pozwalała dostrzegać tylko to, co konieczne do przetrwania.

Ordo zwolnił i zatrzymał śmigacz w bocznej alejce. Pojazdy rządowe mogły lekceważyć zautomatyzowany system nawigacji kierujący ruchem powietrznym, tak samo jak taksówki. Mogli teraz wybrać dowolną trasę, jednak w środku dnia mieli marne szanse na dokonanie napadu, sterroryzowanie pilota i przechwycenie więźnia bez trafienia w ekspresowym tempie do głównego wydania wiadomości.

- Gdzie najlepiej ich zatrzymać? - spytał Vau, wyświetlając holomapę szlaków powietrznych sektora na swoim wizjerze. - Masz mapę, Wad'e?

- Mam, dzięki - popłynęło z głośników. - Jeżeli wybiorą bezpośrednią trasę, spróbuję ich zatrzymać w tunelu między kosmoportem a placem Jądra Galaktyki. W ten sposób nie namierzą nas satelity kontrolne.

System monitorowania z orbity CSB w teorii służył zwalczaniu przestępczości, ale jeżeli ktoś miał układy, mógł naginać prawo właściwie do woli, zresztą rejestry i tak były usuwane po dziesięciu dniach. Ordo, przyjrzawszy się schematowi tunelu, zwrócił uwagę na zatoczki parkingowe dla ciężarówek repulsorowych i służb drogowych - wydawały się najlepszym rozwiązaniem.

- A co, jeśli wybiorą inną trasę? - spytał.

- To, co zwykle - mruknął Tay'haai. - Zepchniemy ich na dolne poziomy... im niżej, tym lepiej. A przedtem, zanim się zorientują, że to porwanie, zakłócimy ich łączność. Nie trzeba nam strzelaniny na oczach cywili.



- Oto dlaczego wolę dolne poziomy - westchnął teatralnie Vau. - Można sobie strzelać do woli, spokojnie wyrównując rachunki, i nikt nie będzie się wtrącał. Pełna kultura.

Ordo nie spuszczał wzroku z bramy budynku WWBR. Wkrótce wrota otworzyły się i zobaczyli śmigacz. Nie miał okien ani żadnych oznaczeń i nie różnił się właściwie niczym szczególnym od miliona innych pojazdów służbowych, przemierzających nieustannie szlaki powietrzne. Czujniki ich maszyny zapiszczały, sygnalizując rozpoznanie sygnału transpondera, a na holomapie pojawiło się pulsujące, czerwone światełko.

- Mamy naszą ptaszynę - powiedział Tay'haai. - Za mną, panowie. Lecę równolegle do was.

- Powodzenia - zanucił radośnie Vau. Wyglądał, jakby był w swoim żywiole. Pościg za zwierzyną sprawiał mu wyraźną radość, tak samo jak Mirdowi. - Oya\ Na łowy!

Ordo odczekał, aż między nimi znajdzie się minimum pięć pojazdów. Wszystko wskazywało na to, że pilot nie przepadał za zatłoczonymi głównymi szlakami, bo szybko skręcił w boczną alejkę - pewnie

chciał możliwie najbardziej skrócić czas transportu, żeby zminimalizować ryzyko. Najwyraźniej kierował się w stronę kosmoportu.

- W porządku, rozejrzyjmy się za jakąś miłą zatoczką... - Vau pochylił się nieco do przodu i powiększył fragment holomapy. -Zaczepimy ich jakieś ćwierć klika przed nią.

- W lewo - zarządził Ordo.

Układ mapy się zmienił, kiedy Tay'haai wyprzedził ich o kilka przecznic i zatrzymał się w pobliżu tunelu. Czekał, obserwując w napięciu chronometr odliczający czas do chwili, kiedy ruszy, żeby przeciąć śmigaczowi drogę. Pilot miał trzy wyjścia: zwolnić, zatrzymać się albo zawrócić. Najważniejsze, żeby nie spowodować wypadku... Cóż, nie zawsze się to udawało.

- Skręcił w trasę dla ciężarówek - zameldował Ordo. - A to łobuz! To przecież zwykła osobówka!

- Służby specjalne nie muszą się stosować do przepisów drogowych - zauważył Vau.

- Wad'e, czy jeżeli nie zmieni kursu, mógłbyś go zgarnąć na skrzyżowaniu z kanałem Gimmut? - spytał Ordo.

- Proszę, powiedz, że masz na myśli „przy kanale”, nie „w”... -rozległ się błagalny głos Tay'haaia.

- Przy - uspokoił go komandos. !

- Całkiem sporo tu miejsc parkingowych - powiedział Vau radośnie. -Androidy pilotujące. Cicho i spokojnie.

Kanał Gimmut był ogromnym tunelem ściekowym, odprowadzającym nieczystości z milionów budynków do głównej oczyszczalni, nazywanej przez Mandalorian przebywających na Coruscant Oceanem Osik. Właściwie każda z licznych ras zamieszkujących planetę-miasto miała dla niego własną nazwę. Na zewnątrz o jego przeznaczeniu nie świadczyło nic poza metanolubnymi grzybami, które porastały okolice kratek wentylacyjnych i drobnych szczelin, ale i tak rejon nie cieszył się zbyt dużą popularnością.

- Chyba nie ma na co czekać - stwierdził Vau. - Duża, osłonięta zatoczką, pół klika od nas.

- Mam - potwierdził Tay'haai. - Zatrzymaj się przy niej, Ordo. Dobijam z prawej.

Ordo zmniejszył dystans. Jeżeli pilot nie sprawdzi teraz swojej szóstej i nie zacznie się zastanawiać, czemu siedzi mu na ogonie czarny nieoznakowany śmigacz, już nigdy nie będzie miał ku temu okazji. Komandos włączył zakłócanie sygnału. Musieli

mieć pewność, że w razie czego ich cel nie skontaktuje się z bazą. Widocznie jednak pilot zorientował się, że coś jest nie tak, bo śmigacz przyspieszył i gwałtownie wystrzelił do przodu.

Ordo wcisnął gaz do dechy i zdał się na instynkt.

Wiedział, że Jusik poradziłby sobie na jego miejscu lepiej, ale teraz nie mógł zrobić nic więcej.

Pojazd więzienny skręcił w ślepy zaułek po lewej i zwolnił, jakby zamierzał zawrócić. Ordo tylko cudem zdołał odbić i uniknąć kolizji. Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nimi śmigacz Tay'haaia i przeciął ich ofierze drogę z prawej, zmuszając ją do zatrzymania maszyny. Pilot śmigacza stracił kontrolę nad pojazdem; Ordo podszedł do niego od burty, spychając go pod ścianę - bardziej przypadkiem niż celowo - i zanim maszyna zdążyła umknąć z pułapki, naparł gwałtownie na jej bok. Karoseria zazgrzytała o ścianę, krzesząc iskry, a zmuszone do uników, pilotowane przez roboty ciężarówki zareagowały nerwowym trąbieniem. Kiedy dotarli do wylotu zatoczki, Ordo zmusił więzienny śmigacz do skręcenia w lewo, a Tay'haai zablokował mu drogę z góry. Pojazd opadł w końcu na chodnik i zatrzymał pod ścianą na końcu zatoczki.

Vau wyskoczył, zanim jeszcze Ordo zdołał porządnie wyhamować, i w kilku susach dopadł do maszyny. Bez chwili namysłu uniósł blaster i strzelił w ścianę od strony kierowcy. Ordo nie zastanawiał się, czy Walon próbuje powstrzymać pilota od wyjścia z pojazdu, czy po prostu go zabić. Uniósł swoją broń, rozwalił serią zawiasy tylnych drzwi, odrzucił płytę na bok i zanurkował do środka.

- Na ziemię! - wrzasnął. - Nie ruszać się!

Vau nie przerywał ognia. Dopiero po chwili Ordo zorientował się, że Jilka jest przypięta do siedzenia. Odstrzelił mocowanie sieci, wyciągnął kobietę na zewnątrz i bez ceregieli wepchnął do ich śmigacza. Tay'haai osłaniał wylot uliczki, a Vau zaczął się wycofywać, co jakiś czas oddając strzał w kierunku więziennego pojazdu. Po chwili wskoczył na siedzenie pilota. Ordo zatrzasnął za nim drzwi i dał mu znak, że mogą lecieć. Ich maszyna wystrzeliła pod ostrym kątem z zatoczki i włączyła się w strumień ruchu powietrznego.

- Nic ci nie jest? - spytał Ordo kobietę. Zdjął hełm i próbował utrzymać równowagę. Był to nie lada wyczyn, bo Vau prowadził jak zalany w trupa Weequay. - Nie uderzyłaś się w głowę? Jilka spojrzała na niego spode łba. Tak naprawdę mógł mieć tylko nadzieję, że to jest Jilka - bo jeżeli porwali nie tę osobę, co

trzeba... Wolał nie myśleć o konsekwencjach. Chociaż, z drugiej strony, zawsze mogli jej wcisnąć w garść kilka kredytów i wysadzić na którymś z dolnych poziomów. Każdy więzień przy zdrowych zmysłach marzył o ucieczce.

- Zamierzacie mnie zabić? - spytała kobieta drżącym głosem. - Czy tylko trochę... poturbować?

- Nic z tych rzeczy - uspokoił ją komandos. - Jestem Ordo.

Na jej szczupłej, pokrytej świeżymi sińcami twarzy pojawił się wyraz ulgi, a strach w oczach ustąpił nieśmiałej radości.

- Zawsze traktujesz kobiety w taki sposób? - spytała surowo, unosząc brwi.

- Nie, Besany najpierw postrzeliłem - palnął.

- Nie jest mistrzem ciętej riposty - rozległ się w kabinie głos siedzącego za sterami Vaua. - Tak naprawdę to Etain ją postrzeliła, Jilko. Ordo tylko poprawił. Mieliśmy tamtego dnia małe... zamieszanie.

- Nie wszystkie kobiety gustują w typie macho, kapitanie - rzuciła cierpko Jilka. - Następnym razem proszę mi kupić kwiaty, zaprosić na jakąś kolację, do kina czy coś... Odsunęła się od niego kawałek i skuliła we wnęce obok przedziału repulsorowego. Nie wyglądała na specjalnie przerażoną ale Besany uprzedzała ich, że ta kobieta pracowała jako inspektor podatkowy. Z pewnością miała do czynienia z niejednym Huttem, który uchylał się od płacenia państwu. Wyglądało na to, że trzeba czegoś więcej niż porwanie, żeby ją wyprowadzić z równowagi.

- Proszę, powiedzcie, że chodzi o ratunek... - powiedziała po chwili.

- Nie inaczej - przytaknął Ordo. A więc rozważała również inne możliwości, przeszło mu przez myśl.
  - Nie mam co liczyć na powrót do normalnego życia, prawda? - spytała bez nadziei w głosie.
  - Obawiam się, że nie - powiedział komandos. - Ale to chyba lepsze od tego, co czekałoby cię w więzieniu Republiki albo WWBR-
  - Zobaczymy - powiedziała tylko.
- Vau sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.
- Nie ma sprawy, złotko - rzucił lekko. - Możesz dołączyć do naszej małej szajki jako konsultantka w sprawie uchylania się od płacenia podatków. Godziny pracy są niezbyt wygodne, ale za to przy okazji zwiedzisz kawałek galaktyki na nasz koszt.
- Nie miała, nie było odwrotu - dla nich również. Wyciągnęła w stronę Orda ręce, wskazując ruchem głowy kajdanki, ale Ordo uznał, że zaczeka z jej oswobodzeniem, aż dotrą do domu. Lepiej nie ryzykować.
- Nie jesteście chyba Separatystami... - mruknęła i spojrzała na niego nieufnie.
  - Nie jesteśmy po niczyjej stronie - odparł klon. - Szczerze powiedziawszy, ostatnio trudno mi odróżnić zwolenników Republiki od separańców...
- Od razu zdał sobie sprawę, jak ponuro to zabrzmiało. Może faktycznie nie było takiej dużej różnicy? Tak naprawdę Republika miała teraz chyba więcej powodów niż separatyści, żeby traktować ich jak wrogów. Śmigacz zanurkował w kanale przeciwpowodziowym i wynurzył się w okolicy dolnych poziomów. Kabinę rozświetlał tylko zielonkawy blask kontrolki na panelu sterowniczym.
- Masz rację - westchnęła Jilka. - Ja również nie widzę różnicy...

## **ROZDZIAŁ 12**

Za bardzo się martwicie — wy, kloniarze. Jedyne, czego wymagam, to żeby wasze klony dobrze wywiązały się z powierzonego im zadania. Wcale nie muszą spełniać dokładnych standardów wojska stworzonego na Kamino. Wielka Armia Republiki musi być przygotowana na przeprowadzenie jednej jedynej operacji. To główny punkt mojej strategii - dwie armie przeznaczone do dwóch różnych celów.

Kanclerz Palpatine w rozmowie z mistrzem klonowania Spaarti, nadzorującym produkcję nowej armii na Centaksie

II

Koszary kompanii Arca, Coruscant, miesiąc później

Etain była o krok od pójścia w ślady Jusika i opuszczenia szeregów Zakonu, ale wciąż nie mogła podjąć ostatecznej decyzji.

Etain, wychodząc, miała wrażenie, że zostawia Zeya w głębokiej rozterce i że może powinna była poświęcić nieco więcej czasu na rozmowę z nim, ale po krótkim namyśle uznała, że Darman i Kad potrzebują jej bardziej. W swojej ciasnej kwaterze spakowała rzeczy w małą torbę - nie była w Świątyni już bardzo dawno - i wzięła taksówkę powietrzną do Kraggeta, żeby pożegnać się z rodziną.

Pomyślała z goryczą, że już do tego przywykła. Za każdym razem bolało tak samo, ale też z każdym kolejnym rozstaniem zyskiwała większą pewność, że wszystko będzie dobrze. Moc podpowiadała jej, że Kad wpłynie kiedyś na losy wielu istot - a to dawało jej pewność, że wróci bezpiecznie do domu i że wojna zbliża się ku końcowi.

Kiedy dotarła na miejsce, Darman bawił się w najlepsze z ich synkiem. Zafascynowany malec zgłębiał tajniki hełmu Dara pod czujnym okiem taty. Za każdym razem, kiedy zapalała się któraś lampka albo na wyświetlaczu rozbłyskiwały ikony, Kad piszczął z zachwytu i śmiał się radośnie. Wyglądało na to, że Dar czuł się znakomicie w roli ojca.

- Mam nadzieję, że zablokowałaś łączność - powiedziała Etain, dołączając do nich na podłodze - bo jeśli nie, twój syn właśnie wysłał pięć batalionów, żeby zaatakowały Korelię.

Darman roześmiał się beztrąsko.

- Więc wyganasz nas na Fostin IX, żebyśmy się zaziewali z nudów na śmierć?
  - Będziecie mieli co robić - zapewniła go Etain. Kad wyrwał właśnie z hełmu złączkę kabla i wręczył jej z dumą. - Och, dziękuję, kochanie! - zawołała. - Tatuś chyba jednak potrzebuje tego do kontaktowania się ze swoim szefem. Włożymy kabelek na miejsce?
  - Wątpię - westchnął Darman, mając na myśli misję. - To zwiad.
  - Komandosi też prowadzą zwiady - przypomniała mu. - To jeden z waszych obowiązków. Poza tym życzę sobie, żeby ojciec mojego dziecka wrócił do domu cały i zdrowy, a na Zewnętrznych Rubieżach musi się znaleźć jeszcze z pięć pańienek, z którymi Corr się dotąd nie umawiał. Nie chciałabym mu przeszkadzać w biciu rekordu galaktyki.
- Kad wyszperał w sakwie Dara pisak, podobny do tego, którym komandos oznaczył hełm nieprzytomnego Atina, kiedy p0'

322

dał mu leki podczas misji na Qiilurze. Etain wróciła myślą do tamtych dni. To było prawdziwe piekło. Nigdy nie udało się jej przetrwać, gdyby nie Darman. Z zamyślenia wyrwał ją widok Kada bazgrzącego zapamiętałe po wyściółce hełmu w okolicach podbródka. Młody tata wyglądał na niezwykle dumnego z dzieła syna.

- Brawo, Kad'ika — zawołał. - Teraz mam coś, co będzie mi o tobie przypominało, kiedy będę z dala od domu! - Spojrzał na Etain z szelmowskim błyskiem w oku i zapytał: - A kiedy postaramy się o rodzeństwo dla małego?
- To były słowa, na które czekała. Dzięki nim poczuła się pewniej, bezpieczniej. Byli rodziną i nikt nie mógł im tego odebrać. Nagle wiedziała z niezachwianą pewnością, że wszystko będzie dobrze.

- Jak najszybciej - powiedziała z promiennym uśmiechem. — Tym razem zaopatrzę się jednak wcześniej w solidną dawkę środków przeciwbólowych.
- Rzucę służbę, Et'ika - obiecał jej Dar. - Byle do końca wojny, już niedługo.
- Tak sądzisz?
- Kal'buir twierdzi, że wkrótce nastąpi przełom. Chce, żebyśmy wtedy zniknęli. To tylko kwestia czasu.

Etain wiedziała o tym. Była we wszystko wtajemniczona, bo należała do ich grupy. Koniec wojny był coraz bardziej realny, ale ona miała jeszcze kilka spraw do uporządkowania.

Nie szkodzi, uznała. Jeszcze mam czas.

Miała wyrzuty sumienia z powodu wszystkich osób, którym nie będzie mogła pomóc - takich, jak na przykład Corr, którzy rozkwitali, kiedy tylko dostawali szansę na normalne życie - ale musiała ocalić chociaż tych, których mogła. Podziemna droga ucieczki czekała. Etain wiedziała, że kiedy nadejdzie czas, przyda się im jej umiejętność władania Mocą. Może powinna wpłynąć na Zeya, żeby energiczniej nalegał na ludzkie traktowanie żołnierzy?

Przestań kombinować! - upomniała się w myślach. Masz dosyć własnych problemów.

Godziny pozostałe do rozstania mijały stanowczo za szybko. Kad był dziś bardzo łaskawy, bo wręczył jej jedną ze swoich zabawek: małego, pluszowego nerfa. Etain zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Z lękiem oczekiwała na przybycie Laseemy, bo wiedziała, że wtedy już będzie musiała ich opuścić. Kiedy jednak rozległo się pukanie do drzwi, w progu zamiast Laseemy stanęła Enacca.

Kad wlepił w nią zdumione spojrzenie - nigdy wcześniej nie widział Wookiego. Etain podniosła go do góry, żeby Enacca mogła wziąć malca na ręce. Chłopiec wcale się nie bał. Wyciągnął rączki i zaczął skubać gęste futro Wookie, jakby nie mógł uwierzyć, że jest prawdziwa. Enacca warknęła łagodnie i Kad pisał z zachwytem.

- Co cię do nas sprowadza, Enacco? - spytała Etain. - Czyżby Kal znowu narozrabiał i wezwał cię, żebyś posprzątała gruzy?

Enacca jęknęła i zawarczała cicho. Powiedziała, że wraca z Kashyyyk, żeby wykurzyć stamtąd Separatystów, którzy płądrowali jej rodzinną planetę.

- Ja również tam lecę - powiedziała ostrożnie Etain. Nie wierzyła, żeby to był zbieg okoliczności. - Dlaczego postanowiłaś wrócić?

Enacca przekrzywiła głowę na ramię co u Wookiech stanowiło odpowiednik wzruszenia ramionami, a Etain stwierdziła, że chyba się domyśla, o co chodzi. Chwilę później zjawili się Laseema i Skirata. Sierżant miał minę niewiniątka, jakby był zaskoczony wizytą Enaccy.

- Im więcej Wookiech wam pomoże, tym lepiej - powiedział, kiedy Etain uniosła brwi w niemym pytaniu.

Nie potrafiła robić mu wyrzutów. Wiedziała, że Enacca miała pełnić rolę jej ochroniarza, nawet jeśli faktycznie kierowała nią chęć pomocy własnemu światu. Tak czy inaczej, dobrze było wiedzieć, że ktoś się o nich wszystkich troszczy. Zdecydowanie lepiej było mieć w Skiracie przyjaciela niż wroga.

- Dbaj o siebie, ad'ika - polecił jej. - To rozkaz.

- Tak jest, Kal'buir - obiecała.

Wyszedł, żeby mogła się pożegnać z Darmanem i Kadem. Po krótkiej chwili Etain zamknęła za sobą drzwi, ściskając w dłoni pluszowego nerfa. Nie obchodziło jej, że zabawka dziwnie wygląda w komplecie z karabinem udarowym i dwoma mieczami świetlnymi.

Restauracja Kragget, dolne poziomy Coruscant, później tego samego dnia

- Dar przebaczenia to cudowna rzecz, Kal - powiedział Gilamar znad talerza pełnego niezdrowego jedzenia. Był żywym zaprzeczeniem zasady, że lekarz powinien się zdrowo odżywiać: przed nim piętrzyła się mięsna potrawka i jajka werrisa, wszystko polane roztopionym tłuszczem z roby, wsiąkającym w pasztecik z chlebkorzenia. Nie było go kilka tygodni i wyglądało na to, że chciał nadrobić stracony czas. - Po całej awanturze z dzieciakiem nie został nawet ślad - rzucił między jednym kęsem a drugim. - Gdyby tylko reszta galaktyki postępowała równie wspaniałomyślnie. .. gdyby wszyscy podali sobie ręce i bawili się grzecznie razem...

Skirata czekał, aż sytuacja się rozwinie. Przynajmniej mają z głowy Jilkę, pomyślał z ulgą. Kal nie powiedział Besany, jak mało brakowało, żeby jej przyjaciółka zniknęła na dobre, a Besany nie wyjawiała Jilce, dlaczego została wrobiona. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że w najbliższym czasie nie przyjdzie jej ochota, żeby w przyptywie szczerości wszystko wyśpiewać. To z pewnością nie poprawiłoby atmosfery.

Jilka była teraz zbiegiem - czyjej się to podobało, czy nie. Taka sytuacja zmuszała każdego do pozbycia się złudzeń.

- Zgadnij, kto ma nas dziś odwiedzić? - spytał Skirata.

- Palpi?

- Nie, jemu akurat coś wypadło - zażartował Kal. - Ktoś, kogo nie widzieliśmy ładny kawałek czasu.

Gilamar kontemlował przez chwilę półprzezroczyste, szkliste żółtko na jasnej powierzchni pasztecika.

- Jeżeli to Dred Priest - odezwał się w końcu - to pozwól, że przygotuję najpierw mój specjalny, zardzewiały skalpel...

- Nic podobnego - uspokoił go Kal. - Szybko, wcinaj - pogonił go. - Zapowiedział się Jaing z jakimś gościem. Mamy sporo planów do opracowania, czeka nas mnóstwo roboty, Mij'ika.

Skirata nigdy się nie dowiedział, jak Alfa-02 zdołał uciec z Tipoca przed rozpoczęciem wojny, ale cieszył się, że mu się udało. Gilamar w mgnieniu oka sprzątnął jedzenie z talerza i ruszył za Skiratą do apartamentu Laseemy. Z pewnością nie spodziewał się tego, kogo miał tam zastać.

- Niespodzianka! - wykrzyknął Skirata, otwierając drzwi.

W środku przy stoliku grało w sabaka pięć osób: Besany, Laseema, Fi, Sull i Spar.

- Spójrz tylko na niego - powiedział Skirata, z dumą wskazując na Fi. - Jak nowy! - W głębi duszy Skirata nie był pewien, czy Fi jest już na tyle sprawny, żeby wracać do obowiązków, ale wiedział, iż poczucie, że znowu należy do drużyny, zdziała więcej niż wszyscy szarlatani Coruscant razem wzięci. - Mij, pamiętasz tego chłopaka? To...

Zanim Kal zdołał dokończyć, Gilamar podszedł do Spara i poklepał go po plecach. Spar, z natury niezbyt skory do okazywania radości, wlepił w niego zaskoczone spojrzenie, lecz potem na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- Jak się miewasz, Spar? - spytał Gilamar ze śmiechem. - Jak bóle głowy?

- Oooh, to znowu ja, panie doktorze - stęknął klon. - Nie mogę się ruszać... a do tego słyszę głosy! Ojej, te straszne głosy!

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem i padli sobie w objęcia.

- Ty stary chakaarze! - zawołał Gilamar. - Poprawiłeś mi humor, wiesz o tym? A więc żyjesz! Co słychać?

- Ano, różnie... raz tu, raz tam - wyjaśnił Spar. - Dostałem nawet ostatnio propozycję pracy. Stanowisko Mand'alora czy coś w tym stylu.

- Uwierz mi, mandalorowanie to ciężka robota, ad'ika - przestrzegł go Mij. - Spójrz tylko, co się stało z dwoma ostatnimi. Marne perspektywy na awans - zażartował.

Przed Skiratą nie ukryło się nic, co działo się w Tipoca City; wiedział o wszystkich machlojkach i skandalach w małej społeczności Cuy'val Darów, ale najwyraźniej Gilamarowi udało się coś zataić. Dopiero teraz, kiedy zobaczył, jak Spar i lekarz wybuchają raz po raz szczerym śmiechem, dodał dwa do dwóch. Nie mógł uwierzyć, że nie połapał się w tym wszystkim wcześniej.

- A więc to ty pomogłeś Sparowi w ucieczce - powiedział.

Części zbroi Gilamara szczęknęły o siebie, kiedy uklonił mu się teatralnie.

- Ty ocaliłeś swoich synów, a ja swoich.

- I nic mi nie powiedziałaś?!

- Ty też mi nie raczyłeś wspomnieć o tym, co Jaing wyprawiał z systemem bankowym...

- Dobra robota, Mij'ika - powiedział Skirata. - Ale teraz możesz mi już chyba o wszystkim opowiedzieć.

- Jango przylatywał i odlatywał, kiedy mu się podobało. Przywoził wam należny przydział tihaaru i ciasta uj, zgadza się? Cóż, czasami zabierał też paczki od nas, jeśli wiesz, co mam na myśli... — Spojrzał porozumiewawczo na Spara. - Dobrze wiedział, kiedy nie powinien się zbytnio interesować zawartością ładowni „Slave'a”. Był mi winien przysługę.

Skirata miał ochotę zapytać, za co konkretnie Jango odwdzięczał się Gilamarowi, ale to mogło poczekać do czasu, aż zostawią Coruscant daleko w tyle i usiądą przy butelce czy dwóch tihaaru.

- A więc zamierzasz się do nas przyłączyć, Spar? - spytał Mij.

Klon wrócił już do swojego zwykłego, ponurego nastroju.

- Nie potrzebuję pieniędzy - powiedział. - Chcę tylko szansy na zatrzymanie starzenia, kiedy znajdziecie na to sposób. Chciałbym żyć tak samo długo, jak inni ludzie...

- Synu, żaden z was nie musi prosić o to, co się wam należy - wszedł mu w słowo Skirata. - Zapamiętaj to sobie. Tu nie ma się o co targować. Jesteś pewien, że chcesz do nas dołączyć? Wiesz, że nie musisz...

Spar wydawał się zaskoczony.

- Nieprawda. Muszę. Tak samo jak Sull. On też.

Drugi klon przytaknął.

- Racja.

- Pomożemy wszystkim, którzy tego chcą - powiedział Skirata.

Kaminoanie byli dumni z niskiego procentu odchyień od normy wśród swoich klonów. Mieli ściśle określony wzorzec behawioralny. Każdy przyszły żołnierz, który nie spełniał wymogów albo nie miał na tyle instynktu samozachowawczego, żeby trzymać język za zębami, był uznawany za wadliwego i poddawany resocjalizacji. Język Kaminoan pełen był eufemizmów. Lubili, żeby wszystko spełniało standardy i było dopięte na ostatni guzik, jednak ich uporczywe dążenie do najwyższej jakości w praktyce oznaczało często łamanie woli, odbieranie nadziei, a nawet pozbawianie życia. Skirata wiedział, że klony, którym udawało się przetrwać proces resocjalizacji, tak naprawdę przechodziły pranie mózgu. Po wszystkim idealnie wpasowywały się w model wzorowej jednostki, a co najważniejsze, nie miały własnego zdania - bo tak naprawdę o to właśnie chodziło.

Skirata nigdy się nie dowiedział, czy te przynęty na aiwhy rzeczywiście wierzyły, że klony, które się wychylały, były wadliwe, czy po prostu ta banda bezdusznych strażników więziennych starała się zaprowadzić porządek za pomocą strachu i terroru, a wysyłane na pranie mózgu klony miały stanowić dla reszty przykład, co ich spotka za niesubordynację.

To porównanie do obozu jenieckiego nie dawało mu spokoju.

Mieliśmy dosyć żołnierzy i broni, żeby dokonać przewrotu i zdławić opór Kaminoan, przyszło mu do głowy. Mandalorianie to twardziele, najlepsi żołnierze w galaktyce, a jednak większość tańczyła, jak im zagrano. Gdybym tylko zdobył się wtedy na odwagę. .. sam bym ich namówił do buntu, poprowadził i obalił ten okrutny reżim. Moc wie, że mogłem to zrobić... ale nie zrobiłem.

Nikt z nich nie kiwnął palcem. Siedemdziesięciu pięciu ze stu Cuy'val Darów było Mandalorianami, zaprawionymi w bojach wojakami, mającymi za sobą setki trudnych misji - więcej niż było trzeba, żeby wziąć Kamino szturmem i obrócić w perzynę. Dlaczego nie zorganizowali powstania? Kamino przeżuło ich i wypluło, a Skirata nienawidził siebie za to, że tak łatwo dał się otumanic. Przywykli do więziennych zasad, karmieni nimi jak chlebem codziennym. Wciąż byli Mando, wciąż mieli wolną wolę, a jednak zostali zniewoleni przez system tak samo, jak reszta. Co prawda sam fakt, że zaczęli wreszcie troszczyć się o swoich chłopców, był w pewnym sensie formą buntu, ale też nikt z nich nie spojrział na całą sytuację z szerszej perspektywy - jak na drzwi, które mogli wyważyć jednym kopniakiem.

Nigdy więcej, obiecał sobie. Już nigdy więcej.

- W porządku - powiedział, odsuwając na bok ponure myśli. - Musimy wyciągnąć zza kratki kilka osób. Jedna z nich to uczona, doktor Uthan. Może być waszą przepustką do normalnego życia. Druga to moja córka. Aresztowano ją za szpiegowanie dla Separatystów.

- Twoja prawdziwa córka? - spytał Fi.

- A co, uważasz się za mojego nieprawdziwego syna? - zadrwił Skirata. - Tak, moja biologiczna córka, jeśli to miałaś na myśli.

Fi nie miał w zwyczaju zadawać głupich pytań, ale Skirata ujrzał w jego oczach nieposkromioną ciekawość.

- Co tylko rozkażesz, Kal'buir - powiedział gorliwie.

Usiedli z powrotem do sabaka, starając się nie obudzić Kada głośną rozmową. Skirata nigdy nie miał żyłki do hazardu, wołał raczej obserwować grę z boku. Fi z kolei wydawał się bardziej zainteresowany rozmową z Besany niż kartami. Nie miał okazji jej poznać, a przynajmniej nie mógł pamiętać ich spotkania, ponieważ był wtedy pogrążony w śpiączce - więc teraz co chwila poklepywał ją po rękę, jakby chciał dziewczynę uściskać z wdzięczności, ale się bał. Skirata przyglądał się tej scenie ze wzruszeniem. Chłopak nie przestał jej dziękować od chwili, kiedy wylądowali na Coruscant.

- Ocaliłaś mi życie - powtarzał w kółko. - Uratowałaś mnie.

Besany pomagała mu w sabaku. Skirata nie podejrzewał, że dziewczyna ma do tego taki dryg.

- Fi, byłeś po prostu w zbyt dobrym stanie, żeby cię wyrzucić - powiedziała do niego z rozbijającym uśmiechem. - Hołduję zasadzie, że dobrych facetów nie wolno się pozbywać lekką ręką.

Studiując wyświetlone z rzutnika na ścianie holoschematy, zastanawiali się nad najlepszym sposobem dostania się i wyjścia z centrum więziennego w Pols Anaxes. Wszyscy się zgadzali, że najlepsze plany to takie, które nie wymagają strzelaniny i bohaterskich czynów. Enacca wróciła już na Kashyyyk, więc transportem miał się zająć Tay'haai. Wciąż jeszcze się kłócili, czy lepiej jest wejść do środka, posługując się fałszywymi dokumentami, czy skorzystać z systemu kanałów, kiedy zjawił się Jaing w towarzystwie gościa.

- Nie wierzę własnym oczom - zdumiał się Sull. - To znowu ty!

Kobieta była drobna, szpakowata i ubrana w kombinezon pilota. Wyglądała tak, jak Skirata się czuł: załamana i zmęczona, ale wciąż gotowa zafundować galaktyce tęgiego kopniaka, jeśli będzie trzeba. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, wiedział, że spotkał bratnią duszę.

- Sull, ty nicponiu! - zawołała kobieta, dając klonowi żartobliwego kuksańca. - Nadstawiam za ciebie karku, żeby wyciągnąć cię ze szponów Republiki, a ty wracasz prosto do klatki! Wzięli cię z nedorobionej serii klonów, czy jak?

Sull zaśmiał się tylko radośnie, ale to starczyło Skiracie za wszystkie słowa.

- To Ny Vollen - wyjaśnił Jaing. - Przyjaciółka A'dena. W wolnym czasie, kiedy nie pomaga nam w przeprowadzkach, lata frachtowcem. Ny, poznaj mojego ojca, Kala Skiratę. Sierżanta Skiratę - dodał.

- My, kurduple, powinniśmy trzymać się razem - powiedziała Nyreen, mierząc Skiratę wzrokiem od stóp do głów. Wyciągnęła do niego dłoń na powitanie. - Chcecie zobaczyć moje plany? Pokażę je wam, jeżeli wy dacie mi zobaczyć wasze.

- A jest co oglądać? - spytał Skirata, dziwnie skrępowany.

- Dla ciebie z pewnością, Mando chłopcze. Na Kuat jest całkiem miło o tej porze roku. - Ny wyciągnęła swój komputerowy notes. - Chyba rzadko się stąd ruszacie...

- Urodziłem się na Kuat - wyrwało się Skiracie i natychmiast skarcił się w myślach. Miał wrażenie, że nie panuje nad sytuacją a już na pewno nad własnym językiem. W towarzystwie Ny Vollen czuł się zakłopotany.

- W takim razie odwiedzisz stare śmieci - stwierdziła.

Skirata nie potrafił tak szybko jak Ordo analizować raz widzianego dokumentu, ale umiał rozpoznać partie produkowanych towarów. To, co zobaczył, wystarczyłoby dla tysięcy statków.

- A więc robota w stocznicach wre - mruknął.

- Jak zwykle - skwitowała Ny. Wyglądało na to, że go sprawdza. Z pewnością wiedziała doskonale, że nie jest raczej osobistym doradcą Kanclerza w sprawach zaopatrzenia. - To części zamienne dla dużych okrętów, nie drobny, więc albo mają zamówienie na dostawę komponentów dla gotowych jednostek, albo spodziewają się gwałtownego wzrostu popytu.



- Pracowałaś w stocznicach? - spytał Kal.
  - Nie, ale wiem, kiedy nadstawić ucha w kantine.
  - Ico?
  - Wypluwają co tydzień setki nowiuśkich statków i bardzo im się spieszy, żeby zdążyć z realizacją zamówienia.
- Skirata zerknął na Jainga, jakby szukał u niego potwierdzenia. Zera miały dostęp do systemu KDY. Komandos pokiwał głową.
- Dzięki - powiedział Skirata. Wyjął z sakwy u pasa dziesięciotysięczny czip kredytowy i położył na stole przed pilotką. Nie ośmielił się wsunąć jej go do ręki, bo nie chciał, żeby pomyślała, że traktuje ją protekcyjnie. Ny spojrzała na czip z pogardą, zgarnęła go ze stołu i odrzuciła mu z powrotem.
  - Dobrze mi płacą, dzięki - prychnęła. - A handel informacjami nie jest opodatkowany.
  - No to czego chcesz, Ny?
  - A'den się tym zajmie - powiedziała. - Statek mojego męża zaginał kilka lat temu. Wiem, że mąż prawdopodobnie nie żyje, ale chciałabym poznać szczegóły. To wszystko.
  - Przykro mi - wymamrotał zmieszany Skirata.
  - Dam wam znać, kiedy dowiem się czegoś więcej, w porządku?
  - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Ny...
  - I lepiej zatrzymaj sobie te kredyty, Mando chłopcze. Wyglądasz, jakbyś ich potrzebował.
  - Jestem trylionerem - obruszył się Skirata.
  - Gdybyś był, stać by cię było na lepszą zbroję - odcięła się Nyren. - Spójrz tylko na siebie. Jak ty wyglądasz!
  - My, Mando chłopcy lubimy się obnosić z pamiątkami po misjach - burknął Kal. - A poza tym jeśli już chcesz wiedzieć, to najlepszy beskar: kuty, dwa procent ciridium i żadnych frymuśnych laminatów ani stopów węglowych.
  - Hm, pewnie jest ciężka jak cholera?
  - Właśnie tak - powiedział z dumą Skirata. - Bardzo ciężka. Ciężkie jest najlepsze.
  - To by wyjaśniało, dlaczego jesteś taki kurduplasty - palnęła pilotka.
- Mandalorianin gapił się, jak kobieta odwraca się na pięcie i wychodzi, niezdolny wykrztusić słowa, dopóki Jaing nie szturchnął go w bok.
- Chyba cię lubi. - Mrugnął do Skiraty.
  - Chyba po prostu żartowanie ze wszystkiego to jej sposób, żeby nie pogrzyżyć się w rozpacz po utracie męża. - Kal wzruszył ramionami. Z zaskoczeniem odkrył w sobie cichą nadzieję, że Jaing ma rację, ale po chwili zbeształ siebie za takie myśli. Nie miał czasu na takie głupoty. - W porządku, ustalmy termin. Spadamy. .. - Obliczał chwilę w myśli. - Tysiąc dziewięćdziesiątego dnia po Bitwie o Geonosis.
  - Tak jest, sir! - Sull zsalutował żartobliwie. Przynajmniej ma poczucie humoru, pomyślał Kal. Z pewnością im się przyda.
- Tereny zajęte przez Separatystów w pobliżu Kachirho, Kashyyyk, miesiąc później, 1070 dni po Bitwie o Geonosis
- Jesteś pewien, że widziałeś, jak Grievous odlatuje? - spytał Fixer.
- Scorch posłał serię pocisków przeciwpancernych w szpaler robotów bojowych i zanurkował w poszukiwaniu schronienia przed deszczem ostrych drzazg i skwierczącego metalu.
- Sam widziałeś - powiedział.
  - Ale dlaczego? - drążył jego towarzysz. - Może się wycofują?
- Z naprzeciwka odpowiedziały im ogniem oddziały Trandoshan. Za każdym razem, kiedy Scorch podnosił głowę, widział kolejne szeregi jaszczurów i robotów bojowych.

- Czy to według ciebie wygląda jak odwrót? - spytał cierpko. Nie miał bladego pojęcia, o co tutaj chodzi. Pierwszy raz naprawdę groziło im niebezpieczeństwo, że zostaną otoczeni i rozbici w pył. Cholernych separańców było więcej, niż się spodziewali.

- Kryć się! - Boss schował głowę w ramionach i jego pole widzenia wypełniła chmura latających w powietrzu szczątków. Gdzieś w oddali Scorch słyszał dźwięk silników statku. Kiedy spojrzął w niebo, zobaczył podchodzący do lądowania statek dostawczy. Trandoshanie natychmiast zerwali się i rzucili do rozładunku, a Sev wynurzył się zza osłony, jaką dawał im stos części superrobotów bojowych, i zaczął ostrzeliwać platformę.

- Mógłbyś ich poczęstować seryjką czy dwiema przeciwpancernych, Boss? - spytał.

- Już, tylko wyceluję... - powiedział i wystrzelił: raz, drugi, trzeci... Trudno było stwierdzić, czy udało mu się trafić, bo w ułamku sekundy w powietrze wytrysnęła fontanna odłamków. Towarzyszył jej podmuch gorącego powietrza, a po chwili także morze płomieni. Ziemia wstrząsnęła potężną eksplozją, a oślepiający blask ognia przysłoniły kłęby tłustego dymu. Kiedy rozgonił je nagły powiew wiatru, zobaczyli tylko płonący, szerniały wrak.

- Mam dziwne wrażenie, że wiozł ładunek detonitu - skwitował Sev. - Ech, chciałbym, żeby wszystko tak elegancko wybuchalo - westchnął.

- Musimy coś zrobić, żeby nie szwendali się po tym kriffing lesie, jakby byli u siebie. - Boss sprawdził, czy na horyzoncie

nie widać kolejnej fali robotów, a kiedy nic nie zobaczył, oparł się o ścianę barykady i spróbował złapać oddech. - Dobra. Wookie mogą sobie wyłapywać ich pojedynczo, ale my potrzebujemy większego hydroklucza, żeby pomieszać im szyki, inaczej ta wojna będzie się ciągnęła przez następne pięć lat. - Włączył komunikator w swoim hełmie. - Pani generał, czy możemy pójść na skróty?

Musiał poczekać kilka sekund na odpowiedź. W tyle było słycać wystrzały z blastera i ryczenie Wookiech.

- Jak bardzo na skróty? - odezwała się w końcu Etain.

- Sądzę, że weźmiemy dziesiątą prosię pani. Mam przecucie, że szczęście nam dzisiaj sprzyja.

- Enacca mówi, że jeśli zdołacie zająć most do Kachirho albo go odciąć, pozbawicie separańców drogi zaopatrzenia. - Generał Tur-Mukan przerwała, jakby czegoś nasłuchiwała. - Właściwie to nas też, ale Wookie mogą szybko zbudować mniejsze mosty, a wróg nie.

- Podoba mi się ten pomysł - mruknął Boss. - Ruszajmy, Delto!

- Mamy tu całe roje Geonosjan - dodała Etain. - Będziecie jednak musieli trochę się powspinać, żeby tu dotrzeć.

- Robale! - wykrzyknął radośnie Sev. - Proszę zostawić kilka dla nas, proszę pani. Uwielbiam ich śliczne skrzydełka... zwłaszcza odstrzeliwać.

Boss przeorientował ich lokalizację na wyświetlaczu HUD i cała drużyna zaczęła się mozolnie przedzierać przez las, zbyt nabuzowana adrenaliną, żeby martwić się o czyhające w zaroślach drapieżniki. Nagle z gałęzi ponad nimi wysunęło się włochate ramię Wookiego i wskazało im drogę do góry - szybką trasę do Kachirho. Scorch wystrzelił linkę z kotwiczką, podciągnął się i przebiegł kawałek po konarze tak szerokim, że przez chwilę czuł się drobny jak Jawa. Po chwili jego oczom ukazało się wybudowane na rozległej sieci gałęzi i pnączy skupisko domów. Najpierw spostrzegł Trandoshan, a potem ukrytych w gąszczu roślinności Wookiech. Włochate istoty wydawały się nic sobie nie robić z ostrzału i mierzyły do postawnych jaszczurów z kusz jakby od niechcenia, ale ich bełty docierały do celu ze śmiertelną dokładnością.

Kolejna salwa.

Wookie radziły sobie z wrogami niezwykle sprawnie. Cóż, w końcu anegdotka o wyrywaniu rąk nie była tak do końca zmyślona.

Scorch zagapił się na prawie trzymetrowego Wookiego, który trzymał jedną ręką Trandoshanina, a szybko drugą wprawnie pozbawiał go kończyn. Kiedy się z nim uporał, złapał przelatującego obok Geonosjanina i rozczłonkował go, jakby ten był zabawką, która mu się znudziła. Nawet Sev stanął jak wryty.

- O rany... - wykrztusił tylko. - O rany...

Istoty broniły swoich domów - co czyniło je podwójnie groźnymi dla przeciwnika. Walczyły ze ślełą furją. Scorch uznał, że nie potrzebują pouczeń o sposobach wysiedlania intruzów.

Nieokiełznana, przerażająca brutalność podkopywała również wolę walki Separatystów:

Trandoshanie pierzchali w popłochu, jakby pozapominali, że mają broń, której mogą użyć.

Niektórzy po prostu skakali w gąszcz, byle tylko uniknąć tych rozwścieczonych demonów; inni brali nogi za pas i biegli na oślep w nieznanne. Jeden czy dwóch nie ustąpiło i wciąż strzelało, ale

nie mieli żadnych szans wobec prawie trzykrotnie cięższych, rozwścieczonych do granic

możliwości istot, skaczących na nich z góry. Co tu dużo mówić, Separatyści dostawali tęgiego

łupnia. Z lasu wyłaniało się coraz więcej i więcej Wookiech, ruszając zbitą masą futra i

stalowych mięśni na wroga. Scorch zderzył się niechcący z jednym futrzakiem, a chociaż miał na

sobie katarna, siła impetu prawie zwała go z nóg i wyparła mu z piersi resztki powietrza.

Wookie były istotami rozumnymi, ale kiedy budził się w nich instynkt wojowników, lepiej było

zejść im z drogi.

Separatyści właśnie przekonywali się o tym na własnej skórze.

Sevowi - jak to Sevowi - udało się jakoś przecisnąć przez brązowy tłum i co jakiś czas

przystanąć, żeby ustrzelić Geonosjanina. Zarzekał się kiedyś, że zabije cztery tysiące

dziewięciuset osiemdziesięciu dwóch wrogów - po jednym za każdego komandosa, który zginął

na Geonosis. Nie żartował, traktował swoje ślubowanie bardzo poważnie. Nigdy nie mówił

„prawie pięć tysięcy”, chociaż liczbę zaokrąglął nawet Skirata. Nie, Sev był śmiertelnie poważny.

Wojna była dla niego sprawą osobistą.

Scorch nie spuszczał go z oka. A niech mnie, idzie jak taran! -przeszło mu przez myśl.

Robot-pająk na horyzoncie był znakiem, że most jest już blisko. Automat kroczył w ich stronę na

długich kończynach, ale

jego działko nie miało zbyt dużych szans w bezpośrednim starciu z komandosami. Scorch dał

susa, przystawił lufę swojego DC-17 do czułego punktu na zgrzewie korpusu robota i wpakował

w niego cały magazynek. Wookie porykiwały i pokazywały im coś w dole, a jeden z nich -

słusznej postury samiec - zaczął rozgarniać gałęzie, żeby mieli dobry widok.

- Jest most! - zawołał Fixer. - Sprawdźcie swoje HUD-y.

Czujniki dużo lepiej radziły sobie z mostami metalowymi niż

z tymi zbudowanymi z żywych pnączy i gałęzi, w dodatku prawie niewidocznymi na tle

otoczenia. Ich istnienie można było stwierdzić tylko dzięki różnicy w gęstości obrazu, jednak

Scorch nie musiał dobrze widzieć, żeby działać.

- Mogę skorzystać, proszę pani? - spytał grzecznie i zabrał najbliższej stojącej Wookie

granatnik. Na szczęście nie oponowała zbyt. - Zaraz oddam - obiecał.

Barczysty samiec oczyścił mu drogę strzału. Oddalony od nich o jakieś dziesięć metrów most był

teraz doskonałym celem: odsłonięty jak na dłoni, a do tego zatłoczony transportowcami

Separatystów. Scorch postanowił nie ryzykować i wycelował w główne przesłó, nie w podpory.

Posyłał w nie serię za serią, dopóki było w ogóle do czego strzelać. Struktura nie mogła

wytrzymać dłużej pod własnym ciężarem, do którego dochodziła jeszcze waga poruszających się

po moście maszyn. Przeszło ugięło się i pękło na pół, posyłając ciała, pojazdy repulsorowe i małe transportowce w otchłań dżungli.

Separatyści nie mieli już dostępu do Kachirho. Wookie zaryczeli triumfalnie, unosząc wysoko pod zielone sklepienie zaciśnięte pięści i trzymaną w dłoniach broń.

- Scorch? - rozległ się głos Etain na łączu. - Enacca mówi, że całkiem nieźle sobie radzisz jak na małą, różową, bezwłosą kreaturę.

Vau powtarzał im zawsze, że ocena wojny, w której brało się udział samemu, nie była możliwa - nieważne, czy się wygrało, czy nie. O tym decydowali historycy wiele lat później. Jednak teraz Scorch był dziwnie pewien, że zniszczenie mostu stanowiło punkt zwrotny tej wojny, a poza tym Drużyna Delta była nadal w pełnym składzie. Cóż, cokolwiek powie historia, on wiedział swoje - wygrał.

Wygrali. A przynajmniej tym razem.

## ROZDZIAŁ 13

Na wypadek, gdyby to pana zainteresowało, Kanclerzu...

Doskonale rozumiem, jakie znaczenie strategiczne ma dla przetrwania Republiki ośrodek na Kamino, więc jako patriota uznałem, że moim obowiązkiem jest przekazać panu materiały, które bez wątpienia pochodzą z tego źródła.

Jest ich co prawda niewiele i może nie mają aż takiego znaczenia, ale ci Mandalorianie w jakiś sposób zdołali je zdobyć i mam wątpliwości, czy dokonali tego oficjalnymi kanałami. Chciałbym tu nadmienić, że mam poczucie godności i cenię swoją reputację. Wolałbym, żeby niejasne pochodzenie tych danych nie wpłynęło na moją nominację do Naukowej Nagrody Republiki.

Ostatnia wiadomość wysłana przez doktora Reye Nenilina z jego biura przed tajemniczym zniknięciem doktora, a dotycząca przekazania Kanclerzowi Palpatine'owi danych dostarczonych mu przez Mandalorianina znanego jako

Falin

Dolne poziomy Coruscant, 1080 dni po Bitwie o Geonosis

Skirata powinien był się domyślić, że coś poszło nie tak, natychmiast po przybyciu do Kraggeta.

- Czolem, przystojniaku - przywitała go Soronna, balansując trzymanymi w obu dłoniach talerzami. - Nie spotkałeś przypadkiem Laseemy? Nie zjawiała się na swoją zmianę.

Żołądek ścisnął się sierżantowi ze strachu. Laseema była punktualna aż do przesady. Zajmowała się Kadem i trzymała się grafiku ściślej niż cała WAR razem wzięta.

- Sprawdzę w mieszkaniu - powiedział i ruszył przez kuchnię do wyjścia.

- Dzwoniłam! - zawołała za nim Soronna. - Nie odpowiada! Skirata przyspieszył do truchtu, a wreszcie puścił się pędem

przez korytarze apartamentowca. Chociaż miał sześćdziesiątkę na karku, kiedy w jego żyłach buzowała adrenalina, na sto metrów mógł prześcignąć swoich młodych podopiecznych. Dopadł do drzwi apartamentu, wyciągnął blaster i sprawdził nóż. Kiedy

otworzył drzwi, mieszkanie wydawało się bardziej niż puste. Wyglądało, jakby zostało ogołocone - ze wszystkiego.

Skirata nie należał do ludzi, którzy łatwo tracą zimną krew, ale teraz przepadła Laseema - i jego wnuk. Sprawdzał gorączkowo kolejne pokoje, jakimś cudem wciąż pamiętając o zachowaniu ostrożności na wypadek, gdyby ktoś się na niego zaczął. Mdlilo go ze strachu. Mieszkanie było puste, zabrano wszystkie rzeczy osobiste - nie było ubrań, sprzętu Jusika, zabawek, łóżeczka -nic. On sam nie miał zbyt wiele, ale jego mizerny dobytek też zniknął - torba z ubraniami na zmianę, kurtka z bancierą skóry i kilka sztuk broni, włącznie z dwoma bardzo drogimi zmodyfikowanymi verpińskimi karabinami snajperskimi.

Mógłby to uznać za włamanie w celach rabunkowych, gdyby nie wiedział, jak wiele starań włożył w zatajenie lokalizacji tego miejsca - i gdyby nie zniknęli Kad i Laseema.

Sprawdził komunikator - żadnej wiadomości. Mieszkanie zostało opróżnione w czasie, jaki zabrało mu opuszczenie koszar kompanii Arca, wymiana szafirów shoroni na kredyty i wizyta w

banku - góra dwie godziny. Gdyby zdarzyło się to wcześniej, ktoś by go już z pewnością poinformował.

- Shab\ - warknął. - Shab, shab, shab\

Zamknął ostrożnie drzwi i wyszedł. Jeżeli będzie trzeba, wróci, żeby zebrać dowody. Najpierw jednak musiał sprawdzić, gdzie jest reszta grupy, a jego wyostrzony przez lata chronienia własnego życia albo czyhania na życie ofiar instynkt podpowiadał mu, że posługiwanie się komunikatorem nie było w takiej sytuacji bezpieczne. Opuścił budynek wyjściem awaryjnym i ruszył na dach, gdzie czekał ukryty jego zielony śmigacz. Urządzenia podobne do tych montowanych w taksówkach powietrznych pozwalały mu omijać zautomatyzowany system kontroli ruchu powietrznego. Na skuterze repulsorowym Aratech byłby zbyt łatwym celem, nawet w swojej zbroi z beskaru. Odpalił maszynę i skierował się do miejsca, gdzie cumowała „Aay'han”. Taki był plan awaryjny.

Ledwie zdołał dotrzeć do najbliższego skrzyżowania, usłyszał wycie policyjnej syreny i chwilę później drogę zablokował mu patrol CSB, zmuszając do zejścia na najbliższą platformę lądowniczą. Ludzie z CSB byli dla niego jak rodzina, więc nie miał się czego bać.

Zawrócił na parking i zaczekał, aż policyjny pojazd opadnie obok. Dolne poziomy to nie miejsce, gdzie obywatele stoją,

czekając na taksówki, jeśli im życie miłe, więc wokół nie było nikogo. Skirata sprawdził na wszelki wypadek nóż i blaster.

Niepotrzebnie - bo z pojazdu wyskoczył nie kto inny, jak sam Jaller Obrim. Chociaż twarz mężczyzny skrywał przepisowy hełm, Skirata wszędzie rozpoznałby ten chód i budowę ciała.

Obrim uniósł wizjer i wskazał Skiracie gestem, żeby opuścił boczną szybę swojego śmigacza.

- Są bezpieczni - powiedział, zanim Skirata zdążył otworzyć usta. Nie musiał wyjaśniać, o kim mowa. - Ale ty już nie żyjesz. Leć za mną i żadnych rozmów przez komunikator, zrozumiano?

Cóż, nie pierwszy raz Skirata był martwy. Szarpiący wnętrzości lęk o Laseemę i Kada zastąpił tępy ból, który dowodził, że tym razem fart mu nie dopisał.

A szło tak dobrze, pomyślał. Naprawdę dobrze.

Cokolwiek robił, robił z myślą o swoich chłopcach. Jeżeli miał za nich umrzeć... robi to.

Poza tym miał przy sobie dziewięć milionów kredytów, gotówką. Całe szczęście, że Obrim był gliną z zasadami i nie zamierzał go przeszukiwać.

Patrol policyjny skręcił w brudną uliczkę tak wąską, że wieżyczki działek prawie szorowały po ścianach budynków, i zatrzymał się przy stercie gruzu ze zburzonego muru. Dwa borszczury - samiec o imponujących kłach i drobniejsza samica - uniosły głowy znad ścierwa bliżej nieokreślonego stworzenia i obserwowały scenę, wężąc z zainteresowaniem. Skirata wysiadł ze swojej maszyny, łypnął na nie spod oka i wskoczył do pojazdu patrolowego.

- Dobra - powiedział. - Wpadłem, prawda?

Obrim zdjął hełm i westchnął.

- Przykro mi, przyjacielu.

Wyciągnął swój notes komputerowy i podał Skiracie, żeby sobie przeczytał. Na wyświetlaczu widniał list gończy za Skiratą - żywym lub martwym. Właściwie nie było to dla niego nic nowego, poza osobą, która wydała upoważnienie.

- O proszę... sam Kanclerz jeszcze się mną nie interesował - powiedział. - Ale nie licząc tego, mam wyroki na jakichś pięciu czy sześciu planetach. A może siedmiu? Cholera, nigdy nie pamiętam. - Westchnął.

- Wiem. - Obrim cmoknął z dezaprobatą. - Przechwyciłem list, zanim poszedł dalej, ale nie mogę go długo trzymać. Poza

tym to poszło już i tak w świat, do reszty organów. Musisz zniknąć, Kal. Wiesz, że możesz liczyć na moich chłopców... obiecuję, że będą mieli straszne problemy z namierzeniem cię, ale reszta pewnie nie wykaże się taką wyrozumiałością...

- Nie wiesz, co tak wkurzyło Palpatine'a? - spytał Skirata marszcząc czoło.

- Moje źródło twierdzi, że jakiś naukowiec o nazwisku Nenilin podrzucił Kanclerzowi dane na temat klonowania pochodzące z Kamino - wyjaśnił Obrim.

Nenilin będzie miał wkrótce okazję do przeprowadzenia na sobie badań dotyczących oddychania przez tętnicę, pomyślał ponuro Skirata, jednak to musiało na razie poczekać. A Kal Skirata był cierpliwym mężczyzną.

- Jak, u licha, Kanclerz powiązał to ze mną? Tylko służby WAR do zadań specjalnych wiedziały o Ko Sai.

- Sam powinieneś wiedzieć, kto może być najsłabszym ogniwem. - Jaller wzruszył ramionami.

- Tak - mruknął Kal. - Do rzeczy: gdzie mój wnuk i Laseema?

- Zabrałem ich i wyczyściłem apartament, tak na wszelki wypadek. Wiem, że dzieciak jest... wyjątkowy. Daj mi tylko znać, gdzie i kiedy ich wysłać.

- Mam u ciebie dług, Jaller.

- Nie masz - zaprotestował policjant. - Jestem twoim przyjacielem. Wiem, że zrobiłbyś dla mnie to samo.

Racja. Skirata zrobiłby dla niego to samo, i to bez zastanowienia. Mężczyźni patrzyli na siebie dobrą chwilę w milczeniu. To był koniec pewnego rozdziału i obaj o tym wiedzieli.

- Cóż, chyba nie zobaczymy się przez jakiś czas, Kal - powiedział w końcu Obrim. - Ale wiedz, że zrobię dla ciebie, co w mojej mocy.

Skirata uściśnął jego dłoń.

- Jesteś bohaterem i dżentelmenem, Jaller. Jeżeli zaczniesz się tu robić gorąco... wiesz, że zawsze znajdzie się u nas miejsce dla ciebie i twojej rodziny. To w...

- Nie mów mi gdzie - przerwał mu Jaller. - Wiesz dlaczego.

Skirata nabazgrał na skrawku flimsi kilka cyfr i podał Jallerowi.

- W porządku, ale weź to. To kontakt do... moich pośredników. Jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń. Będą wiedzieli, jak mnie znaleźć.

Skirata nie lubił pożegnać. Uściśnął Obrima po męsku, a potem odwrócił się i ruszył w swoją stronę. Nie oglądał się za siebie -nawet kiedy odlatywał.

Znowu znalazł się w punkcie, w którym był już tyle razy wcześniej: kradziony pojazd, zbroja na grzbiecie i broń, która pozwoli mu przetrwać. Jednak tym razem miał przy sobie również dziewięć milionów kredytów, a poza tym jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Łączność była pewnie na podsłuchu, więc nie mógł również lecieć prosto do „Aay'han”.

Postanowił, że wykorzysta technologię, której - pomimo jej stosunkowej prostoty - aruetiise nie będą w stanie namierzyć. Skręcił i ostrożnie wleciał do starego tunelu przeciwpowodziowego, wybudowanego i porzuconego na długo, zanim Coruscant doczekało się systemu regulacji klimatu.

Przestawił komunikator w hełmie na otwarty kanał WAR i nadał w eter serię zakłóceń. Była to oczywiście specjalnie dobrana sekwencja długich i krótkich trzasków, przerywanych odpowiednimi pauzami. Dla przypadkowego słuchacza brzmiało to jak zwykle wyładowania na linii, ale dla Mandalorianina wyszkolonego w posługiwaniu się pradawnym kodem zwanym dadita, była to czytelna wiadomość. Za pośrednictwem alfabetu można było nadawać szyfrem.

W WAR niewielu znało ten system - Zera, komandosi i kilku Cuy'val Darów.

Skirata nadał zakodowaną wiadomość i czekał, aż ktoś wyłowi ją z eteru.

Skirata nadał zakodowaną wiadomość i czekał, aż ktoś wyłowi ją z eteru.

Skirata nadał zakodowaną wiadomość i czekał, aż ktoś wyłowi ją z eteru.

Zakład Karny Republiki, Pols Anaxes

- Wygodnie jest być klonem - stwierdził Fi. - Przynajmniej nie masz problemu z dopasowaniem stroju.

- Nie nosiłem tej konserwy całe lata! - Spar spasował osłonę brzucha. - Och, zapomniałem o wszystkich tych miejscach, w których pije... - westchnął ciężko.

Cała trójka: Spar, Sull i Fi wkroczyła na teren ZKR PolAx, jak nazywano ośrodek wśród personelu WAR. Nie różnili się teraz niczym od reszty żołnierzy pełniących służbę w obozie jenieckim. Jusik udawał aresztanta i Fi starał się sprawiać wrażenie, że trzyma go mocno, przy okazji próbując ukryć fakt, że jego chód nie całkiem przypomina ten energiczny wojskowy krok, który kiedyś przychodził mu bez trudu.

W obozie panował nieopisany chaos. Nic z atmosfery rozpacz i beznadziei, której można by się było spodziewać po takim miejscu - po prostu tłum ludzi zajętych swoimi sprawami. Ze ścian sterczały co prawda tu i ówdzie budzące grozę wieżyczki z działkami, ale kiedy minęli bramkę ochrony, okazując do kontroli fałszywe identyfikatory i upoważnienie do transferu więźnia, znaleźli się w czymś na kształt obozu przejściowego dla migrantów. Wokół roило się od przedstawicieli najrozmaitszych ras, ubranych w mundury z najdalszych zakątków galaktyki; grupki więźniów czekały w długich kolejkach, wijących się w różnych kierunkach.

- Dlaczego w ogóle biorą jeńców? - zastanawiał się Spar. - Przecież mogliby po prostu strzelać jednemu z drugim w łeb.

Jusik słyszał, o czym rozmawia jego eskorta, bo w uchu miał zamontowany głośnik zsynchronizowany z łączem w ich hełmach. Nie mógł odpowiedzieć, więc odchrząknął tylko znacząco.

- Serio - upierał się Spar. - Dodają sobie tylko roboty. Na co im oni? Powinni ich puścić wolno albo się ich pozbyć.

- Chyba przegapiłeś wykłady o regułach interwencji zbrojnej i o działaniach zgodnych z prawem - mruknął Fi. - Widocznie odbyły się już po tym, jak zdezerterowałaś.

Jusik z trudem stłumił rozbawione parsknięcie.

- Znów jesteś sobą - powiedział ledwie słyszalnie.

Fi wciąż był boleśnie świadom swoich braków, bardziej niż mocnych stron, ale jego umiejętności werbalne bez wątpienia się poprawiały. Gdyby jednak miał wybierać, zamiast ciętego języka wolałby odzyskać dawną celność.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Jusik wygląda na dużo starszego niż w chwili rozpoczęcia procesu leczenia, ledwie półtora roku temu. Postanowił, że od tej chwili będzie polegał tylko na sobie. Widać było gołym okiem, że te seanse dużo Bardana kosztowały. Dosłownie wysysały z niego życie.

- Dobra, Jedi - odezwał się Sull. - Sympatyczny dowódca obozu na horyzoncie. Staraj się wyglądać jak groźny rebeliant.

- Nazwij mnie jeszcze raz Jedi - syknął Jusik - a poczujesz potęgę Mocy tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- Wcielenie spokoju! - zadrwił Sull.

- Zamknij jadaczkę, co? - wyrwało się Fi, zanim zdążył pomyśleć. - Daruj sobie i stul pysk...

- Staram się tylko wprowadzić Bardana w odpowiedni nastrój - wyjaśnił Sull. - To znaczy, naburmuszonego separańskiego podżegacza.

Dowódca obozu był porucznikiem z Pięćdziesiątej Piątej zmechanizowanej brygady. W pierwszym odruchu Fi pomyślał, że obsadzanie kogoś takiego na stanowisku zarządcy więziennego to marnowanie dobrych ludzi, ale po chwili zauważył, że mężczyzna mocno utyka, pewnie z powodu obrażeń odniesionych w walce. Fi kusilo, żeby zapytać go, co mu się stało i

czy całkiem wrócił do zdrowia. Porucznik był żywym dowodem na to, że istniało życie po wykluczeniu z walki. A więc była dla niego nadzieja...

- Oto pozwolenie na przesłuchanie jednego z waszych aresztantów, sir - powiedział Sull, podsuwając mężczyźnie pod nos komputerowy notatnik z emblematem WAR.

Porucznik zerknął na ekran i skinął głową.

- To potwierdzenie identyfikacji, jak sądzę?

- Tak jest, sir! - Sullowi bardzo dobrze wychodziło udawanie zawodowego żołnierza, ale w końcu ARC-ów musztrowano od małego. - Ten tu więzień twierdzi, że może zidentyfikować kobietę, której szukamy. Prawdopodobnie posługuje się ona nazwiskiem Ruusaan Skirata. Jeśli okaże się, że to poszukiwana, mamy upoważnienie do dostarczenia jej na Coruscant w celu przesłuchania.

- Ach, ona - powiedział ze znużeniem porucznik. - Bardzo agresywna, złapana na Khemerionie. Trzymamy ją w izolatce... nie dla jej własnego bezpieczeństwa, ale dla dobra reszty więźniów.

- Dziękujemy za ostrzeżenie. Będziemy czujni.

- Barak osiem-bravo - wyjaśnił porucznik, wskazując na lewo. - Pokażcie androidowi identyfikator.

Skirata wspominał, że jego córka nie hołdowała mandaloriańskim zwyczajom, a przynajmniej tak podobno twierdzili jego synowie. Może się mylili. Fi podzielał nieufność Orda co do ich pobudek. Jeżeli się dowiedzieli, że ich ojciec ma pokaźną i wciąż rosnącą na koncie w banku sumkę kredytów, nic dziwnego, że chcieli pojednania. Miał nadzieję, że córka Kala okaże się odrobinę bardziej wdzięczna. Jeżeli nie... cóż, po prostu wypchną ją przez służbę powietrzną przy pierwszej lepszej okazji.

- Stary sierżant myślał chyba, że jego córeczkę trzymają w jakimś ogarniętym zarazą obozie śmierci - mruknął Spar. - To wszystko nie wygląda wcale tak źle. Spójrz tylko na boisko do smashballa! Mają lepsze warunki niż my na Kamino!

- Wcześniej był tu ośrodek szkoleniowy marynarki - powiedział Jusik.

- Cicho, Jedi... - warknął Sull.

Przy wejściu do baraku osiem-bravo drogę zastąpił im android strażnik. Sprawdził ich identyfikatory i upoważnienie, a potem poprowadził długim korytarzem, po obu stronach którego znajdowały się cele. Miejsce przypominało szpital polowy.

- Proszę tu zaczekać - polecił im android, sięgając chwytykiem do klamki jednej z cel. - Muszę zabezpieczyć więźnia.

Fi ustawił łączność na kanał wewnętrzny.

- Gotów, Bard'ika! - spytał. - Kiedy ją rozpoznasz, pamiętaj: zdradziła twoich ludzi, masz ochotę odgryźć jej głowę, ukradła ci kredyty na lunch i tak dalej.

- Ehem - mruknął bez entuzjazmu Bardan.

- Na pewno powie, że pierwszy raz widzi cię na oczy, ale i tak ją zgarniemy.

Spar wyglądał na zdenerwowanego.

- Zanim się zorientują, że nie dotarła do zakładu na Coruscant, będzie już lata świetlne stąd - powiedział. - A jeśli stwierdzi, że cię poznaje, będziemy po prostu improwizować.

- Nie powinniśmy chodzić na takie akcje w zbrojach - zaniepokoił się Fi. - Ktoś w końcu się połapie, że coś jest nie tak.

- Fi, wiesz, ile białego plastoidu ściągnięto z pobojozisk przez ostatnie kilka lat? - spytał Sull. - Skończyło się na tym, że separańcy mają więcej puszek niż my. Właśnie dlatego musimy teraz tak często zmieniać częstotliwość i protokoły danych.



Przeszkodził im kobiecy głos, wykrzykujący obelgi pod adresem androida, który pospiesznie wycofał się na korytarz.

- Możecie porozmawiać z więźniem - powiedział. - Wszystko jest pod kontrolą, ale musicie zachować szczególną ostrożność.

Nie żartował.

Ubrana w więzienny mundur Ruu Skirata rzucała się po ciasnej celi jak w amoku. Oddzielał ją od nich arkusz mocnej durastalowej siatki, który można było dowolnie przesuwając, dając więźniowi trochę swobody. System przypominał Fi klatki, których weterynarze używali do unieruchomienia zwierząt, żeby móc im zrobić zastrzyk. Fi pchnął Jusika w stronę Ruu.

Osik, Kobieta była tak podobna do Kal'baira, że aż przeszedł go dreszcz. I nie chodziło tylko o przenikliwe spojrzenie blado-błękitnych oczu i wystające kości policzkowe, które bez dwóch zdań odziedziczyła po ojcu. Wyglądała jak wściekła schutta, która szykuje się, żeby skoczyć mu do gardła i rozszarpać tętnicę.

- Czy to ta kobieta? - spytał obojętnym głosem.

Musiał Bard'ice przyznać, że był z niego świetny aktor. Spojrzał na Ruu badawczo, a po chwili w jego oczach zagościła niezachwiana pewność, która płynnie przeszła w palącą nienawiść.

- Zdrajczyjni... - wysyczał, a w jego głosie słychać było ryk gromu. - Zdrajczyyyni! - zawył.

- Posłałaś nas na pewną śmieeerć! Teraz mi za to zapłacisz!

Fi capnął go za kołnierz i potrząsnął nim gwałtownie. Starał się być równie przekonujący.

- Kim, u stang, jesteś?! - parsknęła Ruu. Fi miał cichą nadzieję, że android nie prowadził szczegółowej analizy biosygnarów. Jeśli tak było, wkrótce zorientuje się, że kobieta nie udaje i jest naprawdę zaskoczona. Grymas wkurzonej schutty na jej twarzy ustąpił na chwilę głębokiej konsternacji. - Jestem pewna, że nie widziałam cię nigdy wcześniej, bo gdyby tak było, miałbyś rozwaloną twarz.

- Kłamczyyyni! - wył dalej Jusik. - Zdradziiiiłaś naas!

Fi szarpnął go za ramię.

- Zabieramy cię na Coruscant, Skirata - rzucił beznamiętnie do dziewczyny. - Zachowuj się, a obędzie się bez użycia siły.

- Słuchaj, frajerze - burknęła Ruu - jestem jeńcem wojennym i znam swoje prawa! Żądam prawnika! Nie możecie mnie zabrać bez uczciwej rozprawy przed sądem!

Spar wyciągnął ramię i podsunął jej pod nos notes komputerowy.

- Oto twoja uczciwa rozprawa. Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko użyciu siły, więc proszę bardzo, paniusiu, daj mi dobry powód do oklepania ci buźki.

Teraz albo nigdy, uznał Fi - musieli działać.

- Strażnik! Podnieść gródź - zażądał Sull.

Określenie „schutta” było bardziej trafne, niż Fi się spodziewał. Ruu broniła się naprawdę skutecznie. Sull i Spar mieli problem

z unieruchomieniem jej w taki sposób, żeby niczego poważnie nie uszkodzić. Kiedy wlekli ją korytarzem, pluła takim jadem, że imponujący słownik przekleństw Kal'baira wydawał się przy tym poezją.

Na zewnątrz gromadził się już tłum współwięźniów; Fi widział, jak tłoczą się u drzwi, i zaczął się obawiać, że mogą wzniecić bunt. To miała być spokojna akcja, ale w miarę rozwoju wydarzeń wszystko zaczynało wyglądać niebezpiecznie.

- Nie możecie mi tego robić, wy spalinowe wypierdki! - zawyla dziko Ruu. - Wiem, co robicie na Coruscant z...

Kiedy Spar zacisnął mocniej pięść na jej kołnierzu, Ruusaan odwdzieczyła mu się kopniakiem w kostkę, który bolał nawet przez zbroję.

- Musimy coś zrobić, żeby się zamknęła! - powiedział stanowczo.

Jusik odkaszlnął i ścisnął Fi za ramię.

- Ja się tym zajmę - mruknął ledwie słyszalnie.

- Spar, zostaw to Bard'ice - powtórzył Fi do mikrofonu hełmu i poluzował uścisk.

Nie wiedział, co zamierza były Jedi, ale miał do niego bezgraniczne zaufanie. Nie minęła chwila, a Jusik wyrwał mu się, wrzasnął wściekle: „Kanalia!” - i wymierzył Ruu cios w szczękę. Fi mógłby przysiąc, że jego pięść nie dosięgnęła celu - nie rozległ się przyprawiający o mdłości chrzęst kości, a kobietą nie wstrząsnął impet uderzenia - ale nieprzytomna Ruu Skirata opadła w ramionach Spara i Sulla jak worek. Fi jednym susem dopadł do Jusika, złapał go za ramię i pchnął w stronę wyjścia.

Zgromadzony na zewnątrz tłum szemrał niespokojnie, tłocząc się u drzwi. Ale już za chwilę pojawiło się kilka androidów strażników w towarzystwie klonów i zajęło rozpedzaniem zgromadzenia.

- Nie mają pojęcia o zarządzaniu więzieniem! - prychnął Sull. Byli teraz kilka kroków od głównego wyjścia i przez transpastalowe okienko w drzwiach Fi widział już anteny superszybkiej kanonierki WAR, którą wypożyczyli sobie na tę akcję. Cokolwiek by o wojskowej biurokracji mówić, nie pilnowali swojego dobytku zbyt dobrze. - Nie potrafią zapanować nad tłumem - rzędził. - Nie można pozwolić współwięźniom tak się szwendać. Nie powinni...

- Gdyby mieli lepsze pojęcie - wszedł mu w słowo Spar -musielibyśmy się przedzierać tam i z powrotem siłą. Powinieneś się cieszyć.

Wrota zakładu zamknęły się wreszcie za nimi. Fi trzymał się kurczowo Jusika, dopóki nie znaleźli się z dala od budynków zakładu karnego. Ruu zaczynała powoli dochodzić do siebie.

- Zabiję was... - wymamrotała.

- Nieprawda - uciał Fi. - Jesteśmy tymi dobrymi - zapewnił ją, ale przezornie pomógł Sullowi skrupować jej ręce. Woleli nie ryzykować, zanim ją przekonają, że nie chcą jej zrobić krzywdy. Wsadzili ją razem z Jusikiem do małej ładowni z tyłu, a Sull przygotował statek do startu. Fi odprężył się dopiero wtedy, kiedy przestrzeń za małym iluminatorem wypełniła czerń pustki nakrapiana białymi punkcikami gwiazd. Był wykończony. Nie miał teraz wątpliwości, że stracił formę i postanowił, że po powrocie na Mandalorę zacznie regularnie ćwiczyć.

- Świetnie sobie poradziłeś, Fi - pochwalił go Jusik. - Gdybym nie wiedział, przez co przeszedłeś, trudno byłoby mi zgadnąć, że miałeś wypadek.

- Teraz już wiem, że sobie poradzę - zapewnił go Fi i ledwie skończył mówić, dotarło do niego, że te słowa stanowią swego rodzaju przełom. - Ale nie będę narzekał, jeśli jeszcze mi się polepszy - dodał szybko.

- Zuch z ciebie. - Bardan poklepał go po plecach. - No, zobaczmy, co ma do powiedzenia nasz gość.

- To dopiero było coś, Bard'ika\ - stwierdził entuzjastycznie Spar, zdejmując hełm. - Naprawdę konkretny... cios.

Prawdę mówiąc, Jusik był chucherkiem. Były Jedi uśmiechnął się pod nosem i zamarkował prawy sierpowy.

- Ma się tę wagę i zasięg - zażartował. - Może powinienem spróbować kariery zawodowego pięściarza?

- Jak to zrobiłeś? - dopytywał się Spar.

- Ogłuszyłem ją Mocą. - Bardan wzruszył ramionami.

- Tak, na pewno... - Klon spojrział na niego nieufnie. - Mówiłeś, przecież, że przestałeś się bawić w te czary-mary.

- W sytuacji kryzysowej zawsze się przydają.

Wyglądało na to, że Ruu już całkiem oprzytomniała. Otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się po wnętrzu statku. Adrenalina najwyraźniej opadła, bo nie zaczęła się szarpać - sprawiała raczej wrażenie przestraszonej.

- Powinna mnie boleć szczęka - powiedziała z namysłem. - Ale nie boli. Naprawdę was nie znam. - Spojrzała na nich z lękiem. - Czego chcecie? Nie jestem kimś, kogo warto byłoby porywać.

- Twój ojciec nas po ciebie przysłał, Ruus'ika - powiedział Fi.

- Ojciec? - Poderwała głowę i otworzyła szerzej oczy. - Tata?!

Fi przygotował się na potok wymówek na temat porzucania

rodziny i odruchowo zacisnął pięści. Nie pozwoli jej oczerniać Kal'baira... Kobieta jednak tylko zamrugowała kilka razy, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Mówicie o Kalu Skiracie? - upewniła się.

- A masz innego ojca? - zadrwił Spar.

- Owszem... mama wyszła drugi raz za męż.

Fi uznał, że mogą już ją uwolnić. Wspomnienie o ojcu uciszyło ją skuteczniej niż najsilniejszy cios.

- Wszystko wskazuje na to, że jestem twoim przyrodnim bratem - powiedział. - Nazywam się Fi.

- Jakie to kriffing wzruszające - zakpił Spar. - Chyba się rozplaczę.

- Tata mnie nie zostawił... - powiedziała do siebie Ruusaan. Jej twarz promieniała czystą radością. - Naprawdę po mnie przyszedł!

- Hm, tak naprawdę to my przyszlismy - sprostował Fi. - Tata jest chwilowo... odrobinę zajęty. - Stwierdził, że przepelnia go dziwna radość: miał siostrę! No, w pewnym sensie.

Przypomniał sobie, że ma też żonę i ojca - prawdziwego - nie mówiąc już o braciach. Miał rodzinę jak każdy inny człowiek. Spełniło się jego marzenie o zwykłym życiu, które kiedyś wydawało się czymś tak nierealnym i abstrakcyjnym. Było to cudowne uczucie, nieważne, że ta jego rodzina była dziwaczna, lubowała się w broni ciężkiego kalibru i miała skłonność do kłótni.

- On nigdy nie zapomina o swoich dzieciach.

- Zawsze wiedziałam, że wróci - szepnęła Ruu. - Po prostu... wiedziałam. Jak mnie odnalazł?

- Twoi bracia w końcu się do niego odezwali - wyjaśnił.

- Czy mi wybaczył?

- Co takiego?

- Że nigdy się do niego nie odezwałam.

Fi zerknął na Jusika, który dał mu gestem do zrozumienia, żeby zostawił sprawę na później. Spar przewrócił oczami i ruszył do kabiny, żeby dołączyć do Sulla. Widocznie chciał sobie oszczędzić fali czułości.

- Wracasz do domu - powiedział Fi do Ruu. - Tylko to się dla niego liczy.

Wiedział jednak, że Kal'bair mógł być w tej chwili w niebezpieczeństwie. Ordo przesłał im wiadomość, że za Buirem rozesłano list gończy.

Ale Ruu wcale nie musiała o tym wiedzieć, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Podziemny zbiornik rezerwowy, Coruscant

- Prawie - ocenił Skirata. - Jesteśmy już prawie na finiszu. - Napełnił sakwy u pasa magazynkami z zapasów „Aay'han” i wsunął w cholewkę każdego buta blaster. - Nie możemy stracić teraz zimnej krwi.
- Ordo leciał na spotkanie ze Skiratą mając nadzieję, że jego ojciec nie będzie się wychylał i poczeka spokojnie na resztę drużyny, a potem wszyscy prysną na pokładzie „Aay'han”, ale Skirata nie byłby sobą gdyby siedział beczynnym na swojej shebs.
- Proponuję, żebyśmy zabierali się stąd, jak tylko wróci Jusik z Ruusaan - rzucił zniecierpliwiony. - Skoczmy po Uthan i już nas tu nie będzie.
- Drużyna Omega wróci najwcześniej za tydzień - przypomniał mu Kal. - Nie ruszę się bez nich.
- Możemy się z nimi spotkać po drodze - nie ustępował Ordo.
- Synu, wiem, że oni potrafią porwać wszystko, co ma napęd jonowy albo jest zaprzęgnięte w banthę, ale wolę mieć pewność - powiedział Skirata. - Im większe stado, tym o więcej rzeczy trzeba zadbać.
- Ale jeżeli będziemy wszyscy w jednym miejscu, łatwiej będzie nas zaatakować - argumentował Ordo.
- Uważam, że tak jest właśnie bezpieczniej. - Kal pokręcił głową. - Zminimalizujemy czas i odległość dzielącą grupy, a potem się przegrupujemy.
- A więc ściągnę ich - obiecał komandos - ale nie możemy zwlekać. Wciąż dostajemy informacje o przygotowaniach potężnej floty.
- Wręcz przeciwnie - stwierdził ze stoickim spokojem Skirata. - Mogliśmy wyruszyć w każdej chwili i nic się pod tym względem nie zmieniło.
- Buir, stocznie cały czas pracują pełną parą! - przypomniał mu Ordo. - Centax pracuje dziesięć razy szybciej niż wcześniej. Lada chwila coś się wydarzy.
- I nikt nie pyta, co ma się stać z tym całym sprzętem? - spytał Kal.
- Nikt nie wiąże jednego z drugim, Kal'buir - stwierdził gorzko klon. - Nikt oprócz nas. Na dobrą sprawę nie ma na to żadnego dowodu... żadnej łączności między Centaksem II a dowództwem WAR; nic, co mogłoby sugerować rzucenie do walki drugiej fali statków. Wyglądało na to, że istotnie coś jest na rzeczy. Fakt, że przez całe dziesięć lat nikt nie odkrył przygotowań Wielkiej Armii, można było usprawiedliwić tym, że Kamino leżało na uboczu, jednak w przypadku Kuat taki argument brzmiał niepoważnie. Ordo był naprawdę zdumiony, że Rothana i KDY zdołały wyprodukować tak potężną machinę wojenną, złożoną z całych flot, niezliczonej ilości broni i sprzętu dla milionów żołnierzy, a nikt nie pisał o tym słówka ani nie dociekał, czemu mają służyć takie zapasy uzbrojenia. Może dlatego, że trzymilionowa armia była jak kropla w morzu istot zaludniających galaktykę? - zastanowił się, ale po chwili uznał, że większość tych istot nie potrafiła po prostu łączyć fragmentów większej układanki ani patrzeć na całość z właściwej perspektywy. Dzięki temu Palpatine mógł osiągnąć prawie wszystko. Ukrywał swoje plany, wplatając je zrećznie w sieć codziennych problemów, którym nikt się wnikliwie nie przyglądał.
- Muszę wracać do kwatery głównej - westchnął. - Kal'buir, proszę, nie zrób nic głupiego...
- Dawanie takich rad najemnikowi było absurdem i Ordo dobrze o tym wiedział.
- Znajdę Kad'ikę i dziewczyny, a potem skoczmy po Uthan - powiedział Skirata. - Dasz radę ściągnąć Omegi z powrotem?
- Czy potwierdzili, że chcą z nami lecieć?
- Może niekoniecznie tak to określili - stwierdził wymijająco Kal. - Niektórych trzeba odrobinę... zmobilizować do podjęcia decyzji.

Nie zamierzał widocznie pytać ich o zdanie. Chociaż wydawało się, że scysja z Darmanem powinna była dać mu do myślenia, teraz znów przyjął postawę ojca, który wie lepiej. Mimo wszystko Ordo musiał przyznać, że jego stanowcze decyzje nieraz ocaliły życie jemu i jego braciom, i nie mógł go za to potępiać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, każdemu z nich wyjdzie to na dobre.

- Jaki jest plan? - spytał.  
- Lecimy po Uthan. Jak tylko wróci Jusik.  
- Rozumiem, że wszystko przygotowane? - upewnił się.  
- Jestem przekonany, że wymyślimy coś na miejscu - oznajmił z rozbijającą szczerością Kal.

- Zawsze mi wbijałeś do głowy, że najważniejsze jest planowanie, Kal'buir - przypomniał mu z wyrzutem Ordo.

- Uczyłem cię też, że zawsze należy wykorzystywać szanse -odbił piłeczkę Skirata.  
- Nie możesz narażać się na ryzyko! - Ordo dźgnął go oskarżycielsko palcem w pierś. - Twój fart się skończył! Powinieneś odpocząć. Albo nie dożyjesz chwili, żeby zobaczyć następnego wnuka.

Skirata uniósł wysoko brwi i przyjrzał mu się uważnie.

- Chcesz mi coś powiedzieć, synu? Czyżby Besany...  
- Nie - zaprzeczył prędko Ordo. - Nic podobnego. - Był naprawdę zaskoczony, że Kal'buir mógł go podejrzewać o zostawianie takich rzeczy przypadkowi. - Po prostu martwię się, że tyle dla nas ryzykujesz.

- Duże ryzyko, duże zyski - mruknął Skirata i wrócił do gromadzenia uzbrojenia. Ordo mógłby przysiąc, że adrenalina odejmowała mu lat. Niesamowite, jak szybko ten człowiek potrafił się otrząsnąć i znów stanąć do walki. - Nie martw się o mnie -powiedział. - Za dużo życia mi zostało, żebym miał się teraz dać zabić.

- Lepiej pójde przedstawić Zeyowi raport i utwierdzić go w przekonaniu, że wypełniam jego rozkazy - westchnął Ordo. -Będziemy w kontakcie, ale nie ryzykuj, proszę, łączności przez komunikator.

- Masz to jak w banku, synu. - Skirata obdarzył go szelmowskim uśmiechem. - I obiecuję wrócić do domu przed północą -zażartował.

Ordo przemknął bezszelestnie wyludnionymi tunelami i przeszedł przez pomieszczenia zautomatyzowanych pompowni, które kontrolowały poziom wody w podziemnym jeziorze. Kiedy wyszedł na powierzchnię, skierował się w stronę kwatery głównej. Po drodze przebrał się z ubrania cywilnego w kombinezon, a trochę później zatrzymał się, żeby założyć zbroję i dopiero wtedy wrócił po swój skuter repulsorowy - wszystko dla zachowania maksymalnego bezpieczeństwa. Kapitan ARC z jaskrawym, czerwonym naramiennikiem i w kamie z czerwonym oblamowaniem rzucał się w oczy nawet na Coruscant, gdzie krzykliwe i najbardziej wymyślne stroje spotykało się wszędzie.

Wolał dmuchać na zimne. Od jakiegoś czasu po ulicach krążyło coraz więcej patroli klonów z czerwonymi i niebieskimi oznaczeniami na białych zbrojach, a w ciągu kilku ostatnich tygodni ich liczba niepokojąco wzrosła.

Żołnierze z błękitnymi symbolami należeli do Legionu 501. Była to jedna z wielu jednostek w potężnej armii, które nad nazwy przedkładały numerki. Ordo postanowił skorzystać z okazji i wylądował na jednej z platform, żeby z nimi porozmawiać. Nie różnił się niczym od innych kapitanów ARC. Wiedział, że nawet podczas skanowania nie zdołaliby wykryć, że jest jednym z Zer-dopóki by się nie zdecydował ujawnić im zakodowanego w zbroi numeru elektronicznego, N-11.

- Sierzancie - zagadnął pierwszego z brzegu. - Do której godziny patrolujecie teren?
- Do punkt dwudziestej, panie kapitanie.

Ordo wsłuchał się uważnie w jego akcent. Żołnierz z całą pewnością nie był szkolony na Kamino. W jego głosie pobrzmiwało odległe echo akcentu coruskańskiego. Niewielu byłoby zdolnych wyłapać takie subtelności, ale Ordo miał dobre ucho. Przyglądał się przez chwilę klonom z 501. i ich braciom w zbrojach z czerwonymi elementami, żołnierzom do zadań specjalnych. Sprawiali wrażenie pełnych poświęcenia i karnych.

- Świetnie, sierzancie - odpowiedział w końcu. - Kontynuujcie.

Na pewno nie były to wytwarzane w przyspieszonym trybie klony z Centaksa II. Najprawdopodobniej miał do czynienia z żołnierzami hodowanymi w oparciu o materiał genetyczny Fetta w jakimś zakładzie na Coruscant, którego Zera jeszcze nie zdołały namierzyć. Nie było to zresztą tak pilne zadanie, jak konieczność rozwiązania zagadki przeznaczenia armii z Centaksa II.

Nic dziwnego, że nowi, z którymi mieli już do czynienia, nie mieli pojęcia o Kamino, pomyślał. Prawdopodobnie powiedziano im, że Centax to Kamino, żeby nie zdradzili komuś przypadkiem swojego prawdziwego pochodzenia i nie ujawnili całego projektu. W zamkniętym środowisku, bez dostępu do informacji z zewnątrz, nie mieli powodu, żeby nie wierzyć w to, co im wmawiano.

W większości przypadków taka metoda działała bez zarzutu.

Ordo zaparkował swojego aratecha przy głównym wejściu do koszar, obok repulsorowych skuterów kurierskich, i udał się na poszukiwanie Zeya. Musiał mu powiedzieć o oficjalnym odsunięciu Skiraty od obowiązków. W korytarzu minął go Maze - o dziwo, w hełmie. Oznaczało to, że odbierał i nadawał komunikaty na wewnętrznym łączu.

- Co ze Skiratą? - spytał Orda, przystając na chwilę.
- Nie mam pojęcia - odpowiedział kapitan, nie zwalnając kroku. - Zniknął bez śladu, zresztą pewnie wszyscy się tego spodziewali.
- Rozumiem - potwierdził Maze i odmaszerował w stronę odświeżaczy.

Ordo zastanawiał się właśnie, na jak wiele może sobie pozwolić, żeby ściągnąć Omegę z powrotem, kiedy rozległ się dźwięk syren alarmowych. Zatrzymał się w pół kroku. Tak naprawdę słyszał ten dźwięk wcześniej tylko raz, na ćwiczeniach, i nie spodziewał się, że będzie miał okazję usłyszeć go znowu.

Był to sygnał ostrzegający przed atakiem z powietrza. Inwazją.

Rozejrzał się za najbliższym panelem kontrolnym, spodziewając się zobaczyć błyskającą czerwono lampkę - znak, że doszło do spięcia i że alarm jest fałszywy, ale niczego takiego nie zauważył. Wszystkie kontrolki wyglądały prawidłowo. Z głośników rozległ się spokojny, brzmiący dziwnie niestosownie głos robota: „To nie są ćwiczenia, powtarzam: to nie są ćwiczenia. Wykryto zbliżającą się flotę wroga. Wszyscy są wzywani do punktu zbornego. Ogłaszam sytuację kryzysową”.

Wokół zaroilo się nagle od androidów, pracowników cywilnych i żołnierzy. Nieznośne wycie alarmu było teraz tak głośne, że aktywowało system wytłumiania dźwięku w hełmie Orda. W korytarzu pojawił się Maze, w biegu poprawiając zbroję.

- To cała stanging flota! - wykrztusił i uderzył dłonią w hełm na znak, że jest podpięty do wyświetlacza taktycznego. - Świetne wyczucie czasu - stwierdził ponuro.

Ordo całkowicie się z nim zgadzał, jednak z zupełnie innych powodów. Szanse... Przypomniawszy sobie słowa Kal'buira: szanse mogły równie dobrze stanowić zagrożenie. Wszystko zależało od tego, jak się je wykorzystało.

- Zabierz Zeya do schronu dowodzenia, a ja zablokuję system - rzucił.

Obowiązkiem żołnierzy ARC w sytuacji zagrożenia Coruscant była ochrona centrum dowodzenia i celów strategicznych. Jeśli wróg zdoła zająć silną pozycję w terenie, mieli za zadanie dokonać sabotażu, dopuścić się zabójstwa, a w ostateczności zmobilizować ludność i stanąć na czele wojny partyzanckiej. Maza puścił się pędem w poszukiwaniu Zeya, a Ordo postanowił, że jeżeli będzie musiał zniszczyć osobiste dane generała, żeby nie wpadły w ręce wroga, najpierw szybko je dla siebie skopiuje.

- Sir! - Jak spod ziemi wyrósł przy nim komandos z Drużyny Yayax. Był jednym z chłopaków Bralor i nazywał się Cov, jeśli Ordo dobrze pamiętał. - Zabieram nowych. Równie dobrze mogą się uczyć podczas prawdziwej akcji. Jakie są rozkazy?

Ordo za mało jeszcze wiedział o sytuacji, żeby planować rozmieszczenie ludzi, a poza tym to i tak należało do kompetencji Zeya. Teraz miał co innego na głowie. Postanowił stosować się do głównego planu postępowania w sytuacji kryzysowej.

- Dopilnuj, żeby wszyscy dostali możliwie jak najwięcej sprzętu - poinstruował kolegę. - Jeżeli będzie trzeba, splądrujcie cały magazyn. Zbierzcie statki. - Komandosi nie byli co prawda zawodowymi pilotami, ale potrafili pilotować wystarczająco dobrze, żeby poradzić sobie z kanonierkami LAAT/i i innymi jednostkami, które akurat były pod ręką. - Potem ruszajcie do kwatery głównej po wiadomości HoloNetu - dodał. - Upewnijcie się, że na wszystkich kanałach będą nadawane komunikaty o stanie wyjątkowym. Wkrótce dotrze tam artyleria WAR. Zapewnijcie im wsparcie.

- Tak jest, sir! Zaraz będzie tu sierżant Vau, widziałem go przed chwilą - poinformował go Cov.

Zanim zabrał się do pracy, Ordo przywołał w myślach plan rozmieszczenia reszty członków ich grupy. Fi, Jusik, Spar i Sull mieli wkrótce dotrzeć na miejsce. Mereel i A'den działali gdzieś w terenie. Jaing i Kom'rk byli w drodze na Utapau, a Pruudi - o ile trzymał się harmonogramu - właśnie przeladowywał reaktor na zajęty przez separańców Biriksie. Dlaczego nikt nie zauważył nadlatujących statków wroga? - zasepił się. Zupełnie jakby wszyscy przestali się interesować tym, co robi Grievous.

A jednak ktoś wiedział, co się święci.

Nie mogli trafić na lepszy moment. Czyżby to miała być część jakiegoś chytrego planu Republiki? Zwabienie separańców nad pozornie kiepsko chronioną stolicę, specjalnie po to, żeby zmiażdżyć ich potem widowiskowo tajną armią? Jeżeli Palpatine ma właśnie taki zamiar, jestem mu winien przeprosiny, przyznał Ordo niechętnie.

Cwaniaczek z tego Kanclerza. Może go nie docenił.

Wpadł jak burza do najbliższego pomieszczenia kontrolnego, włączył holoprojektor i wklepał kod aktywujący przekazywaną w czasie rzeczywistym z oddalonej o trzy kilometry kwatery głównej WAR holomapę. Po raz pierwszy czuł się odsunięty na margines wydarzeń. To nie on kontrolował sytuację. Mógł tylko reagować i wypełniać rozkazy. Nie lubił takiej metody walki. Myśliwce ARC-170 były już w powietrzu i leciały na spotkanie z maszynami Separatystów, które rojiły się wokół głównej floty. Ordo przełączył obraz na mapę Coruscant: uzbrojone jednostki zajmowały miejsca na głównych szlakach powietrznych i wokół kluczowych budynków. Aktywowano planetarną tarczę obronną - dlaczego dopiero teraz? Dlaczego tak późno? Za późno... setki statków wroga, włącznie z okrętami, były już w środku.

To jak zamknięcie w klatce z rankorem, przeszło mu przez myśl. Robi się gorąco...

Teraz widział wyraźnie, jak bardzo siły WAR są rozrzucone po całej galaktyce. Musieli natychmiast przywołać z powrotem tylu żołnierzy, ile się da.

Jednak to nie do niego należało podjęcie takiej decyzji.

Obserwował tylko wycinek wojny, jak każdy inny żołnierz -i chociaż z pewnością miał lepsze pojęcie o całej sytuacji niż reszta, nie mógł zrobić zbyt wiele.

Na korytarzu rozległ się łomot ciężkich butów i skrobanie uzbrojonych w pazury łap, a chwilę później do biura wpadł Vau z Mirdem u boku.

- Palpatine wszystko przewidział - powiedział Ordo. - Pewnie zamierza użyć przeciwko nim tej nowej floty...

- Może i tak - odparł beztrząsowo Vau. - Wskakuj w swój beskar'gam, Ord'ika. - Ostrożnie włożył swój czarny hełm. Ten symboliczny akt zmienił go w mgnieniu oka w bezimiennego wojownika: w niewiadomym wieku, nieokreślonej płci i rasy. Wyglądał jak symbol wojny. - Nie możemy wpakować się w walkę z robotami - powiedział. - Musimy odbić Uthan. Lepszej okazji już nie będzie. To doskonały moment... każdy jest zbyt zajęty swoimi sprawami, żeby zwracać sobie nami głowę.

- Nie mam czasu wracać po broń. - Ordo pokręcił głową. -Będę walczył w tej. Do tej pory dobrze mi służyła.

Mird był wyraźnie podniecony, ale nie szalał. Kręcił się tylko niespokojnie, machając ogonem i od czasu do czasu cicho skowycząc. Ordo ruszył do wyjścia. Nie miał czasu na nadawanie kodem dadita - skontaktował się ze Skiratą na zwykłym kanale. Teraz, podczas inwazji, nikt z pewnością nie będzie się nim interesował.

- Zostań na miejscu, Kal'buir - powiedział. - Słyszysz? „Aay'han" od teraz będzie naszą wysuniętą bazą operacyjną.

- Na kanale informacyjnym HoloNetu w kółko apelują o zachowanie spokoju - poinformował go Skirata. - Patrzę teraz na mapy taktyczne WAR. Muszę znaleźć sposób, żeby ściągnąć tu Laseemę, Besany i Kada.

- Kal, są z nimi Mij i Wad'e - wtrącił się Vau. - Znalazłem im inny bezpieczny lokal, na dolnych poziomach, prześlę ci zaraz namiary. Niech tam na razie zostaną. Separacyści zechcą się najpierw dobrać do najważniejszych obiektów, nie będą się szwendać po slumsach.

- Och, nie może być, Walonie! - odgryzł się Skirata. - Nigdy bym na to nie wpadł!

- Jak tylko Sullowi uda się wylądować, zgarniemy Fi - obiecał Kalowi Ordo. - Będą mieli spory kawał drogi z południowej części lądowiska WAR. Nad centrum jest za duże zamieszanie, żeby lądować.

W pierwszej chwili Ordo chciał lecieć do Skiraty, ale wpojone odruchy nakazywały mu stanąć do walki, a jeszcze inny głos

podpowiadał, że Vau ma rację i że to najlepszy moment na odbicie Uthan. Nagle łącze w jego hełmie obudziło się znowu do życia -ale tym razem to nie był Kal'buir.

- Tu Zey, do wszystkich członków grup do zadań specjalnych na terenie Wewnętrznych Rubieży. Punkt piąty, powtarzam: punkt piąty. Każdy, kto mnie słyszy, utrzymać łączność. Niech Moc będzie z wami.

Każdy komandos Republiki z brygady do operacji specjalnych słyszał ten sygnał, niezależnie od tego, gdzie był. Komunikat potwierdził jeden z najgorszych scenariuszy: pilne wezwanie na Coruscant wszystkich drużyn przydzielonych do akcji na terenie Wewnętrznych Rubieży - i skierowanie ich do obrony stolicy.

Słyszeli je także generałowie Jedi - w tych nielicznych miejscach, gdzie towarzyszyli swoim drużynom podczas misji. Jeżeli sytuacja się pogorszy, apel zostanie powtórzony, ale tym razem wezwą jednostki działające na terenach bardziej oddalonych.

- Najpierw najważniejsze - mruknął Vau. - Znajdźmy statek Fi. Potem poszukamy Mereela i A'dena.

- Jestem za - zgodził się Ordo. Uruchomił swój skuter. - Czy Mird dobrze zniesie jazdę?



Vau spał na krótko maszynę stojącą obok. Był całkiem dobry w przywłaszczaniu sobie środków transportu.

- Uwielbia latać - rzucił krótko, wskazując na siodełko. Mird wgramolił się za nim i zacisnął szczęki na uchwycie za pilotem. -Ma sześć nóg, nie spadnie.

Chwilę później wzbili się w powietrze i skierowali na południe, po drodze obserwując sytuację nad miastem. Eskadry ARC-170 nadal utrzymywały myśliwce Separatystów z dala od planety, ale statki wroga zaczęły już bombardowanie. Z budynków w pobliżu Senatu unosiły się już słupy dymu.

- To jest ta chwila, w której musimy wybrać, Ordo - usłyszał głos Vaua w głośnikach hełmu. - Bijemy się za Republikę czy walczymy o przetrwanie. Nie możemy mieć obydwu rzeczy naraz... no, chyba że przypadkiem.

- A więc aliit - powiedział cicho Ordo, myśląc o drużynach komandosów, które wypełnią swój obowiązek do końca. Czuł się przez to podle. - Nasz klan.

## **ROZDZIAŁ 14**

W porządku, przyznaję: Palpatine jest wytrawnym strategiem i taktikiem. Rozrzucił żołnierzy WAR po najodleglejszych zakątkach galaktyki, żeby separańcy uznali, że mogą swobodnie położyć łapę na Coruscant, a kiedy ci lyknęli przynętę, rzucił przeciwko nim swoją tajną broń. Zwabił ich w pułapkę. Cóż, przynajmniej wiemy, po co tworzył drugą armię klonów i te wszystkie statki. Teraz musimy tylko wydostać się stąd w jednym kawałku. Całkiem sprytnie, Kanclerzu, ty oślizła szumowino.

Kal Skirata interpretujący motywy działania Palpatine'a - mylnie

Szybki statek desantowy WAR, w drodze na Coruscant, 5 godzin po rozpoczęciu Bitwy o Coruscant, 1080 dni po Bitwie o Geonosis

Kiedy ich statek wyskoczył z nadprzestrzeni, członkowie Drużyny Omega z niedowierzaniem powitali scenę, jaka rozgrywała się w przestrzeni kosmicznej.

- Osiki - jęknął Niner. - No to już po nas.

Nad Coruscant roilo się od okrętów wojennych. Było ich na oko jakieś kilka tysięcy - i to tylko w zasięgu ich wzroku. Mogło być ich znacznie więcej. Dużych okrętów.

- Bez paniki - uspokoił go Atin. - To nasi.

Niner wcisnął kilka klawiszy i na ekranach wyświetliła się długa lista sygnałów transponderów i kodów statków. Darman pochylił się i spojrzał na nią nad jego ramieniem.

- Nie wiedziałem, że mamy tyle złomu - mruknął. - Czy ktoś z was rozpoznaje którąś z tych łajb?

Atin pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

- Właściwe kody, dobre sygnały transponderów, dobre sygnatury silników... - Niner wcisnął kolejne klawisze i na wyświetlaczu pojawiały się podobne komunikaty, wszystkie potwierdzające zgodność: ciąg kodów identyfikacyjnych Republiki i nazw statków - nowych nazw. To nie były statki wroga. - Wygląda na to, że dostaliśmy nowe zabawki - ucieszył się. - Może dziś są nasze urodziny i to ma być niespodzianka?

Paraliżujący Darmana strach w ułamku sekundy zastąpiła euforia, która zaraz zmieniła się w urazę. Pomyślał z goryczą o trzech latach daremnego przelewania krwi, zajmowania i oddawania planet, stagnacji... Dlaczego tak długo trzymali asa w rękawie? Taki zastrzyk świeżej krwi w postaci statków i ludzi był im potrzebny już bardzo, bardzo dawno temu.

- Do domu, mój dobry człowieku - powiedział Corr protekcyjnie, klepiąc Ninera w ramię. - I nie oszczędzaj silników.

Kiedy ich statek skierował się na pełnym ciągu w stronę Coruscant, klucząc między lotniskowcami, niszczycielami i krążownikami, docierało do nich powoli, że właśnie nadszedł punkt zwrotny tej wojny.

- Sierżant Kal miał rację - odezwał się Atin. - Palpi naprawdę chował armię i flotę na czarną godzinę.

- Lepiej późno niż wcale - zauważył Niner, trzymając rękę na drążku. Był dobrym pilotem, ale nie przeceniał swoich możliwości. - Spytajmy Zeya, o co w tym wszystkim chodzi - zaproponował. - Dar, stuknij do starego, co?

Zanim generał odpowiedział, minęło kilka chwil. Podczas gdy Darman czekał niecierpliwie na połączenie, ich statek desantowy - pierwsza jednostka, którą zdołali złapać - wśliznął się w strefę bezpieczeństwa masywnego krążownika. Byli tak blisko, że Darman mógł przeczytać oznaczenia na kadłubie. Nigdzie nie było śladu trafień, wgnieceń ani nawet zwyczajnych rys, zostawianych przez szczątki dryfujące w przestrzeni kosmicznej. Statek był nowiutki.

- Omega? - Zey pojawił się w ich kokpicie pod postacią błękitnego hologramu. - Niner? Jak stoicie z czasem?

- Za pół godziny dotrzemy do koszar, o ile obędzie się bez niespodzianek.

- Zmiana planów - zarządził Jedi. - Kierujcie się na te współrzędne. - Na wyświetlaczu pojawił się szereg cyfr. - Mamy mobilne działka przeciwlotnicze we wszystkich głównych stacjach zasilania Galactic City, ale zajęcie przez separańców miasta to tylko kwestia czasu. Jeżeli odetną duże sektory, będziemy mieli spory problem z zapewnieniem bezpieczeństwa cywilom. Trudno będzie zapanować nad kilkoma miliardami obywateli pozbawionych bieżącej wody i łączności. Postarajcie się, żeby obiekt nie trafił w ręce wroga.

- Tak jest, sir - rzucił Niner. W przeciwieństwie do reszty, zawsze poważnie podchodził do rozkazów Zeya. - Czy mogę zapytać, skąd się wzięło to dodatkowe wsparcie?

- Mógłbym zapytać o to samo ciebie - powiedział Jedi kwaśno. - Jesteśmy równie zaskoczeni, jak wy, sierżancie, ale nie czas teraz na wypytywanie Kanclerza o powody. Hologram zamigotał i zgasł.

- Ech, gdyby tylko cała ta wojna była taka prosta... - westchnął Corr. - Chyba jednak i tak nie mamy co narzekać.

- To jest właśnie cały problem z walkami w miejscach takich jak Coruscant - powiedział Niner, wpisując dane do komputera nawigacyjnego i szukając najkrótszej drogi w ogromnym labiryncie statków. - Złożona, gęsto zaludniona infrastruktura, którą łatwo naruszyć... miliardy przerażonych ludzi uciekających w popłochu śmigaczami, tamujących ruch, bo nie działa autonawigacja, do tego pożary, walące się budynki, uszkodzony system wodociągów... Naprawdę trudno będzie zapanować nad tym chaosem i jednocześnie dopilnować, żeby nikt nie włąził w drogę naszym wojskom, próbującym rozprawić się z separańcami.

Darman miał nadzieję, że ktoś na czas otworzy im korytarz w polu ochronnym, żeby mogli wylądować. Widok ostrzeliwanego miasta był wstrząsający. Wojenne rzemiosło miało proste reguły: trzeba było próbować zabić kogoś, zanim ten ktoś zabił ciebie, jednak kiedy w grę wchodził cywile, wszystko stawało się znacznie bardziej skomplikowane.

A świadomość, że tam w dole jest jego syn, czyniła wszystko jeszcze trudniejszym.

- Mam nadzieję, że Kad jest bezpieczny. - Przełknął głośno ślinę.

- I Laseema - dodał Atin. - I cała reszta.

Nie trzeba było mówić nic więcej. Każdy pograżył się w swoich myślach. To nie była zwyczajna misja. Dla każdego z nich ocalenie Coruscant było ważne z przyczyn osobistych. Darman dałby sobie rękę uciąć, że w tej chwili daleko im było do chłodnego opanowania, jakie swego czasu przypisał wszystkim klonom android w wiadomościach HoloNetu.

- Dzięki Mocy, że przynajmniej Etain jest daleko - rzucił Corr. - Skoro separańcy uwijają się tutaj, może na Kashyyyku jest spokojnie...

- Faktycznie, szczęściara z niej - parsknął Niner. - Bo tutaj szykuje się niezła jatka. Położył statek w pętlę, żeby ominąć dwa ostrzeliwujące się okręty. Wyszli ze strefy okupowanej przez statki Republiki i wchodzili teraz w rejon zajęty przez okręty wroga. Minęli kalamariański frachtowiec, zapamiętane ostrzeliwujący z małych działek kanonierkę Separatystów. Przelecieli koło niego tak szybko, że Darman nie zdołał zobaczyć wyniku potyczki.

Corr pochylił się i obrzucił uważnym spojrzeniem ekrany, a po chwili cała drużyna tłoczyła się nad konsolą i śledziła dane wyświetlane na monitorach.

- Shab, Niner! Spójrz na wskaźnik pola!

- Ta-a, zgarnęliśmy na maskę trochę robali - potwierdził Niner. - Zapowiada się niezła zabawa.

Przestrzeń wokół nich przesywały raz po raz serie ognia z działek, a tu i ówdzie co chwila rozkwitały chmury oślepiającej bieli, kiedy któryś z myśliwców został trafiony. Atin przyjrzał się krytycznie odczytom z czujników.

- Jakiś shabuir próbuje nam się dobrać do shebs - oznajmił. Wyglądało na to, że mieli na ogonie myśliwiec. - Nie próbuje nas namierzyć, więc pewnie się domyślił, co robimy.

- Chce wskoczyć razem z nami - mruknął Niner, dając pełną moc. - Podkasać kiecki, paniusie! Sześćdziesiąt sekund do pola!

Corr zapiął mocniej uprząż.

- Puk-puk, wpuście nas do środka... - zanucił.

- Pamiętaj, żeby wyhamować, jeżeli zmienią zdanie - zażartował Atin.

- Mają obowiązek otworzyć nam korytarz - powiedział Niner ze śmiertelną powagą. W takich chwilach nigdy nie żartował. - Muszą tylko wyłączyć jeden węzeł generatora na pięć czy sześć sekund.

Darman błędził myślami daleko; zastanawiał się, co będzie, kiedy separańcy dostaną porządne lanie. Może to była szansa na zakończenie tej wojny? Od rozmowy ze Skiratą w odświeżaczach na terenie koszar nikt z nich nie poruszał tematu, ale Dar wiedział, że każdy często rozmyśla o tym, co czeka ich po wojnie.

- Mam dosyć, pakuję manatki - powiedział stanowczo. - Kiedy będzie po wszystkim, spływam na Mandalorę. Kto leci ze mną?

- Ja. - Corr podniósł rękę.

- Jestem za. - Atin skinął głową i klepnął trzymany na kolanach DC-17.

Spojrzeli na Ninera, ale sierżant milczał.

- Dobra - powiedział w końcu, ku zdziwieniu Darmana. - Nie chcę być ostatnim stekiem z nerfa, który zostanie w mięsnym. Lecę z wami.

Atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Wszyscy poczuli ulgę, chociaż statek wciąż zbliżał się lotem kolizyjnym ku zamkniętej tarczy ochronnej.

- Drużyna Omega do kontroli pola, prosimy o pozwolenie na wejście - powiedział Niner do mikrofonu komunikatora.

Cisza. Przypominająca szachownicę panorama wież Potrójnego Zera rosła w oczach.

Pięć, cztery...

- Omega do kontroli pola, prosimy o otwarcie korytarza...

Trzy, dwa...

- Kontrola pola do Omegi, korytarz otwarty - rozległo się w kabinie.

Tuż przed nimi tarcza rozbłysła na ułamek sekundy, co oznaczało, że otworzono portal.

- Omego, na waszej szóstej! - ostrzegł głos w głośnikach, kiedy nurkowali ku Coruscant.

Jeden z myśliwców Separatystów zdołał prześliznąć się za nimi. Nie było to zbyt mądre zagranie i di'kut pakował się w pewne kłopoty, ale cóż - niektórzy piloci byli wyjątkowo krótkowzroczni. Tak czy inaczej, gnojek wciąż mógł strzelać.

Kokpit zalała czerwona poświata, a z głośników popłynął ogłuszający sygnał alarmu: separaniec wziął ich na cel. Ich statek zakołysał się i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, a iluminatory wypełniły płomienie i kłęby dymu. Tylko dzięki temu Darman zorientował się, że szalony pilot do nich strzelił.

- Shabuir - warknął Niner. Nawet w tym chaosie, chociaż drapacze chmur Coruscant nieuchronnie pędziły im na spotkanie, sierżant zdołał odpalić kilka termolokacyjnych pocisków typu Firaxa. - Przygotować się na zderzenie!

- Głupio umierać w taki sposób - westchnął Corr.

Ten lot na pewno skończy się źle - dla nich albo dla myśliwca. Obydwie jednostki spadały na ziemię w zawrotnym tempie, otulone chmurą dymu i płomieni.

Nagle Darman poczuł wstrząs, a chwilę później usta wypełniła mu krew z rozciętej wargi. W głośnikach hełmu rozległ się dziwny trzask, świat fiknął koziołka i wszystko wokół przesłoniła gęsta, gorąca mgła.

Statek zatrzęsł się jak w febrze; uszy wypełnił mu silny podmuch wiatru, którego jednak nie czuł, czuł za to, że coś unieruchomiło jego nogę. Wciąż był boleśnie świadom, że powinien jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Mózg ostrzegał go przed pożarem i chociaż nie czuł dymu ani nie widział ognia, ufał instynktowi. Wierzgnął, żeby wyszarpnąć nogę z pętli kabla, w którą - jak sądził - zaplątał się podczas twardego lądowania.

- Dar, to ja! - Ktoś go rąbnął w nagolennik. - Przestań kopać!

To był Niner. Następną rzeczą, jaką Darman pamiętał, było

gwałtowne zderzenie z czymś nieruchomym. Ktoś złapał go pod ramiona i zaczął ciągnąć po ziemi, dopóki nie zawadził o coś nogą i nie upadł. Był pewien, że nastąpiło to, zanim ściął go z nóg podmuch eksplozji.

Łuuuuuuuup!

Zamrugnął ostrożnie i po chwili wrócił mu wzrok: wszystko wokół oblewał żółty blask, przecinany dziwnymi, głębokimi cieniami. Kiedy usiadł i spróbował wstać, zobaczył płonący wrak i pogruchotany kokpit ich statku. Zamiast iluminatora ziała z przodu dziura o poszarpanych krawędziach.

- Po zderzeniu utknąłeś pod panelem instrumentów - usłyszał głos Atina. - Niner wysadził awaryjnie osłonę, żeby wyciągnąć ciebie i twojego dece.

- Dzięki, sierżancie - wysapał Dar. Dzięki? - skrzywił się w myślach. Słowo brzmiało żałośnie niestosownie. - Ale pamiętaj, że następnym razem, jak ocalisz mi życie, będziesz musiał mnie przygarnąć - zażartował.

- Jeżeli zaraz się stąd nie ruszymy, utkniemy wszyscy w bardzo głębokim osik - rzucił twardo Niner. - Ruchy! Ustalmy pozycję i naprzód. Roboty sama się nie robi, źli kołesie nie nakopią sobie sami w shebse.

Przez chwilę dym z płonącego wraku dawał im osłonę. Niner puścił się biegiem w stronę najbliższego budynku. Światła się paliły, ale w środku nie widać było żywego ducha. Darman dopadł do wejścia i przykucnął, żeby sprawdzić swój dece, a kiedy uniósł wzrok, spojrzał prosto na bezkształtną masę metalu i durabetonowych szczątków. Wyglądało na to, że myśliwiec, który do nich strzelał, wybuchł, zanim uderzył w ziemię. Wszędzie wokół wały się kawałki metalu i plastiku, a ze ściany sterczały resztki obudowy silnika, strasząc powyrywającymi przewodami. Niner przeczołgał się kawałek i położył obok Dara, jedną dłonią podtrzymując hełm - próbował połączyć się z kwaterą główną.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Corr.

- Mam nadzieję, że gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Niner wstał i parsknął z rozdrażnieniem.

- Co za bajzel. Już nas nie chcą w H-6 - wyjaśnił. - Mamy złożyć sprawozdanie kontroli taktycznej w siedzibie głównej WAR. To dziesięć klików stąd.

- Spacerek - podsumował Corr. - Uroczy dalszy ciąg tak miło rozpoczętego wieczoru.

Kątem oka Darman zauważył błyski odbijającego się w transpasterach pulsującego światła. Wyjrzał zza osłony ściany, gotów strzałem posłać pierwszą rzecz, jaką zobaczy, do haran, ale kiedy ujrzał krążący w pobliżu wraku statek CSB, wyszedł zza osłony i dał pilotowi znak do lądowania.

Pojazd opadł na ziemię i ze środka wyskoczył umundurowany funkcjonariusz.

- Nie widziałeś zakazu parkowania, żołnierzu? - zażartował. - Obowiązuje w dni parzyste.

- Co się dzieje? - spytał Darman, wskazując na niebo. Jakies pół klika dalej na ziemię spadał deszcz odłamków i płonących rozprysków paliwa. - I co tutaj robicie?

Gliniarz wzruszył ramionami. Mundur miał poplamiony sadzą i wyglądał na zmęczonego.

- Próbujemy zapanować nad tym bałaganem - westchnął. - Dlaczego cywile nie rozumieją takich prostych rozkazów, jak „nie wychodzić z domów” i „nie blokować szlaków powietrznych”? Tyłu ich wyległo na ulice, że padł system nawigacji powietrznej. Tak czy inaczej, zobaczyłem dym i stwierdziliśmy, że przyjrzymy niu się bliżej.

- Trochę przydzwoniliśmy. - powiedział Darman. Pomyślą o Kadzie. - Dużo rannych pośród cywilów?

- Mnóstwo. - Policjant skrzywił się boleśnie. - Nie umiem podać dokładnej liczby.

Większość to poszkodowani przez spadające szczątki. Kiedy runie ci na głowę krążownik Separatystów, możesz się całkiem dokładnie zapoznać z jego budową. Centra medyczne są już przepełnione.

- Moglibyście nas podrzucić do kwatery głównej WAR?

- Jasne - powiedział oficer. - Może się zdarzyć, że nieco zboczymy z trasy, jeżeli dostaniemy wezwanie, ale wskakujcie. Jesteście komandosami?

Darman przywołał resztę przez komunikator.

- Tak. Komandosami Republiki.

- A więc pewnie znacie Fi? Niesamowity koleś.

Darman nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nawet w tych strasznych chwilach ludzie wspominali Fi jak chodzącą legendę -a przynajmniej gliny na Coruscant. Sam zainteresowany z pewnością uznałby to za nadzwyczaj zabawne. Drużyna Omega stłoczyła się w przedziale pasażerskim radiowozu i maszyna uniosła się w powietrze.

- Nie wiedziałem, że mamy tyle statków - odezwał się funkcjonariusz. - Podobno ma przylecieć jeszcze więcej. Gdzie, u licha, podziwiali się do tej pory?

- Czekali - mruknął Niner. — Niedługo będzie po wszystkim. Koniec wojny jest blisko. Bez dwóch zdań, Darman czuł to w kościach. Sprawdził, czy Etain nie przysłała raportu sytuacyjnego, ale ekran komunikatora był martwy. Cóż, zaczeka. Był cierpliwy.

Dzielnica przemysłowa, Coruscant

Zey pewnie przestał się już na niego bocyć i przyjąłby jego pomoc, ale Skirata uznał, że nie warto ryzykować.

Na dobrą sprawę mało go interesowało, co się stanie z Palpatine'em, z Zeyem czy całą cholerną Radą Jedi. Wszystko, czego chciał, to żeby nie wchodzili mu w drogę w sytuacji, gdy jego klan był rozrzucony po obłożonym mieście. Zatrzymał śmigacz na skrzyżowaniu osłoniętym ze wszystkich stron wysokimi budynkami i rozejrzał się dookoła.

Coruscant nigdy nie wydawało mu się bardziej... przestronne. Bez sznurów pojazdów wypełniających przestrzeń, w samym sercu Galactic City panowała niesamowita pustka. Dopiero teraz widać było na przestrzał podniebne szlaki; i mógł podziwiać sztuczne kaniony i geometryczne szczyty w całej okazałości. Ponad i pod nim ciągnęły się jak okiem sięgnąć puste trasy ruchu powietrznego.

Wszyscy z centrum uciekli i teraz Kal miał doskonały widok na imponujący pokaz pirotechniczny rozgrywający się wysoko w górze. Atmosferę rozświetlała seria widowiskowych wybuchów. Tuż nad nim ogromna kula białego światła eksplodowała żółcią a potem rozkwitła na czerwono i zaczęła rosnać w oczach. Dopiero po chwili dotarło do niego, że patrzy na chmurę rozżarzonych szczątków, które szybko opadają na ziemię. Wcisnął gaz do dechy akurat na czas, żeby usłyszeć złowieszczy świst i szcęk za plecami. Widział, jak drobniejsze części przelatują w pobliżu i odskakują od owiewki jak grad.

Przypomniało mu to, że powinien zachować większą ostrożność. Sięgnął po komunikator.

Wątpił, żeby Kanclerz miał teraz czas zawracać sobie nim głowę.

- Ord'ika? Walon? Słyszycie mnie?
- Kiepsko, Kal'buir - odezwał się Ordo.
- Gdzie jesteś, synku?
- Zgarnąłem Fi, Jusika i nasz duet ARC. Drużyna Omega miała twarde lądowanie, ale są cali i zdrowi.

Dzięki niech będą wszystkim zapomnianym bogom Mandalory! - pomyślał z ulgą Kal. W końcu wrócili, chociaż trafili nie najlepiej.

- Bardzo są pokieraszowani?
- Zakończyli lot z separańskim myśliwcem próbującym im odstrzelić shebs. Lecą teraz do kwatery głównej WAR.

Skirata przywołał w myślach mapę miasta i rozmieszczenie swoich ludzi. Trzeba ich wszystkich zgarnąć na pokład „Aay'han", uwolnić Uthan i spływać stąd, zdecydował.

- Czy jest z wami Bard'ika? Ruu bardzo dała mu w kość?
- Nie skarżył się - powiedział Ordo. - Ruusaan jest bezpieczna. Wszystko pod kontrolą. Co teraz?
- Skoczę po Uthan - wyjaśnił Kal i zawiesił na chwilę głos. Daleko przed nim, trochę niżej, środkiem opustoszałego szlaku

leciały śmigacze pogotowia i straży pożarnej. Gdzieś w okolicy rozbrzmiewały odgłosy jonowych działek przeciwlotniczych, ostrzeliwujących jakiś niewidoczny dla niego obiekt. Rytmiczne echo dudniło mu w piersi jak drugie serce. - Wchodzimy do środka, zabieramy ją i wychodzimy - dodał. - I to już, na wypadek, gdyby ewakuowali pacjentów. Potrzebny mi Bard'ika w przebraniu i dwóch z was do udawania klonów.

- Jesteśmy klonami - przypomniał mu Ordo.
- Mam na myśli białasy - sprostował Kal. - Najlepiej, żebyście to byli ty i Sull.
- No i Fi - powiedział Ordo. - Weźmiemy ze sobą Fi.

Był dla niego kimś wyjątkowym - a kiedy Zera się do kogoś przywiązały, tę więź mógł rozerwać tylko porządny ładunek detonitu.

- Dobrze, synu - zgodził się Skirata. - Jesteś pewien, że sobie poradzi?
- Wyciągnął z więzienia twoją córkę - przypomniał mu Ordo.
- Świetnie. W takim razie spotkajmy się na lądowisku na dolnych poziomach, tuż pod Valorum Center. Potem zobaczymy, co dalej.

Kal dotarł do umówionego punktu w dziesięć minut. Normalnie zabrałoby mu to cztery razy tyle. Kiedy parkował śmigacz, dotarło do niego, że będzie go musiał zostawić na Coruscant - i to już

niedługo. Odszedł kawałek dalej i z niedowierzaniem przyglądał się scenom rozgrywającym się nad jego głową. Dziwnie było poruszać się po obleżonym mieście i nie zawracać sobie głowy całym tym zamieszaniem - zupełnie jakby oglądał holofilm. W końcu wrócił do śmigacza i włączył kanał informacyjny HoloNetu. Media zdążyły już rozesłać wszędzie roboty z kamerami, które przekazywały teraz materiał z pola walki. Obrazy były przerażające.

To się dzieje naprawdę, powtarzał sobie Skirata. Tam, w górze, umierają chłopcy tacy jak Ordo - piloci, członkowie załóg statków. Nie tylko Separatyści... Przestań się gapić jak na jakieś show, skarcił się w myślach.

Nie powinien się zachowywać jak byle prymityw w pogoni za sensacją. Wyłączył obraz i słuchał teraz samych informacji, drugim uchem łowiąc szum rozmów prowadzonych na linii centrum dowodzenia WAR. Wkrótce w górze rozległ się warkot silników

- dziwnie cichy, nawet w porównaniu z odległymi odgłosami bitwy - i Kal ukrył się, dopóki nie był pewien, że zbliżającym się pojazdem jest kanonierka LAAT/i w barwach WAR, bez świateł pozycyjnych.

- Ord'ika? - powiedział do komunikatora. - To wy?

- Tu Fi - odpowiedział znajomy głos. Statek mrugnął światłami lądowania. - Jak się miewasz, Kal'buir?

Ledwie posadził statek, wyskoczył ze środka i pospieszył na spotkanie Skiraty. Kal uściskał go serdecznie i poklepał po plecach, a potem z ciekawością zerknął mu przez ramię, co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę jego wzrost. Za plecami Fi stała niska, na oko trzydziestoletnia kobieta w niechlujnym brązowym więziennym kombinezonie.

Odwzajemniła spojrzenie i spytała nieśmiało:

- Tata?

Skiracie nie trzeba było wyjaśnień. Trzydzieści lat nagle gdzieś uleciało. Była znów jego małą dziewczynką, jego Ruus'iką. Nie wiedział, co powiedzieć, nie mógł nawet pozbierać myśli, więc przytulił ją tylko mocno do serca.

- Wybacz, że dopiero teraz, Ruu - wykrztusił w końcu. -I w takich okolicznościach...

- Tato! Tak długo czekałam...

- Kiedy skończymy tę robotę, odstawimy cię na Drall czy dokąd tylko zechcesz - obiecał jej. - Możesz też oczywiście lecieć z nami.... - zawiesił głos z nadzieją.

Ruu nie mogła wykszusić słowa. Dotknęła tylko palcem jego piersi, a oczy zalśniły jej od łez.

- Jestem pewien, że ci się spodoba na Mandalorze - szepnął Skirata.

- Kal, nie zamierzam sterczeć tu całą wieczność - wtrącił Vau, Wychylając głowę z LAAT/i. - Mam tu twoje aruetyc ubrania na pokładzie. Może raczysz się przebrać, zanim skoczmy na wizytę do pani doktor?

- W porządku - powiedział Kal. - Wchodzimy od frontu. -Trudno było mu przestawić się z powrotem na tryb bezwzględnej mandaloriańskiego najemnika, ponieważ w tej chwili czuł przemożną potrzebę wcielenia się w rolę kochającego ojca. Uświadomił sobie, że Ruu miała bardzo mętne pojęcie o tym, w jaki sposób zarabiał na życie. Cóż, wkrótce tak czy inaczej wszystkiego się dowie - i pewnie będzie to dla niej spory szok. -Ja i Jusik wchodzimy jako cywile. Fi i Ordo w konserwach będą naszymi goryłami - zarządził.

- Od kogo mamy upoważnienie? - spytał Vau. - Muszę spreparować identyfikatory.

- A, niech będzie biuro Kanclerza - zaryzykował Kal. - Możemy postawić na nim krzyżyk. Pójdziemy na całość.

- Dobrze znów wrócić do gry, Kal'buir- powiedział Fi, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Dobrze mieć cię znowu w zespole, synu - odpowiedział Kal.

Dobrze było mieć wszystkich przy sobie. Teraz musieli tylko zabrać Drużynę Omega i Etain. Plan był prawie zrealizowany.

Valorum Center, Coruscant

Jusik przestał się już martwić wybuchami i wyciem myśliwców, chociaż wciąż odruchowo się garbił i chował głowę w ramiona. Więz z Mocą mówiła mu, że niebezpieczeństwo nie było wystarczająco blisko, żeby musiał obawiać się o swoje życie, wciąż jednak pamiętał, żeby reagować jak przeciętny cywil, kiedy wciskał guzik interkomu przy głównej bramie.

- Ochrona - dobiegło z głośnika po dłuższej chwili.

- Oto mój czip identyfikacyjny i upoważnienie - powiedział Jusik, znów jako Denel Herreris, i wsunął karty do szczeliny, starając się sprawić wrażenie kogoś, komu bardzo się spieszy. - Herreris, departament zdrowia Coruscant. Czy ewakuowaliście już pacjentów?

Na chwilę zapadła cisza, przerywana tylko zakłóceniami na linii.

- Nie dostaliśmy takich rozkazów, sir.

- Twierdzicie, że nie macie planu ewakuacji na wypadek sytuacji krytycznej? - Jusik spojrzał na Skiratę, który robił dziwnie cywilizowane wrażenie w swojej kurtce ze skóry banthy. Kiedy chciał, mógł wyglądać dystyngowanie albo tak niepozornie, że wydawał się niewidzialny, ale z pewnością nie przypominał psychiatry. Życie go nie oszczędzało, i miał to wypisane na twarzy. - Pomijam już kwestię zdrowia i bezpieczeństwa pacjentów, ale czy dyrekcja placówki zdaje sobie sprawę, że macie u siebie pacjentkę, o którą mogą się upomnieć Separatyści i która może poważnie zagrażać siłom obrony Republiki? Mam nadzieję, że

o tym wiecie.

Jusik słyszał mamrotanie i szelesty na drugim końcu linii. W końcu brama otworzyła się z metalicznym szcęknięciem i Jusik wraz ze Skiratą, Ordem i Fi weszli do środka. Kiedy dotarli do wejścia do budynku, na spotkanie wyszła im zdenerwowana kobieta w białym kitlu.

- Nikt nam nie polecił ewakuować pacjentów, panie Herreris. - Pospiesznie wpuściła ich do środka, cały czas z lękiem popatrując do góry, chociaż wysokie budynki w sąsiedztwie całkowicie zasłaniały niebo. - Jest tu schron, ale pacjenci potrzebują nadzoru i opieki, a my nie mamy wystarczającej liczby personelu i androidów - wyjaśniła.

- Gdzie dyrektor ośrodka? - spytał Jusik, marszcząc brwi.

- Kiedy rozpętała się bitwa, pojechał do domu, żeby sprawdzić, czyjego rodzina jest bezpieczna. Nie wrócił jeszcze ani się z nami nie kontaktował. Jestem tylko dyżurną pielęgniarką... i wydaje mi się, że chyba powinnam w takiej sytuacji przejąć jego obowiązki. Świetnie się składa, pomyślał Jusik. Szefostwo dało nogę i całą odpowiedzialność spoczywała teraz na tej biednej kobiecie. Nie musiał udawać współczucia.

- A więc przynajmniej mogę zdjąć z pani barków jeden problem - powiedział. Wskazał ruchem głowy trzymających się o krok za nimi Orda i Fi. Gest mówił: proszę się nie martwić. Są z nami żołnierze. Może nam pani zaufać. - Mamy nakaz przeniesienia państwa pacjentki, doktor Qail Uthan, w bezpieczniejsze miejsce, na wypadek, gdyby miasto zostało zajęte przez Separatystów. Czy może nas pani do niej zaprowadzić?

Jusik przedstawił jej sfalszowane upoważnienie z biura Kanclerza. Kobieta wzięła od niego dokument i obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Wyglądało na to, że i tak nie ma pojęcia, jak zbadać jego prawdziwość.

- Tędy - powiedziała i wyjęła z kieszeni komputerowy notes. - Rozumiem, że macie kajdanki? - spytała, patrząc na Skiratę.

Uznała go widocznie za ochroniarza. Jusik starał się unikać spojrzenia Kala.



- Może nie będą konieczne, proszę pani - powiedział sierżant swoim najbardziej służbistym głosem. - Ale będziemy potrzebować wszystkich informacji o środkach, które przyjmuje.

Drzwi się rozsunęły i Jusik spróbował wznieść barierę, żeby nie dopuszczać do siebie sygnałów napływających z otoczenia. Do tej pory nie zdołał się jeszcze otrząsnąć po pierwszej wizycie w zakładzie. Każde wspomnienie zboliałych dusz, które wyczuł za pośrednictwem Mocy, było jak rozdrapywanie starych ran. Wciąż tutaj były. Jusik starał się zamknąć umysł przed ich wpływem, jednak podczas spaceru wyłożonymi wykładziną korytarzami znowu wyczuł znajomą obecność kogoś, kto nie był oderwany od rzeczywistości i kogo nie powinno tutaj być. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ta osoba tu trafiła, ale i nie mógł się zatrzymać, żeby interweniować.

Powinieneś to zrobić... - przemówiło jego sumienie. Jak możesz przechodzić tak obojętnie wobec ludzkiej krzywdy?

Mógł. Miał obowiązek wobec swoich braci, a w tej chwili potrzeby klonów były priorytetem. Nie próbował nawet oceniać swojego postępowania w skali moralności ani się usprawiedliwiać. Po prostu pogodził się z faktem, że postępuje haniebnie i że będzie musiał z tym jakoś żyć.

- Ładnie tu - mruknął Skirata pod nosem. - Prowadzenie całego tego interesu kosztuje pewnie niezłą sumkę.

Jusik słyszał głosy. Do jego uszu dobiegały odległe krzyki i błaganie o wypuszczenie - pacjenci widocznie słyszeli odgłosy bombardowania. Dziwne. Mógłby przysiąc, że znowu rozpoznaje ten język... jakby ktoś mówił w Mando'a. Skirata nie zareagował, ale jego słuch był nadwątłony przez lata spędzone na polach walki, więc może po prostu nic nie słyszał.

- To pokój doktor Uthan - powiedziała pielęgniarka otwierając drzwi i cofając się kilka kroków. - Jest wasza.

Kal rozprostował ramiona, aż zaskrzypiała skóra kurtki. Nie było szans, żeby Uthan rozpoznała któregoś z nich, wiedziała jednak, jak wyglądają klony, a Fi pomagał w jej porwaniu. Cóż, pewnie czeka ich trochę wyjaśnień, gdy przyjdzie pora zdjąć hełmy - Ale wtedy będzie już za późno na protesty.

Badaczka siedziała przy biurku i pisała coś w notatniku komputerowym, jakby nie miała żadnych zmartwień poza swoimi badaniami. Spojrzała znad okularów na Jusika.

- Ach, to znowu pan? - Uniosła głowę w stronę sufitu, wskazując świat na zewnątrz. - Mam nadzieję, że zamienią tę waszą skorumpowaną planetkę w kupę gruzu.

Jusik uśmiechnął się, splótł na piersi dłonie i zniżył głos do szeptu:

- Mówiłem, że panią stąd wyciągniemy, pani doktor, i oto jesteście. Ale musi pani wiedzieć, że nie pracujemy dla Republiki. Pozwoli pani?

Wyraz bezbrzeżnej pogardy na jej twarzy natychmiast zniknął.

- Kim pan w takim razie jest?

- Proстым Mandalorianinem, robiącym, co mu każą - wyjaśnił Bardan obojętnie.

Uthan miała na Qiilurze mandaloriańskiego ochroniarza, Gheza Hokana. Może i nie uważała go za specjalnie bystrego, ale słowo na „M” znaczyło dla niej tyle co „przyjaciół”.

- Mam nadzieję, że tym razem pójdzie wam lepiej niż ostatnio - powiedziała cierpko. - Czy mamy czas, żeby zabrać moje materiały? Bo jeśli nie...

- Ależ oczywiście - uspokoił ją Jusik. - Po to tu jesteście.

To akurat była święta prawda.

Jakaś część Jusika, do której niechętnie się przyznawał, napawała się całą tą sytuacją i czerpała satysfakcję z udawania, jak wytrawny gracz w sabaka. Jestem zdolny do strasznych czynów, pomyślał z poczuciem winy. Nie powinienem o tym zapominać. Patrzył, jak badaczka zbiera swoje notesy komputerowe i stopy flimsi i pakuje wszystko do torby.

- Siostro! - zawołała. - Siostro? Czy byłaby pani tak uprzejma i wypuściła rano moje muchy soka? Chyba tylko dzięki nim wytrzymałam tu tyle czasu i nie zwariowałam. Jestem im winna przynajmniej tyle.

Jusik odrobinę zmienił zdanie na jej temat. Badaczka złapała swoją torbę i wyszła z celi, jakby była na tę chwilę przygotowana już od dawna.

Skirata nie patrzył na Jusika, starając się zachować pozory znudzonego asystenta, ale były Jedi wyczuwał poprzez Moc jego radość i ulgę. Złapał się na tym, że zastanawia się, jakie inne brudne sprawy miał na sumieniu Kal'buir. Pogodził się z myślą, że Skirata był kryminalistą i zabójcą - a jednak nadal cenił go i szanował. Bez żadnych „ale”. Większość osób uznałaby starego sierżanta za

skończonego shabuira, ale przy całym jego zdeprawowaniu nie można było mu odmówić jednej rzeczy: był zdolny do bezwarunkowej miłości. Kochał tych, którzy na dobrą sprawę niewiele mieli mu do zaoferowania: wyrzuconych poza margines i wyzutych z praw, a nawet tych, przez których cierpiał - a kiedy kogoś kochał, był gotów oddać za niego życie bez zbędnych pytań. Dlatego właśnie Jusik był skłonny wybaczyć mu wszystko inne.

- Dobra robota, synu - mruknął do niego Kal.

Mogli już właściwie zaliczyć tę misję do udanych. Wszystko szło zgodnie z planem - do czasu, aż Jusik usłyszał znowu ten głos: niepokojący i dziwnie znajomy.

- Siostro? - powiedział ostrożnie. - Chciałbym coś sprawdzić. - Uniósł palec, prosząc o ciszę. - Słyszysz pani? - Głos należał do kobiety; wrażenie, że mówi po mandaloriańsku było teraz jeszcze silniejsze i Jusik miał wrażenie, że jakaś nieznana siła nalega, prosi go - żąda! - żeby przynajmniej poszedł tam i sprawdził, o co chodzi. Porzucił służbę w Zakonie, ale to nie odcinało go od więzi z Mocą. - Czy mógłbym rzucić okiem na tę pacjentkę? - spytał. - Niewykluczone, że jest na naszej liście.

Kiedy pielęgniarka odwróciła się do nich plecami, Skirata posłał Jusikowi zdziwione spojrzenie. Co ty wyprawiasz? - mówiło.

W odpowiedzi Jusik uniósł tylko palec nieco wyżej: „cierpliwości”.

- Obawiam się, że w obecności mężczyzn może się zachowywać bardzo agresywnie - uprzedziła ich pielęgniarka. - Ma na koncie kilka aktów... przemocy.

Jusik zajrzał do celi i zobaczył kobietę, na oko w wieku jakichś czterdziestu-czterdziestu pięciu lat, może ciut więcej. Nie wyglądała na osobę, która jest zdolna przeklinać, a co dopiero zrobić komuś krzywdę. Skulona w kącie, kiwała się jak w transie, a kiedy podniosła na Jusika oczy, poznał natychmiast, że jest bardzo przestraszona.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać? - spytał.

- Proszę zachować ostrożność - ostrzegła go znowu siostra i podsunęła mu pod nos komputerowy notes. - Daliśmy jej pięćsetkę zaloxipiny, żeby była spokojna. Wsadzili ją do nas na czas nieokreślony, bo popełniła trzy zabójstwa. Nie rękę za nią.

Jusik przykucnął i sięgnął po Moc, żeby delikatnie wpłynąć na jej umysł - jedynie na tyle, żeby ją przekonać, że nie zrobi jej krzywdy. Warto było spróbować, nawet jeśli ryzykowali. Może był to skutek zbyt długiego przebywania w tym miejscu, ale nie potrafił przejść koło tej kobiety obojętnie.

- Ner gai Bard'ika - powiedział do niej łagodnie. - Tion gar gai? Gar aliif! - Wyjawił jej swoje imię, zapytał o nazwę jej klanu i jak się nazywa.

Kobieta wbiła w niego zaskoczony wzrok. Wyglądała, jakby nie wierzyła własnym oczom i uszom.

- Aria - powiedziała powoli. Zerknęła ukradkiem na pielęgniarkę, jakby bała się, że tamta podsłuchuje. - Neyar gain Aria Vhett.

Nie był to czysty Mando'a, ale dało się go zrozumieć. Jusik odwrócił się w stronę Skiraty i podniósł na niego wzrok. Na twarzy starego sierżanta malowało się bezgraniczne zdumienie.

- Wygląda na to, że ta pacjentka figuruje na naszej liście osób wymagających specjalnej opieki - stwierdził Jusik. Skinął na nią. Teraz nie powinna już się go bać.

- Aria, mhi'alor at'morut'yc taap.

Powiedział, że zabiorą ją w bezpieczne miejsce. Wiedział, że właśnie to chciała usłyszeć. Jakimś cudem zdołał ją namówić, żeby wstała, wyszła z nimi i dała się wsadzić na pokład statku czekającego kilka metrów dalej.

Skirata westchnął głośno, jakby pierwszy raz od kilku miesięcy zaczerpnął porządnie powietrza.

- Z niecierpliwością czekam na wyjaśnienia - powiedziała Uthan, gdy tylko zamknął się za nimi właz statku. Spojrzała na mandaloriańskich żołnierzy w hełmach i na Ruu i odsunęła się od Mirda, który z zapalem zabrał się do obwąchiwania jej nóg. Aria skuliła się we wnęce przy schowku na broń. - Tak czy inaczej, dziękuję, panowie. Dokąd teraz?

- Przeczekamy gdzieś, dopóki się nie uspokoi - powiedział Skirata wymijająco.

Kanonierka LAAT uniosła się w powietrze. Vau obrzucił Arię krytycznym spojrzeniem.

- Nie przypominam sobie, żeby to było w planie, Kal - stwierdził. - Dlaczego mamy dodatkową pasażerkę?

Skirata ukrył twarz w dłoniach i potarł ze znużeniem policzki.

- Chyba zgodzę się z Bard'iką - powiedział. - Nie mogliśmy jej tam zostawić.

- A za co siedziała? To ważne, Kal. Pamiętaj, że Valorum Center to wariatkowo - przypomniał mu Walon.

- Za morderstwa - wyjaśnił radośnie Skirata. - Czy to nie wystarczający powód, żebyśmy ją przygarnęli?

- Och, shab...

Ordo nie odezwał się ani słowem, a ramiona Fi zadrżały lekko, jakby nawet w tej okropnej, dziwnej i potencjalnie niebezpiecznej sytuacji nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- Myślałem, że to ja jestem ryzykantem - rzucił Skirata - ale przy tobie, Bard'ika, czuję się jak neimoidiański księgowy. Wiesz, kim ona jest, prawda? Jeśli oczywiście faktycznie jest tym, kim myśli, że jest - dodał prędko. - Bo tak naprawdę powinna być martwa.

- Och, jasne, że wiem - zapewnił go Jusik. Przez ostatnie kilka lat przyswajał wiedzę o Mandalorze i jej mieszkańcach, zarówno od samych Mando, jak i od aruetiise, którzy znali ich na wylot, jak niektórzy Jedi. - Dlatego właśnie musisz jej pomóc.

- A więc któż to taki? - spytał wyraźnie zniecierpliwiony Vau Mird przyglądał się kobiecie z przekrzywioną na bok głową, machając entuzjastycznie ogonem. - Lepiej, żebyście mieli dobry powód, zabierając chorą psychicznie morderczynię na pokład.

- Mamy - uspokoił go Jusik. - To Aria Fett, zaginiona siostra Janga.

## **ROZDZIAŁ 15**

Naprawdę mają imiona? O czym myślą? Nie znają prawdziwego życia — żyją wojną, więc pewnie są bardzo szczęśliwe. Cieszę się, że nie cierpią.

Padawan Jedi Simi Noor podczas dyskusji o żołnierzach klonach

Kashyyyk, trzy dni po rozpoczęciu Bitwy o Coruscant, 1083 dni po Bitwie o Geonosis Sev usiadł i podniósł dłoń do hełmu, jakby miał problemy z łącznością. Jakies pięćset metrów pod siecią żywych, splecionych w mosty prowadzące od drzewa do drzewa pędów, Scorch zauważył pas zniszczonej roślinności. Roboty bojowe nie mogły dotrzeć tak wysoko.

- Co jest? - spytał Scorch szeptem, chociaż rozmawiali na kanale wewnętrznym. - Czy dostaliśmy nakaz wypełnienia punktu piątego?

Sev pokręcił głową.

- Na razie tylko Wewnętrzne Rubieże. Poza tym i tak teraz mamy co robić. Sam sobie nasłuchuj. Ja próbuję się skupić -burknął.

- Podsluchuję na paśmie separańców.

- Wygląda na to, że Corrie dostaje bity - powiedział Sev.

- Shab. Wysłali już wojska lądowe? - spytał Scorch.

- Ta-a, wygląda na to, że zaczyna się robić gorąco. Ale nie ma co panikować.

Przysłali na odsiecz niezłe stadko statków.

- Sojusznicy? Jak miło, że o nas pamiętali...

- Nie, nasi - sprostował Sev. - Wygląda na to, że Palpi chował swoje zabawki pod łóżkiem na czarną godzinę.

Nie spuszczać wzroku ze ścieżki w dole, Scorch przełączył kanał na częstotliwość kwatery głównej. Wiedział, że wkrótce pojawi się patrol robotów. Boss obserwował teren z dołu. Fakt, mieli tu sporo do roboty, ale obecna bezsilność doprowadzała ich do szału. Byli lata świetlne od Coruscant i nie mogli nic zrobić. Nawet przy wsparciu dodatkowej floty nie było szans, żeby zapobiec zniszczeniom planety-miasta.

Czekał na okazję, żeby zepsuć dzień patrolowi Separatystów. Wokół było chwilowo bardzo spokojnie. Wysoko ponad nimi Wookie budowali nowe mosty, mające zastąpić zniszczoną przeprawę do Kachirho - węższe i delikatniejsze, po których wrogowi trudno będzie się poruszać. Jeżeli separańcy zechcą je wykorzystać, będą musieli pokonywać je pieszo. Konstrukcje z pewnością nie wytrzymają ciężaru pojazdów.

- Fixer? Tu Scorch. Słyszysz mnie?

- Jestem gotów. - Ze ściany zieleni wyłonił się Fixer i most z lian zakołysał się gwałtownie pod jego stopami. Scorch był zaskoczony, że jego ważący jakieś osiemdziesiąt pięć kilo towarzysz wprawił konstrukcję w takie drżenie, dopóki nie zobaczył za jego plecami Enaccy. To Wookie, przyjaciółka Skiraty była Jego głównym źródłem zaopatrzenia w pojazdy i bezpieczne lokale. Scorch zastanawiał się, jak też Kal radził sobie bez niej na Coruscant. - Enacca mówi, że separańcy ruszyli artylerię przeciwlotniczą. Wzmacniają pozycje baterii na zachodzie. Enacca zawarczała i machnęła długim, włochatym ramieniem.

- Dobry pomysł, skoczmy najpierw to obejrzyć - zgodził się Sev. - Zapytajmy jednak najpierw panią generał. Ma ze sobą komunikator?

- Mam słuchawkę - odezwał się spokojny głos na linii. Jedi sprawiała wrażenie lekko zirytowanej, ale chyba nie przez nich. Może posprzeczała się z górą? - Zdaję się na ekspertów, którymi w tym przypadku są Wookie i wy.

- To dla nas zaszczyt, proszę pani - powiedział Sev. - A dostanę potem w nagrodę robota do zabawy? Uwielbiam rozkładać je na części.

- Myślisz, że one... czują, Sev? - spytała ni z tego, ni z owego Etain. - Mam na myśli blaszaki.

To nie była najlepsza chwila na filozofowanie; lada moment czekała ich rozprawa z kolejnymi oddziałami wroga. Sev był wciąż nabuzowany adrenaliną, chociaż brakowało im snu. Dla niego priorytetem było zabijanie Geonosjan, nie zaś niszczenie robotów, i Scorch wiedział, że świerzbią go ręce, załatwić kolejnych kilku. Co chwila lekko przechylał głowę na bok, jakby czekając, kiedy robale się pokażą, a po współdzielonej ikonie na HUD-ach widać było, że cały czas liczy zabitych. Czujniki optyczne miał nastawione na wykrywanie ich charakterystycznego lotu.

- Hm, poniekąd tak - powiedział Sev beztrąsko, chociaż zdaniem Scorcha wcale nie był wyluzowany. - Blaszaki myślą, działają i nie chcą zostać zniszczone. A poza tym są cwańsze od większości mokrzaków, z którymi mieliśmy do czynienia.

- Pytam, bo mokrzaki z zasady nie są traktowane jak pełnoprawne istoty - dodała Etain. Scorch machnął ręką na wysokości hełmu, dając mu znak, żeby nie drażył, ale Sev nie dawał za wygraną.

- Nie zabijam ich dlatego, że uważam ich za gorszych - wyjaśnił. - Tylko dlatego, że one próbują zabić nas.

- Jasne, moglibyśmy być najlepszymi przyjaciółmi - wtrącił z przekąsem Fixer. - To wszystko przez to nasze podłe dowództwo, które nas szczuje na siebie nawzajem. Gdyby nie to, z pewnością wypilibyśmy razem niejedno ale.

Etain zamilkła. Scorch zastanawiał się, czy była tak samo zmęczona tym wszystkim, jak oni. Wiedział, że ich rozumie. Kiedy tracił nad sobą panowanie, nie mówiła mu „weź się w garść” ani „głowa do góry”; po prostu sprawiała, że czuł się lepiej. I nie chodziło tylko o sztuczki Jedi z wpływaniem na umysł - zawsze pytała go o pozwolenie, a poza tym dawała mu do zrozumienia, że to nic niezwykłego, że to вина sytuacji, która ich zmuszała do robienia złych, okrutnych rzeczy.

Jedi czy nie, z pewnością to wszystko nie spływało po niej jak woda po kaczce.

- Wszystko u pani w porządku, pani generał? - spytał.

Łączę zatrzeszczało zakłóceniami, jakby Etain wyłączyła na chwilę dźwięk.

- Martwię się o Coruscant - wyznała cicho. - Mam tam przyjaciół... i rodzinę.

Cóż, przynajmniej była z nimi na tyle szczerą, żeby przyznać się, że coś ją łączy z Darmanem. Dla Scorchy było to coś... abstrakcyjnego. Otwieranie się przed kimś oznaczało ból - Vau wbijał im to do głowy bez ustanku, kiedy byli spragnionymi wiedzy dziećmi i spijali zachłannie jego mądrość. Był najważniejszą osobą w ich małym, zamkniętym wszechświecie. Dopuścić kogoś blisko, zaufać temu, kto mówi, że cię kocha - oznaczało przyzwolenie na zdradę i wystawianie się na ciosy. Vau nauczył ich chronić samych siebie poprzez trzymanie całego świata na dystans. To była dobra rada przy ich trybie życia.

- Jestem pewien, że Darman sobie poradzi - zapewnił Scorch, postanawiając zaryzykować ujawnienie, że zna tajemnicę Etain. - Jest twardzielem, jak wszystkie Omegi. Shab\ Nie udało im się nawet skutecznie zabić Fi! - zażartował.

- Ta-a, nikt nie jest w stanie zamknąć mu jadaczki - potwierdził Sev. - Jest jak nieposkromiony żywiol.

To była kolejna anegdotka, w którą nikt nie wierzył, ale wszyscy ją kupowali. Etain przełknęła głośno ślinę. Chyba była dziś w sentymentalnym nastroju.

- Mam dziecko - powiedziała cicho.

Scorch zamuroowało. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nawet Sev zamilkł i na chwilę zapadła głucha cisza, którą przerwało dopiero miękkie powarkiwanie Enaccy. Żaden z nich nie znał jednak shyriiwooka na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co powiedziała.

- Na pewno jest pani kriffing ciężko - odezwał się w końcu Boss. Znali zasady panujące w Zakonie, chociaż słyszeli też o grupie odszczepieńców Jedi, którzy stawili się na wezwanie Rady, żeby walczyć razem z towarzystwem ze Świątyni i nie mieli nic przeciwko zakładaniu rodzin. - Jakby co, to nic nie słyszeliśmy. O niczym nie wiemy.

- Dziękuję, Boss - powiedziała cicho Etain. - A teraz sprawdźmy, co porabiają nasi separańscy przyjaciele.

Scorch nie miał pojęcia, gdzie jest Etain, dopóki generał nie zeskoczyła na gruby konar nad ich głowami. Sfrunęła lekko na dół, ledwie wprawiając utkany z lian chodnik w drżenie.

- Gdybyśmy tylko mieli pewność, że Grievous poleciał na Coruscant. .. - westchnęła.

- I tak nie moglibyśmy zrobić nic poza ostrzeżeniem Zeya. -Scorch próbował się nie zastanawiać, czy to Darman jest ojcem dziecka Etain. O takich rzeczach członkowie ich drużyny rozmawiali tylko między sobą, jeżeli w ogóle. - A poza tym i tak rzucili w końcu do walki nową flotę.

Fakt, marna to była pociecha, kiedy miało się na Coruscant dziecko. Scorch odsunął od siebie niewesołe myśli i skupił się na tym, co umiał najlepiej, co znał i rozumiał: na walce.

- Ruszajmy - zarządził Boss.

Scorch poprawił swoje improwizowane maskowanie, rozsmarowując na żółto-białej zbroi garście wilgotnego mchu. Uznał, że czasem rzeczywiście opłacało się nie rzucać w oczy. Elitarny Czterdziesty Pierwszy nie bez kozery nosił kamuflujące zbroje.

Enacca zawarczała cicho, ledwie słyszalnie. Zbliżał się patrol. Scorch położył się płasko na brzuchu i skupił na przejściu w dole. Po chwili dołączyli do niego Sev i Fixer. Już wkrótce dał się słyszeć znajomy dźwięk: metaliczny szcęk maszerującej kolumny robotów bojowych. Szły wolniej i bardziej chaotycznie niż zazwyczaj, bo teren był nierówny, musiały się przedzierać przez ścianę dzikiej roślinności i...

Łup!

... i wpadały w doły. Wookie były mistrzami w kopaniu głębokich, naprawdę głębokich dołów. Do uszu Scorcha dobiegł głośny, metaliczny chrzęst i trzask pękających gałęzi. Serwomotory zaszczękały, roboty przegrupowały się i ruszyły znowu przed siebie, zostawiając dwójkę, żeby zajęła się ratowaniem z opresji pechowych towarzyszy.

- Uważaj, jak chodzisz, blaszaku - mruknął pod nosem Sev.

Wędrowka przez zielone piekło Kashyyyku nie była łatwa.

Członkowie Delt, Etain i Enacca przemykali zielonym chodnikiem ponad patrolem bezszelestnie i niezauważenie, otoczeni gęstym listowiem i odgłosami dżungli. Zeszli ze ścieżki, kiedy roboty skręciły w prawo, w głąb lasu. Scorch zamachnął się linką z kotwiczka - gdyby ją wystrzelił, charakterystyczny dźwięk zdradziłby ich obecność - i zaczepił ją o najbliższe drzewo. Sev i Fixer poszli w jego ślady. Boss i reszta byli kawalek za nimi, niewidoczni w nakrapianym słonecznymi cętkami gąszczu.

Enacca warknęła cicho.

- Mówi, że gdybyś był z metr wyższy i trochę bardziej owłosiony, byłoby z ciebie całkiem niezłe ciacho, Scorch - wyjaśnił Boss. - Ruszasz się jak Wookie.

Sev parsknął śmiechem.

- To najciekawsza propozycja, jaką dostał w ciągu roku!

- Nie wie pani, kiedy Rada planuje ruszyć coś w sprawie Kashyyyku, pani general? - spytał Fixer.

- Jak tylko Mistrz Vos upora się z robotą na Boz Pity - powiedziała Etain. - Co może nastąpić w każdej chwili.

- Och, uwielbiam, kiedy nami dowodzi... - zakpił Fixer.

- Jeżeli go spotkam, obiecuję, że dam mu szybką lekcję dobrych manier - obiecała mu Etain.

- Na szczęście dla pani, to... - Scorch urwał i zamarł bez ruchu. Czujniki jego wyświetlacza HUD zarejestrowały nagłą zmianę w gęstości otoczenia i obecność metalu, a po chwili ich oczom ukazał się przedziwny widok. Przed nimi jakby nigdy nic wznosiła się potężna bryła magazynu.

- A niech mnie! Widać separańcy ostatnio nie próżnowali - westchnął.

Budowla sięgała koron drzew i wyglądała jak brzydki, stalowo-szary trzpień wbity w serce dżungli. Scorch z niedowierzaniem sprawdził jeszcze raz odczyt czujników.

- Baterie turbolaserów - powiedział Boss. - Ach, te dylematy. Zająć się nimi teraz czy wrócić w towarzystwie włochatego wsparcia?
- Wrócimy później, jak tylko zgramę kilka moich przyrządzonych według specjalnego przepisu ładunków - mruknął Scorch. - A potem zepsuję im to wszystko w bardzo głośny i radosny sposób.
- Ja też chcę mieć trochę zabawy - wtrącił Sev, przyglądając się budowli z niezdrową fascynacją. - Czy będę mógł się zająć Trandoshanami, kiedy wylecą z wrzaskiem ze środka?
- Ależ proszę cię uprzejmie - zgodził się Boss. - Możesz już zacząć ostrzyć sobie na nich pazurki.

Przez następny kwadrans sondowali wieżę pasywnymi skanerami, żeby zorientować się lepiej w jej konstrukcji, a potem wrócili na chodnik. Scorch obliczał już w myślach pole rażenia i optymalny rozkład ładunków, kiedy Enacca zatrzymała się w pół kroku i gestem nakazała im paść na ziemię. Ścieżka z lian wciąż drżała, jakby z naprzeciwka ktoś nadchodził.

Roboty nie umiały wchodzić na drzewa... Ale Trandoshanie -owszem.

Po krótkiej chwili na horyzoncie rzeczywiście pojawiły się dwa jaszczury. Rozglądały się uważnie dookoła, jakby właśnie odkryły nową trasę i chciały ocenić jej stan.

- Moje - mruknął Sev. - Moje, nie oddam nikomu. - Zszedł z chodnika prosto w ścianę zieleni, odrzucił karabin na bok i podciągnął się wyżej w liściasty gąszcz. Scorch i reszta rozproszyli się w ciszy i przyłgnęli do konarów po bokach dróżki.

Nikt nie musiał nic mówić. Scorch zastanawiał się, czy powinien poinstruować Etain, co ma robić, ale ze sposobu, w jaki się poruszała, wydedukował, że miała do czynienia z podobnymi zasadzkami już wcześniej. Teraz dopiero dotarło do niego, jak trudno musiało jej być na Qiilurze, kiedy organizowała tam z Zeyem ruch oporu, zanim zostali przydzieleni do papierkowej roboty, która żadnemu z nich nie dawała satysfakcji. Wydawało mu się, że to było tak dawno temu, a nie minęły nawet trzy lata. Jednak dla kogoś, kto jednocześnie kończył trzynaście i dwadzieścia sześć lat, to był kawał czasu.

Mam nadzieję, że znajdziesz sposób na wydłużenie nam życia, Kal, pomyślał.

Czekali. Trandoshanie przemieszczali się ostrożnie naprzód - Nie byli już tak pewni siebie jak przed spotkaniem z Wookiem - Scorch wiedział, że nigdy nie zdoła zapomnieć tamtej walki. Obraz rozdieranych na strzępy istot wrył mu się w pamięć zbyt głęboko.

Kiedy gadziny znalazły się tuż pod Sevem, spadł na nie bezszelestnie. Pierwszy Trandoshanin zdołał tylko stęknąć głucho, zanim komandos zatkał mu usta, a Etain rozpląszczyła drugiego na ścieżce pchnięciem Mocy. Wibroostrze Seva uciszyło jaszczura w mgnieniu oka. W tym samym czasie Fixer rzucił się na jego towarzysza, chwycił za głowę i jednym pewnym ruchem skręcił mu kark. Enacca złapała obydwu nieszczęśników za paski jak torby z zakupami i przespacerowała się kawałek, dopóki nie znalazła kielicha mięsożernej rośliny o przepastnej gardzieli i średnicy ponad dwóch metrów. Zamachnęła się i cisnęła ciałą do środka, aż łodyga kwiatu ugięła się pod ich ciężarem. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył Scorch, były dwie pary nóg, znikające powoli w paszczy rośliny, jakby tonęły w ruchomych piaskach.

- Roślinki należy nawozić - stwierdził flegmatycznie i zerknął kątem oka na Etain. - Potas pobudza kwitnienie. Tak przynajmniej mówią.

Zanim ruszyli dalej, generał przystanąła na chwilę i obrzuciła drapieżny kwiat krytycznym spojrzeniem, jakby oceniała, czy nadaje się do bukietu.

- Zastanawialiście się kiedyś, jaka jest różnica między nami a nimi? - spytała.
- Tak, kiedy są już martwi - zażartował Scorch.
- Ale przecież nie możecie nienawidzić Trandoshan - rzuciła.
- Nawet ich nie znacie.

- Nie - przyznał Scorch - ale jestem człowiekiem, a jedynym sposobem na oswojenie się z koniecznością zabijania kogoś, kto jest do ciebie podobny, jest strach przed tym kimś albo udawanie, że się różnicie.

- Ale ja nienawidzę Geonosjan - zaprotestował Sev kwaśno.

- A o nich też nie wiemy zbyt dużo. Tylko trzy tysiące czterysta dwudziestu do zabicia i będziemy kwita. A potem zabiorę się za resztę.

Sev wyprzedził Scorcha, ocierając się prawie o niego na wąskiej dróżce. W pewnej chwili z pnia mijanego drzewa wysunęło się szare, robalopodobne stworzenie, nieco dłuższe niż ludzkie ramię, i spróbowało owinać się wokół jego nadgarstka, ale komandos błyskawicznie wyszarpnął je z dziupli, a potem

podniósł na wysokość wizerka i zacisnął mocno pięść na jego cielsku.

- Nawet o tym nie myśl - warknął i odrzucił robala na bok, w płataninę liści i lian.

Enacca, która przysłuchiwała się całej rozmowie, wydała z siebie krótkie warknięcie. Etain może i nie nienawidzi Trandoshan, ale jaszczury różnią się od Wookiech pod każdym względem, powiedziała. Żaden handlarz niewolnikami ani właściciel niewolników nie jest kimś, do kogo można żywić sympatię - nawet jeżeli próbował być miły, co akurat było ostatnią rzeczą, o którą można było posądzić Trandoshan. Dlatego właśnie Wookiem zdarzało się od czasu do czasu wyrywać im kończyny. Każdy handlarz niewolników zasługiwał na swój los.

Scorch czekał, aż Etain podejmie dyskusję, ale Jedi sprawdziła tylko swój komunikator, wcisnęła ze zniecierpliwieniem kilka klawiszy i schowała go z powrotem do kieszeni.

Tak, Wookie wyrażały się bardzo obrazowo, jeśli tylko umiało się słuchać.

Siedziba kanału informacyjnego HoloNetu, 4. dzień Bitwy o Coruscant, 1084 dni po Bitwie o Geonosis

Żołnierz ARC stał na kupie gruzu i patrzył z góry na Darmana.

- Obudziliśmy się, błyszczący? - spytał. Był uzbrojony w dwa blastery, tak jak Ordo, ale miał stopień porucznika. Nazywał się Aven. - Ruchy! Blaszkaki wkrótce wrócą. - Zeskoczył z punktu obserwacyjnego i odszedł, mijając komandosów z drużyn Omega i Yayax. Byli ostatnią linią obrony siedziby kanału informacyjnego HoloNetu. - Musimy utrzymać w eterze głos wolności i demokracji - rzucił na odchodnym.

Darman nie spał już czterdzieści osiem godzin. Co jakiś czas, między odpieraniem kolejnych fal robotów bojowych, próbował się zdrzemnąć, ale przeważnie zaraz się budził. Był głodny - i to nie zwyczajnym, typowym dla klonów zachłannym apetytem na smakołyki, ale ssącym głodem, który skręcał mu wnętrzności i osłabiał fizycznie i psychicznie.

- Ta-a... - mruknął. Z wyczerpania zaczynał mieć zawroty głowy. Zmuszenie mięśni do wysiłku było teraz nie lada wyzwaniem. Kiedy przeładowywał kolejny raz swój dece, miał wrażenie, że jego ręce należą do kogoś innego, a on tylko porusza nimi za pomocą sznurków jak marionetką - Wyszadziliśmy jedną na Gaftikarze. Albo to ona nas wysadziła. Tak czy inaczej, jedno z dwojga.

- Co takiego?

- Stację holowiadomości - mruknął Darman. - Gdzie At'ika?

- Bredzisz, człowieku. Weź stymulant. Musimy być czujni.

- Trzymaj, Dar - powiedział Atin, doczołgując się do niego z dużą flimsiplastową torbą. - Uzupełniałem zapasy. - Kiedy otworzył torbę, oczom Darmana ukazały się nieprzebrane skarby: okrągłe, lukrowane ciasteczka, wafelki przekładane czymś brązowym i lepkiem i pojemniki jadowicie czerwonego płynu. - Wiesz, skąd to mam? Od mądral z serwisu informacyjnego HoloNetu.



Darman musiał coś zjeść. Rozszczelnił hełm - w tej chwili nie obchodziło go, czy ktoś odstrzeli mu głowę. Liczyło się tylko jedzenie i picie. Atin sięgnął do sakwy u pasa i wyciągnął kapsułkę ze stymulantem. Dar nie miał nawet siły zareagować, kiedy wbił mu w szyję iniektor. Każda komórka jego ciała żądała od niego wgryzienia się w któreś ciastek, a kiedy w końcu się do jednego dorwał, nic nie było w stanie go powstrzymać. Słodczyce były pyszne. Chwycił pojemnik z czerwonym płynem i upił duży łyk.

Pochłaniał słodką kaloryczną bombę o niewielkiej wartości odżywczej, ale śmieciowe jedzenie stanowiło ekspresowy zastrzyk energii. Ratowało mu życie. Poczul, jak pompuje parę w jego mięśnie.

- Obiecuję, że już nigdy nie będę strzelał do kamer HoloNetu - powiedział ochrypłym głosem. - To naprawdę bardzo miło z ich strony.

Obok nich pojawił się Corr i natychmiast wsadził głowę do torby.

- Cóż, skoro wystawiamy nasze shebse na ogień wroga, żeby tylko mogli nadawać, są nam winni przynajmniej tyle - stwierdził.

Niner spał obok, zwinięty w kłębek na gołej durabetonowej płycie. Jeżeli tylko człowiek się wystarczająco zmęczył, mógł usnąć dosłownie wszędzie.

Cov, sierżant Drużyny Yayax, rozdzielił wśród nich ósemki amunicję - magazynki plazmowe i granaty.

- Skąd biorą jedzenie? - zainteresował się.

Corr odwrócił się na plecy i wskazał górującą nad nimi wieżę. Mniej więcej w trzech czwartych jej wysokości ziała wielka dziura.

- Z drugiej strony tego.

- Przeczolgują się po przewróconym filarze i wynoszą zapasy z biurowego bufetu - wyjaśnił Atin. - Podziwiam ludzi, którzy troszczą się o swoje żołądki tak samo jak my. Od razu załapali, jak sobie radzić podczas oblężenia. Idę o zakład, że świetnie się przy tym bawią.

- Hm, skoro tak im się to podoba, to czemu nie złapią za karabiny, nie zejdą tu do nas i nie pobawią się razem z nami? - Cov pociągnął łyk czerwonego paskudztwa. - Chociaż z drugiej strony, wciąż są nam potrzebni do kontaktu z obywatelami, więc...

- Czy przygotowali już ten przenośny nadajnik do zabrania? - wszedł mu w słowo Aven.

Nie poczęstował się słodczami. - Im prędzej zabierzemy to cholerstwo z budynku i przeniesiemy w bezpieczne miejsce, tym lepiej. - Najwyraźniej myślał już o budowaniu ruchu oporu i prowadzeniu partyzantki, jeżeli doszłoby do najgorszego. Darman zastanawiał się, ilu Coruscan stanęłoby do walki, żeby odeprzeć atak Separatystów. - Cov, zgarnij któregoś ze swoich chłopaków i ściągnij ten sprzęt na dół. Weźcie roboty, na wypadek gdyby nie działały im tam turbowindy - dodał Aven.

Cov pokiwał głową i ruszył w stronę budynku. Wszyscy w Drużynie Yayax nosili zbroje w szaro-brązowy kamuflujący wzór, który pozwalał im doskonale wtapiać się w krajobraz usiany szczątkami durabetonu i transpastali. Nagle Aven gwałtownie uniósł głowę do góry.

- Idą blaszaki - mruknął. - Dobra, chłopaki, czas się troszkę rozerwać.

Nabuzowany energią z porcji słodczy Darman szybko doszedł do siebie. Drużyna Omega razem z dwójką z Yayaxa - Devem i Jindem - zajęła pozycje na barykadzie.

Ataki blaszaków wyglądały za każdym razem tak samo: kolejne fale maszerowały z tępym uporem przed siebie i wynik walki zależał właściwie od tego, komu wcześniej skończy się mięso armatnie. Jedno było pewne: chociaż liczba robotów była imponująca, z pewnością nie były ich kwadryliony. Skirata miał rację - gdyby separańcy mieli ich aż tyle, rzuciliby je teraz wszystkie na Potrójne Zero i losy wojny szybko zostałyby przesądzone. Ale widać nie mieli, więc bitwa trwała w najlepsze.

Tak czy inaczej, wystarczy jeden głupi robot, żeby było po tobie, pomyślał Darman. Było o wiele za wcześnie, żeby świętować zwycięstwo.

Ukrył się za prowizoryczną osłoną z durabetonowej płyty i spojrzął przez celownik. Szybka seria przeciwpancernych z granatnika skosi pierwszy rząd... może nawet i drugi - jeżeli dobrze wyceluje. Metalowe truchła spowolnią kolejne szeregi na tyle, że będzie można spokojnie poczęstować je kolejną salwą.

Roboty bojowe maszerowały na nich zwartą grupą; zajmowały całą szerokość oczyszczonej wcześniej ze szczątków przez robota-sapera alejki. Widocznie separańcy chcieli zminimalizować straty i zachować w dobrym stanie sprzęt nadawczy - inaczej już dawno zrównaliby budynek z ziemią. Darman zauważył, że tym razem robotów jest więcej. Stang, będzie musiał na pierwszy szereg zużyć więcej amunicji. Separatyści mieli w tej chwili przewagę, ale tylko liczebną.

- Ognia! - warknął Aven.

Kiedy Darman naciskał spust, wszystko zaczynało się toczyć jakby bez jego udziału. Prawie nie musiał myśleć. To było jak śpiewanie piosenki - głos sam znajdował właściwe nuty, zanim jeszcze zdążyło się przypomnieć słowa kolejnej zwrotki. Kiedy pociski trafiły do celu, w szeregach robotów zakotłowało się od szczątków rozgrzanego metalu, jednak kolejna kolumna nie przerwała marszu.

Niner i Atin skupili się każdy na swoim fragmencie linii wrogich maszyn i zabrali do ich ostrzeliwania. Część blaszaków w drugim rzędzie rozniosła fala uderzeniowa eksplozji.

- Dobra robota, Prudii. - Atin zachichotał. - Nie ma to jak mały sabotaż w fabryce...

Jednak superroboty bojowe z tyłu nie pochodziły już widać z wybrakowanej partii durastali. Jak na komendę puściły się biegiem w ich stronę, unosząc uzbrojone ramiona. Serie z E-Weba, które ładowali w nie Corr i Jind, nie robiły na nich żadnego wrażenia. Nie minęło kilka chwil, a dzieliło je od nich już tylko parę metrów - były tak blisko, że szczątki odłupywane przez serię z blastera Darmana odbijały się od wizjera jego hełmu. Zanim zdążył się obejrzeć, jeden z metalowych potworów omal go nie rozdeptał.

Świetnie - poradzi sobie z nim inaczej, zdecydował.

Działał instynktownie: wysunął wibroostrze, wpakował je pod lewe ramię robota, tam gdzie powłoka pancerza była cieńsza i bardziej elastyczna, i ciął przez serwomotory. Ramię maszyny natychmiast opadło bezwładnie i teraz robot był tylko nieszkodliwą masą metalu - co prawda ciężką, ale zbroja typu Katarn mogła wytrzymać znacznie większy ciężar. Robot wymachiwał dziko kończyną, próbując wycelować broń i zepchnąć Darmana na bok, ale bezskutecznie. Dar sięgnął do pasa, wyjął miniaturowy detonator termiczny i wcisnął go w otwór w metalowej powłoce, a potem puścił robota i pozwolił, żeby blaszak cisnął jego ciałem daleko w bok. Zanim wylądował kilka metrów dalej, zdążył zauważyć, jak eksplozja rozsadza płytę piersiową pancerza, unieruchamiając zabójczą maszynę na zawsze.

Jak zawsze w takich chwilach, wszystko wydawało się dziać w zwolnionym tempie.

Darman właśnie próbował się podźwignąć na nogi, kiedy zobaczył poszarpany metalowy dysk, lecący w stronę E-Weba. Widział, jak Corr daje susa na bok, a Dev rzuca się na nadchodzącego superrobota. W tej samej chwili Aven wpakował lufy swoich bliźniaczych blasterów w szczeliny stawów łączących ramiona maszyny z korpusem i wypalił.

W bezpośredniej walce superroboty nie miały szans.

Na chwilę wszystko ucichło.

Darman wstał i rozejrzał się dookoła. W uszach dudniło mu echo własnego, przyspieszonego oddechu i rytmiczne bicie serca; nie słyszał dźwięku silników, dopóki Aven nie zawołał:

„Wsparcie z powietrza"! Dopiero wtedy dotarły do niego miarowy terkot i metaliczny szcęk nowej fali robotów.

Wokół zrobiło się dziwnie ciemno, kiedy słońce przysłoniły dwie kanonierki LAAT/i. Dar zanurkował odruchowo w poszukiwaniu schronienia. Prawie natychmiast powietrze wypełniły fontanny metalowych szczątków i ferrobetonowego pyłu, podnoszone przez larty smagające ogniem kolumnę robotów.

- Cofnij się! - wrzasnął do niego Aven i wciągnął go za róg, w stronę kolumnady przy wejściu do budynku. - Padnij!

Podczas walki człowiekowi przychodziły do głowy najróżniejsze rzeczy. Darman zadarł hełm, zapatrzył się w zasnuwane ciemnymi chmurami szczątków i tłustymi kłębamii dymu niebo i zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby czarne kropki wysoko w górze okazały się Mandalorianami z plecakami raketowymi.

Kretyńska wizja, uznał, wywołana pewnie przez stymulant, zmęczenie i zbyt dużo konserwantów w żarciu.

- Jesteś świrusem, stary - powiedział do niego Atin, klepiąc go w ramię. - Ale za to z klasą! Chwilę później dołączyli do nich Niner, Corr, Jind i Dev.

- Właśnie dostałem wiadomość - poinformował ich Niner -Do naszej floty dołączyło podobno jeszcze tysiąc statków.

- A niech mnie! - zawołał Atin. - Czy nie mogliby skoczyć tu na dół i nam pomóc? Tuż przed nimi wylądował lart i ze środka natychmiast wysypała się grupa żołnierzy. Wyglądało na to, że na razie mieli spokój z robotami. Darman spojrzał przez ramię i zobaczył, jak Cov, jakiś cywil i jeszcze jeden członek Drużyny Yayax, Yover, przepychają przez drzwi budynku trzy repulsorowe kontenery.

Zawierały sprzęt potrzebny do transmisji HoloNetu na wszystkich częstotliwościach, na całej planecie. Separatyści mogli teraz nawet zająć siedzibę HoloNetu, lecz nie zdołają uciszyć Coruscant ani Republiki. Dar patrzył, jak mężczyźni ładują sprzęt na pokład kanonierki. Gdy tylko do środka wsiadło kilkunastu pracowników stacji - głównie ludzi, chociaż w grupie znalazło się też dwóch Twi'Leków - lart uniósł się w powietrze.

Aven pochylił głowę, jakby odbierał wiadomość na wewnętrznym kanale, a potem podszedł do ich grupy.

- Dwugodzinne dyżury, dobrze? Damy radę? - rzucił. - Reszta do holu, trochę snu dobrze wam zrobi. Wezmę pierwszą straż.

Sądząc po słońcu, było późne popołudnie. Darman stracił już rachubę czasu i nie miał pojęcia, ile dni tu tkwili.

- Sir - zagadnął Avena - nie wie pan przypadkiem, czy przywrócono już łączność z Kashyyykiem?

- Słyszałem, że jest niestabilna. A co, czekasz na wiadomość od Wookiego? - zażartował.

- Coś w tym stylu. - Dar wzruszył ramionami.

- Obeszli już blokadę Separatystów, ale system pewnie jest teraz przeciążony. Dorzucili tysiąc statków, a jak znam te leniwe trutnie w zaopatrzeniówce, to raczej nie zapewnili dodatkowych Węzłów sieci. - Pokręcił z rezygnacją głową. - Kolejna rzecz, o której zapomnieli nam powiedzieć.

Aven kucnął kilka metrów dalej i zajął się czyszczeniem swoich blasterów.

Darman rozejrzał się wokół i uznał, że nie ma na co czekać. Zaryzykuje połączenie z Etain.

Biedna dziewczyna, pewnie zamartwia się o niego na śmierć. Nie odbierała, więc spróbował raz jeszcze, ale nic nie wskórał. Postanowił w końcu zostawić wiadomość tekstową. Kto wie, kiedy nadarzy się następna okazja, żeby spokojnie porozmawiać. W każdej chwili mogły znowu się pojawić rutery, a poza tym nie wiadomo, czy w ogóle...

Daj spokój, skarcił się w myślach. Przeżyję. Nie dam się zabić, nie teraz!

Wyciągnął rysik i zaczął skrobać na ekranie komunikatora. Nienawidził wklepywać długich wiadomości z klawiatury.

„Mhi solus tome, mhi solus dar'tome, mhi me dinui an, mhi ba'juri verde. Przetłumacz i odpowiedz. RC-1136”.

Wciąż dochodził do siebie po skoku adrenaliny wywołanym walką, ale te słowa dały mu dziwne poczucie stabilności i uśmiechnął się do siebie mimowolnie. Etain знаła Mando'a w wystarczającym stopniu, żeby rozpoznać tekst. Musiała tylko przesłać mu tę samą wiadomość z powrotem. Obietnica była obietnicą, umowa była umową, przysięga była przysięgą - dwoje ludzi nie musiało trzymać się za ręce, żeby wziąć ślub. Dla Mandalorian liczyła się odpowiedź. Słowo było słowem.

A poza tym Darmana mało w tej chwili obchodziły prawa i zwyczaje panujące na Coruscant.

- Słyszę, że się śmiejesz - odezwał się Atin. - Co cię tak rozśmieszyło?

- Nie śmiałem się - odpowiedział Dar. Zabawne, że ledwie słyszalne szczęknięcie zębów i nieznaczną zmianą w rytmie oddechu wystarczyły, żeby Atin rozpoznał reakcję swojego brata, chociaż nie widział jego twarzy. - Wysłałem Etain przysięgę. Nie chcę dłużej czekać. Kto wie, co będzie jutro.

- Nie bądź takim czarnowidzem - prychnął Niner. - Damy radę.

- Chodziło mi o problemy z połączeniem...

- Ojeeej... - rozczulił się Corr. Darman nie wiedział, czy celowo się z nim drażni, czy chce złagodzić napięcie wywołane przez Ninera. Ich sierżantowi często brakowało dystansu. - No to teraz kolej na ciebie, At'ika - stwierdził radośnie. - Jeśli o mnie chodzi, to wciąż jestem otwarty na propozycje wszystkich pięknych dam, których jeszcze nie miałem okazji spotkać. Nie ma innej opcji.

Atin parsknął z rozbawieniem, ale Darman usłyszał ciche szczęknięcie i szelest, kiedy przełączył się na inny kanał. Na pewno próbował się teraz skontaktować z Laseemą. Dar zobaczył, jak ramiona jego brata tężeją w napięciu, a potem opadają lekko, zupełnie jakby się rozluźnił. Skiniął głową, a potem oparł się plecami o ścianę i uderzył pięścią w otwartą dłoń w geście triumfu. Corr szturchnął go w bok.

- Rozumiem, że powiedziała „tak”?

- O rany, żadnej prywatności w tej szabla bandzie - prychnął Atin, ale w jego głosie słychać było czystą radość. - Podobno Kad nie przestaje powtarzać „ta-ta” - dodał pod adresem Darmana. - Na wypadek, gdyby cię to interesowało.

Owszem, Darmana interesowało - i to bardzo. W zasłanym szczątkami, opustoszałym holu budynku HoloNetu, w każdej chwili narażony na atak robotów, Darman poczuł właśnie, że może stawić czoło całej galaktyce.

Oparł się o Atina i chociaż stymulant nadal działał, przysnął smacznie. Jakiś czas później obudziło go ciche pikanie sygnału wiadomości, jednak komunikat nie był od Etain, tylko od Orda:

„Skoro wciąż żyjecie, Omegi, w wolnej chwili przekażcie raport z sytuacji”.

W taki sposób Mandalorianie pozdrawiali się nawzajem: Su'cuy gar. Znaczyło to tyle, co „wciąż żyjesz”, chociaż w tej sytuacji słowa nabierały niezamierzonego humorystycznego zabarwienia. Ordo nie był jednak typem dowcipnisia. Skirata na pewno się o nich zamartwiał.

Darman pomyślał, że będzie miał co opowiadać swojemu synowi, kiedy przyjdzie wspominać czasy spędzone na walce z robotami bojowymi. Zamknął oczy i zapadł z powrotem w lekki, ale krzepiący sen.

Bezpieczny lokal na dolnych poziomach Coruscant,

5. dzień Bitwy o Coruscant, 1085 dni po Bitwie o Geonosis

Głęboko w trzewiach Galactic City walka toczona na górze brzmiała jak odległy grzmot, echo nieustającej burzy smagającej planetę.

Skiracie przeszło przez myśl, że chyba pierwszy raz od wielu tysięcy w slumsach Potrójnego Zera było bezpieczniej niż na czystych, porządnym szlakach i chodnikach powietrznych eleganckich dzielnic. Zerkał na drzwi do pokoju doktor Uthan i któryś raz z rzędu zaczął się zastanawiać, w jaki sposób powiedzieć jej, że nadal jest więźniem. Nie chciał jej rozdrażnić. Potrzebował jej pomocy. Miał nadzieję, że nie zrobi nic głupiego; nie wyglądała raczej na typ o skłonnościach samobójczych.

Cóż, Ko Sai też nikt o to nie podejrzewał...

- Dobra. - Vau rozsunął żaluzje i wyjrzał przez zapuszczone okno na ulicę. Na zewnątrz panował zaskakujący tłok. Widać nie byli jedynymi, którzy szukali schronienia na dolnych poziomach. Pewnie kieszonkowcy zacierali ręce z uciechy. - Podsumujmy: planeta jest obleżona przez Separatystów. Mamy na pokładzie nieobliczalną separańską badaczkę, która nie wie, że została porwana, twoją krnąbrną córkę marnotrawną, inspektor podatkową której zrujnowaliśmy karierę i szaloną siostrę Janga Fetta, która ma na sumieniu kilka zabójstw, zgadza się? A może o kimś zapomniałem? - zażartował ponuro. - Czy uprzedziłeś Rav, że ta wesoła gromadka wkrótce ją odwiedzi? Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej wszyscy nie zginiemy. Na Coruscant nie jest teraz zbyt wesoło.

Skirata czuł, że serce trzepocze mu niespokojnie w piersi. Chociaż nie można było odmówić jej wdzięku, Rav Bralor nie należała do osób, z którymi można było bezkarnie zadzierać. Stary sierżant uznał, że najlepiej będzie postawić ją przed faktem dokonanym.

- Chyba powinniśmy zacząć zbierać ludzi na pokładzie „Aay'han” - stwierdził.

- Kal, chciałbym ci przypomnieć, że mamy dwudziestu jeden członków... załogi, z braku lepszego słowa - rzucił cierpko Vau. - Plus dziecko. Etain, Kom'rk, Jaing i Prudii są poza planetą i będziemy musieli się po drodze zatrzymać, żeby ich zabrać, skoro nie mogą tu teraz wrócić. Na „Aay'han” jest szesnaście koi, nie licząc ładowni, w której pomieściłoby się kolejne piętnaście łóżek, gdyby jej w połowie nie zagracały zapasy i ta shabla zabawka Mereela.

Skirata miał na koncie trylion kredytów. Mógł zostawić „Gi'kę” i kupić Mereelowi dziesięć takich samych, kiedy się stąd wydostaną.

- Bard'ika ma swojego „Agresora”, a to oznacza dodatkowe osiem miejsc, nie licząc pilota - przypomniał Walonowi. - Poza tym ma tam zabezpieczoną ładownię... to łowiecki statek. Proponuję, żebyśmy wsadzili na niego Ruu, siostrę Fetta, Sulla, Spara i Mereela. Resztę zapakujemy na pokład „Aay'han”.

- Jasne, jeśli oczywiście te kilka tysięcy okrętów skończy kopać sobie nawzajem shebse i kontrola raczy podnieść pola ochronne - burknął Vau.

- Walonie, od początku wiedzieliśmy, że trzeba będzie improwizować...

- Fakt.

- Jeżeli chcesz się wycofać...

- Shab, ależ skąd, Kal! - zachnął się Vau. - Zaszliśmy już za daleko, żebym miał teraz zrezygnować.

- Posłuchaj - podjął Skirata. - To akurat najprostsza część planu. Trudniej będzie ściągnąć Omegi i Etain. Zera mogą się ulotnić, bo Zey i jego gromadka już do tego przywykli, ale zniknięcie reszty ktoś może zauważyć. Rozmawiałeś z Drużyną Delta?

- Nie - zaprzeczył Vau. - Możemy im o wszystkim powiedzieć, ale wybrać muszą sami. A co z innymi? Wiem, że Omegi są twoim oczkiem w głowie, ale kiedy zamierzasz powiedzieć reszcie, że w razie potrzeby mogą zawinąć do bezpiecznej przystani?

- Jak tylko będę miał pewność, że w Kyrimorut jest bezpiecznie i że wszyscy są na miejscu - stwierdził Kal.

- W porządku.

- Walon, wiem, że porwałem się z motyką na gazowego giganta, ale nie zamierzam zrezygnować. Wiem, że jesteście już prawie u celu.

Vau westchnął ciężko.

- Niech ci będzie. - Poklepał płytę pancerza na udzie. - Mird? Mird'ika, do nogi! Chodźmy zaganiać bepańskie nerfy.

Całe szczęście, że przynajmniej większość z nich była na dolnych poziomach - oprócz Kada, Laseemy i Besany. Separanci ostrzyli sobie zęby na cele strategiczne: budynki rządu, kosmoporty, obiekty wojskowe i infrastrukturę. Na dolnych poziomach zdarzały się przerwy w dostawie prądu, a wokół było coraz gęściej od istot szukających schronienia, ale tu przynajmniej można było poruszać się bezpiecznie po ulicach, nie ryzykując trafienia zbłąkanym rykoszetem. Skirata uznał, że pora sprowadzić dziewczęta i wnuka. Na pokładzie „Aay'han” było względnie wygodnie, a już na pewno bezpieczniej niż na powierzchni planety. Przeleciał przez miasto najniższą trasą, po której mógł pilotować śmigacz, i odbił ostro do góry dopiero w pobliżu dzielnicy, w której mieszkali Obrimowie, znanej jako Miasto Rampart. Była to spokojna i cicha część Galactic City. Obrim miał wielu groźnych wrogów, jak większość glin, więc starał się nie rzucać w oczy. Mieszkał wraz z rodziną w potężnym, wielopoziomowym apartamentowcu, który nie wyróżniał się z zewnątrz niczym szczególnym. O tym, jak ciężka i niebezpieczna bywała jego praca, świadczyły tylko liczne i skomplikowane systemy bezpieczeństwa zamontowane przy wejściu.

Wokół nie było żywej duszy. Na tak gęsto zaludnionej planecie nie było praktycznie gdzie uciec, więc każdy, kto miał chociaż odrobinę zdrowego rozsądku, zamykał się na cztery spusty w domu i czekał. Kal musiał odstać całe pięć minut, zanim Telti Obrim wpuściła go do środka.

- Jaller utknął w kwaterze głównej - wyjaśniła na wstępie. - Nie widziałam go od dwóch dni, ale to u niego normalne. Czy u was wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - zapewnił ją Skirata. - Zabawne, że teraz można czuć się bezpiecznie tylko w niektórych rejonach miasta. Słuchaj, wiem, że narażam was na ryzyko, pojawiając się tu osobiście, ale muszę zabrać dziewczyny. - Wyjął z sakwy u pasa czipy kredytowe o łącznej wartości dziewięciu milionów kredytów. Stosik wydawał się dziwnie mały jak na tak zawrotną sumę. Kwoty, którymi operował ostatnio przestały robić na nim wrażenie już jakiś czas temu. - Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła, Telti - poprosił. - Weź to. Odliczcie z tej sumy tyle, ile trzeba, żeby zapewnić wam z Jallerem bezpieczeństwo, a jeśli coś zostanie, dajcie resztę temu szalonemu senatorowi Skeenahowi na budowę jego przytułku dla klonów. Telti wpatrywała się w kredyty z otwartymi ustami. Do Skiraty dotarło, jak wiele wysiłku musiało kosztować kogoś z rodziny policjanta przyjęcie takiej kwoty. Wcześniej na pewno zwróciłoby to czyjaś uwagę, ale ostatnio nic już nie było tak jak kiedyś i nie można było przewidzieć, co się wydarzy jutro. Telti wciąż stała nieruchomo, wpatrując się w pieniądze i mamrocząc pod nosem: „Och... Kal... ja...”, kiedy w przedpokoju pojawiła się Besany. Podeszła do Skiraty i zarzuciła mu ręce na szyję. Kal poczuł się przy niej jak karzełek - dorównywała wzrostem Ordowi.

- Nie strasz mnie tak więcej, Kal'buir - powiedziała z naganą w głosie.

- Czas się zbierać, ad'ika.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz się przebijać przez blokadę, co?

- Nie - uspokoił ją. - Na razie wszystko przygotowujemy i poczekamy, aż bitwa ucichnie.

- Zawołam Laseemę. - Mruknęła do niego figlarnie, ale gdzieś na dnie jej oczu czaił się strach. Dzielna dziewczyna, mandokar-la, pomyślał. Chociaż się bała, nie dała niczego po sobie poznać. - Cieszę się, że szafiry na coś się przydały - powiedziała.

Kad był cichy, bardzo spokojny, wręcz za poważny jak na malutkie dziecko. Nie marudził ani nie płakał. Siedział grzecznie na kolanach Besany, z rączkami przyklejonymi do transpastalowej szyby i wyglądał na zewnątrz, podczas gdy Skirata kluczył przez labirynt uliczek, próbując jak najszybciej dotrzeć do wejścia do zbiornika. Śmigacz przemknął przez tunel remontowy. Było tu tak wąsko, że prawie porysowali karoserię.

- Och, jest cudowna! - Laseema o mało nie klasnęła w dłonie, kiedy znaleźli się w „Aay'han”. Poklepała koję w swojej ciasnej kabinie. - Nigdy nie byłam na takim statku. Co o tym myślisz, Kad'ika? - spytała malca.

- Ma! - oznajmił stanowczo chłopiec. Podreptał na drugą stronę kajuty i zaczął się gramolić na niższą koję. Było to duże wyzwanie, ale mimo niepowodzeń próbował niezłomnie, dopóki Laseema nie pospieszyła mu na pomoc. - Mama!

Mama była daleko.

- Kontaktowałeś się z nią? - spytała Kala Besany.

- Zaraz spróbuję ją złapać - zapewnił ją Skirata. Wiedział, że powinien był ją ściągnąć już dawno. - Może mogłaby przylecieć prosto na Mandalorę, gdyby udało jej się załatwić jakiś transport, ale osobiście wolałbym ją zabrać stąd. Sprawdzę, co porabia ta cała Vollen. Może ona skoczyłaby po Et'ikę? Albo Jaing?

Besany wzięła go za rękę i uściśniła mocno, a potem wskazała na blaster w kaburze u swojego pasa. Jeszcze niedawno zarzekała się, że broń nie jest jej potrzebna.

- Zachowamy ostrożność, Kal - zapewniła go. - Jestem pewna, że będziemy tu bezpieczni. Zamkniemy właz.

- Obiecuję, że nie będziecie długo same - powiedział. - Reszta aliit wkrótce do nas dołączy. Cały klan.

- Wszystko jest na dobrej drodze, Kal. - Besany obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Ufała mu, wiedział o tym. - Wiem, że nam się uda. Jesteś prawdziwym bohaterem, wiesz o tym? Nieprawda, nie był, nawet jeśli Munin, Besany i paru innych ludzi mówiło mu to kilkakrotnie na przestrzeni lat. Był tym, za kogo uważała go większość tych, którzy mieli z nim do czynienia: ryzykantem, zabójcą, człowiekiem z marginesu, bandytą. Ale przy tym wszystkim wiedział, że czasem robi coś dobrego: pomaga osobom, które zasługiwały na lepszy los. Mógł ze sobą wytrzymać, uznał. Cóż, przynajmniej przez większość czasu.

W drodze powrotnej do bezpiecznego domu zrobił w myślach przegląd spraw, które musi jeszcze załatwić. Wiedział, gdzie kto przebywa i wiedział - mniej więcej - w jaki sposób mieli się dostać na Manda'yaim. Wszyscy byli jego rodziną, aliit, klanem -nie miał co do tego wątpliwości, pomimo różnych osobowości i środowisk, z których pochodzili jego najbliżsi.

Lekceważąc niebezpieczeństwo namierzenia przez Kanclerza i jego sługusów, skontaktował się z Gilamarem. Zabawne, że wojna zapewniała mu w pewnym sensie bezkarność.

- Mij'ika? - zaczął. - Ja w sprawie konsultacji lekarskiej. Chodzi o siostrę Fetta.

Zastanawiałem się, gdzie powinniśmy...

- Kal, śledziłeś ostatnio kanał WAR albo BOS? - przerwał mu bez ceregieli Gilamar.

Shab, czy nikt nie miał czasu, żeby go poinformować? - przeszło mu przez myśl.

- No... od kilku godzin nie jestem na bieżąco - powiedział ostrożnie.

- Palpatine został porwany przez separańców - poinformował go Mij. - Uprawdzili go z planety. Wtopa na całego. Zey wyraża się w tej chwili językiem, którego nigdy bym się nie spodziewał po Jedi.

Pierwsze, co przyszło do głowy Skiracie, to to, że porwanie Kanclerza było idiotycznym pomysłem i że dzięki temu będą mieli ułatwioną ucieczkę z planety. Jeżeli wcześniej miał wątpliwości, czy wypada przedkładać własny interes ponad dobro Republiki, to w tej chwili stracił resztki złudzeń.

- Czy to ma dla nas jakieś znaczenie? - spytał Mija. - Poza tym, że Republikę czeka zawieszenie broni albo poddanie się?

- Odwołują Jedi z misji. Chyba najwyższy czas zgarnąć Etain.

- Szanse i zagrożenia, Mij. Jedno i to samo.

Skirata nie musiał się już martwić, że zostanie aresztowany. Mógł się skontaktować z Enaccą Cieszył się, że jest patriotką, ale czuł również ulgę, że miała oko na Etain.

Był dłużnikiem tego futrzaka. Kiedy wyjdą z tego zamieszania obronną ręką upewni się, że do końca życia niczego jej nie zabraknie.

## ROZDZIAŁ 16

Nosimy nasze broje głównie z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby nie dać się łatwo zabić, po drugie, żebyśmy wszyscy wyglądali podobnie - nieważne, jak bardzo różnimy się od naszych braci i sióstr.

Mandaloriańska matka wyjaśniająca swojej córce jeden z punktów ResoP nare - sześciu zasad mandaloriańskiej tożsamości

Zbiornik rezerwowy, Galactic City, 5. dzień Bitwy o Coruscant, 1085 dni po Bitwie o Geonosis

Skirata czekał z komunikatorem w dłoni i łączem hełmu ustawionym na pasmo dowództwa WAR.

Na nabrzeżu Jusik uczył Fi władać mieczem świetlnym. Przekonywał go, że kiedy - właśnie tak, „kiedy”, u Jusika nigdy nie znaczyło „Jeśli” - będzie w pełni sił, bez trudu poradzi sobie z tą bronią.

Nieważne, kto machał tym szabla badylem - Skirata nie lubił tego denerwującego brzęczenia.

Broń wydawała mu się dziwnie bezduszna i bezlitosna, zupełnie jak robot skanujący otoczenie w poszukiwaniu ofiary, którego nie obchodzi, kogo i dlaczego zabije.

- Jak tam, Mer'ika! - rzucił do komunikatora. - Co z transponderem?

Mereel czekał w zamaskowanym „Agresorze” na jednym z publicznych lądowisk na środkowych poziomach. Z góry myśliwiec wyglądał jak fragment upstrzonego szczątkami terenu i był prawie niewidoczny, tego typu statki były jednak używane przez siły Republiki, więc musieli zadbać o to, żeby nie zainteresowali się nim Separatyści. Fałszywy sygnał czy nie, zawsze istniała szansa, że któryś z nadgorliwych klonów wypatrzy „Agresora”, zaufa odczytom z komputera pokładowego i weźmie go na cel.

- Mały jacht sportowy - powiedział Mereel. - Nadziany cywiluch ratujący swoją shebs. Może wkrótce będziemy mieli otwarty korytarz... wzywali Kenobiego.

- Będą musieli wyłączyć całe pole, bo inaczej nie zmieści się jego napuszone ego i czerwony dywan... - parsknął Kal.

- Jesteśmy gotowi - powiedział Mereel. - Jak tylko zobaczą lukę, zrucam sieć i pryskam.

- Jak załoga?

- Podaliśmy leki komu trzeba, zapakowaliśmy do osobnych pomieszczeń, a Uthan nie zorientowała się jeszcze, że trójka z nas to klony - oznajmił. - Uwielbiam mój buy'ce. Dodaje mi aury tajemniczości podczas kontaktów z ludźmi... - zażartował.

- Mam nadzieję, że obecność kilku Mandalorian na pokładzie ją uspokoi, nawet jeśli coś wywęszy, zanim dotrzemy na Mandalorę - stwierdził Kal. - Powiedz mi jeszcze, co z zapasowymi danymi? Awaryjne punkty zbrojne?

- O wszystko się zatroszczyliśmy, Kal'buir. Przestań się zamartwiać.

- Nie potrafię.



- Wszystko w porządku, papo - zapewnił go komandos. " Wszystko idzie zgodnie z planem.  
- Mereel rzadko mówił do niego „PaPo”, przeważnie nazywał go buirem. - Rav czeka ze swoim klanem w Kyrimorut, więc u nich również wszystko gra. Jesteśmy gotowi do startu.

- K'oyacyi, Mer'ika - powiedział cicho Skirata. Znaczyło to tyle, co „obyście byli bezpieczni, obyście przeżyli, trzymajcie się”. - Do zobaczenia na Manda'yaim.  
Jusik i Fi musieli słyszeć całą rozmowę. Brzęczenie miecza ustało nagle.

- Uthan się wścieknie, kiedy się dowie, w czyje ręce trafiła -powiedział Fi. - Jestem ciekaw, czy pozna mnie i chłopców z Omegi.

- Mamy masę pracy, zanim zaczniemy się o to martwić, ad'ika.

Skirata naprawdę nienawidził czekania. Był już za stary na takie gierki; męczyło go niedosypianie i niedojadanie. Miał wrażenie, że odwiedził wszystkie zakamarki statku już ze sto razy. Besany kołysała Kada, trzymając palec na ustach, a Jilka siedziała bez ruchu i tępo patrzyła przed siebie, jakby jej życie przewróciło się do góry nogami, co zresztą nie odbiegało tak daleko od prawdy.

Skirata zatrzymał się i poklepał ją po ramieniu.

- Wrócisz na Coruscant, jak tylko skończy się cała ta wojna -zapewnił ją. - Przykro mi, że tak się stało. Naprawdę.

- To dobra nauczka - powiedziała Jilka spokojnie. Wyglądało na to, że nie żywi do nich urazy, chociaż nie dziękowała im wylewnie za ratunek i nie wychwalała pod niebiosa. - Okazuje się, że wcale nie znałam Besany kriffing Wennen.

Besany nie odezwała się ani słowem i Skirata uznał, że chociaż na razie nie zanosilo się na to, żeby miały skoczyć sobie do oczu, powinien uważać na obie kobiety. To, co dla Mandalorian było na porządku dziennym, mogło przyprawić zwykłego pracownika biurowego - nawet takiego, który na co dzień miał do czynienia z różnymi śliskimi sprawkami - o zawał.

- Kal'buir? - rozległ się w głośniku głos Mereela. - Wygląda na to, że wyłączają pole.  
Grievous uciekł. Coś mi mówi, że bitwa skończona. Muszę lecieć. K'oyacyi.

~ K'oyacyi - powtórzył Kal. - Pamiętaj, że cię kocham, synu.

Wspiął się na górę i zeskoczył z „Aay'han” na nabrzeże. Nie było szans, żeby zobaczył stąd niebo, ale potrzeba wyjścia na Powierzchnię i popatrzenia, jak Agresor opuszcza planetę, była silniejsza od niego. Właściwie i tak by nic nie zobaczył, bo statek startował z drugiej strony Coruscant, ale zrobił to odruchowo. Po chwili oparł głowę o zimną, szorstką powierzchnię durabetonu i zaczął odliczać długie minuty, sekunda po sekundzie, dopóki ktoś nie położył mu dłoni na ramieniu. Nie odwrócił się.

Mandalorianie wyrzekli się swoich bogów wieki temu. Władcy

- czy to bóstwa, czy przywódcy pełniący funkcję Mandalorów

- byli potrzebni dopóty, dopóki wywiązywali się ze swoich obowiązków. W takiej sytuacji Skirata po prostu nie miał kogo prosić

o zapewnienie Mereelowi bezpiecznej podróży.

Sześć minut, siedem... dziesięć...

- Kal'buir? Jesteśmy już poza Coruscant - zabrzmiało w głośniku.

- Mer'ika\

- Żałuj, że nie widziałeś, jaki tu młyn! Wszyscy się pchają jak durnie.

- Znikajcie stąd najszybciej, jak się da, synu - powiedział Kal ze ściśniętym gardłem.

- Już nas nie ma.

Połączenie zostało przerwane, co oznaczało, że „Agresor” skoczył w nadprzestrzeń. Skirata otrząsnął się i zdjął hełm; jego górną wargę zrosił pot. Kiedy się odwrócił, z zaskoczeniem stwierdził, że koło niego nie stoi Jusik ani Fi, tylko Vau.

- Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz - powiedział do niego Walon. — Grievous dał drapakę, a Palpatine jest cały i zdrowy.

- Wiem - burknął Kal. - Gdzie Mird?

- W moim śmigaczu. Hm, to znaczy... w którymś śmigaczu. Stał porzucony kilka poziomów wyżej, więc go sobie na chwilę pożyczyłem - wyjaśnił. - Pobawię się w nerfopasa, dopóki się stąd nie zabierzemy. Na górze wciąż się piorą, a w wiadomościach podawali, że przeciwnicy Republiki wywołali zamieszki, więc nadal nie jest bezpiecznie, nawet jeśli mamy spokój z flotą. Skirata przełączył kanał w hełmie na częstotliwość WAR, nasłuchując wieści z Kashyyyku. Nie pojawiły się żadne wzmianki o ruchu oporu Wookiech, ale Mistrz Vos i Mistrz Yoda ustalali szczegóły ataku, który miał się rozpocząć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Musieli znaleźć sposób, żeby ściągnąć Etain. Enacca знаła plan ucieczki.

Skontaktował się z Drużyną Omega. Co prawda cały czas był na bieżąco z ich lokalizacją dzięki kanałowi WAR, ale chciał porozmawiać z nimi osobiście. Jako pierwszy zgłosił się Atin. : - Jak tam u was, At'ika? - spytał nerwowo Kal.

- Nadal udupieni, sierżancie.

- Kto was teraz pogania? Zey?

- Ta-a, bezpośrednio albo przez porucznika Avena.

- Informuj mnie na bieżąco, dobrze? Mam dostęp do systemu WAR, ale chcę mieć pewność, że jesteście tam, gdzie wskazują przez następnych kilka dni - powiedział. - Wkrótce ruszamy, synu, i chcę, żebyście byli gotowi.

- Jestem gotowy - zapewnił go Atin. - Wszyscy jesteśmy. Czy Vau jest z wami?

- Tak. - To był wciąż drażliwy temat nawet, jeśli chwilowo obaj mężczyźni zakopali topór wojenny. - Chcesz z nim porozmawiać?

- Nie - brzmiała odpowiedź. - Powiedz mu tylko, że wojna między nami skończona.

Naprawdę. Wracamy do domu i zaczynamy wszystko od nowa. Cin vhetin.

Vau i tak wszystko słyszał. Skirata schował komunikator do sakwy u pasa.

- Cokolwiek zrobiłem, robiłem to z myślą o tym, żeby przetrwali - powiedział Vau. - Nie jestem sadystą.

- Ta-a. - Skirata nie miał ochoty się sprzeczać, wiedział jednak, że gdyby Vau podniósł jeszcze raz rękę na któregoś z jego chłopców, nie puściłby mu tego płazem. W jakiś dziwny sposób tej świadomości towarzyszył mimo wszystko szacunek i... przywiązanie. Vau również był członkiem ich rodziny. - Muszę zgarnąć resztę moich chłopców - mruknął. - Opiekuj się damami. Powierzam ci bezpieczeństwo mojego wnuka.

- Cudownie! Zbudujemy mu z Mirdalanem gniazdo - zakpił Vau i zniknął w środku łodzi. Skirata przyglądał się przez chwilę, jak Jusik uczy Fi machać mieczem, a potem ruszył w stronę swojego śmigacza - tego samego cacka, którym tak się cieszył i szczycił, kiedy buchnął go martwemu jabiimskiemu dysydemtowi.

Wiedział, że będzie za tą furą tęsknił.

Plac Jądra Galaktyki, późne popołudnie, 2 dni po ucieczce Grievousa z Coruscant, 1087 dni po Bitwie o Geonosis

- Wrócił, Ord'ika - rozległ się w słuchawkach Orda głos Jainga. Komandos patrolował właśnie spustoszoną dzielnicę handlową CSB, płosząc szabrowników ze zniszczonych sklepów.

- Grievous?

- Doszły mnie słuchy, że zatęsknił za Utapau - potwierdził Jaing.

- A więc nie jesteście na miejscu?

- Nie, właśnie sprzątamy po jakiejś jatce na Rubieżach.

- Chyba czas uświadomić Zeya... - rzucił Ordo.
- Chyba masz rację - potwierdził Jaing zmęczonym głosem. -Nadal mam złe przeczucia, tak samo jak Kom'ika. Co z tą wielką armią robotów Grievousa? Kwadryliony, jasne - parsknął. - Pewnie wszystkie wzięły wolne na ten sam tydzień i nie mogą złapać stopa na Coruscant.
- A więc dajemy dyla, ner vod. Od tej chwili zostajesz oficjalnie uznany za zaginionego w akcji, tak samo jak Kom'rk. Lećcie prosto na Mandalorę.
- Mieliśmy się stawić w punkcie zbornym na Potrójnym Zerze... - zaprotestował Jaing.
- Zgadza się, ale Bralor potrzebuje kogoś, kto pomoże jej się uporać z całą tą menażerią, którą sprawdza jej Kal'buir. Tak mówił.
- W takim razie będę się musiał pożegnać z moją zbroją ARC -zażartował Jaing. - A to już pech. Bardzo się do niej przywiązałem. Tak czy inaczej, beskar'gam w sam raz pasuje mi do moich ślicznych rękawic.
- K'oyacyi, ner vod.
- Ty też, Ord'ika.

Ordo sprawdził godzinę na chronometrze. Postanowił, że zabawi tu jeszcze trochę, a potem zahaczy o koszary kompanii Arca i przekaze Zeyowi wieści o Grievousie. Wychylił się z przedziału statku patrolowego i pokręcił z niedowierzaniem głową na widok bandy Rodian i ludzi plądrujących sklep z modną odzieżą. Niesamowite. Niektórzy byli na tyle bezczelni, że wykorzystywali sytuację i kradli, podczas gdy na górze wciąż toczyły się walki Pilot zatoczył koło i zszedł na wysokość chodnika, a kiedy wyhamował, ze środka wyjrzał snajper.

Sierżant CSB nie zdążył nawet ich ostrzec - na dźwięk silników szabrownicy rozbiegli się we wszystkie strony i zniknęli w ruinach zniszczonych budynków i w bocznych uliczkach.

- Dziwne, że w ogóle próbują - stwierdził sierżant. - Wokół pełno wojska.
- Widać za mało, żeby pilnować każdego sklepu - westchnął Ordo.
- No, nie wiem. - Sierżant wychylił się i rozejrzał wokół. - Są dosłownie wszędzie. Nigdy nie widziałem tu tylu żołnierzy. Mam wrażenie, że wielu z nich przybyło całkiem niedawno. Czy gdzieś poza Coruscant ktoś jeszcze w ogóle walczy? - zażartował.
- Oczywiście - odpowiedział poważnie komandos. - Na Kashyyyku dopiero się zaczęło.

Wszystko w normie.

Tak naprawdę sytuacja daleko odbiegała od normalności, ale sierżant wcale nie musiał o tym wiedzieć. Ordo sprawdził tego poranka rozmieszczenie floty, więc wiedział, że rzucono do walki całe mnóstwo statków, chociaż część wysłano w miejsca, gdzie nigdy by się ich nie spodziewał. Tak czy inaczej, nie było wątpliwości, że szeregi Republiki dostały potężny zastrzyk wojska: wielomilionową armię, przy której trzy miliony klonów z Kamino wydawały się niczym.

- Dostaliśmy w końcu wyteśknione posiłki. - Ordo zerknął znowu na chronometr. - Niech nam żyje Kanclerz - mruknął.

Sierżant uśmiechnął się z przymusem.

- Ta-a, niech nam żyje...

Ordo wysiadł w pobliżu koszar i przeszedł kawałek pieszo. Był zaskoczony tłumami, które wyległy na ulice. Wyglądało na to, że obecność klonów skłoniła wszystkich do opuszczenia domów. Widocznie czuli się bezpieczniej.

Dla Orda nie miało to znaczenia. Za kilka dni opuści to miejsce na zawsze. Wracam do domu, pomyślał - Razem z moją żoną. Z moim ojcem, z moimi braćmi i ich żonami. Nawet jeżeli okaże się, że nie pożyjemy już długo, będzie to w końcu normalne życie.

Zdziwił się na widok strażników klonów strzegących koszar - nigdy wcześniej ich tu nie było. Musiał się nawet wylegitymować. Pewnie nigdy dotąd nie mieli do czynienia z komandosami

ARC. Przez chwilę miał nawet ochotę poprosić któregoś z nich o zdjęcie hełmu, żeby mógł mu się przyjrzeć i sprawdzić, czy jest podobny do Zera i jego braci, ale uznał, że byłoby to dla niego poniżające, a poza tym i tak właściwie mało go to obchodziło. Pomyślał, że gdyby zaczął się nimi zanadto interesować, skończyłby jak Kal'buir - przeświadczony, że ma obowiązek uratować wszystkie klony w galaktyce.

Kiedy wszedł do siedziby głównej, jego krok odbijał się głośnym echem od ścian opustoszałego budynku. Najwyraźniej nic się nie zmieniło, komandosi nadal byli porzuceni na misjach po najdalszych zakątkach galaktyki. Może wkrótce WAR zacznie doszkalać nowych żołnierzy?

- Jak zakupy? - zagadnął go Maze. - Ustrzeliliście jakichś złodziejasków?

Ordo zdjął hełm i przytroczył go do pasa.

- Mieszkańcy nie przestają mnie zaskakiwać - westchnął. - Gdybym już miał kraść podczas wojny, połazczyłbym się na broń albo jedzenie, ale na pewno nie na ubrania. Widziałeś gdzieś może Zeya?

- Jest w swoim biurze - odparł Maze. - Nic nowego... za dużo frontów do obsadzenia, za mało ludzi i generałowie Jedi wysyłani w dziwne miejsca.

- Rzeczywiście dziwne, biorąc pod uwagę sytuację - mruknął Ordo.

Ruszyli razem w stronę pokoju generała. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Ordo rzucił na biurko Jedi czip z danymi.

- Wywiad namierzył Grievousa - powiedział.

Zey spojrzał na niego, jakby nie wiedział, o czym Ordo mówi. Komandos czasami czuł do Zeya niewyjaśnioną sympatię, ba! bywało, że nawet mu współczuł.

- Grievous - powtórzył przesadnie wyraźnie i powoli. - Jaing i Kom'rk śledzili go aż na Utapau. Jest tam teraz. Na karcie jest plan obozu widziany z miejsc, gdzie zdołali wtrącić sondę. Kogo zamierzasz tam wysłać? - spytał. - Tego nudziarza Kenobiego? Najlepiej byłoby to zlecić generałowi Yodzie, gdyby tylko nie był zajęty gdzie indziej...

Zey zmarszczył brwi i przez chwilę się nad czymś zastanawiał. Widać w takiej chwili duże znaczenie miał fakt, że Jaing i Kom'rk trafili na ślad Grievousa.

- Czyżbyś miał generałowi Kenobiemu coś za złe? - spytał w końcu.

- Tak, tak, wiem, że Cody widzi nad jego głową aureolę, ale moim zdaniem to zarozumiały bufon, który lekką ręką posyła dobrych ludzi na pewną śmierć - stwierdził Ordo.

- Cóż, cytując jego ulubione powiedzonko, to tylko, „z pewnego punktu widzenia”. - Zey wiedział, że z Ordem lepiej nie dyskutować o takich rzeczach. Miał też na tyle rozumu, żeby nie dociekać, jak Zera zdobyły informacje, które mu dostarczono. Położył dłoń na splocie słonecznym, jakby miał problemy z żołądkiem. - To może oznaczać początek końca, kapitanie. Dziękuję.

- Nie byłbym tego taki pewien - rzucił Ordo, kierując się w stronę wyjścia.

- Kapitanie... - Zey podszedł do niego i zatrzymał go nieśmiałym gestem, jakby zamierzał go złapać za ramię, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wyglądał na przestraszonego i Ordo pomyślał, że to nie ten sam stanowczy, bezwzględny Jedi, którego kiedyś znał. - Nie pochwała pan polityki Zakonu, mam rację? - spytał. - Dlaczego?

Ordo przyjrzał mu się podejrzliwie. Pytanie było tak naiwne, że nie wierzył własnym uszom. Maze stał obok bez ruchu - tylko nozdrza mu falowały, jakby próbował głęboko odetchnąć, ale z jakiegoś powodu bał się otworzyć usta. Może był równie zaskoczony, jak Ordo? Spar i Sull byli najlepszym przykładem na to, że żołnierze ARC Alfa nie są takimi łykającymi wszystko bezkrytycznie automatami, za jakich uważała ich większość przełożonych.

- Bo nie dostrzegacie własnego zepsucia - odparł Ordo cicho. - Oto, co się dzieje, kiedy organizacją od wieków rządzi jeden skostniały organ. Potrzeba wam radykalnych zmian w strukturze dowodzenia. Nic dziwnego, że nie widzicie nic złego w hodowaniu klonów, które nie mają prawa decydować o własnym losie, skoro bez mrugnięcia okiem zabieracie wrażliwe na Moc dzieci, żeby zrobić z nich Jedi, czy im się to podoba, czy nie - powiedział, wpatrując się w niego natarczywie. Szukał w jego oczach śladu prawdziwych myśli i uczuć. Chciał poznać zdanie prawdziwego Jedi, ponieważ nie mógł polegać na ocenie Jusika, który kierował się własnym kompasem moralnym, tak samo jak Etain. Może działo się tak ze wszystkimi młodszymi Jedi, którzy na

pewnym etapie zaczynali się zastanawiać, dlaczego sprawy w galaktyce przybrały taki zły obrót? Jednak w Zeyu Ordo widział tylko człowieka pozbawionego resztek złudzeń i nadziei, zbyt zawstydzonego, żeby wnikać w słuszność wykonywanych rozkazów.

- Wydaje mi się, że całej Republice przydałaby się zmiana polityki - powiedział w końcu generał. - Wojna to zło. Wkładanie się w ten konflikt to pomyłka. Nie powinniśmy byli się na to zgadzać, a Palpatine nadużył naszego zaufania.

Maze nadal stał nieruchomo, ale wyczulony słuch Orda zarejestrował zmianę w jego oddechu. Widać jemu też się to wszystko nie podobało.

- Nie zapominaj o waszej armii niewolników - powiedział Ordo gorzko i uniosł do skroni dwa palce w niedbałym salucie. - To też nie było najmądrzejsze posunięcie.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, a za nim Maze. Ordo odliczył równe dziesięć kroków, a potem zatrzymał się i odwrócił do niego. Maze również stanął i spojrzał mu twardo w oczy.

„Chyba się rozumiemy”, mówił jego wzrok.

- Dawniej - powiedział Ordo powoli - paliłeś się, aby obić mi pysk, gdy powiedziałem na Zeya złe słowo. - Podał mu kawałek korzenia ruik. - Co jest grane?

Maze przyjął poczęstunek.

- Spokojnie - rzucił. - Ja też nie jestem fanem Palpatine'a, ale, jakkolwiek by na to patrzeć, został wybrany, a Jedi nie. Kim oni są żeby decydować, kto powinien rządzić Republiką?

- No, no... widzę, że nadęta propaganda Janga nie zadziałała, co? - zadrwił Ordo.

- Jango miał służyć Republice - zaprotestował Maze. - Nie Jedi. Oni właściwie nie różnią się niczym od nas. Też są marionetkami polityków.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to dziwię się, że nie powycinał Jedi w pień po tym, do czego doszło na Galidraanie. - Ordo naprawdę współczuł Fettowi. Najpierw jego prawdziwa rodzina, potem przybrany ojciec, a potem wszyscy jego towarzysze - za~ bici przez bezlitosnych chakaare. To jednak nie usprawiedliwiało sprzedawania swojego materiału genetycznego za obietnicę bogactwa i dziedzica. - Tak czy inaczej, dobrze wiedzieć, że wy, Alfy, nie jesteście ślepo wielbiącymi Jedi półgłówkami.

Maze uniosł brew.

- A rozkazy, ty szurnięty Zeraku? - rzucił prowokacyjnie. - Spróbuj może czasem ich słuchać. Oto, co odróżnia armię spełniającą wolę elektoratu od uzbrojonego motłochu, dbającego tylko o własne shebse.

- Znowu czytałeś holoksiążki - prychnął Ordo.

- Mówisz jak pieprzony cywiluch!

- Wiesz, że powinienem cię za to sprać po pysku?

- Jak myślisz, co tacy jak ja albo takie białasy robią po godzinach, kiedy ty bujasz się po mieście ze swoją laską? - spytał Maze. - Myślisz, że wkładają nas do pudełek i wyłączają jak małe grzeźne robociki? Ja na przykład czytam. Część gra w bolo-balla, jeszcze inni oglądają

holofilmy, które tylko przypominają im o życiu, jakiego nigdy nie będą mieli. A ja... czytam - zająknął się.

Ordo przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Maze miał rację - łatwo było przestawić się na ten wygodny, niewymagający myślenia „tryb cywilny”. Faktycznie, on sam nigdy się nie zastanawiał, jak jemu podobni spędzają wolny czas, wydzielony z ich nienaturalnie krótkiego życia.

- Wiesz, co was czeka, prawda? - spytał gorzko.

- Plastikowy worek albo kilka strzałów w łeb. - Maze wzruszył ramionami. - W najlepszym wypadku ciepła posadka instruktora szkoleniowego. Tak, wiem. Powiedzmy, że Zey zaproponował mi przeniesienie - powiedział ostrożnie. - Trochę się wkurzył, kiedy poznał stanowisko Republiki w sprawie emerytury dla ARC.

- W takim razie daj znać, jeżeli faktycznie zależy ci na przeniesieniu. - Ordo obrzucił go czujnym spojrzeniem. - Mam dla ciebie lepszą propozycję niż Zey.

- Idę o zakład. - Maze zmrużył oczy w szparki. - W każdym razie to miło z jego strony. Inni Jedi tylko pstrykają palcami i mówią do ciebie per „klonie”.

- Mogę cię o coś spytać? Miałem to szczęście, że traktowano mnie jak syna, nie jak produkt z fabryki - powiedział Ordo. - Wiem doskonale, że klony są wykorzystywane. Czy masz... poczucie niesprawiedliwości?

- Większe niż ci się zdaje - rzucił cicho Maze, a potem splunął celnie przezutymi resztkami korzenia ruik do kosza i odszedł w stronę mesy z hełmem pod pachą, trzepocząc kama.

Kashyyyk, 3 dni po ucieczce Grievousa z Coruscant, 1088 dni po Bitwie o Geonosis

- W samą porę - powiedział Fixer, wsuwając magazynki do sakwy u pasa. - Już myślałem, że będę musiał walczyć sam.

Scorch szturchnął go w plecy, wskazując na Bossa i Seva.

- A jak myślisz, co w tym czasie robiliśmy? Polerowaliśmy sobie paznokietki?

- Mówię o Vosie.

Generał Vos wrócił z Boz Pity wraz z pierwszym transportem żołnierzy poprzedniego wieczoru, a generał Yoda był już w drodze, wraz z elitarnym Czterdziestym Pierwszym i Tarffulem, przywódcą Wookiech, którego Drużyna Delta odbiła z obozu jenieckiego Separatystów. A więc Republika wysyłała na Kashyyyk siły zbrojne. Zdaniem Scorcha mieli trochę obsuwę, ale nie mógł zaprzeczyć, że w tej sytuacji wsparcie w postaci dodatkowych żołnierzy i floty było bardzo przydatne, tym bardziej że uwalniało takich jak Mistrz Yoda od części obowiązków.

To wszystko jedna wielka cwana pułapka, pomyślał. Na Coruscant Grievous dostaje tęgiego kopa w swoją blaszaną shebs i daje drapaka. Kanclerzu, lepiej, żeby twój plan się powiódł, bo inaczej po nas.

- Gotowi? - spytał Boss.

- Ile mamy czasu?

- Okręt Yody powinien tu być za trzydzieści standardowych minut - wyjaśnił sierżant.

Weszli na most z lian i przeskanowali poranne niebo w poszukiwaniu statków. Separanci musieli wiedzieć, że siły wroga spodziewają się posiłków, bo powoli gromadzili flotę, a w pobliżu miejsca, w którym okręt Mistrza Yody miał wyjść z nadprzestrzeni, zajął pozycję krążownik.

Wookie również przygotowywali się do walki. Scorch usłyszał ich na długo, zanim znaleźli się w zasięgu wzroku - złowrogi chor pomruków, powarkiwań i parsknięć. Odgłosy narastały z każdą chwilą i nawet ktoś nieznający shyiiwooka bez trudu mógł rozpoznać ukrytą w pozornie niezrozumiałych dźwiękach groźbę: istoty przygotowywały się do wyrwania swego świata z łap najeźdźców i zamierzały tego dokonać gołymi rękami. Scorch widział już wystarczająco dużo, żeby rozumieć, że są do tego zdolne, i nie

mógł się doczekać, żeby zobaczyć to na własne oczy. Po krótkim namyśle uznał jednak, że wystarczą mu same odgłosy. Potężni przywódcy Wookiech potrząsali ciężkimi kuszami i długimi karabinami, niczym leciutkimi zabawkami. W tłumie wrzało, wojowników ogarniał już szal walki, czuli zew krwi. Uderzali pięściami w szerokie, włochate piersi, a potem podnosili zaciśnięte dłonie ku niebu i budzącymi grozę rykami rzucali wyzwanie tym, którzy ośmielili się podnieść rękę na ich planetę. Była ich cała armia. Natężenie dźwięku narastało; Scorch nie tylko słyszał groźby Wookiech, ale czuł całym ciałem wywołane przez nie wibracje. Nagle obok wyrosła jak spod ziemi Enacca. Pojawiła się tak nagle i bezszelestnie, że Fixer aż podskoczył. Zaryczała i wskazała na las.

Boss zerknął na chronometr.

- Tak, wiem, że nie możesz się doczekać, aż wyrwiesz kilka kończyn - powiedział - ale najlepiej chyba będzie, jeśli najpierw zajmijmy się baterią turbolaserową. Ustawili krążownik w taki sposób, żeby nie dać Yodzie i żołnierzom dotrzeć na planetę. Musimy ich stamtąd sprzątnąć. Enacca zaryczała entuzjastycznie. Ona również była za usunięciem przeszkody.

W oddali zobaczyli zbliżającą się lekkim truchtem małą figurkę i po chwili dołączyła do nich Etain. Scorcha uderzyło, jak drobna wydawała się ich pani generał przy dwumetrowej, porośniętej futrem istocie, uzbrojonej w ogromną kuszę przewieszoną przez plecy. Broń Wookie przy wzroście Enaccy wyglądała jak zabawka, za to karabin udarowy Etain sprawiał wrażenie cięższego niż jego właścicielka.

Miło było jednak widzieć Jedi posługującego się czymś więcej niż tylko mieczem świetlnym. Etain wiedziała bardzo dobrze, jak to jest dźwigać ciężki ekwipunek przez długie godziny, więc rozumiała, że żołnierze też potrzebują czasem odpoczynku. Kiedy spojrzenie Scorcha powędrowało do mieczy świetlnych zawieszonych u jej pasa, zauważył coś jeszcze - coś, czego z pewnością wcześniej tam nie było. Przyjrzał się uważniej i ze zdziwieniem stwierdził, że to mała pluszowa maskotka, czworonożne zwierzątko.

- Podejrzewam, że zaopiekowanie się tą baterią zajmie wam jakieś osiemnaście minut - powiedziała generał i puściła do nich oko.

- Omegi dałyby radę w piętnaście. - Uśmiechnęła się chytrze.

- Łatwo zagrać na męskiej ambicji, a my równie łatwo dajemy się wciągnąć w głupią rywalizację, proszę pani - rzucił Sev. - Przyjmujemy wyzwanie.

- Pani Wookie chyba jest zagłodzony - powiedział Scorch, wskazując maskotkę przy pasku Etain.

- To pluszowy nerf mojego synka - wyjaśniła Jedi. - Dał mi go na pożegnanie. Wiem, że to głupio brzmi, ale bardzo mi pomaga. Pachnie nim.

Scorch był wdzięczny, że Sev nie wyskoczył znowu z jakimś głupim komentarzem. Po chwili niezręcznej ciszy Boss klasnął głośno w dłonie.

- Dobra, Delto... do roboty! - zarządził. - Nerfem pobawicie się później.

Etain zasalutowała im niedbale i zniknęła z Enaccą. Wookie pozostawiali na chodnikach pułapki na Trandoshan. Miał ich w nie zagonić elitarny Czterdziesty Pierwszy.

- Powinni się nim zająć ci przy głównym działku - powiedział Sev. - Ten separański krążownik jest jak wielki robal. Szkoda, że nie mam przy sobie mojej specjalnej trutki na insekty. Wiedział, że będzie miał pole do popisu, kiedy utorują sobie drogę do stanowiska ogniowego. Separatyści wzniesli w lesie niezłą konstrukcję, zakuwając potężne pnie drzew w metalowe zbroje i przebijając się przez warstwy zieleni spiczastymi wieżami z durastali.

Za pierwszych wysadzonych przez Seva drzwi natarła na nich kolumna robotów pajaków, które Fixer natychmiast poczęstował serią przeciwpancerą.

Boss sprawdził chronometr na swoim HUD-zie i podświetlił sekwencję odliczania tak, że była teraz widoczna dla całej grupy.

- Piętnaście minut - oznajmił. - Pamiętajcie, że nie możemy zawieść naszej generał. Łapcie każdą wieżyczkę przeciwlotniczą, jaka wpadnie wam w ręce, i dajcie czadu. Przy czterech działkach powinniśmy dać radę troszkę shabuira porysować.

Scorch słyszał w słuchawkach komunikaty wymieniane między Czterdziestym Pierwszym a wysuniętą kontrolą lotniczą Vosa. Krążownik Separatystów zmienił nieco pozycję, przygotowując się do zablokowania okrętu flagowego Yody. Komandor Gree szukał teraz miejsca, w którym mógłby wysadzić swoich ludzi. Jeżeli będą zmuszeni wyskoczyć z dala od strefy lądowania, czeka ich ciężka przeprawa przez las, zanim zdołają związać ogniem siły Separatystów. Musieli znaleźć sposób na pozbycie się krążownika. Wkrótce drogę do stanowisk baterii zaszyły im dwa roboty MagnaGuard i Scorch ledwie zwrócił uwagę na Trandoshan, którzy zaczęli ich ostrzeliwać. Jakby od niechcienia cisnął w stronę jaszczurów granat, a Fixer i Sev zajęli się robotami. I już po chwili jeden z nich dosłownie pękł na dwie części, a drugi padł jak długi, zanim jeszcze zdążyli porządnie opróżnić magazynki. Fixer puścił się biegiem i wskoczył na stanowisko artylerzysty w pierwszej wieżycze turbolaserów. Machnął na Scorcha i resztę i zaczął manipulować przy pulpicie kontrolnym. Scorch postanowił zająć się następnym działkiem. Nad pulpitem kontrolnym właśnie pochylał się Trandoshanin, próbując chyba wziąć na cel okręt WAR, który był już niebezpiecznie blisko i rozpaczliwie szukał miejsca do wylądowania. Zanim gadzina zdołała sięgnąć po karabin, Scorch przystawił jej wibroostrze do gardła, poczekał, aż przestanie wierzgać, i jednym ruchem posłał ciało w krzaki.

Nim opanował instrumenty kontrolujące system celowniczy działka i znalazł strategiczne punkty na kadłubie krążownika, Boss i Sev zajmowali już dwa kolejne stanowiska, a Fixer w najlepsze pakował w separańską landarę serię za serią. Wyglądało na to, że będą się musieli trochę napracować. Scorch widział teraz cztery strumienie laserowego ognia bombardujące brzuch statku.

- Zapraszamy do zabawy - zabrzmiało w głośnikach. W pierwszej chwili Scorch pomyślał, że Fixer mówi do siebie, ale po chwili zobaczył kolejne strumienie białej plazmy szybujące w stronę krążownika. Widocznie dołączyły do nich larty Vosa. - To nasze niebo, frajerze. Zabieraj stąd swój tłusty zad! - wycedził gniewnie.

Krążownik tracił wysokość. Powgniatane płyty poszycia dygotały jak w febrze z każdym kolejnym trafieniem, a po chwili kadłub zaczął pękać. Ze szczelin buchnęły płomienie, które rozpełzły się po całym statku.

- To paskudztwo wyląduje nam na głowach, jeśli się stąd szybko nie ruszymy, Boss - zauważył trzeźwo Scorch. - I tak już po nim.

- Dobra robota, Delto. Spadamy stąd.

Scorch zeskoczył ze stanowiska i rzucił się do turbowindy. Trzymając w pogotowiu dece, omijał ciała martwych Trandoshan i metalowe szczątki. Jeżeli w środku zostali jeszcze jacyś separańcy, z pewnością spadający krążownik skutecznie ich wykurzy. Scorch słyszał w głośnikach jak zdyszany Boss prosi o przysłanie LAAT/i, które by ich stąd zabrały.

Nagle przystanął i rozejrzał się z niepokojem dookoła - dopiero teraz zauważył, że biegnie ich trójka, nie czwórka. Kiedy sprawdził ikonę punktu widzenia HUD-a Seva, wszystko wskazywało na to, że ich towarzysz nadal tkwi na stanowisku turbolaseru, ale po chwili obraz zaczął się zamazywać i zgaść.

Wciąż mieli łączność audio.



- Boss, mam tutaj mały problem... - usłyszeli w głośnikach głos towarzysza.

- Sev? Gdzie jesteś?

- Sektor... - Fala zakłóceń i szum. - ... sporo wrogów...

Fixer klepnął przycisk resetujący łączność w hełmie i przez chwilę słyszeli tylko trzaski wyładowań.

- Straciłem jego sygnał, Boss - zameldował ponuro.

- To go znajdź - powiedział twardo sierżant. - Tu Drużyna Delta - zgłosił na wspólnym paśmie. - Przegrupowanie sił. Wracamy po Seva.

- Zabraniam - rozległ się głos kontrolera lotów z jednostki Vosa. - Trzy-osiem, mamy nowe rozkazy od dowództwa. Opuścić teren, nakaz ewakuacji.

- Mam gdzieś wasze rozkazy - warknął Boss - nawet jeżeli wydał je sam szabla Mistrz Yoda. - Machnął ręką na Fixera i Scorcha, przynaglając ich do powrotu. Zawsze mogli iść w zaparte, że nie słyszeli komunikatu. - Sev...

- Skoro już o tym wspomnieliście, żołnierzu, tak właśnie jest — powiedział surowo głos w słuchawkach. - A teraz wszyscy w tył zwrot.

Statkiem wstrząsnęła eksplozja i kanał wypełnił chaos urywanych komunikatów. Z północy i wschodu napływały siły Separatystów, powoli ich otaczając. Drużynie Delta udało się ściągnąć krążownik na ziemię i umożliwić Czterdziestemu Pierwszemu lądowanie, ale to był dopiero początek bitwy.

- Mają rację, Boss - stwierdził smętnie Fixer. - Musimy się wycofać.

Scorch szarpnął go za ramię.

- Nie możemy go tak zostawić! - zawołał. - Wracają wszyscy albo nikt! Zapomniałeś już?! Pamiętasz, jak Sev się wściekł, kiedy zostawiliśmy Vaua na Mygeeto?! Chcesz go teraz opuścić w potrzebie? Rzucić go na pastwę tych chakaarel Na pewną śmierć?!

- To Sev - powiedział tylko Fixer. - Skoro żyje, zaszyje się gdzieś i będziemy mogli wrócić po niego później.

- A jeżeli nie?

- Wtedy i tak mu nie pomożemy.

- Nie ruszę się stąd bez niego, żywego czy martwego - rzucił twardo Scorch.

- Jeżeli teraz się stąd nie ruszymy, wszyscy będziemy martwi! - upierał się Fixer.

- Świetnie - warknął. - W takim razie zginiemy razem. Nie zamierzam ratować swojej shebs, jeśli Sev ma tu zostać.

Boss nie odezwał się ani słowem - gapił się tylko, jakby nie miał nic lepszego do roboty, chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że zostały im tylko sekundy. Po długiej chwili położył mu dłoń na ramieniu.

Scorch nie pamiętał, żeby płakał od czasów dzieciństwa, ale teraz nic nie widział przez łzy.

- Nie zostawię go, Boss! - zaszlochał. - Chcecie, to idźcie! Ja zostaję.

- To rozkaz - przypomniał mu łagodnie Boss.

- Pieprzyć rozkazy! Omegi nie zostawiłyby swoich!

- Scorch...

- Jeśli chcesz mnie stąd zabrać, będziesz musiał mnie zastrzelić - powiedział przez łzy.

Sierżant położył dłoń na blasterze.

- Utrata jednego brata to dla mnie za dużo. Nie chcę stracić dwójki. Proszę, nie rób mi tego... - Rąbnął Scorcha pięścią w plecy tak mocno, że prawie ściął go z nóg.

Przy wyjściu z turbowindy lewitował lart.

- Ruszaj się, sześć-dwa - powiedział do niego Boss.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - zaszlochał Scorch. - Ani tobie, Fixer. Jesteśmy braćmi, fierfek\ Nigdy bym was nie zostawił!

Ale właśnie to robił. Zostawiał brata. Wszyscy go zostawiali.

- Wybacz, Sev... - powiedział Boss dziwnie ochryplym głosem. Nie był typem, który łatwo się rozklejał, ale sądząc po głosie, ledwo nad sobą panował. Nie wiedzieli, czy Sev ich słyszy, ale jeżeli jego komunikator wciąż działał, Scorch wolał nie myśleć, co teraz przeżywał, zostawiony przez własnych braci na pastwę losu.

— Delto... ruchy!

Sev był twardzielem, tak jak oni wszyscy. Vau wpoił im wszystkim wolę przetrwania i zasady pozwalające wcielić ją w życie. Najpewniej Fixer miał rację: jeżeli Sev wciąż żył, prawdopodobnie uda mu się przetrwać przez długi czas, a oni kiedyś w końcu będą mogli po niego wrócić.

Na razie jednak nic nie było pewne.

Nie zrobiłeś wszystkiego, żeby uratować Seva, przeszło mu przez myśl.

Skirata powiedziała by Yodzie, żeby wsadził sobie gdzieś swoje rozkazy, przerwał połączenie i wrócił po niego.

Kiedy wskoczyli na pokład larta, Boss położył mu znów dłoń na ramieniu, ale Scorch strząsnęła ją gniewnie. Miał ochotę dorwać się do działek i strzelać... strzelać, dopóki wszystko wokół nie stanie w płomieniach. Poczucie winy paliło go żywym ogniem. Miał pretensję do samego siebie, że się nie zbuntował, nie sprzeciwił rozkazom Bossa, kontrolera bazy i samego szabla generała Yody. Miał ochotę spalić się ze wstydu. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak będzie się czuł każdego ranka, gdy przyjdzie mu spojrzeć sobie w twarz ze świadomością że zostawił brata w potrzebie. W tej chwili cieszył się, że jego życie jako klona będzie krótsze niż zwykłych ludzi.

## ROZDZIAŁ 17

Musicie znać granice swojej wytrzymałości — psychicznej i fizycznej, cały czas być ich świadomi i starać się przesuwać je coraz dalej. To właśnie dlatego narzucam wam taki twardy reżim. Nie poddacie się. Nie dacie się pokonać jak przeciętniaci - Nie złamiecie się jak oni - nie straciecie ducha walki, niezależnie od okoliczności.

Dokonacie tego, o czym nawet się wam nie śniło. I nie ugniecie się, nie cofniecie przed niczym, będziecie trwać całą waszą siłą jak ostatni bastion, kiedy wszystkie mięczaki poddadzą się i wybiorą śmierć.

Sierżant Walon Vau, Cuy'val Dar, podczas szkolenia młodych klonów (średnia wieku biologicznego: dziesięć lat) na Kamino, pięć lat przed Bitwą o Geonosis

Bitwa o Kashyyyk, popołudnie, 1088 dni po Bitwie o Geonosis

Enacca uniosła Etain w powietrze i przerzuciła ją przez poręcz zielonego mostu.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie Etain. Wyhamowała upadek Mocą, żeby miękko wylądować, ale nie musiała tego robić - wpadła prosto w silne ramiona starszego, szpakowatego Wookiego. Obok wylądowała jej mała brązowa torba. - Nie możecie mi tego zrobić! - krzyknęła oburzona. - Nie mogę teraz lecieć!

Enacca zeskoczyła w ślad za nią, powarkując pod nosem, że ona też ma rozkazy i że się z nimi zgadza, a ponadto zamierza je wypełnić, zresztą z miłą chęcią. A rozkazy mówiły wyraźnie: Etain ma wracać do domu. Enacca zamierzała tego dopilnować.

- Nie możemy zostawić Seva! - zaprotestowała Jedi z poczuciem winy. To był jej pomysł. To ona kazała im zająć się turbolaserami, a w dodatku zachowała się idiotycznie, doprowadzając do jakiejś głupiej rywalizacji, dlatego że uznała to za lepszy pomysł niż przestrzeganie ich i pouczanie o szansach na przeżycie w dżungli. - Znajdę go, wrócimy razem i...

Zanim się spostrzegła, lądowała już, przerzucana bezceremonialnie jak worek kartofli, w ramionach kolejnych Wookiech stojących na moście. Mogła co prawda bronić się Mocą, nawet jeżeli Wookiee byli silniejsi od niej, ale wiedziała, że wymagałoby to sporego wysiłku.

Nie możesz zostawić Seva! - krzyczał jej wewnętrzny głos. On na pewno by po ciebie wrócił! Skupiła się i nadludzkim wysiłkiem odepchnęła następnego Wookiego, który miał ją złapać. Była to roślina, starsza samica. Zachwiała się pod naporem Mocy i prawie upadła. Wookiee dobrze wiedzieli, co robią, a opór Etain tylko psuł im szyki. Jedi Wylądowała kawałek dalej, z trudem utrzymując równowagę,

ale w ułamku sekundy przechwyciła ją następna trójka włochatych sprzymierzeńców, którzy zaraz ją ostrzegli, nie przebiegając w słowach, że jeżeli będzie się opierała, narazi ich tylko niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

Może po prostu szukam pretekstu do ucieczki? - przemknęło jej przez myśl. Może oni dobrze o tym wiedzą i chcą mi oszczędzić wstydu?

Mało brakowało, a spadłaby z kolejnego podestu, ale zaraz chwyciły ją czyjeś potężne ramiona. Ktoś unosił ją do góry i wrzucił prosto na pokład zamaskowanego promu, ukrytego pod płaszczem gęstego listowia. Enacca upewniła się, że uprząż bezpieczeństwa jest właściwie zapięta i podała jej brązową torbę.

- Nie możemy zostawić Seva - powtórzyła Etain, ale już z mniejszym przekonaniem. - Nigdy nie zostawiamy naszych. Powinniśmy...

Enacca warknęła stanowczo. Zapewniła, że zabierze ją na Coruscant czy nawet na Mandalorę, jeśli będzie trzeba, i że potem wróci i poszuka Seva razem z innymi. Jeżeli przeżył, nikt nie poradzi sobie przy poszukiwaniach lepiej niż Wookiee. Ludzie nie mieli szans. A skoro nawet Etain nie mogła go zlokalizować za pomocą sztuczek Jedi - argumentowała Enacca - to pewnie i tak poszukiwania spełzłyby na niczym. Dlatego najlepszym wyjściem było opuszczenie planety. Etain jeszcze raz spróbowała poszukać Seva Mocą. Sądziła, że zna go na tyle dobrze, żeby odnaleźć jakiś jego ślad - tę dziwną mieszankę skupienia, pewności siebie, strachu i dziecięcej chęci wykazania się, bycia lepszym od innych, ale wyczuwała tylko ból i przerażenie walczących żołnierzy. Enacca uniosła prom z lądowiska i manewrowała teraz między konarami drzew, zostawiając Kachirho, wybrzeże i gorączkę bitwy daleko w tyle. Kiedy znalazły się w otwartej przestrzeni, uniosła statek ostro w górę i prom wystrzelił przez atmosferę ku przestrzeni kosmicznej, przecinając słupy dymu snujące się ponad koronami prastarych drzew.

Etain straciła poczucie czasu. Kiedy się ocknęła, stwierdziła, że przyciska dłoń do uszu. Nie wiedziała dlaczego - to był odruch

- Będzie czekał na pomoc - powiedziała do siebie na wpół przytomnie. Nie mogła zapomnieć o Sevie i przejść nad jego zniknięciem do porządku dziennego. - Nie chcę myśleć, co się stanie, kiedy zrozumie, że go porzuciliśmy - wymamrotała niemrawo.

Vau szkolił swoich chłopców na twarde sztuki. Nigdy nie okazywał im uczuć - a przynajmniej tak twierdził Skirata - bo sam został tak wychowany. Vau z kolei utrzymywał co innego. Mówił, że wyciska ze swoich podopiecznych siódme poty, bo im twardsi się staną, tym dłużej będą mogli przetrwać. Atin więcej niż raz podnosił na starego sierżanta rękę w odwecie za okrutne rany -czasem fizyczne, a na pewno psychiczne - które Vau im zadawał.

Enacca słuchała cierpliwie pełnego poczucia winy potoku słów Etain, a kiedy ten na chwilę ustał, mruknęła przepaszająco, że to generał Yoda nakazał Deltom odwrót, więc nie miała wyboru.

- Czy kazał im zostawić Seva? - spytała Etain gorzko. - Czy w ogóle wiedział, że jeden z jego ludzi utknął na planecie podczas misji? Czy nie zmieniłby zdania, gdyby wiedział? - Zdawała sobie sprawę, że jej dywagacje zakrawają na bluźnierstwo, ponieważ Mistrz Yoda był najbardziej szanowanym z żyjących Jedi. Od wieków kierował poczynaniami Rady i nikt nie śmiał podawać w wątpliwość jego decyzji. Nie mogła się sprzeciwić jego rozkazom. Był głosem Zakonu. - Wystaliśmy żołnierzy ARC na misję ratunkową po Jedi na Hypori - burknęła. - Nikt nie mówił wtedy: „Och, wiecie, na wojnie bywa ciężko, musimy się pogodzić z utratą dobrych

ludzi". Wszyscy uznali, że warto narażać życie klonów, żeby ich stamtąd wyciągnąć! Dlaczego życie Seva nie jest tego warte?! Dlaczego Jedi mieliby być cenniejsi niż on?! Chcą pokazać, że jesteśmy właścicielami klonów? Możemy nimi dowolnie rozporządzać?!

Enacca milczała przez długą chwilę, a Etain opadła na oparcie fotela i przymknęła oczy. Jej dłonie zaczęły błędzić odruchowo w poszukiwaniu pluszowego nerfa Kada i kiedy znalazła zabawkę, przycisnęła ją mocno do policzka.

Enacca zamruczała łagodnie, pytając, czy ma poinformować Vaua, że zostawili Seva.

- Nie, sama to zrobię - postanowiła Etain. - Może zresztą już o tym wie. - Poszperała w torbie, szukając komunikatora. Łączność na Kashyyyku była chwiejna, ale wysyłane wiadomości czekały, aż je odbierze, kiedy znajdzie się w punkcie o bardziej stabilnej sieci. Przebiegała wzrokiem kolejne komunikaty. Większość dotyczyła jej pracy i nie była pilna, ale znalazła się też jedna wiadomość wyjątkowa. Etain ogarnęło jeszcze większe poczucie winy z powodu euforii, która ją ogarnęła, kiedy ją przeczytała.

Jak mogła się cieszyć, teraz, kiedy nikt nie wiedział, co się działo z Sevem? Serce tłukło jej się w piersi niespokojnie, gdy jeszcze raz czytała liścik od Darmana: „Mhi solus tome, mhi solus dar'tome, mhi me dinui an, mhi bajuri verde. Przetłumacz i odpowiedz RC-1136”.

Jej znajomość mandaloriańskiego nie należała do doskonałych, ale była pojętną uczennicą. Wiedziała, co znaczą te słowa. Jeżeli odeśle treść wiadomości z powrotem do Dara, potwierdzi tym samym przysięgę. Chociaż pozornie wydawało się to proste i niezobowiązujące, w świetle mandaloriańskiego prawa oznaczało zgodę na ślub.

— Oczywiście, że tak, kochanie — szepnęła. Enacca rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie z nadprzestrzeni, ale nic nie powiedziała. Etain skopiowała pośpiesznie treść wiadomości i zapisała komunikat. Zostanie wysłany kiedy tylko wyskoczą z nadprzestrzeni.

„Dar'ika, bardzo żałuję, że jestem tak daleko od ciebie. Mhi solus tome, mhi solus dar'tome, mhi me dinui an, mhi bajuri verde. Kocham cię, Dar. Wrócę, zanim się spostrzeżesz”.

Zabawne, że to wszystko było takie proste. Jak tylko wyśle wiadomość, będą małżeństwem. Powinna się cieszyć. Wracала do miejsca, które będzie jej domem - jej prawdziwym domem. Będzie tam żyła z mężem i z ich dzieckiem. Nawet jeśli Skiracie nie uda się znaleźć panaceum dla jego chłopców, będą mieli dosyć czasu, żeby się nacieszyć normalnym życiem. O takim uśmiechu losu dawniej oboje mogli tylko marzyć, chociaż dla większości istot w galaktyce nie było to nic nadzwyczajnego.

Mimo to Etain nie mogła zapomnieć, że zostawiła w dzikiej, niebezpiecznej dżungli człowieka, za którego była odpowiedzialna. Sev nie był jej bliskim przyjacielem, ale jego życie uważała za tak samo cenne, jak każdego innego żołnierza pod jej rozkazami. Czula się rozdarta między radością ze świadomości, że wszystko idzie ku dobremu a poczuciem winy z powodu Seva. Enacca powtórzyła jej treść ostatniego raportu z frontu, który przechwyciła, zanim skoczyły w nadprzestrzeń: większość sił Separatystów była w odwrocie i na Coruscant sytuacja się stabilizowała. Na planecie walczyła już tylko garstka zwolenników Konfederacji Niezależnych Systemów, którzy podczas inwazji wystąpili przeciwko Republice. Wkrótce wszystko powinno wrócić do normy. Za Griousem wysłano generała Kenobiego.

- Proponuję, żebyśmy jednak poleciały na Coruscant - powiedziała Etain. - Taki był pierwotny plan, a poza tym stamtąd będziesz mogła szybciej wrócić na Kashyyyk, a ja przy okazji skoczę po swoje rzeczy.

Enacca warknęła łagodnie. Niezależnie od tego, jak dobrze traktował ją Skirata i ile mu zawdzięczała, wiedziała, że jest potrzebna na swojej planecie i chciała szybko wrócić do walki.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli sama wyjaśnię Vauowi, dlaczego zostawiliśmy Seva - dodała po chwili Etain.

Bo chociaż można było wymienić przez komunikator przysięgę małżeńską, złe wieści wypadało przedstawić osobiście.

Vau jednak nie był jedyną osobą, z którą miała zamiar porozmawiać twarzą w twarz. Chciała się spotkać z kimś jeszcze. Przeczytała jeszcze raz wiadomość na małym ekranie i upewniła się, że jej treść jest stanowcza, grzeczna i gotowa do wysłania.

Adresatem był generał Arligan Zey, głównodowodzący oddziałów specjalnych sił Republiki. Etain informowała go, że rezygnuje z funkcji Jedi i prosi o krótkie spotkanie w celu wyjaśnienia powodów, dla których postanowiła opuścić Zakon i zacząć nowe życie. Nie wspomniała słowem o Darmanie ani Kadzie.

Koszary kompanii Arca, Coruscant, godzina 6.00,

4 dni po Bitwie o Coruscant, 1089 dni po Bitwie o Geonosis

Darman minął Orda w korytarzu łączącym blok mieszkalny z resztą koszar. Kapitan sprawiał wrażenie bez reszty pochłoniętego wypełnianiem swoich obowiązków w WAR, co było podejrzane u komandosa Zero, a zresztą Darman wiedział, że Ordo potrafi być dobrym aktorem.

- Upewnij się, że wszystko gotowe - powiedział, zatrzymując się na chwilę, żeby uścisnąć mu po mandaloriańsku dłoń. - Lada dzień ruszamy. Etain wkrótce do nas dołączy.

W ciągu ostatnich kilku dni nastroj Darmana nieustannie się wahał. W jednej chwili ogarniał go strach, który zaraz przechodził w euforię; męczyło go to już tak bardzo, że czasem miał ochotę położyć się, zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Chociaż nieustanne i niespodziewane zmiany były właściwie wpisane w jego codzienny grafik, miał już tego serdecznie dosyć. Teraz znów serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak oszalałe. Etain wracała! Już niedługo wszystko się ułoży.

- Myślałem, że polecisz prosto na... wiesz gdzie - powiedział ostrożnie. Bał się głośno wymówić nazwę planety. Ściany mogły mieć uszy. - Ale wygląda na to, że tutaj też wszystko wraca do normy.

- Tak - potwierdził Ordo. - Wciąż jeszcze gdzieś kręcą się męty i szumowiny, ale na pewno jest spokojniej.

- Gdzie twoi bracia?

- Mereel jest... w domu, a reszta w drodze na miejsce.

- Jak się czuje nasza pani doktor? - spytał. Miał na myśli Uthan. - Czy już wie?

- Była zamknięta w odosobnieniu przez ponad dwa lata. - Ordo wzruszył ramionami. -

Przywykła do tego, że nikt jej nie mówi, co się dzieje na zewnątrz. - Wskazał w stronę sali odpraw i obrócił się na pięcie. - Spóźnisz się. Idź uspokoić Zeya.

Kiedy Darman dołączył do swoich braci z Omegi, drużyny Yayax, Aquila i Manka słuchały już instrukcji przekazywanych przez Maze'a. Chodziło głównie o środki bezpieczeństwa wewnętrznego podejmowane razem ze służbami CSB.

- Czy dobrze rozumiem, że mamy teraz pilnować domów? - spytał Cov. - Może jeszcze parkować śmigacze? Mało stoi konserw na każdym rogu?

Maze uniósł brew i spojrzał na niego w ten karcący, charakterystyczny dla wszystkich żołnierzy ARC sposób.

- Musimy zadbać o porządek, szeregowy - warknął. - Wciąż jeszcze krąży sporo szabrowników i podżegaczy. To, że mamy z głowy nieprzyjacielską flotę, nie znaczy, że zagrożenie minęło.

- Czyli mamy pozwolenie na rozprawienie się z podżegaczami? - upewnił się Cov.

- Jeżeli zgłaszacie się na ochotnika do patrolu publicznego, proszę bardzo. - Maze przeniósł wzrok na członków Omegi - Jeżeli wrażliwi artyści nie mają specjalnych życzeń, dostajecie przydział razem z Aquilą i Manką, po dwóch na każdy statek CSB. Zrozumiano?

- Tak jest, sir!

- W takim razie do roboty. Pojazdy policyjne czekają na placu defilad.

Darman nie miał nic przeciwko. Dawniej pewnie kręciłby nosem na patrolowanie ulic i domagałby się wysłania na prawdziwą misję, na wojaczkę, jak określał to Skirata, ale nie teraz. Corr aż się palił do roboty.

- Atin, idziesz ze mną? - spytał kompana.

- Jasne.

- To my pójdziemy razem, Dar'ika - stwierdził Niner. - Corr, tylko nie sprowadź naszego żonkosia na manowce - przestrzegł go żartem. - Wiem, co z ciebie za ziółko.

Atin nie widział się z Laseemą od początku inwazji, ale rozmawiał z nią przez komunikator, kiedy tylko mógł. Darman nie mógł nawet połączyć się z Etain, dopóki jej statek nie wyskoczy z nadprzestrzeni. Wiedział, że Enacca będzie się starała dotrzeć jak najszybciej. Sprawdzał kolejny raz komunikator - nic - i po raz nie wiadomo który powtórzył sobie, że Etain na pewno jest bezpieczna.

- Słyszeliście o Sevie? - zagadnął ich Cov po drodze do wyjścia. - Zaginiony w akcji. Odlecieli z Kashyyyka bez niego. Vau się pewnie nieźle wkurzy. Chociaż jak znam życie, i tak już wie...

- Spokojnie - wszedł mu w słowo Niner. - Bitwa jeszcze się nie skończyła. Deltom pewnie kazano wracać, ale nadal jest tam pełno naszych. Znajdą go.

Niner miał rację, przynajmniej teoretycznie, ale Darman wiedział swoje. Członkowie jednostek do operacji specjalnych ratowali innych - nie oni byli tymi, których ratowano. To nie wróżyło zbyt dobrze.

- Powinniśmy zgłosić się na ochotnika jako ekipa poszukiwawcza - powiedział Atin z niewyraźną miną.

- Wątpię, żeby szukali ochotników - wtrącił Cov. - Ty też jesteś od Vaua, prawda?

- Tak. Szkolił mnie.

Wystarczyło jedno mrugnięcie, oddech wstrzymany odrobinę za długo i nagle wszystkich ogarnęło parszywe poczucie winy. Wiedzieli, że powinni złapać pierwszy lepszy statek i wyruszyć na Kashyyyk po jednego z nich. Było oczywiście wielu innych, którzy mogli to zrobić - i którzy z pewnością to zrobią - ale na samą myśl o tym, co się stało, Darman czuł się tak, jakby odwrócił się od Seva plecami i skazał go na pewną śmierć.

- Nie kapuje, jak Delty mogły go zostawić - warknął Cov. Drużyny szkolone przez Bralor były znane z tego, że nie uznawały kompromisów. - Są w budynku, widzą, że go z nimi nie ma i po niego nie wracają? Tylko dlatego, że stracili łączność? Na ich miejscu miałbym rozkazy generała głęboko w shebs i tyle by mnie widzieli. Wracają wszyscy albo nikt, tak to powinno wyglądać. Banda samolubnych chakaare - parsknął z pogardą i odszedł w swoją stronę. Poczucie winy Darmana wróciło z nową siłą. Jemu też zdarzyło się utknąć na terytorium wroga.

- Daj spokój, Dar. - Niner położył mu dłoń na ramieniu. Wiedział, jakie myśli kłębią się w głowie towarzysza. - Przesadza. A poza tym to naprawdę nie twój problem.

Po drodze do statku CSB Atin poklepał go po plecach.

- Nalegałem, żeby kontynuować misję na Qiilurze bez ciebie, ner vod - powiedział cicho. - Więc jeśli kiedyś utknę, pamiętaj, że nie jesteś mi nic winien. Vau wpajał nam... trochę inne podejście do kwestii przetrwania.

Darman o tym wiedział. Cała drużyna nadstawiała karku, byle tylko go znaleźć.

- Czy teraz też byś obstawiał, że trzeba?

- Jasne, że nie! - prychnął Atin. - Jesteś moim vod'ika. Twoje życie liczy się bardziej niż moje, bo gdybym dzień w dzień miał potem patrzeć na twoje puste miejsce przy stole, równie dobrze mógłbym być martwy.

Darman doskonale go rozumiał. Gdyby każdy myślał w ten sposób, wszyscy wracaliby żywi.

Tion'adhukaat'kama? Świetnie znali to powiedzenie: kto cię osłania? Jeśli nie będą się nawzajem osłaniać, nikt inny im nie pomoże.

Okazało się, że to całkiem przyjemny dzień na przejażdżkę po stolicy, ale chociaż wokół było już dużo bezpieczniej, Darman cały czas osłaniał Ninera, a Niner - jego.

Koszary kompanii Arca, godzina 21.00

Ordo szacował, że do odlotu z Coruscant zostały im jakieś cztery godziny. Postanowił poświęcić część tego czasu, żeby się ogolić i doprowadzić do porządku.

Położył swój hełm na parapecie w odświeżaczach i przyjrzał się krytycznie swojemu odbiciu w lustrze. To był długi dzień. Wkrótce się skończy, dzięki Mocy. Czekali jeszcze tylko na A'dena i Etain. Omegi były na drugim patrolu po sześciogodzinnej przerwie i w każdej chwili wiedział dokładnie, w którym są miejscu. Mereel dotarł już do Kyrimorut, a cała reszta czekała na pokładzie „Aay'han”.

Ordo wyjął brzytwę i ogolił się tak jak robili to Mando, dokładnie prowadząc ostrze po podbródku i policzkach. Żadnych nawilżających pianek ani fikuśnych środków zmiękczających zarost. W taki sposób mógł się ogolić zawsze i wszędzie, nie zostawiając śladu kosmetyków, który mógłby wskazać wrogowi jego pozycję. Stwierdził, że przydałaby mu się wizyta u fryzjera i zauważył na skroniach pierwsze siwe włosy.

Po chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł Maze.

- Powiedz swoim braciom - rzucił obojętnie - że Grievous był u siebie, kiedy generał Kenobi złożył mu wizytę. Nie żyje.

- Wiem - odparł Ordo, próbując się nie zaciąć. Besany zawsze marudziła, kiedy chodził z pokancerowaną twarzą. - Mamy dobre źródło informacji.

- W końcu...

- Ta-a.

- Czy jesteśmy ostatnimi ARC, którzy tu zostali? - westchnął flegmatycznie Maze.

- Na to wygląda, ner vod. Czy tak właśnie wyobrażałeś sobie swoją karierę, kiedy Jango szkolił was na doskonałe maszyny do zabijania?

- Niekoniecznie - mruknął Maze, wsuwając ręce pod suszarkę. - Ale kto wie, gdzie trafię wkrótce, skoro wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie?

Ordo nie miał pojęcia, czy Maze mówi poważnie, czy pije do ich planu wcześniejszej emerytury. Trudno stwierdzić, czy jest materiałem na dezertera.

Ordo osuszył twarz ręcznikiem i wytarł brzytwę.

- Ci kolesie z Pięćset Pierwszego są zbyt gorliwi jak na mój gust - powiedział. - Wiesz, że pewnie nas zmienią?

- A co z tobą? - spytał Maze.

- Jak to, co ze mną?

- Plany na przyszłość - wyjaśnił. - Nie... lepiej mi nie mów. Nie wiem, czy chcę to wiedzieć. - Pokręcił głową i ruszył do

wyjścia. - Zey poleciał do Świątyni Jedi, chyba z wieściami o Grievousie. Mówił, że niedługo wróci, aleja się zmywam na noc.

Ordo wiedział, że pewnie widzi Maze'a po raz ostatni, ale wolał zachować ostrożność i darować sobie wylewne pożegnania. Kiedy kroki kapitana na korytarzu ucichły, Ordo zabrał się do toalety; jego myśli krążyły wokół przyziemnych spraw. Jaing miał rację - ich zbroje były całkiem

niezłe, nawet jeżeli bywały czasem nieco aruetyc. Cóż, będzie musiał się pożegnać ze swoją nawet z buyce. Skopiował i zabezpieczył wszystkie dane, więc teraz musiał się tylko zatroszczyć, żeby nikt się nie dobrał do pamięci hełmu. Usunie moduły, zostawi go tutaj i opuści budynek w swoim czarnym kombinezonie i kurtce, a potem, po drodze do punktu spotkania, zabierze swój beskar'gam ze schowka w publicznej przechowalni.

Jednak nie, uznał po chwili namysłu. Lepiej będzie, jak weźmie Aratecha i potem gdzieś go porzuci. W ten sposób będzie szybciej. I tak prędzej czy później się zorientują, że zdezerterował. Zabierał się właśnie do mycia zębów, kiedy z hełmu dobiegło pikanie sygnału wiadomości. Niecierpliwie sięgnął po niego, zastanawiając się czy to A'den, czy może Etain wyskoczyła już z nadprzestrzeni.

Na kanale łączności czekała wiadomość głosowa, ale nie zostawił jej ani A'den, ani Etain.

- Wykonać Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć - brzmiała. Pochodziła od samego Kanclerza; źródło zostało potwierdzone przez szyfr bezpieczeństwa.

Ordo miał doskonałą pamięć. Bez problemu, na wrywki recytował wszystkie sto pięćdziesiąt rozkazów na wypadek sytuacji kryzysowej, ale też każdy żołnierz ARC, każdy komandos Republiki i każdy klon w stopniu komandora uczył się i powtarzał je od dziecka, dopóki nie nauczył się ich na pamięć. Większość marudziła, ale to była część ich pracy, jak każda inna. Oficerowie CSB mieli własne polecenia na wypadek sytuacji kryzysowej. Właściwie wszystkie służby i jednostki Republiki miały tego rodzaju zestawy zaleceń, które wprowadzano w życie, kiedy sytuacja wymykała się spod kontroli.

Mimo to Ordo poczuł nagle przeraźliwy chłód.

Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć dotyczył wyeliminowania wszystkich dowodzących nimi Jedi.

- Tak jest, sir - mruknął machinalnie.

## **ROZDZIAŁ 18**

Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć: W przypadku, jeśli oficerowie Jedi będą działać sprzecznie z interesami Republiki, oraz po otrzymaniu szczegółowych rozkazów zweryfikowanych jako pochodzące bezpośrednio od głównodowodzącego (Kanclerza), dowodzący WAR odsuną tych oficerów z użyciem siły i pod groźbą śmierci, dowodzenie WAR zostanie zaś przekazane głównodowodzącemu (Kanclerzowi) do czasu ustanowienia nowej struktury dowodzenia.

Z Rozkazów Kryzysowych dla Wielkiej Armii Republiki: inicjacja rozkazu, Rozkazy 1 do 150, dokument WAR CO(CL) 50-95

Plac Hemli Tower, Galactic City, godzina 21.20, 1089 dni po Bitwie o Geonosis

- Wszystko w porządku? - zapytał opiekun psów akk, klepiąc swojego pupila po grzbiecie. Statek patrolowy leciał powoli szlakiem powietrznym, a jego pasażerowie rozglądali się uważnie wśród tłumu istot, które wyległy na ulice po raz pierwszy od ataku na Coruscant, żeby posmakować nocnego życia. Galactic City świętowało powrót do normalności. - Coś nie tak? Darman był jak sparaliżowany. Z początku pomyślał, że coś mu się pomyliło. Na pewno poplątał kolejność i Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć dotyczył odcięcia systemu bankowego na wypadek ataku komputerowego, ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to tylko pobożne życzenie. Nie było sensu się oszukiwać.

- Zmiana planu - wykrztusił w końcu przez ściśnięte gardło. - Nie mogą się zdecydować.

- Tak, też dostaliśmy sygnał o postępowaniu kryzysowym.

- Możecie nas wysadzić gdzieś w pobliżu? - wtrącił pozornie obojętnie Niner. - Musimy się skontaktować z naszym oddziałem.

To było oczywiście czyste osik. Teraz jedyną rzeczą, którą powinni - którą musieli zrobić, było zatrzymanie i zabicie każdego Jedi, na którego się natkną. Gdyby służyli w tej chwili pod rozkazami Jedi, powinni zabić ich na miejscu. Skoro działali sami, mieli obowiązek zlikwidować każdego Jedi, który wejdzie im w drogę.



- Jasne, nie ma sprawy - zapewnił ich oficer i pochylił się w stronę pilota. - Vii, możesz wysadzić chłopaków?

- Dar, nie martw się - odezwał się Niner na ich wewnętrznym kanale łączności. - Nie myśl teraz o tym. Wyciągniemy Etain. A Jusik jest już bezpieczny. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

W jaki sposób mieli poinformować Etain, że na Jedi wydano wyrok śmierci? Była w trasie i odbierze wiadomość dopiero, kiedy wyskoczą z nadprzestrzeni. Jak ma ją ostrzec?

Po chwili namysłu wywołał bezpieczne łącze Skiraty. Kal'buir odebrał natychmiast, zupełnie jakby czekał na połączenie.

- Dar?

- Wydano...

- Tak, słyszałem. Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć. Dar'ika, nie ma co martwić się na zapas. Czekamy tutaj na was. Łapcie transport i przylatujcie najszybciej, jak dacie radę, w porządku?

- Jak ją ostrzeżemy? - spytał głucho Dar.

- Zostaw to nam. Jusik i Ordo już się tym zajmują. Wszystko jest pod kontrolą.

Dar wiedział, że Skirata upierałby się przy tym, nawet gdyby w całej galaktyce waliło się i paliło. Był przekonany, że potrafi zatroszczyć się o wszystko i wszystkich w każdej sytuacji.

Po chwili otrząsnął się i do jego uszu zaczęły docierać strzępki rozmowy oficerów CSB. Opiekun psów akk klepnął Ninera w ramię.

- Sierzancie, my też dostaliśmy właśnie informację o zmianie postępowania - powiedział. Statek podchodził do lądowania. - Czy to ma coś wspólnego z waszymi nowymi rozkazami?

- Słucham?

- Jedi - wyjaśnił mężczyzna. - Normalnie mamy obowiązek spełniać wszelkie żądania Jedi, ale właśnie go uchylono. Mamy teraz zgłaszać każdy kontakt z Jedi.

Niner nie dał nic po sobie poznać, chociaż z pewnością daleko mu było do spokoju.

- Ach, oczywiście - powiedział gładko, ale jego głos brzmiał dziwnie obco. - Zapomniałem, że zmiana statusu dotyczy również CSB. Nie dostaliśmy szczegółów, poza informacją o zmianie. Co się stało?

- Próba zamachu stanu - pospieszył z odpowiedzią pilot o imieniu Vii. - Te bufony Jedi wdarły się do biura Kanclerza i próbowały przejąć władzę. Coś podobnego, wyobrażacie sobie?

- Siłą? - spytał Darman, zastanawiając się, czemu nie jest zaskoczony.

- Co najmniej jeden Mistrz Jedi nie żyje - wyjaśnił pilot. - Chodźcie bliżej, sami posłuchajcie. W pobliżu Świątyni jest podobno niezły bajzel. Wezwano żołnierzy, jakieś pożary czy coś - wszystko naraz!

- Pewnie próbują spalić obciążające ich dowody - rzucił opiekun akków, głaszcząc swojego psa. - Kto by pomyślał, co, Jossie? Paskudni Jedi!

- A to pech - powiedział Niner z roztargnieniem. - W porządku, Dar, czas na nas. -

Odwrócił się do gliniarzy i zsalutował niedbale. - Dzięki za informacje. Uważajcie na siebie. Statek patrolu CSB uniósł się do góry, a Darman i Niner zostali na dole, w tym samym, a jednak zupełnie innym świecie.

- O, do shab... - zaklął Darman.

- Dar, poradzi sobie, zobaczysz. Traktuj to po prostu jak kolejną misję. Jesteśmy komandosami Republiki - przypomniał mu Niner. - Wyciąganie Jedi z oparów to część naszej pracy.

- Ona już nie jest Jedi - powiedział nieprzytomnie Dar. - To moja dziewczyna. Będzie moją żoną, kiedy odpowie na moją wiadomość. Mamy syna.

Niner westchnął ciężko i rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał.

- Co zrobimy, jak wpadniemy na innych Jedi? - spytał Darman.
- Udamy, że ich nie widzimy - stwierdził Niner lekko. - Ktoś inny się nimi zajmie. Żołnierzy tu teraz w bród.

- Zawsze byłeś taki... prawy - rzucił Darman. - Chyba nie zmieniłeś zdania w sprawie ucieczki, co?

Przypomniał sobie ich rozmowę na Gaftikarze, kiedy zastanawiali się, czy zostawiliby swoich braci, gdyby mieli okazję rozpocząć nowe życie. Sierżant wkurzył się wtedy tak bardzo, że Dar zaczął się o niego bać.

- Nie - powiedział Niner. — Nie mam nikogo oprócz was. Nie chcę być sam, już nigdy więcej. Nie zostawię was. Wcale mi się nie podoba koncepcja ucieczki, ale Kal'buir miał rację, kiedy powiedział, że nigdy nie ślubowaliśmy nikomu posłuszeństwa, a poza tym nie zamierzam tutaj tkwić sam jak palec w shebs.

Darman chwycił go za ramię i ścisnął mocno.

- Nie jesteś sam, ner vod.
- Załatwię jakiś transport - powiedział sierżant i podszedł do młodego Osarianina, który siedział na dużym skuterze repulsorowym, zajęty własnymi sprawami. - Kal'buir i Ordo mają teraz i tak dużo roboty. Halo! Obywatelu! Muszę pożyczyć twój skuter. Rekwiruję go w imieniu Republiki.

Trudno było sprzeciwiać się komandosowi Republiki, szczególnie późnym wieczorem.

Podświetlony na niebiesko wizjer hełmu w kształcie litery „T” wyglądał bardzo groźnie na matowoczar-nym tle zbroi typu Katarn. Spłoszony Osarianin spojrział najpierw na Ninera, potem przeniósł wzrok na jego DC-17, a wreszcie zerknął mu przez ramię, jakby spostrzegł coś dziwnego. Darman odwrócił się w tym samym kierunku i zobaczył na horyzoncie potężną łunę. Nocne niebo Coruscant, które zwykle rozświetlały miliony oślepiających neonów, tonęło w dziwnej, pomarańczowej poświacie. Świątynia Jedi płonęła.

- Eee... oczywiście, panie oficerze - wykrztusił Osarianin i oddał mu kluczyki. - Kiedy dostanę go z powrotem?

- Wkrótce przekazemy go na adres wskazany na prawie jazdy - skłamał gładko Niner i odwrócił się do Darmana. - Wskakiwać, szeregowy!

Wystartowali natychmiast, zostawiając daleko w tyle dzielnicę rozrywki, chociaż na razie nie wiedzieli, w którą stronę się kierować. Niner znalazł dobry punkt obserwacyjny wysoko w górze i zatrzymał skuter. W ciemności wyglądali jak dwa drapieżne ptaki, czyhające na ofiarę.

- Co zrobimy, kiedy Etain wyląduje? - spytał Darman. - Nie będziemy jej mogli zabrać tym sprzętem. Mamy tylko dwa miejsca.

- Wygląda na to, że to, co zawsze: dynamiczna ocena ryzyka.
- Improwizacja?
- Otóż to.

Darman pomyślał, że woli nie wiedzieć, co się dzieje w pozostałych dzielnicach. Wyłączył większość systemów w swoim HUD-zie, zostawiając tylko otwarte łącze dla pilnych komunikatów i informacji od Skiraty i reszty grupy. Ustawił tryb nocny. Chwilę później postanowił zaryzykować i wszedł na kanał WAR - tylko po to, żeby posłuchać wiadomości, których tak naprawdę nie chciał usłyszeć.

Na kanale było zadziwiająco spokojnie.

Co jakiś czas pojawiały się raporty z różnych części galaktyki, ale większość dotyczyła przyziemnych spraw. Były tam prośby o zaopatrzenie, co jakiś czas przerywane niemal od niechcenia rzucanymi potwierdzeniami wykonania Rozkazu Sześćdziesiąt Sześć na danym terenie: „Generał Jedi taki i komandor Jedi śmaki zostali zgładzeni”.

Darman wyłowił na otwartym kanale tylko jeden komentarz do całej tej sytuacji - pochodził od żołnierza-klona składającego raport z Acclamatora.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że porwali się na coś takiego - mówił do dowództwa w którymś centrum operacyjnym. - Nikt się tego nie spodziewał! Jak Jedi mogli nas tak zdradzić?!

- Ke narir haar'ke'gyce roi'eta resol - mruknął pod nosem Darman, bardziej do siebie niż do Ninera. Wykonać Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć.

Kiedy uczyli się całego kodeksu, ten rozkaz wydawał się tylko jednym z wielu, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nikomu nie przyszło wtedy do głowy, że Jedi faktycznie mogą przejść na złą stronę. Gdyby jednak naprawdę do tego doszło - a wszystko na to wskazywało - pozostawienie przy życiu istoty mającej na swoich usługach Moc wydawało się nie do pomyślenia. W grę nie wchodziła inna opcja niż natychmiastowe uśmiercenie. W wytycznych na wypadek sytuacji kryzysowej to samo dotyczyło innych ras i organizacji, które mieniły się ich sojusznikami, ale których powstrzymanie, gdyby przeszły na stronę wroga, wymagałoby znacznie więcej niż tylko aresztowania.

Rozkaz to rozkaz. Rozkazów należało przestrzegać - w innym przypadku społeczeństwo przestawało prawidłowo funkcjonować. Skirata powtarzał swoim komandosom, że nie chodziło tu tylko o ślepe wypełnianie samych poleceń, ale o świadome stłumienie własnych odruchów dokonywania wyboru. To był obowiązek każdego żołnierza. Wojsko było narzędziem państwa, nie

jego władcą, a państwo stanowili obywatele, którzy wybierali rząd, zlecający zadania armii.

Żołnierze nie mogli wybierać, które rozkazy chcą wypełniać, a które nie. Wojsko podejmujące decyzje na własną rękę naruszało stabilność konstrukcji demokracji, a tym samym podnosiło rękę na rząd.

Wypełnianie rozkazów utrzymywało cię przy życiu: „padnij”, „wstrzymaj ogień”, „kryj się”.

Rozkazy wydawali ci, którzy mieli lepszy obraz sytuacji niż ty: „przenieść batalion któryśtam na inną pozycję”, „wycofać się z tego sektora”, „zaatakować tu i tu”. Jeżeli, zamiast wykonywać rozkazy, wykłócałeś się o głupstwa, posyłałeś siebie i innych na pewną śmierć.

Darman nie miał problemu z wypełnianiem rozkazów, ale nie był przygotowany na sytuację, w której ktoś żądał od niego zabicia własnej żony. Nie pisał się na coś takiego.

Tak naprawdę, wcale się na to wszystko nie pisał, tak samo jak żaden z nich.

Etain nie maczała palców w sprawkach Rady Jedi. Jusik też nie. A ci, którzy próbowali podnieść rękę na Palpatine'a... cóż, powinni byli najpierw dobrze to przemyśleć. Wielka Armia Republiki miała za zadanie bronić jej interesów - nawet za cenę śmierci Jedi.

## **ROZDZIAŁ 19**

Zakładam się, że w tamtej chwili pluli sobie w brodę, dlaczego nie zadali kilku pytań więcej przed przyjęciem dowodzenia armią niewolników.

Spar, były żołnierz ARC A-02, pierwszy dezertor z Wielkiej Armii Republiki, obecnie łowca nagród specjalizujący się w dostarczaniu ofiar żywcem

Prywatny korytarz lądowniczy, przestrzeń powietrzna Galactic City, godzina 22.20, 1089 dni po Bitwie o Geonosis Enacca odrzuciła głowę do tyłu i zaryczała żałośnie.

- Jest za późno — powiedziała Etain. - Musimy lądować. Działaj zgodnie z planem i wysadź mnie przy Kraggecie. Nie ma się czym martwić.

Enacca nie podzielała jej zdania. Chciała się zatrzymać, zatankować i lecieć z powrotem. Zawsze mogła wylądować w pobliżu miejsca postoju „Aay'han” - upierała się - a potem...

- Nie - przerwała jej Etain - bo jeżeli ktoś nas śledzi, zaprowadzimy go prosto do Jusika, Fi, Zer, do Dara, do... - przerwała. - A poza tym i tak nie jestem już Jedi. Nie stanowią dla nikogo zagrożenia. Po prostu wyląduj. Proszę...

Enacca warknęła głośno, ale nie sprzeciwiała się dłużej. Posadziła prom na dachu apartamentowca w pobliżu Kraggeta i uparła się, że odprowadzi Etain pod same drzwi. Zatrzymały się w cieniu kawałek dalej, przy wejściu do opuszczonej kantyny.

- Enacco, posłuchaj, mogę... - zaczęła Etain.

Wookie chwyciła ją za rękę i włożyła do niej blaster. Przyda jej się, oznajmiła, a poza tym i tak nie mają czasu na długie pożegnania. Na pewno któregoś dnia jeszcze się spotkają. Uściskała ją ostrożnie, a potem dała susa i zniknęła w szybie turbowindy. Etain zdarła w pośpiechu brązową szatę, dzięki której ktoś mógł ją łatwo zidentyfikować jako Jedi, cisnęła ją w otchłań między budynkami i ruszyła spokojnym krokiem w stronę Kraggeta, ubrana w beżową tunikę i spodnie. Musiała się szybko przebrać w zwykłe ubranie.

- Witaj, kochanie - powiedziała Soronna. W restauracji pełno było gliniarzy, z których większość dobrze знаła Etain. Wiedzieli, kim była i wiedzieli, że Jedi są teraz ścigani. - Po co wróciłaś?

- Muszę się przebrać, szybko.

Soronna wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do kuchni. Złapała pierwsze ciuchy personelu, które wpadły jej w ręce, dała jej swój płaszcz i buty. Etain natychmiast zamieniła swój grubo tkany, prosty strój na pstrokate przebranie, w którym wyglądała jak zwykła, uboga dziewczyna, starająca się ubierać w miarę elegancko.

- Świetnie - powiedziała i ucałowała Soronnę w policzek. - Nie wiem, jak ci się odwdzięczę...

- Wpadnij czasami pozmywać naczynia - zażartowała Soronna i wrzuciła stare ubranie i buty Etain do spalarki odpadów. - Nie masz w torbie czegoś, co mogłoby cię zdradzić, jeśli cię przeszukają?

- Dwa miecze świetlne, blaster, komunikator, notes komputerowy i zabawkę Kada.

- Oszalałaś?! - zdumiała się Twi'lekanka. - Nie możesz nosić ze sobą broni Jedi!

Jeden miecz był własnością Etain, drugi należał do jej byłego Mistrza, Fuliera, który został zabity, ponieważ walczył o to, co uważał za słuszne i stojące w sprzeczności z zasadami, jakimi kierowali się teraz Jedi. Gdyby Fulier żył nigdy by nie dopuścił do tego wszystkiego.

Sprzeciwilby się objęciu dowództwa nad klonami, powiedziałby, żeby pocałowali go gdzieś, rzuciliby pod adresem Mistrza Yody serię niecenzuralnych słów i zażądał wyjaśnień.

Nie mogła zostawić jego miecza. Byłbyś ze mnie dumny. Mistrzu, chociaż nie jestem już Jedi, powiedziała do niego w myślach.

A skoro zamierzała zatrzymać jego broń, równie dobrze mogła wziąć również swoją własną. Będzie ostrożna.

- Żegnaj, Soronno - powiedziała i weszła przez kuchenne drzwi do restauracji. Nigdy nie czuła się spokojniejsza, bardziej pewna siebie i bezpieczniejsza. Okropny ból w piersi, który utrudniał jej oddychanie nawet w nadprzestrzeni ust, zastąpiony przez niemal zwierzęcą wolę przetrwania.

Mam teraz po co żyć - i to nie tylko dla ideałów.

Kiedy znalazła się w pobliżu drzwi, jeden z gliniarzy z CSB wstał i zastąpił jej drogę, ustawiając się plecami do transpastalowej szyby wychodzącej na pobliski szlak powietrzny. Etain zaschło w ustach. Nie pozwoli, żeby ją zatrzymał, postanowiła, ale zanim zdołała podjąć decyzję, co robić, mężczyzna obejrzał się przez ramię i odwrócił się do niej dopiero, kiedy odleciała kanonierka WAR patrolująca ulicę.

- Droga wolna, mała - poinformował ją. - Sprawdzają tylko okolicę, rutynowy patrol.

Ruszaj. Powodzenia.

Galaktyka jest pełna dobrych ludzi. Musi o tym pamiętać.

Kiedy wyszła na zewnątrz, zauważyła słup dymu i pomarańczową poświatę nad miejscem, w którym stała Świątynia Jedi. Pożar było widać z dużej odległości - płomienie buchały powyżej czterech narożnych wież, przygasały i wspinały się na nie znowu. Etain złapała taksówkę powietrzną na wyższe poziomy i wysiadła przy Holoteatrze Boreali. Wiedziała, że łatwo się jej będzie zgubić w kłębiącym się pod nim tłumie.

Czekający w kolejce na zewnątrz odwracali się, żeby popatrzeć na pożar. Zachowywali się, jakby wojna się skończyła, a katastrofa była tylko rozrywkowym widowiskiem. Na każdym rogu stały patrole klonów. Etain otworzyła notes komputerowy, żeby sprawdzić wiadomości.

Zaczęły przychodzić jedna po drugiej, jak tylko ich prom wyskoczył z nadprzestrzeni i komunikator złapał sygnał lokalnej sieci. Najpierw przyszła informacja od Skiraty: „War dostał rozkazy natychmiastowego zabicia wszystkich Jedi - próba zamachu stanu. Windu nie żyje.

Wyślij nam namiary, odbierzemy cię. Nie ryzykuj". Drugi komunikat był od Darmana. „Czy dostałaś moją wiadomość?" - pytał. Teraz szukał jej Jusik: „Gdzie jesteś?"

Odpisała Darmanowi: „Dostałam. A czy ty dostałeś moją?", ale zaraz odebrała komunikat z ostrzeżeniem o możliwych opóźnieniach dostarczania wiadomości z powodu przeciążenia sieci.

Stang\ Może w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zmienili protokoły komunikacyjne WAR? Robili tak czasem na wypadek, gdyby wróg przejął linie. Uznała, że spróbuje jeszcze raz później. Jusik i Skirata i tak byli przez większość czasu poza zasięgiem.

Etain zauważyła, że kilku żołnierzy z niebieskimi oznaczeniami na zbrojach przygląda się uważnie przechodniom. Byli z Legionu 501. i w innych okolicznościach traktowałyby ich jak przyjaciół - tak samo, jak wszystkie klony. Teraz mogła myśleć tylko o jednym: że rozpoznają w niej Jedi.

Nie, tłumaczyła sobie w myśli. Nie jestem już Jedi. Nie różnię się niczym od przeciętnego obywatela.

Cóż, w biurze Kanclerza mieliby pewnie inne zdanie na ten temat. Etain z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się do zachowania spokoju, a potem odpisała Jusikowi:

„Przebrałam się w cywilne ciuchy. Nic mi nie jest. Kieruję się do punktu zbornego".

Schowała komunikator do kieszeni i uznała, że najlepszym sposobem na niezwracanie na siebie uwagi patroli będzie wtopienie się w tłum. Musiała sprawiać wrażenie przestraszonej albo zdezorientowanej, a najlepiej obie rzeczy na raz. Wystarczy, że się skupi i przywoła emocje, jakie towarzyszyły jej na polu walki...

Zamach stanu, przypomniała sobie. Co z Radą Jedi? Czy to był ich pomysł, czy też Windu działał na własną rękę?

Piesi machali gorączkowo rękami, próbując łapać taksówki powietrzne, ale większość pojazdów przelatowała obok bez zatrzymywania, już zajęta. Wyglądało na to, że wszyscy próbowali się wydostać z dzielnicy, byle dalej od Świątyni. Etain postanowiła zaryzykować i podejść do jednego z żołnierzy.

- Panie kapitanie - powiedziała, starając się sprawiać wrażenie zagubionej. Klon był porucznikiem, świadczyły o tym insygnia na jego piersi, ale uznała, że okazanie znajomości rangi byłoby podejrzane. - Panie kapitanie, muszę się dostać do kwadrantu J-12. - Tak naprawdę chciała dotrzeć kawałek dalej, ale wołała nie zdradzać dokładnej lokalizacji miejsca, którego szukała. - Czy szlaki powietrzne są zamknięte? Co się dzieje?

Żołnierz odwrócił się w jej stronę i przyjrzał się jej uważnie. Czują go poprzez Moc - promieniowała od niego ta sama aura niewinności, co od Darmana, kiedy spotkała go po raz pierwszy. Był nowy.

- Nie ma się czym martwić, proszę pani - uspokoił ją. - Małe zamieszanie obok Świątyni. Dokonano próby zamachu stanu, ale wszystko jest już pod kontrolą. Można się swobodnie

poruszać, ale na jakiś czas szlaki w pobliżu Świątyni zamknięto. Po prostu za dużo tam na razie dymu, ale to nic poważnego.

Etain zauważyła, że mówi z dziwnym akcentem. Bardzo przypominał klony, które знаła i z którymi pracowała, ale na pewno nie pochodził z Kamino. Spędziła wśród nich wystarczająco dużo czasu, żeby uwrażliwić się na podobne niuanse.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedziała i ruszyła przed siebie.

Po chwili jej komunikator zapiszczał - to był znowu Jusik.

„Powtarzam: poczekaj, zgarniemy cię po drodze”.

Etain zaczynała się denerwować. Nie miała czasu się zatrzymywać, żeby napisać kolejną wiadomość. Wkrótce będzie na miejscu - musiała przejść jakieś pięć czy sześć klików, nie więcej. Wstukała pospiesznie:

„Dam sobie radę. Czekaście na mnie. Gdzie jest Dar? Powiedz mu, żeby leciał. Nie mogę go złapać”.

Zacząła iść w kierunku sektora, w którym znajdował się zbiornik. Za jakieś dziesięć minut powinna dotrzeć do przystanku transportu publicznego. Jeśli tylko będzie trzymała się tłumu, nie jej się nie stanie, powtórzyła sobie. Najtrudniejszym etapem podróży będzie zejście na dolne poziomy, ale wtedy już będzie musiała tylko trzymać się z dala od kręcących się w tych okolicach mętów, nie żołnierzy polujących na Jedi.

Przebieła brukowany plac. Czowała się trochę dziwnie, bo pożyczone od Soronny buty były na nią odrobinę za duże i spadały jej z nóg. Kiedy wsunęła dłoń w przewieszoną przez ramię torbę, uświadomiła sobie, że wśród natłoku emocji związanych z ostatnimi wydarzeniami brakuje zdziwienia faktem, że Mistrz Windu próbował obalić Kanclerza.

Skirata na pewno miał wiadomości z dobrego źródła, ale Etain była bardziej zaskoczona faktem, że ktoś w ogóle zdołał pokonać Windu.

„Aay'han", zbiornik rezerwowy, godzina 22.35

- Nie - powiedział stanowczo Skirata do komunikatora. - Nie pozwolę na to, żebyście mi się rozleźli po całym szablu mieście. Ładujcie swoje shebse na dół, Corr. Jeżeli będzie trzeba, przyprowadź Atina za ucho. Chcę mieć wszystko pod kontrolą, zrozumiano?

- Tak jest, sierżancie, ale...

- Kocham cię, synu, ale teraz zrób dokładnie to, o co cię proszę, zgoda?

- Tak jest, sierżancie.

Skirata doskonale rozumiał, jak czuł się Corr, bo sam miał ochotę wrócić na powierzchnię i pozganiać resztę towarzystwa na dół. Nie potrafił w razie problemów rzucać wszystkiego i wiać, nawet jeśli było to chwilowo najrozsądniejsze wyjście, które większości gwarantowało przeżycie. Zapatrzył się w sufit „Aay'han", jakby mógł go przewiercić wzrokiem, jeśli tylko dobrze się skupi, a potem przeniósł spojrzenie na chronometr wbudowany w gródź. W końcu usłyszał dobiegające z zewnątrz znajome głosy i odetchnął głęboko z wielką ulgą. Już za chwilę był przy nim Atin.

- Kazałem wam zostawić broje - burknął do niego.

- Wiem, ale w kombinezonach bardziej byśmy się rzucali w oczy - wyjaśnił komandos.

Corr rozejrzał się po wnętrzu z kciukami założonymi za pas.

- Ciasnawo tu, ale ujdzie w tłoku.

W drzwiach do kambuza pojawiła się głowa Fi.

- Jeśli chciałeś być zabawny, to musisz jeszcze poćwiczyć - stwierdził i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zdenerwowanie osiągnęło apogeum, a napięcie spowodowało, że wszyscy zaczęli dostrzegać w całej sytuacji absurdalny humor. Skirata słyszał w głosach swoich chłopców echo paniki - nawet u Fi. Przespacerował się po raz kolejny tam i z powrotem po pokładzie.

- W porządku. Brakuje jeszcze Etain, Ninera, Dara i A'dena -wyliczył. - Etain jest w drodze i uparła się, że dotrze tu sama; Dar i Niner ostatni raz odzywali się... piętnaście minut temu, a A'den, o ile mi wiadomo...

- A gdzie Ordo? - przerwał mu Fi.

- W koszarach, sprawdza, czy o niczym nie zapomnieliśmy.

Przy takiej liczbie pasażerów na małej łodzi podwodnej było tłoczno. Każdy dostał kabinę albo koję, bo Skiracie zależało, żeby wszyscy trzymali się z dala od głównego pokładu. Coraz bardziej denerwowało go, kiedy pętali mu się pod nogami. Martwił się o Vaua. Stary chakaar przyjął wieści o Sevie bez mrugnienia okiem, ale to znaczyło, że jest bardzo wzburzony. Stał teraz, opierając się jedną ręką o gródź; drugą zaczepił za pas i wpatrywał się w swoje buty. Przed nim siedział Mird i nie spuszczał z niego oka, ale sierżant nie zwracał na zwierzę uwagi.

- Walon... - powiedział cicho Skirata. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Rozumiem... - wymamrotał ledwie słyszalnie Vau. - Tak, teraz wszystko łąpię. Shab, dlaczego tego nie przewidziałem?

Jego głos brzmiał tak nienaturalnie, że na pokładzie zapadła zupełna cisza.

- Chcesz porozmawiać? - spytał go Skirata. To był paskudny moment. - Co cię trapi?

- Jango... - mruknął Vau. - Jango był cierpliwy. Mógł czekać wieczność, jeżeli było trzeba.

I, wayii\, wygląda na to, że nawet po śmierci.

Skirata rozejrzał się po zastygłych w bezruchu pasażerach.

- Bard'ika - powiedział - do mnie. Cała reszta, marsz do kajut. Odpocznijcie trochę, póki jest okazja. Przed nami ciężka noc -

Chociaż Kal mówił łagodnie, to był rozkaz i wszyscy o tym wiedzieli. Pokład opustoszał w mgnieniu oka, została tylko ich trójka.

- Wyrzuć to z siebie, Walon - przemówił Skirata. - Dalej, ner vod.

Vau wyprostował się i spojrzał mu twardo w oczy.

- Nigdy nie lubiłeś Janga, prawda?

- Lubilem go wystarczająco - odparł wymijająco Kal. - Za to bardzo nie przypadł mi do gustu sposób, w jaki skończył. Stary chakaar zawsze martwił się tylko o swoją sheps. Chociaż był niby Mandalorem, przez większość czasu nie interesował się tym, co się dzieje, a poza tym tak samo jak Jedi, miał gdzieś, co się stanie z jego klonami. Nie, Shysa jest idiotą, jeżeli myśli, że ród Fettów dobrze się przysłuży Manda'yaim. Lepiej nam było bez nich.

- Mówisz serio?

- Tak. Przykro mi, ale naprawdę tak uważam - potwierdził Kal. - A co, nagle stwierdziłeś, że był twoim najlepszym kumplem, czy co?

Vau przyskoczył do niego i bez ostrzeżenia złapał go za kołnierz. Shab, był naprawdę silny - prawie uniósł Skiratę do góry i pchnął go na gródź. Wiele razy zdarzało się im kłócić i przelewać swoją krew, kilka razy prawie się pozabijali, ale Skirata nigdy nie widział, żeby Vau stracił nad sobą panowanie. Przenigdy. To wystarczyło, żeby go uciszyć.

- Rozumiesz teraz?! Co? - wysyczał Vau, jakby wypuszczał z siebie nadmiar ciśnienia.

Mird cofnął się z podkulonym ogonem i zaskowyczał cicho. - Rzygać mi się chce od tej twojej sentymentalnej gadki, jak to Jango nas zdradził, sprzedając Kaminoanom swoje geny! - warknął.

- Zrobił to, żeby powstrzymać Jedi! Zrobił to, żeby stworzyć armię, która ich pokona! Głędzisz cały czas o niesprawiedliwości i ucisku elit, których nikt nie wybierał, mój ty mały bohaterze

klasy pracującej, a teraz co? Zniknęli! Tak, to kosztowało naszych chłopców życie, ale w końcu ich nie ma! Rozumiesz?! Nie ma! I nie będą zabijać Mandalorian, o nie! - Pokręcił gwałtownie głową. - Przez długi czas! Może już naWet nigdy. - Trząsł się jak w febrze, a jego twarz była kredowo-biała. Po chwili wrócił do siebie, zupełnie jakby wcześniej ktoś inny kontrolował jego poczynania. Poprawił kołnierzyk kombinezonu i wygładził rękawy. Znowu zachowywał się jak

dostojny arystokrata. Skirata naprawdę nie darzył Janga przesadną sympatią ani szczególnie mu nie współczuł, ale nagle cała sprawa nabrała dla niego sensu. Wiedział już, że w tej sprawie chodziło o coś więcej niż tylko pięć milionów kredytów.

Powinien był się wszystkiego domyślić. Dlaczego Fett zażądał syna jako części zapłaty? Całe życie tracił wszystko, co kochał i na czym mu zależało, raz po raz, a w końcu sam zginął z ręki Jedi. Jeżeli podobieństwo Boby do Janga nie ograniczało się tylko do wyglądu, z pewnością mały kipiał teraz żądzą zemsty.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, co robiłeś na Kamino, zanim przybyła reszta Cuy'val Darów - powiedział Skirata, udając, że wybuch towarzysza nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. -Co więc jeszcze zamierzasz mi powiedzieć? - Shab, może i nie byli najlepszymi kumplami, ale byli sobie tak bliscy, jak tylko mogli być dwaj Mando'ade. Vau był mu winien szczerość. - Wygrywałeś mistrzostwa tańca galaktyki w stylu dowolnym? - zadrwił.

Vau przeniósł spojrzenie na Jusika.

- Powinienem być pojawić się na Galidraanie... - powiedział wolno. - Nie dotarłem tam i nigdy sobie tego nie wybaczę. Powinienem być walczyć razem z nimi.

- Gdyby tak było, byłbyś teraz trupem - przypomniał mu Kal. - Bard'ika, gdybyś nie wiedział...

- Wiem, co się wydarzyło na Galidraanie - wszedł mu w słowo Jusik. - Słyszałem opowieści o tym, jak Jedi wycięli w pień cały oddział Janga... - zawiesił głos. - I wiem też, że Jango zabijał Jedi gołymi rękami, ponieważ miałem okazję rozmawiać z jednym z tych, którzy przeżyli.

Vau pokiwał głową z aprobatą.

- Tak... - rzucił z namysłem. - Jedynym sposobem na pokonanie Jedi było wysłanie przeciwko nim takich jak on. Tylko jego klony, wyszkolone przez niego samego i jego ludzi, mogły tego dokonać. Dlatego zrobił to, co uznał za najlepsze wyjście. Nie mógł pokonać ich wszystkich sam, ale wiedział, że armia jego sobowtórów sobie poradzi.

Skirata pomyślał o wszystkim, o co zawsze obwiniał Janga - Znał go, Walczył z nim i spędzili razem wiele chwil - dobrych i złych. Posądzenie go, że mógł zrobić coś wbrew interesom ich ludu, było bardzo niesprawiedliwym zarzutem, teraz o tym wiedział. Jeżeli Jango faktycznie realizował swój dalekosiężny plan, Skirata nigdy nawet się nie domyślał jego zamiarów. Podejrzewał co prawda, że nie chodziło wyłącznie o kredyty, bo widział, jak Jango troszczy się o małego Bobę. Rozumiał, że mężczyzna pragnął syna tak bardzo, jak nikt, ale uznał, że to wystarczające wytłumaczenie pobudek Fetta i nie zastanawiał się nad tym dłużej. Takie wyjaśnienie było dla niego zupełnie naturalne.

- Rozumiem... - powiedział cicho. Jak mogłem tak błędnie go osądzić? - zastanawiał się. Nie było już sposobu, żeby zwrócić mu honor. - Mylilem się... źle go oceniłem.

Teraz już wiem, czemu Shysie tak zależy na utrzymaniu rodu Fettów u władzy, przemknęło mu przez myśl.

Vau tylko wzruszył ramionami.

- Zawiodłem go. - Podejrzewał, że nigdy nie pozbędzie się uczucia wstydu. Mimowolnie zaszczeplił je swoim klonom. - Ale już nigdy więcej tego nie zrobię.



- Nie obwiniaj się - powiedział Skirata. - Ja też powinienem był być na Galidraanie.

- Wiem - odparł Vau. - Dlatego właśnie wybrałem cię na Cuy'val Dara.

Skirata poczuł nagle, że wcale nie zna tego człowieka tak dobrze, jak mu się zdawało.

Wybrał mnie, pomyślał gorączkowo. Shabla To on mnie wybrał!

- Dobra, Walon - rzucił. - Odpowiedz mi na jedno pytanie. Tylko bez żadnego osik. Czy Jango chciał mnie w ekipie?

- Omówiliśmy razem wszystko dokładnie...

- Nie wciskaj mi tego shabla dyplomatycznego kitu! Chciał mnie czy nie?

Vau zawahał się chwilę. Skirata spojrzał na niego z niedowierzaniem. Sierżant Walon Vau najpierw daje się wyprowadzić z równowagi, a teraz się waha? To było zupełnie niepodobne do Walona, jakiego znał.

- Wiesz, jaki był Jango - odpowiedział w końcu Vau. - Potrafił dobrze oceniać ludzi. A poza tym, czy to teraz ma jakieś shab znaczenie?

- Nie, nie ma - potwierdził Skirata. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie zarzuty Walona względem niego są zasadne: był bandytą, zabójcą prostakiem, a na dokładkę zbyt często dał się ponieść emocjom. Oprócz tego jednak wiedział, jak walczyć i wiedział, jak kochać. To ostatnie było tak samo ważnym elementem sztuki przetrwania jak używanie noża czy umiejętność zbudowania vheh'yaim w terenie, żeby się schronić. To był dar. Oto, czego nauczył mnie mój ojciec, pomyślał Kal. Wyciągnął do Vaua dłoń. - Walonie, cokolwiek sobie wcześniej powiedzieliśmy, od teraz się nie liczy. Cin vhetin. Pole dziewiczego śniegu. Vau patrzył na niego przez chwilę niewidzącym wzrokiem. Może wiedział, jak wielkie było to dla Skiraty poświęcenie, bo jego ostre rysy twarzy na chwilę jakby zmiękły.

- Cin vhetin - powtórzył za nim i uściśnął mu dłoń. - Mhi vode an, ner vod.

Wyglądał teraz dużo spokojniej, jakby kamień spadł mu z serca. Poklepał kilka razy płytę pancerza na udzie i ruszył do kuchni, a Mird za nim.

- Wybacz, Bard'ika - mruknął Skirata. Jusikowi z pewnością nie było miło słuchać tych wszystkich pomysłów wylewanych na Jedi. To prawda, wyrzekł się ich i przywdział beskar'gam, ale byli jego rodziną. Pewnie znał osobiście wielu zabitych. Jedi byli żywymi, czującymi istotami, jak wszyscy inni. Może i część z nich dostawała teraz to, na co zasłużyli, ale na pewno byli wśród nich i tacy, którzy płacili za grzechy reszty, jak Etain czy Jusik. - Jesteśmy tylko zmęczonymi życiem staruchami, piorącymi stare brudy.

Jusik spojrzał na swój chronometr i sprawdził komunikator.

- Cieszę się, że to sobie wyjaśniliście - powiedział. - Muszę przyznać, że trochę to dla mnie... zaskakujące, ale rozumiem chęć zemsty Fetta. Jeżeli jednak cała Wielka Armia Republiki powstała tylko po to, żeby zgładzić Zakon... nie wierzę, żeby Jango sam to wszystko zaplanował. Dlaczego nikt nie zapytał, kto wpadł na pomysł stworzenia armii? Czemu nikt nie dociekał, kto to wszystko finansował? I co Fett miał wspólnego z drugą falą z Centaksa i z nową flotą? Dlaczego Jedi podnieśli rękę na Kanclerza?

Skirata uznał, że były to shabla dobre pytania.

Jednak odpowiedź na nie musiała poczekać.

Wyjął swój komunikator i wybrał kod.

- Dar? Niner? Rzućcie w cholere, cokolwiek robicie, i natychmiast wracajcie. To koniec misji. Koniec.

Koszary kompanii Arca, kwatera główna brygady do zadań specjalnych, godzina 22.40

Ordo skończył przeszukiwać kwatery. Z zadowoleniem stwierdził, że Drużyna Omega nie zostawiła nic, co mogłoby przypadkiem ich obciążyć.

Wiedział, że tamci nie byli głupi, a nawet najmniejszy ślad mógł doprowadzić do Kyrimorut albo nawet gorzej — do odkrycia, że Etain i Darman mieli dziecko. Wystarczyło, że Kal'buir figurował na czarnej liście Palpatine'a za to, że wykradł badania Ko Sai. Nie trzeba było geniuszu, żeby zgadnąć, że ich prawdopodobnym miejscem ucieczki będzie Mandalora. Jednak Manda'yaim była ogromną, w większości opustoszałą planetą, rzadko zaludnioną i nikt nie mógł się na niej ukryć lepiej niż Mando'ade, jeżeli im na tym zależało.

Ordo ubrał się w czerwoną mandaloriańską zbroję, swój beskar'gam. To było jak ostatni, symboliczny akt opuszczenia Wielkiej Armii Republiki. Nikt nigdy nie zapytał go, czy chce do niej należeć. Zostawił swój schludny, biały pancerz żołnierza ARC na łóżku, z którego i tak rzadko korzystał, ale potem zmienił zadanie, owinał hełm w czerwono lamowaną, szarą, skórzaną kamą i wsunął pod pachę. Zrobił to z czystego sentymentu. Dziwnie się czuł - nie sądził, że przywiązuje aż taką wagę do wspomnień.

Zostało jeszcze tylko jedno miejsce do sprawdzenia - tak na wszelki wypadek: biuro Arligana Zeya. Zjechał turbowindą dół z mandaloriańskim buy'ce w rękę. Wokół nie było żywej duszy. Z korytarza prowadzącego do centrali dowodzenia dobiegały echa komunikatów z kanału łączności. Wszystkie rozmowy kierowano do kwatery głównej WAR, ale widać nikt się nie pofatygował, żeby zamknąć drzwi. Dziwne. Budynek był tak wyludniony, jakby brygada do zadań specjalnych nagle przestała istnieć.

Tak naprawdę cała jednostka była pomysłem Jedi. Teraz członkowie Zakonu stali się zwierzyną łowną - od oddalonej o kilka kilometrów Świątyni aż po dalekie światy na Zewnętrznych Rubieżach.

Świetnie się składa, uznał Ordo. Nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Włączył komputer Zeya i obszedł bez trudu wszystkie zabezpieczenia, a potem zaczął przekazywać dane do własnego notesu

komputerowego, jednocześnie wymazując je bez śladu z systemu Republiki. Nie sprawdzał, czego dotyczyły - nie było na to czasu. Lepiej było dmuchać na zimne, na wypadek gdyby było tam coś, co mogło narazić Kyrimorut na odkrycie.

Pięć minut. Kal'buir się nie odzywa, przypomniał sobie Ordo. Skontaktuje się z nim natychmiast, kiedy...

Wyostrzył słuch, kiedy dotarł do niego odgłos szurania butów po pleekdrewnianej podłodze.

Nie przypuszczał, że Zey wróci dziś do biura, ale również generał z pewnością nie spodziewał się zastać w swoim pokoju Mandalorianina przeszukującego mu biurko. Stał w drzwiach, ślaniając się na nogach, w poplamionej i podartej szacie. Miał rozcięte czoło, krew z rany spływała mu po policzku aż na podbródek, a lewe ramię zwisało bezwładnie. Ledwie się trzymał na nogach.

Ordo spróbował wzbudzić w sobie chociaż cień współczucia, jednak Zey nie należał do grupy osób, na których mu zależało. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił przekształcić szacunku i zrozumienia dla Jedi w przeświadczenie, że los Zeya nie jest mu obojętny. Wystarczyło, że nie życzył mu źle.

- Generale? Zaraz wychodzę - poinformował go. - Co pan tu robi?

- Ordo? - wymamrotał Zey niewyraźnie.

Ordo przyjrzał mu się z troską.

- Chyba powinien pan poszukać schronienia...

- Chcą nas zabić... wszystkich - wykrztusił Zey. - Dlaczego?

Ordo odstąpił na bok i schował czipy z danymi. Władza była

dziwnym zjawiskiem, niestałym i niepewnym. Kiedy był mały, Ko Sai wydawała się im wszystkim bogiem, który rządzi ich życiem i śmiercią. Potem tę funkcję przejęli Jedi - a teraz ci również tracili swoje wpływy. Wszystko wskazywało na to, że najlepiej samemu być panem

własnego losu, bo inaczej - prędzej czy później - ci, których losem próbowało się rozporządzać, upominali się o własne prawa.

- Rozkazy - powiedział cicho Ordo. - Nie czytał pan instrukcji kryzysowych WAR? To podstawa funkcjonowania armii. Chyba nikt nigdy nie przypuszczał, że kiedyś naprawdę się przydadzą...

Zey chwycił się futryny, jakby miał się przewrócić.

- Ale... dlaczego?-jęknął.

- Ponieważ - rozległ się głos Maze'a zza jego pleców - nie macie prawa decydować, kto rządzi Republiką. Kto was wybrał?

Ordo usłyszał szcęk odbezpieczanej broni. Wiedział, że czas odejść. To nie była już dłużej jego wojna, to nie był jego świat. Zabrał swoje hełmy i skierował się do drzwi, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby Zey zastąpił mu drogę.

- Maze? - zagadnął kapitana. - Co tu robisz?

- Nigdy nie odmówiłem wykonania rozkazu - odparł klon. Wyglądało na to, że Zey nie ma siły, żeby się odwrócić i spojrzeć w twarz swojemu byłemu adiutantowi. Zamknął tylko oczy, jakby czekał na ostatni cios. - Mam jakiś wybór? Co za ironia. Jedi uważali nas za doskonałych żołnierzy, ponieważ wypełnialiśmy rozkazy bez szemrania, a teraz, kiedy nadal ich słuchamy, uważają nas za zdrajców. Wóz albo przewóz, generale.

Reszką sił Zey dowlókl się do biurka i opadł ciężko na fotel. Ordo ostrożnie położył swoje dwa hełmy na stojącym w pobliżu krześle i obserwował, jak Maze wchodzi wolnym krokiem do środka. Trzymał w dłoni blaster, ale z niego nie celował. To nie on postrzelił generała. Gdyby było inaczej, w powietrzu unosiłby się zapach wyładowania z magazynku.

- Naprawdę muszę już iść, generale - powiedział Ordo. Musiał się jednak dowiedzieć. - Proszę mi powiedzieć, czy Windu naprawdę podniósł rękę na Kanclerza?

Zey z trudem uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- On jest... Sithem... Nie rozumiecie?! Sithem! - jęknął. -Przejmuje władzę, chce opanować galaktykę za pomocą nowej armii klonów, jest... zły...

- Pytałem, czy to prawda z Windu? - powtórzył twardo Ordo.

- Tak! - zaszlochał Zey. - Tak, tak, tak! Powstrzymanie tego potwora było jego obowiązkiem jako Jedi!

- Co to znaczy „Sith”? - spytał nieprzytomnie Maze.

Widać Jango Fett nie dbał szczególnie o edukację swoich żołnierzy ARC Alfa... a może po prostu uznał, że nie warto im zawracać tym głowy?

- Coś jak Jedi - wyjaśnił Ordo - tyle że po drugiej stronie barykady... Mandalorianie walczyli dla nich dawno temu, dopóki nie zostali przez nich zdradzeni. Jedi również nas zdradzili, więc koniec końców na jedno wychodzi.

- To prawdopodobnie on odpowiada za stworzenie armii klonów - wykrztusił Zey. Dyszał ciężko, a na czole perliły mu się kropelki potu. Ordo nie wiedział, dlaczego Maze jeszcze go nie zabił.

- Dlaczego się wszystkiego nie domyśliliście? - spytał Ordo generała. - Dlaczego nie wywęszyliście go tymi waszymi wrażliwymi na Moc nochalami? I dlaczego, do jasnej shab, nikt nigdy nie spytał, z czyjego rozkazu nas wychodowano?! - Uznał, że ma dosyć. Zabrał hełmy i wyszedł. W połowie korytarza usłyszał jak Maze prosi Zeya o niestawianie oporu i informuje go, że jest aresztowany.

Biedny Maze. Ordo pokręcił z niedowierzaniem głową. Naprawdę wierzył w to całe polityczne osik, które czytał po służbie. W rzeczywistości nic nie wyglądało tak różowo.

- I tak jestem już martwy - dobiegło go echo słów Zeya. Dziwne, Ordo spodziewał się po nim raczej, że będzie walczył do końca. - Proszę, zrób to - mówił generał. - Wiem, że musicie słuchać rozkazów. Oszczędź mi tej męczarni. Wiem, co ze mną zrobią jeśli dostaną mnie w swoje ręce.

Ordo ostatni raz uniósł dłoń do panelu kontrolnego drzwi. W głuchej ciszy budynku usłyszał jeszcze słowa Maze'a:

- Naprawdę mi przykro, sir - mówił kapitan. - Ale skoro to rozkaz...

W powietrzu rozległ się odgłos pojedynczego strzału z blastera. Biedny Zey... Biedny Maze. Los okrutnie się z nimi obszedł.

Ale my się nie damy, powtórzył sobie Ordo. Nam się uda.

## **ROZDZIAŁ 20**

Kiedy otrzymałem Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty, trochę się wahałem, bo zamach stanu był ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałem się po Jedi. Czy poczułem się zdradzony? Oczywiście! Od razu pomyślałem o wszystkich moich ludziach, którzy zginęli pod rozkazami KiAdiego-Mundiego. Gdybym wiedział, że przygotowują się do odwalenia roboty

- Jest w cywilnym ubraniu - przypomniał mu Niner. - Nie wygląda jak Jedi. Dopóki nie zaczniesz machać swoim świecącym kijaszkiem pod nosem jakiegoś żołnierza, jest bezpieczna.

- Przyjęła - powiedział Darman nagle, jakby w ogóle go nie słuchał.

- Co takiego? Co przyjęła? - spytał Niner marszcząc czoło.

- Wymieniliśmy przysięgę małżeńską - wyjaśnił Dar. - Przez komunikator też się liczy. To formalność.

Niner nie wiedział, co powiedzieć. Zawrócił skuter i skierował się w stronę zbiornika.

- Co robisz? - spytał zaskoczony Darman.

- Nie mamy czasu, Dar. Kal'buir już pewnie i tak chodzi po ścianach. - Aktywował łącze komunikatora w hełmie. - Sierzancie? Tu Niner. Wracamy.

- Ordo już jej szuka - odpowiedział natychmiast Skirata. - Nic jej nie będzie. Nie możemy jej namierzyć, ale Jusik mówi, że ją wyczuwa. Shab, jak ją w końcu dorwę, przetrzepię jej shebs za takie głupie pomysły.

- Widzisz, Dar? - powiedział Niner. - Mówiłem, że nie ma się co martwić.

- Co ty powiesz - burknął Darman. - Czy kiedy dotrzemy do punktu zbornego, będę mógł poczekać na nią na górze?

- Jasne - zapewnił go Niner i przyspieszył.

Nawet bez systemu nawigacyjnego HUD-ów nie mieliby problemu z namierzeniem miejsca spotkania: zbiornik rezerwowy był co prawda ukrytym starannie, zapomnianym miejscem, ale nad nim wznosiła się wysoka, toporna wieża, w której mieściła się część systemów przepompowni. Było ją widać z daleka. Teraz, kiedy znaleźli się jakieś sto metrów od niej, Darman dostrzegł na swoim wyświetlaczu dobiegający z jej szczytu regularny sygnał, nadawany w podczerwieni. Wyglądało na to, że ktoś próbował za jego pośrednictwem zwrócić na to miejsce uwagę. Kiedy podlecieli bliżej, źródłem sygnału okazał się zaparkowany na samej górze śmigacz CSB.

- Osik - mruknął Darman. CSB zawsze było w dobrej komitywie z klonami, ale tym razem Darman poczuł na widok pojazdu ukłucie lęku. Chodziło o obowiązek stosowania się do zaleceń. Ci z CSB wiedzieli, że Jedi byli teraz do odstrzału, a kapitan Obrim nie był wszechmogący.

- Dar, pozwól, że ja będę mówił - uprzedził go Niner i ustawił skuter w odwrotnym kierunku niż śmigacz. - Nie ma co się martwić na zapas.

Drzwi policyjnej maszyny otworzyły się i ze środka wyrzwał Jaller Obrim.

- Spokojnie - powiedział i przesunął palcem na wysokości szyi, dając im do zrozumienia, że mają odciąć łączność. - Szybko, nie zamierzam tu sterczeć całą noc. Wskakujcie.

- Przestraszył nas pan, kapitanie... - powiedział Niner z wyrzutem.

i - Chciałem się upewnić, że odleciecie w komplecie. Nie mówcie Kalowi, że mnie spotkaliście. Mam nadzieję, że nie nadajecie na jego kanale, co? Powiedziałem mu, że po liście gończym Palpiego nie będę mu wchodził w drogę. Do rzeczy: gdzie ta wasza dziewczucha? Nie powiedzieliście jej, żeby nie wyłączała komunikatora?

Darman nadstawił uszu: gdzieś w pobliżu słychać było silniki LAAT/i. Widocznie nadlatywał patrol WAR. Każdy klon rozpoznalby odgłos kanonierki, nieważne, z jakiej odległości, bo zwykle zwiastował on wsparcie z powietrza albo oznaczał ratunek w opałach. Dar zastanawiał się, co lart robi akurat tutaj, zamiast patrolować główne szlaki.

- CSB współpracuje teraz ściśle z WAR - odezwał się. - Nie wiesz, dlaczego kręcą się w okolicy?

Obrim pokazał kciukiem za swoje ramię.

- Co mam za plecami?

Dar zerknął na holomapę w swoim HUD-zie.

- Miasto Monit, skład gazu tibanna i kosmoport Palpiego -wyliczył.

- Dokładnie. A gdzie jest Świątynia Jedi?

- Racja - mruknął Dar. Punkt zborny leżał w połowie drogi między jednym a drugim miejscem. - Rozumiem. - Spojrzał z niepokojem na zasnuwającą niebo pomarańczową lunę.

Obrim wskazał gestem komunikator na konsoli śmigacza.

- Kilku młodziakom udało się uciec ze Świątyni, zanim wybuchł pożar, i pewnie będą teraz usiłovali zwać z planety - powiedział. - Jest spora szansa, że spróbują dostać się do któregoś z większych kosmoportów, więc wysłali patrole na wszystkie trasy, które tamci mogliby wybrać. - Potarł dłonią czoło. - Podobno

445

za Separatystów i przejęcia władzy, sam bym ich wystrzelał jak kaczki dużo wcześniej. Zawiedli nasze zaufanie.

Komandor Bacara, były dowódca galaktycznych marines

Galactic City, godzina 22.50, 1089 dni po Bitwie o Geonosis

- Dar? Nie ma jej tutaj - poinformował Niner. Od jakiegoś czasu patrolowali teren wokół holoteatru, ale nigdzie nie było śladu Etain. - Na pewno jest już daleko stąd. To nie ma sensu.

- Właśnie, że ma - burknął Darman.

Co chwila sprawdzał swój komunikator. Właśnie zaczęły do niego dochodzić wiadomości. Na ich podstawie oraz według informacji od Jusika odtworzył trasę, którą Etain pokonała od Kraggeta. Na kanałach CSB huczało od komunikatów. Słuchał ich ze ściśniętym gardłem.

- ... do wszystkich jednostek: szukamy Jedi, młodych, prawdopodobnie przebranych... Nie zbliżać się, powtarzam, nie zbliżać się! Są uzbrojeni i niebezpieczni, natychmiast wezwać wsparcie służb specjalnych. Powtarzam: mogą nie mieć warkoczyków padawanów ani żadnych znaków identyfikujących ich jako Jedi... Tak, potwierdzam: podejrzewamy umyślne podpalenie, wysłaliśmy już ekipę śledczych, potrzebują eskorty wojska... Zniszczono poufne materiały... Jedi mogą próbować uciec z obciążającymi dowodami, więc to priorytet... Biuro Kanclerza... Strzelać bez ostrzeżenia... Poszukiwany osobnik płci męskiej, Teevanin, o nazwisku Tru Veld. Nie zbliżać się, wezwać natychmiast Pięćset Pierwszy...

Jaller Obrim skontaktował się ze Skiratą i poinformował go, że jeden z jego ludzi rozmawiał z Etain, zanim opuściła Kraggeta. Jeżeli szła pieszo, musiała tędy przechodzić, a gdyby wzięła taksówkę powietrzną, byłaby już w punkcie zbornym.

- Nie może po prostu zadzwonić? - jęknął poirytowany Niner. ~ Nie wpadła na to, że będziemy jej szukać?

- Jest taka sama jak Kal'buir - westchnął Dar. - Wydaje jej się, że jeśli nam czegoś zabroni, to tego nie zrobimy.

Zaczynał się denerwować. Wiedział, że Skirata czekałby na nią aż Mustafar by zamarzła, ale im dłużej Et'ika była na powierzchni, na tym większe kłopoty się narażała.

sami podpalili Świątynię. Nie mam pojęcia, co chcieli ukryć, ale służbom nie udało się ocalić Archiwum. Kanclerz nieźle się wkurzył.

Darman wcale mu się nie dziwił. Chociaż Skirata cały czas twierdził, że Jedi są zepsuci do szpiku kości, próba obalenia Kanclerza była czymś... szalonym. Na Kamino nikt nie mówił o Jedi źle, a Mandalorianie w ogóle niechętnie rozmawiali na ich temat.

- A co będzie, jeśli patrol zatrzyma Etain?

- Chyba będę musiał im przemówić do rozsądku, jak myślisz? - odpowiedział pytaniem Ogrim. - Nie ma strachu, wątpię, żeby ją capnęli.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Darman.

Czekali. Lart przeleciał obok, omiatając okolice strumieniami światła i skierował się w stronę kosmoportu. Darman wiedział, że dla załogi LAAT/i wyglądali jak zwykły patrol komandosów, który przystanął na chwilę, żeby pogawędzić z kolesiami z CSB. Miał nadzieję, że nie zauważyli, że skuter nie należy do WAR.

- Dar? - zabrzmiało nagle w jego głośnikach.

- Et'ika\

- Gdzie jesteś?

Darman słyszał, jak Niner wdycha z ulgą.

- W punkcie zbornym - powiedział. - Gdzie, u licha, się podziewasz?

- Jestem jakieś pięć minut spacerem od mostu Shinarcan. Przy wejściu do galerii handlowej kłębi się straszny tłum. Nie wiecie, co się dzieje? Muszę tamtędy przejść...

- Poczekaj chwilę - poprosił ją Darman. - Dochodzi do mostu Shinarcan - powtórzył Ogrimowi. - Co się tam dzieje?

Jaller wcisnął przycisk i wewnątrz śmigacza wypełnił wyświetlacz przezierny, pokazujący dane przesyłane z centrum operacyjnego CSB. Gliniarz przyjrzał się uważnie informacjom; po twarzy prześlizgiwały mu się żółte i czerwone światełka schematu.

- Punkt kontrolny - powiedział w końcu. - Monitorują w tym miejscu ruch pieszych. To rutynowe rewizje prowadzone przez CSB i WAR. Etain nie ma się czego bać. Nie mamy żadnych wykrywaczy Jedi ani nic takiego - zażartował.

- Słyszałaś, Et'ika? - upewnił się Dar.

Niner zaszczekał nerwowo zębami. Miał to po Skiracie.

- Jestem za tym, żebyśmy polecieeli tam i upewnili się, że wszystko w porządku - powiedział.

- Zajmę się tym - zaproponował Ogrim.

- Jesteś szefem jednostki antyterrorystycznej - zaprotestował Niner. - Wszyscy cię znają! To będzie podejrzenie wyglądać.

- Moi chłopcy nie zadają pytań - rzucił Jaller. - Nie widzą, nie słyszą i nie przyjmują do wiadomości niczego, co nie leży w ich interesie.

- My się tym zajmujemy, WAR - sprostował Niner, odpalając skuter. - To jeden z plusów bycia klonem: nikt nie zna twojej tożsamości.

- Et'ika? Idziemy po ciebie. Spotkamy się po drugiej stronie punktu kontrolnego - powiedział do komunikatora Darman. - Nie spiesz się. Zwolnij trochę.

- Co wy tam kombinujecie? - zabrzmiał na łączu głos Skiraty. Dar nie miał pojęcia, że Kal słucha ich rozmowy.

- Kal'buir, chcemy tylko dopilnować, żeby Etain bezpiecznie przeszła przez punkt kontrolny.

- Nie kazałem wam przypadkiem wracać? - zbeształ ich Kal, ale zaraz dodał łagodniej: - W porządku, tylko bez szaleństw.

Niner przełączył się na prywatny kanał.

- Skopie nam shebse na tęczowo, kiedy wrócimy - stwierdził. - Chyba go wkurzyliśmy. To była niewielka cena za spokój i pewność, i Darman uznał, że warto ją zapłacić. Za kilka minut będą już grzali silniki „Aay'han” i wszystkie żale pójdą w niepamięć. Kiedy dotarli do mostu, zobaczyli wijącą się przed punktem kontrolnym długą kolejkę pieszych. Niner wypatrzył wolne miejsce pośród zaparkowanych na poboczu pojazdów służbowych i jakby nigdy nic posadził skuter obok. W zasięgu wzroku nie było funkcjonariuszy CSB, ale wokół kręciło się sporo żołnierzy z Pięćset Pierwszego. Ich biało-błękitne zbroje rzucały się w oczy z daleka. Stali spokojnie i uważnie przyglądali się przechodzącym pieszym. Wyglądało na to, że nikogo nie przeszukują.

Niner i Darman stanęli w pobliżu, trzymając w pogotowiu swoje DC-17. Na szczęście nikt nie interesował się ich cywilnym skuterem. Byli komandosami; reszta WAR traktowała ich w najlepszym razie jak ekscentryków, w najgorszym - jak bandę oprychów.

- Idzie - mruknął Niner.

Etain była jakieś dwadzieścia metrów od nich. Darman wyłowił ją z tłumu i nagle nie widział już nikogo poza nią - jego Et'iką.

Ona również go zauważyła i odwróciła głowę, tłumiąc cisnący jej się na usta okrzyk radości. Pokład „Aay'han”, punkt zborny, godzina 22.55

- Koniec tego dobrego - powiedział Skirata. - Zamierzam się po nich wybrać. Nie mogę dłużej czekać.

Jusik włożył swój hełm.

- W porządku, ale będziemy w kontakcie, a ja zacznę grzać silniki. Na wszelki wypadek - dodał.

- Ordo ma pilotować - przypomniał mu Kal.

- Wiem, ale gdyby, nie daj Mocy, coś się stało i musielibyśmy się nagle spieszyć, lepiej mieć wszystko przygotowane.

Skirata musiał przyznać, że Jusik jest bardzo przewidujący. Poklepał go po plecach.

- Racja - powiedział. - Pożyczysz mi swój miecz?

Były Jedi zawahał się, ale podał mu swoją broń.

- Nie zgub - przestrzegł przyjaciela. - A w ogóle to po co ci on?

- Jako trofeum - wyjaśnił Skirata. - Mając go w garści, będę wyglądał jak pogromca Jedi, nie jak osobista eskorta jednej z nich. Wybacz, Bard'ika. Wiem, że tobie też jest teraz ciężko...

- Uważaj na niego - poprosił tylko Bardan.

- Tak jest - obiecał Kal.

- Idziemy z tobą - wtrącił Corr. - Z całym szacunkiem, sierżancie, ale jesteśmy trochę, hmm, postawniejsi od ciebie. Możesz potrzebować wsparcia, jeżeli zaczniesz się robić gorąco.

Skirata uznał, że nie ma sensu się wyklócać.

- Kwestionujecie moje umiejętności, szeregowy? - zażartował. - Dobra. Ruchy, panowie. Musieli wziąć śmigacz Vaua, bo dwóch komandosów i Mando w ciężkim beskar'gamie wyglądałoby dość dziwnie na skuterze, nie mówiąc już o tym, że nie byłoby im zbyt wygodnie. Skirata popatrzył w dół na most i przyjrzał się krytycznie tłumowi tamującemu wąską gardziel

punktu kontrolnego. Wylądowali między dwoma statkami desantowymi WAR. Pojazdy zabierały dużo miejsca i utrudniały ruch pieszych, ale w razie potrzeby mogły posłużyć jako barykada.

- Przejście! - warknął Atin, dając żołnierzom w białych zbrojach znak, że mają się usunąć. - Uwaga!

Kilku funkcjonariuszy CSB rzuciło w ich stronę zdziwione spojrzenia, ale albo wiedzieli, kim są i celowo nie reagowali, albo zobaczyli miecz świetlny u pasa Kala i założyli, że jest mandaloriańskim łowcą nagród ścigającym Jedi. Każdy, kto miał do czynienia z Mando'ade, wiedział, że potrafią radzić sobie z istotami władającymi Mocą - a przynajmniej tak głosiła plotka. Większość Coruscan nie miała jednak pojęcia, kim są i patrzyła na nich po prostu jak na dziwnych pozaświatowców w oryginalnych zbrojach. Najprawdopodobniej nigdy wcześniej nie widzieli Mandalorian.

Skirata spojrział w stronę kordonu. Kolejka była strasznie długa.

- Mam nadzieję, że obędzie się bez zamieszania - mruknął pod nosem.

- Widzę ją - zameldował Corr.

- Świetnie - ucieszył się Kal. - Tylko spokojnie. Niech wszystko idzie swoim tempem.

- Nie mam pańskiego numeru identyfikacyjnego, sir - powiedział sierżant z Pięćset

Pierwszego, który pojawił się nagle obok nich.

Skirata wzdygnął się mimowolnie. Odpiął miecz świetlny od pasa i zakręcił nim w dłoni pokazowego młynka.

- To powinno ci wystarczyć za identyfikator, sierżancie - rzucił z pogardą. - Zabijam Jedi.

My, Mandalorianie, lubimy trofea. - Trzasnął karwaszem o napierśnik. - Mogą ci urwać głowę i narobić w szyję, aleja noszę beskar.

Wyglądało na to, że skutecznie zniechęcił klona do dalszej dyskusji. Stał w lekkim rozkroku, z jednym kciukiem zatkniętym za pas i verpińskim obrzynem opartym od niechcenia na ramieniu, i rozejrzał się groźnie dookoła.

- Wyglądasz jak kawał zbója, Kal'buir- rozległo się w głośnikach jego hełmu.

- To ty, Dar?

- Tak jest, sir - brzmiała odpowiedź.

- Nie rób nic głupiego, Dar'ika - poprosił Kal. - Niner? Gdzie jesteście?

- Zaraz za wami.

- Świetnie. Tylko spokojnie, chłopcy - powtórzył. - Ord'ika, słyszysz nas?

- Tak - potwierdził Ordo.

Ciągłe apele Skiraty o zachowanie spokoju oznaczały, że najpewniej sam jest najbardziej zdenerwowany z nich wszystkich. Choć sytuacja była napięta, w tłumie panował względny porządek. Wszyscy słyszeli ostatnie wieści, widzieli pożar, ale najwyraźniej obecność połączonych sił CSB i WAR była dla nich wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa, żeby nie wszczynać paniki.

- Mam nadzieję, że szybko ich wszystkich wyłapiecie - powiedziała jakaś Biravianka, okazując w punkcie kontrolnym swoją torbę do sprawdzenia. - Nic dziwnego, że separańcom udało się tu wylądować, skoro wszyscy Jedi to zdrajcy. Odwalacie kawał świetnej roboty, żołnierzu - pochwaliła klona.

Skirata pomyślał, że cywiluchy poczuły sympatię do białasów trochę jakby za późno. Cóż, lepiej późno niż wcale.

Kontrola szła gładko i bez zgrzytów. Wokół rozlegał się jednostajny szum rozmów. Etain dzieliło od punktu kontrolnego już tylko kilka osób - Skirata widział ją teraz dobrze, tak samo jak Darman. Kal słyszał, jak szepcze pod nosem: „Cyar'ika”.



Nagle na przedzie wybuchło zamieszanie. Trójka młodych ludzi - dwóch mężczyzn i kobieta - nie chciała okazać bagażu do rewizji. Podczas interwencji z jednej z toreb wypadł stos notesów komputerowych i...

- Jedi! - zawył ktoś z tłumu. - To kriffing Jedi!

W powietrzu rozległo się znajome brzęczenie mieczy świetlnych i okolicę zalało błękitne światło kling. Skirata jeszcze przez chwilę widział Etain, a potem rozpętało się prawdziwe haran.

## **ROZDZIAŁ 21**

Ca'nara ne gotal'u mirjahaal - shi gotal'u haastal. Czas nie leczy ran, tworzy tylko blizny.

Mandaloriańskie przysłowie

Most Shinarcan, Coruscant, godzina 23.20, dwie godziny po wydaniu Rozkazu 66, 1089 dni po Bitwie o Geonosis Instynkt Etain nakazywał jej bez zastanowienia chwycić miecz świetlny i ruszyć do walki.

Wpajano jej ten odruch, odkąd skończyła cztery lata. Jednak teraz musiała się przemóc. Nie mogła się zdradzić.

Zagrożenie działało na nią tak samo, jak na klony, gliniarzy z CSB i każdego innego żołnierza: wydawało się jej, że czas zwolnił.

Wokół rozległy się wrzaski paniki, w tłumie zawrzało. Etain miała wrażenie, że cofnęła się do czasów misji na Qiilurze, kiedy to ukrywała się przed siepaczami Hokana. Wtedy także ujawnienie miecza świetlnego oznaczało dla niej wyrok śmierci, tak samo jak dla jej Mistrza. Zmusiła się do zachowania spokoju i stała bez ruchu, tłumiąc w sobie chęć sięgnięcia po broń. Wiedziała, że w ten sposób przekreśliłaby wszystko, co udało jej się osiągnąć do tej pory. Nie mogła jednym ruchem skazać się na pewną śmierć. Ze ściśniętym gardłem stała i patrzyła, jak trójka Jedi, których znała z widzenia, odbija bezmyślnie strzały z blastera w tłum. Jakiś mężczyzna w pobliżu upadł, trafiony rykoszetem.

Nie było sposobu, żeby walczyć bezpiecznie taką bronią w tak zatłoczonym miejscu, ale ci Jedi byli jeszcze dziećmi, padawanami. Nie panowali nad strachem, rozpaczliwie chcieli przetrwać. Ostrza zawadzały o istoty wypychane naprzód przez spanikowany tłum, Mocy ducha winnych przechodniów. Kolejne strzały dosięgły kilku bezbronnych istot i Etain odruchowo zanurkowała w bok. Następną ofiarą zachwiała się i upadła na Posadzkę obok niej. Nie zauważyła, czy to był cywil, czy żołnierz.

Wokół panował niewyobrażalny chaos. Muszę się stąd wydostać, pomyślała gorączkowo. Muszę znaleźć sposób, żeby dotrzeć za barykadę - i to szybko.

Wśród krzyków dał się nagle słyszeć ciężki łomot butów, kiedy do akcji wkroczyło więcej żołnierzy. Etain uniosła wzrok i zobaczyła po drugiej stronie barykady Dara - tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki; była o krok od wolności, kiedy jakiś wewnętrzny głos, instynkt Jedi, kazał jej się odwrócić.

Wydawało się, że czas zwolnił jeszcze bardziej. Jej wzrok padł na stojącego plecami do tłumu klona.

Ich też szkolono do walki od małego, przeszło jej przez myśl. Tak jak mnie. Tak jak Dara. Zanim żołnierz zdążył zareagować, jeden z młodych Jedi podniósł na niego broń, desperacko próbując utorować sobie drogę do wolności. Etain nie zastanawiała się ani przez chwilę. To był odruch - szybki, płynny, prawie bezwarunkowy: rzuciła się między Jedi a klona, a jej dłoń sięgnęła odruchowo po własny miecz. Ciało przejęło kontrolę nad mózgiem, jakby ktoś nagle wyłączył jej umysł.

- Nie waż się go tknąć! - Naprawdę to powiedziała, czy tylko jej się zdawało? - Nieee!

Dobrze wiedziała, jak okrutnym narzędziem była klinga miecza świetlnego, bo sama wielokrotnie podnosiła ją przeciwko innym. Musiała obronić tego żołnierza... Przyjęła na siebie cios.

Teraz nie miało już znaczenia, czy los przeznaczył go dla niej, czy dla niego. Miała wrażenie, że nagle krzyki stały się dziwnie odległe, a po chwili jej umysł zarejestrował ból. Wlepiała szeroko otwarte oczy w zasnute dymem niebo, a każda komórka jej ciała płonęła żywym ogniem. Nad nią zamigotały nagle światła i w zasięgu wzroku pojawił się hełm o charakterystycznym wizjerze w kształcie litery „T” - tak znajomy, tak drogi - i przez chwilę... przez krótką chwilę zdawało jej się, że wszystko będzie dobrze.

- Kad! Dar! - krzyknęła ostatnim tchem, ale nie było przy niej ani jej męża, ani Kada. Nie było już ratunku. Chociaż czuła, że jej usta układają się w słowa, nie słyszała własnego krzyku. Nie mogła już zaczerpnąć tchu. - Dar'ika... - szepnęła jeszcze, a potem ból ustał raz na zawsze.

## **ROZDZIAŁ 22**

Dobra, zaczynamy.

Jango Fett, jedyny Mandalorianin, który przetrwał Bitwę o Galidraan, do Jedi, który zabił Mylesa Skirata rzucił się naprzód.

W jego hełmie rozbrzmiewało nieludzkie wycie Darmana - a może to był jego własny głos? - Etaaain!!! Nieeee! Nie, nie-nie-nie, nieeeee! Tylko nie to! Tylko nie ty!

Kątem oka zobaczył po lewej jakiś ruch, ale teraz nie liczyło się dla niego nic innego oprócz namierzenia celu: zabije albo sam zginie.

Wypalił w kłębowisko ciał, odepchnął zastępujących mu drogę żołnierzy i zamachnął się zbrojną w wibroostrze lewą pięścią. Wiedział, że trafił, bo Jedi zachwiał się, odwrócił i zamierzył na niego mieczem, ale ostrze ledwie zadrasnęło płytę osłaniającą jego obojczyk. Mężczyzna zawahał się, zaskoczony, a Skirata sięgnął po swój trójstronny nóż i wepchnął go pod żebra padawana. Kierowała nim czysta nienawiść, mieszanka bezgranicznej wściekłości i żalu. Chciał niszczyć i zabijać, dopóki ostatnia żyjąca istota w galaktyce nie przestanie oddychać.

Jego hełm, jego głowę, cały świat wypełniały krzyki i płacz. Jak spod ziemi wyrósł koło niego któryś z klonów, odepchnął go na bok i padł na kolana przy ciele Etain. Ułożył dłonie na jej piersi i spróbował ją reanimować. Po chwili Kał rozpoznał w nim Orda. Jego wysiłki były daremne. Etain nie żyła. Wpatrywała się niewidzącymi oczami w niebo, martwa już na zawsze. Skirata nie myślał. Miał wrażenie, że ktoś inny przejął kontrolę nad jego ciałem. Odpiął od pasa miecz Jusika, włączył klingę i zaczął przeciskać się przez tłum w poszukiwaniu innych Jedi. Zdawało się, że byli wszędzie. Naliczył sześć czy siedem szabla ostrzy. Zaślepiła go żądza zemsty. Jedi byli teraz uwięzieni w ogarniętym paniką tłumie. Co chwila ktoś padał na ziemię, ale nie miał już szansy wstać, był bezlitośnie traktowany. Dla Skiraty scena przemieniła się w pole walki - widział tylko tych, których chciał zabić. Jedi musieli zginąć. Musieli mu zapłacić. Dopadł pierwszego z brzegu i chlasnął go mieczem nisko, przez plecy. Z satysfakcją stwierdził, że rozpalone ostrze działa na Jedi dokładnie w taki sam sposób, jak na każdego innego chakaara. Jeden z głowy. Obrócił się na pięcie w poszukiwaniu następnych.

Darman wciąż krzyczał, ale teraz wołał Niner: „Niner! Niner? Niner, gdzie jesteś?” Kiedy Skirata odnalazł go w tłumie, zobaczył, że komandos wychyla się przez poręcz mostu i patrzy w dół.

Dar zauważył Jedi za późno, a Niner nawet nie próbował go zatrzymać. Wszystko zdarzyło się tak szybko... Jedi skoczył, a Niner spadł razem z nim.

Darman pomyślał półprzytomnie, że gdyby to on znalazł się na drodze gówniarza, dzieciak skoczyłby z poderżniętym gardłem. Cios za cios, śmierć za śmierć. Chociaż jakiś głos w jego mózgu wciąż powtarzał, że to nieprawda, że Etain zaraz znajdzie się przy nich - przecież była tak blisko! - i odleca stąd razem, już na zawsze, przed oczami miał wciąż klingę miecza spadającą na nią z góry.

Nie żyje... Nie! Przecież to niemożliwe!

Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ciało Ninera, leżące w dziwnej pozycji na kładce remontowej pod mostem.

Nie żyje, nie żyje, nie żyje... - odbijało się echem od ścian jego helmu.

Nie mógł myśleć o niczym innym, jednak odruchy nabyte i szlifowane przez lata szkoleń wzięły górę. Już po chwili sięgał automatycznie po linkę z kotwiczką, zaczepiał ją i schodził na dół po swojego brata.

- Shab... - stęknął Niner.

- Możesz się ruszać? - spytał Dar. - Boli cię coś? - Podał się i pozwolił, żeby kontrolę nad jego ciałem przejął ten drugi Darman, RC-1136. Tak właśnie należało działać, kiedy traciło się kontrolę nad sytuacją; Skirata wbijał im to do głowy przy każdej możliwej okazji. - Atin! - krzyknął. - Tutaj! Mamy problem! Atin! Pod mostem, kładka remontowa!

- Dar... - stęknął Niner. - Dar, co z Etain?

- Możesz się ruszać? - powtórzył Darman.

- Nic mi nie będzie. - Głos Ninera był ochryply, ledwie słyszalny. - Gdzie jest Etain?

To niemożliwe, pomyślał znowu Dar. To niemożliwe. Była tuż obok, tak blisko...

- Możesz się...

- Dar! Do jasnej shab, co się z nią stało?!

- Zamknij się - warknął Darman. - Możesz się ruszać?

Nogi Ninera były wygięte pod dziwnym kątem.

- Nie czuję stóp. Shab, Dar, co z tobą? Etain! Ten szabla Jedi ją walnął! Co się stało? Nie jej nie jest?

- Nie żyje - wykrztusił głucho Darman. - Nie żyje. - Powiedział to. Jego głos brzmiał dziwnie obco. Wypowiedziane głośno, słowa sprawiły, że wszystko stało się nagle przerażająco realne. Co tutaj robił? Dlaczego się poruszał, mówił, zajmował Ninere? Czemu nie było go przy ciele Etain? Nie wiedział. - To już koniec - szepnął. - Teraz już nic nie ma znaczenia...

- A Kad? - spytał cicho Niner. - Co z waszym dzieckiem? Idź! Idź do niego! - przynaglił go.

Jak powiem chłopcu, że nie zdołałem ocalić jego matki? - zastanawiał się Dar.

- To moja wina... - jęknął. Minutę, może dwie temu Etain była cała i zdrowa, a teraz... nie żyła. Przerażające, że tak cienka linia stanowiła jednocześnie tak głęboką przepaść, dzielącą dwa światy. Tę granicę, można było przekroczyć tylko w jedną stronę. Nie potrafił uwierzyć, że odeszła, że nie może cofnąć czasu. - Powinniśmy byli rozegrać to inaczej...

Do głowy zaczęły mu napływać kolejne „gdyby tylko”: gdyby tylko nie poleciała na Kashyyyk, gdyby tylko wróciła prosto na Mandalorę, gdyby tylko powiedziała mu wcześniej... Dosyć! Zmusił się, żeby myśleć o czym innym. Wrócił stary, dobry RC--1136 - ten Darman, któremu wbijano do głowy przy każdej okazji, że w razie zagrożenia należy dokonać trzeźwej oceny sytuacji i ratować tych, których się da.

Był tylko jeden sposób na przeżycie najbliższych kilku minut, nie mówiąc o następnym dniu czy reszcie życia: musiał się zająć Ninere. To była jedyna rzecz, na której powinien się skupić. Nie potrafił trzeźwo myśleć. Jego dłonie i oczy żyły własnym życiem, kiedy przechodził przez kolejne etapy rutynowego sprawdzania stanu swojego brata. Świat się dla niego skończył, ale on wciąż się poruszał, jak pozbawione głowy zwierzę. Jakiś cichy głos go przestrzegł, że w końcu kiedyś

będzie się musiał otrząsnąć i wrócić do rzeczywistości, do świata bez Etain.

- Uciekaj, Dar - powiedział z trudem Niner. - Zabieraj stąd swoją shebs. Kal'buir czeka. Leć.

Darman przestawił swój HUD na tryb awaryjny i nadał wiadomość na wszystkich lokalnych niezakodowanych kanałach:

- Pilnie potrzebujemy pomocy medycznej. Uraz kręgosłupa. Kładka remontowa mostu - szukajcie kriffing linki z kotwiczka. Mam włączony reflektor... Lekarz!
- Posłuchaj, zostaw mnie - nalegał Niner. - Wracaj do punktu zbornego. Szybko! Nie ma czasu!
- Nie zostawię cię! - powiedział z mocą Dar. - Zrobią z tobą to samo, co chcieli zrobić Fi!
- Etain nie żyje - przypomniał mu Niner. - Została zabita. Kad cię potrzebuje...
- Wiem, wiem! Zamknij się!
- Dar, jeśli teraz nie pójdziesz, utkniesz tutaj!

Darman słyszał wołanie Atina przechylonego przez poręcz mostu. Wszystko rozgrywało się w ciasnej przestrzeni ich hełmów i chociaż wysoko w górze nadal trwały zamieszki, nie słyszeli nic poza swoimi głosami.

- Dar! Możesz go ruszyć? Czy da radę iść o własnych siłach? Musimy się stąd wynosić, - i to już!
- Ma złamany kręgosłup. Nie zabiorę go...
- Shab\ Shab... - zaklął Atin. - Poczekaj chwilę...

Kad był synem Dara - jedyną pamiątką, jaka została mu po Etain. Ale o Kada miał się kto zatroszczyć, a Niner, jeżeli Darman go porzuci, zostanie tutaj sam. Kiedy Fi leżał ranny, odłączyli go od aparatury, a jednak nie umarł. Przeżył, bo Besany nie zostawiła go na łaskę bezdusznych gnojników, którzy widzieli w nim tylko maszynkę do zabijania. Jeśli Darman zostawi tu Ninera rannego, może z nieodwracalnymi uszkodzeniami ciała, pewnie również skaże go na taki los. Nie mógł odejść.

Kadowi nic nie będzie, powtórzył sobie w myślach. Kal'buir się nim zaopiekuje. Będzie bezpieczny - a Niner nie.

- Wracaj, At'ika - powiedział. - Powiedz reszcie, że dołączymy do was, kiedy Niner wydobrzeje.
- Dar! Pogięło cię do reszty?! Nie możesz tu zostać! Niner też nie!
- Nie mogę go zabrać - powtórzył cierpliwie Darman. - Trzy--sześć bez odbioru. - Przerwał połączenie. Od lat nie posługiwał się swoim numerem. Czuł się, jakby kontrolę nad nim przejął autopilot. Ktoś musiał odebrać jego komunikat, bo wysoko w górze pojawiła się kanonierka LAAT/i. Widział w przedziale desantowym żołnierzy w białych zbrojach, gotowych spieszyć im na pomoc. To był zawsze pocieszający widok. Teraz oznaczał również koniec jego mrzonek o normalnym życiu w szczęśliwej rodzinie.

Wsunął dłoń pod głowę Ninera.

- Wszystko będzie dobrze, Ner'ika - powiedział łagodnie. -Zobacz tylko, jak elegancko poskładali Corra.
- Ty shabuirze - syknął Niner. - Nie waż mi się shabla tu zostawać! Masz lecieć z Kadem! Nie możesz go zostawić!
- Nie mogę zostawić ciebie - powiedział Dar. Serce pękało mu z bólu i wiedział, że już nigdy nie zdoła go posklejać. Jakim cudem człowiek może znieść taką dawkę cierpienia? - przeszło mu przez myśl. LAAT/i wylądowała i zespół ratowników w mgnieniu oka znalazł się przy nich na permabetonowej płycie kładki. Medyk założył blokadę na szyję Ninera i unieruchomił mu kręgosłup. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiają na wewnętrznym kanale. - Kadowi nic nie będzie. Ty też się wylizasz, zobaczysz. Pewnego dnia... wszystko będzie dobrze. Nie zostawię cię - mówił Dar. - Ty mnie nigdy nie zostawiłeś. Wróciłeś po mnie na Qiilurze, a nawet mnie wtedy nie znałeś...

Chociaż Niner był unieruchomiony, wciąż mógł machać ramionami. Uderzył Darmana mocno w pierś.

- Idź! - warknął. - Wynoś się! Nie potrzebuję cię!

Darman patrzył, jak medycy wsuwają pod ciało Ninera metalowe nosze i przypinają go do nich uprzężą.

- Hej! Ostrożnie! - ofuknął ich.

- Spadaj stąd, Dar! - powtórzył Niner. - Nie możesz zostawić dzieciaka. Taki z ciebie ojciec? Co by powiedziała Etain, gdyby...

- Nie waż się wycierać sobie gęby jej imieniem! - wycodził Dar przez zaciśnięte zęby.

Ledwie nad sobą panował, ale zmusił się do spokoju. Wiedział, że nie może poddać się emocjom, bo kiedy napięcie minie, a Niner trafi do centrum medycznego, po prostu się rozklei.

Nie pozwoli na to. Musiał wziąć się w garść. Musiał ustalić plan działania. Nie wiedział, co robić, ale musiał się na coś skupić.

- Shabuir - wymamrotał Niner. - Ty głupi mały shabuirze... Nie jestem tego wart...

- Za późno - stwierdził beznamiętnie Dar. - To koniec. Naprawdę. Ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek odłączył cię od aparatury.

- Proszę się nie martwić - powiedział medyk, zupełnie jakby słyszał ich rozmowę. - Wygrzebie się z tego.

Zawsze tak mówią, pomyślał ponuro Dar.

Przed oczami wciąż stała mu scena śmierci Etain, jakby wypalona na jego wyświetlaczu HUD. Nie próbował jej odegnać. Odciął łączność i wykrzykiwał imię Etain raz za razem, dopóki nie zabrakło mu tchu w piersiach.

Ordo odciągnął Atina znad poręczy.

- Wyłączył się! - jęknął komandos. - Odciął łączność!

W tej chwili nie mogli zrobić dla Ninera nic więcej. Nie mogli go ze sobą zabrać, bo to by go zabiło. Czy powinni czekać? Czy będą tu dłużej bezpieczni? LAAT/i uniosła się w powietrze i ostatnią rzeczą, którą Ordo zobaczył, był Darman wychylający się ze środka - podświetlony na niebiesko hełm z wizjerem w kształcie litery „T” - a potem wszystko pochłonęła czerń.

Kal'buir szalał. Corr chwycił go za rękę i prawie mu ją wykręcił, próbując go uspokoić. Dramat rozgrywał się w całkowitej ciszy, ograniczony do linii ich prywatnego łącza; cała reszta widziała tylko chaotyczne gesty grupki klonów i opętanego żądzą krwi Mandalorianina.

Ordo czuł w piersi tak wielki ciężar, że ledwie mógł oddychać. Nie potrafił przestać myśleć o Etain, Darmanie i Ninerze. Tak samo jak Kal'buir miał ochotę niszczyć wszystko, co stanie mu na drodze, żeby tylko jakoś zagłuszyć ból, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Skirata go potrzebował. Ordo musiał zapanować nad sytuacją i ich stąd wyciągnąć.

Z naprzeciwka biegł do nich Jaller Obrim. Na moście nadal panował trudny do opisanego chaos. Wokół pełno było medyków, udzielających pierwszej pomocy istotom, które zostały stratowane, postrzelone czy ranne od ciosów mieczy świetlnych. Powoli zjawiały się roboty - wysłannicy kanału informacyjnego HoloNetu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był występ we wszystkich głównych wydaniach wiadomości.

- Ordo, musicie ruszać. Teraz - sapnął Obrim i zatrzymał się, żeby ofuknąć dwóch gliniarzy, którzy próbowali ruszyć ciało Etain. Jej twarz była przykryta kurtką służb CSB. - Hej, wy dwaj! Łapy precz! Pozwoliłem wam jej dotykać? Nie! Powiedziałem „precz"! Już was tu nie ma! - Odwrócił się z powrotem do Orda. - Zabieraj stąd Kala, szybko. Wkrótce te głąby zorientują się, że Etain była Jedi, a wtedy utkniecie po uszy w naprawdę głębokim dwang. Będę miał na oku Dara i Ninera, ale wy musicie stąd wiać.

Była Jedi... Była. Odeszła, już na zawsze. Wystarczyło kilka minut, dosłownie sekundyby mówili o niej w czasie przeszłym.

Skirata zdjął drżącymi dłońmi hełm. Twarz miała kredowo białą i wykrzywioną grymasem wściekłości - oblicze szaleńca zdolnego do wszystkiego.

- Nie bez Dara i Ninera - wycedził. - I nie bez Etain, nie bez mojej dziewczynki...  
- Kal, proszę... - Obrim nie porzucił prób przemówienia mu do rozsądku. - Wiesz, że nie będę mógł cię długo kryć. - Potrząsnął nim. - Proszę, stary, zrób to dla mnie.

Corr wiedział, że Skirata nie da się przekonać. Nie w tym stanie. Kiedy wpadał w amok, nie było siły, która by go powstrzymała. Zachowywał się jak dzika, nieokiełznana bestia.

- Nie odleczę stąd bez moich chłopców - powtórzył twardo.

- Odleczysz.

- Nic z tego! - warknął ostrzegawczo. - Z drogi! Muszę ich shabla...

- Wybacz, staruszk - mruknął Obrim - ale nie dajesz mi wyboru. - Wyciągnął niewielki pistolet i przycisnął go do szyi Skiraty. Nacisnął spust, a Kal runął na ziemię jak długi. Na szczęście Corr zdążył go w porę złapać. Obrim mruknął coś pod nosem, a potem rozejrzał się po tłumie świadków i na ich użytek odstawił małe przedstawienie. - Zabierzcie mi z oczu tego kriffing Mando i uprzątnijcie ciało! - huknął.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział posłusznie Ordo. -Poczekamy na A'dena - dodał pod nosem i wybrał kod swojego brata. A'den był teraz z Ny Vollen w pobliżu, mógł więc zabrać ciało. - A'den, słyszysz mnie? Zejdź tu najszybciej, jak możesz.

Obrim popatrzył na Corra i leżącego bezwładnie Skiratę.

- Powiedz mu, że naprawdę mi przykro, ale musiałem to zrobić - mruknął z zakłopotaniem.

- Powtórz mu, że zajmę się

Darem i Ninerem najlepiej, jak zdołam. A teraz idźcie już. Czas na was.

- Dzięki, Jaller...

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Twarz kapitana CSB była ściągnięta z bólu. - Tak mi przykro z powodu Etain...

Ordo zarzucił sobie jedno ramię Kal'baira na szyję i polecił Corrowi zrobić to samo z drugim. Zawlekli go z Atinem do śmigacza i po chwili lecieli już nad miastem. Ta chwila, planowana od tak dawna, mogła być momentem triumfu i radości, ale stało się inaczej. Wszyscy byli pogrążeni w głębokiej rozpacz i niepewni jutra.

Ordowi pojęcie zemsty było bliższe, niż przypuszczał, ale teraz nie było nikogo, na kim mógł wziąć odwet. Jednak Jedi... tak naprawdę to oni byli wszystkimu winni.

Będzie wiedział, jak im się odplacić, kiedy spotka któregoś następnym razem.

## **ROZDZIAŁ 23**

Bardzo możliwe, że coraz mniej jasne wizje Jedi są wynikiem ich głębokiego zepsucia moralnego. Przestali przestrzegać tak wielu zasad, że nie potrafili dostrzec Ciemnej Strony Mocy, ponieważ nie widzieli wyraźnej różnicy między nią a nimi samymi -zupełnie jakby próbowali wypatrzeć szarego nerfa we mgle. Sami sobie zrobili krzywdę.

Bardan Jusik, były rycerz Jedi

Kyrimorut, Mandalora, 1090 dni po Bitwie o Geonosis

To była najgorsza noc w życiu Fi - a to wiele znaczyło, ponieważ w swojej krótkiej karierze zaliczył całkiem sporo strasznych nocy.

Bardzo to wszystko przeżywał, ale wolał nie myśleć, jak się czują Skirata, Niner czy Dar. Gdy tylko „Aay'han" wylądowała

na Mandalorze, na poszyciu kadłuba załomotały czyjeś kroki i po chwili włązy na górze i lewej burcie uniosły się z sykiem.

Do środka wskoczył Mereel, ale na widok min pasażerów zamarł bez ruchu. Atmosfera przygnębienia i rezygnacji była tu tak gęsta, że prawie namacalna.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał ani nie poruszał, aż w końcu Laseema powoli podniosła się z koi, tuląc do piersi Kada, który rozglądał się wokół czujnie, zupełnie jakby kogoś szukał. Kiedy wyszła na zewnątrz, Besany wstała i podała Kalowi dłoń.

- Chodź, Kal'buir - powiedziała łagodnie, obejrzała się przez ramię i machnęła na pozostałych wolną ręką. - Wszyscy do domu. Wiem, że nie macie na nic ochoty, ale wszystkim nam dobrze zrobi ciepły posiłek, a potem odrobina snu. Daleko bez tego nie zajdziemy. Choć mówiała cicho i spokojnie, wszyscy zrozumieli, że to rozkaz i posłuchali. Teraz to kobiety przejmowały dowodzenie w ich grupie, całkiem jakby wchodzili w drugą fazę walki. Zresztą rzeczywiście tak było, a oni wiedzieli, że będzie trudniej niż na początku. Fi poczekał, aż Atin, Corr, Ordo, Vau i Jusik wyjdą ze statku. Jilka cały czas siedziała z dłońmi złożonymi na podolku i wzrokiem wlepionym w Skirate, jakby nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Po chwili podreptał do niej Mird. Szturchnął dziewczynę zimnym nosem w kolano, złapał ostrożnie za rękaw i pociągnął. Strill okazał się mądrzejszy, niż Fi przypuszczał. Zachowywał się dyplomatycznie.

- Wszystko w porządku, Fi, zajmę się Kalem - powiedziała Besany. - Parja na pewno na ciebie czeka. Idź się z nią przywitać. Zaraz do was dołączymy. Fi nie przypuszczał, że na zewnątrz będzie jasny dzień, a już na pewno nie słoneczne popołudnie. Światło odbite od grubej warstwy śniegu tak oślepiało, aż musiał zmrużyć oczy. To wszystko jest bez sensu, pomyślał. Powinni przylecieć ciemną nocą, najlepiej podczas burzy z piorunami. Wiedział, że od tej pory wszystkie słoneczne dni będą mu się kojarzyć z tym okropnym bólem, który czuł w piersi. Stał na progu wjazdu i patrzył, jak Parja sprawdza mechanizm lądowniczy czujnikami naprężenia, a potem reguluje układ potężnych tłoków amortyzatorów energicznymi pociągnięciami hydroklucza. Po każdym ruchu zamierała i nasłuchiwała uważnie.

- Witaj, cyar'ika - powiedziała i wyciągnęła do niego poplamioną smarem dłoń. Nie musiała pytać, jak się czuje, bo wiedziała. - Jak tylko wszyscy wysiądą wstawimy „Aay'han” do hangaru - zarządziła. - Tęskniłam za tobą. Witaj w domu.

Jego usta w końcu posłuchały mózgu i zaczęły formułować słowa. Tym razem odrętwienie nie było jednak spowodowane obrażeniami. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć - a byłoby mu tak samo trudno, gdyby był dawnym sobą sprzed wypadku.

- Słyszałaś, co się stało...

- Tak — powiedziała cicho Parja. Objęła go i przez chwilę milczała. - Słyszałam. Choć wokół krzątało się ponad dwadzieścia osób, panowała głucha cisza, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Laseema w naturalny sposób przejęła dowodzenie grupą. Teraz z pomocą Rav Bralor wydawała rozkazy i kierowała kolejne osoby do ich kwatery. Nawet Jilka, która nie miała powodów, żeby żywić do ich bandy kryminalistów (Fi nie miał żadnych złudzeń, że tym właśnie byli) ciepłe uczucia, krzątała się po kuchni. Jakby nigdy nic, zajęła się wraz z Ruu przygotowaniem posiłku. Była spokojna, jakby jej ułożone i wygodne życie nie runęło niedawno w gruzy dlatego, że miała pecha i znalazła się w złym miejscu o niewłaściwej porze. Każdy wyszukał sobie jakieś zajęcie i robił, co do niego należało - każdy oprócz niego, miał wrażenie Fi. A przynajmniej myślał tak, dopóki nie zobaczył Orda stojącego z Jusikiem w korytarzu prowadzącym do magazynu uzbrojenia. Sprawiali wrażenie dziwnie zagubionych. Obaj byli twardzielami, każdy na swój sposób, ale teraz wyglądali na zdezorientowanych i zrezygnowanych.

Zmęczenie robiło swoje. Kiedy opadały najsilniejsze emocje, kiedy wytracało się rozpęd, nagle najmniejsze błahostki wydawały się zbyt dużym brzemieniem. Fi wiedział aż za dobrze, jak to jest. I wiedział też, że tym razem wypoczynek nie wystarczy -nieważne, jak długo by trwał.

- Parja chce wstawić statek do środka - powiedział. - Pomożecie nam?

Bezczynność i rozpamiętywanie straty nie były dobrym sposobem na stłumienie bólu. Fi wyznawał zasadę, że najlepszym lekarstwem na odegnanie złych myśli jest rzucenie się w wir wydarzeń i działanie, dopóki z wyczerpania nie padało się z nóg -a potem znów i znów, aż ból zelżeje na tyle, że stanie się znośny

W ten sposób poradził sobie z utratą członków swojej pierwszej drużyny i teraz zamierzał zrobić to samo.

- Tak, lepiej zatrzeć ślady - powiedział niemrawo Ordo; od razu wyprostował się i podniósł głowę, jakby ktoś podłączył go do zasilania. - Jak prognoza pogody? Przydałoby się jeszcze trochę świeżego śniegu, żeby zakrył zdeptane miejsca.

Kiedy wrócili na statek, Besany i Skiraty nie było już w środku. Parja pracowała pod brzuchem „Aay'han” na platformie diagnostycznej, sprawdzając działanie jakichś systemów. Na widok Fi machnęła ręką w bok, wskazując mu dwie postacie skulone na najwyższej z czterech wyslizganych brył granitu, sterczących z ziemi w pobliżu.

- Chciał poczekać na A'dena - wyjaśniła. - Bes'ika uparła się, że dotrzyma mu towarzystwa. Ordo ostentacyjnie spojrział na wyświetlacz na karwaszu.

- Jest minus osiem stopni - powiedział kwaśno. - Zamarzną, jeśli będą tu tkwić jak te kolki.

- Ruszył w ich stronę, nierównym krokiem, jakby starał się ukryć swoją obecność na otwartym terenie - niektórych odruchów komandosa trudno się wyzbyć. Porozmawiał z nimi chwilę, a potem wrócił do Parji i Fi.

- Besany mówi, że sobie poradzą - oznajmił. - Dopilnuje, żeby Kal'buir włożył hełm i uszczelnił kombinezon.

Do ich grupy zbliżył się Vau, żeby sprawdzić, jak im idzie.

- Będzie z nim tak samo jak z Jango - rzucił, wskazując podbródkiem Skiratę. Obok niego dreptał Mird, klucząc po śniegu i zdeptując ślady. - Pierwsza strata ścina z nóg, następna zmienia w drapieżną bestię, a potem gniew nabrzmiewa i staje się paliwem, podsycającym żądzę zemsty. Da sobie radę. - Pokiwał głową z namysłem. - To właśnie dzięki temu Jango zdołał przetrwać tyle lat w niewoli na statku. Z Kalem będzie tak samo. Tak właśnie postępują Mandalorianie: krótko rozpaczają, długo pamiętają, a potem mszczą się krwawo.

Fi wciąż uczył się mandaloriańskiego stosunku do pewnych spraw - kontrastu między zapominaniem o przeszłości tego, kto do nich dołączał, a pielęgnowaniem w duszy wspomnień i rozpamiętywaniem dawnych czasów. Powoli zaczynał to wszystko rozumieć.

Ordo włączył silniki „Aay'han” i z pomocą Vaua i Fi wprowadził łódź do hangaru ukrytego w płytkim zboczu na północ od

domu. Większą część popołudnia ich piątka - Mird uparł się, żeby też pomagać - spędziła, doprowadzając wewnątrz „Aay'han” do porządku, uzupełniając zapasy i przygotowując statek do następnego lotu.

- Kto na ochotnika pójdzie pogadać z Uthan? - spytał Vau, kiedy rozsiedli się w końcu, wyczerpani, na kontenerach w hangarze. - Jest przekonana, że czeka w bezpiecznym lokalu na transport do jakiejś sympatycznej placówki separańców.

- Na razie chyba nie ma potrzeby wyprowadzać jej z błędu -stwierdził Ordo. - Poczekajmy, aż Kal'buir uzna, że już czas.

Mird krążył po hangarze i obwąchiwał wszystkie zakamarki. Fi stwierdził ze zdziwieniem, że charakterystyczny zapach strilla nie przeszkadza mu już tak bardzo jak kiedyś. Widocznie się do



niego przyzwyczaiał. Nagle zwierzę zamarło, uniosło pysk, wbiło spojrzenie bursztynowych ślepiów w drzwi hangaru i zaskomlało cicho. Chwilę później Fi usłyszał gdzieś w górze słabe terkotanie silników statku podchodzącego do lądowania. Kiedy wyszli na zewnątrz, pomarańczowa kula słońca chyliła się już ku zachodowi, a tuż obok lądował zakurzony, pordezwiąły frachtowiec.

- Do warty honorowej! - warknął Vau.

Kiedy u szczytu rampy pojawił się A'den, Skirata i Besany byli już na miejscu. Fi, Ordo, Vau i Jusik zajęli natychmiast pozycje po obu stronach rampy i stanęli na baczność. Chwilę później z głównego wejścia bastionu wysypała się reszta klanu Skiraty, Rav Bralor, Tay'haai i Gilamar - i w ciszy dołączyli do szpaleru obok statku.

- Wybacz, Kal'buir - odezwał się A'den. - Ny musiała zabrać jeszcze kilka zbłąkanych owieczek... - Odwrócił się, machnął do kogoś poza zasięgiem ich wzroku i po chwili za jego plecami pojawiła się drużyna komandosów - czwórka klonów bez hełmów, w zbrojach typu Katarn o charakterystycznym szarobrazowym kamuflażu.

- Wayii\ - zawołała Bralor. - Cov?

- Melduję Drużynę Yayax w pełnym składzie, proszę pani -zasalutował Cov. Kiedy mówił, z jego ust unosiły się obłoczki pary. - Nie wierzę, że to zrobiliśmy...

- Olarom, ad'ike - przywitała ich Rav. - Witajcie w domu.

Na szczycie rampy pojawiła się Ny Vollen. Spojrzała na Skiratę i skinęła głową.

- Znów się spotykamy, staruszku - powiedziała łagodnie.

Skirata odwzajemnił gest.

- Dziękuję, że przywiozłaś ją do domu.

- Przykro mi...

- Mnie również przykro z powodu twojego męża.

- Tak - mruknęła Ny, odwracając wzrok. - Może lepiej było pozostać w nieświadomości. - Przez chwilę studiowała w milczeniu swoje paznokcie. Widać A'den powiedział jej, jak zginął jej mąż. - Ale teraz przynajmniej mogę przestać wyobrażać sobie gorsze scenariusze - dodała cicho.

- Racja - przytaknął Skirata.

- Gotowi? - spytała Ny. - Mam na pokładzie wózek repulsorowy...

- Nie. - Skirata postawił stopę na rampie. - Jest za zimno. A poza tym to by było zbyt...

bezduszne. - Zniknął we wnętrzu statku i po chwili wyszedł, niosąc w ramionach drobne ciało, owinięte od stóp do głów w prześcieradła. Tulił je do serca, jakby się bał, że zmarznie. - W końcu jesteś w domu, Et'ika - szepnął. -Kad na ciebie czeka.

Wszyscy wstrzymali oddech. Skirata zszedł wolnym krokiem z rampy i zatrzymał się u jej stóp.

- Bard'ika, rycerze Jedi są po śmierci kremowani, zgadza się? -spytał.

- Tak jest, Kal'buir.

- Jutro... Chcę, żeby spędziła ostatnią noc w domu, wśród rodziny i przyjaciół, a potem połączy się z Mocą czy mandą, czy czym tam...

Zwykle Kal'buir wymawiał słowo „Jedi” jak obelgę, ale było jasne, że w tej chwili zupełnie zmieniło dla niego znaczenie. Fi zastanawiał się, kto się pierwszy rozklei i z zaskoczeniem stwierdził, że Ordo. Kiedy na niego spojrzał, komandos przyciskał do ust płytę karwasza i zaciskał mocno powieki, ale zaraz wziął się w garść i znów stanął na baczność.

- Shab... - mruknął Vau. - Ta nienawiść tak łatwo nie zgaśnie. Wystarczy jej na wiele pokoleń...

Skirata zniknął w wejściu do bastionu i członkowie zaimprovizowanej warty honorowej zaczęli powoli się rozchodzić. Fi bezwiednie odnalazł dłoń Parji i uściśnął ją mocno, próbując dodać im obojgu sił na nadchodzący długi i trudny wieczór.

Bastion Kyrimorut, później tego samego dnia

Gilamar stwierdził kiedyś żartem, że stół w jadalni Kyrimorut mógłby w razie potrzeby pełnić funkcję stołu operacyjnego.

Blat tworzyła pojedyncza, gruba płyta z prastarego drewna veshok; takie drzewa porastały większą część północnej półkuli Mandalory, aż do granicy czapy polarnej. Jusik ocenił wrażenie, że stół jest wręcz stworzony do świętowania ważnych wydarzeń w życiu klanu, prowadzenia żywiołowych dyskusji, a gdyby komuś przyszło to do głowy - idealny do rozmontowywania różnych urządzeń. Siedział między Mereelem a Jaingiem. Skirata zajął miejsce u szczytu stołu niczym prawdziwy patriarcha, chociaż Jusik podejrzewał, że bardziej po to, żeby być słyszany niż dlatego, że czuł się dowódcą klanu.

- Słyszeliście, co powiedziały nasze kobiety - odezwał się Kal. Twarz miał ściągniętą z bólu i poszarzałą ze zmęczenia. -Haili cetare. Jedzcie i pijcie do woli.

W wyższych sferach Coruscant kręcono nosami na tradycję, zgodnie z którą to kobiety powinny zajmować się kuchnią, ale Jusik był częścią społeczności Mandalorian i wyznawał zasadę, że klan jest w pewnym sensie oddziałem wojska. Każdy miał swoje miejsce w szeregu, a kobiety były traktowane na równi z mężczyznami. Czasem walczyły z nimi ramię w ramię - jak Bralor - a kiedy indziej nie. Jednak te, które akurat nie były się na froncie, nadal miały pełne ręce roboty - musiały żywić żołnierzy, dbać o zaopatrzenie i bronić domostw. Jedno łączyło się nierozzerwalnie z drugim. W tej chwili klan Skiraty przeżywał trudne chwile, więc to kobiety przejmowały dowodzenie i pilnowały, żeby żołnierze byli nakarmieni i wypoczęci. Nie było chlipania w błyszczcojedwabne chusteczki i wystawiania na progę. Liczyło się tylko rozsądne planowanie i skuteczne działanie, przemyślane i pewne, nawet gdyby dziewięć koreliańskich piekieł obróciło się w proch i pył. Etain była...

Etain nie żyje. Jusik powtarzał to sobie co chwila; patrzył przecież na wciąż żywych przyjaciół, rozmawiał z nimi i nie mógł się pogodzić, że jednej z ich grupy... nie było.

Laseema mówiła, że w chwili śmierci matki Kad rozplakał się głośno i przez bite pięć minut nie mogła go uspokoić. Potem ucichł i przestał w ogóle reagować na cokolwiek, zupełnie jak nie dziecko.

Teraz chłopiec grzecznie jadł łyżeczką przetartą kanetę, chociaż i tak większość papki lądowała na stole. Był dziwnie poważny; jakby coś się w nim nieodwracalnie zmieniło. Skirata posadził go obok siebie w wysokim krzeselku i między jednym kęsem a drugim wycierał mu umorusaną buzię. Na pierwszy rzut oka było widać, że potrafi zajmować się dziećmi i to zajęcie jest dla niego tak samo ważne, jak fach wojownika. Bardan mimowolnie wyobraził go sobie w otoczeniu brzdąców, które miały kiedyś zostać komandosami.

Teraz to na nim, Jusiku, spoczywał obowiązek opieki nad Kadem. Musi go nauczyć rzeczy, które znajdowały się raczej poza zasięgiem Kala. Dziecko było wrażliwe na Moc i przyjdzie mu żyć w czasach, kiedy sam ten fakt oznaczał wyrok śmierci. Jusik sięgnął poprzez Moc i ostrożnie nawiązał z chłopcem kontakt. Malec przestał ciamkać, odwrócił powoli głowę w jego stronę i przyjrzał mu się z namysłem.

„Brawo, Kad'ika! To nasza gra, w którą będziemy się bawić tylko my dwaj i tylko w naszym klanie". W myślach przedstawił sobie bastion o grubych dających bezpieczeństwo murach i pokazał Kadowi, że mogą go ochronić przed złymi obcymi na zewnątrz. Starał się mu to przekazać bez słów najlepiej jak umiał. „To nasze miejsce. Jest wyjątkowe. Nie wpuszczamy tu obcych. Mama chciała cię chronić przed złymi ludźmi".

Jusik nie chciał, ryzykować, że dziecko popadnie w paranoję, ale teraz nie chodziło już tylko o strach przed porwaniem przez Jedi. Na arenie pojawili się Sithowie, którzy z pewnością zechcą podporządkować sobie wszystkich użytkowników Mocy, jeśli tylko ich znajdą. Palpatine i tak już wie, że Skirata ma coś, co on by chciał dostać w swoje ręce, więc Jusik nie miał zamiaru dawać mu powodu do poszukiwań Kyrimorut.

- Czy nikt nie ma nic przeciwko używaniu przeze mnie Mocy przy stole? - spytał profilaktycznie. Ktoś mógł zauważyć Kada i domyślić się, co robią. Uniósł ze stołu i pchnął Mocą w stronę Laseemy miskę tingilaaru - pikantnej zapiekanki mięsnowarzywnej, słynącej z hetikles, jednej z czterech zalet mandaloriańskiej kuchni. Potrawy, które były hetikles dawało się w skrócie opisać jako tak ostre, że paliły w gardło i wyciskały z oczu łzy. - Pomału uczę Kada etykiety korzystania z Mocy.

Corr spojrział na Fi spode łba, jakby zastanawiał się, czyja teraz kolej na błaznowanie i czy w ogóle w takich okolicznościach wypada żartować. Fi widocznie zrozumiał, bo skinął mu przyzwalająco głową.

- Cóż - odezwał się Corr - zasady stosowane w mesach oficerskich mówią wyraźnie, że Mocy nie wypada używać, zanim nie podadzą bespińskiego porto, ale skoro jesteśmy w gronie najbliższych, możemy sobie pozwolić na nieco swobody.

Jusik miał ochotę się roześmiać, ale czuł, że byłoby to nie na miejscu, a poza tym bał się, że zamiast śmiechu wybuchnie płaczem. Ciało Etain spoczywało na marach w pokoju obok, a oni cieszyli się wspólnym posiłkiem. Wiedział jednak, że ich siostra sama by się uradowała, widząc jak Corr ze sztywno trzymającego się przepisów, niezbyt towarzyskiego niewolnika zmienia się w człowieka, który czerpie z życia każdą kroplę nowo odkrytej wolności. Jego żart wywołał błady uśmiech na twarzy Jilki i najwyraźniej rozbawił Ruu Skiratę, chociaż ta ostatnia starała się tego nie okazać.

Dziwny czas na pojednanie z ojcem po tylu latach rozłąki, pomyślał, patrząc na nią.

- Bard'ika - zagaił Skirata. - Co się dzieje z Jedi, kiedy jednoczą się z Mocą? Tak się to nazywa, prawda?

To było trudne pytanie, ale Jusik wiedział, że w tych okolicznościach odpowiedź będzie jeszcze trudniejsza.

- Tak naprawdę nikt do końca tego nie wie - powiedział ostrożnie. - Osobiście jestem zdania, że niektórzy Mistrzowie Jedi mogą dzięki Mocy powracać jako duchy i kontaktować się z żywymi. Nie każdy w to oczywiście wierzy; niektórzy twierdzą że to mit, ale ja, uważam, że to prawda.

Przy stole zapadła głęboka cisza. Nikt nie mlaskał, nie siorbał, ustało szczękanie sztućców o porceplastowe nakrycia. Jusik rozejrzał się po twarzach otaczających go ludzi i poczuł w Mocy ich zaskoczenie.

Dopiero teraz dotarło do niego, jak wielkie znaczenie miało uświadomienie im tego faktu tak krótko po śmierci Etain. Teraz, kiedy wiedzieli, że wśród Jedi zdarzało się pewnego rodzaju życie po śmierci, musieli czuć się... wykluczeni. Zwykle istoty mogły o czymś takim tylko marzyć. Jusik przez chwilę się zastanawiał, czy nie podsunąć im, że to raczej teoria niż pewnik, ale po chwili

uznał, że nie może skłamać. Wierzył w to - a także słyszał o wielu takich przypadkach, wołał więc milczeć. Postanowił zataić prawdę i nie ujawniać, że świadomość Etain być może nie całkiem odeszła. Lepiej, żeby nie zazdrościli Jedi.

Skrzywił się w duchu. Wołał się nie zastanawiać, co będzie z nim po śmierci, jeżeli miał rację.

- Cóż, niezbyt to do mnie przemawia - powiedział Skirata. Jusik nie wiedział, czy w jego głosie brzmi nuta sarkazmu, czy po prostu zmęczenie i rezygnacja.

Nie mógł się teraz wykręcić od odpowiedzi. Ordo patrzył na niego spode łba.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, czy Etain żyje teraz w innym wymiarze albo coś w tym rodzaju - powiedział - czy w ogóle coś takiego jest możliwe i czy stamtąd można wrócić... cóż, szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Nie ukrywam, że chciałbym, żeby tak było.

Każdy z nich z pewnością się teraz nad tym zastanawiał - jak mogli o tym nie myśleć?

Mandalorianie mieli swoją mandę, ale jej koncepcja była bardzo mglista. Chodziło tu o szeroko rozumianą ciągłość życia niż dosłownie życie po śmierci.

- Nie ma co owijać w bawełnę - powiedział Kal zmęczonym głosem. Kad wyciągnął w jego stronę łyżeczkę warzywnej papki i Skirata przyjął poczęstunek. - Nie bójmy się tych słów:

martwy, śmierć, trup. Nie można tego unikać, nie ma co się oszukiwać i odwracać oczu. Życie i śmierć są ze sobą nierozzerwalnie związane. - Zamilkł i zajął się z powrotem swoim posiłkiem.

Ordo sięgnął po butelkę tihaar i nalał szklaneczkę dla Kala. Ruu zabrała mu ją ostrożnie. Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, a ich spojrzenia się skrzyżowały, ale emocje opadły, kiedy kobieta wstała, podeszła do szczytu stołu i postawiła ją przed Kal'buirem.

- Dziękuję, ad'ika - mruknął Skirata. - Dobrze mieć cię znowu przy sobie. - Wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz. Nastrój wśród biesiadników wahał się między radością a rozpaczą i wszyscy podejrzewali, że to się nie zmieni przez najbliższe tygodnie, miesiące czy nawet lata.

- Kal, będziesz to wszystko roztrząsał jeszcze tysiące razy - odezwała się Ny. Wydawało się, że czytała Skiracie w myślach, zupełnie jakby znali się już całe wieki. - Raz za razem. Ze mną

było tak samo. Pamiętaj jednak, że Etain umarła tylko raz - a teraz jest już po wszystkim. - Mogło się wydawać, że jej słowa brzmią ostro, i zawierają nagą prawdę, ale Jusik wiedział, że w tym stwierdzeniu jest głęboka mądrość i że takie postrzeganie śmierci może dać ukojenie. Śmierć, kiedy już nadeszła, była faktem dokonany. Zmarli nie doświadczali bólu żywych, którzy rozpamiętywali wszystko bez końca, zastanawiając się nad tym, dlaczego tak się stało i „co by było, gdyby”. To żywych trawił bezustanny ból, jeśli pozwolili, żeby śmierć najbliższej osoby wyparła z ich świadomości wszystko inne. Za to ci, których śmierć nie dawała im spokoju, których próbowali wciąż ożywić w swoich wspomnieniach, byli teraz wolni od bólu i trosk. Skirata zastanawiał się jakiś czas nad słowami Ny; po chwili uśmiechnął się do niej smutno.

- Chyba masz rację, szalona pilotko - powiedział. Jej słowa dodały mu otuchy, jak butla ożywczego tlenu ratuje życie rozbitkowi w kosmicznej próżni. - Muszę o tym pamiętać. - Odkasznął lekko, czym przyciągnął uwagę wszystkich biesiadników skuteczniej niż gdyby rąbnął pięścią w stół. - Czy powinienem wygłosić jakąś mowę? W naszym alit nie potrzebujemy przemówień. Wystarczy przypomnienie. Jediną rzeczą jakiej Etain pragnęła dla Dara i klonów, których dobro tak bardzo leżało jej na sercu, było prawdziwe życie. Gdybyśmy jej nie opłakiwali, znaczyłoby to, że nie kochaliśmy jej tak, jak na to zasłużyła. Nadchodzi jednak taki moment, w którym każdy z nas zrozumie że dalsza rozpacz sprawiłaby jej ból. Wiem, że chciałaby, abyście cieszyli się każdym dniem, każdą chwilą i wszystkimi drobiazgami, o których kiedyś mogliście tylko marzyć. Korzystanie z życia to najlepszy sposób, w jaki możecie udowodnić, że jej śmierć nie była daremna. Nie będzie mogła patrzeć, jak rośnie jej syn, ale wy to zobaczycie. A Dar i Niner wrócą do domu.

- Oya - rzucił Prudii, wychylając w toaście szklaneczkę tihaar. - K'oyacyi.

Ordo uniósł symbolicznie swoją szklanę.

- Za Etain - powiedział. - Za powrót Dara i Ninera. Za przywrócenie nam normalnego życia. Za patrzenie, jak Kad rośnie zdrowo jako jedno z wielu naszych dzieci. Za to, żebyśmy nigdy więcej nie byli na łasce aruetiise... i za zdrowie tych kilku prawych, jak Jaller Obrim i całe CSB.

- Oya.
- K'oyacyi.
- Oya manda.

Pojęcia ważne dla Mandalorian można było rozpoznać po analizie ich języka - wszystkie jego określenia miały wspólny rdzeń oznaczający życie i korzystanie z niego, dopóki się dało. Jusik pomyślał z zakłopotaniem, że przywilej „życia pozagrobowego” Jedi musi być dla nich faktycznie rzeczą godną pozazdroszczenia. Posiłek wydawał się trwać w nieskończoność, przedłużony rozmowami o wszystkim i o niczym, jakby nikt nie chciał pierwszy wstać od stołu i zostawić Skiraty. Kiedy przyszła kolej Jusika, żeby zmienić talerze, znalazł w kuchni Ny karmiącą Mirda resztkami.

- Sukinkot z nego - powiedziała. - Ale i słodziak.
- Strille są obupłciowe - wyjaśnił Jusik. Stworzenie zawarowało z lubością, radośnie miażdżąc kości silną szczęką. - Uważaj, czym go karmisz - przestrzegł ją. - To oczko w głowie Vaua.

- Miałam na myśli Skiratę - wyjaśniła Ny i Bardan o mało się nie zakrztusił.
- Tak... - mruknął. - Dobrze myślałem, że A'den coś knuje... -Zerknął na pilotkę w poszukiwaniu zawstydzonej miny, ale kobieta nawet nie mrugnęła okiem. Nie wyglądała na kokietkę.

- Jego synowie chcą, żeby był szczęśliwy - westchnęła. — Nadludzko się dla nich poświęca, wypruwa sobie żyły. To go wykańcza. Biedny, stary shabuir. - Pokręciła smutno głową, ale zaraz zaczęła przedrzeźniać Mirda, dopraszającego się kolejnych smakołyków. Szybko się poddała. Widać straciła dla zwierzaka głowę. - W mojej pracy często spotykałam Mandalorian - dodała. - Wiem, że lepiej im nie wchodzić w drogę, ale wiem też, że są gościnni i kochają swoje rodziny. Dzisiejszego wieczoru, przy całym żalu... ten dom przepelnia tyle miłości, że starczyłoby na obdzielenie połowy galaktyki. To jest jak magia.

I tak właśnie było. To poczucie jedności i bezpieczeństwa przyciągnęło do tych ludzi Jusika, Besany - i Etain, która zapłaciła za nie najwyższą cenę.

Ale życie toczyło się dalej. Nie mogło być inaczej. A Kad był na to żywym dowodem.

Kyrimorut, Mandalora, później tego samego wieczoru

Besany musiała położyć się spać. Jej ciało żądało tego od niej z całą stanowczością. Wcześniej miała w głowie ogromny mętlik, i bała się, że już nigdy nie zazna snu, ale kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki, zmęczenie dało o sobie znać i natychmiast ogarnęła ją błoga nieświadomość. Obudził ją płacz dziecka.

Otworzyła oczy i wyczuła słuch. Dźwięk był odległy, przytłumiony. Nasłuchiwała przez chwilę, a potem sobie przypomniała: Etain nie żyje, a Darman i Niner są daleko stąd, pozostawieni samym sobie. Zakryła usta dłonią, żeby stłumić szloch. Leżała na kołdrze, w ubraniu, światło nadal się paliło. Ordo chrapał w najlepsze obok, zwinięty w kłębek i zakopany w pościeli po uszy.

To nie dziecko płakało, stwierdziła po namyśle. Głos nie brzmiał jak marudzenie Kada, tylko jak zawodzenie kogoś starszego. Besany usiadła, włożyła buty i wykradła się na korytarz. Wokół unosił się zapach świeżego tynku i farby, kojarzący się z nowym początkiem i nadzieją na przyszłość. To nie był zapach smutku i nieodwracalnej tragedii.

Nie mogła zgadnąć, skąd dobiega dźwięk i przez chwilę stała bez ruchu, próbując zidentyfikować jego źródło. A może tylko jej się śniło? Odgłosy były przytłumione, ale skoro ona je słyszała, inni też powinni... Wyszła na korytarz i zaczęła nasłuchiwać pod kolejnymi pokojami, ale wszystkie drzwi były zamknięte i nigdzie nie paliło się światło. Spokój i całkowita cisza. Nie wiadomo dlaczego, poczuła niewytłumaczalny lęk.

W kuchni nie było żywej duszy. Na krześle przy kominku leżał zmięty koc, a ogień dogasał. Besany wiedziała, że Skirata miał w zwyczaju odmawiać sobie snu. Ten nawyk wszedł mu w krew do tego stopnia, że traktował go jak rytuał - póki nie zapewni swoim chłopcom lepszej przyszłości, póty nie zamierzał korzystać z wygod. Zupełnie jakby się bał, że jeżeli zmieni zwyczaje, nie uda mu się zrealizować swojego planu. Tak naprawdę Kal nie był przesądny, ale w tej sytuacji najwyraźniej dręczyło go poczucie winy. Rutynowe postępowanie było dla niego czymś w rodzaju treningu, dzięki któremu nie tracił formy. Drzwi do spiżarni były zamknięte, ale to właśnie stamtąd dobiegał głos. Nie, to z pewnością nie Kad. Besany stała przez chwilę, niepewna; bała się wejść do środka, bo nie wiedziała, co tam zastanie. W końcu wcisnęła przycisk na panelu kontrolnym i drzwi się rozsunęły.

- Kal? - szepnęła.

Skirata siedział skulony na odwróconym kontenerze, z głową wciśniętą w ramiona. Szlochał jak dziecko: zawodził, żałował, i co chwila spazmatycznie się zachłystywał, próbując złapać oddech. Chwilę potrwało, zanim uspokoił się na tyle, żeby jej odpowiedzieć.

- Próbuję po prostu to z siebie wyrzucić - wykrztusił w końcu. - Nie chciałem nikogo obudzić...

- Mij zostawił trochę środków uspokajających - powiedziała łagodnie Besany. - Może dobrze ci zrobi, jeśli coś zażyjesz...

- I tak będę w końcu musiał się z tym pogodzić, Bes'ika. - Wstał i odetchnął głęboko. Zawsze wstydził się okazywania uczuć a Besany uważała to za dziwnie wzruszające. - Czekaj nas sporo pracy. Naprawdę mnóstwo - powiedział.

- Jeżeli chodzi o kremację... - zaczęła. - Mogę się tym zająć. Ordo mi pomoże.

- Dziękuję, ad'ika. Dobra z ciebie dziewczyna. Wywróciłem wam życie do góry nogami, prawda?

- Cóż, sami się o to prosiliśmy - powiedziała miękko. - No, może poza Jilką i Ruu.

- Próbuję się przygotować... rano muszę pokazać Kadowi ciało jego mamy - westchnął Kal.

- Wiem, że powinien ją zobaczyć.

Besany przeszedł nagły dreszcz. Tak pewnie postępowali Mandalorianie, ale ten zwyczaj wydawał jej się... okrutny. Chociaż z drugiej strony, pomyślała, jeżeli dziecko nie zobaczy teraz Etain, może później tego żałować. Zdała sobie sprawę, że matki rzadko uczestniczyły w życiu mandaloriańskiego klanu, nawet za najlepszych czasów - Skirata nigdy nie wspominał o swojej matce, ani prawdziwej, ani przybranej, a ona sama prawie nigdy nie wracała myślami do wspomnień o swojej. To był świat ojców.

- Musisz przyjmować pomoc ludzi, skoro ci ją ofiarują, Kal - powiedziała ostrożnie. - Minął dopiero dzień...

- Ale co z Darem? - szepnął Skirata. - Jak sobie poradzi? Wolę nie myśleć, przez co teraz przechodzi. Potrzebuje wsparcia rodziny. Nawet nie wiem, co się z nim teraz dzieje... - Ukrył twarz w dłoniach. - Pewnie utknął w jakiejś dziurze WAR, o ile miał szczęście... W dodatku pewnie bez Ninera, bo chłopak trafił do centrum medycznego, jeśli w ogóle jeszcze żyje... Nawet nie możemy się z nim teraz skontaktować, tak samo jak z Jallerem... Zawiodłem ich wszystkich. To wcale nie musiało się tak skończyć...

- Dar sam zdecydował, Kal - przypomniała mu. - Jest dorosły i nie bał się wybrać! Każdy z nas musi dokonywać wyborów.

Wyglądało na to, że Skirata postanowił wziąć się w garść. Usiadł na krześle w kuchni i dał się jej otulić kocem. Besany wciąż nie mogła się nadziwić, że w mandaloriańskiej zbroi da się spać.

Wkrótce miała się o tym przekonać na własnej skórze...

Mam nadzieję, że dobrze zajęli się Ninerem, przeszło jej przez myśl. Było go jej naprawdę żal.

Biedny Niner, taki poważny i samotny, próbujący być ojcem całej drużyny, zupełnie jak Kal. Na pewno gnębiło go teraz poczucie winy z powodu Dara... Trudno powiedzieć, jak zniósł to wszystko Vau. Chociaż nie był skłonny do okazywania uczuć, to jednak kochał swoich chłopców i z pewnością zdawał sobie sprawę, jak czuje się w tej chwili Skirata.

Kiedy wróciła do pokoju, Ordo nadal spał spokojnie, ale zmienił pozycję. Wystawił głowę spod koca i Besany przez kilka minut czuwała przy nim, oparta na łokciu. Dostrzegła na jego skroniach siwe włosy; nie widziała ich wcześniej. Czasami - dość rzadko, tylko od czasu do czasu - zapomniała, jak okrutnie obchodził się z nimi czas.

- K'oyacyi - szepnęła i pocałowała go w czoło na dobranoc.

474

Gar taldin nijaonyc; gar są buir, ori'wadaasla. Nieważne, kim był twój ojciec — ważne, jakim ty będziesz ojcem.

Mandaloriańskie przysłowie

Kyrimorut, następnego dnia o świcie, 1091 dni po Bitwie o Geonosis

- Czy zapłonie tak, jak powinno? - spytał Kom'rk. - Nie trzeba będzie podpalki?

Ordo pomyślał, że to chyba nie jest taki głupi pomysł i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób załatwić to możliwie dyskretnie. Zdawał sobie sprawę, że patrzy na pewne rzeczy w inny sposób niż zwykli ludzie i może je odbierać inaczej, niż to było na ogół przyjęte, ale nie chciał nikogo urazić. Pogrzeb Etain był rytuałem, który miał dać spokój jej i jej bliskim, a nie tylko zwyczajnym aktem pozbycia się ciała.

- Jeżeli to zrobisz odpowiednio delikatnie... - powiedział ostrożnie. Jakiś łatwopalny materiał rzeczywiście chyba się przyda... tylko tyle, żeby stos zapłonął tak, jak powinien. - Tak, najlepsza będzie odrobina dziegiu - zdecydował.

- Ord'ika, oglądałeś dzisiaj wiadomości? - spytał jego brat.

- Nie.

- Palpatine rozwiązał Republikę... Proklamował Imperium, a siebie obwołał Imperatorem.

- Co za skromność! - zadrwił Ordo.

- Ciekaw jestem, co na to nasi bracia na Coruscant...

- Myślisz, że to ma na nich jakiś wpływ?

- Myślę, że tak. - Kom'rk wyciągnął swój notes komputerowy. - Spójrz tylko. Wiem, dlaczego nie docierają do nas wiadomości.

Na małym ekranie pojawił się portal, którego Ordo nie rozpoznawał. Na jego miejscu powinna widnieć witryna WAR, do której mieli dostęp, no, najwyżej troszkę nielegalny - jeszcze kilka dni temu. Teraz wszystko wyglądało dziwnie obco, z logo Imperium i innym układem dostępu. Ordo wziął od Kom'rka notes i spróbował uzyskać dostęp do danych pod fałszywą tożsamością.

Powinno zadziałać - ale nic z tego.

- Shab - zaklął.

- W ciągu nocy całkowicie przeinstalowali system, Ord'ika - wyjaśnił Kom'rk i wziął od niego urządzenie. - Dane, łączność... wszystko! Nie mamy dostępu, nie możemy się wpiąć. Nie możemy nawet rozmawiać ani słuchać. Nie możemy podsłuchiwać.

Pierwszy raz Ordo i jego bracia nie mogli uzyskać dostępu do jakichś informacji. Wcześniej nigdy się to nie zdarzało - już jako dzieci dla zabawy włamywali się do systemu w Tipoca City. A teraz nie mogli się dostać do nowo utworzonej sieci Imperium. Żaden z nich.

- To podejrzane - stwierdził Ordo. Mgła wisząca nad cichymi, białymi polami Mandalory zaczynała się podnosić. Zapowiadał się mroźny, jasny dzień - dobry dzień na pogrzeb. - Wiesz, że nie takie rzeczy rozgryzaliśmy - powiedział. - Dla Mereela czy Jainga to pestka...

- Wiem, ale to naprawdę podejrzane - westchnął Kom'rk. -Zmienił się cały system! Zwykle nie musieliśmy za bardzo kombinować, żeby się włamać, ale, skoro mamy teraz problemy z samym dostępem, trzeba będzie pogrzebać u samych podstaw kodu!

- Czy to pilne? - spytał rzeczowo Ordo. - Bardziej niż wyciągnięcie z Coruscant Dara i Ninera?

Kom'rk wzruszył ramionami.

- Tak tylko mówię... Poza tym nie lubię wypadać z obiegu. -Ordo i jego bracia przywykli do swobodnego dostępu do wszystkich danych.

- Czyli nie możemy się z nimi nawet skontaktować? - upewnił się Ordo.

- Nie; właśnie o to chodzi! Nie możemy uzyskać dostępu do informacji o stanie Ninera ani dowiedzieć się, gdzie jest Darman. To teraz armia Imperium. Nie ma zespołów do zadań specjalnych pod dowództwem Republiki.

- A więc zaczniemy od zera - stwierdził Ordo. - Najpierw jednak ważniejsze rzeczy. Idź po podpałkę, a ja sprawdzę, jak się czuje Kal'buir. - Pomaszerował przez zasy, na chwilę zapominając o konieczności zacierania za sobą śladów. Nie próbowali się wcześniej skontaktować z Darmanem, dopóki byli w nadprzestrzeni, a kiedy wylądowali, było za dużo zamieszania,

żeby o tym myśleć. A teraz... wyglądało na to, że mają odciętą łączność z braćmi. Cóż, przynajmniej chwilowo. Ordo wiedział doskonale, jak bardzo zdenerwowałby się tym Kal'buir, więc wolał na razie mu tego oszczędzić. Postanowił, że poinformują go o wszystkim później, po pogrzebie. Każdy z nas decyduje, o czym powinni wiedzieć ci, których kochamy, a w dodatku - i jesteśmy przekonani, że robimy im przysługę, przemknęło mu przez myśl. Czy nie od tego wszystko się zaczęło?

Znalazł Skiratę w pokoju, w którym złożono ciało Etain. Wyglądała zaskakująco dobrze; sprawiała wrażenie, jakby odpoczywała. Ordo poczuł w sercu ukłucie żalu, bo wiedział, jak zginęła - i wiedział, że to nie była spokojna śmierć. Obiecał sobie, że już nigdy nie zaufa własnym oczom - zbyt często mamili fałszywym obrazem. Nie zamierzał się cieszyć spokojnym życiem, skoro wokół było tyle zła i przemocy.

- Gotów, synu? - spytał Skirata. Trzymał na rękach Kada. Chłopczyk wpatrywał się w ciało szeroko otwartymi oczami; nie wydawał się przestraszony ani zakłopotany. Wyciągnął rączkę i Kal pochylił się lekko, żeby malec mógł dosięgnąć włosów Etain. Rav Bralor zrobiła, co w jej mocy, żeby ciało wyglądało schludnie. Kad chwycił pukiel włosów swojej mamy i nie chciał go puścić.

- Ord'ika, odetnij ten lok, dobrze? - poprosił Skirata. - I kosmyk włosów małego. Chcę, żeby miał pamiątkę. Nie wiesz, co się stało z jej torbą? Miała ze sobą bagaż...

Ordo podniósł sfatygowany brązowy worek i zajrzał do środka.

- Dwa miecze świetlne, notesy, komunikator i zabawka -Przejrzał dane w urządzeniach. - Nie ma czipów z danymi... to wszystko. Co zrobić z maskotką?

Na widok pluszaka Skirata kompletnie stracił nad sobą panowanie. Podał Ordowi Kada i wyszedł bez słowa. Wrócił dobrą chwilę później, nadal roztrzęsiony.

- Już dobrze - wymamrotał łamiącym się głosem. - Cała reszta gotowa?

- Tak.

- Nie ma na co czekać.

Tym razem Kal pozwolił przewieźć ciało Etain na wózku repulsorowym. Widocznie nie czuł się na siłach nieść jej, jakby była

żywa, by potem położyć na stosie. Śmierć wymagała stworzenia pewnego dystansu. Na widok pluszowego nerfa Kad zachłannie wyciągnął rączki po zabawkę. Tulił ją do siebie, kiedy Kal



podawał go Laseemie. Jusik profilaktycznie zabrał miecze, zanim Skirata zdążył rzucić je na stos. Kal'buir wolałby się ich pozbyć, ale Ordo wiedział, że później by tego żałował.

- I tak całkiem nie spłoną. - Bardan wzruszył ramionami. - Nie mówiąc już o tym, że znaczyły dla niej bardzo wiele, z różnych powodów.

- Rozumiem - mruknął Skirata. Na chwilę przed podłożeniem ognia pod stos, tulony w ramionach przez Laseemę Kad rozpląkał się głośno i wyciągnął w stronę mamy pluszową zabawkę.

- Chce jej go dać - powiedziała Twi'lekanka przez łyżę. - Niech to zrobi. Już dobrze, kochanie. Chodź... - Podeszła do stosu, wystarczająco blisko, żeby chłopczyk mógł złożyć zabawkę na piersi Etain. Skirata mruknął coś pod nosem, ale Ordo nie dosłyszał co, bo szumiało mu w uszach. Szybko pokonał ból w piersi, uniósł głowę i podszedł do stosu, żeby podpalić go zapalniczką którą nosił u pasa. Suche drewno zajęło się niemal natychmiast. Płomienie zaczęły lizać gałęzie coraz wyżej i wyżej, dopóki nie przesłoniły całego ciała.

- Nu kyr'adyc, shi taab'echaaj'la - powiedział Ordo. Znaczyło to tyle, co „nie odeszła całkiem, wędruje tylko gdzieś daleko”. Tak mówili Mandalorianie o poległych towarzyszach. Nigdy nie odchodzili - dopóki ktoś powtarzał codziennie ich imię, dopóki o nich rozmawiano i wspominano spędzone wspólnie chwile -dopóty żyli.

Ordo nie musiał pytać. Kal'buir dodał już imię Etain do listy wspominanych, którą odczytywał codziennie.

Wyglądało na to, że nikt nie zdołał dotrzeć do końca ceremonii. Towarzyszył jej zbyt duży ładunek emocji, żeby ktokolwiek mógł to znieść. Laseema cofnęła się z pochyloną głową i oddała Kada Jusikowi, a wtedy tłum żałobników zaczął się rozchodzić. Jusik bez słowa oparł czoło o główkę trzymanego na rękach Kada. Widocznie ta dwójka dzieliła w tej chwili uczucia, których istnienia Ordo mógł się tylko domyślać...

- Nigdy więcej - szepnął Skirata i podszedł do płonącego stosu. Ordo widział, że jego wargi się poruszają ale nie słyszał słów. Patrzył, jak jego ojciec sięga w ogień - nie miał rękawic i wydawał się nie zwracać uwagi na żar płomieni - a potem rzuca na stos coś małego, co wyglądało jak pukiel włosów Kada.

Skirata wrócił, ściskając w dłoni nadpaloną zabawkę i stanął przed żałobnikami.

- Ori'haat - powiedział. - Przysięgam, że już nigdy nie pozwolę na to, żeby któreś z moich dzieci odeszło do mandy przedwcześnie.

Kal wyszkolił ponad stu komandosów; teraz ich liczba zmalała do jakichś osiemdziesięciu pięciu. Chociaż jednak starał się poświęcać wszystkim tyle czasu, ile mógł i chociaż jego marzeniem było zapewnienie spokojnej przyszłości im wszystkim, do tej pory zdołał tu sprowadzić tylko kilku z nich. Ordo zastanawiał się, kiedy Kal'buir zacznie przekonywać resztę. Nie widział w tym nic nagannego.

- Poparzyłeś sobie rękę - odezwał się do niego.

Skirata wsunął zabawkę do kieszeni, gestem dziwnie rozczulającym i bezgranicznie smutnym zarazem.

- To nic takiego - wymamrotał.

- Powiedziałeś: gai bal manda, prawda? - spytał Ordo. Akt przyjęcia do rodziny nie wymagał wielu słów, a dzieci można było adoptować również pośmiertnie. - Adoptowałeś ją. To bardzo... szlachetne.

- Była żoną mojego syna - powiedział cicho Skirata. - Chcę jej w jakiś sposób wynagrodzić, że nie zawsze dobrze ją traktowałem. A poza tym nie znała swoich rodziców... Cóż, teraz przynajmniej ma ojca. - Ordo bał się, że Skirata znowu się rozklei, ale chyba jednak postanowił wziąć się w garść. - Kiedy stos zgaśnie, zbiorę prochy dla Darmana - oznajmił. - Fi?

At'ika? Do mnie. -Przywołał ich gestem. - Zjedzcie porządne śniadanie i wskakujcie w wasze beskar'gamy. Wybierzemy się na pogawędkę ze starą znajomą.

- Doktor Uthan? - spytał Fi z nadzieją.

- Dokładnie - potwierdził Skirata. - Uczciliśmy pamięć zmarłych, czas się zatroszczyć o żywych.

Skirata naprawdę się cieszył, że zdołali tu ściągnąć doktor Ovolot Qail Uthan.

Nie chodziło tylko o fakt, że mogła być dla jego chłopców przepustką do dłuższego życia - jej obecność była ważna także

z innego powodu. Badaczka stanowiła w pewnym sensie wyzwanie - musiał ją skłonić do współpracy, a to dawało mu poczucie, że ma misję do wypełnienia. Dzięki temu nie pogrążył się bez reszty w otchłani rozpacz i kontrolował swój żal. Ruszył do magazynu broni w towarzystwie Atina, paradującego w nowej, purpurowo-szarej zbroi, oraz Fi, ubranego w pancerz złupiony pośmiertnie Ghezowi Hokanowi na Qiilurze. Chłopcy zachowywali się tak naturalnie, jakby całe życie nie robili nic innego poza płaśnieniem w beskar'gamach i nigdy nie służyli Republice.

- Czekajcie, dopóki was nie zawołam - polecił im.

Była jakaś gorzka ironia w tym, że ktoś z otoczenia ich przyjaciółki tuż po jej pogrzebie nosił zbroję, której poprzedni właściciel został skrócony o głowę przez samą Etain, ale Skirata uznał, że od tamtego czasu wiele się zmieniło. Chyba właśnie od tamtej pory dziewczyna zaczęła krytycznie patrzeć na poczynania Zakonu.

- Witam, pani doktor! - Z trudem przywołał na twarz szeroki uśmiech. - Jak się dziś miewamy?

Uthan spojrzała na niego sponad swoich notatek. Mereel zadbał, żeby miała tu wszystkie wygody, z wyjątkiem łączności ze światem zewnętrznym, zresztą akurat do tego przywykła w ciągu lat odosobnienia.

- Dobrze - odpowiedziała. - Jak tam wojna? Czy zajęli już Coruscant?

- Wojna się skończyła - wypalił Skirata.

- Słucham? - Uthan zamrugnęła kilkakrotnie, jakby się przesłyszała. - Co takiego?

- Może się pani przekonać sama. - Postawił przed nią na biurku moduł łączności HoloNetu z dużym ekranem. Zestaw był nowy i wyglądał na kosztowny. Uthan miała być ich gościem jeszcze przez jakiś czas, więc nie było sensu skąpić na przedmioty, które będą jej potrzebne. Kal włączył urządzenie, automatycznie dostrojone do odbioru kanału informacyjnego, i Uthan wlepiła w wyświetlacz zdumiony wzrok. Nie miała kontaktu ze światem zewnętrznym przez trzy lata. Była kompletnie odcięta od informacji i po porwaniu przez Drużynę Omega z Qiilury wiedziała o wojnie tylko tyle, ile uznali za stosowne powiedzieć jej porywacze.

Skirata obserwował, jak wyraz twarzy biedaczki zmienia się stopniowo, w miarę jak jej mózg odbiera i przetwarza kolejne sygnały. Uthan nadrabiała właśnie ekspresowo zaległości z trzech lat. Dowiedziała się o zakończeniu działań wojennych, zniesieniu KNS i likwidacji Republiki, a za chwilę cały ten neuviański tort lodowy miała zwieńczyć przysłowiowa wisienka.

- Zleciało jak sen, prawda? - rzucił Skirata i odwrócił się w stronę drzwi. - Ad'ike?

Zapraszam!

Do środka weszli Atin i Fi. Uthan spojrzała na pierwszego obojętnie - wyglądał jak każdy inny Mandalorianin, którego spodziewała się tu spotkać, ale Fi... zbroja Fi była tym samym szaroczerwonym pancerzem, w którym na Qiilurze tak często widywała Gheza Hokana.

Potrząsnęła lekko głową i zmarszczyła brwi. Widocznie zapomniała, że Hokan był trochę niższy, a poza tym skoncentrowała się na samej zbroi.

- A więc nadal żyjesz, Ghez - powiedziała wolno. Nie miała pojęcia, jak zabawnie zabrzmiały jej słowa dla Mandalorian; były dosłownym tłumaczeniem ich tradycyjnego pozdrowienia, Su cuy'gar. Fi parsknął śmiechem i zdjął hełm.

- Mówią że czasem jeden obraz wystarczy za tysiąc słów - powiedział z uśmiechem Kal.

- Niespodzianka! - wykrzyknął Fi. - Tęskniła pani?

Uthan podniosła tylko obie dłonie do twarzy i wlepiała w niego szeroko otwarte oczy. Prawdę mówiąc, jej spokojna reakcja zdziwiła Skiratę. Spodziewał się czegoś bardziej... wybuchowego.

- Nie wyciągnęliście mnie z zakładu po to, żebym mogła dalej pracować nad bronią neutralizującą klony Fetta, zgadza się? - spytała trzeźwo. - Ot, kobieca intuicja...

Fi usiadł na krześle naprzeciwko niej. Naprawdę szybko wracał do siebie. Chociaż od czasu do czasu zdarzały mu się potknięcia i chwile niepewności, z każdym dniem było lepiej. Widać było, że znów czuje się jak pełnowartościowy żołnierz.

- Mamy imiona - poinformował badaczkę. - I żony, i przyzwoite ubrania, i konta bankowe, i w ogóle... - wliczał ze śmiertelną powagą.

Skirata miał czasem problemy z rozróżnieniem, kiedy Fi się zgrywa, a kiedy mówi poważnie, ale teraz nie miało to znaczenia.

- To zemsta? - spytała Uthan.

Skirata podziwiał ludzi, którzy zawsze potrafili zachować twarz, nawet dowiadując się, że zostali paskudnie wrobieni.

- Proszę mi powiedzieć, pani doktor, czy naprawdę zależy pani na zabijaniu klonów, czy po prostu lubi pani rozwiązywać zagadki? - spytał.

- Czemu pytasz?

- Ponieważ nie potrafię sobie wyobrazić, że inteligentna istota ludzka chciałaby zabijać bez powodu obcych sobie ludzi - wyjaśnił. - A więc albo jest pani potworem, albo typowym naukowcem, który chce czegoś dokonać bez zastanawiania się nad konsekwencjami.

- Albo - dodała Uthan hardo - patriotką, która nie chce... nie chciała - poprawiła się - pozwolić, żeby jej planetą rządzili dyktatorzy, i dlatego wykorzystwała swoje wszelkie zdolności przeciwko ich wojsku...

- Jakie to głębokie - zadrwił Skirata. - Nie obrazi się pani, jeśli zapiszę tu tekst dla potomnych?

- Czy prawilbyś mi takie morały, gdybym po prostu produkowała blastery do zabijania waszych klonów?

- Może i tak. - Skirata próbował znaleźć w niej jakiś słaby punkt, odkryć, co ta kobieta kochała i co by ją poruszyło, ale chyba łatwiej byłoby mu wyprowadzić z równowagi Kaminoanina. Postanowił postawić na fundamentalne wartości. - Czy ma pani dzieci, pani doktor?

- Nie.

Może mu się tylko wydawało, ale dałby sobie rękę uciąć, że zawahała się lekko, zanim odpowiedziała. Może kłamała... a może po prostu był to dla niej drażliwy temat? Kal skupił się na jej oczach; próbował dostrzec reakcję źrenic albo jakiś nerwowy tik, który zdradziłby emocje.

- I nigdy nie myślała pani o dzieciach? - upewnił się.

Ponownie, ledwie dostrzegalne wahanie... i mrugnięcie.

- Kiedyś... tak. Ale życie potoczyło się inaczej, a potem. •• było już za późno.

Tu cię mam! - pomyślał Skirata.

- Cóż, te klony to moi synowie - powiedział cicho, jakby zdradzał jej sekret. Wiedział już, w które struny uderzyć. - To nie przerośnia. Naprawdę są moimi dziećmi. Adoptowałem tych chłopców. Kocham ich, bo dzięki nim mam wreszcie prawdziwą rodzinę. Chcę ich wyciągnąć z

wojska i osik mnie obchodzi, czy Coruscant samo się zeżre i wyrzyga, dopóki moi chłopcy są bezpieczni.

- Więc czego ode mnie oczekujesz?

- Chciałbym tylko, żeby zrozumiała pani moje pobudki, pani doktor - wyjaśnił Kal. - Nie kocham Republiki, bo jestem Mandalorianinem, a Mandalorianie nie lubią, kiedy ktoś traktuje ich jak bydło. Republika chciała nas wszystkich osteplować piętnem demokracji, a Jedi dali jej na to swoje błogosławieństwo, bo uznali, że zawsze wiedzą, co jest najlepsze dla takich prostaków jak my. Gdybym musiał wybrać, biłbym się raczej za Separatystów, ale miałem synów na linii frontu... zresztą nadal mam. Ale pani może mi pomóc.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - spytała chłodno Uthan.

- Proszę pozwolić mi najpierw wyjaśnić, o co chodzi. - Skirata zmierzwił czuprynę Fi i dał Atinowi gestem znak, żeby zdjął hełm. - Ci tutaj uroczy młodziankowie starzeją się dwa razy szybciej niż ja czy pani - wyjaśnił. - Chciałbym ten proces zatrzymać.

- Chcesz, żeby żyli tak długo, jak przeciętni ludzie - upewniła się badaczka.

- Tak.

Kobieta przyglądała mu się przez długą chwilę w milczeniu, a potem odwróciła wzrok i wyjrzała przez wąski świetlik w ścianie. Kal pomyślał, że bezkresna biel za oknem musi ją niepokoić.

Kyrimorut leżała w najodleglejszym od cywilizacji zakątku Mandalory, a otaczająca ich nieokielznana przyroda przypominała mieszkańcom, że byli tylko nic nieznaczącym pyłkiem na mapie galaktyki. Uthan może i czuła się pewnie w swoim tajnym laboratorium na zapyziałej Qiilurze, ale teraz nie była już na własnych śmieciach i wiedziała, że nikt nie zabukuje jej biletu powrotnego do domu.

- Co będę z tego miała? - spytała bez ogródek.

- To lubię - powiedział Skirata z szerokim uśmiechem. - Iście mandaloriańskie podejście do sprawy. A jak pani myśli?

- Znając was, to musiałabym najpierw przeżyć...

- Pani doktor, proszę nie zgrywać obrażonej królowy. Spędziłem wśród Kaminoan sporo czasu, więc moja cierpliwość jest

prawie niewyczerpana, ale nie mam ochoty bawić się w Hutta i myszkę. Proszę przestać wciskać mi osik i powiedzieć, czego pani chce. Jest już pani wolna od Republiki, separańców, a nawet naszego nowego Imperatora.

- Chcę wrócić do domu - powiedziała cicho Uthan. — Straciłam w celi prawie trzy lata życia.

Skirata spojrzał zdziwiony. Spodziewał się, że zażąda kredytów albo poprosi o możliwość zatrzymania wyników swoich badań, ale widać potrzeba bezpieczeństwa była silniejsza.

Czy może pozwolić jej odejść?

Nie może, uznał. Nie, dopóki istniały klony narażone na działanie jej broni biologicznej. Przed porwaniem przez Drużynę Omega z Qiilury nie zdołała co prawda zakończyć badań nad nanowirusem, ale z tego, co wiedział, ta broń wciąż mogła zagrażać klonom Fetta.

- Zaczniemy jeszcze raz - powiedział ostrożnie. - Jakie ma pani plany na przyszłość? Chce pani być bogata? Sławna? Pragnie pani zdobyć uznanie w kręgach naukowych? Ocalić galaktykę od chorób i bólu?

- Gdybym nie wiedziała, że jest inaczej, pomyślałabym, że jest pan zdesperowany - zadrwiła.

- Próbuję się tylko zorientować, ile danych mogę pani bezpiecznie ujawnić - wyjaśnił spokojnie Kal.

- Gdybyście mieli dane, nie potrzebowałibyście mojej pomocy - burknęła.

Skirata znał ten sposób argumentacji. Uthan napędzała taka sama potrzeba rozwiązywania łamigłówek jak Ko Sai, Nenilina i innych. Pożądała wiedzy, która dawała jej siłę. Cóż, tak się składało, że to on miał to, czego pragnęła. Sięgnął do stojącego na stole wyświetlacza i aktywował ekran.

- Proszę, może się pani przekonać na własne oczy.

Uthan zawahała się i przez chwilę przyglądała mu się podejrzliwie, ale w końcu ciekawość zwyciężyła, więc powoli odwróciła głowę w stronę monitora. Skirata cofnął się kilka kroków, wyciągnął z kieszeni kawałek korzenia ruik i wsunął go do ust.

- Proszę bardzo - zachęcił ją. - Nie musi się pani krępować.

Posłuchała. Od razu się zorientował, że kiepsko by jej szło

w sabaka - wyraz twarzy natychmiast ją zdradził. Jej reakcja przypominała zachowanie głodnego dziecka wpuszczonego nagle na wystawne przyjęcie. Najpierw przebiegła powoli wzrokiem kilka plików, ale zaraz zaczęła je przeglądać coraz szybciej i szybciej, aż w końcu przerwała i odchyliła się na oparcie krzesła z ogniem w oczach.

- Macie tutaj... wszystko!

Skirata wzruszył niedbale ramionami.

- Ano, mamy.

- W jaki sposób weszliście w posiadanie tych danych?

- Przez ostatnie kilka lat sporo weszliśmy - wyjaśnił. - Kamino, Arkanian Micro, GeneSculpt, TheraGene, Republikański Zarząd Hodowli i Rolnictwa, Khommskie Centrum Planowania Populacji, Columuski Instytut Zdrowia, Lur, badania prowadzone w ważniejszych uczelniach Republiki... śmiem twierdzić, że mamy wszystko, do czego można było dotrzeć. - Zawiesił głos dla lepszego efektu, zanim wymienił jej byłego pracodawcę. - Mamy nawet dane z Gibadańskiej Akademii Badania Życia. Problem w tym, że nie umiemy poskładać tego wszystkiego do kupy.

Uthan była wyraźnie rozdarta między chęcią rzucenia się od razu w wir pracy a wrodzoną podejrzliwością. Z pewnością szukała haczyka.

- Nikt nigdy nie zgromadził tylu danych w jednej bazie! - Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Cóż, moi chłopcy są bardzo skrupulatni. Wręcz pedantyczni.

- I to wszystko tylko po to, żeby przywrócić tym klonom normalną długość życia?

- Właśnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Skirata, te dane są warte biliony! - wykrzyknęła. - Gdybyś sprzedał takie informacje którejkolwiek z tych organizacji, zarobiłbyś krocie! Pozabijaliby się za tajemnice konkurencji! Biliony? - Kal uśmiechnął się w myślach. Miał trylion kredytów, a ta suma rosła z każdym dniem.

- Nie mam zamiaru na nich zarabiać - powiedział. - Do rzeczy: zgadza się pani?

Uthan wstała i popatrzyła na niego bez słowa.

- Pytałem czy się pani zgadza, pani doktor - powtórzył. - Umowa stoi?

- Gdzie jest haczyk?

- Jeśli spróbuje mnie pani okantować, osobiście poderżnę pani gardło, jeśli oczywiście wcześniej nie dorwą pani moi chłopcy - wyjaśnił Kal z miłym uśmiechem. - Tak czy inaczej, nie będzie to nic przyjemnego, gwarantuję. Jeżeli natomiast zgodzi się pani współpracować i nie wykorzysta tych danych do zaszkodzenia klonom Fetta, będzie pani mogła odejść z nimi wolno.

Uthan kalkulowała coś w myślach.

- To może potrwać - zastrzegła.
- Im szybciej upora się pani z robotą, tym wcześniej będzie pani wolna. Ma pani na to moje słowo.

Uthan i tak właściwie nie miała wyboru.

- W porządku, zrobię to. - Skinęła głową.
- Świetnie. - Skirata zabrał ze stołu swój hełm. - Proszę dać Fi listę zakupów. Dostarczymy pani wszystko, co będzie potrzebne.

- Czy... - zająknęła się badaczka. - Co się stało z Ko Sai?

- Chciałbym móc powiedzieć, że ją zabiłem, żeby zdopingować panią do pracy - powiedział Skirata z rozbrajającym uśmiechem. - Szczerze powiedziawszy, często marzyłem o tej chwili, ale niestety sama odebrała sobie życie. To smutne, ale może normalne dla istot takich jak ona... lepiej samemu ze sobą skończyć, niż dać się wykończyć barbarzyńcom obcej rasy. Skirata wbrew sobie czuł do Uthan dziwną sympatię. Miała w sobie jakąś iskrę, pasję, zapał, którego brakowało Ko Sai i jej podobnym. W gruncie rzeczy nie stali po przeciwnych stronach barykady; chodziło tylko o jej dawną pracę, która polegała na wynalezieniu wirusa zabijającego klony. Gdyby nie to, byłiby na pewno świetnymi partnerami w interesach.

Kawałek dalej w korytarzu czekali Jaing i Mereel. Kiedy zobaczyli Skiratę, ruszyli mu na spotkanie. Jaing miał na sobie swój szary beskar'gam i szare skórzane rękawice. Był do nich bardzo przywiązany i Kal zastanowił się przez chwilę, czy przypadkiem po wysłaniu głowy Ko Sai generałowi Zeyowi nie zostawił sobie po niej innych pamiątek.

On sam nigdy nie bawił się w zbieranie trofeów. To nie było w jego stylu.

- No i jak, Kal'buir? - spytał Mereel.
- Zgodziła się - oznajmił Skirata. - Wygląda na to, że wszystko idzie ku dobremu. - Ruszył w stronę Kyrimorut i w połowie drogi uświadomił sobie, że nuci pod nosem. Szkoda, że Etain nie dożyła tej chwili. Na szczęście Jusik zasiał w nim ziarno nadziei. Jeżeli Jedi faktycznie w pewien sposób żyli po śmierci dzięki Mocy i Etain trafiła do tej ich mandy, może teraz się o wszystkim dowiedziała.

Cóż, a jeśli naprawdę tak było... Skirata nie miał Jedi za złe ich przywileju.

## **ROZDZIAŁ 25**

Rejorhaa'ruetiise meg'oyacyi jorcu mhi r'asham.

Powiedźcie aruetiise, że żyją, ponieważ my zginęliśmy.

Inskrypcja na mandaloriańskim pomniku poświęconym poległym najemnikom, Kyrimorut

Kyrimorut, 1095 dni po Bitwie o Geonosis

Mandalorianie nie stawiali pomników. Ci nomadowie nie zatrzymywali się nigdzie na tyle długo, żeby grzebać swoich bliskich na cmentarzach, a co dopiero wystawiać zmarłym monumenty. Ale Mandalora miała być teraz domem, a Skirata patrzył na niektóre sprawy trochę inaczej.

Przemyślał wszystko dokładnie. Pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy w środku nocy rozpaczał po Etain. Błędym świtem przeszedł przez zmarzniętą łąkę nad jeziorem i czekał na wschód słońca. Kiedy tak siedział, rozpamiętując dobre i złe chwile, sięgnął do kieszeni i natrafił na kilka kawałków twardego plastoidu.

To były nieśmiertelniki, plakietki z numerami umieszczane na zbrojach klonów, ostatnia pamiątka po poległych żołnierzach. Nie mógł pozwolić, żeby odeszli w niepamięć. Znajdzie sposób, żeby

odpowiednio upamiętnić wszystkich, którzy oddali życie za przegraną sprawę.

Jesteśmy waszym klanem, waszą rodziną, zapewnił ich w myślach, więc zadbamy o to, żeby pamięć o was była wiecznie żywa.

Większość nieśmiertelników należała do żołnierzy, których nawet nie znał, ale nie miało to znaczenia. Ich imiona i numery widniały na liście, uaktualnionej, kiedy Mereelowi udało się ostatni raz podpiąć do sieci WAR.

Wiedział, że czeka go mnóstwo roboty, ale nie przejmował się tym. Miał dużo czasu. Zaczął odmierzać krokami spory prostokąt, przedzierając się przez zamrożone trawy, dopóki nie dostrzegł wyraźnie wydeptanego kształtu. Postawił tu pomnik, dzięki któremu żołnierze przestaną być anonimowi i nie odejdą w niepamięć.

Aruetiise muszą wiedzieć, jak bardzo się dla nich poświęcali, kiedy - jeżeli - kiedyś tu trafią. Wrócił do przybudówki po łopatę. Węszący w pobliżu Mird na jego widok zatrzymał się i popatrzył dziwnie ludzkim wzrokiem.

- Chcesz mi dotrzymać towarzystwa, śmierdziu? - powiedział Kal do zwierzaka. Dziwne, że strill włóczył się sam. Vaua nie było nigdzie w pobliżu, ale najwidoczniej zwierzę uznało już Kyrimorut za swój teren. Wydawało się zadowolone z tego, że może zostawić swojego pana śpiącego i wyruszyć na samotny rekonesans. Może Lord Mirdalan wcale nie traktował Vaua jako swojego pana? Może uważał go za ojca, ale miał własne zdanie i wolę, tak samo jak synowie klony Skiraty?

- Chodź, Mird'ika - zawołał go Kal. - Ty też jesteś żołnierzem.

Mógłby przysiąc, że strill skinął ochoczo głową. Kiedy dotarli na miejsce, usiadł przy nim i czujnie obserwował, jak Kal wbija łopatę w zmarznięty grunt. Oczami duszy Skirata widział potężny, wypolerowany obelisk z wyrytymi na nim numerami albo z nieśmiertelnikami wtopionymi w powierzchnię. Pomysł był ambitny; w dodatku monument kontrastowałby dziwnie z otaczającą go dziewiczą przyrodą. Byłby również punktem orientacyjnym w miejscu, które nie powinno się rzucać w oczy. Pewnego dnia, obiecał sobie Kal, zrealizuje swój plan. Myślał intensywnie i wydierał zmarzniętej ziemi kolejne porcje.

W pewnej chwili Mird uniósł gwałtownie łeb, rozejrzawszy się i zaskomlał cicho. Ktoś nadchodził - ktoś, kogo Mird znał. Skirata nie przerywał kopania.

- Tylko Mandalorom stawia się grobowce - odezwał się Vau.

- Na to będę obrazoburcą - odparł Skirata i przygotował się na jakąś ciętą ripostę, ale ta o dziwo nie nadeszła. - Nasza pamięć to za mało. Musimy stworzyć coś, co zrozumie cała galaktyka - dodał. - Nawet jeśli cała ta wojna była tylko sprytnie obmyśloną przedstawieniem, ci chłopcy spełnili swój obowiązek, oddali życie za Republikę.

Vau kucnął, jakby sprawdzał wytyczone przez Skiratę linie.

- Jestem za - stwierdził. - Myślisz, że zdołamy zbudować coś wystarczająco dużego, żeby pomieściło imiona ich wszystkich?

- Zobaczymy.

Vau odwrócił się i spojrzał na Mirda.

- Łopata! - zawołał. - Przynieś, Mird'ika! Łopata!

Mird pomachał ogonem i pognął w stronę zabudowań. Skirata był zadowolony, że nie zastrzelił stworzenia wtedy, na Kamino. Strille były wyjątkowymi zwierzętami i nie zostało ich już wiele. Stary sierżant pomyślał z lekkim rozbawieniem, że komuś z zewnątrz ich kompania mogła się wydawać bandą cudaków: klony dezertery, zbieranina cywili, którzy nie mieli gdzie się podziać, zgorzkniały Jedi i strill.

- Myślisz, że on wie, Kal? - spytał nagle Vau.

Skirata nie przerywał kopania. Kolejny raz z zaskoczeniem odkrywał ludzkie oblicze Walona i zaczynał żałować tych wszystkich lat, które spędzili, wzajemnie obrzucając się błotem i walcząc.

- Kto?

- Sev - rzucił Vau. - Nigdy mu nie powiedziałem, jak bardzo byłem z niego dumny... Czy wiedział, że kochałem go tak samo, jak ty swoich chłopców?  
Skirata dobrze znał ten rodzaj bólu. Mógł sobie zadać to samo pytanie: czy Etain wiedziała? Czy kiedykolwiek wybaczyła mu wszystkie te złe rzeczy, które jej powiedział, kiedy poinformowała go, że jest w ciąży?

- Jestem pewien, że tak - powiedział. Vau nigdy nie miał prawdziwego, kochającego ojca, ale sam starał się pełnić tę rolę najlepiej, jak umiał. - Na pewno o tym pamięta. Znajdziemy go. Na wojnie zdarzają się różne rzeczy. Sev do nas wróci.

Vau pokiwał w milczeniu głową. Wyglądał na bardzo rozgoryczonego, a Skirata wołał nie pytać o powód.

- A więc jaki budulec? Kształt? Rozmiar? - zapytał rzeczowo.

- To ma być coś, na czym będzie można kiedyś upamiętnić trzy miliony klonów żołnierzy - stwierdził Vau. - I trzeba zadbać, żeby z góry nie rzucało się w oczy.

Kal miał na końcu języka pytanie o kolejne miliony, które Palpatine stworzył na Centaksie i Coruscant, ale uznał, że to by było ponad ich siły. Rób, co w twojej mocy - przypomniał sobie swoje życiowe motto. Teraz miał wrażenie, że zrobił żałośnie mało. Było jeszcze tylu żołnierzy, którym powinien pomóc...

To dopiero początek - pocieszył się w myślach. Może jeszcze uda się dotrzeć do reszty.

Słońce wspinało się coraz wyżej i jego promienie płoszyły cienie z pokrytych szronem traw.

Skirata wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na garści nieśmiertelników. W swojej kwaterze miał ich więcej - trzymał je w pudełku pod łóżkiem, do którego wciąż jeszcze nie mógł się przyzwycząić. Nie zamierzał na nim spać, dopóki nie wypełni swojej misji - dopóki jego chłopcy nie będą starzeli się w normalnym tempie. Jego dłoń natrafiła na coś jeszcze - coś małego, miękkiego i boleśnie znajomego.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał Vau na widok nadpalonego pluszowego nerfa.

Skirata obrócił zabawkę w dłoniach.

- Oddam go Kad'ice. Ale na razie go zatrzymam. Dzięki niemu... czuję się lepiej. Głupie, no nie? Stary Mando twardziel i jego pluszowy przyjaciel...

Pogratulował sobie w myślach, że w chwili takiej jak ta potrafił wziąć się w garść i nie wybuchnąć płaczem. Wylał już dosyć łez. Męczyło go to, że rozdierający serce na strzępy żal dopadał go w najmniej spodziewanych momentach. Za każdym razem czuł, że już więcej nie znieśie. Ból w piersiach był tak dotkliwy, że czasem chciał umrzeć, żeby tylko go nie czuć.

Nie potrafił pogodzić się z tym, że w tych złych chwilach nie było go przy Darmanie. Biedny dzieciak z pewnością nie wiedział, jak sobie poradzić z rozpaczą po utracie tak bliskiej osoby. Dobrze chociaż, że był przy nim Niner...

Kogo chcę oszukać? - skrzywił się w duchu. Chociaż sam już nieraz doświadczał bólu straty, wciąż nie potrafił sobie z tym poradzić.

Westchnął ciężko.

- Muszę po nich wrócić - powiedział, mając na myśli Ninera i Dara. - Im dłużej będziemy to odkładali, tym trudniej będzie się z nimi skontaktować. Nie mogę ich nawet złapać przez komunikator.

- Wiem - mruknął Vau. - I mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego muszę złożyć wizytę na planecie Wookiech... Zamierzam przeprowadzić pewne badania na temat drzew.

- Ależ oczywiście. - Kal pokiwał głową ze zrozumieniem. - Potrzebujesz pomocy?

- Wystarczy, że wiem, że mogę na tobie polegać - zapewnił go Vau.



- Jestem winien Enacce kilka kredytów - przypomniał sobie Kal. — Mógłbyś przekazać je osobiście?

- Z przyjemnością.

Skirata zeskrobał z łopaty resztki ziemi i ruszył w stronę domu, żeby usiąść ze swoją rodziną do śniadania i ustalić plan działania.

Etain zawsze twierdziła, że Moc w pewnym sensie pozwala jej przewidzieć przyszłość. Skirata zastanawiał się, czy uprzedziła ją też, że jej imię znajdzie się na pomniku upamiętniającym żołnierzy poległych podczas Wojen Klonów jako jedyne go nieklona... nie licząc Bardana Jusika, kiedy nadejdzie jego czas.

Kuchnia była pełna smakowitych zapachów i panował w niej trudny do opisania hałas. Tak właśnie powinna wyglądać porządna siedziba klanu: kipieć życiem. Skirata zwołał wszystkich do stołu i zasiedli do posiłku. Ruu marudziła nad talerzem; wyglądała, jakby przyglądała mu się ukradkiem za każdym razem, kiedy odwracał wzrok. Miał wyrzuty sumienia, że spotkali się w takich okolicznościach i że zostawił ją na tak długo samą, a sam zajmując się sprawami, które uznał za ważniejsze. W końcu wstał, podszedł do córki i ją objął.

- Wszystko w porządku, ad'ika? - spytał.

- Tak tylko rozmyślam, tato - wymamrotała, wbijając wzrok w talerz.

- Przepraszam. - Skirata nie wiedział, za co dokładnie przeprosza; po prostu czuł taką potrzebę. - Obiecuję, że już nigdy więcej cię nie zostawię.

Ruu pokręciła głową.

- Wiem, że masz własne problemy, tato, i musisz się z nimi uporać. Naprawdę rozumiem. Nic nie rozumiesz, pomyślał z rozdrażnieniem. Ostatnią rzeczą jakiej potrzebował, było jej współczucie. Czułby się dużo lepiej, gdyby córka po prostu na niego nakrzyczała.

- Co planujesz w związku z Arią? - spytała Besany. - Biedna kobieta siedzi w zamknięciu już stanowczo zbyt długo. Wcale nie ma tu lepiej niż w Valorum Center.

- Chcę polecieć na Concord Dawn i poszukać jakichś jej krewnych - wyjaśnił Kal. - Nie spodziewam się, że przyjmą ją z otwartymi ramionami, ale może w jakiś sposób pomogą nam poskładać do kupy jej umysł. - Skirata od dawna się nad tym zastanawiał. Miał do dyspozycji sumę, o jakiej Fett pewnie mógłby tylko marzyć. Część kredytów postanowił przeznaczyć na leczenie Arii. Nawet jeśli się jej nie poprawi, będzie miała znacznie lepsze warunki. - Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby Boba skakał z radości na widok swojej zaginionej ciotki... jeżeli go w ogóle znajdziemy - dodał.

- A szukasz go? - spytała Besany.

- Niespecjalnie.

Nikt się nie spieszył, wszyscy rozkoszowali się długim posiłkiem w rodzinnym gronie. Zima była w tym roku wyjątkowo ostra, więc nie mieli wiele roboty w obejściu. Mogli tylko czekać na wieści od Uthan i snuć plany dalszego zagospodarowania Kyrimorut.

Wkrótce zjawił się A'den. Usiadł do stołu i nałożył sobie czubatą miskę gotowanych płatków.

Wyraźnie gustował w potrawach o konsystencji gumy.

- Imperium poszukuje najemników i łowców nagród - rzucił między jednym kęsem a drugim. - Byłem w Enceri. Nikt nie mówi o niczym innym.

- Chcesz się zgłosić na ochotnika? - spytał Kal.

- Musiałbym się naprawdę nudzić - parsknął komandos. - Na szczęście to jeszcze nie ten etap, ale martwi mnie kilka innych rzeczy. Podobno Imperium proponuje sporo kasy za ziemię na Mandalorze; chcą tu założyć bazę dla swojego garnizonu.

Ordo spojrział na niego społe ła. Nie musiał nic mówić - wystarczyło, że uniósł brew.

- Nie podoba mi się to - zaniepokoiła się Besany.

- Podobno chcą na to wydać całkiem niezłą sumkę, a wokół jest wielu Mando'ade, którzy nie śmierdzą kredytami. - A'den wzdrynął ramionami. - Nie można mieć do nich pretensji, że chcą zarobić.

Skirata nie potrzebował Imperium na swoim podwórku, nawet gdyby miało założyć bazę na przeciwnej półkuli. Ta planeta była za mała dla Imperium i Mandalorian.

- Ale komu zamierzają złożyć ofertę, skoro nie ma Mand'alora? - zainteresowała się Laseema. Była bystrą dziewczyną. Z każdym dniem nabierała większej pewności siebie i radziła sobie coraz lepiej. Wśród Mandalorian było bardzo niewiele Twi'leków i za każdym razem, kiedy wyruszała do miasta, musiała zachowywać szczególną ostrożność. Trudno było jej nie zauważyć: głowoogony nie bardzo dawały się ukryć pod hełmem.

- Czy to w ogóle wchodzi w zakres polityki zagranicznej?

- Pewnie oznacza to po prostu zawarcie umowy między Imperium a osobą która zgodzi się im odsprzedać teren - wyjaśnił A'den.

- To idiotyczne! - parsknęła Laseema.

- To niebezpieczne - poprawił ją Ordo. - A poza tym stanowi dobry pretekst do namaszczenia Mand'alora.

- To raczej pokręcone - wtrącił Fi. - Czym będą go namaszczać? - zainteresował się. Fakt, to było pokręcone, ale Skiracie daleko było do żartów. Nie miał ochoty się mieszać w politykę Mandalory. Taki obrót spraw tylko krzyżował mu plany potajemnego transportowania klonów na planetę. Uznał, że musi trzymać rękę na pulsie.

Chyba najwyższy czas się spotkać z Fennem Shysą, pomyślał. Jeżeli był ktoś, kto dałby radę uchronić klany przed krótkowzrocznością i jej oplakanymi konsekwencjami, to tylko on.

Skirata posadził sobie Kada na kolanach i pomógł mu rozprawić się z małą porcją jajecznicy. Chłopiec był w wieku, w którym

małe klony zaczynały uprawiać gry poprawiające koordynację, umiejętności wzrokowo-przestrzenne i logiczne myślenie. Spróbował odsunąć wspomnienia na bok.

- Jeśli będziesz jadł dużo białka, urośniesz duży i silny, Kad'ika - powiedział do malucha. - Taki silny jak twój tata. Niedługo do ciebie przyleci i będzie z ciebie bardzo dumny, wiesz? A potem wszyscy Mando'ade zaczną trzymać się razem, z dala od głupich imperiów i nigdy nie będą się bili za wstrętnych aruetiise, którzy muszą sobie znaleźć innych naiwniaków, żeby za nich ginęli, prawda?

Kad spojrział na niego dużymi, poważnymi oczami. Nie uśmiechał się już do wszystkich, jak dawniej. Według Jusika chłopiec wiedział, że jego mama odeszła i miał niejasne pojęcie o śmierci, która dla innych dzieci w jego wieku była abstrakcją. Skirata wierzył, że Etain nie myliła się co do Kada. Była przekonana, że los jej syna wpłynie na wiele istnień i że malec kiedyś przywróci pokój pośród Mandalorian.

- Karmisz go polityczną papką - zauważył cierpko Ordo. -A co, jeśli dzieciak zechce zostać wałkoniem, polować za pieniądze i żłopać ne'tra gali

- Jest synem Jedi i elitarnego komandosa - przypomniał mu Skirata. - Wybierze właściwą drogę i bez moich rad.

- To może ja z nich skorzystam - odezwała się nieśmiało Ruu. — Poświęcisz mi trochę czasu?

- Jasne, kochanie - zapewnił ją.

Po śniadaniu wziął córkę na spacer nad jezioro położone na północ od bastionu i pokazał jej miejsce, w którym chciał zbudować pomnik. Nagle odniósł wrażenie, że wszystkie te lata, które spędzili osobno przestały istnieć. Pamiętał tylko, kim Ruu dla niego była, i nie liczyło się nic więcej. Chociaż mało o niej wiedział, nie była dla niego kimś obcym - istniało po prostu

mnóstwo rzeczy, których był ciekaw i o które chciał ją zapytać. Jezioro pokrywała warstwa grubego lodu. Kiedy spacerowali brzegiem, vhe'viine, niewielkie gryzonie, które pustoszyły pola uprawne, wystawiały głowy ze swoich nerek i przyglądały im się ciekawie, prawie niewidoczne na tle śniegu w swojej białej, zimowej okrywie.

- Od czego mam zacząć? - spytał Skirata. - A może ty chcesz mówić pierwsza?
- Nie. - Ruu pokręciła głową. - Po prostu zacznijmy od nowa.
- Z jej ust unosiły się obłoczki pary. - Jak to się u was mawiało? Cin vhetin? Zapomnijmy o wszystkim.

W życiu dobrze było czasem zacząć od nowa. To rozwiązywało wiele problemów. Skirata wiedział, że nie ustrzeże się kolejnych błędów, ale na razie chciał naprawić te, które już popełnił.

- Opowiedz mi o sobie, ad'ika - powiedział i wziął ją za rękę.
- Chcę wiedzieć wszystko.

## ROZDZIAŁ 26

A więc Palpatine ma nową armię. Jestem pewien, że pewnego dnia uzna nasze badania za zagrożenie i będzie chciał nas zniszczyć. Ale jest głupcem, jeżeli sądzi, że oddamy mu wszystkie klony Fetta.

Lama Su, premier Kamino, na wieść o tworzonej przez Palpatine'a nowej armii imperialnej  
Oyu'baat, Keldabe, następnego dnia, 1096 dni po Bitwie o Geonosis

- Boba musi gdzieś być - powiedział Shysa. Miał denerwujący nawyk opierania nóg o najbliższe krzesło, co świadczyło o złych manierach nawet na takim zadupiu, jak Mandalora. - Może być wykapanym tatulkim albo żalonym siusiumajtkiem, który zaszył się w jakiejś dziurze i trzęsie się ze strachu, ale jeżeli to prawdziwy Fett, Mandalora go potrzebuje.

- Możliwe - mruknął Kal. Zaczynał żałować, że w ogóle tu przyszedł. Shysa był sprytnym manipulantem, ale ta część Skiraty, która nie chciała odcinać się od aruetyc świata zewnętrznego, która wolała być na bieżąco, żeby wiedzieć, jak się z nim rozprawić, jeżeli jeszcze raz zagrozi bezpieczeństwu jego najbliższych, chciała mieć wszystko pod kontrolą. Stwierdził nagle, że dał się niepotrzebnie wciągnąć w dyskusję. - Ale na razie nikt nie wie, gdzie młody Fett się zaszył, a poza tym i tak jest jeszcze

gówniarzem, więc musimy wziąć nasze sprawy we własne ręce, prawda? - powiedział.

- Nie przedrzeźniaj mnie - westchnął Shysa.
- Wybacz. - Skirata wskazał pusty kufel. - Po kilku ne'tra gal staję się sentymentalny i patetyczny.

Shysa spojrzał na niego z namysłem.

- Spar miał rację - stwierdził w końcu. - Namawianie go, żeby odgrywał rolę syna i dziedzica Fetta, było ryzykowne; okazało się, że marny z niego substytut Mand'alora.
- Głosuję na ciebie, Fenn - rzucił Skirata.
- Wiesz, że kierowałem się dobrem naszego ludu - przypomniał mu Shysa z wyrzutem.
- Każdy tak mówi.
- Klany wierzą, że Palpatine proponuje dobrze płatną pracę, więc pognają nawet za banthą w buy'ce, wierz mi.

- Skoro już o tym mowa, dlaczego w ogóle rozważają oddanie ziemi Imperium? - spytał Kal.

- Bo dają dobrą cenę - wyjaśnił Shysa.
- Komu niby? Jakiemuś konkretnemu klanowi czy całej Mandalorze?
- Klany spotkały się na posiedzeniu i ustaliły to między sobą, a poza tym to i tak tylko umowa najmu. - Fenn wzruszył ramionami.

Skiratę nie obchodziło, czy Palpatine rzeczywiście jest Sithem. Dla Mando'ade to nie byłoby nic niezwykłego - pracowali już wcześniej dla Sithów i, prawdę mówiąc, wyszli na tym lepiej niż na

układach z Jedi. Nie, Skirata nie ufał Palpatine'owi, bo ten był politykiem. Ta oślizgła kreatura chciała wcześniej na siłę wepchnąć Republice do gardła śliczną i wygodną galaktyczną demokrację, a teraz próbowała tego samego na nowych zasadach, tyle że z etykietką Imperium.

- Palpatine nigdy nie robi nic bez powodu, Fenn. - Skirata splótł dłonie na swoim kuflu. - Wierz mi. Dopiero co poświęcił co najmniej trzynaście lat na planowanie galaktycznej wojny i nasłanie na siebie dwóch armii tylko po to, żeby się pozbyć Jedi. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Nie chcę nic mówić, ale trudno nie zauważyć, że w tej chwili objął władzę nad całą galaktyką, więc której części zdania „nie dajmy temu koleśowi bawić się w naszej piaskownicy” nie rozumiesz?

- A której części zdania „nie mieliśmy prawdziwej armii od czasów Galidraanu” ty nie rozumiesz? - odpowiedział pytaniem Shysa.

- A więc twierdzisz, że jedynym wyjściem jest poddanie się i wpuszczenie ich na nasz teren? - Skirata nadal nie wierzył, że nie dadzą rady sami się wylizać po porażce na Galidraanie. To była Mandalora: mieli potężny potencjał. - Spójrz tylko na holomapę - powiedział. - Na co mu tutaj żołnierze? Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to pas asteroid Roche. Czyżby Palpi tak bardzo gustował w verpinach? Nie potrzebuje tu ludzi.

- Szukasz dziury w całym - parsknął Shysa. - Zachowujesz się jak rasowy paranoik.

- Pamiętaj, że nabawiłem się tej paranoi, pracując ponad dziesięć lat dla armii Republiki - przypomniał mu Kal. - Tej samej, która rozgromiła Jedi. I też nie miałem zielonego pojęcia, co się kroi.

- Ale czego Palpatine miałby od nas potrzebować? - spytał Fenn. - Gdyby chciał sobie pooglądać widoczki, poleciałby na Naboo.

- Mamy dwie rzeczy, na których może mu zależeć: beroyase bał beskar. Ludzie i metal. Chociaż teraz, kiedy pozbył się Jedi, może nie potrzebować aż tak bardzo mandaloriańskiej stali. Ale poza nią oprócz nas nie ma tu niczego cennego.

Shysa był cwańszy, niż Kal sądził. Maską przyjaznego łotra skrywała oblicze wytrawnego gracza. Pewnie był zbyt sprytny, żeby dać się wrobić w funkcję Mand'alora.

- Słuchaj - powiedział teraz. - Jeżeli wypniemy się na bazę czy inny garnizon, możemy wkurzyć Palpatine'a, a wtedy klany stracą kredyty. Poza tym cholera wie, czy ten typ się nie wścieknie i nie naśle na nas swojej szabla armii, a wtedy rozpirzy wszystko w naas. Mamy tu raptem cztery miliony ludzi! A wygląda na to, że jego wojsko liczy znacznie więcej. To nie mój problem, przypomniał sobie Kal. Obchodzi mnie tylko, żeby przyprzewieźć jak najwięcej chłopców do domu, wyleczyć ich, ocalić i zatroszczyć się o własną shebs. Nic poza tym.

Ledwie zapanował nad przemożną chęcią złapania Shysy za kołnierz i wykrzyczenia mu w twarz, że osik ma rację. Musiał działać pod przykrywką, a to nie będzie możliwe, jeżeli zaczną się mieszać w politykę klanów.

- Posłuchaj - powiedział Shysa - jeśli im odmówimy... a nie widzę szans na zgromadzenie regularnego wojska, które każe im się wynosić... nie mamy innego wyjścia, niż kombinować po cichu. Jesteście w tym dobrzy.

My?

- Ja i Vau jesteśmy na to za starzy - powiedział.

- Ach, nie wciskaj mi kitu - prychnął Shysa. - W sam raz nadajecie się do szkolenia młodych kadr.

- Przyszedłem tu, żeby namówić cię na stołek Mand'alora i zaprowadzenie porządku w sprawach naszego ludu. Nie zmieniaj tematu.

- Nie kręci mnie władza.

- Byłbyś Mand'alorem - powiedział Kal, przesadnie akcentując sylaby. - Tu nie chodzi o władzę, wiesz o tym, tylko o to, żeby dbać o ludzi. Może czasem kierować nimi. Jesteś bystry i wystarczająco młody. Świetnie się na to stanowisko nadajesz, chociaż nie ukrywam, że mógłbyś się ostrzec. Jedna wizyta u fryzjera i będzie z ciebie wykapany Mand'alor - zażartował.

- Chyba jednak zostaną przy tej fryzurze - powiedział Shysa. Chociaż był dobry w gadce o niczym i mydleniu rozmówcy oczu, Skirata wiedział, że pod warstewką niefrasobliwości kryje się odpowiedzialny człowiek o niezłomnej woli i zdrowym rozsądku. - W porządku, jeżeli garnizon zacznie nam wchodzić w paradę, poświęcę się i pogrzeję stołek dla Boby. Shysa cały czas z uporem maniaka zakładał, że młody ochoczo przystanie na propozycję objęcia stanowiska po swoim ojcu.

- Wiesz, że Fett ma starszą siostrę - wtrącił Kal. - Arię.

- Miał - sprostował Shysa. - Vizsla wybił całą jego rodzinę.

- Nie nie całą.

- Chyba ktoś ci nawcisnął jakichś kitów, Kal.

- Nie, ori'haat. Mówię poważnie - zapewnił go Skirata. - Jango był pewien, że wszyscy zginęli, ale dziewczyna jakimś cudem przeżyła, chociaż nadal jest w ciężkim stanie, po tym, co jej zrobili degeneraci Vizsli. Kilka lat temu znalazła się na Potrójnym Zerze.

- Gdyby skurczybyk nie był martwy, sam bym go z ochotą zabił, i to kilka razy. - Shysa zacisnął szczęki. - Jak trafiła z Concord na Corrie? Dlaczego Jango nic o tym nie wiedział? - spytał.

- Nie mogła się z nim skontaktować - wyjaśnił Kal. - Nie wiadomo, co się z nią działo między zabójstwem Fetta a... jej odnalezieniem. Nie jest w najlepszej formie - dodał.

- Jest tutaj? - domyślił się Fenn. - To dobra wiadomość.

- Na twoim miejscu nie robiłbym sobie fałszywych nadziei - sprowadził go na ziemię Kal.

- Najwyższy czas, żebyśmy znowu mieli Mand'alora-kobietę.

- Fenn westchnął i potarł dłonią czoło. - Dziewczyny umieją nas, facetów, ustawić.

Skirata wiedział, że Shysa nie żartuje. Był przekonany, że samo pojawienie się na scenie krewnej Fetta daje jej prawo do tytułu ich przywódczyni. Zakrawało to na maniackalne przywiązanie do dziedzicznej monarchii i zdecydowanie odbiegało od podejścia większości Mandalorian do tego typu spraw.

- Możemy jej przecież pomagać i doradzać - argumentował Fenn. - Na pewno będzie z niej wspaniała wojowniczka.

- Ona nie jest Mandalorianką, Fen'ika - przypomniał mu Skirata. - Tylko Jango się do nas przyłączył.

- Lepiej późno niż wcale - zauważył trzeźwo Shysa.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić, ale nasza zguba w tej chwili większość czasu spędza na siedzeniu w kącie i kołysaniu się w przód i w tył, i zwykle nie wie, co się wokół dzieje, nawet kiedy jest na prochach. Wątpię, żeby w takim stanie wiele zwojowała.

- Rozumiem. - Na twarzy Shysy pojawiło się rozczarowanie.

- Po co ją tu w takim razie sprowadziłeś?

- Bo gniła w zakładzie dla czubków, a ja nie potrafię przejść obojętnie obok kogoś, kto jest traktowany gorzej niż zwierzę - wyrwało się Skiracie, zanim zdążył pomyśleć. Przez chwilę sam był tym zaskoczony, ale niemal natychmiast poczuł się jak hipokryta. Było mu wstyd. Taki z ciebie świętoszek, a Etain musiała sama się troszczyć o siebie, skarcił się w duchu. Teraz przez ciebie nie żyje!

Shysa złapał go za ramię i uścisnął - tak mocno, że zabołało.

- Dobry z ciebie buir, Kal, wiesz o tym... - powiedział.

- Może po prostu tak bardzo lubię kraść, że zacząłem wykradać ludzi - zażartował Skirata. Shysa zapatrzył się na chwilę w przestrzeń, jakby błądził myślami gdzieś daleko.

- Przykro mi, Kal - powiedział w końcu. - Nie powinienem zwracać ci głowy w takiej chwili. Szkoda tej twojej dziewczyny. Na pewno jest ci ciężko...

Dla Mandalorian nie było różnicy między córkami i synowymi, nie mówiąc już o córkach i synach. Wszyscy byli dla nich ad'ike. Jeżeli nawet Shysa wiedział, że Etain była Jedi, nie dał nic po sobie poznać. Skirata stłumił w sobie chęć powiedzenia mu o tym. Był z niej teraz dumny, taki dumny... za późno. Jednak wszyscy Jedi byli obecnie ścigani przez Imperium i nie mógł narażać Kada.

- Skremowaliśmy jej zwłoki - musiał to z siebie wyrzucić. W ten sposób chciał sam siebie przekonać, że Etain rzeczywiście nie żyje. Wciąż zdarzało mu się myśleć, że za chwilę się pojawi, jakby nic. - Pochodziła z... - ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie wie. Nie miał pojęcia, na jakiej planecie się urodziła. Ze ściśniętym gardłem pomyślał, że już nigdy się nie dowie. - Shab, nie wiem - szepnął. - Wyszła za jednego z moich chłopców...

- Czyli dzieciak to syn żołnierza - mruknął Shysa. - Założę się, że to nie wyjątek. Będą z nich świetne chłopaki.

Skirata również miał taką nadzieję. Wstał, żeby się pożegnać. W tej chwili marzył tylko o jednym: żeby opuścić Oyu'baat i wrócić do rodziny.

- Pieluchy czekają - powiedział. - Będiesz dobrym przywódcą, Shysa. Świetnym. Nie mam żadnych wątpliwości. - Kiwnął mu głową na pożegnanie i ruszył do wyjścia. Kiedy mijał bar, barman wskazał kciukiem na holowyświetlacz za swoimi plecami. Na ekranie widniała aktualna lista poszukiwanych, nazwiska i zdjęcia przestępców i innych nieszczęśników, za których głowy wyznaczono nagrodę - do Oyu'baat często wpadali łowcy nagród w poszukiwaniu zleceń.

- Jesteś sławny - powiedział mężczyzna, wskazując ogłoszenie o treści: „Skirata, K., najchętniej żywy”. Nie było zdjęcia. Kal nawet nie spojrzał na cenę, na wypadek gdyby okazała się za niska. - Widzę, że Imperator jest twoim fanem.

Skirata wiedział, że żaden Mandalorianin go nie wyda. Takich rzeczy się po prostu nie robiło. Ale na liście widniała też nagroda za Jilkę, a tutaj nikt jeszcze nie wiedział, że ona również jest nietykalna. Musieli być ostrożni.

- Wyślę mu holokartkę z autografem - bąknął i skierował się do śmigacza. Szedł coraz szybciej, a ostatnie kilka metrów pokonał biegiem - kostka już nie bolała, jakby wypadek nigdy się nie wydarzył. Czuł za to ostry ból w piersi, zupełnie jakby ktoś bezlitośnie zaciskał mu dłoń na sercu. Gdy tylko zamknął drzwi pojazdu, spojrzał przez transpaster kabiny na czyste, błękitne niebo i zaszlochał. Wiedział, że lepiej jest z siebie wszystko wyrzucić, ale jak długo można? Klan go potrzebował, nie mógł się tak cały czas mazać. Minęło kilka minut, zanim odzyskał ostrość widzenia na tyle, że mógł pilotować.

Och, Dar, pomyślał, skoro ja czuję się tak parszywie, to jak ty to wszystko znosisz? Powinieneś być tutaj teraz z nami, ad'ika, w domu, przy swoim synu...

Wciąż nie mogli się z nim skontaktować. Obrim również milczał i nie mieli też żadnych wieści od Ninera. Mereel pracował nad dostrojeniem ich systemu łączności do sieci nowo utworzonej imperialnej armii, ale na razie nie było postępów. Cóż, Kal wiedział, że tak czy inaczej dotrze do swoich chłopców, nawet gdyby to oznaczało konieczność powrotu na Coruscant i złożenia osobiście wizyty w koszarach.

Wróćcie do domu, powiedział do nich w myślach. Już niedługo.

Nowy śmigacz świetnie się sprawdzał. Kal dał za niego niezłą sumkę, ale teraz nie musiał na niczym oszczędzać - okrągła sumka w banku rosła z każdym dniem. Maszyna była szybka i

podróż do Kyrimorut trwała teraz godzinę krócej. Zszedł nisko i klucząc między czubkami drzew, żeby zminimalizować szanse wykrycia, przyjrzał się krytycznie Kyrimorut. Z góry bastionu nie było prawie widać, polana nie wyróżniała się niczym szczególnym.

Sprowadził śmigacz na ziemię i zobaczył, że ktoś na niego czeka. To była Nyreen. Stała obok swojego statku, ze skrzyżowanymi rękami, wpatrując się w coś, co trzymała w dłoni.

- Witaj, Ny - powiedział, zatraskując za sobą drzwi maszyny. Silniki jej frachtowca nadal chodziły na jałowym biegu, jakby dopiero co wylądowała. - Wszystko w porządku? - spytał. - Wydawało mi się, że miałaś robotę na Fondorze...

Wyciągnęła dłoń i podała mu mały kawałek lśniącego plastoidu.

- Znalazłam to między warstwami izolacji akustycznej w kabinie pasażerskiej - powiedziała. - Ordo mówił, że w komputerze Etain nie było czipa z danymi, więc sprawdziłam w miejscu, gdzie leżało jej ciało.

Skirata przyjrzał się małej karcie i niechętnie obiecał Mocy, że zacznie ją szanować, jeśli tylko się okaże, że czip faktycznie należał do Etain. Przez długą chwilę nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

- Dziękuję, Ny - powiedział w końcu. - Dodam to do długiej listy rzeczy, za które mam u ciebie dług.

- Wszystko uregulowane - rzuciła pilotka.

- Przykro mi, że A'den nie wrócił z lepszymi wieściami o twoim mężu... - Skirata nie znał szczegółów i nie lubił się wtrącać w nie swoje sprawy, ale chciał jej jakoś pomóc. - Jeżeli chcesz o tym porozmawiać...

- Nikomu nie jest ostatnimi czasy lekko, Kal - weszła mu w słowo. - Cieszę się, że mam pewność. Niektórzy nie dostają nawet tyle.

Odwróciła się, żeby odejść, ale złapał ją za ramię.

- Czy te moje oszołomy dały ci chociaż jeść? - spytał. Obracał kartę z danymi w palcach, zastanawiając się, co też na niej znajdzie. Może niepotrzebnie robił sobie nadzieję? Cóż, dowie się dopiero, kiedy włoży ją do czytnika.

Musiał się dowiedzieć.

- Mogę to zrobić za ciebie, jeżeli nie czujesz się na siłach - powiedziała, jakby czytała mu w myślach.

- Nie. - Pokręcił głową. - Dam radę. Ale dziękuję za troskę.

- Nie ma sprawy.

Odetchnął głęboko i wsunął kartę do swojego notesu komputerowego. Ny była dzielną kobietą, prawdziwą mandokarla.

Skirata przypuszczał, że karta będzie pełna zdjęć Etain z Kadem i się nie pomylił. Matki często nosiły przy sobie zdjęcia swoich pociech, szczególnie jeżeli z jakichś powodów nie mogły z nimi spędzać tyle czasu, ile chciały.

Powiedziałem Etain, że zabiorę jej syna..., przypomniał sobie.

Ale na zdjęciach oprócz niej i dziecka był też Darman; kilka hologramów przedstawiało całą ich szczęśliwą trójkę. Nagły ból w piersi prawie zwałił Skiratę z nóg. Z trudem zaczerpnął powietrza, a jego ciałem wstrząsnął gwałtowny spazm. Ny położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie powinienem był na to pozwolić... - jęknął.

- Nie mogłeś nic zrobić, Kal.

- Nie powinienem był im zabraniać być razem... - zaszlochał. - Łamałem wszystkie zasady, dlatego więc nie tę? - wyrzucał sobie. - Dlaczego byłem takim ślepym głupcem?

- Nie ma sensu robić sobie teraz wyrzutów - powiedziała łagodnie Ny. Chociaż sprawiała wrażenie szorstkiej i nieprzystępnej, w gruncie rzeczy była ciepłą, wrażliwą osobą o wielkim

sercu. -A przy okazji, pozwoliłam sobie przyprowadzić wam gościa. Znajdziecie jeszcze jeden wolny pokój? - Otworzyła włącz swojego promu. - Nie potrafiłam mu odmówić.

Na szczycie rampy pojawił się klon w szarym roboczym kombinezonie. Przez krótką chwilę serce Skiraty biło mocniej, kiedy odruchowo pomyślał „Darman”, ale to nie był Dar. Otrząsnął się szybko i przyjrzał gościowi uważnie.

Klon wyglądał na zażenowanego i Kal był tym zaskoczony. Spodziewał się wszystkiego, od ulgi po strach, ale zawstydzenie? To nie był żaden z jego chłopców. Nie rozpoznawał go, ale to nie miało znaczenia - każdy klon był tutaj mile widziany i natychmiast przyjmowany do rodziny. Kal nie wyobrażał sobie, żeby miało być inaczej. Wszyscy byli braćmi, vode'an.

- Levet - przedstawił się mężczyzna. - Służyłem pod rozkazami generała Tur-Mukan.

Ach, to musiał być ten komandor, który wiedział o ciąży Etain, a jednak nikomu nie zdradził jej sekretu!

Ucisnął dłoń Skiraty.

- A więc to ciebie Ordo ochrzcił Komandorem Taktownym? - spytał Skirata.

Levet uniósł brew.

- Staram się jak mogę. Dziękuję za przyjęcie mnie pod dach, sierżancie. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale... chyba coś we mnie pękło.

- Nie ma się czego wstydząć, ad'i'ka. - Kal wskazał budynki mieszkalne. - Spełniłeś swój obowiązek. Teraz sam możesz decydować, co chcesz robić.

- Gospodarstwo - zdziwił się Levet. Rozejrzał się dookoła i przyjrzał zabudowaniom gospodarskim z mieszaniną strachu i ciekawości. - Nie mam zielonego pojęcia o pracy na farmie, ale szybko się uczę. A jeśli chodzi o generała Tur-Mukan... Strasznie mi przykro, naprawdę. To bardzo bolesna strata.

- Jej synek rośnie jak na drożdżach. - Skirata poklepał chłopaka po plecach. Biedak nie miał ze sobą nic oprócz ubrania na grzbiecie. - Idź do środka. Ordo się tobą zajmie. Koniecznie wrzuc coś na ruszt. - Przeniósł spojrzenie na Ny. - Zjesz z nami? Chciałbym coś dla ciebie zrobić, chociaż tyle...

Pilotka zastanawiała się przez chwilę.

- Chętnie - powiedziała w końcu. - Czy mogę ci zadać delikatne pytanie?

W sercu Skiraty na chwilę zapłonęła iskierka nadziei, ale natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Nie mógł myśleć o sobie, zanim nie zatroszczy się o swoich chłopców. Misja zatrzymania procesu starzenia nie była jeszcze zakończona.

- Zamieniam się w słuch - rzucił.

Ny odczekała chwilę, aż Levet dotrze do domu.

- Jedi - wypaliła.

- Co masz na myśli? - spytał ostrożnie Kal.

- To nieprawda, że nienawidzisz ich wszystkich - stwierdziła pilotka. - Kochałeś Etain i kochasz Jusika. Nie wszyscy są źli, zgadza się? Nie można ich wszystkich obwiniać za to, co się stało z Zakonem.

- To prawda - przyznał jej rację. Nie mógł mierzyć wszystkich jedną miarką. To, że zabili Etain i traktowali klony jak roboty, nie zmieniało faktu, że wśród nich zdarzały się prawe i szlachetne istoty. - Nie można. A skoro mowa o Jusiku, to on akurat nie jest już Jedi - sprostował.

- A co byś powiedział, gdybym natknęła się na kilku nieboraków, których jedynym przewinieniem jest fakt, że Mocy zachciało się naszprycować ich midichlorianami? Jak byś ich potraktował?

- Co masz na myśli, mówiąc „gdybym się natknęła”? - spytał podejrzliwie.



- Cóż, praca pilota frachtowca wiąże się z ryzykiem - stwierdziła Ny, wrzuszając ramionami. - Czasem znajdujesz w ładowni pasażerów na gapę i innych wyjętych spod prawa nieszczęśników, a kiedy słuchasz ich opowieści, bywa, że trudno ci wypchnąć ich z zimną krwią przez służbę.

Skirata rzucił jej spojrzenie, które mówiło „nawet o tym nie myśl”.

- Skoro tak twierdzisz... - powiedział wymijająco.

- Mandalorianie nie interesują się przeszłością prawda? - spytała Ny. - Tylko tym, co jest tu i teraz. Mam rację? Tolerują różne szumowiny, takie jak w twojej bandzie.

- Hm, no cóż... tak - wymamrotał, zmieszany.

- Trafiłam na dwoje Jedi, którzy szukają schronienia - oznajmiła bez ogródek.

- Jeżeli któryś z nich to Quinlan Vos, dawaj mi go tu natychmiast - stwierdził Kal beztrąsko. - Mój nóż chętnie utnie sobie z nim pogawędkę.

- Kal, proszę...

- No dobrze, kim są?

- Jedna to jeszcze dzieciak. - Wyraz twarzy Ny nie zmienił się ani na jotę, ale w jej głos wkradła się ciepła nuta, która ją zdradziła. - Wygląda najwyżej na czternaście lat. Nazywa się Esterhazy, czy jakoś tak. Podobno pomagała przy uprawach. Twierdzi, że marna z niej była Jedi, Moc jest w niej słaba i takie tam. Zupełnie jakbym słyszała biedną Etain. A druga... to Kaminoanka.

Skirata o mało się nie zachłusnął. Nie miał pojęcia, że Kaminoanie bywają wrażliwi na Moc. Przynęty na aiwhy i szaleni rycerze, pomyślał. Dwie grupy, których nienawidził najbardziej, a tu nagle przytrafiał się ktoś należący do obydwu naraz! Poczul przemożną potrzebę zrobienia użytku ze swojego noża.

Ale dlaczego w takim razie Ko Sai zrobiła taką aferę wokół Kada? Jeżeli te szare świry miały własnych użytkowników Moc, dlaczego nie wykorzystywały swoich midichlorianów do stworzenia wrażliwych na Moc klonów?

Ponieważ uważali się za rasę panów, a wszystkich innych traktowali jak niewartych splunięcia, odpowiedział sam sobie. Teraz rozumiał. Nigdy nie wykorzystaliby swojego cennego, doskonałego genomu do stworzenia... produktu. Ko Sai powiedziała

Mereelowi, zanim poczęstował ją elektrowstrząsem, że poczuła się naprawdę urażona, kiedy ją spytał, czy była „matką” klonów — czy w somatycznej metodzie klonowania wykorzystywali kaminońskie jajeczka.

- Muszę przyznać, że nie jestem zbyt zachwycony - westchnął Skirata. - Po prostu nie potrafię wyobrazić miłego, troskliwego i skromnego Kaminoanina-Jedi...

- Nazywa się Kina Ha - powiedziała Nyreen. - I na moje oko nie wygląda na potwora.

Skirata przypomniał sobie swój pierwszy dzień na Kamino. Te ich łagodne głosy...

- Na początku wszyscy wydają się mili - burknął.

- ... a do tego pochodzi ze specjalnego gatunku długowiecznych Kaminoan - dokończyła pilotka. - Genetycznie zmodyfikowali swoich ziomków, żeby mogli latać na długie misje.

Skirata o mało nie dostał zawału.

Musiał sobie kilkakrotnie powtórzyć jej słowa, zanim uwierzył w to, co słyszał i zanim jego galopujący puls zwolnił na tyle, że mógł jasno myśleć.

A więc Kaminoanie mogą również przedłużać życie, uświadomił sobie. Nic dziwnego, że Palpi tak się wściekł, kiedy dorwaliśmy Ko Sai przed nim. Założę się, że liczył na to, że zapewni mu nieśmiertelność, albo co najmniej życie o wiele dłuższe niż przeciętnych istot.

A to oznaczało, że jej genom może się przydać doktor Uthan w badaniach. No, moja najdroższa przynęto na aiwhy, przyjmę cię z otwartymi ramionami, pomyślał. Będzie mi bardzo, bardzo miło cię poznać... wszystko dla moich chłopców.

- Kal, wiem, że to dla ciebie trudne... - powiedziała Ny cicho. - Może nie powinnam cię o to prosić po tym, co się stało z Etain...

- Cóż... - Walczył ze swoim sumieniem, i nie chodziło tylko o plan, który powoli nabierał kształtów w jego głowie. Nie miał dla Kaminoan litości, ale trudno mu się było pogodzić z faktem, że zamierzał wykorzystać dobre serce Ny.

To dla moich synów, usprawiedliwiał się przed sobą. Ich dobro jest najważniejsze. Ważniejsze niż ja, moje potrzeby i opinia Ny Yollen na mój temat.

- Nie, w porządku - wymamrotał.

- Czy mogę je tu przywieźć? - spytała Ny.

Oszalałem, uznał Kal. Ale przecież nie mogę przegapić takiej okazji.

- Kiedy? - spytał.

- Będę w ich okolicy za jakiś tydzień czy dwa.

- Dobra. Ale pamiętaj, że musisz być ostrożna. Pełna czujność. Gdyby chociaż pomyślały o sprawianiu problemów, osobiście dopilnuję, żeby połączyły się z szabla Mocą - zagroził.

Ny uśmiechnęła się do niego promiennie. Miała piękny uśmiech.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Kal - powiedziała ciepło.

- Nieprawda - zaprzeczył. Prędzej czy później będzie musiał jej o wszystkim powiedzieć i zdawał sobie sprawę, że pewnie go za to znienawidzi. Ale miał swoje obowiązki. - Wcale nie jestem dobry. Ale kocham moich chłopców.

Centrum Szkoleniowe Imperialnej Armii, Centax II, Coruscant

Darmana od małego uczono przetrwać za wszelką cenę na terytorium wroga, i właśnie teraz to robił.

Siła woli: oto, co decydowało o życiu lub śmierci.

- Dar?

Wiedział, kiedy się spada w otchłań. Kal Skirata nauczył go rozpoznawać pierwsze sygnały rozpacz i słabości, więc Dar wiedział, kiedy musi wziąć się w garść. To nie pragnienie, głód ani rany odniesione na polu walki były największym zagrożeniem w takiej sytuacji - było to pozwolenie, żeby rozpacz pożarła cię żywcem. Nie można jej się poddać.

- Dar, słyszysz mnie?

Kiedy opanowało się własny strach, ból i żal, wtedy zdobywało się kontrolę nad sytuacją. „Jeśli nie możesz czegoś pokonać, wykorzystaj to dla własnych celów” - powtarzał im tysiące razy Skirata. Dar postanowił słuchać rad człowieka, którego znał jako sierżanta, instruktora - nie ojca, którego kochał, ponieważ w tej sytuacji byłoby to zbyt bolesne. Dopóki nie uda im się uciec, musiał być innym Darmanem. Ten Dar, który myślał, że ma prawo do życia poza wojskiem, który kochał i poślubił ukochaną kobietę, a potem był świadkiem jej śmierci, był zbyt kruchy i wrażliwy, żeby przetrwać w tym wrogim otoczeniu. Ten Dar będzie musiał poczekać, aż nadejdzie odpowiedni czas, żeby znowu obudzić się do życia - o ile taka chwila w ogóle kiedyś nadejdzie.

- Darman!

Ktoś pchnął go mocno w pierś. Dar otrząsnął się z letargu i spojrzął na Ninera. Sierżant przechadzał się przed nim tam i z powrotem na usztywnionych cybernetycznymi kłamrami nogach, żeby pokazać, że jest już sprawny.

- Widzę postępy, sierżancie - powiedział grzecznie.

- Za kilka tygodni wrócę do służby - stwierdził Niner.

- Świetnie.
- Chcesz porozmawiać? - spytał sierżant.
- O czym? - Darman wzruszył ramionami.

Niner spojrział na niego twardo.

- Zdejmij hełm, Dar, dobrze? Rozmawiaj ze mną.

Darman posłusznie zdjął kubek i położył go na stole. Wolał swojego starego Katarna, ale skoro był w nowej sytuacji, nie miało znaczenia, czy zmieni się jedna rzecz, czy wszystko. Łatwiej było być tym drugim Darmanem.

Niner opadł na krzesło obok, podpierając się rękami, i złapał Darmana mocno za ramię.

- Dar, wiem, że jest ci ciężko - szepnął. - Ale jestem twoim bratem. Rób, co ci się żywnie podoba, w obecności tych di'kute, ale przy mnie możesz być sobą. Jasne?

Żołnierze z Pięćset Pierwszego nie byli głupi, ale część nowych nie była po prostu gotowa do szkolenia na komandosów. Nie chodziło tylko o marne wyniki w testach wstępnych - czego mogli się spodziewać po klonach wyhodowanych w ciągu roku czy dwóch? - ale wszyscy oni wydawali się przeświadczeni, że Centax II to Kamino. Jakiś di'kut wmówił im to, zanim wojna się skończyła. Pukali się w głowę, kiedy Darman opowiadał im o bezkresnych oceanach i zasnutym chmurami niebie, dopóki nie pokazał im bazy danych systemu Kamino.

Tak czy inaczej, musieli się z nią zapoznać. Kamino było objęte planem postępowania w sytuacji kryzysowej. Widać Imperium z jakiegoś powodu nie przepadało za przynętami na aiwhy.

Darman nie mógł się doczekać spotkania po latach. Jeśli będą szukali ochotników na misję, pierwszy ustawi się w kolejce, stwierdził z satysfakcją.

- Nic mi nie jest - zapewnił Ninera. To był najgorszy scenariusz, jaki mógł sobie wyobrazić, ale wiedział, że jeśli teraz przetrwa, jeśli wytrzyma, w końcu się podźwignie na nogi. A wtedy nic go już nie złamie, bo nie wyobrażał sobie gorszego bólu niż ten, który teraz czuł. - Daję radę.

- Dar, za dobrze cię znam - westchnął Niner. - Widzę, co się z tobą dzieje...

- To znaczy? - spytał flegmatycznie Darman. - Co się dzieje?

- W porządku, ner vod. Nie naciskam.

Darman chciałby wytłumaczyć kompanowi, że gdyby pozwolił dojść do głosu swojemu staremu, ja", ból by go zniszczył, a poza tym istniały rzeczy, o których bał się teraz wspominać. Najlepiej było o wszystkim zapomnieć i przeczekać. Potrafił to. Umiał świadomie spychać pewne rzeczy poza margines świadomości, żeby nic nie wydostało się na zewnątrz.

Tak było najlepiej. Tamten Darman musiał czekać na lepsze czasy. Wiedział, że chłopak, któremu brutalnie odebrano szansę na szczęście, kiedy już było tak blisko, po prostu nie przetrwałby w tej sytuacji, nawet przy wsparciu Ninera.

Wróci, kiedy to wszystko się skończy; wiedział o tym.

- Mogłeś mnie zostawić - powiedział Niner cicho. - Ale nie zrobiłeś tego, więc mam wobec ciebie dług do końca życia.

- Nigdy nie porzucamy naszych braci - powiedział Darman. - Jak mógłbym cię zostawić?

Wiedział, że jego również nie zostawią na pastwę losu. Był tego pewien. Ktoś po niego przyjdzie. A czekając na ten dzień, będzie postępował tak, jak ich uczył Kal Skirata. Przetrwa.

Koszary Centrum Szkoleniowego Imperialnej Armii, godzinę po zgaszeniu świateł Scorch w końcu się przemógł. Przestał rozpamiętywać wydarzenia z Kashyyyka i zastanawiać się, co mógł zrobić, żeby ocalić Seva. Możliwości było mnóstwo.

Ale to była przeszłość, chwile, które nigdy już nie wrócą. Nie zdoła cofnąć czasu, a ciągle obwinianie się mogło go tylko doprowadzić do obłędu. Poza tym miał teraz pracę, która nie mogła czekać, aż skończy rozpaczać. W Imperialnej Armii nie było Skiratów ani Vauów, którzy

pozwoliliby Drużynie Delta robić, co jej się podoba, i troszczyliby się o nich. To był zupełnie inny świat, bardziej przypominający sztywne Kamino, bez niezależności, do której tak przywykli. Nawet nowe koszary przypominały sterylnie białe wnętrza Tipoca City.

- Widziałeś go? - spytał szeptem Boss. Wychylił się przez poręcz górnego łóżka i szturchnął go w bok. - Jest tutaj - powiedział. - On i Niner.

Scorch był zadowolony, że na chwilę mógł się oderwać od czarnych myśli. Zamiast obwiniać się o zostawienie Seva na niepewny los, zaczął się zastanawiać, czy Etain udało się przeżyć czystkę. Jusik wyszedł z tego cało - dowiedział się o tym, bo zobaczył przekazywany z rąk do rąk list gończy z wykazem Jedi, których poszukiwano. Palpatine wyznaczył też nagrodę za głowę Skiraty. Jeśli jednak Darman był tutaj, to Etain się chyba nie udało... Scorch był pewien, że gdyby żyła, Dar byłby teraz przy niej, żeby zapewnić jej maksymalne bezpieczeństwo.

- Nie ma śladu Corra ani Atina - szepnął Boss. - Słyszałem, że są na liście dezertersów, tak samo jak Zera i kilku innych.

Scorch nie odpowiedział. Słyszał dobiegające z sąsiedniej pryczy chrapanie Fixera, ale tym razem dźwięk wydawał mu się dziwnie uspokajający. Zabawne. Dawniej zwykle działał mu na nerwy tak skutecznie, że miał ochotę wylać kompanowi na głowę dzbanek zimnej wody. Nie znali żadnego z klonów, z którymi dzielili sypialnię, i w tej sytuacji fakt, że mieli siebie nawzajem, naprawdę dużo znaczył.

- Strzelałbyś, gdyby nam kazano? - spytał Boss.

Sev zadał mu kiedyś podobne pytanie, przypomniał sobie Scorch.

- Nie wiem - mruknął, chociaż tak naprawdę miał ochotę powiedzieć: „Nie, nie strzelałbym, dałbym im odejść w spokoju”.

- A czy ty strzeliłbyś do Etain, gdyby była z nami, kiedy wydali Rozkaz Sześćdziesiąt Sześć?

- Ale jej nie było - powiedział Boss, unikając odpowiedzi.

- Pytałeś Dara, czemu tu utknęli? - dopytywał się Scorch.

- Tak. - Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili.

- I co? - Ze ściśniętym gardłem oczekiwał na wieści o Etain.

- Co się stało?

Boss przełknął głośno ślinę.

- Powiedział tylko - szepnął - że nie mógł zostawić Ninera. Scorch znał swojego brata wystarczająco dobrze, żeby nie pytać, jak się czuł, słysząc taką odpowiedź.

On czuł się tak samo.

## **ROZDZIAŁ 27**

Nie wierzyłam, że go już nie ma, dopóki nie zobaczyłam jego imienia na pomniku upamiętniającym poległych podczas wojny. Wtedy do mnie dotarło: nie należał już do mnie.

Dołączył do szeregów tych, którzy umarli - odległych, obcych, uwiecznionych w kamieniu.

Wdowa po komandorze poruczniku Ussinie Fajinaku, pierwszym oficerze na wojennym okręcie Republiki „Aurodia”

Keldabe, Mandalora, następnego dnia, 1097 dni po Bitwie o Geonosis

Kad nie miał dziś dla nich litości: marudził przez większość nocy, postawił wszystkich na nogi i nie dał się uspokoić. Teraz Fi posadził sobie chłopczyka na kolanach i próbował go rozśmieszyć.

- Wspaniały dzień na wycieczkę, Kad'ika, co? - powiedział do malca. Co tu kryć, uwielbiał tego dzieciaka. Przemknęło mu przez

myśl, że może za bardzo naciskał na Parję, żeby zafundowali sobie takiego samego. - Popatrz tylko na tych wszystkich wesołych Mando'ade, wymachujących nożami i blasterami, i śpiewających nieprzyzwoite piosenki!

Kad trzymał kurczowo swojego przypalonego pluszowego nerfa i skutecznie opierał się wszelkim próbom odwrócenia jego uwagi. Wyglądał przez okno śmigacza, jakby czegoś albo kogoś szukał. Fi podejrzewał, że wypatrywał swoich rodziców, chociaż Jusik utrzymywał, że mały rozumie pojęcie śmierci lepiej niż jego rówieśnicy.

- Mam wrażenie, że cieszysz się na wizytę w Keldabe bardziej niż on - rzucił Kal, pewnie pilotujący śmigacz. - Cieszę się, że znowu się uśmiechasz, synu. Lejesz miód na moje stare serce. Etain nie posiadałaby się z radości.

- Weźmiesz mnie ze sobą kiedy będziesz wracał po Dara i Ninera? - spytał Skiratę. - Chciałbym lecieć z wami.

- Oczywiście - zapewnił go Kal.

Skirata był najwyraźniej w nastroju, który Ordo określił kiedyś mianem refleksyjnego. Coś było na rzeczy, bez dwóch zdań, a decyzja o podróży do Keldabe kazała się Fi zastanawiać, czy ma to coś wspólnego z Shysą. Sam Kal'buir utrzymywał, że chce po prostu kupić kilka rzeczy dla Uthan - holoziny, przybory toaletowe, może butelkę dobrego wina. Zamawianie zakupów do Kyrimorut było zbyt ryzykowne, a poza tym Skirata od czasu czuł potrzebę wyjścia na zewnątrz, żeby rozprostować nogi.

- Kad, chcesz przymierzyć mój buy'ce? - zapytał chłopca Fi i uniósł hełm nad jego głowę niczym najwyższy kapłan Basani koronę podczas ceremonii koronacji. - Tam w środku jest mnóstwo fajnych dźwięków i kolorów!

Kad spojrział na niego poważnie ogromnymi, ciemnymi oczami, a po chwili wykrzywił buzię w podkówkę. Na rzęsach zawisły mu duże łzy, ale ani pisnął. Coraz częściej zdarzało mu się płakać po cichutku. Fi uważał, że dzieci nie powinny tłumić emocji - miały prawo do płaczu, kiedy było im źle, a Kad już szczególnie.

Powoli opuścił hełm na głowę chłopczyka.

- Spójrz tylko, Kad'ika! - powiedział. - Ślicznie, prawda? Hełmy włoż! Oo, tak! Teraz jesteś małym, dzielnym żołnierzem!

Kad przez chwilę nie protestował i pozwolił Fi trzymać hełm nad jego głową, ale zaraz zaczął się wiercić.

- Tata - oznajmił. - Tata?

- Wkrótce trzeba go będzie zacząć oswajać ze zbroją - rzucił Skirata. - Poprosimy Beviina Verhayca, żeby zrobił mu malutki buy'ce. Nie musimy oszczędzać. Może sprawimy mu mały kombinezon? Mirgo Ruus jest mistrzem w swoim fachu. Mój bu'ad'ika zasługuje na wszystko, co najlepsze.

- Czy Bardan nauczy go walczyć mieczem świetlnym? - zainteresował się Fi.

- Nie widzę powodu, dla którego tylko jетиise mieliby się nimi posługiwać.

Fi czuł, że Skiratę coś trapi. W jego głosie pojawiła się znajoma nuta troski.

- Oczywiście wszystko w ścisłej tajemnicy - dodał Kal.

Fi obserwował Kada uważnie jak prognozę pogody Fleet Metu. Był pewien, że dzieciak potrafi wyczuć poprzez Moc swojego ojca i gdyby Darowi coś się stało, wiedziałby o tym pierwszy. W Keldabe było dzisiaj gwarno. Miastu daleko było co prawda do Coruscant, ale Fi chwilowo zarzucił pomysł spuszczenia się po linie z najwyższego wieżowca Galactic City. Postanowił, że zadowolony będzie na razie Keldabe. Z każdym dniem bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że kiedyś w końcu będzie umiał wrócić do domu bez konieczności zaglądania do notesu komputerowego. Wędrowali o poranku wąskimi uliczkami Keldabe. Skirata niósł Kada opartego na biodrze w sposób typowy dla dumnych mandaloriańskich ojców.

Zatrzymali się na placu przed Oyu'baat, żeby pokazać Kadowi płynącą w dole Kelitę, jednak chłopczyk z jakiegoś powodu był bardziej zainteresowany patrzeniem w niebo, zupełnie jakby czegoś na nim szukał.

Nie minęło dużo czasu, nim zobaczyli statki.

Przeływały dostojnie ponad ich głowami w luźnej formacji: jednostki uderzeniowe i transportowce. Kierowały się na wschód. Na polu walki powitaliby je z radością i ulgą ale teraz były zwiastunem mrocznych dni, które miały wkrótce nadejść. To była forpoczta imperialnego garnizonu. Nie tracili czasu - widać bardzo im się spieszyło. Skirata pokręcił głową i westchnął ciężko.

- Dostałem, o co się prosiłem, ad'ika - powiedział. - Chyba najwyższy czas się ulotnić.

- Cieszę się, że nie przyjąłem propozycji zostania Mand'alorem - stwierdził Fi. - Założę się, że Spar też nie żałuje.

A więc to flota tak zaniepokoiła Kada. Widać wyczuł ją wcześniej. Moc podpowiadała Jusikowi różne rzeczy, więc pewnie Kadowi też. To za statkami się rozglądał. A przynajmniej Fi wolał myśleć, że o to chodziło. Trudno było mu znieść myśl, że malec wciąż ma nadzieję na powrót mamy.

Ruszyli z powrotem do śmigacza. Po drodze zatrzymał ich mężczyzna w bursztynowej zbroi.

- Słyszeliście? - zapytał, łapiąc Skiratę za łokieć.

- O czym? - parsknął Kal. - Że pożałujemy dnia, w którym wpuściliśmy Palpatine'a na swoje podwórko?

- Nie. - Mężczyzna pokręcił głową. - O Shysie - wyjaśnił. - Fenn Shysa właśnie przyjął kyr'besa. Jest naszym nowym Mand'alorem. W Oyu'baat ale leje się strumieniami! - Oszedł w swoją stronę, wyraźnie zadowolony, że trzyletnie bezkrólewie bez Mand'alora po śmierci Fetta dobiegło wreszcie końca. Może nie wiedział tego, o czym wiedział Fi: że Shysa zgodził się objąć stanowisko, ponieważ uznał imperialnych za zagrożenie. Szybko zmienił zdanie.

- Nie jestem szczególnie spragniony - mruknął Skirata i spojrzął na Fi z ukosa. - A ty?

- Nie piję, prowadzę - odparł z poważną miną Fi.

Nisko nad centrum miasta przemknęła kanonierka w barwach Imperium. Przypominała trochę drogie ich sercu LAAT/i, ale kształt kadłuba był trochę inny. Kierowała się prosto na wieżę MandalMotors.

Fi przyłożył palec do ust: ciii! Kad, poważny i milczący, powtórzył gest. To był dobry nawyk.

Chłopczyk spojrzął do góry z piąstką przy buzi i zmarszczył czoło, a jego oczy załśniły od łez.

Wiedział już, że aby przetrwać w tych okrutnych czasach, które miały nadejść, nie może rzucać się w oczy.

Skirata patrzył w niebo, dopóki nie przeleciał ostatni ze statków. Fi widywał u niego ten wyraz twarzy już wcześniej: czujny,

ale bez lęku. Kal wyglądał, jakby chował coś w rękawie - i to nie tylko swój trójstronny nóż. Kad zakwilił cicho.

- Już dobrze - uspokoił go Skirata, głaszcząc chłopca po głowce. - Jestem przy tobie, synku.

Jestem przy tobie.

Pragnę podziękować moim wydawcom: Keithowi Claytonowi (Del Rey) i Frankowi Parisiemu (Lucasfilm); mojemu agentowi Russowi Galenowi; Bryanowi Boulutowi oraz Jimowi Gilmerowi za wyrozumiałość i hojne wsparcie, nawet kiedy stawałam się naprawdę nudna; Mike'owi Krahulikowi i Jerry'emu Holkinsowi z Penny Arcade za bycie Mikiem i Jerrym; Rayowi Ramirezowi z kwatery głównej 27. Brygadowej Grupy Bojowej za pomoc techniczną i przyjaźń; Hadenowi Blackmanowi za podsycanie płomienia; Seanowi za wspaniałe jednolinijkowce; Wade'owi Scroghamowi za niepokojąco skuteczną broń, a także Lance'owi, Joannę, Kevinowi i wszystkim przyjaciółom z Legionu 501 z Dune Sea Garrison za praktyczne i inspirujące rady dotyczące uzbrojenia, jak również bycie or'aliit.